

...A IDIAJ - POWIEDZIAŁ, WIKALUJĄC INNYJ 101-10. JAK ISEN JPAD  
DZIADKOWIE I RODZICE, PIĘCIU BRACI - LIATEŻ CHCIAŁEM Z  
POZWOLIŁ PAZNOKCIOWI ZESIŁGNĄCIE NA ZEWNĄTRZ W STRON  
RAWEDZI PNIA JAK IGIA GRAMOTONOWA - JEST CHWILA OBI  
CAŁA RESZTA TWOJEGO ŻYCIA, TU ZAS - WYKIECHAŁ LEDW  
NA BOK WYJAWIAJĄC NASZĄ HISTORIĘ. JAK ODEGRAĆ C  
WYPOWIEDZIANA ANI CI SZY, SUBTELNYCH PRZEM  
A) W SYNAGODZIE Z CZASÓW MOJEJ MŁODOŚCI - KTÓRA  
K NAZWISK TYCH, KTÓRZY ZMARLI W DANYM TYGODNIU DANEGO  
LA BRZYDKIE SŁOWA, MOŻNA TYLKO BRZYDKO ICH UŻYC. PÓŻN  
TU DWÓCH, KTÓRZY UDALIŁE SIE DO IZRAELA, ZGINEŁO DWADZIE  
EMDZIESIAT WATÓW ŚWIATŁA MNIEJ NIZ W ŻYRANOLU UMNIE W SALO  
E, JAKBY MINĘŁY WIEKI, ODKAD SZWENDAŁEM SIE PO TYM BU  
POWIERZCHNIE: TAM, GDZIE STYKAŁY SIE SZEROKIE PASY INIANEIT  
S, KTO NAJPEWNIER NIGDY W NICH NIE USIADZIE, ZIMNA STA  
OMENTARZY, ZASTANAWIAŁ SIE, JAK NALEŻY OCENIAĆ SPOŚÓB UŻYCIA  
AJACY MI MARTWĄ WIEWIÓRKĘ. MOJE OSTATNIE WSPOMNIENI  
KI JEST KARMLENIE JEJ JOGURTEM ZA POMOCĄ ŁYŻKI. ODRUCHOWO  
M PEWIEN. W OSTATNIM WSPOMNIENIU ARGUSA, SŁYSZE, JAK JEG  
OWYCH IMIĘ I KTÓRE NAJAL ZE SOBĄ WYMIENTALIŚMY, OSTATNIE WS  
" ODRZEKŁEM... JAK DO PROSTYCH ODPUSZCIE?" SPYTAŁ. MOJE OSTATNIE  
E BĘDZĄ TORA, TEKNIŁ?, "SPYTAŁ BENJY. NIE WIEDZIAŁEM  
O ZDZIEWCZYNA NA DUALES, GDY WYBIERA SIE NA PRZEDŚMIERTN  
M POCZUCIE. ŻE POWSZEZYMUJE PRZY MNIE ŚMIECH, ALE TYM RAZ  
YM WSPOMINAC TO INACZĘJ NIZ IRONICZNIE. OSTATNIE WSPOMI  
NA SPODZIE WYSPY KUCHENNE I WRĘCZONA MAXOWI ZA - O CZYM NI  
ŁA JULIA. JAK ODEGRAĆ ZBYT WIELKĄ MIŁOŚĆ SZEPTAĆ NA UCH  
POZWALAJA JEJ SIE PRZEMIESZCZAĆ, GDY PORUSZA SIE ZIEMIA  
E: STRZASKANA DŁOŃ SAMA OBOK RĘKI, SIEGAJACEJ PO J

O T O

J E S T E M

J O N A T H A N

S A F E R A N

F O E R





Jonathan Safran Foer

# OTO JESTEM

przełożył Krzysztof Cieślik



Tytuł oryginału: *Here I Am*

Copyright © 2016 by Jonathan Safran Foer

All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVII

Copyright © for the Polish translation by Krzysztof Cieřlik, MMXVII

Wydanie I

Warszawa MMXVII

# Spis treści

## Dedykacja

### I. Przed wojną

Powrót do szczęścia

Oto mnie nie ma

Szczęście

Garść wielkości twojej, dom wielkości tego

Oto mnie nie ma

Kwintesencja

Z-a-2-r-a-z-e-m-n-i-e-p-r-z-e-j-d-z-i-e

Kwintesencja

Oto mnie nie ma

Heeej! Niech ktoś tu przyjdzie!

Słowo na „cz”

### II. Nauka nietrwałości

Antietam

Damaszek

Strona, która pozostaje w ukryciu

Jeszcze nie

Inne życie kogoś innego

Sztuczny stan zagrożenia

Inna śmierć kogoś innego

Pełna reinkarnacja

### III. Zastosowania żydowskiej pięści

Trzymanie długopisu, uderzanie, masturbacja

Słowo na „k”

Może to kwestia dystansu

Ostatecznie twój dom jest idealny

Izraelczycy nadchodzą!

[Serio serio](#)

[Waj iz mir22](#)

[Druga synagoga](#)

[Trzęsienie ziemi](#)

#### [IV. Piętnaście dni z pięciu tysięcy lat](#)

#### [V. Nie mieć wyboru to też jakiś wybór](#)

[Słowo na „i”](#)

[Bibka czy Biblia](#)

[Ile wiedzą dzieci?](#)

[Wersja oryginalna](#)

[Pewne rzeczy trudno dziś przychodzi](#)

[Nazwiska były wspaniałe](#)

[Wskrzeszenie](#)

[Tylko płacz](#)

[Spójrz! Płaczące hebrajskie dziecko](#)

[Jaskinia lwa](#)

[W zawiasach](#)

[Kto jest w wolnym pokoju?](#)

[De zelbe prajz](#)

#### [VI. Zagłada izraela](#)

[Wracajcie do domu](#)

[Dziś nie jestem mężczyzną](#)

[O Żydzi, nadszedł wasz czas!](#)

[WRACAJCIE DO DOMU](#)

[Dziś nie jestem mężczyzną](#)

[O Żydzi, nadszedł wasz czas!](#)

[Wracajcie do domu](#)

[Dziś nie jestem mężczyzną](#)

[O Żydzi, nadszedł wasz czas!](#)

[Wracajcie do domu](#)

[Dziś nie jestem mężczyzną](#)

[O Żydzi, nadszedł wasz czas!](#)

[Wróć do domu](#)

[VII. Biblia](#)

[VIII. Dom](#)

[Przypisy](#)

Dla Erica Chinskiego, który mnie przejrzał, i Nicole Aragi, która mnie dogłąda

# I Przed wojną



# Powrót do szczęścia

Gdy zagłada Izraela się rozpoczęła, Isaac Bloch rozważał, czy się zabić, czy przenieść do Żydowskiego Domu. Żył w mieszkaniu z książkami piętrzącymi się pod sufit i dywanami grubymi tak, że można było w nich ukryć kości do gry, potem w pokoju i połówce drugiego o brudnych podłogach, na poszyciu pod okiem obojętnych gwiazd, pod podłogą u chrześcijanina, na cześć którego pół świata i trzy czwarte wieku później zasadzone zostanie drzewko, by upamiętnić jego prawość, w dole przez tyle dni, że kolana już nigdy mu się nie rozprostują, pośród Cyganów, partyzantów i całkiem przyzwoitych Polaków, w obozach przejściowych, obozach dla uchodźców i obozach dla dipisów, na statku (gdzie pewien cierpiący na bezsenność agnostyk w cudowny sposób skonstruował butelkę ze statkiem w środku), po drugiej stronie oceanu, przez który nigdy do końca się nie przeprawi, nad kilkoma sklepami spożywczymi, przy których odnowieniu się umordował i gdzie handlował z niewielkim zyskiem, u boku kobiety, która sprawdzała zamki, dopóki ich nie popsukała i nie wypowiedziawszy dobrego słowa, zmarła ze starości w wieku czterdziestu dwóch lat, choć komórki jej zamordowanej matki nadal dzieliły się w jej mózgu, i w końcu, przez ostatnie ćwierć wieku, w ciszy kuli śnieżnej domu jednorodzinnego w Silver Spring, z czterema kilogramami blaknących na stoliku fotografii Romana Vishniaca, *Wrogami* rozmagnesowującymi się w ostatnim na świecie działającym magnetowidzie i sałatką jajeczną nabawiającą się ptasiej grypy w lodówce poobklejanej zdjęciami ślicznych, genialnych, nieskazitelnych prawnucząt.

Niemieccy ogrodnicy przycięli drzewo genealogiczne Isaaca aż do galicyjskiej gleby. Ale za sprawą szczęścia i intuicji i bez żadnej pomocy z góry Isaac przeszczepił korzenie na chodniki Waszyngtonu w Dystrykcie Kolumbii i dożył czasów, gdy konary odrosły. I jeśli Ameryka nie napadnie na Żydów (dopóki, poprawiłby go Irv, jego syn), drzewo będzie się rozgałęziać i wypuszczać pędy. Oczywiście Isaac do tego czasu znów znajdzie się w dole. Nigdy nie rozprostuje do końca kolan, ale w jego niewiadomym wieku, z czyhającymi nań niewiadomymi upokorzeniami, czas było rozewrzeć żydowskie pięści i przyznać, że to początek końca. Różnica między uznaniem faktu a jego akceptacją to depresja.

Pominąwszy nawet zagładę Izraela, moment był niefortunny: ledwie kilka tygodni zostało do bar micwy jego najstarszego wnuka, która wyznaczała dla Isaaca życiową linię mety od chwili, gdy przekroczył poprzednią taką linię, czyli od narodzin najmłodszego wnuka. Nie da się jednak zapanować nad tym, kiedy dusza starego Żyda zwolni jego ciało ani kiedy jego ciało zwolni upragnione mieszkanie z jedną sypialnią na rzecz następnego na liście oczekujących. Nie da się też przyspieszyć ani odroczyć wejścia w wiek męski. Z drugiej strony kupno kilkunastu bezzwrotnych biletów lotniczych, rezerwacja w Hiltonie i wpłata dwudziestu trzech tysięcy dolarów zaliczki za bar micwę planowaną od ostatnich zimowych igrzysk olimpijskich nie gwarantują przecież, że do niej dojdzie.

Grupka chłopaków wlokła się korytarzami Adas Israel, śmiejąc się, przepychając i buzując hormonami od rozwijających się mózgow po rozwijające się genitalia w grze dojrzwania o sumie zerowej.

– Ale poważnie – powiedział jeden z nich, a „ż” utknęło w jego ekspanderze ortodontycznym – jedno, co dobre w obciążaniu, to że przy okazji wałą ci na mokro.

– Święta racja.

– W innym razie po prostu posuwasz szklanę wody z zębami.

– Co nie ma sensu – powiedział rudowłosy chłopak, który wciąż odczuwał dreszcze na samą myśl o zakończeniu *Harry’ego Pottera i Insygniów Śmierci*.

– Czysty nihilizm.

Gdyby Bóg istniał i osądzał, wybaczyłby tym chłopcom wszystko, wiedząc, że kierują nimi siły od nich niezależne i że oni również zostali stworzeni na Jego obraz i podobieństwo.

Zapadła cisza, gdy zwolnili kroku, by popatrzeć, jak Margot Wasserman chłepcze wodę. Mówiło się, że jej rodzice parkują dwa samochody przed garażem na trzy, bo mają ich pięć. Mówiło się, że jej szpic miniaturowy wciąż ma jaja i że są duże i słodkie jak melony.

– Mój Boże, chcę być tym wodotryskiem – stwierdził chłopiec o hebrajskim nazwisku Peretz-Yizchak.

– A ja chcę być brakującą częścią tych majteczek z dziurką.

– Chcę napełnić kutasa ręką.

Milczenie.

– Co to, do cholery, znaczy?

– No wiecie – powiedział Marty Cohen-Rosenbaum (urodzony jako Chaim ben Kalman) – to jakby... zrobić z fiuta termometr.

– Karmiąc go sushi?

– Albo po prostu wprowadzając. Albo coś. Stary, wiesz, o co mi chodzi.

Cztery głowy pokręciły się, osiągając niezamierzoną synchronię, jak u widzów meczu ping-ponga.

Szeptem:

– *Wsadzić go w jej tyłek.*

Pozostali szczęśliwie mieli mamy z dwudziestego pierwszego wieku, które wiedziały, że temperaturę mierzy się elektronicznym termometrem w uchu. A Chaim miał to szczęście, że uwaga kumpli została odwrócona, zanim zdążyli nadać mu przezwisko, którego nigdy by się nie pozbył.

Sam siedział na ławce przed gabinetem rabina Singera, ze spuszczoną głową i spojrzeniem utkwionym w zwróconych wnętrzami do góry dłoniach, jak mnich czekający na spalenie. Chłopcy przystanęli, zwracając nienawiść do samych siebie przeciwko niemu.

– Słyszeliśmy, co napisałeś – powiedział jeden z nich, wbijając mu palec w pierś. – Przesadziłeś.

– Nieźle pojebane gówno, koleś.

Było to dziwne, ponieważ Sam nie zaczynał zwykle wytwarzać nadmiernej ilości potu, dopóki nie minęła groźba.

– Nie napisałem tego i nie jestem twoim – znak cudzysłowu w powietrzu – *kolesiem*.

Mógł to powiedzieć, lecz tego nie zrobił. Mógł też wyjaśnić, dlaczego nic nie było tak, jak się wydawało. Ale nie wyjaśnił. Po prostu to przyjął, jak zawsze po gównianej stronie ekranu.

Za drzwiami rabina, po drugiej stronie jego biurka siedzieli Jacob i Julia, rodzice Sama.

Nie chcieli tu być. Nikt nie chciał tu być. Rabin musiał jeszcze zmyślić jakąś mądrze brzmiącą opowiastkę o kimś, kto nazywał się Ralph Kremberg, zanim o drugiej złożą tego kogoś w ziemi. Jacob wolałby pracować nad biblią do *Wiecznie ginącego ludu*, przetrząsać dom w poszukiwaniu zagubionego telefonu albo przynajmniej buszować po internecie dla kilku zastrzyków dopaminy. A Julia miała dziś mieć wolne – to zaś było przeciwieństwo wolnego.

– Czy Sam nie powinien też tu być? – spytał Jacob.

– Myślę, że najlepiej będzie, jeśli porozmawiamy jak dorośli – odparł rabin Singer.

– Sam jest dorosły.

– Sam *nie jest* dorosły – powiedziała Julia.

– Bo nie zdołał jeszcze opanować trzech wersów błogosławieństw po błogosławieństwach po haftarze?

Julia, ignorując Jacoba, położyła rękę na biurku rabina i oświadczyła:

– Z pewnością nie można zaakceptować pyskowania nauczycielowi i chcemy znaleźć sposób, by to naprawić.

– Ale z drugiej strony – podjął Jacob – czy zawieszenie nie jest zbyt drakońską karą za coś, co w ogólnym rozrachunku trudno uznać za *wielkie* mecyje?

– Jacobie...

– Co?

Aby porozumieć się z mężem z pominięciem rabina, Julia przytknęła dwa palce do czoła i delikatnie pokręciła głową, wydymając nozdrza. Wyglądała bardziej jak trener trzeciej bazy niż żona, matka i członkini gminy próbująca uchronić zamek z piasku jej syna przed morską falą.

– Adas Israel to postępowy szul – powiedział rabin, sprawiając, że Jacob przewrócił oczami tak naturalnie, jak człowiekowi przychodzi odruch wymiotny. – Mamy długą i wspaniałą historię wykraczania poza obecnie obowiązujące normy kulturowe i odnajdywania boskiego światła, *Or Ejn Sof*, w każdym człowieku. Używanie rasistowskich wyzwisk w rzeczy samej nie jest tu drobnostką.

– Co takiego!? – spytała Julia, przybierając wcześniejszą pozę.

– To nie może być prawda – powiedział Jacob.

Rabin westchnął westchnieniem rabina i przesunął po biurku kartkę papieru w stronę Julii.

– Tak *powiedział*? – spytała Julia.

– Napisał.

– Co napisał? – zapytał Jacob.

Julia, kręcąc z niedowierzaniem głową, przeczytała po cichu listę:

– Plugawy Arab, żółtek, pizda, japoniec, pedał, kaktus, żydek, cz...

– Napisał „czarny”? – spytał Jacob. – Czy to drugie słowo na „cz”?

– To drugie – odparł rabin.

Choć pierwszeństwo w jego umyśle powinien mieć ciężki los syna, uwagę Jacoba przykuł fakt, że to jedyne słowo, którego nie dało się wypowiedzieć na głos.

– To musi być nieporozumienie – powiedziała Julia, podając w końcu kartkę Jacobowi. – Sam pielęgnuje zwierzątko...

– „Muszka z Cincinnati”? To nie jest rasistowska obelga. To stosunek płciowy. Tak sędzę.

Chyba.

- Nie wszystkie słowa to wyzwiska – powiedział rabin.
- Wie pan, jestem prawie pewien, że „plugawy Arab” to też rodzaj stosunku.
- Będę musiał uwierzyć panu na słowo.
- Zmierzam do tego, że może całą tę listę odczytujemy zupełnie błędnie.
- Co na ten temat powiedział Sam? – spytała Julia, ignorując męża.

Rabin skubał brodę w poszukiwaniu słów niczym makak szukający wszy.

- Zaprzeczył. Krzykiem. Ale przed lekcją nie było tam tych słów, a on jest jedyną osobą

w ławce.

- Nie zrobił tego – powiedział Jacob.
- To jego charakter pisma – odparła Julia.
- Wszystkie trzynastolatki piszą tak samo.
- Nie był w stanie wyjaśnić, jak się tam znalazły – stwierdził rabin.
- To nie jego zadanie – odparł Jacob. – A przy okazji: gdyby Sam faktycznie *napisał* te słowa, po co, u diabła, miałby zostawiać kartkę na biurku? Bezcelność dowodzi jego niewinności. Jak w *Nagim instynkcie*.

- Ale przecież w *Nagim instynkcie* ona to zrobiła.

– Tak?

– Szpikulec do lodu.

- Chyba masz rację. Ale to film. Najwyraźniej podrzucił ją jakiś prawdziwy młodociany rasista żywiący urazę do Sama.

– Dopilnujemy, by Sam zrozumiał, dlaczego to, co napisał, jest takie szkodliwe – Julia zwróciła się bezpośrednio do rabina.

– Julio – powiedział Jacob.

- Czy przeproszenie nauczyciela wystarczy, żeby przygotowania do bar micwy znów szły zgodnie z planem?

– To właśnie miałem zasugerować. Obawiam się jednak, że w gminie rozeszła się wieść na temat tego, co napisał. Zatem...

Jacob westchnął z frustracją – nauczył tej reakcji Sama albo nauczył się jej od niego.

- A tak w ogóle, to dla kogo szkodliwe? Jest kolosalna różnica między złamaniem komuś nosa a walką z cieniem.

Rabin przyjrzał się Jacobowi.

– Czy Sam miał jakieś problemy w domu?

– Był zavalony pracami domowymi... – zaczęła Julia.

– On tego nie zrobił.

– I przygotowywał się do bar micwy, a to, przynajmniej w teorii, dodatkowa godzina co wieczór. Plus wiolonczela i piłka. A jego młodszy brat Max przeżywa jakieś egzystencjalne dylematy, które dla wszystkich są wyzwaniem. A najmłodszy, Benjy...

– Wygląda na to, że ma mnóstwo spraw na głowie – powiedział rabin. – I świetnie to rozumiem. Wymagamy od naszych dzieci bardzo wiele. Więcej niż wymagano od nas. Ale obawiam się, że nie ma tu miejsca na rasizm.

– Oczywiście, że nie – zgodziła się Julia.

– Chwileczkę. Nazywa pan Sama *rasistą*?

– Tego nie powiedziałem, panie Bloch.

– Owszem, powiedział pan. Przed chwilą. Julio...

– Nie pamiętam słowo w słowo.

– Powiedziałem: „Nie ma tu miejsca na rasizm”.

– Rasizm jest tym, co prezentują rasiści.

– Panie Bloch, skłamał pan kiedykolwiek?

Jacob odruchowo raz jeszcze sprawdził kieszeń marynarki w poszukiwaniu telefonu.

– Przypuszczam – ciągnął rabin – że podobnie jak każdemu, kto kiedykolwiek żył, także i panu zdarzyło się skłamać. Ale nie czyni to z pana kłamcy.

– Nazywa mnie pan kłamcą? – spytał Jacob, zaciskając palce na niczym.

– Biję pan na oślep, panie Bloch.

– Tak, słowo na „cz” jest bez wątpienia wulgarne. Bardzo, bardzo, bardzo wulgarne. Ale to tylko jedno z wielu słów.

– Uważa pan, że szerszy kontekst mizoginii, homofobii i zbrodni poprawia sytuację?

– Ale on tego *nie zrobił*.

Rabin zmienił pozycję w fotelu.

– Jeśli wolno mi przez chwilę mówić otwarcie... – Przerwał, dłużyąc kciukiem w nosie, jakby chciał umniejszyć znaczenie swoich słów. – To z pewnością niełatwe dla Sama być wnukiem Irvinga Blocha.

Julia odchyliła się i pomyślała o zamkach z piasku i bramie chramu szintoistycznego, którą wyrzuciło na brzeg w Oregonie dwa lata po tsunami.

– Słucham?

– Jako wzór do naśladowania dla dziecka...

– To będzie niezłe.

– Na pewno pani wie, co mam na myśli – zwrócił się rabin do Julii.

– Wiem, co ma pan na myśli.

– *Nie wiemy*, co ma pan na myśli.

– Może gdyby Samowi nie wydawało się, że powiedzenie czegoś, nieważne jak...

– Czytał pan drugi tom biografii Lyndona Johnsona autorstwa Roberta Cara?

– Nie czytałem.

– Cóż, gdyby był pan jednym z tych obytych rabinów i przeczytał tę klasyczną w swoim gatunku pozycję, wiedziałby pan, że strony od czterysta trzydziestej drugiej do czterysta trzydziestej piątej poświęcone są temu, w jaki sposób Irving Bloch zrobił więcej niż ktokolwiek inny w Waszyngtonie i gdzie indziej, żeby zagwarantować uchwalenie Ustawy o prawach wyborczych. Dziecko nie mogłoby sobie znaleźć lepszego wzoru do naśladowania.

– Dziecko nie powinno szukać – powiedziała Julia, patrząc przed siebie.

– A zatem... czy mój ojciec napisał na blogu coś godnego pożałowania? Owszem, napisał. Było to godne pożałowania. Żałuje tego. Jest oceanem żalu. Ale żeby pan sugerował, że jego prawość wcale nie inspiruje jego wnuków...

– Z całym szacunkiem, panie Bloch...

– Wynośmy się stąd – zwrócił się Jacob do Julii.

– Wynieśmy stąd to, czego potrzeba Samowi.

– Sam nie potrzebuje stąd niczego. Zmuszanie go do bar micwy było błędem.

– Co? Wcale go nie zmuszaliśmy, Jacobie. Może go *zachęcaliśmy*, ale...

- Zachęciliśmy go do obrzezania. W przypadku bar micwy to właściwie przymus.
- Przez ostatnie dwa lata twój dziadek powtarzał, że jedyny powód, dla którego się trzyma, to bar micwa Sama.
- To tym bardziej powód, żeby jej nie robić.
- I chcieliśmy, żeby Sam wiedział, że jest Żydem.
- A czy istniało jakiegokolwiek prawdopodobieństwo, że nie będzie o tym wiedział?
- Żeby był Żydem.
- Żydem, jasne. Ale *wierzącym*?

Jacob nigdy nie wiedział, jak odpowiedzieć na pytanie „Czy jesteś wierzący?”. Nigdy nie było tak, żeby nie należał do jakiejś synagogi, nie wykonywał jakichś ukłonów w stronę koszerności, nie zakładał – nawet w chwilach najgłębszego rozczarowania Izraelem, ojcem, amerykańskim żydostwem bądź nieobecnością Boga – że wychowa dzieci bez choćby podstaw żydowskiej tradycji. Ale podwójne przeczenia nigdy nie podtrzymywały religijności. Albo, jak miał to ująć Max, brat Sama, w swojej przemowie z okazji własnej bar micwy trzy lata później: „Można zachować tylko to, czego się nie chce puścić”. I w takiej mierze, w jakiej pragnął ciągłości (historii, kultury, myśli i wartości), w takiej mierze, w jakiej pragnął wierzyć, że istnieje głębsze znaczenie dostępne nie tylko dla niego, lecz także dla jego dzieci i ich dzieci – światło przeciekało mu przez palce.

Kiedy Jacob i Julia zaczęli się spotykać, często rozmawiali o „religii dla dwojga”. Mogłoby się to wydawać krępujące, gdyby nie wydawało się uwznioślające. Ich szabaty: w każdy piątek Jacob czytał list, który w tygodniu napisał do Julii, a ona recytowała wiersz z pamięci; bez górnego światła, z odłączonym telefonem i zegarkami schowanymi pod oparciem sztruksowego fotela jedli powoli kolację, którą bez pośpiechu wspólnie przyrządzili, a potem przygotowywali kąpiel i kochali się, podczas gdy linia wody się podnosiła. Środowe spacery o wschodzie słońca: bezwiednie zrytualizowana trasa, przemierzana w tę i z powrotem tydzień w tydzień, dopóki chodnik nie zaczął sprawiać wrażenia ich własnej ścieżki – niedostrzegalnej, lecz obecnej. W każde święto Rosz Haszana zamiast iść na nabożeństwo, odprawiali obrzęd taszlichu: rzucając do Potomaku okruchy mające symbolizować zesłoroczne grzechy. Część tonęła, część prąd znosił ku innym brzegom, część grzechów porywały mewy, by nakarmić jeszcze ślepe młode. Każdego ranka przed wstaniem z łóżka Jacob całował Julię między nogami – nie erotycznie (rytuał wymagał, by pocałunek do niczego nie prowadził), lecz religijnie. Podróżując, zaczęli zbierać rzeczy, których wewnątrz miało w sobie coś większego niż ich strona zewnętrzna: ocean zamknięty w muszli, uszkodzona taśma do maszyny do pisania, świat w zwierciadle rtęciowym. Wszystko zdawało się zmierzać ku rytuałowi – Jacob odbierający w czwartki Julię po pracy, poranna kawa we wspólnej ciszy, Julia zastępująca zakładki do książek Jacoba liścikami – dopóki, jak w przypadku wszechświata, który rozszerzył się do swych granic i potem kurczy się do początków, wszystko nie zostało zniweczone.

Bywało, że piątkowe wieczory przychodziły za późno, a środowe poranki wstawały za wcześnie. Po trudnych rozmowach nie było już pocałunków między nogami, a jeśli ktoś nie czuje się wielkoduszny, to ile rzeczy tak naprawdę może uznać za większe wewnątrz niż na zewnątrz? (Urazy nie da się odstawić na półkę). Trzymali się tego, czego mogli, i próbowali nie przyznawać się do tego, jak świeckie stało się ich życie. Ale od czasu do czasu, zwykle w chwili podatności na krytykę, która – mimo powoływania się na wszystkie dobre anioły –



po prostu nie mogła nie przybrać formy wzajemnego obwiniania się, jedno z nich mówiło: „Tęsknię za naszym szabatami”.

Narodziny Sama były jak kolejna szansa, podobnie jak narodziny Maxa i Benjy’ego. Religia dla trojga, czworga, pięciorga. Rytualnie zaznaczali wzrost dzieci na futrynie drzwi w każdy Nowy Rok – świecki i żydowski – z samego rana, zanim siła grawitacji dokona kompresji. W sylwestra zawsze palili w kominku postanowienia noworoczne, co wtorek po obiedzie zabierali Argusa na rodzinny spacer, odczytywali na głos świadectwa szkolne w drodze do Vace na aranciaty i limonaty, kiedy indziej zakazane. Układanie do snu odbywało się w określonej kolejności, zgodnie z określonymi, zawiłymi zasadami, a w dniu urodzin każdego z domowników wszyscy spali w jednym łóżku. Często obchodzili szabat – zarówno w sensie dawania publicznego świadectwa wiary, jak i w sensie przestrzegania go – chałką z Whole Foods, sokiem winogronowym Kedem i świecami szabatowymi z wosku zagrożonych wyginięciem pszczół, płonącymi w srebrnych świecznikach zmarłych przodków. Po błogosławieństwach, a przed jedzeniem Jacob i Julia podchodzili do każdego z synów, obejmowali go za głowę i szeptali do ucha coś, z czego w tym tygodniu byli dumni. Niezwykła intymność palców we włosach, miłość, która nie była tajemnicą, lecz musiała zostać wyszeptana, przeszywały dreszczem włókna przyćmionych żarówek.

Po kolacji odprawiali rytuał, którego początków nikt nie mógł sobie przypomnieć i którego znaczenia nikt nie kwestionował: zamykali oczy i chodzili tak po domu. Można było gadać, wygłupiać się, śmiać, ale ich ślepotą zawsze skutkowało milczeniem. Z czasem coraz łatwiej znosili tę mroczną ciszę i byli w stanie wytrzymać dziesięć, a potem dwadzieścia minut. Spotykali się ponownie przy kuchennym stole i równocześnie otwierali oczy. Za każdym razem było w tym coś nowego. Dwa odkrycia: obcość domu, w którym dzieci mieszkały całe życie, i obcość wzroku.

Gdy jechali odwiedzić pradziadka Isaaca w któryś szabat, Jacob powiedział:

– Ktoś upija się na przyjęciu i w drodze do domu potrąca i zabija dzieciaka. Ktoś inny upija się dokładnie tak samo i dojeżdża bezpiecznie do domu. Dlaczego pierwszy z nich spędzi w więzieniu resztę życia, a drugi obudzi się nazajutrz rano, jak gdyby nigdy nic?

– Bo tamten zabił dziecko.

– Ale biorąc pod uwagę to, jaki popełnili błąd, są równie winni.

– Tyle że ten drugi nikogo nie zabił.

– Nie dlatego, że był niewinny, tylko dlatego, że miał szczęście.

– Mimo to pierwszy zabił dzieciaka.

– Ale kiedy mowa o winie, czy oprócz rezultatów nie powinniśmy aby myśleć o czynach i zamiarach?

– Co to była za impreza?

– Co?

– No i w ogóle co dzieciak robił tak późno na dworze?

– Myślę, że sedno...

– O jego bezpieczeństwo powinni zadbać rodzice. To ich powinno się posłać do więzienia.

Ale w takim razie chłopak nie miałby rodziców. Chyba że mieszkałby z nimi w więzieniu.

– Zapomniałaś, że zginął.

– Och, racja.

Kwestia intencji zafascynowała Sama i Maxa. Pewnego razu Max przybiegł do kuchni

z płaczem, trzymając się za brzuch. „Uderzyłem go – zawołał z salonu Sam – ale niechący!”.

Albo kiedy w akcie zemsty Max nastąpił na w połowie ukończony domek z lego w stylu alpejskim Sama i powiedział: „To nie było celowo, chciałem tylko stanąć na dywanie za domkiem”.

„Przez przypadek” brokuły trafiały pod stół do Argusa. Do sprawdzianów „celowo” się nie uczono. Gdy po raz pierwszy Max powiedział do Jacoba, żeby się zamknął (w odpowiedzi na wygłoszoną nie w porę sugestię, że mógłby chwilę odpocząć od jakiegoś klonu tetrisa, w którym był o krok od pobicia dziesięciu najlepszych wyników dnia, choć przede wszystkim nie powinien wcale grać), odłożył telefon ojca, podbiegł do niego, przytulił się i z oczyma błyszczącymi strachem powiedział: „Nie chciałem”.

Kiedy palce lewej ręki Sama zostały zmiażdżone w zawiasach grubych stalowych drzwi i mały bez końca krzyczał: „Dlaczego się to stało?! Dlaczego się to stało?!”, a Julia, trzymając go w ramionach, z krwią rozkwitającą na tiszercie – jak niegdyś rozkwitało mleko, gdy tylko usłyszała dziecięcy płacz – powiedziała po prostu: „Kocham cię i jestem tutaj”, Jacob zaś dodał: „Musimy jechać na oddział urazowy”, Sam, który bał się lekarzy bardziej niż jakiegokolwiek choroby, którą mogliby wyleczyć, błagalnie apelował: „Nie musimy! Nie musimy! To celowo! Zrobiłem to celowo!”.

Czas mijał, świat się trudził, a Jacob i Julia z wolna zapominali robić rzeczy celowo. Nie próbowali trzymać się wspomnień i – tak samo jak postanowienia noworoczne, wtorkowe spaceru, urodzinowe telefony do kuzynów z Izraela, trzy wyładowane po brzegi torby z żydowskimi delikatesami, które przynosili do pradziadka Isaaca w pierwszą niedzielę każdego miesiąca, opuszczanie szkoły z okazji meczu otwarcia Natsów, śpiewanie *Deszczowej piosenki* w trakcie przejazdu Hieną Edem przez myjnię samochodową, „dzienniki wdzięczności”, „przeglądy uszu”, coroczne zrywanie dyni, krojenie jej, prażenie ziaren i ciągnący się przez miesiąc rozkład – tak samo przeminęła sekretna дума.

Życie wewnętrzne stało się o wiele mniejsze niż to na zewnątrz, zostawiwszy po sobie ubytek, pustkę. To dlatego bar micwa wydawała się tak ważna: była to ostatnia nić wystrzępionego postronka. Przeciąć ją, czego tak bardzo pragnął Sam i co zasugerował teraz wbrew własnym pragnieniom Jacob, oznaczało posłać w tę pustkę nie tylko Sama, ale i rodzinę – aż nadto tlenu, by żyć, ale jakim życiem?

Julia zwróciła się do rabina:

– Jeśli Sam przeprosi...

– Za co? – spytał Jacob.

– Jeśli przeprosi...

– Kogo?

– Wszystkich – odparł rabin.

– Wszystkich? Wszystkich żywych i umarłych?

Jacob sklecił tę frazę – „wszystkich żywych i umarłych” – nie w świetle tego, co miało się wydarzyć, ale w nieprzeniknionej ciemności owej chwili: było to przed tym, jak ze Ściany Płaczu wykwitły zwitki modlitw, przed kryzysem japońskim, przed zaginięciem dziesięciu tysięcy dzieci i Marszem Miliona, przed tym, jak „Adia” stała się najczęściej wyszukiwanym słowem w historii internetu. Przed siejącymi spustoszenie następstwami, przed sojuszem dziesięciu armii i rozdzielaniem tabletek z jodem, przed tym, zanim Ameryka nie wysłała

myśliwców F-16, zanim Mesjasz okazał się zbyt roztargniony lub nieistniejący, by zbudzić żywych lub umarłych. Sam stawał się mężczyzną. Isaac zastanawiał się, czy się zabić, czy przeprowadzić z domu do Domu.

– Chcemy zostawić to za sobą – powiedziała Julia do rabina. – Chcemy to naprawić i urządzić bar micwę zgodnie z planem.

– Przepraszając wszystkich za wszystko?

– Chcemy powrotu do szczęścia.

Podczas gdy słowa rozpraszały się po pokoju, sadowiąc się na stertach religijnych ksiązek i poplamionej wykładzinie, Jacob i Julia w milczeniu zarejestrowali nadzieję, smutek i osobliwość tego, co powiedziała. Zgubili drogę i kompas, ale nie wiarę w to, że powrót jest możliwy – nawet jeśli żadne z nich nie wiedziało do końca, o jakim szczęściu Julia mówiła.

Rabin splótł ręce gestem rabina i powiedział:

– Jest takie chasydzkie powiedzenie: „Kiedy gonimy za szczęściem, uciekamy przed zadowoleniem”.

Jacob wstał, złożył kartkę, wsunął ją do portfela i odparł:

– Złapaliście nie tego, co trzeba.

# Oto mnie nie ma

Gdy Sam czekał na ławce przed gabinetem rabina Singera, Samanta podeszła do bimy. Sam zbudował ją ze starego cyfrowego wiązu ocalonego z dna cyfrowego jeziora słodkowodnego, które wykopał i w którym zatopił lasek rok temu, gdy – jak jeden z tych niewinnych psiaków na jednej z tych podłóg pod napięciem, które potwierdzają istnienie zła – poznał, co to bezsilność.

„Nie ma znaczenia, czy chcesz bar micwy, czy nie – powiedział jego ojciec. – Ale spróbuj spojrzeć na to jak na coś, co dodaje skrzydeł”.

A w ogóle dlaczego miał taką obsesję na punkcie okrucieństwa wobec zwierząt? Dlaczego tak nieprzeparcie ciągnęło go do filmików, które – zdawał sobie sprawę – umocnią go tylko w jego przekonaniach na temat ludzkiej rasy? Spędzał mnóstwo czasu na poszukiwaniu przemocy – okrucieństwa wobec zwierząt, ale także walk zwierząt (organizowanych przez ludzi lub toczących się w przyrodzie), zwierząt atakujących ludzi, torreadorów, którzy dostawali to, na co zasłużyli, i skejtów, którzy dostawali to, na co zasłużyli, sportowców, którym kolana wyginały się w drugą stronę, bójek meneli, helikopterów ścinających ludziom głowy, a ponadto wypadków przy pozbywaniu się śmieci, lobotomii za pomocą anten samochodowych, cywilnych ofiar wojny chemicznej, urazów podczas masturbacji, głów szycitów na płotach sunnitów, spartaczonych operacji, ofiar oparzeń parą wodną, filmików instruujących, jak wyciąć budzące wątpliwości części przejechanego zwierzęcia (jakby istniały części niebudzące wątpliwości), klipów instruujących, jak bezboleśnie popełnić samobójstwo (jakby z definicji nie było to niemożliwe), i tak dalej, i tak dalej. Obrazy były ostrymi przedmiotami, których używał przeciwko sobie – tak wiele było w nim tego, co musiał wydobyć z siebie, ale ten proces wymagał ran.

W milczeniu powrotnej drogi do domu zwiedzał kaplicę, którą zbudował wokół bimy: trójpalczaste kurze łapki nic nieważących dwutonowych ławek, węzły gordyjskie frędzli na skraju kilimu w nawie, modlitewniki, w których słowa ciągle zastępowane były synonimami: *Pan jest Jeden... Władca jest Sam, Absolut jest Opuszczony*. Zostawione na wystarczająco długi czas modlitewniki powróciłyby, choćby na chwilę, do źródeł. Ale nawet jeśli średnia długość życia z każdym rokiem nadal zwiększałaby się o rok, osiągnięcie życia wiecznego zajęłoby ludziom wieczność, więc zapewne nikt nigdy by tego nie zobaczył.

Nacisk ze strony uwięzionego wnętrza Sama często przybierał kształt niedzielonej z nikim, bezużytecznej błyskotliwości i podczas gdy jego tata, bracia i dziadkowie jedli na dole obiad, podczas gdy *oczywiście* rozmawiali o tym, o co go oskarżono i co z nim zrobić, podczas gdy on miał się uczyć na pamięć hebrajskich słów i żydowskiej melodii haftary, której znaczeniem nikt nigdy nie zawracał sobie głowy, tworzył płynnie zmieniające się witraże. Okno na prawo od Samanty przedstawiało maleńkiego Mojżesza niesionego z prądem Nilu, pomiędzy matkami. Była to pętla, ale zmontowana tak, by wywołać wrażenie podróży bez kresu.

Sam uważał, że byłoby świetnie, gdyby największe okno kaplicy obrazowało Żydowską Teraźniejszość, zamiast więc uczyć się idiotycznej i kompletnie nieprzydatnej modlitwy aszrej, napisał skrypt, który wyciągał słowa kluczowe z powiązanych ze sprawami

żydowskimi najświeższych wiadomości Google'a, przepuścił je przez skleconą naprędcę wyszukiwarke klipów (która odsiewała powtarzające się wyniki, tematy zastępcze i antysemityczną propagandę), wyniki zaś przepuścił przez zmontowany na szybko filtr wideo (skalujący obrazy tak, by jak najlepiej dopasować je do okrągłej ramy i dostosować kolory, by zachować ciągłość), a potem wyświetlał je na oknie. W jego głowie wyglądały lepiej niż w rzeczywistości, ale tak było ze wszystkim.

Wokół kaplicy zbudował samą synagogę, labirynt korytarzy rozwidlających się dosłownie w nieskończoność, wodotryski z aranciatą i pisuary z kości łowców kości słoniowej, zapasy naprawde czulego, niemizoginistycznego facesittingu w szafie w sali klubu dla mężczyzn, ironiczne miejsce dla niepełnosprawnych na parkingu dla spacerówek, Ścianę Pamięci z maleńkimi, nigdy niedziałającymi żaróweczkami obok nazwisk tych, którym życzył szybkiej i bezbolesnej śmierci, ale jednak śmierci (byłych najlepszych kumpli, ludzi, którzy celowo sprawiali, że waciki przeciwtrądzikowe szczypały itd.), rozmaite jaskinie przyjemności, gdzie naprawde zabawne dziewczęta o miękkich sercach, ubierające się jak w reklamach American Apparel i tworzące fanowskie opowiadania z Percym Jacksonem w roli głównej, pozwalały ofermom przyssać się do swoich doskonałych cyców, tablice przekazujące sześćsetwoltowe impulsy elektryczne, kiedy przejeżdżały po nich paznokciami przemądrzałe łapserdaki, które – co najzupełniej oczywiste dla wszystkich poza Samem – za piętnaście lat będą brzuchatymi szmondakami z nużącą robotą i utuczoną żonką, małe tabliczki z każdej strony informujące wszystkich, że to dzięki wspaniałomyślności Samanty, jej fundamentalnej dobroci, jej umiłowaniu miłosierdzia, sprawiedliwości i działania w dobrej wierze, jej przyzwoitości, jej wrodzonej wartości, jej nietoksycznej niezjeblliwości istniała drabina prowadząca na dach, istniał sam dach, istniał wiecznie buforujący Bóg.

Synagoga znajdowała się z początku na skraju społeczności, która rozwinęła się wokół podzielanego przez jej członków zamiłowania do filmików, na których pełne skruchy psy wyrażają wstyd. Mógł oglądać takie klipy przez cały dzień – i zdarzyło mu się to nieraz – nie zagłębiając się za bardzo w to, co go w nich tak pociągało. Oczywiste wyjaśnienie byłoby takie, że utożsamiał się z psami, i niewątpliwie było w tym trochę prawdy. („Zrobiłeś to Sam? Napisałeś te słowa? Byłeś wulgarny?"). Ale przyciągali go też właściciele. Każdy klip zrobił ktoś, kto bardziej kochał swojego psa niż siebie, „zawstydzanie” było zawsze w zabawny sposób przedramatyzowane i radosne i nieodmiennie kończyło się pojednaniem. (Próbował kręcić takie klipy sam, ale Argus był za stary i zbyt zmęczony, żeby zrobić cokolwiek innego, niż się zesrać, a w tym wypadku żadne zawstydzanie nie mogło być radosne). Miało to więc coś wspólnego z grzesznikiem i sędzią, ze strachem przed nieuzyskaniem przebaczenia i z ulgą, że znów ktoś nas kocha. Może w następnym życiu uczucia nie będą go pochłaniały bez reszty i zostanie w nim jakaś częśćka na rozumienie.

Ściśle rzecz ujmując, w pierwotnej lokalizacji nie kryło się nic złego, ale życie było od tego, co ujdzie, a *Inne Życie* od umieszczania rzeczy w miejscach, za którymi tęskniły. Sam potajemnie wierzył, że wszystko jest zdolne do tęsknoty, a nawet więcej: wszystko zawsze tęskni. Tak więc po zawstydzającym opieprzu, który później tego dnia dostał od matki, zapłacił cyfrowym spedytorom trochę cyfrowej gotówki, żeby rozebrali synagogę na największe części, jakie zmieszczą się w największych ciężarówkach, i z powrotem złożyli je według zrzutów ekranu.

– Będziemy musieli porozmawiać, kiedy tata wróci do domu ze spotkania, ale chcę coś powiedzieć. To jest konieczne.

– Dobrze.

– Przestań powtarzać „dobrze”.

– Przepraszam.

– Przestań powtarzać „przepraszam”.

– Myślałem, że chodzi o to, że oczekuje się ode mnie przeprosin.

– Za to, co zrobiłeś.

– Ale ja nie...

– Bardzo mnie zawiodłeś.

– Wiem.

– I to tyle? Nie masz nic więcej do powiedzenia? Na przykład w stylu: „Przepraszam, że to zrobiłem”?

– Nie zrobiłem tego.

– Posprzątaj ten burdel. To obrzydliwe.

– To mój pokój.

– Ale nasz dom.

– Nie mogę przestawić tej planszy. Jesteśmy dopiero w połowie rozgrywki. Tata powiedział, że skończymy, jak będzie po moich kłopotach.

– Wiesz, dlaczego zawsze z nim wygrywasz?

– Bo mi pozwala.

– Nie robi tego od lat.

– Odpuszcza.

– Nie odpuszcza. Pokonujesz go, bo on podnieca się tym, że zbija pionki, a ty myślisz cztery ruchy naprzód. Dzięki temu jesteś dobry w szachy i dobry w życie.

– Nie jestem dobry w życie.

– Jesteś, gdy tylko trochę pomyślisz.

– A tata jest kiepski w życie?

Poszło prawie doskonale, ale spedytorzy są prawie doskonali w nieco mniejszym stopniu niż reszta ludzkości, zdarzyło się więc kilka niefortunnych wypadków, niemal niedostrzegalnych (kto prócz Sama wiedziałby, że gwiazda Dawida wgniotła się i zawieszono ją do góry nogami?), zwłaszcza że z początku niemal żaden z nich nie został dostrzeżony. Prawie doskonale, a więc gówniane.

Ojciec dał Samowi tekst o chłopcu, który obchodził bar micwę w obozie koncentracyjnym, wykopawszy wyimaginowaną synagogę i wypełniwszy ją wyprostowanymi gałązkami, które posłużyły za milczącą kongregację. Naturalnie ojciec nigdy by nie przypuszczał, że Sam faktycznie przeczyta tekst, i nigdy na ten temat nie rozmawiali, a czy można traktować coś jako przypominanie, gdy bez przerwy się o tym myśli?

Wszystko to było na tę okazję – cały gmach zorganizowanej religii wyobrażony, zbudowany i doglądany po prostu z powodu krótkiego rytuału. Mimo nieogarnionego ogromu *Innego Życia* nie było tam synagogi. I mimo przemożnej niechęci Sama, by postawić nogę w prawdziwej synagodze, synagoga musiała się tam znaleźć. Nie tęsknił za nią, lecz jej potrzebował: nie można zniszczyć czegoś, co nie istnieje.



# Szczęście

Wszystkie szczęśliwe poranki są podobne, zresztą tak samo jak te nieszczęśliwe, a to, co sprawia, że są nieszczęśliwe, tkwi na samym dnie – wrażenie, że nieszczęście już się zdarzyło, że próby uniknięcia go w najlepszym razie je wzmocnią, a pewnie i pogorszą, że wszechświat z jakiegokolwiek niepojętego, niepotrzebnego i niesprawiedliwego powodu spiskuje przeciwko niewinnemu porządkowi ubrań, śniadania, zębów i skandalicznie sterczących włosów, plecaków, butów, kurtek, pożegnań. Jacob nalegał, żeby na spotkanie z rabinem Singerem Julia pojechała swoim samochodem, by po wyjściu stamtąd mogła się jeszcze nacieszyć wolnym dniem. Drogę ze szkoły na parking pokonali w poważnym milczeniu. Sam nigdy nie słyszał o prawach Mirandy, ale intuicyjnie je wyczuwał. Nie żeby miało to znaczenie – jego rodzice nie chcieli rozmawiać przy nim, zanim nie porozmawiali bez niego. Zostawili go więc przy wejściu w towarzystwie wąsatych dorosłych dzieciaków grających w Yu-Gi-Oh! i sami poszli do samochodów.

– Mam coś kupić? – spytał Jacob.

– Kiedy?

– Teraz.

– Musisz wracać na brunch z rodzicami.

– Próbuję tylko zdjąć trochę ciężaru z twoich barków.

– Chleb tostowy może się przydać.

– Jakiś konkretny?

– Ten co zwykle.

– Co?

– Co: co?

– Wyglądasz na zmartwioną.

– A ty nie jesteś?

Znalazła telefon?

– Nie rozmawiamy o tym, co się tam właśnie stało?

Nie znalazła telefonu.

– Oczywiście, że rozmawiamy – odparł. – Ale nie na parkingu. Nie, kiedy Sam czeka na nas na schodach, a moi rodzice czekają w domu.

– To kiedy?

– Wieczorem?

– To pytanie czy stwierdzenie?

– *Stwierdzenie.*

– Obiecujesz?

– Julio...

– I nie pozwól mu się dąsać w pokoju z iPadem. Powinien wiedzieć, że się martwimy.

– Wie.

– Tak, ale chcę, żeby wiedział o tym, nawet gdy mnie nie będzie.

– Będzie wiedział.

– Obiecujesz? – spytała, pozwalając tym razem, by intonacja pytania była opadająca,

a nie wznosząca.

– Daję słowo i mam nadzieję w beznadziei, że w przeciwnym razie oddam życie.

Mogła powiedzieć coś więcej, podać najświeższe przykłady albo wyjaśnić, dlaczego to nie karą się przejmowała, ale umocnieniem pozycji ich obojga w fatalnie obsadzonych i prawie całkiem zwapniałych rolach rodziców, ale zamiast tego postanowiła delikatnie i długo ścisnąć go za rękę.

– Do zobaczenia po południu.

W przeszłości dotyk zawsze ich ratował. Niezależnie od wściekłości i bólu, bez względu na bezmiar samotności, dotyk – nawet delikatny i przelotny – przypominał im o trwającym od dawna poczuciu więzi. Dłoń na szyi – i wszystko wracało falą. Głowa na ramieniu – przypływ substancji chemicznych, wspomnienie miłości. Czasami prawie niemożliwe było dosięgnięcie się nawzajem, pokonanie dystansu dzielącego ich ciała. Czasem to *było* niemożliwe. Każde z nich dobrze знаło to uczucie w ciszy przyciemnionej sypialni, gdy spoglądali na ten sam sufit: gdybyśmy mogli otworzyć dłonie, moglibyśmy otworzyć też serca. Ale nie możemy. Chcę sięgnąć i chcę, by mnie dosięgnięto. Ale nie mogę.

– Przepraszam za rano – powiedział. – Chciałem, żebyś miała cały dzień dla siebie.

– To nie ty napisałeś tamte słowa.

– Sam też nie.

– Jacob.

– Co?

– Nie może być tak, i nie będzie, że jedno z nas mu wierzy, a drugie nie.

– To mu uwierz.

– Na pewno to zrobił.

– Uwierz mu tak czy siak. Jesteśmy jego rodzicami.

– Otóż to. I musimy go nauczyć, że czyny mają swoje konsekwencje.

– Ważniejsze jest, żeby mu wierzyć.

Rozmowa przybrała dla Jacoba tak szybki obrót, że nie był w stanie nadażyć za swymi myślami. Dlaczego postanowił toczyć tę walkę?

– Nie – odparła Julia – ważniejsze jest, żeby go kochać. A skutek kary będzie taki, że Sam zda sobie sprawę, że jej ostatecznym rezultatem jest nasza miłość, która od czasu do czasu wymaga zadania bólu.

Jacob otworzył drzwi samochodu Julii i rzucił:

– Ciąg dalszy nastąpi.

– Tak, ciąg dalszy nastąpi. Ale już teraz musisz mi powiedzieć, że się ze sobą zgadzamy.

– Że mu nie wierzę?

– Że niezależnie od tego, w co wierzysz, pomożesz mi wyjaśnić mu, że jesteśmy rozczarowani i musi przeprosić.

Nienawidził tego. Nienawidził Julii za to, że zmusza go, by zdradził Sama, i nienawidził siebie za to, że się nie stawia. Gdyby została w nim jeszcze jakaś nienawiść, nienawidziłby Sama.

– Okej – zgodził się.

– Tak?

– Tak.

– Dziękuję – powiedziała, wsiadając do samochodu. – Ciąg dalszy nastąpi wieczorem.

– Okej – odparł, zamykając drzwi. – I nie spiesz się dziś z powrotem.

– A co, jeśli brak pośpiechu nie jest dziś wskazany?

– Mam dziś to spotkanie w HBO.

– Jakie spotkanie?

– Ale dopiero o siódmej. Wspominałem o tym. Tak czy siak, pewnie do tego czasu zdążysz wrócić.

– Nie wiadomo.

– Irytujące, że to w weekend, ale to tylko godzina albo dwie.

– Nie ma sprawy.

Ścisnął ją za rękę.

– Wykorzystaj to, co zostało.

– Z czego?

– Z dnia.

Wracali do domu w milczeniu, nie licząc rozgłośni NPR, której wszechobecność przybrała postać ciszy. Jacob zerknął na Sama w lusterku wstecznym.

– Wpadłem i podjadłem puszkę pani tuńczyka, panienko Daisy.

– Masz udar czy co?

– Cytat z filmu<sup>1</sup>. Może to był łośoś.

Wiedział, że nie powinien pozwolić korzystać Samowi z iPada na tylnym siedzeniu, ale biedny dzieciak dość dziś już przeszedł. Trochę ukojenia wydawało się na miejscu. I odraczało rozmowę, na którą Jacob nie miał ochoty ani w tej chwili, ani w ogóle.

Zamierzał przygotować wymyślny brunch, ale gdy piętnaście po dziewiątej zadzwonił rabin Singer, Jacob poprosił rodziców, Irva i Deborah, by przyszli wcześniej popilnować Maxa i Benjy'ego. Nie będzie więc francuskich tostów z ricottą. Nie będzie też sałatki z soczewicą i surową brukselką. Będą kalorie.

– Dwie kromki żytniego chleba, przekrojone na ukos, z masłem czosnkowym – powiedział Jacob, podając talerz Benjy'emu.

Jedzenie przechwycił Max.

– Tak właściwie to dla mnie – oznajmił.

– Racja – odparł Jacob, podając Benjy'emu miseczkę – bo dla ciebie są orzechowe cheeriosy z kapką mleka ryżowego.

Max przyjrzał się miseczce Benjy'ego i powiedział:

– To zwykłe cheeriosy z miodem.

– Tak.

– To dlaczego go okłamałeś?

– Dzięki, Max.

– I powiedziałem *opiekane*, nie *całopalone*.

– *Ciałopalone*? – spytał Benjy.

– Zniszczone przez ogień – wyjaśniła Deborah.

– Co z Camusem? – spytał Irv.

– Zostaw go w spokoju – odparł Jacob.

– Hej, Maksiu – powiedział Irv, przyciągając do siebie wnuczka – ktoś wspomniał mi kiedyś o najbardziej niewiarygodnym zoo...

– Gdzie Sam? – spytała Deborah.

– Brzydko jest kłamać – powiedział Benjy.

Max się roześmiał.

– Dobre – powiedział Irv. – Prawda?

– Wpadł dziś rano w tarapaty w szkole hebrajskiej i siedzi u siebie w pokoju. Ma szlaban.

Max zajął Benjy’emu do miseczki i powiedział:

– Wiesz, że to nawet nie miód. To agawa.

– Chcę do mamy.

– Dajemy jej dziś wolne.

– Wolne *od nas*? – zdziwił się Benjy.

– Nie, nie. Ona nigdy nie potrzebuje wolnego od was, chłopaki.

– Wolne *od ciebie*? – spytał Max.

– Jeden mój kolega, Joey, ma dwóch ojców. Ale dzieci wychodzą z wagin. Dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego mnie okłamałeś?

– Nikt nikogo nie okłamał.

– Chcę mrożone burrito.

– Zamrażarka jest popsuta – powiedział Jacob.

– Na śniadanie? – spytała Deborah.

– Brunch – poprawił Max.

– *Sí se puede*<sup>2</sup> – rzucił Irv.

– Mogę polecieć po burrito – zaproponowała Deborah.

– Mrożone.

W ciągu ostatnich miesięcy nawyki żywieniowe Benjy’ego zaczęły ciążyć ku temu, co można by nazwać potencjalnym jedzeniem: mrożonym warzywom (to znaczy: nadal zamrożonym, gdy się je spożywa), nieugotowanej owsiance, nieugotowanemu makaronowi ramen, surowej komosie ryżowej, suchemu makaronowi z posypką serową bez dodatku wody. Pomijając korekty na liście zakupów, Jacob i Julia nigdy na ten temat nie rozmawiali – wydawał się zbyt delikatny, żeby go poruszać.

– No więc co takiego zrobił Sammy? – spytał Irv z ustami pełnymi glutenu.

– Później ci powiem.

– Mrożone burrito, proszę.

– Może nie być żadnego później.

– Podobno napisał w klasie kilka nieodpowiednich słów na kartce papieru.

– Podobno?

– Mówi, że nie napisał.

– Cóż... a napisał?

– Nie wiem. Julia sądzi, że tak.

– Niezależnie od faktów i od tego, co sądzicie, musicie zmierzyć się z tym wspólnie, moi drodzy – powiedziała Deborah.

– Wiem.

– Przypomnij mi, co to takiego nieodpowiednie słowo? – rzucił Irv.

– Możesz sobie wyobrazić.

– W rzeczy samej nie mogę. Mogę sobie wyobrazić nieodpowiednie *konteksty*...

– Te słowa zdecydowanie nie pasują do kontekstu szkoły hebrajskiej.

- Jakie słowa?
- Czy to takie ważne?
- Oczywiście, że to ważne.
- To bez znaczenia – stwierdziła Deborah.
- Poprzestańmy na tym, że znalazło się wśród nich słowo na „cz”.
- Chcę mrożone... Co to jest słowo na „cz”?
- Zadowolony? – mruknął Jacob do ojca.
- Użył go w formie czynnej czy biernej?
- Później ci powiem – zwrócił się do młodszego brata Max.
- Nie można użyć tego słowa w formie biernej – powiedział Jacob do Irva. – I nie: nie powiesz – powiedział do Maxa.

- Może nie być żadnego później – skwitował Benjy.
- Czy naprawdę wychowałem syna, który o jakimś słowie mówi „to słowo”?
- Nie – odparł Jacob – nie wychowałeś syna.

Benjy podszedł do babci, która nigdy nie odmawiała.

- Jeśli mnie kochasz, kupisz mi mrożone burrito i powiesz, co to za słowo na „cz”.
- A jaki był kontekst? – spytał Irv.
- Nieważne – powiedział Jacob. – Skończyliśmy tę rozmowę.
- Ależ to bardzo ważne. Bez kontekstu wszyscy bylibyśmy potworami.
- Słowo na „cz” – powiedział Benjy.

Jacob odłożył nóż i widelec.

- W porządku. Skoro spytałeś, kontekst jest taki, że Sam widzi, jak co rano robisz z siebie głupka w wiadomościach i jak robią z ciebie głupka w wieczornych talk-showach.
- Pozwalasz dzieciakom oglądać za dużo telewizji.
- Prawie w ogóle nie oglądają.
- Możemy pooglądać telewizję? – spytał Max.

Jacob zignorował go i znów zwrócił się do Irva:

- Jest zawieszony, dopóki nie zgodzi się przeprosić. Nie będzie przeprosin, nie będzie bar micwy.
- Kogo przeprosić?
- Kodowaną kablówkę? – spytał Max.
- Wszystkich.

– Czemu nie iść na całość i nie wydalić go do Ugandy na seryjkę elektrowstrząsów mosznowych?

Jacob podał Maxowi talerz i szepnął mu coś na ucho. Max skinął głową i odszedł od stołu.

- Zrobił coś złego – powiedział Jacob.
- Korzystając z wolności słowa?
- Z wolności mowy nienawiści.
- A w ogóle pogadaliście już sobie z nauczycielem?

– Nie, nie. W żadnym razie. Odbyliśmy rozmowę z rabinem, a teraz całkowicie nastawiamy się na to, by uratować bar micwę.

- Odbyliście *rozmowę*? Myślisz, że rozmowy wyciągnęły nas z Egiptu i Entebbe? Też coś. Plagi i uzi. Rozmowa zapewnia dobre miejsce w kolejce do prysznic, który nie jest prysznicem.

– Jezu, tato! Zawsze?

– Oczywiście, że zawsze. „Zawsze”, czyli „nigdy więcej”.

– No dobrze, a co powiesz na to, żeby zostawić to mnie?

– Bo robisz taką świetną robotę?

– Bo jest ojcem Sama – powiedziała Deborah. – A ty nie.

– Bo jedna rzecz to zbierać gówna po psie – powiedział Jacob – a inna po tacie.

– Gówna – powtórzył Benjy.

– Mamo, możesz poczytać Benjy’emu na górze?

– Chcę być z dorosłymi – zaprotestował Benjy.

– Jestem tutaj jedyną dorosłą – skwitowała Deborah.

– Chcę się upewnić, że dobrze rozumiem, zanim wyjdę z siebie – powiedział Irv. – Sugerujesz, że mój błędnie odczytany wpis na blogu można powiązać z kłopotami Sama z pierwszą poprawką?

– Nikt nie odczytał twojego wpisu błędnie.

– Został zrozumiany zdecydowanie opacznie.

– Napisałeś, że Arabowie nienawidzą swoich dzieci.

– Błąd. Napisałem, że nienawiść Arabów do Żydów prześcignęła ich miłość do własnych dzieci.

– I że są zwierzętami.

– Tak. To także napisałem. Są zwierzętami. Ludzie to zwierzęta. To kwestia definicji.

– Żydzi to zwierzęta?

– To nie takie proste, nie.

– Co to jest słowo na „cz”? – szepnął Benjy do Deborah.

– Czekolada – odszepnęła.

– Wcale że nie.

Deborah wzięła Benjy’ego na ręce i wyniosła go z pokoju.

– Słowo na „cz” – powiedział – to „czego?”, prawda?

– Tak.

– Wcale nie.

– Jeden doktor Phil<sup>3</sup> to o jednego doktora Phila za dużo – powiedział Irv. – Sammy’emu potrzeba teraz specja. Jest jasne jak słońce, że to sprawa wolności słowa, a jak wiesz albo powinieneś wiedzieć, nie tylko zasiadam w krajowym zarządzie ACLU<sup>4</sup>, ale jego członkowie opowiadają moją historię w każde święto Pesach. Gdybyś był na *moim* miejscu...

– Zabiłbym się, żeby oszczędzić rodzinę.

– ...skoczyłbyś do wód Adas Israel, żeby złowić na przynętę jakiegoś szalenie bystrego, autystycznie monomaniakalnego prawnika, który poświęcił doczesne nagrody w imię rozkoszy obrony swobód obywatelskich. Posłuchaj, tak jak każdy doceniam przyjemność płynącą z psioczenia na niesprawiedliwości, ale jesteś do tego zdolny, Jacobie, a to twój syn. Nikt nie będzie cię potępiał, jeśli nie pomożesz sobie, ale nikt ci nie wybaczy, jeśli nie pomożesz synowi.

– Idealizujesz rasizm, mizoginię i homofobię.

– Czytałeś w ogóle Caro...

– Widziałem film.

– Chcę pomóc mojemu wnukowi wywinąć się z tarapatów. To taki problem?



– Jeśli nie powinien się wywinać, to tak.

Benjy przybiegł do pokoju.

– Chodzi o „dziwaka”?

– Jakiego dziwaka?

– Słowo na „cz”.

– Dziwak zaczyna się na „dz”.

Benjy wybiegł z powrotem.

– Matka mówiła, że ty i Julia musicie wspólnie się z tym zmierzyć. To błąd. Musicie bronić Sama. Niech o to, co naprawdę się stało, martwią się inni.

– Wierzę mu.

I wtedy, jakby po raz pierwszy zauważył jej nieobecność, Irv spytał:

– A tak w ogóle, gdzie jest Julia?

– Ma dziś wolne.

– Wolne od czego?

– *Wolne*.

– Dziękuję, Anno Sullivan<sup>5</sup>, ale doprawdy słyszałem. Wolne od czego?

– Od niewolnego. Nie możesz tego tak po prostu zostawić?

– Jasne – powiedział Irv, kiwając głową. – To jakaś możliwość. Ale pozwól, że wypowiem kilka złotych myśli, których nie zna nawet Maryja Panna.

– Zamieniam się w słuch...

– Nic nie znika. Nie tak po prostu. Zajmiesz się tym albo to zajmie się tobą.

– To też będzie...

– Salomon nie był doskonały. W całej historii ludzkości nic tak po prostu nie zniknęło.

– Pierdy znikają – powiedział Jacob, jakby chciał uhonorować nieobecność Sama.

– W twoim domu śmierdzi, Jacobie. Nie czujesz tego, bo to twój smród.

Jacob mógł zwrócić uwagę, że gdzieś w promieniu trzech pokoi musi leżeć kupa Argusa.

Zdał sobie z tego sprawę, gdy tylko otworzył drzwi do domu.

Do pokoju wrócił Benjy.

– Pamiętam moje pytanie – powiedział, nie dając jednak po sobie poznać, że cokolwiek próbował zapamiętać.

– Tak?

– Dźwięk czasu. Co się z nim stało?

# Garść wielkości twojej, dom wielkości tego

Julia lubiła, gdy oko prowadzone jest tam, gdzie nie może się udać ciało. Lubiła nieregularny układ cegieł, kiedy nie da się stwierdzić, czy rzemiosło jest niedbałe, czy mistrzowskie. Lubiła uczucie odgradzenia sugerujące rozległość. Lubiła, gdy okno nie było w centrum widoku, ale lubiła też przypomnienie, że widoki – z natury natury – mają swoje centrum. Lubiła gałki u drzwi, które chce się potrzymać. Lubiła stopnie prowadzące w górę i w dół. Lubiła cienie nakładające się na inne cienie. Lubiła ławki pod ścianami w kątku śniadaniowym. Lubiła lekkie drewna (buk, klon), nie lubiła „męskich” (orzech, mahoń) i nie znosiła stali nierdzewnej (dopóki nie była całkiem porysowana), a imitacje naturalnych materiałów były niedopuszczalne, chyba że ich sztuczność podano do wiadomości – w takim wypadku mogły być całkiem śliczne. Lubiła faktury rozpoznawalne palcami i stopami, nawet jeśli nie wzrokiem. Lubiła kominki na środku kuchni na środku głównej przestrzeni mieszkalnej. Lubiła, gdy regałów było więcej, niż to konieczne. Lubiła świetliki nad prysznicami, ale nigdzie indziej. Lubiła zamierzone niedoskonałości, ale nie mogła znieść nonszalancji, zarazem jednak lubiła przypominać, że nie może istnieć coś takiego jak niezamierzona niedoskonałość. Ludzie zawsze myślą coś, co wygląda dobrze, z czymś, co przynosi dobre samopoczucie.

*blągasz, żebym wypieprzył twoją ciasną piczkę, ale jeszcze na to nie zasłużyłaś*

Nie lubiła jednorodnych faktur – nie są takie, jakie rzeczy są. Nie lubiła dywanów na środku pokoi. Dobra architektura powinna sprawiać, że człowiek czuje się tak, jakby znalazł się w jaskini z widokiem na horyzont. Nie lubiła wysokich sufitów. Nie lubiła zbyt wiele szkła. Rolą okna jest wpuszczać światło, nie obramowywać widok. Sufit powinien być ledwie poza zasięgiem wyciągniętych palców podniesionej ręki najwyższego z lokatorów stojącego na palcach. Nie lubiła starannie umiejscowionych ozdóbek – miejsce rzeczy jest tam, gdzie nie jest. Pomieszczenie wysokości jedenastu stóp jest za wysokie. Sprawia, że czujesz się zagubiona, opuszczona. Pomieszczenie wysokości dziesięciu stóp jest za wysokie. Wszystko wydaje się poza zasięgiem. Dziewięć stóp – za wysoko. Coś, co daje komfort – jest bezpieczne, wygodne, zaprojektowane z myślą o mieszkaniu – zawsze można wykonać tak, by dobrze wyglądało. Nie lubiła wbudowywanego oświetlenia ani lamp kontrolowanych za pomocą zegarów – a więc kinkiety, żyrandole i wysiłek. Nie lubiła ukrytych funkcji – lodówek w zabudowie, przyborów toaletowych za lusterkami, telewizorów, które znikają w szafkach.

*jeszcze tego wystarczająco nie potrzebujesz  
chęć, żeby łało się z ciebie w twój odbyt*

Każdy architekt fantazjuje o zbudowaniu własnego domu, podobnie jak każda kobieta. Odkąd Julia sięgała pamięcią, gdy tylko mijała niewielki parking albo niezagospodarowany

spłacheć ziemi, w skrytości ducha czuła dreszczyk emocji – *możliwość*. Czego? Budowy czegoś pięknego? Sensownego? Nowego? A może po prostu możliwość domu, w którym można poczuć się jak w domu? Dzieliła się radościami, nie były do końca jej, ale emocjonujące przeżycia zostawiała dla siebie. Nigdy nie chciała zostać architektem, choć od zawsze pragnęła stworzyć własny dom. Pozbywała się lalek, żeby zwolnić miejsce w pudełkach po nich. Spędziła lato, urządzając przestrzeń pod łóżkiem. Ubrania pokrywały każdą wolną powierzchnię jej pokoju, ponieważ szaf ściennych nie należy marnować na to, do czego zostały przeznaczone. Dopiero gdy zaczęła projektować domy dla siebie (wszystkie na papierze; każdy z nich był źródłem dumy i wstydu), zaczęła rozumieć, co tak naprawdę znaczy ona sama. „To takie wspaniałe” – powiedział Jacob, kiedy pokazała mu plan piętra. Julia nigdy nie dzieliła się z nim swoją pracą, dopóki wyraźnie o to nie poprosił. Nie chodziło o tajemnicę, ale to przeżycie zawsze sprawiało, że czuła się poniżona. Nigdy nie był wystarczająco zachwycony albo nie zachwycał się jak należy. A gdy jego entuzjazm się pojawiał, sprawiał wrażenie prezentu wręczanego ze zbyt afektowanym ukłonem. (Słowo „takie” wszystko psuło). Odkładał więc entuzjazm na przyszłość, gdy ona następnym razem powie, że on nigdy nie zachwyca się jej pracą. Pragnienie jego entuzjazmu, a nawet jego potrzeba także ją poniżały. Co złego w takich pragnieniach i potrzebach? Nic. Głęboki rozdział między tym, co osiągnąłeś, a tym, co sobie zawsze wyobrażałeś, nie musi oznaczać porażki. Rozczarowanie nie musi być rozczarowujące. Pragnienie, potrzeba, rozdział, rozczarowanie: dorastanie, poznawanie, przywiązanie, starzenie się u boku. W pojedynkę można idealnie mieszkać. Ale nie żyć.

– Wspaniałe – powiedział z tak bliska, że jego nos niemal dotykał dwuwymiarowej interpretacji jej fantazji. – Szczerze mówiąc, niesamowite. Jak myślisz o takich rzeczach?

– Nie jestem pewna, czy naprawdę o nich myślę.

– A to co, ogród wewnętrzny?

– Tak, schody będą się pięły wokół snopa światła, którego wytrysk...

– Sam by powiedział: „Wytrysk...”.

– I byś się śmiała, a ja bym nie reagowała.

– Albo oboje byśmy nie zareagowali. Tak czy owak, to naprawdę, ale to naprawdę ładne.

– Dziękuję.

Jacob przyłożył palec do planu piętra i przesunął nim przez kilka pomieszczeń, za każdym razem przechodząc przez drzwi.

– Wiem, że nie bardzo umiem czytać takie rzeczy, ale gdzie by spały dzieciaki?

– O co ci chodzi?

– Pewnie nie wszystko tu łapię, ale z tego, co widzę, tu jest tylko jedna sypialnia.

Julia przechyliła głowę i zmrużyła oczy.

– Znasz ten dowcip o parze, która rozwodzi się po osiemdziesięciu latach małżeństwa?

– Nie.

– Wszyscy pytają: „Dlaczego teraz? Dlaczego nie kilkadziesiąt lat temu, kiedy mieliście przed sobą kawał życia? Albo dlaczego nie doprowadzicie tego do końca?”. A oni na to: „Chcieliśmy najpierw pochować wnuki”.

Julia lubiła kalkulatory z drukarką – (Żydów wśród urządzeń biurowych, które w swym uporze przeżyły tyle bardziej obiecujących wynalazków – i podczas gdy dzieci gromadziły materiały szkolne, wystukiwała ciągi cyfr. Któregoś razu policzyła, ile minut zostało, aż

Benjy pójdzie do college'u. Na dowód zostawiła wydruk.

Jej domy były małymi głupimi ćwiczeniami, hobby. Nigdy nie mieliby na to z Jacobem pieniędzy, czasu ani energii, a wystarczająco długo zajmowała się architekturą mieszkaniową, żeby wiedzieć, że chęć wyciśnięcia kilku kropel szczęścia więcej niemal zawsze niszczy szczęście, które szczęśliwie się miało i za które w swej głupocie nigdy nie było się wdzięcznym. Za każdym razem tak jest – przeróbka kuchni za czterdzieści tysięcy dolarów staje się przeróbką za siedemdziesiąt tysięcy (bo każdy zaczyna sądzić, że małe różnice robią wielką różnicę), a potem nowym wyjściem do ogrodu (żeby do powiększonej kuchni wpuścić więcej światła), a potem nową łazienką (skoro oddzielasz piętro do pracy...), a potem idiotyczną wymianą instalacji elektrycznej, żeby dom był „inteligentny” (tak, byś mogła za pomocą telefonu kontrolować muzykę w kuchni), a potem pasywną agresją dotyczącą tego, czy nowe regały mają być na nóżkach (żeby odsłonić intarsjowany parkiet), a potem agresywną agresją, której źródeł nikt już nie pamięta. Można zbudować idealny dom, ale nie można w nim mieszkać.

*podoba ci się, jak mój język wciska się między twoje wąskie wargi?*

*pokaż*

*tryśnij mi w usta*

W początkach małżeństwa była taka noc w zajeździe w Pensylwanii. Zapalili z Jacobem dzointa – oboje palili pierwszy raz od college'u – leżeli nadzy w łóżku i przyrzekli sobie dzielić się wszystkim, wszystkim bez wyjątku, niezależnie od wstydu, dyskomfortu czy ewentualnego bólu. Zdawało się, że to najbardziej ambitna obietnica, jaką dwoje ludzi może sobie złożyć. Zwykle mówienie prawdy sprawiało wrażenie objawienia.

– Żadnych wyjątków – powiedział Jacob.

– Nawet jeden wszystko zepsuje.

– Nocne moczenie. Tego rodzaju sprawy.

Julia wzięła Jacoba za rękę.

– Wiesz, jak bardzo bym cię uwielbiała, gdybyś podzielił się ze mną czymś takim?

– Na marginesie: nie zdarza mi się moczyć. Wyznaczam po prostu granice.

– Żadnych granic. W tym rzecz.

– Kontakty seksualne z przeszłości? – spytał Jacob, wiedział bowiem, że to jego najczulszy punkt, a zatem rozmowa będzie musiała zawędrować w te rejony. Zawsze, nawet gdy stracił już ochotę, by dotykać albo być przez nią dotykany, czuł odrazę na myśl, że ona dotyka innego mężczyzny lub jest przez innego dotykana. Ludzie, z którymi była, rozkosz, którą dała i którą otrzymała, słowa, które jęczała. W innych kwestiach nie brakowało mu pewności siebie, ale umysł zmuszał go – z uporem kogoś, kto nie jest w stanie uciec przed wiecznym przeżywaniem koszmarów wciąż na nowo – by wyobrażał sobie jej zbliżenia z innymi. Co takiego im mówiła z tego, co mówiła jemu? Dlaczego takie powtórzenia miałyby się odczuwać jako najgorszą zdradę?

– Byłyby oczywiście bolesne – powiedziała. – Ale rzecz nie w tym, że chcę wiedzieć o tobie wszystko. Chodzi o to, że nie chcę, żebyś coś zatajał.

– Więc nie będę.

– Ja też nie.

Podawali sobie dzointa kilka razy i czuli się tacy odważni, tacy jeszcze młodzi.

– Co teraz ukrywasz? – spytała niemal bez troski.

– W tej chwili? Nic.

– Ale ukrywałeś?

– Ukrywałem, więc jestem.

Roześmiała się. Uwielbiała jego refleks, dziwnie podnoszący na duchu zapach jego neuronów.

– Jaka jest ostatnia rzecz, którą przede mną zataiłeś?

Zastanowił się. Na haju trudniej się myślało, ale łatwiej dzieliło myślami.

– Okej – powiedział. – To nic wielkiego.

– Chcę wszystkich sekretów.

– Okej. Któregoś dnia byliśmy w mieszkaniu. Była środa, chyba. Zrobiłem ci śniadanie.

Pamiętasz? Frittate z kozim serem.

– Tak, to było miłe – powiedziała, kładąc mu rękę na udzie.

– Pozwoliłem ci późno wstać i w tajemnicy przygotowałem śniadanie.

Wydmuchała słup dymu, który utrzymał się w tej postaci dłużej, niż wydawało się możliwe, i stwierdziła:

– W tej chwili mogłabym zjeść dużo tej frittaty.

– Zrobiłem ją, bo chciałem się tobą zaopiekować.

– Zauważyłam to – odparła, przesuwając rękę w górę uda i sprawiając, że stwardniał.

– I ładnie ułożyłem ją na talerzu. Z tą sałatką obok.

– Jak w restauracji – powiedziała, biorąc do ręki jego kutasa.

– I po pierwszym kęsie...

– Tak?

– Ludzie nie bez powodu zatajają różne sprawy.

– My to nie ludzie.

– Okej. No więc zamiast mi po pierwszym gryzie podziękować albo powiedzieć, że jest pyszna, spytałaś, czy posoliłem.

– I co?

– I poczułem się do dupy.

– Dlatego że spytałam, czy jest posolona?

– Może nie do dupy. Wkurzyło mnie to. Albo rozczarowało. Bez względu na to, jak się czułem, nie podzieliłem się tym.

– Ale ja tylko zadałam rzeczowe pytanie.

– Tak jest przyjemnie.

– To dobrze, kochanie.

– Ale jesteś w stanie dostrzec, że – w kontekście wysiłku, na jaki się dla ciebie zdobyłem – pytanie o to, czy jest posolona, wyrażało raczej krytykę niż wdzięczność?

– To wysiłek: przygotować dla mnie śniadanie?

– To było wyjątkowe śniadanie.

– Tak dobrze?

– Cudownie.

– Czyli jeśli w przyszłości pomyślę, że przydałoby się więcej soli, powinnam zachować to dla siebie?

– Albo wychodzi na to, że powinienem zachować dla siebie poczucie krzywdy.

– *Rozczarowanie*.

– Mógłbym już dojść.

– To dojdź.

– Nie chcę jeszcze.

Zwolniła, ściskając go tylko.

– A ty co teraz ukrywasz? – spytał. – I nie mów, że nieco cię zraniło, zdenerwowało i rozczarowało moje poczucie krzywdy, wkurzenie i rozczarowanie, bo tego nie ukrywasz.

Roześmiała się.

– No więc?

– Niczego nie ukrywam – odparła.

– Poszperaj.

Pokręciła głową i się zaśmiała.

– Co?

– W samochodzie śpiewałaś *All Apologies* i ciągle powtarzałaś „Spienionego morza ryk”.

– No i?

– No i tam jest inaczej.

– Oczywiście, że nie.

– Wpionionego morza wstyd.

– Co?!

– Ehe.

– *Wpionionego. Morza. Wstyd?*

– Z ręką na Torze.

– Chcesz mi powiedzieć, że moja absolutnie dorzeczna fraza – do rzeczy sama w sobie i w kontekście – jest tak naprawdę podświadomym wyrazem mojego stłumionego tego śmego i że Kurt Cobain celowo złożył do kupy słowa „wpionionego morza wstyd”?

– Dokładnie to chcę ci powiedzieć.

– Cóż, nie wierzę w to. Ale zarazem jestem okropnie zażenowany.

– Nie bądź.

– Tak to zwykle działa, gdy ktoś się wstydzi.

Zaśmiała się.

– To nie powinno się liczyć – powiedział. – Sekret hobbysty. Opowiedz mi coś dobrego.

– Dobrego?

– Coś naprawdę trudnego.

Uśmiechnęła się.

– Co? – spytał.

– Nic.

– Co?!

– *Nic*.

– Brzmi zdecydowanie jak coś.

– Dobra – odparła. – Ukrywam coś. Coś naprawdę trudnego.

– Świetnie.

– Ale nie sądzę, żebym wyewoluowała na tyle, żeby się tym podzielić.

– Dinozaury też nie sądziły....



Przycisnęła poduszkę do twarzy i skrzyżowała nogi.

– Przecież to tylko ja – powiedział.

– Dobra. – Westchnęła. – Dobra. No więc... Leżąc tu, skuta... Nasze nagie ciała... Miałam po prostu na coś ochotę.

Instynktownie sięgnął ręką między jej nogi i przekonał się, że już jest mokra.

– Opowiedz mi o tym – powiedział.

– Nie mogę.

– Założę się, że możesz.

Roześmiała się.

– Zamknij oczy – powiedział. – Tak będzie łatwiej.

Zamknęła oczy.

– Nie – odparła. – Nie jest. Może jak ty zamkniesz?

Zamknął oczy.

– Mam takie pragnienie. Nie wiem, skąd się ono bierze. Nie wiem, dlaczego je mam.

– Ale je masz.

– Tak.

– Powiedz.

– Mam takie pragnienie. – Znów się roześmiała i wtuliła mu się w pachę. – Chcę rozłożyć nogi i chcę, żebyś położył między nimi głowę i patrzył na mnie, dopóki nie dojdę.

– Tylko patrzył?

– Żadnych palców. Ani języka. Chcę dojść pod twoim wzrokiem.

– Otwórz oczy.

– Ty też.

Nic nie powiedział ani nie wydał choćby dźwięku. Zdecydowanie, ale łagodnie przewrócił ją na brzuch. Wyczuł, że to, czego ona pragnie, stanie się możliwe tylko wtedy, gdy nie będzie widziała, jak on na nią patrzy, bo w przeciwnym razie straciłaby resztki poczucia bezpieczeństwa. Jęknęła, dając mu znać, że właśnie tak jest. Przesunął się w dół jej ciała. Rozsunął jej nogi, a potem rozłożył je bardziej. Przysunął twarz tak blisko, by poczuć jej zapach.

– Patrzysz na mnie?

– Tak.

– Podoba ci się to, co widzisz?

– Pragnę tego, co widzę.

– Ale nie możesz tego dotknąć.

– Nie dotknę.

– Ale możesz sobie robić dobrze, gdy na mnie patrzysz.

– Robię.

– Chcesz pieprzyć to, na co patrzysz?

– Tak.

– Ale nie możesz.

– Nie.

– Chcesz poczuć, jaka jestem mokra.

– Chcę.

– Ale nie możesz.

- Ale widzę.
- Ale nie widzisz, jaka ciasna się robię, gdy jestem blisko.
- Nie widzę.
- Powiedz mi, jak wyglądam, a dojdę.

Doszli jednocześnie, bez dotykania, i na tym mogło się skończyć. Mogła przewrócić się na bok i położyć mu głowę na piersi. Mogli zasnąć. Ale coś się stało: spojrzała na niego, wytrzymała jego spojrzenie i znów zamknęła oczy. Jacob też zamknął. I na tym mogło się skończyć. Mogli badać siebie nawzajem w łóżku, ale Julia wstała i zaczęła badać pokój. Jacob jej nie widział – wiedział, że ma nie otwierać oczu – ale ją słyszał. Też wstał, bez słowa. Dotykali oboje ławeczki w nogach łóżka, biurka i kubka z długopisami, frędzli u opaski do zasłon. On dotykał wizjera, ona pokręta, którym regulowało się wentylator sufitowy, on przycisnął dłoń do ciepłego wierzchu małej lodówki.

- Masz dla mnie sens – powiedziała.
- Ty dla mnie też – odparł.
- Naprawdę cię kocham, Jacob. Ale, proszę, powiedz po prostu „Wiem”.
- Wiem – powiedział i ruszył po omacku wzdłuż ściany, wzdłuż spiętrzonych kołder, aż doszedł do włącznika światła. – Chyba właśnie zaprowadziłem ciemność.

Rok później Julia była w ciąży z Samem. Potem z Maxem. Potem z Benjym. Zmieniło się jej ciało, ale nie pożądanie Jacoba. Zmieniała się za to ilość tego, co ukrywane. Nadal uprawiali seks, mimo że to, co dawniej przychodziło spontanicznie, zaczęło wymagać albo bodźca (upicia się, oglądania *Życia Adeli* na laptopie Jacoba, walentynek), albo przewyciężenia skrępowania i strachu przed śmiesznością, co zwykle prowadziło do silnych orgazmów i braku czułości. Nadal zdarzało im się powiedzieć coś, co chwilę później wydawało się poniżające do tego stopnia, że musieli zniknąć po wcale niepotrzebną szklankę wody. Nadal masturbowali się na myśl o sobie nawzajem, nawet jeśli ich fantazje nie miały większego związku z prawdziwym życiem i często pojawiał się w nich ktoś jeszcze. Ale nawet wspomnienie tamtej nocy w Pensylwanii trzeba było zataić, ponieważ była to linia pozioma na framudze drzwi: „Popatrz, jak bardzo się zmieniliśmy”.

Jacob pragnął pewnych rzeczy i pragnął ich od Julii. Ale możliwość dzielenia się pragnieniami malała wraz z rosnącą potrzebą ich wysłuchiwanie z jej strony. Tak samo było zresztą w jej przypadku. Uwielbiali swoje towarzystwo i zawsze przedkładali je nad samotność bądź towarzystwo kogoś innego, ale im większego pocieszenia wspólnie zaznawali, im więcej życia ze sobą dzielili, tym bardziej zniechęcali się do swego życia wewnętrznego.

Z początku zawsze chłonęli siebie nawzajem albo chłonęli świat. Każde dziecko chce widzieć, jak nacięcia pną się w górę futryny, ale ile par jest w stanie dostrzec postęp w tym, że po prostu są takie, jak były? Ile z nich zarabia więcej i nie zastanawia się, co można za to kupić? Ile par, zbliżając się do końca wieku rozrodczego, wie, że ma dokładnie tyle dzieci, ile potrzebuje?

Jacob i Julia nigdy nie byli z tych, którzy z zasady sprzeciwiają się konwencjom, jednak nie mogli sobie również wyobrazić, że staną się *tak* konwencjonalni: kupili drugi samochód (i polisę na drugi samochód), zaczęli chodzić do siłowni z rozpisanymi na dwudziestu stronach ćwiczeniami, przestali sami wypełniać PIT-y, podwoili liczbę przyborów toaletowych, postawili ogrodzenie z drewna tekowego wokół śmietnika, zastąpili kuchenkę

nową, wyglądającą lepiej, mieli dziecko (i kupili polisę na życie), zamawiali witaminy z Kalifornii i materace ze Szwecji, kupowali odzież z bawełny organicznej, której koszt amortyzował się z czasem, niemalże wymagając od nich posiadania drugiego dziecka. Mieli następne dziecko. Zastanawiali się, czy dywan zachowa wartość, wiedzieli, co w każdej kategorii jest najlepsze (odkurzacze Miele, blendery Vitamix, noże Misono, farby Ball and Paint), zjadali freudowskie ilości sushi i pracowali jeszcze ciężiej, żeby móc zapłacić za najlepsze opiekunki dla dzieci, gdy pracowali. Mieli kolejne dziecko.

Życie codzienne stłamsiło ich życie wewnętrzne – nie tylko jeśli chodzi o czas i energię, których wymaga pięcioosobowa rodzina, ale też o siłę, której zaczęło im wyraźnie brakować. Niewzruszony spokój Julii przy dzieciach zaczął przypominać wszechcierpliwość, podczas gdy jej zdolność wyrażania pilnych potrzeb wobec męża skurczyła się do rozmiarów krótkich wiadomości tekstowych. Magiczny trick Jacoba polegający na zdjęciu biustonosza Julii bez pomocy rąk zastąpiła przygnębiająco godna podziwu umiejętność złożenia kojca w drodze po schodach. Julia potrafiła przycinać paznokcie zębami, karmić piersią, przygotowując lasagne, wyjmować drzazgi bez pęsety i bólu, sprawić, by dzieci błagały o grzebień przeciwko wszom, i wywoływać senność masażem trzeciego oka – zapomniała jednak, jak dotykać męża. Jacob nauczył dzieci różnicy między „wcześnie” a „wcześniej”, ale nie wiedział już, jak rozmawiać z żoną.

Pielęgnowali swoje życia wewnętrzne w samotności – Julia projektowała domy dla siebie, Jacob pracował nad swoją biblią i kupił drugi telefon – i wpadli w niszczycielskie błędne koło: ponieważ Julia nie potrafiła wyrażać swoich potrzeb, Jacob stał się jeszcze mniej pewny tego, że jest chciany, i jeszcze bardziej bał się narażenia na śmieszność, przez co zwiększyła się odległość między jej ręką a jego ciałem, co sprawiło, że Jacobowi zabrakło odpowiedniego języka, by się tym zająć. Pożądanie stało się zagrożeniem, wrogiem domowego zacisza.

Kiedy Max był w przedszkolu, wszystko oddawał innym. Każdy kolega, który przychodził się z nim pobawić, nieodmiennie opuszczał ich dom z resorakiem albo maskotką. Każde pieniądze, w których posiadanie wszedł – drobniaki znalezione na chodniku, pięciodolarowy banknot od dziadka za przekonujący argument – proponował Julii w kolejce do kasy albo Jacobowi przy parkomacie. Zachęcał Sama, by zjadł tyle z jego deseru, ile ma ochotę. „No dalej – mówił, kiedy Sam się hamował. – Bierz, bierz”.

Max nie odpowiadał na potrzeby innych, zdawał się umieć je ignorować tak samo jak każde dziecko. Nie był też szczodry – to wymagałoby wiedzy na temat dawania, czyli właśnie tego, czego mu brakowało. Każdy ma rurkę, przez którą wypuszcza to, czym chce i czym może podzielić się na swój temat ze światem, i przez którą wpuszcza wszystko to, co chce i może ze strony świata znieść. U Maxa ta rurka nie była szersza niż u innych, była po prostu wiecznie odetkana.

To, co dla Jacoba i Julii było zrazu źródłem dumy, stało się źródłem zmartwień: Max zostanie z niczym. Uważając, by nie sugerować, że coś jest nie tak z jego postępowaniem, w delikatny sposób zapoznali go z pojęciem wartości i ograniczonych środków. Na początku miał opory („Zawsze jest więcej”), ale, jak to dzieci, zaczął rozumieć, że z jego postępowaniem jest coś nie tak.

Jego obsesją stała się wartość porównawcza. „Czy za jeden dom można dostać czterdzieści samochodów?” („To zależy od domu i samochodów”). „Czy wolałbyś garść

diamentów, czy dom pełen srebra? Garść wielkości twojej, dom wielkości tego”. Zaczął kompulsywnie się wymieniać: zabawkami z kolegami, rzeczami osobistymi z Samem, uczynkami z rodzicami („Czy jeśli zjem połowę tego jarmuzu, to będę mógł iść do łóżka dwadzieścia minut później?”). Chciał wiedzieć, czy lepiej jest być kierowcą FedExu, czy nauczycielem muzyki, i denerwował się, gdy rodzice kwestionowali jego sposób używania słowa „lepiej”. Chciał wiedzieć, czy to w porządku, że jego tata musiał zapłacić za dodatkowy bilet, gdy on zabrał do zoo swojego kolegę Clive’a. „Marnuję życie!” – często wykrzykiwał, kiedy nie pochłaniała go żadna aktywność. Pewnego ranka wślizgnął się bardzo wcześnie do ich łóżka, pragnąc wiedzieć, czy właśnie tak jest po śmierci.

– Czyli jak, kochanie?

– Że nie ma się nic.

Skrywanie potrzeb seksualnych przez Julię i Jacoba przed sobą nawzajem było najprymitywniejszym i najbardziej frustrującym rodzajem zamknięcia się w sobie, ale wcale nie najbardziej szkodliwym. Dążenie do odsunięcia się – od tego drugiego i od samego siebie – realizowało się zdecydowanie mniejszymi, bardziej subtelnymi krokami. Ciągłe zbliżali się do siebie w sferze działań – koordynując stale rosnącą liczbę codziennych zajęć, coraz więcej (i coraz skuteczniej) ze sobą rozmawiając i pisząc, sprzątając bałagan, który zrobiły dzieci, które zrobili – i oddalali w sferze uczuć.

Pewnego razu Julia kupiła bieliznę. Położyła dłoń na wierzchu miękkiej sterty nie dla przyjemności, ale dlatego że podobnie jak jej matka nie była w stanie powstrzymać impulsu, by dotknąć towaru w sklepie. Wyjęła z bankomatu pięćset dolarów, żeby zakup nie pojawił się na rachunku karty kredytowej. Chciała się tym podzielić z Jacobem i starała się, jak mogła, by znaleźć albo stworzyć odpowiednią sposobność. Którejś nocy, gdy dzieci już spały, włożyła majtki. Chciała zejść po schodach, zamknąć skuwką pióro Jacoba i bez słów zakomunikować: „Spójrz, jak potrafię wyglądać”. Ale nie mogła. Tak samo jak nie mogła nawet położyć ich na łóżku, żeby się na nie natknął i zapytał. Tak samo jak nie mogła ich zwrócić.

Pewnego razu Jacob napisał linijkę, którą uznał za najlepsze ze wszystkiego, co w życiu napisał. Chciał się nią podzielić z Julią – nie dlatego że był z siebie dumny, ale dlatego że pragnął sprawdzić, czy może do niej dotrzeć tak jak dawniej, sprawić, żeby powiedziała coś w rodzaju: „Mój ty pisarzu”. Wziął kartki do kuchni i położył je na blacie tekstem do dołu.

– Jak idzie? – spytała.

– Idzie – odpowiedział dokładnie w taki sposób, jakiego nie znosił.

– Postępy?

– Tak, tylko nie jest jasne, czy w dobrym kierunku.

– A jest jakiś dobry kierunek?

„Powiedz tylko: «Mój ty pisarzu»” – chciał poprosić.

Nie potrafił jednak pokonać dystansu, który nie istniał. Bezkres dzielonego z nią życia sprawił, że dzielenie się wyjątkowością stało się niemożliwe. Potrzebowali dystansu, który nie byłby wycofaniem, lecz zaproszeniem. A gdy Jacob następnego ranka wrócił do tamtej linijki, z zaskoczeniem i smutkiem spostrzegł, że nadal jest znakomita.

Pewnego razu, po sprzątnięciu kolejnej kupy Argusa, Julia myła ręce w umywalce i gdy przyglądała się pianie z mydła, tworzącej pajęczyny między jej palcami, kinkiet zamigotał, ale nie zgasł, a ją nieoczekiwanie przytłoczył smutek, który do niczego się nie odnosi ani

niczego konkretnego nie oznacza, choć jego ciężar jest morderczy. Chciała podzielić się tym smutkiem z Jacobem – nie w nadziei, że on zrozumie coś, czego ona nie mogła zrozumieć, ale w nadziei, że pomoże jej unieść coś, czego nie mogła unieść. Jednak dystans, który nie istniał, był zbyt wielki. Argus narobił na łóżko i albo nie zdawał sobie z tego sprawy, albo nie chciało mu się przesunąć, przez co ubabrał sobie bok i ogon. Kiedy Julia ścierała kupę z pomocą szamponu dla ludzi i wilgotnej koszulki jakiegoś zapomnianego klubu piłkarskiego, który niegdyś łamał serca kibiców, powiedziała do psa: „No i już. Jest w porządku. Prawie koniec”.

Pewnego razu Jacob rozważał zakup broszki dla Julii. Zawędrował do sklepu przy Connecticut Avenue – jednego z tych, w których sprzedaje się salaterki z odzyskanego drewna i szczypcę do sałaty z rogowymi uchwytami. Nie spodziewał się niczego kupić, nie zbliżało się też żadne wydarzenie, z powodu którego prezent byłby stosowny. Kobieta, z którą umówiony był na lunch, napisała, że utknęła za śmieciarką, nie pomyślał, żeby wziąć jakąś książkę albo gazetę, a każde krzesło w Starbucksie było zajęte przez kogoś, kto skończy swoje coraz bardziej rozcieńczone życie, zanim zdąży skończyć swój cienki pamiętnik, przez co Jacob nie miał gdzie przysiąść, żeby zanurkować w swoim cieniutkim telefonie.

– Czy ta jest ładna? – spytał kobietę po drugiej stronie gabloty. – Głupie pytanie.

– Cudowna.

– Tak, jasne, że tak.

– Nie podoba mi się ta – powiedziała, wskazując bransoletkę w gablocie.

– To broszka, prawda?

– Tak. Srebrny odlew prawdziwej gałązki. Jedyna w swoim rodzaju.

– A to są opale?

– Tak.

Podszedł do kolejnej gabloty, udając, że przygląda się uważnie intarsjowanej desce do krojenia, a potem wrócił do broszki.

– Ale ładna jest, prawda? Nie potrafię stwierdzić, czy nie wygląda pretensjonalnie.

– Ani trochę – powiedziała, wyjmując ją z gabloty i kładąc na wyłożonej aksamitem tacce.

– Może – odparł Jacob, nie biorąc broszki do ręki.

Czy była ładna? Była ryzykowna. Czy ludzie noszą broszki? Czy to banalna przenośnia? Czy nie skończy w szkatułce z biżuterią, by nigdy więcej nie ujrzeć światła dziennego, póki nie zostanie przekazana którejś z wybranek chłopców jako pamiątka, żeby i ona mogła schować ją do szkatułki, by pewnego dnia znów ją przekazać? Czy siedemset pięćdziesiąt dolarów to odpowiednia cena za coś takiego? Martwiły go nie pieniądze, lecz ryzyko, że się nie uda, zażenowanie związane z próbą i porażką – dużo łatwiej złamać wyprostowaną kończynę od zgiętej. Jacob wrócił do sklepu po lunchu.

– Przepraszam, jeśli zachowuję się śmiesznie – zwrócił się do kobiety, która mu wcześniej pomagała – ale miałaby pani coś przeciwko temu, by ją założyć?

Wyjęła ją z gabloty i przypięła do swetra.

– Nie jest ciężka? Nie ciągnie materiału?

– Jest całkiem lekka.

– Czy jest wyszukana?

– Można nosić ją do sukienki, marynarki albo swetra.

– Ucieszyłaby się pani, gdyby ktoś ją pani dał?

Dystans rodzi dystans, ale jeśli dystans jest żaden, to jakie są jego źródła? Nie było żadnych występków, żadnego okrucieństwa ani nawet obojętności. Pierwotnym dystansem była intymność: niezdolność przewyciężenia wstydu podziemnych potrzeb, dla których nie było już miejsca nad ziemią.

*daj mi swój wytrysk*

*potem możesz mieć mojego kutasa*

Tylko w zaciszu własnego umysłu Julia mogła się zastanawiać, jak wyglądałby jej własny dom. Tylko jej. Co by zyskała, a co straciła? Czy mogłaby żyć, nie widząc dzieci codziennie rano i wieczorem? I co, gdyby przyznała, że by mogła? Za sześć i pół miliona minut będzie musiała. Nikt nie osądza matki za to, że puściła dzieci do college'u. Puszczanie to nie przestępstwo. Przestępstwem było to, że chciała je puścić.

*nie zasługujesz na to, żeby ruchać cię w dupę*

Gdyby zbudowała sobie nowe życie, Jakub też by to zrobił. Ożeniłby się ponownie. Mężczyźni tak postępują. Dochodzą do siebie i idą do przodu. Za każdym razem. Łatwo było sobie wyobrazić, że bierze ślub z pierwszą, z którą zacznie randkować. Zasługiwał na kogoś, kto nie tworzy zmyślonych domów dla jednej osoby. Nie zasługiwał na Julię, ale zasługiwał na kogoś lepszego niż Julia. Zasługiwał na kogoś, kto po przebudzeniu się przeciąga, a nie wzdryga. Na kogoś, kto nie wacha jedzenia przed jedzeniem. Na kogoś, kto nie widzi w zwierzętach ciężaru, kto miałby dla niego czułe przezwisko i w gronie znajomych żartowałyby, jak bardzo lubi się z nim pieprzyć. Na jakiś nowy, odkręcony kurek dla kogoś nowego. I nawet jeśli i temu pisana byłaby ostatecznie klęska, szczęście przynajmniej by ją poprzedzało.

*teraz zasługujesz, żeby ruchać cię w dupę*

Potrzebowała wolnego. Bardzo by chciała mieć poczucie, że nie wie, jak wypełnić sobie czas, chciałaby powalać się bez celu po parku Rock Creek, porozkoszować się posiłkiem z gatunku tych, których jej dzieci nigdy by nie tknęły, lekturą czegoś dłuższego i głębszego niż krótki artykuł na temat uporządkowania uczuć albo przypraw. Ale jeden z jej klientów potrzebował pomocy przy wyborze okuć do drzwi. Oczywiście w sobotę, bo kiedy indziej ktoś, kto może sobie pozwolić na zamówienie specjalnie dla niego projektowanych okuć ma czas, by się im przyjrzeć? Oczywiście nikt nie potrzebuje pomocy w patrzeniu na okucia do drzwi, ale Mark i Jennifer byli niezwykle bezradni, gdy przychodziło do negocjowania niedających się wzajemnie pogodzić braków gustu każdego z nich, a gałka u drzwi była właśnie tak nieistotna i symboliczna, że wymagała mediacji.

Rozdrażnienie Julii potęgowało to, że Mark i Jennifer byli rodzicami jednego z kolegów Sama, uważali Jacoba i Julię za swoich przyjaciół i chcieli potem napić się z nimi kawy,

żeby „nadrobić zaległości”. Julia ich lubiła i na tyle, na ile mogła wykrzesać z siebie entuzjazm dla relacji pozarodzinnych, uważała ich za przyjaciół. Ale za wiele wykrzesać z siebie nie mogła. Przynajmniej do momentu, gdy nadrobi zaległości z samą sobą.

Ktoś powinien wymyślić, jak być blisko innych bez konieczności widzenia się z nimi, rozmawiania przez telefon, pisania (albo czytania) listów, mejli, esemesów. Czy tylko matki rozumieją, jak cenny jest czas? Że nigdy nie ma go ani trochę? I że nie można napić się kawy nawet z ludźmi, których rzadko się widuje, a właściwie szczególnie z nimi, bo pół godziny zabiera droga do kawiarni (jeśli ma się szczęście), drugie pół powrót do domu (jeśli ma się je znowu), nie wspominając o dwudziestominutowym podatku, jaki trzeba zapłacić, żeby w ogóle wyjść z domu, i szybka kawa kończy się olimpijskim sprintem. I jeszcze te okropne korowody w szkole hebrajskiej z rana, Izraelczycy przyjeżdżający za niecałe dwa tygodnie, pożegnanie z bar micwą jak z pacjentem na oddziale intensywnej terapii, a choć uzyskanie pomocy jest jak najbardziej możliwe, to pomoc sprawia, że czujesz się podle, pomoc zawstydza. Można zamawiać przez internet zakupy z dostawą, ale to jak porażka, zrzeczenie się matczynych obowiązków – matczynego przywileju. Dalsza wyprawa do sklepu z dobrymi warzywami i owocami, wybór awokado, które będzie idealnie dojrzałe w chwili jedzenia, upewnienie się, że nie zostanie rozgniecione w torbie z zakupami i że torba nie zostanie zgnieciona w sklepowym wózku – to obowiązek matki. Nie obowiązek, tylko radość. A jeśli jest w stanie spełnić obowiązek, lecz bez radości?

Nie wiedziała, co począć z uczuciem, że pragnie dla siebie więcej – więcej czasu, miejsca, spokoju. Może z dziewczynkami byłoby inaczej, ale miała chłopców. Przez rok trzymała ich przy sobie, ale po tych bezsennych wakacjach była zdana na łaskę i niełaskę ich fizyczności – ich okrzyków, zapasów, walenia w stół, pierdzenia na wyścigi i niekończącego się badania moszny. Uwielbiała to, bez wyjątku, ale potrzebowała czasu, miejsca i spokoju. Może dziewczynki byłyby bardziej refleksyjne, mniej prymitywne, bardziej konstruktywne, mniej zwierzęce. Już to, że takie myśli mogły jej zaświtać w głowie, sprawiało, że czuła się wyrodną matką, mimo że świetnie zdawała sobie sprawę z tego, że jest dobrą matką. Więc dlaczego to było takie skomplikowane? Niektóre kobiety wydałyby ostatni grosz, by zajmować się tym, czego nie znosiła. Każde błogosławieństwo obiecane jałowym biblijnym heroinom wpadało w jej otwarte ręce jak deszcz. I przeciekało przez nie.

*chcę zlizać spermę z twojego odbytu*

Spotkali się z Markiem w ekskluzywnym sklepie z artykułami żelaznymi. Sklep był elegancki i ohydny, a w świecie, w którym morze wyrzucało na brzeg ciała syryjskich dzieci, także nieetyczny, a przynajmniej w złym guście. Ale jej prowizje były w porządku.

Kiedy przyjechała, Mark zajmował się już próbkami. Wyglądał dobrze ze starannie przyciętą, przyprószoną siwizną brodą i w przemyślnie dopasowanych ubraniach, których nie kupuje się w zestawach po trzy. Miał naturalną pewność siebie kogoś, kto w dowolnym momencie nie jest w stanie określić stanu konta z dokładnością do stu tysięcy dolarów. Nie było to pociągające, ale nie dało się tego zignorować.

– Julia.

– Mark.

– Nie mamy chyba Alzheimera...

– Co to takiego Alzheimer?

Niewinny flirt był tak ożywiający – delikatne łechtanie języka delikatnie łechcące ego. Była w tym dobra i kochała to, od zawsze, ale w trakcie małżeństwa zaczęła odczuwać z tego powodu wyrzuty sumienia. Wiedziała, że w takiej figlarności nie ma nic złego, pragnęła, by nie zabrakło jej w życiu Jacoba. Zdawała sobie jednak również sprawę z jego irracjonalnej, niepohamowanej zazdrości. I nieważne, jak frustrujące by to było – nigdy nie odważyła się wspomnieć o miłosnych bądź seksualnych doświadczeniach z przeszłości, pragnęła też aż za bardzo wyjaśnić wszelkie terazniejsze doświadczenia, które można by choć odrobinę błędnie zinterpretować – stanowiło to częśćkę jego osobowości, a zatem coś, o co chciała dbać.

Była to także ta częśćka, która ją do niego przyciągnęła. Jego brak pewności siebie w sferze seksu był tak głęboki, że musiał wypływać z bardzo głębokiego źródła. I nawet gdy czuła, że wie o nim wszystko, nie miała pojęcia, co wywołuje tę nienasyconą potrzebę gwarancji. Czasem, przemilczawszy celowo coś niewinnego, co – jak wiedziała – zachwiałoby kruchym spokojem jej męża, spoglądała na niego z miłością i myślała: „Co ci się stało?”.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziała, poprawiając kołnierzyk. – Sam wpakował się w tarapaty w szkole hebrajskiej.

– Aj wuj!

– W rzeczy samej. Tak czy siak, już jestem. Ciałem i duszą.

– Może powinniśmy najpierw iść po tę kawę?

– Próbuję rzucić kawę.

– Dlaczego?

– Jestem za bardzo uzależniona.

– To kłopot tylko wtedy, gdy w pobliżu nie ma kawy.

– A Jacob mówi...

– To kłopot tylko wtedy, gdy w pobliżu jest Jacob.

Julia zachichotała, niepewna, czy chichocze z powodu jego żartu, czy swojej dziewczynskiej niezdolności, by oprzeć się chłopięcemu wdziękowi Marka.

– Zasłużmy sobie na kofeinę – powiedziała, biorąc z jego ręki nieco zbyt sztucznie postarzoną gałkę do drzwi.

– A więc mam pewną wiadomość – oświadczył Mark.

– Ja też. Może powinniśmy poczekać na Jennifer?

– Nie powinniśmy. To właśnie ta wiadomość.

– Do czego zmierzasz?

– Rozwódzimy się.

– Co?!

– Od maja byliśmy w separacji.

– Powiedziałaś „rozwódzimy”?

– Byliśmy w separacji. Teraz się rozwodzimy.

– Nie, nie byliście – powiedziała, ściskając gałkę, jakby chciała jeszcze bardziej ją postarzyć.

– Co „nie byliście”?

– W separacji.



- Wiedziałbym coś o tym.
- Ale przecież widziałam was razem. Pojechaliśmy do Centrum Kennedy’ego.
- Tak, byliśmy na sztuce.
- Śmialiście się, dotykaliście. *Widziałam*.
- Przyjaźnimy się. Przyjaciele się śmieją.
- Ale nie dotykają.

Max wyciągnął rękę i dotknął ramienia Julii. Cofnęła się odruchowo, wywołując tym śmiech obojga.

- Jesteśmy przyjaciółmi, którzy byli małżeństwem – powiedział.

Julia odgarnęła włosy za ucho i odparła:

- Którzy nadal są małżeństwem.
- Którzy zaraz nim nie będą.
- Nie wydaje mi się, żeby to było właściwe.
- *Właściwe?*
- To, co się dzieje.

Uniósł rękę bez obrączki.

- To się dzieje wystarczająco długo, by zniknęła opalenizna.

Podeszła do nich chuda kobieta.

- Mogę państwu dziś w czymś pomóc?
- Może jutro – odparła Julia.

– Na razie chyba nic nam nie trzeba – dodał Mark z uśmiechem, który wydał się Julii tak flirciarski jak ten, który posłał jej.

- W razie czego będę w pobliżu – powiedziała kobieta.

Nieco za energicznie Julia odłożyła gałkę i podniosła następną – nieskazitelny ośmiobok, absurdalnie ciężki, odrażająco męski.

- No cóż, Marku... Nie wiem, co powiedzieć.
- Gratulacje?
- Gratulacje?!
- Jasne.
- Nie widzę tego w ten sposób.
- Ale rozmawiamy o tym, jak ja to widzę.
- Gratulacje? Serio?
- Jestem młody. Już niedługo, ale jednak.
- Nie niedługo.

– Masz rację. Jesteśmy stanowczo młodzi. Gdybyśmy mieli siedemdziesiąt lat, byłoby inaczej. Może nawet gdybyśmy mieli sześćdziesiąt albo pięćdziesiąt. Może wtedy powiedziałbym: „Oto, kim jestem. Oto mój los”. Ale mam czterdzieści cztery lata. Duża część mojego życia jeszcze się nie wydarzyła. I tak samo jest w przypadku Jennifer. Zdaliśmy sobie sprawę, że będziemy szczęśliwsi, prowadząc osobne życie. To dobrze. Z pewnością lepiej niż udawać, tłumić w sobie albo być tak pochłoniętym obowiązkiem odgrywania jakiejś roli, żeby nigdy się nawet nie zastanawiać, czy to rola, którą byś dla siebie wybrał. Nadal jestem młody, Julio, i pragnę wybrać szczęście.

- Szczęście?
- Szczęście.

– Czyje szczęście?

– Moje szczęście. Jennifer też. Nasze szczęście, tyle że oddzielnie.

– Kiedy gonimy za szczęściem, uciekamy przed zadowoleniem.

– Cóż, ani moje szczęście, ani moje zadowolenie nie są u jej boku. A jej szczęście zdecydowanie nie jest u mojego boku.

– To gdzie jest? Pod poduszką kanapy?

– Ściśle ujmując, pod jej nauczycielem francuskiego.

– Ożeż w dupę! – powiedziała Julia, przyciskając gałkę do czoła mocniej, niż zamierzała.

– Nie rozumiem, dlaczego tak reagujesz na dobre wieści.

– Przecież ona nawet nie mówi po francusku.

– Teraz już wiemy dlaczego.

Julia poszukała wzrokiem anorektycznej ekspedientki. Wszystko, byle nie patrzeć na Marka.

– A twoje szczęście? – spytała. – Jakiego języka się nie uczysz?

Zaśmiał się.

– Na razie jestem szczęśliwy sam ze sobą. Całe życie spędziłem z innymi: z rodzicami, dziewczynami, Jennifer. Może pragnę czegoś innego.

– Samotności?

– Bycie samemu to nie samotność.

– Ta gałka jest bardzo brzydka.

– Martwisz się?

– Za mało postarzona, za bardzo postarzona. To nie fizyka jądrowa.

– Dlatego właśnie rezerwuje się fizyków jądrowych dla fizyki jądrowej.

– Nie mogę uwierzyć, że nawet nie wspomniałeś o dzieciach.

– To bolesne.

– Jak one to zniosą? Jak wy zniesiecie to, że będziecie z nimi o połowę czasu mniej?

Przytknęła nos do gablotki i częściowo odwróciła się od Marka. Żadna zmiana pozycji nie mogła przydać tej rozmowie swobody, ale mogła przynajmniej osłabić siłę uderzenia. Odłożyła gałkę i podniosła kolejną, którą uczciwie można by porównać tylko do dilda, które dostała szesnaście lat temu na wieczorze panieńskim. Dildo przypominało penisa w stopniu równie znikomym, jak ta gałka przypominała gałkę do drzwi. Śmiały się jej przyjaciółki, ona też się śmiała, a cztery miesiące później natrafiła na dildo, przepatrując szafę ścienną w nadziei, że odda komuś nierozpakowaną miotełkę do herbaty matcha, i stwierdziła, że jest na tyle znudzona bądź pobudzona, by dać mu szansę. Nic z tego nie wyszło. Zbyt suche. Zbyt nieświadome. Ale trzymając w tej chwili gałkę do drzwi, nie mogła myśleć o niczym innym.

– Zagubiłem swój wewnętrzny głos – powiedział Mark.

– Twój wewnętrzny głos? – spytała Julia z lekceważącym uśmiechem.

– Zgadza się.

– Marku, dzwoni twój wewnętrzny głos. – Wręczyła mu gałkę. – Napadło go twoje id w Nigerii i chce, żebyś przesłał mu do końca dnia dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

– Może to brzmi głupio. Może sprawiam wrażenie egoisty...

– Dwa razy tak.

– ...ale zagubiłem to, co sprawiło, że jestem tym, kim jestem.

– Marku, jesteś człowiekiem dorosłym, a nie jakąś postacią z Shela Silversteina rozmyślającą nad uczuciowymi głupstewkami na pieńku drzewa, które ścięto pod jakąś dachę albo coś.

– Im bardziej się odsuwasz – powiedział – tym większą mam pewność, że się zgadzasz.

– Zgadzam? Z czym zgadzam? Rozmawiamy o twoim życiu.

– Rozmawiamy o niekończącym się ścisku szczęk od zamartwiania się przez cały dzień o dzieci i niekończącym się powtarzaniu nieodbytych starć z drugą połową nocami. Czy gdybyś była sama, nie byłabyś szczęśliwszym, ambitniejszym i wydajniejszym architektem?

Nie byłabyś mniej *znużona*?

– Co? Ja znużona?

– Im więcej żartujesz, tym bardziej pewien...

– Oczywiście, że bym była.

– A urlop? Nie sprawiłby ci większej przyjemności w pojedynkę?

– Nie tak głośno.

– Bo ktoś usłyszy, że jesteś człowiekiem?

Przeciągnęła palcem po główce gałki.

– Tęskniłabym oczywiście za dziećmi – powiedziała. – A ty nie?

– Nie o to pytałem.

– Tak, wolałabym mieć je na urlopie przy sobie.

– Trudno ułożyć takie zdanie?

– Wybrałabym ich obecność. Gdybym mogła wybierać.

– Chodzi o wieczne niedosypianie, jedzenie bez przyjemności czy hiperczułość na skraj leżaka, którego twoje plecy nigdy nie dotkną?

– Chodzi o spełnienie, które nie ma żadnego innego źródła. Moja pierwsza myśl każdego ranka i ostatnia każdego wieczora dotyczy dzieci.

– O to mi właśnie chodzi.

– To *mnie* o to chodzi.

– A kiedy myślisz o sobie?

– Wtedy, gdy myślę, że pewnego dnia za kilkadziesiąt lat, co w tej chwili wydaje mi się ledwie kilkoma godzinami, stanę zupełnie sama w obliczu śmierci, tyle tylko że nie będę zupełnie sama, ponieważ będę w otoczeniu rodziny.

– Dużo gorzej jest prowadzić złe życie, niż umrzeć złą śmiercią.

– Serio!? Wczoraj wieczorem trafiłam to samo ciasteczko z wróżbą!

Mark nachylił się w stronę Julii.

– Powiedz mi tylko – poprosił – nie chciałabyś mieć z powrotem czasu i myśli dla siebie? Nie żądam, żebyś mówiła źle o mężu albo dzieciach. Załóżmy, że nigdy nie zależało ci na niczym nawet w połowie tak bardzo i na niczym nie mogłoby ci zależeć bardziej. Nie proszę cię o odpowiedź, której chcesz udzielić ani której według ciebie powinnaś udzielić. Zdaję sobie sprawę, że trudno o tym pomyśleć, a jeszcze trudniej o tym mówić. Ale tak szczerze: nie byłabyś szczęśliwsza w pojedynkę?

– Zakładasz, że szczęście to fundamentalne pragnienie.

– Nie. Pytam po prostu, czy nie byłabyś szczęśliwsza w pojedynkę.

Oczywiście nie pierwszy raz stawiała przed tym pytaniem, ale pierwszy raz postawił je ktoś inny. Pierwszy raz nie miała możliwości zbyć go milczeniem. Czy byłaby szczęśliwsza

w pojedynkę? „Jestem matką” – pomyślała; nie była to jednak odpowiedź na postawione pytanie i w żadnym razie nie było to pragnienie bardziej fundamentalne od szczęścia, tylko jej fundamentalna tożsamość. Nie istniało życie, z którym mogłaby porównać swoje, nie istniała samotność, do której mogłaby przyrównać swoją. Robiła po prostu to, co uważała za słuszne. Żyła tak, jak uważała, że żyć należy.

– Nie, nie byłabym szczęśliwsza w pojedynkę.

Obwiodł palcem platońsko kulistą gałkę i powiedział:

– W takim razie masz wszystko. Szczęściara.

– Tak. Jestem szczęściarą. Naprawdę się nią czuję.

– No i? – spytał Mark po kilku długich sekundach ciszy z zimnym metalem w rękę, a następnie odłożył gałkę na kontuar.

– Co?

– To jakie są twoje wieści?

– Nie rozumiem.

– Powiedziałaś, że masz wiadomość.

– Ach, racja – odparła, kręcąc głową. – Nie, to nie żadna wiadomość.

Bo nie była. Rozmawiali z Jacobem o tym, żeby może rozejrzeć się za czymś na wsi. Za byle czym, co można by przeobrazić. Tak naprawdę nie tyle nawet rozmawiali, ile ciągnęli żart wystarczająco długo, by stał się nieśmieszny. To nie była wiadomość. To był proces.

Nazajutrz rano po tamtej nocy w zajeździe w Pensylwanii piętnaście lat temu Julia i Jacob wybrali się na pieszą wycieczkę po rezerwacie przyrody. Niezwykle rozwlekły napis powitalny przy wejściu wyjaśniał, że istniejące ścieżki nie są pierwotne, lecz to „linie pożądania”, wydeptane skróty, które obierali ludzie i które z czasem zaczęły się wydawać zamierzone.

Życie rodzinne Julii i Jacoba zaczęły charakteryzować niekończące się negocjacje, niewielkie poprawki, fakt bycia w toku. Może nie zważajmy na nic i zdejmiemy w tym roku siatki przeciw komarom. Może szermierka to dla Maxa o jedna aktywność za wiele i być może to zbyt demonstracyjnie burżuazyjne dla jego rodziców. Może jeśli zastąpimy metalowe łopatki gumowymi, nie będziemy musieli zastępować teflonowych patelni, od których dostaniemy raka. Może powinniśmy sprawić sobie samochód z trzema rzędami siedzeń. Może któraś z tych rzeczy do wyświetlania filmów byłaby fajna. Może nauczyciel Sama od wiolonczeli miał rację i Sam powinien po prostu grać piosenki, które uwielbia, nawet jeśli oznacza to *Watch me (Whip/Nae Nae)*. Może odpowiedź kryje się częściowo w większej dawce przyrody. Może dowóz jedzenia do domu sprzyjałby lepszemu gotowaniu, co zmniejszyłoby niepotrzebne, lecz stałe poczucie winy wynikające z dowozu jedzenia.

Ich życie rodzinne było sumą szturchnięć i korekt. Nieskończenie małego przyrostu. Wieści przytrafiają się na oddziałach urazowych, w biurach prawniczych i – jak się wydaje – w Alliance Française. Należy ich wypatrywać i unikać za pomocą wszelkich dostępnych środków.

– Przyjrzyjmy się okuciom innego dnia – powiedziała Julia, wsuwając gałkę do torebki.

– Nie będziemy robić remontu.

– Nie?

– Nikt tam już nawet nie mieszka.

– Racja.

- Przepraszam, Julio. Oczywiście zapłacimy za twoją...
- Nie, nie. Jasne. Po prostu wszystko dziś wolno do mnie dociera.
- Włożyłaś tyle pracy.

Po śnieżycy są tylko linie pożądania. Ale zawsze robi się cieplej i nawet gdy to trwa dłużej niż powinno, śnieg nieuchronnie topnieje, odsłaniając to, co wybrane.

*nie zależy mi, żebyś doszła, ale i tak sprawię, że dojdiesz*

W dziesiątą rocznicę wrócili do pensylwańskiego zajazdu. Za pierwszym razem trafili tam przypadkiem – przed GPS-em, TripAdvisorem, przed czasami, gdy wolność zepsuta wolnością należała do rzadkości. Rocznicowy pobyt wymagał tygodniowych przygotowań, które rozpoczęły się najtrudniejszym z zadań: lokalizacją zajazdu. (Gdzieś w krainie amiszów, gobeliny na ścianach w sypialni, czerwone drzwi wejściowe, nierówne poręcze, nie było tam może drogi wysadzonej drzewami?). Musieli znaleźć taki termin, gdy Irv i Deborah mogliby zostać na noc, by popilnować dzieci, gdy żadne z nich nie miało niecierpiących zwłoki obowiązków zawodowych, gdy chłopcy nie mieli niczego – wywiadówki, wizyty u lekarza, występu – co wymagałoby obecności rodziców, i gdy tamten konkretny pokój był dostępny. Pierwsza noc, gdy wszystkie te nici zbiegały się w jednym punkcie, przypadała za trzy tygodnie. Julia nie była pewna, czy to krótko, czy długo. Jacob zrobił rezerwację, a Julia przygotowała plan podróży. Nie dotrą przed zachodem słońca, ale zdążą na zachód słońca. Następnego dnia zjedzą śniadanie w gospodzie (zadzwońiła z wyprzedzeniem, by zapytać o menu), powtórzą pierwszą połowę wędrówki przez rezerwat przyrody, odwiedzą najstarszą stodołę i trzeci najstarszy kościół na północnym wschodzie, sprawdzą kilka sklepów z antykami – i kto wie, może znajdą coś do zbiorów.

- Zbiorów?
- Rzeczy większych wewnątrz niż na zewnątrz.
- Wspaniale.
- A potem lunch w małej winiarni, o której czytałam w „Remodeliście”. Zauważ, że nie wspomniałam nic o znalezieniu miejsca z jakimiś pamiątkami dla chłopców.
- Zauważono.
- I wrócimy do domu na rodzinną kolację.
- Wyrobimy się z tym wszystkim?
- Lepiej mieć za dużo możliwości – powiedziała Julia.

(Nigdy nie udawało im się dotrzeć do sklepów z antykami, bo ich urlopy były większe wewnątrz niż na zewnątrz).

Tak jak sobie obiecali, nie spisali Deborze i Irvowi wskazówek, nie ugotowali zawczasu obiadów ani nie spakowali drugich śniadań, nie oznajmili Samowi, że w czasie ich nieobecności będzie „głową rodziny”. Dali wszystkim jasno do zrozumienia, że nie będą dzwonić, żeby się zameldować, ale oczywiście w razie potrzeby będą mieli przez cały czas w pobliżu naładowane telefony.

W drodze rozmawiali – nie o dzieciach – aż w końcu nie mieli nic do powiedzenia. Cisza nie była niezręczna ani groźna, lecz wspólna, swobodna i bezpieczna. Był schyłek jesieni, jak dziesięć lat temu, i jechali na północ wzdłuż spektrum kolorów – kilka mil dalej, kilka stopni chłodniej, kilka odcieni jaśniej. Dekada jesieni.

– Miałabyś coś przeciwko, gdybym włączył podcast? – spytał Jacob zakłopotany zarówno chęcią odwrócenia uwagi, jak i uzyskania pozwolenia od Julii.

– Brzmi świetnie – odparła, łagodząc zakłopotanie, które w nim wyczuła, choć nie zdawała sobie sprawy z jego źródła.

Po kilku sekundach Jacob stwierdził:

– Ach, ten już słyszałem.

– To włącz inny.

– Nie, ten jest naprawdę świetny. Chcę, żebyś go posłuchała.

Położyła dłoń na jego ręce spoczywającej na dźwigni zmiany biegów i powiedziała: „Jesteś miły”, a różnica między spodziewanym „to miłe” a „jesteś miły” była naprawdę miła.

Podkast zaczął się opisem mistrzostw świata w warcabach w 1863 roku, podczas których każda z czterdziestu ośmiu partii zakończyła się remisem, a dwadzieścia jeden z nich przebiegało identycznie, ruch po ruchu.

– Dwadzieścia jeden identycznych partii. Każdy, dosłownie każdy ruch.

– Niewiarygodne.

Problem polegał na tym, że w warcabach liczba możliwych kombinacji jest względnie ograniczona, a ponieważ część posunięć jest zdecydowanie lepsza od innych, można poznać i zapamiętać przebieg rozgrywki „idealnej”. Narrator wyjaśnił, że termin „rejestr” odnosi się do historii wszelkich dotychczasowych partii. Partia znajduje się „w rejestrze”, gdy układ pionków na planszy zdarzył się już wcześniej. Partia jest „spoza rejestru” lub „poza rejestrem”, gdy konfiguracja jest bez precedensu. Warcabowy rejestr jest relatywnie niewielki. Mistrzostwa z 1863 roku pokazały, że w gruncie rzeczy grę doprowadzono do doskonałości, a rejestru nauczono się na pamięć. Nie zostało więc nic prócz monotonicznych powtórzeń i remisowych partii.

Szachy natomiast są niemal nieskończenie złożone. Istnieje więcej możliwych wariantów rozgrywki niż atomów we wszechświecie.

– Pomyśl o tym. Więcej niż atomów we wszechświecie!

– Skąd wiedzą, ile jest atomów we wszechświecie?

– Policzyli je, przypuszczam.

– Pomyśl, ilu by trzeba do tego palców.

– Rozśmieszasz mnie.

– Z tego, co widzę, to nie.

– W duchu tak. Śmieję się bezgłośnie.

Jacob wsunął pięć palców między palce Julii.

Szachowy rejestr stworzono w szesnastym wieku, do połowy dwudziestego wieku zajmował już całą bibliotekę w Moskiewskim Klubie Szachowym – setki pudeł wypełnionych protokołami dokumentującymi wszystkie profesjonalne partie, jakie rozegrano w historii. W latach osiemdziesiątych umieszczono go w sieci – dla wielu ten moment stanowi początek końca gry, nawet jeśli ów koniec nigdy nie nastąpi. Od tamtej pory, gdy dwaj gracze mierzą się ze sobą, mają możliwość przeanalizowania historii rozgrywek przeciwnika, zobaczenia, jak reagował w różnych sytuacjach, jakie są jego mocne i słabe strony, na jaki ruch się prawdopodobnie zdecyduje.

Dostęp do rejestru upodobił całe fragmenty szachowej rozgrywki do warcabów –

sekwencje powielające doskonały, wyuczony na pamięć schemat – szczególnie otwarcia. Pierwszych szesnaście do dwudziestu posunięć można wyklepać z pamięci, po prostu recytując rejestr. Mimo to, z wyjątkiem najrzadszych partii, zawsze pojawiają się innowacje – układ figur, który w historii wszechświata nigdy wcześniej nie zaistniał. W zapisie partii nowy ruch oznacza się jako ruch „spoza rejestru”. Obaj gracze są wówczas zdani na siebie, bez historii czy wygasłych gwiazd, wedle których odnajduje się drogę.

Jacob i Julia przyjechali do zajazdu, gdy słońce chowało się za horyzontem, tak jak przed dekadą.

– Zwolnij troszkę – powiedziała Julia, gdy do celu zostało im jakieś dwadzieścia minut.

Pomyślał, że chce dosłuchać podkastu do końca, co go wzruszyło, ona jednak chciała przybyć tak samo jak ostatnim razem, co wzruszyłoby go, gdyby o tym wiedział.

Jacob podprowadził samochód niemal na miejsce parkingowe i zostawił go na luzie. Wyłączył radio i przez długi czas patrzył na Julię, swoją żonę. Ruch obrotowy Ziemi skrył Słońce za horyzontem i doprowadził samochód całkiem na miejsce. Było ciemno: dekada zachodzącego słońca.

– Nic się nie zmieniło – powiedział Jacob, przebiegając dłonią po bezzaprawowym murze, gdy szli do wejścia porośniętą mchem ścieżką. Zastanawiał się, podobnie jak przed dziesięcioma laty, jak, u diabła, postawiono taki mur.

– Pamiętam wszystko, z wyjątkiem nas – powiedziała Julia z dosłyszalnym śmiechem.

Zameldowali się, ale zanim zanieśli rzeczy do pokoju, podeszli do kominka i ostrożnie usadowili się w wywołujących śpiączkę fotelach, których nie zapamiętali, lecz potem nie mogli powstrzymać się od wspomnień.

– Co piliśmy, gdy siedzieliśmy tu ostatnio? – spytał Jacob.

– Nawet pamiętam – powiedziała Julia – taka byłam zaskoczona twoim wyborem. Różowe wino.

Jacob roześmiał się i spytał:

– Co jest nie tak z różowym winem?

– Nic. – Julia się zaśmiała. – To było po prostu niespodziewane.

Zamówili dwa kieliszki różowego wina.

Starali się przypomnieć sobie wszystko z pierwszej wizyty, każdy najdrobniejszy szczegół: co mieli na sobie (jakie ubrania, jaką biżuterię), co kiedy mówili, jaka grała muzyka (o ile w ogóle jakaś grała), co leciało w telewizji w barze samoobsługowym, jakie darmowe przystawki serwowano, jakie żarty opowiadał Jacob, by zrobić na niej wrażenie, jakie żarty opowiadał, by rozmowa nie przebiegała tak, jak sobie nie życzył, co każde z nich myślało, kto miał odwagę, by skierować to wciąż młode małżeństwo na niewidzialny most między tym, gdzie się znajdowali (co było ekscytujące, ale niepewne), a tym, gdzie pragnęli się znaleźć (co miało być ekscytujące i solidne), nad przepaścią pełną ogromu potencjalnego bólu.

Przesunęli dłońmi po nierównych poręczach schodów do jadalni i zjedli kolację przy świecach. Niemal wszystkie produkty pochodziły z tutejszej posiadłości.

– To chyba podczas tamtej wycieczki tłumaczyłem, dlaczego nie składam okularów, zanim położę je na stoliku nocnym.

– Chyba tak.

Następny kieliszek różowego.

– Pamiętasz, jak wróciłaś z łazienki i ze dwadzieścia minut zajęło ci dostrzeżenie wiadomości, którą napisałem masłem na twoim talerzu?

– „Jesteś moją mleczną połową”.

– Tak. Naprawdę się wtedy dusiłem. Przepraszam za tamto.

– Gdybyśmy siedzieli bliżej ognia, może zostałabyś oszczędzona.

– Chociaż trudno wyjaśnić mamigłówkę. Och, cóż. Następnym razem spiszę się mleczniej.

– Następny raz jest teraz – powiedziała, zachęcająco i przyzywająco.

– I mam po prostu sypać nimi jak z rękawa. – Puścił oko. – Kaszka z mleczkiem.

– Okej.

– Płacę nad rozlanym mlekiem twojego stoicyzmu.

– To daj mi coś dobrego.

– Wiem, co sobie myślisz: „Zsiadłe kalambury, co za mlęczarnia!”.

To wzbudziło stłumiony chichot. Julia odruchowo próbowała powstrzymać śmiech (nie przed Jacobem, ale przed samą sobą) i poczuła nieoczekiwane pragnienie, by sięgnąć ręką przez stół i go dotknąć.

– Co? Nie możesz uwierzyć w to, że nie jest lepszy?

Znów chichot.

– Mleko poprzedza esencję.

– Tego nie łapię. Co ty na to, żebyśmy przeszli do razowych kalamburów, a może nawet do dialogu?

– Wydołem możliwości do cna?

– Przestań, Jacob.

– To może jakiś suchar? Albo bicie piany-śmietany?

– Zdecydowanie na tym należy skończyć.

– Żeby oczyścić tę mlęczącą atmosferę: jestem najzabawniejszym mężczyzną, jakiego znasz?

– Tylko dlatego że Benjy nie jest jeszcze mężczyzną – powiedziała, ale połączenie oszałamiającego refleksu jej męża z jego dojmującą potrzebą bycia kochanym przywołało falę miłości, wciągając Julię w jej wir.

– Pistolety nie zabijają ludzi, to ludzie zabijają ludzi. Tostery nie tostują tostów, tosty tostują tosty.

– Tostery tostują pieczywo.

– Margarynes błędu jest zbyt mały!

A gdyby ofiarowała mu miłość, której potrzebował i którą potrzebowała ofiarować, gdyby powiedziała: „Twój umysł sprawia, że pragnę cię dotykać”?

Gdyby był w stanie rzucić odpowiedni żart w odpowiedniej chwili, a najlepiej być cicho?

Kolejny kieliszek różowego wina.

– Ukradłeś zegarek z biurka! Właśnie sobie przypominałam!

– Nie ukradłem zegarka.

– Ukradłeś – powiedziała Julia. – Absolutnie tak.

Jacob jedyny raz w życiu sparodiował Nixona:

– Nie jestem złodziejem!

– Cóż, z pewnością *byłeś*. To był mały, składany, tani drobiazg. Po tym, jak się kochaliśmy. Podszedłeś do biurka, zatrzymałeś zegarek i włożyłeś go do kieszeni kurtki.



– Po co miałbym to robić?

– Myślę, że to miało być romantyczne. Albo zabawne. A może próbowałaś mi pokazać listy uwierzytelniające twoją spontaniczność? Nie mam pojęcia. Cofnij się i zapytaj siebie.

– Jesteś pewna, że masz na myśli mnie? A nie jakiegoś innego mężczyznę? Jakąś inną romantyczną noc w zajeździe?

– Nigdy z nikim innym nie zdarzyła mi się romantyczna noc w zajeździe – powiedziała Julia, choć nie powinno to wymagać mówienia i nie było zgodne z prawdą, ale chciała zaopiekować się Jacobem, zwłaszcza w tamtej chwili. Po kilku krokach na tym niewidzialnym moście żadne z nich nie wiedziało, że on się nigdy nie kończy, że reszta ich wspólnego życia będzie wymagała pełnych wiary kroków, które doprowadzą jedynie do kolejnego kroku wiary. Wtedy pragnęła się o niego troszczyć, ale nie zawsze miała tego chcieć.

Zostali przy stoliku, dopóki kelner, gęsto się usprawiedliwiając, nie wyjaśnił, że zamykają restaurację na noc.

– Jak brzmiał tytuł tego filmu, którego nie obejrzelśmy?

Musieli pójść do pokoju.

Jacob położył rzeczy na łóżku, jak wtedy. Julia przełożyła je na ławeczkę w nogach łóżka, jak wtedy. Jacob wyjął kosmetyczkę.

– Wiem, że nie powinnam, ale zastanawiam się, co robią teraz dzieciaki – powiedziała Julia.

Jacob zachichotał. Julia przebrała się w swoją „wymyślną” piżamę. Jacob przyglądał się jej, nieświadom żadnej ze zmian, które zaszły w jej ciele w ciągu tej dekady, odkąd byli tu ostatnio, ponieważ od tamtego dnia widział jej ciało niemal codziennie. Zerkał na nią ukradkiem jak nastolatek, na jej piersi i tyłek, nadal fantazjował o tym, co było zarazem prawdziwe i należące do niego. Julia czuła się obserwowana i podobało jej się to, więc się nie spieszyła. Jacob przebrał się w bokserki i tiszert. Julia podeszła do umywalki i rytualnie wyciągnęła szyję, stary nawyk, przyglądając się sobie, podczas gdy delikatnie naciągała dolną powiekę – jakby miała założyć soczewkę kontaktową. Jacob wyjął obie szczoteczki do zębów, na każdą z nich nałożył pastę i położył szczoteczkę Julii przy umywalce.

– Dzięki – powiedziała Julia.

– Nie. Wspominaj. O. Tym – odpowiedział Jacob zabawnym głosem robota, którego zupełnie przypadkowe pojawienie się mogło być jedynie wyrazem lęku przed uczuciami i czynami, których teraz od nich oczekiwano. Albo tak przynajmniej pomyślała Julia.

Jacob umył zęby i pomyślał: „A jeśli mi nie stanie?”. Julia umyła zęby, szukając w lustrze czegoś, czego nie chciała widzieć. Jacob przez pięć sekund aplikował Old Spice’a pod każdą pach (mimo że nie pocił się we śnie), umył twarz płynem do codziennego użytku Cetaphil do cery normalnej/tłustej (mimo że miał cerę normalną/suchą), a potem nałożył nawilżający balsam ochronny do twarzy Eucerin do codziennego użytku z wysokim filtrem SPF 30 (mimo że słońce zniknęło kilka godzin temu i mimo że spał pod dachem). Kilka dodatkowych kropel Eucerinu nałożył na ogniska zapalne: wokół skrzydełek nosa (określenie, które znał z neurotycznego guglowania – *Niestety, biedny Yoricku, skrzydełka twego brakującego nosa*), między brwi i na górne powieki. Tryb higieny Julii był bardziej złożony: mycie twarzy płynem S.W. Basics, nałożenie maksymalnie wygładzającego kremu na noc SkinCeuticals z retinolem, aplikacja nawilżającego kremu Water Bank Laneige,

delikatne naniesienie wokół oczu liftingującego wielozadaniowego kremu na noc Lancôme Rénergie. Jacob poszedł do łazienki robić ćwiczenia rozciągające, z których śmiali się wszyscy w rodzinie – mimo argumentów kręgarza, że są konieczne w przypadku kogoś, kto prowadzi tak siedzący tryb życia, i mimo że naprawdę pomagały. Julia wyczyściła zęby nicią dentystyczną Oral-B Glide 3D, która – mimo że była zarazem koszmarem dla środowiska i zdzierstwem – oszczędzała jej odruchu wymiotnego. Jacob wrócił do łazienki i przentkował zęby najtańszą nicią, jaką zdołał znaleźć w CVS, bo sznurek to sznurek.

– Umyłeś już zęby? – spytała Julia.

– Przed tobą. Z minutę temu.

Kapka kremu do rąk zniknęła w dłoniach Julii.

Przeszli do sypialni i Jacob, jak zawsze w takiej chwili, powiedział, że musi siku. Wrócił do łazienki, zamknął drzwi, odprawił swój samotny wieczorny rytuał i spuścił wodę w nieużytej toalecie, by dopełnić komedii. Kiedy wrócił do sypialni, Julia opierała się o wezglowie łóżka, smarując udo zgiętej nogi ujędrniającym kremem na noc L'Oréal z kolagenem. Jacob często chciał jej powiedzieć, że nie jest to konieczne, że kochałby ją taką, jaka jest, podobnie jak ona go takim kochała, ale pragnienie, by czuć się atrakcyjną, było w jej naturze, podobnie jak i w jego, i to także powinno się kochać. Julia związała włosy.

Jacob dotknął gobelinu – przedstawienia bitwy morskiej pod sztandarem z napisem „Sytuacja Ameryki: wojna 1812 roku”, i powiedział:

– Ładne.

Pamiętała?

– Proszę, powiedz: „Nie dzwoń do dzieci”.

– Nie dzwoń do dzieci.

– Oczywiście nie powinnam.

– Albo zadzwoń. Nie jesteśmy urlopowymi fundamentalistami.

Julia się zaśmiała.

Jacob nigdy nie był odporny na jej śmiech.

– Chodź – powiedziała i poklepała łóżko obok siebie.

– Jutro mamy wielki dzień – powiedział Jacob, oświetlając kilka dróg ewakuacyjnych za jednym zamachem: jutro jest ważniejsze niż dzisiejszy wieczór, nie będzie zawodu, jeśli Julia przyzna się do zmęczenia.

– Musisz być skonany – stwierdziła Julia, nieznacznie zmieniając sytuację i przerzucając obowiązek na niego.

– Jestem – odparł niemal pytaniem, niemal akceptując swoją rolę. – Ty pewnie też – poprosił, by zaakceptowała swoje zmęczenie.

– Chodź – powiedziała – obejmij mnie.

Jacob wyłączył światło, położył niezłożone okulary na stoliku przy łóżku i wgramolił się do łóżka obok swojej żony dekady. Julia obróciła się na bok, wciskając głowę w pachę męża. Pocałował biegun północny jej głowy. Teraz byli zdani na siebie, bez historii czy wygasłych gwiazd, wedle których odnajduje się drogę.

Gdyby mówili to, co mieli na myśli, Jacob powiedziałaby:

– Szczerze mówiąc, nie jest tak przyjemnie, jak to zapamiętałem.

A ona by odpowiedziała:

– Nie mogło być.

– W dzieciństwie zjeżdżałem rowerem z górki za domem. Za każdym razem wcielałem się w narratora. Wiesz: „Jacob Bloch przygotowuje się do próby ustanowienia nowego rekordu prędkości. Mocno ściska kierownicę. Czy jest w stanie tego dokonać?”. Nazywałem ją Gigawzgórzem. W dzieciństwie te zjazdy jak nic innego sprawiały, że czułem się odważny. Wróciłem tam któregoś dnia. Było to w drodze na jakieś spotkanie i miałem kilka minut. Nie mogłem go znaleźć. Odnalazłem miejsce, w którym się znajdowało albo powinno znajdować, ale nie było go tam. Tylko niziuteńki pagóreczek.

– Dorosłeś – powiedziałyby Julia.

Gdyby mówili to, co mieli na myśli, Jacob powiedziałyby:

– Zastanawiam się, jak to jest, że nie uprawiamy teraz seksu. Ty też?

I bez przybierania pozycji obronnej bądź urazy Julia odparłaby:

– Tak, ja też.

– Nie oczekuję, że coś teraz powiesz. Słowo. Chcę ci tylko powiedzieć, w jakim jestem punkcie. Okej?

– Okej.

I podejmując ryzyko kolejnego kroku na niewidzialnym moście, Jacob powiedziałyby:

– Martwię się, że nie chcesz się ze mną kochać. Że mnie nie pragniesz.

– Nie masz co się martwić – odparłaby Julia, zbliżając dłoń do jego policzka.

– Zawsze cię pragnę – powiedziałaby on. – Patrzyłem, jak się rozbierasz...

– Wiem. Czułam to.

– Wyglądasz równie pięknie, jak dziesięć lat temu.

– To oczywista nieprawda. Ale dziękuję.

– Dla mnie to prawda.

– Dziękuję.

I Jacob znalazłyby się w połowie tego niewidzialnego mostu, nad przepaścią pełną potencjalnego bólu, w najbardziej oddalonym od strefy bezpieczeństwa punkcie:

– Dlaczego twoim zdaniem nie uprawiamy seksu?

A Julia stanęłaby u jego boku i nie spoglądając w dół, odpowiedziałyby:

– Może dlatego, że oczekiwania są takie wielkie?

– Może. I jesteśmy naprawdę zmęczeni.

– Wiem, że ja na pewno.

– Zamierzam powiedzieć coś, co niełatwo powiedzieć.

– Jesteś bezpieczny – zapewniłaby.

Odwróciłby się do niej i powiedział:

– Nigdy nie rozmawiamy o tym, dlaczego mi nie staje. Myślisz czasem, że to przez ciebie?

– Tak.

– To nie przez ciebie.

– Dziękuję, że to powiedziałeś.

– Julio – powiedziałyby – to nie przez ciebie.

Ale nie powiedział nic, podobnie jak ona. Nie dlatego, że słowa zostały celowo powstrzymane, ale dlatego że nic porozumienia między nimi była zbyt wąta, by unieść taką odwagę. Nagromadzenie zbyt wielu drobnostek: niewłaściwych słów, słów niewypowiedzianych, narzuconej ciszy, ataku na znane słabości, których można się

przekonująco wyprzeć, wzmianki o rzeczach, których nie należy wspominać, nieporozumienia i wypadki, chwile słabości, maleńkie akty wymierzania zasranej kary za maleńkie akty wymierzania zasranej kary za maleńkie akty wymierzania zasranej kary za pierwotną zniewagę, której nikt nie mógł sobie przypomnieć. Albo której w ogóle nie było.

Nie oddalili się od siebie tej nocy. Nie odsunęli się na przeciwległe strony łóżka ani nie zamknęli się każde w swojej ciszy. Obejmowali się i dzielili ciszą w ciemności. Lecz była to cisza. Żadne z nich nie zasugerowało, żeby badać pokój z zamkniętymi oczyma jak ostatnim razem, gdy tu byli. Badali go niezależnie, w swoich umysłach, u boku tego drugiego. A w kieszeni kurtki Jacoba był zatrzymany zegarek – dekada pierwszej czterdzieści trzy – z którego ujawnieniem czekał na odpowiedni moment.

*sprawię, że będziesz dochodzić dalej,  
jak już będziesz błagać, żebym przestał*

Siedziała w samochodzie – volvo jak każde inne, w kolorze, co do którego była pewna, że jest zły, chwilę po tym, gdy już nie mogła zmienić zdania – na parkingu sklepu z artykułami żelaznymi, nie wiedząc, co ze sobą zrobić, zdając sobie jedynie sprawę, że coś zrobić musi. Nie była dostatecznie biegła w używaniu telefonu, by zmarnować tyle czasu, ile musiała zmarnować. Ale mogła roztrwonić go choć trochę. Znalazła firmę, która robiła jej ulubione modele architektoniczne drzew. Nie były nazbyt realistyczne, nie były nawet dobrze wykonane. Lubiła je nie dlatego, że przywodziły na myśl drzewa, ale dlatego, że wywoływały smutek, który drzewa wywołują – w sposób, w jaki nieostre zdjęcie potrafi najlepiej uchwycić istotę tematu. Wydawało się w najwyższym stopniu nieprawdopodobne, żeby tak zaplanował producent, ale jednak było to możliwe, a poza tym nie miało żadnego znaczenia.

Wypuszczali nową linię jesiennych drzew. Co mogło stanowić rynek zbytu dla takich rzeczy? Pomarańczowy klon, czerwony klon, żółty klon, jesienny platan, jasnopomarańczowa osika, żółknący klon, żółknący platan. Wyobraziła sobie, jak maciupki młodszy Jacob i maciupka młodsza Julia w maciupkim porysowanym i powgniatanym saabie jadą zygzakowatą szosą pod nieskończonością maciupkich żółknących drzew pod nieskończonością maciupkich zbitych gwiazd. Lilipucia para, podobnie jak drzewa, nie była realistyczna ani solidnie wykonana, nie przywoływała też na myśl swoich większych, starszych odpowiedników, lecz smutek, który owe odpowiedniki zaczęły wywoływać.

Mark postukał w szybę samochodu. Próbowano ją opuścić i uświadomiła sobie, że samochód nie jest na chodzie, ale kluczyka nie było w stacyjce ani w jej ręce, a Julia nie potrafiła zdobyć się na to, by przeszukać torebkę, otworzyła więc niezgrabnie drzwi.

- Do zobaczenia na symulacji obrad ONZ.
- Co?
- Za kilka tygodni. Będę opiekunem.
- Och, nie wiedziałam.
- Możemy wtedy dokończyć naszą rozmowę.
- Nie wiem, czy zostało jeszcze wiele do powiedzenia.
- Zawsze jest więcej do powiedzenia.
- Czasem nie.

I wtedy, w trakcie tego wolnego dnia, pragnąc jedynie znaleźć się jak najdalej od swojego życia, odkryła, że wydreptuje linię pożądania do domu.

*wystarczy, kiedy to ja powiem, że wystarczy*

# Oto mnie nie ma

- > Wie ktoś, jak zrobić zdjęcie gwiazdom?
- > W sensie na niebie czy dłoniom w alei gwiazd?
- > Flesz w telefonie sprawia, że wszystko jest białe. Wyłączyłem go, ale migawka jest tak długo otwarta, że moje minimalne poruszenia wszystko rozmazują. Próbowałem usztywnić jedną rękę drugą, ale nadal wszystko jest rozmyte.
- > Nocą telefony do niczego się nie nadają.
- > Chyba że idzie się ciemnym korytarzem.
- > Telefon mi pada.
- > Albo chce się do kogoś zadzwonić.
- > Spróbuj to po prostu przyjąć.
- > Samanta, tutaj jest w kurwę jasno!
- > Niezła jazda.
- > Gdzie jesteś, że widać gwiazdy?
- > Koleś powiedział, że wszystko z nim w porządku. To mówię: „Skoro wszystko z nim w porządku, to dlaczego jest zepsuty?”. A on mi na to: „Dlaczego jest zepsuty, skoro wszystko z nim w porządku?”. I znów próbuję mu to pokazać, a ten znowu działa. Prawie bym się rozpłakał. Albo go zabił.
- > A tak w ogóle, co się dzieje na bat micwie?

W dowolnie wybranej chwili na świecie jest czterdzieści czasów. Drugi interesujący fakt: Chiny miały kiedyś pięć stref, ale dziś mają tylko jedną i dla części Chińczyków słońce wstaje dopiero po dziesiątej. Jeszcze jeden: na długo przed tym, nim człowiek zaczął podróżować w kosmos, rabini rozważali, jak tam obchodzić szabat. Zajmowali się tym nie dlatego, że przewidzieli podróże w kosmos, lecz dlatego że buddyści usiłują żyć z pytaniami, a żydzi prędzej by z tego powodu umarli. Na Ziemi Słońce wschodzi i zachodzi raz dziennie. Statek kosmiczny okrąży Ziemię w dziewięćdziesiąt minut, co wymagałoby obchodzenia szabatu co dziewięć godzin. Wedle jednego rozumowania żydzi po prostu nie powinni przebywać w miejscu, które budzi wątpliwości co do modlitw i obrzędów. Wedle innego ziemskie powinności dotyczą Ziemi – to, co dzieje się w kosmosie, zostaje w kosmosie. Jedni utrzymywali, że żydowski astronauta powinien przestrzegać tego samego porządku, którego przestrzegałby na Ziemi. Drudzy twierdzili, że szabat należy obchodzić wedle czasu ustawionego na przyrządach pomiarowych, mimo że Houston jest tak żydowskie jak szatnia Rockets. W przestrzeni kosmicznej zmarło dwóch żydowskich astronautów. Żaden nie obchodził szabatu.

Ojciec Sama dał mu artykuł o Ilanie Ramonie, jedynym Izraelczyku, który poleciał w kosmos. Przed odlotem Ramon udał się do Muzeum Holokaustu, by znaleźć jakiś przedmiot, który ze sobą zabierze. Wybrał rysunek Ziemi autorstwa młodego nieznanego chłopca, który zginął podczas wojny.

– Wyobraź sobie to słodkie bazgrzące dziecko – powiedział ojciec Sama. – Gdyby anioł wylądował na jego ramieniu i powiedział mu: „Zginiesz przed następnymi urodzinami, a za

sześćdziesiąt lat przedstawiciel żydowskiego państwa zanieś twój rysunek Ziemi widzianej z kosmosu w *kosmos*...

- Gdyby istniały anioły – przerwał mu Sam – toby go nie zabili.
- Gdyby te anioły były dobrymi aniołami.
- A wierzymy w złe anioły?
- Chyba w żadne nie wierzymy.

Sam lubił wiedzę. Gromadzenie faktów i dzielenie się nimi dawało mu poczucie kontroli, użyteczności, było przeciwieństwem bezsilności wypływającej z posiadania drobnego, słabo rozwiniętego ciała, które nie potrafi niezawodnie reagować na polecenia sporego, nadmiernie pobudzonego mózgu.

W *Innym Życiu* zawsze panował zmierzch, więc każdego dnia „inny czas” współgrał przez chwilę z „prawdziwym czasem” jego mieszkańców. Niektórzy określali ten moment mianem Harmonii. Niektórzy starali się go nie przegapić. Zdarzali się i tacy, którzy nie lubili być wtedy przy kampie. Do bar micwy Sama zostało jeszcze sporo czasu. Bat micwa Samanty była dzisiaj. Czy rysunek uległ po prostu całopaleniu, gdy wybuchnął prom kosmiczny? Czy jakieś jego kawałki nadal krążą po orbicie? Czy wpadły do wody, godzinami opadały na dno oceanu i przykryły jedno z tych żyjących w głębinach stworzeń, które są tak nieziemskie, że wyglądają, jakby przybyły z kosmosu?

W ławkach znajdowali się wszyscy, których znała Samanta, ludzie, których Sam nigdy nie spotkał. Pochodzili z Kioto, Lizbony, Sacramento, Lagosu, Toronto, Oklahomy i Bejrutu. Dwadzieścia siedem zmierzchów. Siedzieli razem w wirtualnej świątyni autorstwa Sama – dostrzegali jej piękno, Sam widział to, co z nią nie tak, to, co nie tak z nim. Przyszli dla Samanty, wspólnota jej wspólnot. O ile się orientowali, było to szczęśliwe wydarzenie.

- > Zanieś go po prostu do kogo innego. Domagaj się, żeby go otworzyli.
- > Po prostu wyjeb telefon z mostu.
- > Czy może mi ktoś wyjaśnić, co tu się wydarzy?
- > To zabawne, bo jadę teraz przez most, ale jestem w pociągu i nie da się otworzyć okna.
- > Podeślij nam zdjęcie wody.
- > Dziś Samanta staje się kobietą.
- > Okna można otworzyć na kilka sposobów.
- > Ma okres?
- > Wyobraźcie sobie tysiące telefonów wyrzuconych na brzeg.
- > Listy miłosne w cyfrowych butelkach.
- > Po co sobie wyobrażać? Pojedź do Indii.
- > Dziś staje się żydówką.
- > Też jestem w pociągu!
- > Ale jak żydówką?
- > Raczej hejty niż miłosne.
- > Nie sprawdzajmy, czy jedziemy tym samym pociągiem, ok?
- > Izrael jest najchujowszy.
- > Wiki: „Kiedy kobieta kończy 12 lat, staje się «bat micwą», córką przykazania, i według żydowskiej tradycji uznaje się, że przysługują jej takie same prawa jak osobie dorosłej.

Od tej pory jest moralnie i etycznie odpowiedzialna za swoje decyzje i czyny”.

> Ustaw w aparacie samowyzwalacz, a potem połóż telefon na ziemi obiektywem do góry.

> Żydzi są najgorsi.

> Puk, puk.

> Po co w ogóle robić zdjęcie gwiazd?

> Żeby je zapamiętać.

> Kto tam?

> Na pewno nie sześć milionów Żydów!

> ?

> Zdycham ze śmiechu.

> Antysemita!

> I tak zdycham.

> Jestem Żydem!

Nikt nigdy nie spytał Sama, dlaczego wybrał Latynoskę na swój awatar, bo nikt z wyjątkiem Maxa o tym nie wiedział. Wybór mógł się wydawać dziwny. Ktoś mógłby go nawet uznać za obraźliwy. Ten ktoś by się mylił. To bycie Samem było dziwne i obraźliwe. Mieć tak liczne gruczoły ślinowe i potowe. Nie być w stanie nie myśleć o chodzeniu w trakcie chodzenia. Mieć syfy na plecach i tyłku. Nie istniało bardziej poniżające i zniechęcające do życia doświadczenie niż kupowanie ciuchów. Ale jak wytłumaczyć mamie, że wolałby nie mieć nic odpowiednio dobranego, niż w lustrzanej sali tortur odnaleźć potwierdzenie, że nic nigdy nie będzie na niego pasować? Rękawy nigdy nie będą kończyły się tam, gdzie powinny. Kołnierzyki zawsze będą za bardzo sterczały, wystawały albo odginały się nie tak jak trzeba. Guziki wszystkich koszul z rogami kołnierzyka przypinanymi na guziki zawsze były tak rozmieszczone, że przedostatni guzik od góry sprawiał, że zapięcie go za bardzo krępowało ruchy, a rozpięcie zbyt wiele odsłaniało. Istniało miejsce – pojedynczy punkt w przestrzeni – gdzie można było usytuować guzik tak, by wywołać naturalne wrażenie. Ale nigdy nie wyprodukowano koszuli z takim układem guzików, pewnie dlatego że nikt nie miał tak nieproporcjonalnej budowy górnej połowy ciała jak on.

Ponieważ jego rodzice byli technologicznymi przyjebańcami, Sam wiedział, że co jakiś czas sprawdzają jego historię wyszukiwań, której regularne czyszczenie podtykało mu tylko pod zaszyfiony nos jego własną załosność wiążącą się z wiekiem, posiadaniem chromosomu Y i oglądaniem na YouTube klipów instruktażowych na temat przyszywania guzików. Wieczorami, za zamkniętymi drzwiami sypialni, gdy rodzice martwili się, że szuka informacji na temat broni palnej, biseksualności albo islamu, zabierał się do przyszywania przedostatnich guzików obrzydłych koszul w jedyne znośne miejsce. Połowa rzeczy, którymi się zajmował, była stereotypowo gejowska. Właściwie to pewnie dużo więcej niż połowa, jeśli od wszystkich czynności odliczyć takie jak wyprowadzanie na spacer średniej wielkości psa czy spanie, które nie posiadają heteryckich ani gejowskich właściwości. Nie przejmował się tym. Nie miał najmniejszych problemów z gejami, nawet od strony estetyki. Chciałby jednak poprawić swój wynik, ponieważ jego największy problem wynikał z bycia niezrozumianym.



Któregoś ranka mama spytała go przy śniadaniu, czy przesywał guziki w koszulach. Zaprzeczył z nonszalancką gwałtownością.

– Sądzę, że to schludne.

I w ten oto sposób od tamtej pory górną część codziennej całorocznej garderoby zmienił na tiszerty American Apparel, mimo że miały tajemniczą zdolność uwypuklania sutków na jego zwykle zapadniętej klatce.

Dziwnie było mieć włosy, które nigdy – mimo regularnego i obfitego stosowania produktu do układania – nie układały się jak należy. Dziwnie było chodzić, a często zdawał sobie sprawę, że zaczyna iść krokiem prawie – lub za bardzo – jak z wybiegu, kołysząc tyłkiem i stawiając stopy tak ciężko, jakby chciał nie tylko zabijać owady, ale wręcz doprowadzić do owadziej Zagłady. Dlaczego chodził w ten sposób? Ponieważ chciał chodzić jak nic, a gigantyczny wysiłek, jaki w to wkładał, owocował okropnym spektaklem w postaci okropnej przechadzki kogoś, kto jest takim przychlastem, że naprawdę używa słowa „przechadzka”. Dziwnie było siedzieć na krześle, musieć nawiązywać kontakt wzrokowy, mówić głosem, który – jak wiedział – należy do niego, lecz którego nie rozpoznawał albo rozpoznawał w nim jedynie głos należący do kolejnego samozwańczego szeryfa Wikipedii, którego noty biograficznej nigdy nie odwiedzi – a tym bardziej nie zredaguje – ktoś, kto nie jest nim samym.

Zakładał, że zdarzały się chwile – nie tylko podczas masturbacji – gdy czuł się we własnym ciele jak u siebie, ale nie mógł ich sobie przypomnieć; może zanim zmiążdżył sobie palce? Samanta nie była jego pierwszym awatarem w *Innym Życiu*, ale była pierwszym, któremu pasowała logarytmiczna skóra. Nigdy nie musiał się nikomu tłumaczyć z wyboru (Max był wystarczająco naiwny albo szlachetny, by się tym nie przejmować), ale jak miał to wyjaśnić samemu sobie? Nie chciał być dziewczyną. Nie chciał być Latynoską. Nie chciał też być latynoską dziewczyną. Mimo niemal nieustannego żalu, jaki odczuwał z powodu bycia sobą, nie mylił siebie z problemem. Problemem był świat. To świat nie pasował. Ale ile dobrego przyszło kiedykolwiek z poprawiania przeszłych przewin świata?

> Siedziałem do trzeciej, krążąc po mojej okolicy na Google Street View, i zobaczyłem siebie.

> Czy po tym będzie jakieś przyjęcie?

> Wie ktoś, jak obrobić PDF? Jestem za leniwa, żeby to rozkminić.

> Tytuł moich celebryckich wspomnień: „Była to najgorsza z najgorszych epok”.

> Jakiego rodzaju PDF?

> Syrop klonowy skończy się za trzy lata?

> Będą po hebrajsku? Jak tak, to czy ktoś mniej leniwy ode mnie napisze skrypt, żeby przepuścić je przez translator?

> Też o tym czytałem.

> Dlaczego sprawia mi to tak straszną przykrość?

> Ma ktoś klucz Nexteka?

> Bo uwielbiasz gofry.

> Tytuł moich celebryckich wspomnień: „Zrobiłem to po twojemu”<sup>6</sup>.

> Opuściłem artykuł o syryjskich uchodźcach. Wiem, że to gówno jest potworne, i wiem, że w teorii mnie to smuci, ale nie umiem sprawić, żeby wzbudziło to we mnie

prawdziwe emocje. A z powodu syropu chciałem się schować pod łóżkiem.

> Działają tylko przez kilka tygodni.

> To schowaj się i płacz klonowymi łzami.

> Samanta, mam dla ciebie coś, co ci się strasznie spodoba, o ile już tego nie masz, a zapewne nie masz. Tak czy siak, właśnie leci.

> Najpiękniejsza piosenka świata dobiega ze słuchawek dziewczyny siedzącej po drugiej stronie nawy.

> Najczęściej oglądane dziś: dzieciaki w Rosji na domowej roboty bungee, aligator gryzący węgorza elektrycznego, stary koreański sprzedawca spuszcza łomot włamywaczowi, śmiejące się pięcioraczki, dwie czarne dziewczynki dają sobie nawzajem wycisk na placu zabaw...

> Jaka piosenka?

> Chcę zrobić coś epickiego, ale co?

> Nieważne, już to ogarnęłam.

> W dupę, nie wiedziałem, że na bat micwę trzeba przynieść prezent.

> Transfer trwa całą wieczność.

Sam pomyślał, żeby napisać do Billie i sprawdzić, czy nie chciałyby z nim pójść w niedzielę na pokaz tańca nowoczesnego (czy show albo jak to się tam nazywało). Brzmiało super, kiedy pisała o tym w pamiętniku, który wyjął z jej plecaka, podczas gdy ona była na sali gimnastycznej; schował go za swoim o wiele większym, o wiele mniej interesującym podręcznikiem do chemii i zaczął studiować (słowo to oznacza dokładne przeciwieństwo tego, co większości ludzi wydaje się, że ono oznacza). Nie lubił pisać na telefonie, bo musiał patrzeć na swój kciuk – palec, który ucierpiał najbardziej albo najgorzej się zagoił. Ten, którego ludzie starali się nie zauważać. Tygodnie po tym, jak inne palce odzyskały dawny kolor i przybliżony kształt, kciuk pozostawał czarny i przekrzywiony przy knykciu. Lekarz powiedział, że się nie przyjmuje i trzeba go będzie amputować, aby chronić przed zakażeniem pozostałą część dłoni. Powiedział to w obecności Sama. „Jest pan pewien?” – spytał ojciec. Matka obstawała przy zasięgnięciu dodatkowej opinii. Druga opinia była taka sama, ojciec westchnął, a matka nalegała, żeby zasięgnąć kolejnej. Trzeci lekarz oświadczył, że nie istnieje ryzyko natychmiastowej infekcji, dzieciaki są niemal nadludzko odporne, a poza tym „takie rzeczy po prostu prawie zawsze jakimś trafem leczą się same”. Jego ojciec w to nie wierzył, ale matka owszem i w ciągu dwóch tygodni ciemność wycofała się w kierunku koniuszka kciuka. Sam miał prawie osiem lat. Nie pamięta żadnego z doktorów ani nawet fizjoterapii. Ledwie pamięta sam wypadek i czasem zastanawia się, czy tak naprawdę nie wspomina wspomnień rodziców. Nie pamięta, by wrzeszczał „Dlaczego to się stało?” ile sił w płucach – nie z powodu zgrozy, gniewu czy dezorientacji, ale z powodu wagi pytania. Istnieją opowieści o matkach podnoszących samochody, pod którymi uwięzione są ich dzieci, przypomina sobie, nie przypomina sobie jednak nadludzkiego opanowania mamy, gdy ta spotkała jego dziki wzrok i poskromiła go, mówiąc: „Jestem tu, kocham cię”. Nie pamięta, jak go przytrzymywano, gdy lekarz przyszywał mu z powrotem czubki palców. Nie pamięta, że obudził się z pięciogodzinnej pooperacyjnej drzemki, by odkryć, że ojciec wypełnił jego pokój słodyczami Child’s Play. Ale pamięta, jak w dzieciństwie bawili się w „palec pod budkę, bo za minutkę zamykam

budkę, budka się zamyka, paluszki przytyka”. Po wypadku nigdy się już w to z Benjym nie bawili, ani razu, nigdy nawet nie przyznali się do tego, że przestali się w to bawić. Rodzice pragnęli oszczędzić Sama, nie rozumiejąc, że wstyd, o którym przypominało milczenie, był tym właśnie, czego można mu było oszczędzić.

> Powinna być taka apka, że wycelowujesz w coś telefon, a on strimuje filmik pokazujący, jak to coś wyglądało kilka sekund temu. (Oczywiście wymagałoby to tego, żeby praktycznie wszyscy rejestrowali i przesyłali praktycznie wszystko praktycznie zawsze, ale to już się właściwie dzieje). Doświadczaloby się dzięki temu świata, jaki przed chwilą się wydarzył.

> Fajny pomysł. I można by zmieniać ustawienia, żeby zwiększyć lagi.

> Można by obejrzeć świat z wczoraj, sprzed miesiąca, z dnia urodzin albo – to pewnie będzie możliwe dopiero w przyszłości, gdy wrzuci się wystarczająco dużo filmików do sieci – ludzie mogliby poruszać się po świecie z dzieciństwa.

> Wyobraź sobie umierającego, który jeszcze się nie narodził i pewnego dnia chodzi po domu z dzieciństwa.

> A co, gdyby go zburzyli?

> I byłyby tam też duchy.

> Duchy? Że jak?

> „Umierającego, który jeszcze się nie narodził”.

> Czy to się kiedyś w końcu zacznie?

Do świata po drugiej stronie ekranu przywołało Sama pukanie.

– Idź sobie.

– W porządku.

– Co? – spytał, otwierając drzwi Maxowi.

– Właśnie sobie szedłem.

– Co to?

– Talerz z jedzeniem.

– Nieprawda.

– Tosty to też jedzenie.

– Dlaczego, u diabła, miałbym chcieć tosta?

– Żeby zatkać sobie uszy?

Sam dał znać Maxowi, żeby wszedł.

– Gadają o mnie?

– No jacha.

– Złe rzeczy?

– Na pewno nie śpiewają *For He's a Jolly Good Fellow* ani nic w tym stylu.

– Tata jest zawiedziony?

– Tak bym to ujął.

Sam z powrotem podszedł do komputera, podczas gdy Max próbował nonszalancko chłonąć szczegóły pokoju brata.

– Mną? – spytał Sam, nie odwracając głowy w stronę Maxa.

– Co?

- Zawiedziony mną?
- Myślałem, że o to ci chodziło.
- Czasem jest taką cipą.
- Tak, a mama bywa niezłym kutasem.

Sam się zaśmiał.

- Totalnie tak.

Wylogował się i odwrócił w stronę Maxa.

– Tak wolno zdejmują plaster z opatrunkiem, że nowe włosy mają czas urosnąć i się do niego przykleić – powiedział.

- Hę?
- Chciałbym, żeby już byli po rozwodzie.
- Po rozwodzie? – spytał Max; jego organizm przekierował krew do części mózgu skrywającej panikę.

- Jasne.

- Serio?

- Co z tobą, ignorant jesteś?

- To znaczy jakby głupek?

- Ktoś, kto nie wie.

- Nie.

– To kogo byś wybrał? – spytał Sam, przejeżdżając palcem po krawędzi obudowy iPada, po prostokątnej wyrwie w świecie materialnym.

- Do czego?

- *Wybierz*. Do życia.

Maxowi się to nie podobało.

- Czy dzieci, hm, nie są trochę z tym, trochę z tym albo coś takiego?

- Taa, tak by się zaczęło, ale potem, no wiesz, zawsze kończy się wybieraniem.

Max tego nie znosił.

– Tata jest chyba fajniejszy – powiedział. – I rzadziej pakowałbym się w kłopoty. I pewnie miałbym więcej fajowych rzeczy i dłużej mógłbym oglądać telewizję...

– Żeby przyjemnie spędzać czas, zanim umrzesz na szkorbut albo czerniaka z powodu niestosowania kremu z filtrem, albo zanim by cię po prostu wsadzili za kratki za codzienne spóźnianie się do szkoły.

- Wsadzają za to do więzienia?

- Na pewno jest takie prawo, że trzeba chodzić.

- Tęskniłbym też za mamą.

- Za czym konkretnie?

- Za tym, że jest, jaka jest.

Samowi się to nie spodobało.

– Ale tęskniłbym za tatą, gdybym zamieszkał z mamą – podjął Max – więc chyba nie wiem. A ty kogo byś wybrał?

- Dla ciebie?

- Dla siebie. Chciałbym po prostu być tam gdzie ty.

Sam tego nie znosił.

Max odchylił głowę i spojrzał w sufit, żeby łzy wróciły tam, skąd zaczęły napływać.

Wydawało się to niemal mechaniczne, ale właśnie ta jego niezdolność, by wprost stawić czoła tak wyraźnie ludzkim emocjom, czyniła go człowiekiem. A przynajmniej synem jego ojca.

Max włożył ręce do kieszeni (papierek po cukierku, krótki ołówek z wyprawy na minigolfa, paragon, z którego starł się druk) i powiedział:

– No więc poszedłem raz do zoo.

– Byłeś w zoo wiele razy.

– To dowcip.

– Ach.

– No więc poszedłem raz do zoo, bo słyszałem, że to jakby najlepsze zoo na świecie.

I rozumiesz, chciałem zobaczyć je na własne oczy.

– Musiało robić niezłe wrażenie.

– No więc, co dziwne, w całym zoo było tylko jedno zwierzę.

– Nie gadaj.

– Ehe. I to pies.

– Argus?

– Właśnie spieprzyłeś mi puentę.

– Zaczynij od końca.

– Zacznę od początku.

– Okej.

– No więc poszedłem raz do zoo, bo słyszałem, że to najlepsze zoo na świecie. Ale rzecz w tym, że w całym zoo było tylko jedno zwierzę. Do tego pies.

– Jezu!

– Tak, i okazało się, że to jajnik. Czaisz?

– Naprawdę śmieszne – powiedział Sam, nie będąc w stanie się roześmiać, choć uważał, że to rzeczywiście naprawdę śmieszne.

– Ale łapiesz, nie? Jajnik.

– Tak.

– Jajnik.

– Dzięki, Max.

– Jestem wkurzający?

– Wcale.

– Jestem.

– Wręcz przeciwnie.

– Co jest przeciwieństwem wkurzającości?

Sam odchylił głowę, rzucił wzrokiem na sufit i powiedział:

– Dzięki, że nie spytałeś, czy to zrobiłem.

– Och – odparł Max, pocierając palcami wytarty paragon. – To dlatego, że mnie to nie obchodzi.

– Wiem. Tylko ciebie to nie obchodzi.

– Wychodzi na to, że to była gówniana rodzina – powiedział Max, zastanawiając się, gdzie stąd pójdzie.

– To nie jest śmieszne.

– Może tego nie łapiesz.

# Kwintesencja

– Tato? – powiedział Benjy, wchodząc znów do kuchni w towarzystwie babci. Zawsze mówił „tato” ze znakiem zapytania, jakby pytał, gdzie jest ojciec.

– Tak, kolego?

– Jak wczoraj robiłeś kolację, to brokuły dotykały kurczaka.

– I właśnie sobie o tym pomyślałeś?

– Nie. Myślałem o tym cały dzień.

– I tak wszystko miesza się w twoim żołądku – oznajmił od progu Max.

– A ty skąd się wziąłeś? – spytał Jacob.

– Z dziury w pochwie mamy – odpowiedział Benjy.

– Poza tym i tak umrzesz – podjął Max – więc co za różnica, co dotyka kurczaka, który zresztą i tak nie żyje.

– To prawda, tato? – zwrócił się Benjy do Jacoba.

– Która część?

– Ta, że umrę.

– Po co, Max? Po co to w ogóle było potrzebne?

– Ja umrę!

– Za wiele, wiele lat.

– To naprawdę jakaś różnica? – spytał Max.

– Mogło być gorzej – stwierdził Irv. – Mogłeś być Argusem.

– Dlaczego gorzej byłoby być Argusem?

– Wiesz, łapa w piekarniku.

Benjy wydał z siebie jęk żałości, a potem – jakby przywędrowała światłowodem stamtąd, gdzie właśnie była – Julia otworzyła drzwi i wpadła do środka.

– Co się stało?

– Co tu robisz? – spytał Jacob, nienawidząc w tej chwili wszystkiego.

– Tata mówi, że umrę.

– W rzeczywistości – tłumaczył Jacob z wymuszonym śmiechem – powiedziałem tylko, że będziesz żył bardzo, bardzo długo.

Julia posadziła sobie Benjy’ego na kolanach i oświadczyła:

– Oczywiście, że nie umrzesz.

– W takim razie zrób te dwa mrożone burrito – powiedział Irv.

– Cześć, kochanie – zwróciła się do Julii Deborah. – Zaczynało tu trochę brakować estrogeny.

– Czemu mam kuku, mamusiu?

– Nie masz kuku – stwierdził Jacob.

– Na kolanie, o tu – powiedział Benjy, nie wskazując niczego.

– Musiałeś się przewrócić – skwitowała Julia.

– Dlaczego?

– Tam nie ma dosłownie żadnego kuku.

– Bo upadki to część życia – powiedziała Julia.

- To kwintesencja życia – oznajmił Max.
  - Niezłe słownictwo, Max.
  - Kwintesencja? – spytał Benjy.
  - Sedno czegoś – powiedziała Deborah.
  - Dlaczego upadek jest kwintesencją życia?
  - Wcale nie jest – odparł Jacob.
  - Ziemia zawsze spada w kierunku słońca – powiedział Max.
  - Dlaczego?
  - Z powodu grawitacji – odparł Max.
  - Nie – powiedział Benjy, adresując kolejne pytanie do Jacoba. – Dlaczego upadek nie jest kwintesencją życia?
  - Dlaczego *nie* jest?
  - Tak.
  - Nie jestem pewien, czy rozumiem twoje pytanie.
  - Dlaczego?
  - Dlaczego nie jestem pewien, czy rozumiem twoje pytanie?
  - Tak, właśnie.
  - Dlatego że ta rozmowa stała się zagmatwana i dlatego że jestem tylko istotą ludzką z poważnie ograniczonym intelektem.
  - Jacob!
  - Ja umieram!
  - Zdecydowanie przesadzasz.
  - Wcale że tak.
  - Wcale że *nie*.
  - Że tak.
  - *Nie*, Benjy.
  - Pocałuj to, Jacob – wtrąciła Deborah.
- Jacob pocałował nieistniejące kuku Benjy’ego.
- Mogę przenieść naszą lodówkę – powiedział Benjy, nie do końca pewien, czy jest już gotów skończyć z płaczem.
  - To cudownie – odparła Deborah.
  - Oczywiście, że nie możesz – oświadczył Max.
  - Max powiedział, że oczywiście, że nie mogę.
  - Daj chłopakowi spokój – szepnął Jacob do Maxa tak głośno, że wszyscy słyszeli. – Skoro mówi, że może podnieść lodówkę, to może podnieść lodówkę.
  - Mogę zanieść ją daleko stąd.
  - Przejmuję stery – powiedziała Julia.
  - Mogę kontrolować mikrofalówkę umysłem – oświadczył Max.
  - Nie ma mowy – powiedział Jacob do Julii, zbyt beztrzesko, żeby brzmieć wiarygodnie. – Świetnie nam idzie. Świetnie się bawiliśmy. Wszedłeś w złym momencie. Niereprezentatywnym. Ale wszystko jest dobrze, a to twój dzień.
  - Wolny od czego? – spytał matkę Benjy.
  - Co? – spytała Julia.
  - Od czego potrzebowałaś wolnego?

- Kto powiedział, że potrzebowałam wolnego?
- Tata przed chwilą.
- Powiedziałem, że dajemy ci wolne.
- Wolne od czego? – spytał Benjy.
- Właśnie – chciał wiedzieć Irv.
- Od nas, oczywiście – odparł Max.

Tak wiele sublimacji: rodzinna bliskość przerodziła się w dystans intymny, dystans intymny przerodził się we wstyd, wstyd przerodził się w rezygnację, rezygnacja przerodziła się w strach, strach przerodził się w urazę, uraza przerodziła się w samoobronę. Julia często myślała, że gdyby mogli trafić po nitce do kłębka tego, co ukryte, mogliby naprawdę odnaleźć dawną otwartość. Czy chodziło o wypadek Sama? O nigdy niepostawione pytanie, jak do tego doszło? Zawsze zakładała, że chronią się wzajemnie za pomocą milczenia, lecz co, jeśli próbowali się skrzywdzić, przenieść ranę z Sama na siebie? A może to coś wcześniejszego? Czy zatajanie rzeczy przed sobą poprzedzało poznanie się? Wiara w to zmieniłaby wszystko.

Zbyt trudno było bezustannie nosić w sobie urazę zrodzoną ze strachu zrodzonego z rezygnacji zrodzonej ze wstydu zrodzonego z dystansu zrodzonego z bliskości. Na co więc ją zepchnąć? Oczywiście na dzieci. Oboje byli winni, Jacob i Julia, ale to Jacob był winny bardziej. Stawał się wobec nich coraz bardziej oschły, ponieważ wiedział, że to zniosą. Naciskał na nie, bo wiedział, że nie odpowiedzą. Bał się Julii, ale nie ich, dawał im więc to, co należało się jej.

- Wystarczy! – warknął do Maxa, podnosząc głos. – Wystarczy.
- Chyba tobie – odburknął Max.

Spojrzenia Jacoba i Julii spotkały się po tym pierwszym synowskim odszczeknięciu.

- Co takiego?
- Nic.

– Max, ja z tobą nie dyskutuję. – Jacob się wściekł. – Mam już dość dyskusji. Za dużo ich w tej rodzinie.

- Kto dyskutuje? – spytał Max.

Deborah podeszła do syna i powiedziała:

- Odetchnij, Jacob.
- Już się naoddychałem.
- Chodźmy na moment na górę – zasugerowała Julia.

– Nie, tak robimy z *nimi*. A nie ty ze mną. – Następnie Jacob odwrócił się z powrotem do Maxa. – Czasami w życiu, w rodzinie, trzeba po prostu zrobić to, co trzeba, bez niekończących się analiz i negocjacji. Zaakceptować pewne zasady.

- Tak, zaakceptować pewne zagłady – powiedział Irv, naśladując syna.

- Przestań, tato, dobra? – odparł Jacob.

- Mogę podnieść całą kuchnię – stwierdził Benjy, dotykając ręki ojca.

- Kuchni nie da się podnieść – odparł Jacob.

- Da się.

- Nie, Benjy. Nie da się.

- Jesteś taki silny – powiedziała Julia, chwytając Benjy'ego za nadgarstki.

- Całopalny – odpowiedział Benjy, dodając szeptem: – Mogę podnieść naszą kuchnię.



Max liczył na matkę. Julia zamknęła oczy, nie chcąc lub nie mogąc ochronić go tak, jak jego młodszego brata.

Walka psów, jak dar niebios, przyciągnęła wszystkich do okna. Właściwie nie była to walka, tylko dwa psy szczekające na zadowoloną z siebie wiewiórkę. Jednakże dar niebios. Kiedy domownicy wrócili do kuchni na swoje pozycje, zdawało się, że poprzednie dziesięć minut wydarzyło się dziesięć lat temu.

Julia przeprosiła i poszła wziąć prysznic. Nigdy nie brała prysznic w środku dnia i zaskoczyła ją siła, która ją tam zawiodła. Słyszała dźwięki dobiegające z pokoju Sama – wyraźnie łamał pierwszy zakaz swojego zesłania – ale nie zatrzymała się.

Zamknęła drzwi łazienki, przekręciła klucz, postawiła torbę na podłodze, rozebrała się i uważnie przyjrzała sobie w lustrze. Wyciągnąwszy rękę do góry, mogła prześledzić żyłę przecinającą jej prawą pierś od spodu. Jej piersi zanikały, brzuch zaczął wystawać. To były maleńkie, prawie niedostrzegalne zmiany. Kosmyki włosów łonowych sięgających brzucha pociemniały – zdawało się, że sama skóra również. Nie było to nic nowego, lecz kwestia procesu. Obserwowała i czuła niechciane przemiany ciała co najmniej od czasu, gdy urodził się Sam: powiększanie się i ostateczne kurczenie piersi, osadzanie tłuszczu na pobliznionych udach, rozluźnienie wszystkiego, co było jędrne. Podczas drugiej wizyty w zajeździe i przy innych okazjach Jacob mówił, że uwielbia jej ciało dokładnie takie, jakie jest. Ale choć mu wierzyła, czasem w nocy czuła potrzebę, by go przeprosić.

A potem sobie przypominała. Oczywiście, że tak: była tam, żeby Julia przypominała sobie o niej w tej chwili. Wtedy nie miała o tym pojęcia. Nie wiedziała, dlaczego ona, która nigdy w życiu nic nie ukradła, właśnie to robi. Oto dlaczego.

Postawiła jedną stopę na zlewie i przysunęła do ust gałkę do drzwi, ogrzewając ją i zwilżając oddechem. Rozsunęła wargi sromu i przycisnęła ją tam, z początku delikatnie, potem mniej delikatnie, i zaczęła obracać. Poczuła, jak zalewa ją pierwsza fala czegoś dobrego, i nogi się pod nią ugięły. Przykucnęła, rozpięła górne guziki koszuli i odsłoniła jedną pierś. Następnie raz jeszcze zwilżyła gałkę językiem i znów odnalazła miejsce między wargami, przyciskała ją do łechtaczki maleńkimi okrężnymi ruchami, a potem po prostu nią poklepywała. Podobało jej się, jak ciepły metal zaczyna przywierać do skóry, a potem lekko ją pociąga.

Znalazła się na czworakach. Nie. Stała. Gdzie? Na zewnątrz. Tak. Oparta o samochód. Na parkingu. Na dworze. Nie, zgięta – górna połowa jej ciała na tylnym siedzeniu samochodu, stopy na ziemi. Spodnie i bielizna spuszczone tak, by obnażyć tyłek. Wcisnęła głowę w siedzenie i wypięła się. Rozstawiła nogi na tyle szeroko, na ile pozwalały majtki. Chciała, żeby się trzymały. Pragnęła, żeby było trudno. Mogli ich nakryć w każdej chwili. Musisz się spieszyć, powiedziała do niego. Do niego? Po prostu rznij mnie ostro. To był Jacob. Spraw tylko, żebym doszła. Po prostu wypieprz mnie, jak chcesz, Jacob, i odejdz. Po prostu zostaw mnie tu ze spermą ściekającą po udach. Wyjeb mnie i spadaj. Nie. Zmiana. Teraz była w salonie wystawowym z artykułami żelaznymi na indywidualne zamówienie. Żadnych męzczyzn. Tylko gałki do drzwi. Pokręciła gałką przy łechtaczce, polizała trzy palce i wsunęła je do środka, żeby poczuć skurcze, gdy będzie dochodzić.

Nagły łoskot jak gwałtowne lądowanie, które wyrwało ją ze zbliżającego się snu. Ale to nie było to – nie runęła na podłogę, to coś zważyło się na nią. Co, do cholery, się działo? Czy

za dużo krwi uderzyło jej do talii, powodując jakiś neurologiczny uraz? Masturbacja była kwestią wysiłku umysłowego, lecz nagle Julia znalazła się na łasce swego umysłu.

Przez wieko sosnowej trumny mogła dostrzec stojącego nad nią Sama; był taki przystojny w garniturze, z łopata w ręku. Nie chciała tego. Nie sprawiało jej to przyjemności. Co za śliczny chłopak. Co za piękny mężczyzna. Wszystko w porządku, kochanie. W porządku, w porządku, w porządku. Jęczała, a on wył – oboje zwierzęcy. Nabrał kolejną łopatę ziemi i wysypał na nią. Więc tak to wygląda. Teraz już wiem i nic się nie zmieni.

A później Sam odszedł.

Jacob, Max i Benjy też.

Odeszli wszyscy jej mężczyźni.

Potem jeszcze więcej ziemi. Tym razem z łopat nieznajomych, po czterech na raz.

Później oni także odeszli.

I została sama, w najmniejszym z domów w jej życiu.

Do świata, do życia przywróciły ją wibracje – wyswobodziły Julię z niechcianych fantazji. Uderzył ją zupełny absurd tego, co robi. Za kogo właściwie się uważała? Teściowie na dole, syn na końcu korytarza, ubezpieczenie emerytalne przewyższające stan konta oszczędnościowego. Nie wstydziła się, czuła się głupio.

Znów wibracje.

Nie była w stanie zlokalizować ich źródła.

To był telefon, ale takich wibracji nigdy nie słyszała.

Czy Jacob sprawił Samowi smartfona, żeby zastąpić przechodni telefon z klapką, na którym jej syn przez ostatni rok pisał tak szybko jak Joseph Mitchell? Dyskutowali, czy tego nie zrobić przy okazji bar micwy, ale do tego czasu zostało jeszcze wiele tygodni i było to, zanim Sam wpakował się w tarapaty. A poza tym się rozmyślili. Już i tak zbyt wiele rzeczy odciągało wszystkich za bardzo w jazgotliwe gdzie indziej. Eksperyment z *Innym Życiem* niemal całkiem pochłonął umysł Sama.

Usłyszała wibracje.

Przeszukała wiklinowy koszyk pełen toaletowych drobiazgów i apteczkę: małe i duże pudełka advilu, zmywacz do paznokci, tampony ekologiczne, wkłady filtrujące wodę, nadtlenek wodoru, spirytus salicylowy, benadryl, neomycyna, polimyksyna, ibuprofen dla dzieci, sudafed, żel do dezynfekcji Purell, loperamid, tabletki przeczyszczające, amoksycylina, maść z triamcynolonem w postaci acetonidu, maść z lidokainą, dermoplast w spreju, krople do uszu, sól fizjologiczna, maść z mupirocyną, nić dentystyczna, balsam z witaminą E... wszystkie te rzeczy, których może potrzebować organizm. Kiedy organizmy wykształciły w sobie tyle potrzeb? Przez wiele lat nie potrzebowała niczego.

Usłyszała wibracje.

Skąd to? Może byłaby w stanie przekonać siebie samą, że to u sąsiadów po drugiej stronie ściany, a nawet że sobie to wymyśliła, ale telefon zawibrował raz jeszcze i tym razem umiejscowiła dźwięk w rogu blisko podłogi.

Znów znalazła się na czworakach. W koszyku na gazety? Za sedesem? Sięgnęła dłonią za muszlę i ledwie zdążyła go wymacać, a znów zawibrował, jakby odwzajemnił jej dotyk. Czyj to był telefon? Zawibrował raz jeszcze: nieodebrany telefon od Julii.

*Julia?* Przecież to ona była Julią.

*co się z tobą dzieje?*

## Z-a-2-r-a-z-e-m-n-i-e-p-r-z-e-j-d-z-i-e

Sam wiedział, że wszystko się zawali, nie wiedział tylko dokładnie, jak i kiedy. Jego rodzice mieli się rozwieść i ostatecznie się znienawidzić, i siać zniszczenie jak ten japoński reaktor. Tyle było wiadomo, choć może nie im. Starał się nie zwracać uwagi na ich życie, ale nie dało się zignorować tego, jak często jego tata zasypiał z nudów, jak często jego mama uciekała w przycinanie drzewek modeli architektonicznych, że tata zaczął podawać deser każdego wieczora, a mama mówiła Argusowi, że „potrzebuje przestrzeni”, gdy tylko ją polizał, jak bardzo mama przywiązała się do działu podróży, że historię wyszukiwań taty zdominowały strony z nieruchomościami, że mama sadzała sobie Benjy’ego na kolanach, gdy tylko tata był w pomieszczeniu, nie dało się zignorować agresji, z jaką tata zaczął hejtować „rozpuszczonych” sportowców, którym „się nawet nie chce”, tego, że mama wpłaciła trzy tysiące dolarów na fundusz National Public Radio, a w odwecie tata kupił vespę, końca z przystawkami w restauracjach, końca z trzecią bajką do poduszki Benjy’ego, końca kontaktu wzrokowego.

Dostrzegali to, czego rodzice nie widzieli lub czego nie mogli pozwolić sobie zobaczyć, a to tylko jeszcze bardziej go wkurzało, bo bycie mniej głupim od własnych rodziców jest obrzydliwe, jak łyk mleka, kiedy spodziewasz się soku pomarańczowego. A ponieważ nie był tak głupi jak jego rodzice, wiedział, że pewnego dnia pojawi się sugestia, że nie musi wybierać, mimo że będzie musiał. Zdawał sobie sprawę, że straci ochotę albo zdolność udawania w szkole, jego stopnie polecą po równi pochyłej wedle jakiegoś wzoru, który powinien był opanować, a rodzice – w odpowiedzi na smutek wywołany jego smutkiem – będą gorliwiej przejawiać miłość, on zaś będzie wynagradzany za rozpad małżeństwa. Ich poczucie winy z powodu tego, że tak wiele od niego żądają, wybawi go z opresji rozgrywek sportowych, będzie mógł z korzyścią dla siebie renegotjować czas przed telewizorem, jego obiady przestaną wyglądać tak bardzo eko i już niebawem zaczną dryfować ku górze lodowej, podczas gdy jego rodzice będą toczyć pojedynek na skrzypce.

Uwielbiał ciekawostki, lecz prawie zawsze niepokoiły go przy tym dziwne, powracające myśli. Jak ta: co by było, gdyby doświadczył cudu? Jak przekonałby kogokolwiek, że nie żartuje? A gdyby noworodek zdradził mu tajemnicę? Gdyby drzewo odmaszerowało? Gdyby spotkał starszą wersję siebie i dowiedział się o wszystkich możliwych do uniknięcia katastrofalnych błędach, których nie będzie w stanie uniknąć? Wyobrażał sobie rozmowy z mamą, tatą, fałszywymi przyjaciółmi w szkole, prawdziwymi w *Innym Życiu*. Większość z nich po prostu by się roześmiała. Może jednego albo dwóch dałoby się zachęcić do jakiegoś przejawu wiary. Max przynajmniej chciałby mu uwierzyć. Benjy by mu wierzył, ale tylko dlatego, że wierzył we wszystko. A Billie? Nie. Sam zostałby ze swoim cudem sam.

Rozległo się pukanie do drzwi. Nie tych do świątyni, ale tych do jego pokoju.

– Wypad, gnoju.

– Słucham? – powiedziała mama, wchodząc do środka.

– Przepraszam – odparł Sam, przewracając na biurku iPada ekranem do dołu. –

Myślałem, że to Max.

– I uważasz, że w ten sposób należy zwracać się do brata?

- Nie.
- Albo do kogoś innego?
- Nie.
- To dlaczego to powiedziałaś?
- Nie wiem.
- Może poświęć chwilę i sam się nad tym zastanów.

Nie wiedział, czy to tylko retoryczna sugestia, rozumiał jednak, że to nie czas, by brać matkę inaczej niż dosłownie.

Po chwili zastanowienia nie zdobył się na nic lepszego niż:

- Chyba jestem kimś, kto mówi rzeczy, o których wie, że nie powinien ich mówić.
- Chyba tak.
- Ale się poprawię.

Zlustrowała pokój. Boże, ależ nienawidził tych jej ukradkowych inspekcji: jego pracy domowej, rzeczy, wyglądu. Ciągłe matczyne osądy przecinały go jak rzeka, tworząc dwa brzegi.

- Co porabiasz?
- Nie mejluję, nie esemesuję, nie gram w *Inne Życie*.
- W porządku, ale co *porabiasz*?
- W sumie nie wiem.
- Nie jestem pewna, jak to możliwe.
- Czy to nie twój wolny dzień?

– Nie, to nie jest mój *wolny* dzień. To dzień, kiedy *wolno* mi pozalać rzeczy, które odkładam. Jak oddychanie i myślenie. Ale koniec końców, musieliśmy rano złożyć nieplanowaną wizytę w Adas Israel, jak być może pamiętasz, a następnie musiałam się spotkać z klientem...

- Dlaczego musiałaś?
- Bo to moja praca.
- Ale dlaczego dzisiaj?
- Uważałam, że muszę, okej?
- Okej.

– A potem w samochodzie przyszło mi do głowy, że choć niemal na pewno stanęłaś okoniem, chyba nadal powinniśmy zachowywać się tak, jakby bar micwa miała się odbyć. A pośród całego mnóstwa rzeczy, o których tylko ja pamiętam, żeby pamiętać, jest twój garnitur.

- Jaki garnitur?
- Właśnie.
- Racja. Nie mam garnituru.
- Oczywiście, gdy się to stwierdzi, prawda?
- Tak.
- Ciągłe mnie zadziwia, ilu rzeczy to dotyczy.
- Przepraszam.
- Dlaczego przepraszasz?
- Nie wiem.
- W takim razie musimy ci sprawić garnitur.

– Dziś?

– Tak.

– Serio?

– W pierwszych trzech miejscach, do których się wybierzemy, nie będzie tego, czego nam potrzeba, a jeśli znajdziemy coś znośnego, nie będzie pasowało, a krawiec pomyli się dwa razy.

– Muszę tam być?

– Gdzie?

– W garniturowni.

– Nie, nie, oczywiście, że nie. Ułatwmy sobie sprawę i skonstruujmy własną drukarkę 3D z patyków po lodach i makaronu, by wykonać doskonale wierny model anatomiczny twojego ciała, który w swój wolny dzień będzie mogła sama zatańczyć do *garniturowni*.

– Moglibyśmy nauczyć go mojej haftary?

– Nie będę śmiała się teraz z twoich żartów.

– Nie trzeba koniecznie o tym mówić.

– Słucham?

– Nie musisz mówić, że się nie śmiejesz, żeby ktoś wiedział, że się nie śmiejesz.

– To też nie było konieczne, Sam.

– Dobrze. Przepraszam.

– Będziemy musieli porozmawiać, kiedy tata wróci do domu ze spotkania, ale chcę coś powiedzieć. To jest *konieczne*.

– Dobrze.

– Przestań powtarzać „dobrze”.

– Przepraszam.

– Przestań powtarzać „przepraszam”.

– Myślałem, że chodzi o to, że oczekuje się ode mnie przeprosin.

– Za to, co zrobiłeś.

– Ale ja nie...

– Bardzo mnie zawiodłeś.

– Wiem.

– I to tyle? Nie masz nic więcej do powiedzenia? Na przykład w stylu: „Przepraszam, że to zrobiłem”?

– Nie zrobiłem tego.

– Posprzątaj ten burdel. To obrzydliwe.

– To mój pokój.

– Ale nasz dom.

– Nie mogę przestawić tej planszy. Jesteśmy dopiero w połowie rozgrywki. Tata powiedział, że skończymy, jak nie będę miał już kłopotów.

– Wiesz, dlaczego zawsze z nim wygrywasz?

– Bo mi pozwala.

– Nie robi tego od lat.

– Odpuszcza.

– Nie odpuszcza. Pokonujesz go, bo podnieca się tym, że zbija pionki, a ty myślisz cztery ruchy naprzód. Dzięki temu jesteś dobry w szachy i dobry w życie.

- Nie jestem dobry w życie.
- Jesteś, gdy tylko trochę pomyślisz.
- A tata jest kiepski w życie?
- Nie o tym teraz rozmawiamy.
- Gdyby się skupił, mógłby mnie pokonać.
- Bardzo możliwe, że tak, ale tego się nie dowiemy.
- O czym w takim razie *rozmawiamy*?

Wyjęła telefon z kieszeni.

- Co to?
- Telefon komórkowy.
- Twój?
- Nie wolno mi mieć smartfona.
- Właśnie dlatego zmartwiłabym się, gdyby należał do ciebie.
- W takim razie nie musisz się martwić.
- Czyj to telefon?
- Nie mam pojęcia.
- Telefony to nie kości dinozaurów. Nie pojawiają się tak po prostu.
- Kości dinozaurów też nie.
- Na twoim miejscu przyhamowałabym z tą inteligencją. – Włączyła telefon. I jeszcze raz.

– Jak mam go przejrzeć?

- Zakładam, że ma jakieś hasło.
- Owszem.
- To nie masz szczęścia.
- Równie dobrze mogę spróbować „za2razemprzejdzie”, prawda?
- Chyba.

Wszyscy dorośli członkowie rodziny Blochów używali tego idiotycznego hasła do wszystkiego: od Amazona, przez Netflix i domowy alarm, po telefony.

- Nie-e – powiedziała, pokazując ekran Samowi.
- Warto spróbować.
- Powinam go zabrać do sklepu albo coś w tym stylu?
- Nie otwierają nawet telefonów terrorystów.
- Może spróbuję z tym samym hasłem, ale wersalikami.
- Możesz.
- Jak się robi wielkie litery?

Sam wziął telefon. Pisał z prędkością deszczu bijącego o świetlik, ale Julia widziała tylko zniekształcony kciuk, i to w zwolnionym tempie.

- Nie-e – powiedział Sam.
- Spróbuj zapisać słownie.
- Co?

– D-r-u-g-i-m.

– To by było trochę głupie.

– To by było błyskotliwe w porównaniu z używaniem dokładnie tego samego hasła do wszystkiego.

– z-a-d-r-u-g-i-m-r-a-z-e-m-p-r-z-e-j-d-z-i-e... Nie. Przepraszam. To znaczy, nie przepraszam.

– Spróbuj liczebnikiem, tylko z pierwszą wielką.

– Że jak?

– Wielkie „Z” i „d-r-u-g-i-m” zamiast cyfry.

Tym razem pisał wolniej, uważnie.

– Hm...

– Odblokowany?

Sięgnęła po telefon, ale Sam trzymał go jeszcze przez ułamek sekundy, wystarczająco długo, by poczuli się niezręcznie. Zerknął na matkę. Jej olbrzymi starożytny kciuk wynosił słowa na szczyt małej szklanej góry. Spojrzała na Sama.

– Co? – spytał.

– Co: co?

– Dlaczego na mnie patrzysz?

– Dlaczego na ciebie patrzę?

– W ten sposób.

Jacob nie mógł zasnąć bez podcastu. Mówił, że informacje działają na niego uspokajająco, ale Julia wiedziała, że chodzi o towarzystwo. Zwykle spała, gdy przychodził do łóżka – nieświadoma choreografia – ale od czasu do czasu zdawała sobie sprawę, że sama słucha. Którejś nocy, z chrapiącym u boku mężem, słuchała, jak naukowiec zajmujący się snem wyjaśnia istotę świadomego śnienia – chodzi o sny, w których człowiek zdaje sobie sprawę, że śni. Najpowszechniejsza technika wywoływania świadomego śnienia polega na wyrobieniu nawyku, by na jawie spoglądać na tekst (stronę książki albo czasopisma, plakat, ekran), a potem odwrócić wzrok i spojrzeć raz jeszcze. W snach teksty nie pozostają niezmiennie. Jeśli wyćwiczysz taki nawyk, stanie się on odruchem. A jeśli wyćwiczysz taki odruch, zakradnie się on do snów. Nieciągłość tekstu będzie wskazywała na to, że śniesz, i w tym momencie nie tylko będziesz tego świadom, lecz także nad tym zapanujesz.

Odwróciła wzrok od telefonu i spojrzała za siebie.

– Wiem, że *nie grasz w Inne Życie*. Jak się nazywa to, co robisz?

– W sensie?

– Jak określić to, co robisz?

– Żyję? – powiedział, próbując zrozumieć zmianę na twarzy matki.

– Chodzi mi o *Inne Życie*.

– Tak, wiem.

– *Żyjesz Innym Życiem?*

– Zwykle nie muszę opisywać, co tutaj robię, ale tak.

– *Możesz żyć Innym Życiem*.

– Aha.

– Nie, nie, chodzi mi o to, że ci wolno.

– Teraz?

– Tak.

– Myślałem, że mam szlaban.

– Masz – powiedziała, wsuwając telefon do kieszeni. – Ale teraz możesz nim żyć, jeśli chcesz.

– Możemy jechać po garnitur.

– Innym razem. Mamy czas.



Sam odwrócił wzrok od matki i spojrzał za siebie.

Sprawdził wszystkie sterowniki. Nie był zły, po prostu chciał powiedzieć to, co należało powiedzieć, a potem obrócić synagogę w gruzy. Nie pasowała, nie była domem. Wszystko odrutował dwa razy bardziej niż trzeba i umieścił trzy razy więcej materiałów wybuchowych, niż to było konieczne: pod każdą z ławek, poza zasięgiem wzroku na półce, na której leżał sidur, zakopał je pod stosem jarmułek w sięgającym do pasa ośmiokątnym drewnianym pojemniku.

Samanta wyjęła Torę ze skrzyni. Zaintonowała jakiś wyuczony na pamięć nonsens, rozebrała Torę i rozłożyła przed sobą na bimie. Wszystkie te piękne, czarne jak smoła litery. Wszystkie cudowne minimalistyczne zdania, złączone, by opowiedzieć te wspaniałe, rozbrzmiewające echem w nieskończoność historie, które powinny przepaść w mrokach dziejów i nadal przepaść mogą. Detonator znajdował się we wskaźniku do Tory. Samanta chwyciła wskaźnik, znalazła swoje miejsce na zwoju i zaczęła monotonicznie recytować.

- > Bar'chu et Adonai ham'vorach<sup>7</sup>.
- > Że co?
- > Zabrałam mojego młodszego brata do zoo i te nosorożce zaczęły się pieprzyć, i w ogóle była jazda. Po prostu stał tam i patrzył. Nie czaił nawet, że to zabawne, co zresztą było najzabawniejsze.
- > Uważaj!
- > To zabawne, gdy ktoś nie wie, że coś jest zabawne.
- > Jak mogę tęsknić za kimś, kogo nigdy nie spotkałem?
- > Baruch Adonai ha-meworach le-olam wa-ed<sup>8</sup>.
- > Zawsze, ale to zawsze będę przedkładał nieuczciwość nad fałszywą szczerłość.
- > Apka: wszystko, co powiesz, pewnego dnia zostanie wykorzystane przeciwko tobie.
- > Baruch ata, Adonai...
- > Jest: wysławiamy Cię...
- > Mam takie dziwne coś, że nie jestem w stanie sobie przypomnieć, jak wyglądają ludzie, których znam. Albo to sobie wmówiłem. Próbuje wyobrazić sobie twarz brata i nie mogę. Nie chodzi o to, że nie wyłowiałabym go w tłumie albo bym go nie poznała. Ale gdy próbuję o nim myśleć, nie mogę.
- > Elohejnu, Melech ha-olam.
- > Ściągnij program, który nazywa się VeryPDF. To całkiem proste.
- > Wieczny Boże, Królu świata...
- > Przepraszam, jadłem właśnie kolację. Jestem w Kioto. Gwiazdy są już na niebie od dawna.
- > Ktoś widział filmik, jak ścinają głowę żydowskiemu reporterowi?
- > aszer bachar banu mi-kol ha-amim...
- > VeryPDF ma milion bugów.
- > Wezwałęś nas na Swą służbę...
- > Mój iPhone przyprawia mnie o chorobę morską.
- > we-natan lanu et Torato<sup>9</sup>...

> Musisz zablokować obracanie ekranu. Naciśnij dwa razy Home, żeby przywołać pasek z aplikacjami. Przeciągnij w prawo, dopóki nie pojawi się coś, co wygląda jak okrąg ze strzałką – ten okrąg włącza i wyłącza rotację ekranu.

> Czy można oślepnąć od gapienia się na film ze słońcem?

> Czy ktoś wie coś o tym nowym teleskopie, o skonstruowaniu którego mówią Chińczycy? Podobno ma cofać się w czasie dwa razy dalej niż jakikolwiek teleskop wcześniej.

> Baruch Atah, Adonai...

> Wiem, że to brzmi, jakbym był na haju, ale czy nie powinniśmy zauważyć, jak dziwne jest to, co przed chwilą powiedziałeś? Ma cofać się w czasie dwa razy dalej?

> Każde słowo, które w życiu napisałem, zmieściłbym na pendrivie.

> Błogosławimy Cię...

> Wyobraźcie sobie, że umieściliby w kosmosie, naprawdę daleko od nas, ogromne lustro. Czy nie moglibyśmy, wycelowując w nie teleskop, zobaczyć siebie z przeszłości?

> Znaczy? > Im dalej by się znajdowało, tym głębiej w naszą przeszłość moglibyśmy zajrzeć: oglądać nasze narodziny, pierwszy pocałunek rodziców, jaskiniowców.

> Dinozaury.

> Moi rodzice nigdy się nie całowali, a pieprzyli dokładnie jeden raz.

> Fauna wypełzająca z oceanu.

> notein haTorah.

> A gdybyśmy byli ustawieni w rzędzie, to patrzyłbyś i siebie nie widział.

> Dawco Tory.

Samanta podniosła wzrok.

Czego tak właściwie by trzeba, żeby z gruntu dobra istota ludzka została zobaczona? Nie dostrzeżona, lecz zobaczona. Nie doceniona, nie otoczona opieką, nawet nie kochana. Ale zobaczona w swej pełni.

Spoglądała na zgromadzenie awatarów. Byli to godni zaufania, hojni, zasadniczo przyzwoici nieistniejący ludzie. Najgruntowniej przyzwoitymi ludźmi, jakich poznała, byli ci, których nigdy nie pozna.

Spoglądała równocześnie na i poprzez witraże Żydowskiej Teraźniejszości.

Sam przypadkiem słyszał każde słowo za drzwiami gabinetu rabina Singera. Wiedział, że ojciec mu wierzy, a matka nie. Wiedział, że matka stara się robić to, co według niej najlepsze, a ojciec próbuje robić to, co najlepsze według niego. Ale dla kogo najlepsze?

Odnalazł telefon na dobie przed matką.

Powinno paść wiele słów przeprosin, ale on nie był ich winien nikomu.

Bez odchrząknięcia Samanta zaczęła mówić, by powiedzieć to, co musi zostać powiedziane.

# Kwintesencja

Im człowiek starszy, tym trudniej mu doliczyć się czasu. Dzieci pytają: „Daleko jeszcze?”, dorośli zaś: „Jakim cudem dojechaliśmy tak szybko?”.

Tak się jakoś złożyło, że było późno. Jakimś sposobem czas się gdzieś ulotnił. Irv i Deborah pojechali do domu. Chłopcy zjedli wczesną kolację i wcześniej się wykąпали. Jacob i Julia zdołali współpracować, unikając siebie nawzajem: ty wyprowadzasz Argusa, ja pomagam Maxowi z matką, ty składasz pranie, ja szukam klocka lego, od którego wszystko zależy, ty udajesz, że wiesz, jak naprawić cieknącą spłuczkę – i jakimś sposobem dzień, który Julia miała mieć dla siebie, skończył się tym, że Jacob wyszedł rzekomo na drinka z kimś tam z HBO, a Julia ostatecznie sprzątała całodzienny bałagan. Tak niewiele zrobiło tak wielki burdel w tak krótkim czasie. Zmywała naczynia, gdy Jacob wszedł do kuchni.

– Trwało dłużej, niż sądziłem – powiedział, uprzedzając jej słowa. I by jeszcze bardziej umniejszyć swoją winę, dodał: – Co za nudy.

– Pewnie jesteś pijany.

– Nie.

– Jak to jest, że przez cztery godziny piłeś drinki i się nie upiłeś?

– Drinka – powiedział, rzucając marynarkę na stół – nie drinki. I tylko trzy i pół.

– Raczej nie spieszyłeś się za bardzo z tym pić. – Jej ton był cięty, ale wiele rzeczy mogło go wyostrzyć: dzień wolny, który przepadł, poranny stres, bar micwa.

Otarła czoło tą częścią przedramienia, która nie była namydlona, i powiedziała:

– Mieliśmy porozmawiać z Samem.

Dobrze, pomyślał Jacob. Ze wszystkich możliwych sprzeczek ta była najmniej przerażająca. Mógł przeprosić, naprawić to, powrócić do szczęścia.

– Wiem – odparł, czując smak alkoholu na zębach.

– Mówisz, że wiesz, chociaż jest noc, a my z nim nie rozmawialiśmy.

– Ledwie wszedłem. Zamierzałem napić się wody i potem iść z nim pogadać.

– Plan był taki, że rozmawiamy z nim razem.

– Cóż, mogę ci oszczędzić roli złego gliny.

– Chyba oszczędzić jego przed złym gliną.

– Będę dobrym i złym.

– Nie, będziesz sanitariuszem.

– Nie mam pojęcia, co to znaczy.

– Przepraszam, że w ogóle musisz go zganić, i skończy się tym, że razem się pośmiejecie, a mnie znów przypadnie rola irytującej matki, która szuka dziury w całym. Po kilku minutach poklepie cię po plecach, a do mnie przez miesiąc będzie miał żal.

– Nic z tego, co powiedziałaś, nie jest prawdą.

– Jasne.

Szorowała patelnię ze zwęglonego osadu.

– Max śpi? – spytał, kierując usta w jej stronę, a wzrokiem uciekając na bok.

– Jest *dwudziesta druga trzydzieści*.

– Sam jest u siebie?

- Jeden drink przez cztery godziny?
- Trzy i pół. W połowie ktoś się pojawił i to po prostu...
- Tak, Sam jest w swoim emocjonalnym schronie przeciwlotniczym.
- Gra w *Inne Życie*?
- Żyje nim.

Z czasem zaczęli bardzo obawiać się nieobecności dzieci wypełniających pustkę. Bywało, że Julia zastanawiała się, czy pozwala im wieczorem dłużej siedzieć tylko po to, żeby uchronić się przed ciszą, czy przywołuje Benjy'ego do siebie na kolana, by był ludzką tarczą.

- Jak minął wieczór Maxowi?
- Jest w depresji.
- W depresji? Nie, on nie ma żadnej depresji.
- Masz rację. To pewnie tylko mononukleozą.
- Ma ledwie *jedenaste* lat.
- Ledwie *dziesięć*.
- Depresja to mocne słowo.
- Które dobrze się nadaje do opisu mocnych doświadczeń.
- A Benjy? – spytał Jacob, przepatrując szufladę.
- Coś zginęło?
- Co?
- Szukasz czegoś.
- Pójdę dać buziaka Benjy'emu.
- Obudzisz go.
- Będę jak ninja.
- Zasypiał przez godzinę.
- Dosłownie godzinę? Czy tak się wydawało?
- Dosłownie sześćdziesiąt minut rozmyślań o śmierci.
- Niesamowity dzieciak.
- Bo ma obsesję na punkcie umierania?
- Bo jest wrażliwy.

Jacob przeglądał pocztę, gdy Julia napełniała pralkę. Comiesięczne żółte strony z szarymi meblami Restoration Hardware, cotygodniowe pogwałcenie prywatności ze strony ACLU, prośba o wsparcie finansowe od prywatnego liceum Georgetown Day School, ulotka jakiegoś agenta nieruchomości z telewizyjnym uśmiechem i informacją, za ile sprzedał właśnie dom sąsiada, różne papierowe potwierdzenia elektronicznych opłat za media, katalog producenta ubranek dziecięcych, którego algorytm marketingowy nie był na tyle wyrafinowany, żeby uwzględnić fakt, iż dzieciństwo jest stanem przejściowym.

Julia uniosła telefon.

Jacob zdołał podtrzymać swoje ciało, choć wszystko się w nim zawaliło jak w jednym z tych nadmuchiwanych klaunów z obciążoną podstawką, które ciągle wyskakują, by zebrać więcej razów.

- Wiesz czyj to?
- Mój – powiedział, biorąc go do ręki. – Sprawilem sobie nowy.
- Kiedy?
- Kilka tygodni temu.

– Dlaczego?  
– Dlatego że... ludzie kupują sobie nowe telefony.  
Włała do pralki za dużo płynu i zbyt mocno ją zamknęła.

– Ma hasło.  
– Tak.  
– W twoim starym telefonie nie było hasła.  
– Owszem, było.  
– Nie, nie było.  
– Skąd wiesz?  
– A dlaczego miałabym nie wiedzieć?  
– No tak.  
– Czy powinienes mi coś powiedzieć?

W college'u Jacob wpadł na plagiacie. Działo się to, zanim pojawiły się programy komputerowe, które były w stanie takie rzeczy wykryć, więc aby zostać nakrytym, trzeba było dokonać zuchwałej kradzieży – takiej jak jego. Ale nie przyłapano go, przyznał się przypadkiem. Wezwano go do gabinetu profesora od prozy amerykańskiej, poproszono, by usiadł, skazano na fermentację w cuchnącym oddechu profesora, podczas gdy ten kończył lekturę ostatnich trzech stron książki, a potem niezdarnie przerzucał papiery na biurku, szukając jego pracy.

– Panie Bloch.

Czy to było oświadczenie? Potwierdzenie, że złapali właściwego gościa?

– Tak?

– Panie Bloch – powiedział profesor, potrząsając stronami jak lulawem – skąd wzięły się te pomysły?

Ale zanim profesor miał szansę powiedzieć: „Ponieważ finezją zdecydowanie wykraczają ponad pana wiek”, Jacob odpowiedział:

– Z Harolda Blooma.

Mimo oceny niedostatecznej i warunkowej zgody na pozostanie w szkole, cieszył się ze swojej wpadki – nie dlatego, że uczciwość była dla niego w tym przypadku tak ważna, lecz dlatego, że najbardziej nienawidził bycia przyłapanym na gorącym uczynku. Przemieniało go to w przerażone dziecko i zrobiłby wszystko, by tego uniknąć.

– Nowe telefony pytają o hasło – powiedział Jacob. – Pewnie go wymagają.

– Zabawny sposób, by powiedzieć „nie”.

– A jak brzmiało pytanie?

– Czy powinienes mi coś powiedzieć?

– Zawsze jest wiele rzeczy, które chcę ci powiedzieć.

– Powiedziałam „powinienes”.

Argus zaskomlał.

– Nic z tej rozmowy nie rozumiem – oświadczył Jacob. – I co to za smród, u diabła?

Tyle dzielonych dni. Tyle doświadczeń. Jak udało im się w ciągu ostatnich szesnastu lat odczytać siebie nawzajem? Jak to możliwe, że suma całej tej obecności złożyła się na zanik?

A teraz, z najstarszym dzieckiem u progu wieku męskiego i najmłodszym, które stawia pytania na temat śmierci, znajdowali się w kuchni pośród spraw, o których wreszcie nie warto było rozmawiać.

Julia dostrzegła plamkę na swojej koszuli i zaczęła ją wycierać, choć dobrze wiedziała, że jest stara i nie do sprania.

– Nie przyniosłeś rzeczy z pralni, jak przypuszczam.

Od tego, że czuła się tak, jak się czuła, bardziej nie znosiła tylko tego, że mówiła to, co mówiła. Jak powiedział jej Irv, Golda Meir oznajmiła Anwarowi Sadatowi: „Możemy wam wybaczyć, że zabijacie nasze dzieci, ale nigdy nie wybaczymy wam, że zmuszacie nas, byśmy zabijali wasze”. Nie cierpiała gadać tak, jak gadała za sprawą Jacoba: jak podkurwiona, rozgoryczona i nieśmieszna zrzedząca żonka, którą własnoręcznie by zabiła, byleby się nią nie stać.

– Mam kiepską pamięć – powiedział. – Przepraszam.

– Też mam kiepską pamięć, ale nie zapominam o różnych sprawach.

– Przepraszam, okej?

– Łatwiej byłoby przyjąć przeprosiny bez tego „okej”.

– Zachowujesz się, jakbym wyłącznie ja popełniał błędy.

– To mi pomóż – powiedziała. – Co takiego w tym domu robisz dobrze?

– Mówisz poważnie?

Argus zaskowyczał przeciągle.

Jacob obrócił się w jego stronę i dał mu posmakować tego, czego nie był w stanie dać Julii:

– Wyluzuj, do chuja! – Potem, nie zdając sobie sprawy z żartu, który robi własnym kosztem, dorzucił: – Nigdy nie podnoszę głosu.

– Czyż nie tak, Argusie? – Julia doceniła dowcip.

– Nie na ciebie ani na dzieci.

– Tego, że nie podnosisz głosu albo, skoro już przy tym jesteśmy, nie bijesz mnie ani nie molestujesz dzieci, nie można zaliczyć do rzeczy, które *robisz dobrze*. To elementarna przyzwoitość. A tak w ogóle to nie podnosisz głosu, bo tłumisz emocje w sobie.

– Wcale nie.

– Skoro tak mówisz.

– Nawet jeśli dlatego nie podnoszę głosu, choć nie sądzę, żeby o to chodziło, to wciąż dobra cecha. Mężczyźni często się drą.

– Zazdrozczę ich żonom.

– Chciałabyś, żebym był dupkiem?

– Chciałabym, żebyś zachowywał się jak człowiek.

– Co to miało niby znaczyć?

– Jesteś pewien, że nie powinieneś mi czegoś powiedzieć?

– Nie wiem, dlaczego wciąż mnie o to pytasz.

– Ujmę to pytanie inaczej: jakie jest hasło?

– Do czego?

– Do telefonu, który ściskasz.

– To mój nowy telefon. Wielka mi rzecz.

– Jestem twoją żoną. To *ja* jestem wielką rzeczą.

– Nie ma w tym sensu.

– Nie musi być.

– Czego chcesz, Julio?

- Twojego hasła.
- Po co?
- Bo chcę wiedzieć, czego nie możesz mi powiedzieć.
- Julio.
- Po raz kolejny trafnie mnie zidentyfikowałeś.

Jacob spędził więcej czasu w tej kuchni niż w jakimkolwiek innym pomieszczeniu. Żadne dziecko nie wie, kiedy sutek zostaje po raz ostatni wyciągnięty z jego ust. Żadne dziecko nie zdaje sobie sprawy, że po raz ostatni nazywa matkę „mamunią”. Żaden chłopiec nie ma pojęcia, że zamknęła się książka z ostatnią bajką na dobranoc, jaką mu przeczytano. Żaden chłopak nie przypuszcza, że zlatuje z wanny woda z ostatniej kąpieli, jaką wziął razem z bratem. Żaden młodzieniec nie domyśla się, gdy po raz pierwszy doświadcza największej przyjemności w życiu, że już nigdy nie znajdzie się poza sferą seksualności. Żadna dziewczyna zasypiająca u progu kobiecości nie wie, że minie czterdzieści lat, nim znowu obudzi się niepłodna. Żadna matka nie zdaje sobie sprawy, że słyszy słowo „mamunia” po raz ostatni. Żaden ojciec nie ma pojęcia, że zamknęła się książka z ostatnią bajką na dobranoc, jaką przeczytał: „Od tamtego dnia przez wiele lat na Itace panował pokój, a bogowie przychylnie spoglądali na Odysa, jego żonę i syna”. Jacob wiedział, że cokolwiek by się działo, jeszcze tę kuchnię zobaczy. A mimo to jego oczy zaczęły chłonać szczegóły – wypolerowany uchwyt szuflady ze słodyczami, szczelina, gdzie stykają się płyty steatytu, naklejka „Nagroda Specjalna za Odwagę” pod blatem wyspy kuchennej wręczona Maxowi za (o czym nikt nie wiedział) jego ostatni wyrwany ząb, naklejka, którą Argus oglądał codziennie wiele razy i tylko on ją w ogóle widział – ponieważ Jacob wiedział, że pewnego dnia wyźmie wszystkie te szczegóły jak gąbkę, by odsączyć ostatnie krople tych chwil; krople, które przyjdą jako łzy.

- W porządku – powiedział.
- Co w porządku?
- W porządku, podam ci hasło.

Położył telefon na blacie ze słuszną siłą, która mogłaby, ale tylko mogła, zniszczyć jego mechanizm, i powiedział:

- Ale wiedz, że ten brak zaufania zostanie między nami na zawsze.
- Mogę z tym żyć.

Zerknął na telefon.

– Próbuję sobie przypomnieć, jakie to w ogóle było hasło. Zapomniałem je zaraz po ustawieniu. Nie sądzę nawet, że bym go do tej pory użył.

Podniósł telefon i wgapił się w niego.

- Może to hasło, którego Blochowie używają do wszystkiego? – zasugerowała.
- Racja – odparł. – Na pewno tego właśnie bym użył: „za2razemprzejdzie”. I... nie.
- Hm. Chyba nie.
- Pewnie mogę iść do sklepu, żeby mi go odblokowali.

– Może, strzelam na oślep, powinienes pierwszą literę napisać dużą i wpisać „drugim” słowem zamiast cyfrą?

- Nie ustawiłbym hasła w ten sposób.
- Nie?
- Nie. Zawsze piszemy je tak samo.

– Spróbuj.

Chciał uciec przed dzieciennym strachem, pragnął jednak być dzieckiem.

– Ale ja bym tego tak nie zrobił.

– Kto tam może wiedzieć, co by zrobił? Po prostu spróbuj.

Obejrzał dokładnie telefon, palce wokół niego, dom wokół nich i pod wpływem bezpośredniego impulsu – tak bezwiednego jak odruch kolanowy przy postukaniu młotkiem lekarskim – wyrzucił go przez okno, roztrzaskując szybę.

– Myślałem, że jest otwarte.

A potem cisza, która dźwięczy w uszach.

– Myślisz, że nie wiem, jak trafić na nasz trawnik? – spytała Julia.

– Ja...

– I dlaczego nie wymyśliłeś po prostu jakiegoś skomplikowanego hasła? Takiego, którego Sam nie byłby w stanie odgadnąć?

– Sam zaglądał do telefonu?

– Nie. Ale tylko dlatego, że masz niesamowite szczęście.

– Jesteś pewna?

– Jak w ogóle mogłeś napisać takie rzeczy?

– Jakie rzeczy?

– W tej rozmowie o *wiele* na to za późno.

Jacob wiedział, że jest za późno, i chłonał wyłobienia w desce do krojenia, sukulenty między zlewem a oknem, rysunki dzieciaków przyklejone niebieską taśmą do szklanej płyty nad kuchenką.

– To nic nie znaczyło – powiedział.

– Współczuję komuś, kto jest w stanie powiedzieć tak wiele rzeczy bez żadnego znaczenia.

– Julio, daj mi szansę się wytłumaczyć.

– Dlaczego nie możesz znaczyć nic dla *mnie*?

– Co?

– Mówisz komuś, kto nie jest matką twoich dzieci, że chcesz zlizać spernę z jej odbytu, a jedyną osobą, która sprawia, że czuję się piękna, jest pierdolona koreańska florystka na tyłach delikatesów, która nie jest nawet tak naprawdę florystką.

– Jestem obrzydliwy.

– Nie waż się tego robić.

– Julio, może trudno w to uwierzyć, ale to tylko esemesy. Nic więcej nigdy się nie wydarzyło.

– Po pierwsze: *nietrudno* w to uwierzyć. Nikt nie wie lepiej ode mnie, że nie jesteś zdolny do naprawdę odważnego występu. Wiem, że zbyt wielka z ciebie cipa, żebyś rzeczywiście polizał czyjś odbyt, ze sperną czy bez.

– Julio.

– Ważniejsze jednak, ile *musi* się wydarzyć. Myślisz, że możesz sobie wygadywać i wypisywać, co chcesz, bez żadnych konsekwencji? Może twój ojciec może. Może twoja matka jest na tyle słaba, by tolerować takie chamstwo. Ale nie ja. Istnieją przyzwoitość i nieprzyzwoitość, i to są dwie *różne* rzeczy. Dobro i zło się różnią. Zdajesz sobie z tego sprawę?



– Oczywiście, że...

– Oczywiście, że *nie*. Napisałeś do kobiety, która nie jest twoją żoną, że jej ciasna piczka na ciebie nie zasługuje?

– Nie do końca to napisałem. I było to w kontekście...

– I nie do końca jesteś dobrym człowiekiem. I żaden kontekst nie mógłby czegoś takiego usprawiedliwić.

– To była chwila słabości, Julio.

– Zapomniałeś przypadkiem, że nie skasowałeś żadnej z tych wiadomości? Że istnieje cała historia, do której można się tu odnieść? To nie była chwila słabości, to był słaby człowiek. I przestań w końcu, *proszę*, powtarzać moje imię.

– To skończone.

– Chcesz wiedzieć, co w tym najgorsze? Że nawet mnie to *nie obchodzi*. Najsmutniejsze jest to, że muszę się zmierzyć z tym, że mnie to nie smuci.

Jacob jej nie uwierzył, ale nie mógł też uwierzyć w to, że coś takiego powiedziała. Fasada pełnego miłości związku sprawiła, że nieobecność miłości w związku stała się znośna. Ale teraz Julia dała sobie spokój z pozorami.

– Posłuchaj, myślę...

– Zlizać spermę z jej odbytu? – Zaśmiała się. – Ty? Jesteś tchórzem i masz szajbę na punkcie zarazków. Po prostu chciałeś to napisać. I w porządku. A nawet świetnie. Ale przyznaj się do fantazji. *Chciałbyś* chcieć jakiegoś życia w seksualnym napięciu, ale w rzeczywistości chcesz sprawdzania wózków dziecięcych w lotniskowych bramkach, filtrów do uzdatniania wody, a nawet swojej jałowej egzystencji bez obciążania, bo oszczędza ci to zamartwiania się o erekcję. Jezu, Jacob, nosisz przy sobie paczkę mokrych chusteczek, żeby nie musieć używać papieru toaletowego. Mężczyzna, który chce zlizać spermę z czyjegoś odbytu, nie zachowuje się w ten sposób.

– Przestań, Julio.

– A przy okazji, nawet gdybyś znalazł się w takiej sytuacji z *prawdziwym* odbytem *rzeczywistej* kobiety *naprawdę* wypełnionym twoją spermą i kuszącym twój język... Wiesz, co byś zrobił? Dostałbyś tego twojego śmiesznego drżenia rąk, przepociłbyś koszulę, przeszłaby ci ta galaretowata erekcja w wersji mikro, którą – to po pierwsze – cudem osiągnąłeś, i zapewne powłókłbyś się do łazienki, żeby sprawdzić infantylne, nieśmieszne filmiki na Huffington Post albo znowu odsłuchać podcast wychwalający żółwie. Właśnie to by się wydarzyło. A ona zrozumiałaby, jaka z ciebie ofiara.

– Nie miałbym na sobie koszuli.

– Co?

– Nie przepociłbym koszuli, bo nie miałbym jej na sobie.

– Co za pierdolona małostkowość.

– Przestań tak na mnie naciskać.

– Mówisz poważnie? Nie. To niemożliwe. – Bez powodu odkręciła kran. – I sądzisz, że tylko ty chcesz zachowywać się lekkomyślnie?

– Chcesz romansu?

– Chcę, żeby wszystko się rozpadło.

– Nie mam romansu i nie pozwolę, żeby wszystko się rozpadło.

– Widziałam dziś Marka. Rozwodzą się z Jennifer.

– Wspaniale. Albo okropnie. Co mam powiedzieć?

– A Mark ze mną flirtował.

– O co ci chodzi?

– Tak bardzo cię chroniałam. Dbałam o twój załosny brak pewności siebie, jak u pisklęcia.

Oszczędzałam ci niewinnych rzeczy, które nie miałyby prawa cię zasmucić, ale by cię przygniotły. I sądzisz, że nigdy nie miałam fantazji? Myślisz, że za każdym razem, gdy się masturbuję, wyobrażam sobie ciebie? Naprawdę?

– To zmierza donikąd.

– Czy jakaś częśćka mnie chciała dziś wypieprzyć Marka? Tak. W istocie każda poniżej mózgu. Ale nie zrobiłam tego, bo nie mogłabym, bo nie jestem jak ty...

– Julio, ja nikogo nie pieprzyłem.

– ...ale chciałam tego.

Jacob po raz drugi w trakcie rozmowy podniósł głos:

– Niech to szlag, co to za smród?

– Twój pies drugi raz zesrał się w domu.

– *Mój* pies?

– Tak, pies, którego przyniosłeś do domu mimo wyraźnej obopólnej zgody co do tego, że nie będziemy mieli psa.

– Dzieci go chciały.

– Dzieci chciałyby mieć podłączone na stałe kroplówki z rozpuszczonym brownie i mózgi zanurzone w kadzi ze spermą Steve'a Jobsa. Dobre wychowanie dzieci nie ma nic wspólnego z zaspokajaniem ich potrzeb.

– Coś je martwiło.

– Każdego coś martwi. Przestań obwiniać dzieci, Jacobie. Chciałeś być bohaterem i zrobić ze mnie czarny charakter...

– To nie w porządku.

– To nawet nie stało obok „w porządku”. Przyniosłeś do domu psa, choć *uzgodniliśmy* wspólnie, że błędem byłoby go mieć, i wyszedłeś na superbohatera, a ja byłam najgorszym z czarnych charakterów, i teraz na podłodze salonu leży cuchnące gówno.

– I nie przyszło ci do głowy, żeby to posprzątać?

– Nie. Podobnie jak tobie nie przyszło do głowy, żeby to wytresować...

– Jego. Wytresować go. Biedak nic na to nie poradzi. Jest...

– Albo wyprowadzić to na spacer, zabrać do weterynarza, uprać legowisko, pamiętać o tabletkach odrobaczających, sprawdzać temu kleszcze, kupować karmę albo ją podawać. Zbieram jego gówna dzień w dzień. Dwa razy dziennie. Albo i więcej. Jezu, Jacob, nie cierpię psów i nie znoszę tego psa, nie chciałam go i nadal nie chcę, ale gdyby nie ja, zdechłby ze dwa lata temu.

– On rozumie, gdy mówisz takie rzeczy.

– A ty nie. Twój pies...

– Nasz pies.

– ...jest bystrzejszy od mojego męża.

Wtedy wrzasnął. Po raz pierwszy podniósł na nią głos. Był to krzyk narastający w nim przez szesnaście lat małżeństwa, cztery dekady życia i pięć tysiącleci historii – krzyk wymierzony w nią, ale również we wszystkich żywych i umarłych, lecz przede wszystkim

w niego samego. Przez lata zawsze był gdzie indziej, zawsze pod ziemią, za drzwiami dwunastocalowej grubości, zawsze odnajdywał schronienie w monologu wewnętrznym, do którego nikt – włączając jego – nie miał dostępu, albo w dialogu uwiecznionym w zamkniętej szufladzie. Ale to właśnie był *on*.

Zrobił cztery kroki w jej stronę, zbliżył do niej twarz tak, że szkła okularów znalazły się tak blisko jej oczu jak jego, i krzyknął:

– *Jesteś moim wrogiem!*

Kilka minut wcześniej powiedziała Jacobowi, że najsmutniejsza w tym wszystkim jest konieczność zmierzenia się z tym, że jej to nie smuci. Wtedy była to prawda, ale teraz już nie. Widziała kuchnię przez pryzmat łez: pękniętą gumową uszczelkę kranu, skrzydła okiennic, które nadal wyglądały dobrze, choć framugi by się rozsypały, gdyby je ścisnąć. Widziała jadalnię i salon: nadal wyglądały dobrze, ale dwie warstwy farby pokrywały podkład niszczący z wolna przez piętnaście lat. Jej mąż – nie jej partner.

Kiedy Sam był w trzeciej klasie, pewnego dnia wrócił do domu i podekscytowany oznajmił Julii:

– Gdyby Ziemia miała wielkość jabłka, jej atmosfera byłaby cieńsza od skórki.

– Co?

– Gdyby Ziemia miała wielkość jabłka, jej atmosfera byłaby cieńsza od skórki.

– Możliwe, że nie jestem wystarczająco bystra, żeby pojąć, co w tym takiego interesującego. Mógłbyś wyjaśnić?

– Spójrz w górę – powiedział. – Czy to ci się wydaje cienkie?

– Sufit?

– Gdybyśmy byli na dworze.

Skorupa była tak cienka, ale zawsze czuła się bezpieczna.

Na wyprzedaży rzeczy używanych, wiele niedziel temu, kupili tarczę do rzutek. Zawiesili ją na drzwiach na końcu korytarza. Chłopcy pudłowali równie często, jak trafiali w tarczę, a każda rzutka wyjęta z drzwi miała na koniuszku ich poprzedni kolor. Julia zdjęła tarczę, gdy Max wszedł do salonu z zakrwawionym ramieniem, mówiąc: „To niczyja wina”. Zostało tylko koło obwiedzione mnóstwem dziurek.

Gdy wpatrywała się w skorupę kuchni, najsmutniejsza wydała jej się świadomość tego, co znajduje się pod powłoką, co ujawniłaby maleńka rysa w czułym punkcie.

– Mamo?

Odwrócili się i zobaczyli, że w drzwiach stoi Benjy oparty o futrynę z oznaczeniami wzrostu chłopców, a jego ręce szukają nieistniejących kieszeni. Od jak dawna tam był?

– Mama i ja tylko się...

– Miałeś na myśli *kwintesencję*.

– Co, kochanie?

– Powiedziałeś „wrogiem”, ale miałeś na myśli *kwintesencję*.

– Teraz możesz dać mu buziaka – powiedziała Julia do Jacoba, ocierając łzy i zastępując je mydlinami.

Jacob ukląkł i wziął Benjy’ego za rękę.

– Zły sen, kolego?

– Nie mam nic przeciwko umieraniu – stwierdził Benjy.

– Co?

– Nie mam nic przeciwko umieraniu.

– Tak?

– Jeśli wszyscy inni umrą razem ze mną, właściwie nie mam nic przeciwko. Boję się tylko, że inni nie umrą.

– Miałeś zły sen?

– Nie. Kłóciliście się.

– Nie kłóciliśmy się. My...

– I słyszałem, jak rozbiła się szyba.

– Kłóciliśmy się – powiedziała Julia. – Ludzie mają uczucia, czasem bardzo trudne. Ale to nic takiego. A teraz wracaj do łóżka.

Jacob go zaniósł; policzek Benjy’ego spoczywał na jego barku. Jakiż lekki był nadal i jaki się robił ciężki. Żaden ojciec nie wie, że po raz ostatni wnosi syna po schodach.

Jacob otulił Benjy’ego kołdrą i pogłaskał go po włosach.

– Tato?

– Tak?

– Zgadzam się z tobą, że niebo pewnie nie istnieje.

– Tego nie powiedziałem. Powiedziałem, że nie można tego wiedzieć na pewno i dlatego to chyba nie jest najlepszy pomysł, by zorganizować nasze życie wokół niego.

– Tak, właśnie z tym się zgadzam.

Mógł sobie wybaczyć, że odmawia dobrego samopoczucia sobie, lecz dlaczego odmawiał go również innym? Dlaczego nie pozwalał swojemu przedszkolakowi czuć się szczęśliwym i bezpiecznym w sprawiedliwym, pięknym i nierzeczywistym świecie?

– To wokół czego powinniśmy twoim zdaniem zorganizować nasze życie? – spytał Benjy.

– Wokół rodziny?

– Ja też tak myślę.

– Dobrej nocy, kolego.

Jacob podszedł do drzwi, ale nie wyszedł.

Po kilku długich chwilach ciszy Benjy zawołał:

– Tato? Jesteś mi potrzebny!

– Tu jestem.

– Wiewiórki wylewoluowały tak, że mają puszyste ogony. Po co?

– Może dla równowagi? Albo żeby było im ciepło? Pora spać.

– Rano to wygugłamy.

– Okej. Ale teraz już śpij.

– Tato?

– Jestem tu.

– Czy jeśli świat będzie trwał wystarczająco długo, pojawią się skamieliny skamielin?

– Och, Benjy. Świetne pytanie. Możemy o tym porozmawiać rano.

– Tak. Potrzeba mi snu.

– Właśnie.

– Tato?

– Benjy! – Jacob zaczął tracić cierpliwość.

– Tato?

– Jestem tu.

Jacob stał w drzwiach, dopóki nie usłyszał miarowego oddechu najmłodszego syna. Był mężczyzną, który odmawiał sobie dobrego samopoczucia, ale stał w progu dużo dłużej, niż stałby ktokolwiek. Zawsze stał pod domem, dopóki samochód, którym go podwieszono, nie odjechał. Podobnie jak stał przy oknie, do chwili gdy tylne koło roweru Sama nie zniknęło za rogiem. Tak samo patrzył, jak znika on sam.

# Oto mnie nie ma

> Stoję dziś na tej bimie ze świadomością historii i w skrajnej irytacji, gotowa wypełnić tak zwany rytuał przejścia w dorosłość, cokolwiek miałoby to być. Chciałabym podziękować kantorowi Fleischmanowi za pomoc w przekształceniu mnie w ciągu ostatniego półrocza w żydowskiego robota. Na wypadek (w najwyższym stopniu nieprawdopodobny) gdybym pamiętała cokolwiek z tego za rok, nadal nie będę wiedziała, co to znaczy, i za to jestem wdzięczna. Pragnę także podziękować rabinowi Singerowi, który jest jak lewatywa z kwasem siarkowym. Moim jedynym żyjącym pradziadkiem jest Isaac Bloch. Tata powiedział, że muszę przez to przejść dla niego. To coś, czego mój pradziadek nigdy sam ode mnie nie żądał. Istnieją rzeczy, o które *prosił*, jak to, by nie zmuszać go do przeprowadzki do Żydowskiego Domu. Moja rodzina bardzo dba o to, by o niego dbać, ale nie na tyle, by się nim rzeczywiście zaopiekować, a ja nie rozumiem ani słowa z tego, co dziś recytowałam, samo to jednak rozumiem. Chcę podziękować moim dziadkom, Irvowi i Deborah Blochom, za to, że stanowią dla mnie życiowy wzór i zawsze zachęcają, żebym starała się trochę bardziej, zapuszczała się nieco głębiej, stała się bogata i mówiła, co chcę, kiedy tylko mam na to ochotę. A także dziadkom Allenowi i Leah Selmanom, którzy mieszkają na Florydzie i o których obecności wśród żywych wiem tylko dzięki chanukowym i urodzinowym czekom, nieuwzględniającym wzrostu kosztów życia od chwili moich narodzin. Pragnę podziękować moim braciom, Benjy'emu i Maxowi, za to, że wymagają dużej części uwagi moich rodziców. Nie potrafię sobie wyobrazić, że przetrwałabym życie, w którym musiałabym unieść pełnię ich miłości. Poza tym kiedy zwymiotowałam na Benjy'ego w samolocie, powiedział: „Wiem, jakie to nieprzyjemne zwymiotować”. A Max zaofiarował się raz, że zrobi sobie badanie krwi, żebym ja nie musiała. To zaś wiąże się z moimi rodzicami, Jacobem i Julią Blochami. Prawda jest taka, że nie chciałam mieć bat micwy. Nie chciała jej żadna częśćka mnie, ani trochę. Nie ma wystarczająco dużo rządowych obligacji na świecie. Rozmawialiśmy na ten temat, jakby moje zdanie miało znaczenie. To była tylko farsa, farsa mająca wprawić tę komedię w ruch, sama w sobie będąca jedynie kamieniem węgielnym pod farsę budowy mojej żydowskiej tożsamości. To znaczy, w najbardziej dosłownym sensie, że bez nich nie byłoby to możliwe. Nie winię ich za to, że są, kim są. Winię ich jednak za to, że obwiniają mnie o bycie tym, kim jestem. Wystarczy już tych podziękowań. A zatem moja parsza Tory to Wajera. To jedna z najpowszechniej znanych i najbardziej studiowanych parsz Tory i powiedziano mi, że jej odczytanie jest wielkim zaszczytem. Biorąc pod uwagę mój całkowity brak zainteresowania Torą, lepiej byłoby ją dać dzieciakowi, który nie ma tego w żydowskiej dupie, gdyby taki dzieciak istniał, mnie zaś dać jedną z tych parsz jednorazowego użytku o zasadach regulujących miesiączkowanie trędowatych. Przypuszczam, że wszystkim jest głupio. Jeszcze jedno: fragmenty interpretacji parszy zostały jawnie zerżnięte. Dobrze, że żydzi wierzą jedynie w zbiorową karę. Okej... Próba, której Bóg poddaje Abrahama, idzie tak: „A po tych wydarzeniach Bóg wystawił Abrahama na próbę. Rzekł do niego: «Abrahamie!». A on odpowiedział: «Oto jestem»”<sup>10</sup>. Ludzie przyjmują zwykle, że próba

polegała na tym, iż Bóg poprosił Abrahama, by złożył w ofierze swego syna Izaaka. Myślę jednak, że można to odczytać także w ten sposób, że próbą było samo Boże wezwanie. Abraham nie odpowiedział: „Czego chcesz?”, nie powiedział: „Słucham”. Odparł oświadczeniem: „Oto jestem”. Bez względu na to, czego by Bóg potrzebował bądź zapragnął, Abraham jest dla Niego w pełni obecny, bez żadnych warunków, zastrzeżeń czy potrzeby wyjaśnień. To słowo, *hineni* – oto jestem – pojawia się w parszy jeszcze dwa razy. Kiedy Abraham zabiera Izaaka do krainy Moria, Izaak zaczyna uświadamiać sobie, co się dzieje, i wie, jak bardzo to pojebane. Zdaje sobie sprawę, że niebawem będzie ofiarą, podobnie jak wszystkie dzieciaki, gdy ma się coś takiego wydarzyć. Idzie to tak: „I Izaak powiedział do swego ojca Abrahama: «Ojczy mój!», a gdy ten rzekł: «Oto jestem, mój synu» – zapytał: «Oto ogień i drwa, a gdzie jest jagnię na całopalenie?», a Abraham odpowiedział: «Bóg upatrzy sobie jagnię na całopalenie, synu mój»”. Izaak nie mówi: „Ojczy”, ale „Ojczy mój”. Abraham jest ojcem żydowskiego ludu, lecz także samego Izaaka, jego własnym ojcem. Abraham nie pyta zaś: „Czego chcesz?”, lecz mówi: „Oto jestem”. Kiedy Bóg przywołuje Abrahama, Abraham jest dla niego w pełni obecny. Kiedy Izaak go przywołuje, Abraham jest w pełni obecny dla swego syna. Ale jak to możliwe? Bóg prosi Abrahama, by zabił Izaaka, a Izaak prosi ojca, by go chronił. W jaki sposób Abraham może być dwiema całkowicie przeciwstawnymi rzeczami naraz? *Hineni* użyte jest w tej historii jeszcze raz, w najdramatyczniejszym momencie. „I przyszli na to miejsce, które Bóg wskazał, i Abraham zbudował tam ołtarz, ułożył na nim drwa i związawszy syna swego Izaaka położył go na tych drwach na ołtarzu. Potem Abraham sięgnął ręką po tasak<sup>11</sup> i zbliżył go do syna. Ale wtedy Anioł Pański zawołał na niego z niebios i rzekł: «Abrahamie, Abrahamie!», a on rzekł: «Oto jestem». Anioł powiedział mu: «Nie podnoś ręki na chłopca i nie czyn mu nic złego, albowiem teraz poznałem, że boisz się Boga, bo nie odmówiłeś Mi nawet twego jedynego syna»”. Abraham nie pyta: „Czego chcesz?”. Mówi: „Oto jestem”. Moja batmicwowa parsza dotyczy wielu rzeczy, ale myślę, że mówi przede wszystkim o tym, dla kogo jesteśmy tutaj w pełni i w jaki sposób to właśnie – bardziej niż cokolwiek innego – określa naszą tożsamość. Mój pradziadek, o którym uprzednio wspomniałem, poprosił o pomoc. Nie chce iść do Żydowskiego Domu. Ale nikt z rodziny nie odpowiedział słowami: „Oto jestem”. Próbowali go natomiast przekonać, że nie wie, co jest dla niego najlepsze ani nawet czego sam chce. Tak naprawdę to nawet nie próbowali go przekonać, powiedzieli mu, co ma zrobić. Dziś rano zostałam oskarżona o użycie ordynarnego słownictwa w hebrajskiej szkole. Nie jestem nawet pewna, czy „użycie” to odpowiednie słowo – sporządzenie listy trudno nazwać „użyciem” czegokolwiek. Tak czy owak, kiedy rodzice przyszli, żeby porozmawiać z rabinem Singerem, nie powiedzieli: „Oto jesteśmy”. Spyta: „Co zrobiłaś?”. Chciałabym, żeby uwierzyli mi na słowo, bo na to zasługuję. Każdy, kto mnie zna, wie, że robię kupę błędów, ale jestem przy tym dobrym człowiekiem. Ale zasługuję na to, by wierzyć mi na słowo, nie dlatego, że jestem dobrym człowiekiem, lecz dlatego, że jestem ich dzieckiem. Nawet jeśli mi nie uwierzyli, powinni zachowywać się tak, jakby mi wierzyli. Tata powiedział mi kiedyś, że zanim się urodziłam – gdy jedynym dowodem na moje istnienie było USG – musiał we mnie uwierzyć. Innymi słowy: narodziny pozwalają rodzicom przestać w ciebie wierzyć. Okej, dzięki za przyjście, a teraz wszyscy spadajcie.

> I to tyle?

- > Nie, nie do końca. Zamierzam wysadzić to miejsce w powietrze.
- > Co, do kurwy?
- > Urządzam przyjęcie na dachu starej wytwórni filmów kolorowych po drugiej stronie ulicy. Pooglądamy sobie.
- > W nogi!
- > Filmów kolorowych?
- > Nie musicie uciekać. Nikomu nic się nie stanie.
- > Zaufajcie jej.
- > Taśm filmowych do staroświeckich kamer.
- > Nie musicie nawet mi ufać. Tylko się zastanówcie: gdybyście musieli biec, bylibyście już martwi.
- > Nieźle pojebana logika.
- > Ostatnia rzecz, zanim ruszymy: wie ktoś, dlaczego w samolocie przygaszają światła podczas startu i lądowania?
- > Co, do chuja?
- > Żeby pilot lepiej widział?
- > Po prostu idźmy, ok?
- > Żeby oszczędzać energię?
- > Nie chcę umierać.
- > Dobre strzały, ale nie. Dlatego że to krytyczne chwile lotu. Ponad osiemdziesiąt procent wypadków zdarza się podczas startu i lądowania. Wyłączają światła, żeby wzrok mógł ci się przyzwyczaić do wypełnionej dymem kabiny.
- > Na takie rzeczy powinno być jakieś określenie.
- > Możecie wyjść z synagogi podświetloną ścieżką. Ona wskaże wam drogę. Albo możecie iść za mną.



# Heeej! Niech ktoś tu przyjdzie!

Julia stała przy swojej umywalce, a Jacob przy swojej. Dwie umywalki obok siebie: rozwiązanie cieszące się wielkim powodzeniem w starych domach w Cleveland Park, podobnie jak kunsztowne bordiury okalające parkiet, oryginalne kominki i zaadaptowane żyrandole gazowe. Domy różniły się tak nieznacznie, że trzeba było wysławiać małe różnice, bo w przeciwnym razie okazałoby się, że wszyscy pracują zbyt ciężko za zbyt mało. Z drugiej strony – kto tak naprawdę chce dwóch umywarek obok siebie?

– Wiesz, o co zapytał mnie właśnie Benjy? – powiedział Jacob, zwrócony twarzą w stronę lustra nad umywalką.

– Czy jeśli świat będzie trwał wystarczająco długo, pojawią się skamieliny skamielin?

– Jak...

– Monitor wie wszystko.

– Racja.

Jacob niemal zawsze nitkował zęby przy świadkach. Czterdzieści lat sporadycznego nitkowania i dorobił się tylko trzech ubytków – wszystko to dla oszczędności czasu. Dziś wieczorem, mając za świadka żonę, właśnie nitkował. Chciał spędzić trochę czasu przy tych umywalkach. Albo oszczędzić sobie trochę czasu we wspólnym łóżku.

– W dzieciństwie stworzyłem własny system pocztowy. Z dużego kartonu zrobiłem urząd pocztowy. Mama uszyła mi mundur. Miałem nawet znaczki z moim dziadkiem.

– Czemu mi to opowiadasz? – spytała.

– Nie wiem – odparł z nicią między dwoma przednimi zębami. – Po prostu o tym pomyślałem.

– Dlaczego myślisz właśnie o tym?

– Mówisz jak doktor Silvers. – Zachichotał.

– Uwielbiasz doktora Silversa. – Nie zachichotała.

– Nie miałem czego dostarczać – ciągnął – więc zacząłem pisać listy do mamy. Ale to system mnie pociągał, nie obchodziły mnie same wiadomości. Tak czy siak, pierwsza z nich brzmiała: „Jeśli to czytasz, nasz system pocztowy działa!”. Pamiętam to.

– Nasz – powiedziała.

– Co?

– Nasz. „Nasz” system pocztowy. Nie „mój” system.

– Może napisałem „mój” – odparł, odwijając nic z palców i odsłaniając odgniecione ślady pierścieni. – Nie mogę sobie przypomnieć.

– Możesz.

– Nie wiem.

– Możesz. I dlatego właśnie mi to opowiadasz.

– Była cudowną mamą – powiedział.

– Wiem o tym. Zawsze o tym wiedziałam. Udaje jej się sprawić, że chłopcy czują, że nikt na świecie nie jest od nich lepszy i że oni sami nie są lepsi od nikogo. Trudno o taki złoty środek.

– Mój ojciec nie potrafi go odnaleźć.

– On nie potrafi odnaleźć złotego środka w niczym.

Ślady zdążyły zniknąć.

Julia wzięła szczoteczkę i podała ją mężowi.

Jacob próbował wycisnąć coś, co nie chciało wyjść, i stwierdził:

– Skończyła nam się pasta.

– W szafce jest druga.

Chwila ciszy podczas mycia zębów. Gdyby co wieczór spędzali dziesięć minut, przygotowując się do pójścia spać – a z pewnością tak było, z pewnością spędzali co najmniej tyle czasu – dawałoby to sześćdziesiąt godzin rocznie. Wspólna toaleta przed snem zajmowała im więcej czasu, niż spędzali razem na wakacjach (nie licząc snu). Byli małżeństwem przez szesnaście lat. W tym czasie przygotowania do snu pochłoneły równowartość czterdziestu dni, niemal zawsze przy cieszącym się wzięciem stojących obok siebie umywalkach, niemal zawsze w ciszy.

Kilka miesięcy po wyprowadzce Jacob miał stworzyć z chłopcami system pocztowy. Max stawał się wycofany. Mniej się śmiał, więcej chmurzył, ciągle szukał miejsc jak najbliżej okna. Jacob mógł tego przed sobą nie przyznawać, ale inni zaczęli zwracać na to uwagę i o tym wspominać – podczas któregoś brunchu Deborah wzięła syna na bok i spytała:

– Z Maxem wszystko w porządku?

Na Etsy Jacob znalazł skrzynki na listy w starym stylu i przymocował po jednej do drzwi sypialni każdego z chłopców, a także swojej. Powiedział im, że będą mieli własny tajny system pocztowy, specjalnie do przekazywania wiadomości, których nie da się powiedzieć na głos.

– Tak jak ludzie zostawiali kiedyś liściki w Ścianie Płaczu – zasugerował Benjy.

„Nie”, pomyślał Jacob, lecz odparł:

– Tak, coś w tym stylu.

– Tyle że nie jesteś Bogiem – powiedział Max, co, choć zupełnie oczywiste i wypowiedziane z pozycji, w której Jacob chciałby widzieć swoje dzieci (czyli ateistów i ludzi, którzy nie boją się swoich rodziców), i tak ubodło.

Codziennie sprawdzał skrzynkę. Benjy pisał jako jedyny: „Pokój na świecie”, „Śnieżny dzień”, „Większy telewizor”.

W wychowywaniu dzieci w pojedynkę kryło się tyle trudności: logistyka przygotowania do szkoły trójki dzieciaków za pomocą ledwie dwóch rąk, koordynacja takiej liczby środków transportu jak z wieży kontrolnej na Heathrow, konieczność uwielozadaniowania wielozadaniowości. Największym wyzwaniem było jednak znalezienie czasu na intymne rozmowy z dziećmi. Zawsze byli razem, zawsze było zamieszanie, zawsze trzeba było coś załatwić i nie można się było z nikim podzielić ciężarem. Kiedy więc przytrafiały się sytuacje jeden na jeden, odczuwał zarazem potrzebę zrobienia z nich użytku (bez względu na to, jak sztuczne by to w danej chwili było) i stężoną dawkę odwiecznego strachu przed tym, że powie się za mało albo zbyt wiele.

Pewnego wieczora kilka tygodni po stworzeniu systemu pocztowego Sam czytał Benjy’emu przed snem, a Max i Jacob sikali do jednej muszli klozetowej.

– Nie krzyżujcie strumieni, Ray.

– Że co?

– To z *Pogromców duchów*.

– Wiem, że jest taki film, ale nigdy go nie oglądałem.

– Żartujesz.

– Nie.

– Ale ja pamiętam, że oglądałem z...

– Nie widziałem go.

– Okej. No więc jest tam taka świetna scena, jak pierwszy raz strzelają z tych protonowych cośków i Egon mówi: „Nie krzyżujcie strumieni, Ray”, bo doprowadziłoby to do jakiejś apokalipsy, no i od tamtej pory zawsze mi się to przypomina, gdy sikam z kimś w tej samej łazience. Ale obaj chyba skończyliśmy, więc teraz nie ma to tak naprawdę sensu.

– Niech będzie.

– Zauważyłem, że nie włożyłeś nic do mojej skrzynki.

– Tak. Zrobię to.

– To nie żadne zadanie. Po prostu myślałem, że może ci to pomóc zrzucić coś z serca.

– Okej.

– Każdy trzyma coś w sobie. Twoi bracia. Ja. Mama. Ale to może bardzo utrudniać życie.

– Przepraszam.

– Nie, miałem na myśli ciebie. Całe życie wiele wysiłku wkładałem w to, żeby chronić się przed rzeczami, których najbardziej się boję, i ostatecznie nie w porządku byłoby twierdzić, że nie było się czego bać, ale być może spełnienie moich najgorszych obaw nie okazałoby się takie straszne. Może gorsze były wszystkie moje starania. Pamiętam wieczór, gdy pojechałem na lotnisko. Ucałowałem was, chłopaki, jakby to była zupełnie zwykła podróż, i powiedziałem coś w rodzaju: „Do zobaczenia za tydzień czy dwa”. Gdy przygotowywałem się do wyjścia, mama spytała mnie, na co czekam. Powiedziała, że to wielka sprawa, więc muszę czuć coś wielkiego i wy, chłopaki, też.

– Ale nie wróciłeś i nie powiedziałeś już nic.

– Za bardzo się bałem.

– Czego się bałeś?

– Nie było się czego bać. Właśnie to staram się powiedzieć.

– Wiem, że właściwie nie ma powodu do strachu. Ale czego się bałeś?

– Że to naprawdę się stanie?

– Że odejdiesz?

– Nie. Tego, co było. Co jest.

Julia wsunęła szczoteczkę do zębów głęboko pod policzek i położyła dłonie na umywalce. Jacob splunął i powiedział:

– Zawodzę rodzinę tak samo, jak mój ojciec zawodził nas.

– Nieprawda – odparła Julia. – Ale to nie wystarczy, by uniknąć jego błędów.

– Co?

Wyjęła szczoteczkę i powiedziała:

– Nieprawda. Ale to nie wystarczy, by uniknąć jego błędów.

– Jesteś cudowną mamą.

– Z jakiego powodu to mówisz?

– Myślałem o tym, że moja mama była świetną mamą.

Powściągnęła próżność, zawahała się, jakby rozważała, czy się odezwać, a potem

powiedziała:

– Nie jesteś szczęśliwy.

– Z jakiego powodu to mówisz?

– Taka jest prawda. Wydajesz się szczęśliwy. Może nawet myślisz, że jesteś szczęśliwy.

Ale nie jesteś.

– Sądzisz, że mam depresję?

– Nie. Myślę, że kładziesz ogromny nacisk na szczęście, swoje i innych, i uważasz, że nieszczęście jest czymś tak niebezpiecznym, że wolałbyś raczej pójść na dno ze statkiem, niż przyznać, że ma dziurę.

– Nie sądzę, żeby to była prawda.

– I owszem: myślę, że masz depresję.

– To pewnie tylko mononukleozą.

– Masz dość pisania programu telewizyjnego, który nie jest twój i który uwielbiają wszyscy z wyjątkiem ciebie.

– Nie wszyscy go uwielbiają.

– Cóż, ty z pewnością nie.

– Ja go lubię.

– I nie znosisz tego, że ledwie lubisz to, co robisz.

– Nie wiem.

– Ależ wiesz – powiedziała. – Wiesz, że coś w tobie siedzi, jakaś książka, program, film, cokolwiek, i że gdybyś tylko był w stanie to uwolnić, to wszelkie wyrzeczenia, na które według ciebie się zdobyłeś, nie wydawałyby ci się już wyrzeczeniami.

– Nie wydaje mi się, że musiałem się zdobyć...

– Widzisz, jak zmieniłeś gramatykę? Powiedziałam: „wyrzeczenia, na które według ciebie się zdobyłeś”. A ty mówisz: „*musiałem się zdobyć*”. Dostrzegasz różnicę?

– Jezu, ty naprawdę powinnaś dostać jakiś certyfikat i kozetkę.

– Ja nie żartuję.

– Wiem.

– I masz już dość udawania, że jesteś szczęśliwy w małżeństwie...

– Julio.

– ...i nie znosisz tego, że ledwie lubisz najważniejszy związek w twoim życiu.

Jacob często żywił urazę do Julii, czasem wręcz jej nienawidził, ale nigdy nie zdarzało się, by pragnął ją zranić.

– To nieprawda – zachnął się.

– Jesteś zbyt uprzejmy lub zbyt wystraszony, by to przyznać, ale to prawda.

– Nie.

– Masz też dość bycia ojcem i synem.

– Dlaczego próbujesz mnie zranić?

– Nie próbuję. Poza tym istnieją gorsze rzeczy niż ranienie siebie nawzajem. – Poustawiała rozmaite produkty przeciw starzeniu się i umieraniu na półce i dodała: – Chodźmy spać.

„Chodźmy spać”. Te dwa słowa odróżniają małżeństwo od każdego innego związku. Nie uda nam się ze sobą zgodzić, ale chodźmy spać. Nie dlatego, że chcemy, lecz dlatego, że musimy. W tej chwili nie cierpimy się, ale chodźmy spać. To jedyne łóżko, jakie mamy.

Położmy się każde po swojej stronie, ale to wciąż strony tego samego łóżka. Zamknijmy się w sobie, ale wspólnie. Ile rozmów kończyło się tymi dwoma słowami? Ile kłótni?

Czasem szli spać i podejmowali jeszcze jedną próbę, tym razem horyzontalną, by sobie z tym poradzić. Czasem pójście do łóżka umożliwiało rzeczy, które były niemożliwe w nieskończenie wielkim pokoju. Bliskość wynikająca z bycia pod tym samym nakryciem, dwa piece wnoszące wkład do wspólnego ciepła, ale zarazem możliwość nieoglądania siebie nawzajem. Widok sufitu i myślenie o wszystkim, do czego sufity skłaniają. A może to z tyłu głowy, gdzie zbierała się wszystka krew – może tam ulokowany był płąt wspaniałomyślności.

Czasem szli spać i odsuwali się na przeciwległe skraje materaca. Niezależnie od siebie żalowali, że łóżko nie jest dużo większe, i niezależnie od siebie pragnęli, by to wszystko po prostu zniknęło, nie mając dość siły w palcach wskazujących, by przytrzymać słowo „to”. „To”, czyli noc? „To” małżeństwo? „To” całe kłopotliwe położenie życia rodzinnego tej rodziny? Szli spać razem nie dlatego, że nie mieli wyjścia – *kein briere iz oich a breire*, jak za trzy tygodnie powie rabin na pogrzebie: nie mieć wyboru to też jakiś wybór. Małżeństwo jest przeciwieństwem samobójstwa, ale jest też jedyną rzeczą, jaka się z nim równa jako ostateczny akt woli.

„Chodźmy spać...”.

Tuż przed tym, jak miał się ułożyć w łóżku, Jacob zrobił zdziwiony wyraz twarzy, poklepał się po nieistniejących kieszeniach bokserów, jakby nagle uświadomił sobie, że nie wie, gdzie jest jego klucz, i – dokładnie jak co wieczór w tym momencie – powiedział:

– Tylko się wysiusiam.

Zamknął drzwi, otworzył środkową szufladę apteczki, podniósł stos „New Yorkerów” i wyjął pudełko z hydrokortyzonem w czopkach. Rozłożył na podłodze ręcznik kąpielowy, drugi zwinął w poduszkę, położył się na lewym boku ze zgiętym prawym kolaniem, myślał o Terri Schiavo, Billu Bucknerze albo Nicole Brown Simpson i delikatnie go wsunął. Podejrzywał, że Julia wie, co on robi każdego wieczora, ale nie potrafił zmusić się do tego, by ją spytać, bo to wymagałoby najpierw, żeby przyznał się, że ma całkowicie ludzkie ciało. Prawie zawsze był w stanie niemal w pełni dzielić się swoim ciałem, podobnie jak ona, czasem jednak pewne części należało trzymać w ukryciu. Poświęcili mnóstwo czasu, analizując wypróżnienia dzieci, gołymi palcami aplikowali krem doodbytniczy, kręcili termometrami doodbytniczymi wedle zaleceń doktora Donowitza, by stymulować zwieracz, próbując ulżyć niemowlęcym zaparciom. Ale gdy przychodziło do nich samych, potrzebna była pewna doza wyparcia.

*nie zasługujesz na to, żeby ruchać cię w dupę*

Odbyt, na punkcie którego każdy z członków rodziny Blochów miał swego rodzaju obsesję, stał się dla Jacoba i Julii epicentrum wyparcia. Był konieczny do życia, lecz nie wolno było o nim mówić. Miało się go, ale trzeba go było ukrywać. Był miejscem, w którym wszystko się zbiegało, poprzęgiem ludzkiego ciała, i w którego stronę nic (zwłaszcza nie uwaga, zwłaszcza nie palec ani kutas, zwłaszcza, *zwłaszcza* nie język) nie powinno podążać. W okolicy muszli klozetowej było wystarczająco dużo zapalek, żeby rozpaścić ognisko i podsycać ogień.

Co wieczór Jacob wymawiał się siusianiem i co wieczór Julia na niego czekała. Wiedziała, że na dnie puszki chowa czopki w kulkach z papieru toaletowego, i wiedziała, że gdy spuszcza wodę, nie spuszcza niczego. Minuty ukrywania się, cichego wstydu miały mury i sufit. Podobnie jak ich szabaty i sekretne wyznania dumy, tworzyły architekturę czasu. Nie zatrudniwszy żadnych mięśniaków ani nie wysławszy kartek z informacją o zmianie adresu, ani nawet nie zmieniawszy klucza przy breloku w kształcie serca, przeprowadzili się z jednego domu do drugiego.

Max uwielbiał bawić się w chowanego i nikt, nawet Benjy, nie był w stanie tego znieść. Dom był zbyt dobrze znany, zbyt gruntownie spenetrowany, miało to więc trochę taki sens jak gra w warcaby. Dlatego tylko przy specjalnych okazjach (podczas urodzin, w ramach nagrody dla wyjątkowego *mensza*) Max był w stanie wymusić tę zabawę. I zawsze było to tak nudne, jak się wszyscy spodziewali: ktoś wstrzymywał oddech za bluzkami Julii w szafie ściennej, ktoś leżał plackiem w wannie albo przykucał pod zlewem, ktoś inny w swej kryjówce zamykał oczy, niezdolny przezwyciężyć instynktownego przekonania, że czyni go to mniej widzialnym.

Nawet gdy chłopcy się nie chowali, Jacob i Julia szukali ich – ze strachu, z miłości. Ale obecność Argusa godzinami mogła przejść niezauważona. Zawsze pojawiał się, gdy otwierały się drzwi wejściowe, gdy napszczano wody do wanny albo stawiano na stole jedzenie. Jego powrót zakładano z góry. Podczas kolacji Jacob starał się wywoływać zażarte dyskusje, by pomóc chłopcom stać się elokwentnymi, krytycznymi umysłami. W środku jednej z takich debat – co powinno być stolicą Izraela: Jerozolima czy Tel Awiw? – Julia spytała, czy ktoś widział Argusa.

– Zawsze tu jest podczas kolacji.

Po kilku minutach cichych nawoływań i pobieżnych poszukiwań chłopcy wpadli w panikę. Poszli zadzwonić do drzwi. Nałożyli psu całą miskę jedzenia dla ludzi. Max odegrał po kolei lekcje z podręcznika do gry na gitarze, co zawsze wywoływało skomlenie. I nic.

Drzwi na taras były zamknięte, ale drzwi wejściowe nie, było więc możliwe, że pies jest na dworze. (Kto zostawił otwarte drzwi? – zastanawiał się Jacob, wściekły, choć na nikogo w szczególności). Przeszukali okolicę, wołali Argusa, wpierw czule, a potem z rozpaczą. Kilkoro sąsiadów przyłączyło się do poszukiwań. Jacob nie mógł nie zastanawiać się – w duchu, oczywiście – czy Argus nie odszedł, by umrzeć, jak podobno robią niektóre psy. Ściemniło się, niewiele było widać.

Okazało się ostatecznie, że pies był na górze, w łazience dla gości. Jakimś sposobem sam się w niej zamknął, a był już za stary albo zbyt pocziwy, żeby czekać. A może, przynajmniej dopóki nie zrobił się głodny, chciał tam być. Tej nocy pozwolili mu spać ze sobą w łóżku. Podobnie jak dzieciom. Dlatego że sądzili, że go stracili, i dlatego że przez cały ten czas był tak blisko.

Następnego wieczora podczas kolacji Jacob powiedział:

– Postanowione: Argus będzie mógł spać w łóżku każdej nocy.

Chłopcy krzyknęli z radości. Jacob, uśmiechając się, dodał:

– Rozumiem, że jesteście na tak.

– Chwila, chwila, chwila – powiedziała Julia bez uśmiechu.

Był to ostatni raz, gdy tych sześcioro zwierząt spało w tej samej pościeli.

Jacob i Julia chronili się w pracy, którą ukrywali przed sobą.

Szukali szczęścia, które nie musiałyby istnieć kosztem szczęścia nikogo innego.

Chowali się za życiem rodzinnym.

Ich najprawdziwsze poszukiwania odbywały się w szabat, kiedy zamykali oczy i urządzali swój dom i siebie samych od nowa.

Architektura minut, gdy Jacob pod pretekstem sikania zostawał w toalecie, a Julia nie czytała książki, którą trzymała przed sobą, była ich najprawdziwszą kryjówką.

*teraz zasługujesz, żeby ruchać cię w dupę*

Poszli do łóżka, Julia w szlafroku, a Jacob w tiszercie i bokserkach. Spała w staniku. Mówiła, że dzięki podpórce jest jej wygodniej, i może to była cała prawda. On zaś mówił, że dzięki ciepłu, które daje koszulka, łatwiej mu zasnąć, i może to również była cała prawda. Wyłączali światło, zdejmowali okulary i patrzyli przez ten sam sufit, ten sam dach, dwiema parami popsutych oczu, których wadę można było zrekompensować, lecz które nigdy nie miały polepszyć się same.

– Szkoda, że nie znałaś mnie w dzieciństwie – powiedział Jacob.

– W dzieciństwie?

– Albo po prostu... przedtem. Zanim stałem się *tym*.

– Żałujesz, że cię nie znałam, zanim mnie poznałeś.

– Nie. Nie rozumiesz.

– To ujmij to inaczej.

– Julia, nie jestem... sobą.

– W takim razie kim jesteś?

Jacob chciał się rozplakać, ale nie mógł. Nie mógł jednak również ukryć, że się ukrywa. Pogłaskała go po włosach. Nie wybaczała mu niczego. Niczego. Ani tych esemesów, ani tych lat. Ale nie mogła nie odpowiedzieć na jego potrzebę. Nie chciała tego robić, ale nie mogła tego nie zrobić. Był to pewien wariant miłości. Ale podwójne przeczenia nigdy nie stanowiły podpory dla religii.

– Nigdy nie mówiłem, co czuję – oświadczył.

– Nigdy?

– Nie.

– Brzmi jak prawdziwa skarga.

– To prawda.

– Cóż – powiedziała, chichocząc po raz pierwszy, od kiedy znalazła telefon. – Robisz dobrze tak wiele innych rzeczy.

– Brzmi jakby nie wszystko było stracone.

– Co takiego?

– Twój chichot.

– Ach, to... Nie, tak brzmi docenienie ironii.

„Zaśnij – błagał siebie. – Zaśnij”.

– Co takiego robię dobrze? – spytał.

– Pytasz serio?

– Wymień jedną rzecz.

Cierpiał. I niezależnie od tego, jak bardzo według niej zasługiwał na cierpienie, nie mogła tego znieść. Poświęciła tyle siebie – tyle siebie się wyrzekła – żeby go chronić. Z ilu doświadczeń, ilu tematów rozmów, ilu słów trzeba było zrezygnować, by uśmierzyć jego całkowitą bezbronność? Nie mogli wybrać się do miasta, w którym była z chłopakiem dwadzieścia lat temu. Nie mogła wygłaszać subtelnych spostrzeżeń na temat braku granic w domu jego rodziców, a tym bardziej na temat jego wychowawczych decyzji, które często przypominały brak jakichkolwiek decyzji. Zbierała kupy Argusa, dlatego że Argus nie mógł nic na to poradzić i dlatego że – nawet jeśli go nie wybrała ani nie chciała i nawet jeśli stanowił niezасłużone brzemię – był to jej pies.

– Jesteś uprzejmy – odpowiedziała mężowi.

– Nie. Naprawdę nie jestem.

– Mogłabym ci przytoczyć setki przykładów...

– Trzy czy cztery bardzo by się teraz przydały.

Nie chciała tego robić, ale nie mogła tego nie zrobić.

– Zawsze odstawiasz wózek sklepowy na właściwe miejsce. Składasz swojego „Posta” i zostawiasz w metrze innemu czytelnikowi. Rysujesz mapki zagubionym turystom...

– To uprzejmość czy sumienność?

– Zatem jesteś sumienny.

Czy mógł znieść ból? Pragnęła wiedzieć, ale nie wierzyła, że jej o tym powie.

– Martwi cię, że bardziej kochamy dzieciaki niż siebie nawzajem?

– Nie ująłbym tego w ten sposób.

– Nie, powiedziałaś przecież, że jestem twoim wrogiem.

– Byłem wkurzony.

– Wiem.

– Nie miałem na myśli tego, co mówiłem.

– Wiem – odparła. – Ale to powiedziałaś.

– Nie wierzę, żeby gniew ukazywał prawdę. Czasem po prostu coś się mówi.

– Wiem. Ale nie wierzę, żeby cokolwiek brało się z niczego.

– Nie kocham dzieci bardziej niż ciebie.

– Kochasz – stwierdziła. – Ja też. Może powinniśmy. Może do tego zmusza nas ewolucja.

– Kocham cię – powiedział, odwracając się do niej.

– Wiem, że kochasz. Nigdy w to nie wątpiłam i nadal w to nie wątpię. Ale to inny rodzaj miłości niż ta, której mi trzeba.

– Co to dla nas oznacza?

– Nie wiem.

„Zaśnij, Jacob”.

– Znasz to uczucie, gdy nowokaina sprawia, że nie jest się pewnym, gdzie jama gębowa się kończy, a gdzie zaczyna?

– Sądzę, że tak.

– Albo gdy czasem myślisz, że będzie jeszcze jeden schodek, choć go tam nie ma, i nie natrafiasz stopą na stopień?

– Jasne.

Dlaczego tak trudno było mu przekroczyć barierę przestrzeni? Nie powinno tak być, ale było.



– Nie wiem, o czym mówiłem.

Czuła, że jest mu ciężko.

– Co?

– Nie wiem.

Wsunął dłoń pod jej włosy, obejmując jej kark.

– Jesteś zmęczona – powiedział.

– Jestem naprawdę wykończona.

– Oboje jesteśmy zmęczeni. Zaharowujemy się na śmierć. Musimy się nauczyć odpoczywać.

– Zrozumiałabym, gdybyś miał romans. Byłabym wściekła i zraniona i pewnie skłoniłoby mnie to do czegoś, czego tak naprawdę bym nie chciała...

– Na przykład?

– Znienawidziłabym cię, Jacobie, ale przynajmniej bym cię rozumiała. Zawsze cię rozumiałam. Pamiętasz, jak ci o tym mówiłam? Że jesteś jedyną osobą, która ma dla mnie sens? A teraz wszystko, co robisz, wprawia mnie w zmieszanie.

– Wprawia cię w zmieszanie?

– Twoja obsesja na punkcie nieruchomości.

– Nie mam obsesji na punkcie nieruchomości.

– Za każdym razem, gdy przechodzę obok twojego laptopa, widzę na ekranie listę domów.

– Po prostu jestem ciekaw.

– Ale dlaczego? I dlaczego nie powiesz Samowi, że jest od ciebie lepszy w szachy?

– Mówię.

– Nie mówisz. Pozwalasz mu wierzyć, że pozwoliłeś mu wygrać. I dlaczego tak zupełnie inaczej zachowujesz się w różnych sytuacjach? Przy mnie robisz się milczący w sposób pasywno-agresywny, ale na chłopców warczysz, a ojcu pozwalasz sobą pomiatać. Od dekady nie napisałeś do mnie w piątek listu, ale cały wolny czas spędzasz, pracując nad czymś, co kochasz i czym nie chcesz się podzielić, a potem piszesz te wiadomości, które według ciebie nic nie znaczą. Siedem razy okrążyłam cię, kiedy się pobieraliśmy<sup>12</sup>. A teraz nie potrafię cię nawet odnaleźć.

– Nie mam romansu.

– Nie?

– Nie, nie mam.

Julia się rozplakała.

– Wymieniłem trochę potwornie niestosownych esemesów z kimś z pracy.

– Z aktorką.

– Nie.

– To z kim?

– Czy to ważne?

– Skoro to ważne dla mnie, to owszem.

– Z jedną z reżyserek.

– Która nosi moje imię?

– Nie.

– To ta kobieta z rudymi włosami.

– Nie.

– Wiesz, w sumie nie obchodzi mnie to.

– To dobrze. Nie powinno. Nie ma powodu...

– Jak to się zaczęło?

– Po prostu... rozwijało się. Jak różne sprawy. Nabrało...

– Nie obchodzi mnie to.

– To nigdy nie wyszło poza słowa.

– Jak długo?

– Nie wiem.

– Wiesz, wiesz.

– Może ze cztery miesiące.

– Oczekujesz, że uwierzę, że przez cztery miesiące wymieniałeś niedwuznaczne seksualnie wiadomości z kimś, z kim pracujesz na co dzień, i nie doprowadziło to do żadnego cielesnego kontaktu?

– Nie oczekuję, że mi uwierzysz. Mówię ci prawdę.

– Smutne jest w tym to, że ci wierzę.

– To nie jest smutne, to daje nadzieję.

– Nie, to smutne. Jesteś jedyną znaną mi osobą, a nawet jedyną osobą, jaką potrafię sobie wyobrazić, która jest w stanie pisać tak śmiało teksty, żyjąc tak potulnie. Szczerze mówiąc, wierzę, że mógłbyś napisać do jakiejś kobiety, że chcesz wylizać jej odbył, i mógłbyś otrzymać odpowiedź na ten blef, a potem siedzieć obok niej codziennie przez cztery miesiące, nie pozwoliwszy swojej ręce zbłądzić o tych kilka niezbędnych cali w stronę jej uda. Nie zdobywszy się na taką odwagę. Nie wysławszy nawet sygnału, że może wziąć sprawę twojej tchórzliwości w swoje ręce i położyć ci rękę na udzie. Pomyśl tylko o sygnałach, które musiałeś wysyłać, żeby miała mokrą cipę i trzymała się na dystans.

– Posuwasz się za daleko, Julio.

– Za daleko? Poważnie? To ty jesteś tutaj osobą, która nie wie, co znaczy „za daleko”.

– Wiem, że posunąłem się za daleko w tym, co napisałem.

– Nie posunąłeś się wystarczająco daleko w tym, co przeżyłeś, mówię ci.

– Co to miało znaczyć? Chcesz, żebym miał romans?

– Nie, chcę, żebyś pisał do mnie listy w szabat. Ale jeśli zamierzasz pisać do kogoś innego pornograficzne wiadomości, to owszem: chcę, żebyś miał romans. Bo wtedy mogłabym cię szanować.

– Mówisz bez sensu.

– Ależ mówię zupełnie z sensem. Szanowałabym cię dużo bardziej, gdybyś ją rznął. Byłby to dla mnie dowód na coś, w co coraz trudniej mi uwierzyć.

– Czyli?

– Że jesteś istotą ludzką.

– Nie wierzysz, że jestem człowiekiem?

– Nie wierzę, że w ogóle istniejesz.

Jacob otworzył usta, nie wiedząc, co z nich wyjdzie. Chciał zwrócić jej wszystko, co mu dała, skatalogować jej neurozy, irracjonalności, słabości, hipokryzje i brzydotę. Pragnął też przyznać, że wszystko, co powiedziała, jest prawdą, ale w szerszym kontekście nie ponosił wyłącznej winy za swoją potworność. Jedną ręką chciał spajać cegły zaprawą, a drugą

chciał zamierzyć się na nie młotem.

Ale zamiast głosu Jacoba, usłyszeli Benjy'ego:

– Chodźcie! Naprawdę was potrzebuję!

Julia wybuchnęła śmiechem.

– To nie ma nic wspólnego z tym, że nie wszystko stracone.

Był to nerwowy śmiech sprzeciwu. Mroczny śmiech świadomości kresu. Śmiech przesadnie nabożny.

Benjy zawołał raz jeszcze znad monitora:

– Heeej! Niech ktoś tu przyjdzie!

Zamilkli.

Julia szukała w ciemności oczu męża, pragnąc je przeszukać.

– *Niech ktoś tu przyjdzie!*

## Słowo na „cz”

Julia zasnęła, zanim Jacob wrócił, uspokoiwszy Benjy’ego. Albo najzupełniej wiarygodnie udawała kogoś, kto śpi. Jacob był niespokojny. Nie chciał czytać – ani książki, ani czasopisma, ani nawet bloga o nieruchomościach. Nie chciał oglądać telewizji. Pisanie było niemożliwe. Masturbacja też. Nie przemawiała do niego żadna czynność, wszystko wydawałoby się udawaniem, naśladowaniem ludzkich zachowań.

Poszedł w stronę pokoju Sama w nadziei na kilka chwil spokoju, gdy będzie mógł popatrzeć, jak śpi jego pierwsze dziecko. Światło przemieszczało się nieustannie spod drzwi na korytarz, a potem wracało: fale cyfrowego oceanu po drugiej stronie. Sam, zawsze czujny na punkcie swej prywatności, usłyszał ciężkie kroki ojca.

– Tata?

– Jedyne i niepowtarzalny.

– To... Stoisz tam? Potrzebujesz czegoś?

– Mogę wejść?

Nie zaczekawszy na odpowiedź, Jacob otworzył drzwi.

– To było retoryczne? – spytał Sam, nie odrywając wzroku od ekranu.

– Co robisz?

– Oglądam telewizję.

– Nie masz telewizora.

– Na komputerze.

– Czy w takim razie nie oglądasz komputera?

– Jasne.

– Co leci?

– Wszystko.

– Co oglądasz?

– Nic.

– Masz chwilę?

– Tak, jedną...

– To było retoryczne.

– Ach.

– Jak leci?

– Czy to rozmowa?

– Odwiedziny.

– W porządku.

– Czy wspaniale jest czuć się w porządku?

– Co?

– Nie wiem. Wydaje mi się, że gdzieś to słyszałem. Tak więc... Samie.

– Jedyne i niezatapialny.

– Niezłe. Tak czy owak, posłuchaj. Przykro mi, że muszę w to wchodzić. Ale. Ta sprawa z rana z hebrajskiej szkoły.

– Nie zrobiłem tego.

- Dobrze. To po prostu...
- Nie wierzysz mi?
- To nawet nie o to chodzi.
- Właśnie, że tak.
- O wiele łatwiej byłoby cię z tego wyciągnąć, gdybyś miał jakieś inne wytłumaczenie.
- Nie mam.
- Mnóstwo tych słów to nic takiego. Między nami mówiąc, nawet by mnie nie zmartwiło, gdybyś je napisał.
- Nie napisałem.
- Ale słowo na „cz”.

Sam wreszcie zwrócił uwagę na ojca.

- Jakie, „rozwód”?
- Co?
- Nieważne.
- Dlaczego to powiedziałeś?
- Nie powiedziałem.
- Masz na myśli mamę i mnie?
- Nie wiem. Przy tych kłótniach i rozbijaniu szyb trudno mi usłyszeć własne myśli.
- Mówisz o tym, co przedtem? Nie, to, co słyszałeś...
- W porządku. Mama tu zajrzała i porozmawialiśmy.

Jacob rzucił okiem na telewizję w komputerze. Pomyślał o tym, jak Guy de Maupassant jadał codziennie obiady w restauracji na wieży Eiffla, ponieważ było to jedyne miejsce w Paryżu, skąd nie było widać wieży Eiffla. Natsi rozgrywali z Dodgersami dodatkowe inningi. Nagle podekscytowany zaklaskał.

- Chodźmy jutro na mecz!
- Co?
- Byłoby fajnie! Moglibyśmy przyjść wcześniej na trening dla miotaczy. Zjeść mnóstwo syfu.
- Zjeść mnóstwo syfu?
- Śmieciowego żarcia.
- Możemy po prostu pooglądać ten mecz?
- Ale przecież wpadłem na świetny pomysł.
- Tak?
- A nie?
- Mam jutro piłkę nożną, wiolonczelę, przygotowania do bar micwy, przyjmując, że –
- uchowaj Boże – jest aktualna.
- Mogę cię z tego wyplątać.
- Z mojego życia?
- Obawiam się, że w nie mogłem cię tylko wplątać.
- Poza tym grają w Los Angeles.
- Racja – powiedział Jacob. I dodał ciszej: – Powinienem zdawać sobie z tego sprawę.

Ten cichy ton sprawił, że Sam zaczął się zastanawiać, czy nie zranił ojca. Doświadczył przecucia, którego – mimo świadomości, że to kompletna głupota – będzie doświadczał coraz częściej i coraz silniej w nadchodzącym roku: że być może wszystko jest przynajmniej

w niewielkim stopniu jego winą.

– Dokończymy partyjkę?

– Nie-e.

– Masz pieniądze?

– Ta.

– A ta sprawa z hebrajskiej szkoły... To na pewno nie przez dziadka, prawda?

– Chyba że jest też dziadkiem tego, kto to zrobił.

– Tak właśnie myślałem. W każdym...

– Tato, Billie jest czarna, więc jak mógłbym być rasistą?

– Billie?

– Dziewczyna, w której się kocham.

– Masz dziewczynę?

– Nie.

– Nie bardzo rozumiem.

– To dziewczyna, w której się kocham.

– Okej. Powiedziałeś „Billie”? To dziewczyna, tak?

– Tak. Jest czarna. Więc jak mógłbym być rasistą?

– Nie jestem pewien, czy logika działa w ten sposób.

– Owszem.

– Wiesz, kto zwraca uwagę na to, że ma także czarnych kumpli? Ktoś, kto ma z tym problem.

– Żaden z moich najlepszych kumpli nie jest czarny.

– I choć może to bez znaczenia, jestem niemal pewien, że preferowana nomenklatura to Afroamerykanin.

– Nomenklatura?

– Terminologia.

– Czy to nie gość, który kocha się w czarnej dziewczynie, powinien być tym, kto ustala nomenklaturę?

– Czy to nie kocioł przygania afroamerykańskiemu garnkowi?

– Kocioł?

– Żartuję sobie. Ciekawe imię, to tyle. Nie oceniam. Wiesz, że dostałeś imię po prapradziadku, który zginął w Birkenau. W przypadku Żydów zawsze musi istnieć jakieś znaczenie.

– Chyba cierpienie.

– Goje wybierają imiona, które ładnie brzmią. Albo po prostu je wymyślają.

– Billie dostała imię po Billie Holiday.

– W takim razie jest wyjątkiem potwierdzającym regułę.

– A ty po kim masz imię? – spytał Sam; jego zainteresowanie było niewielkim ustępstwem wynikającym z poczucia winy związanego z tym, że wymusił na ojcu cichy smutek.

– Po dalekim krewnym, który miał na imię Jakow. Podobno niesamowity gość, większy niż życie. Mówiło się, że zmiądzzył w ręku głowę Kozaka.

– Grubo.

– Ja na pewno nie jestem taki silny.

- Nawet nie znamy żadnych Kozaków.
  - I w najlepszym razie dorastam życiu do czubka głowy.
- Któremuś z nich zaburczało w brzuchu, ale żaden nie wiedział któremu.
- No cóż, podsumowując, myślę, że to odłotowo, że masz dziewczynę.
  - To nie jest moja dziewczyna.
  - Powrót nomenklatury. Myślę, że to fajowo, że jesteś zakochany.
  - Nie jestem zakochany. Kocham ją.
  - Cokolwiek się dzieje, zostanie to oczywiście między nami. Możesz na mnie liczyć.
  - Rozmawiałem już o tym z mamą.
  - Naprawdę? Kiedy?
  - Nie wiem. Kilka tygodni temu?
  - To stare wieści?
  - Wszystko jest względne.

Jacob wgapił się w ekran komputera syna. Może to właśnie przyciągało Sama? Nie zdolność znalezienia się gdzie indziej, ale możliwość bycia nigdzie?

- Co jej powiedziałaś? – spytał Jacob.
- Komu?
- Twojej matce.
- Masz na myśli *mamę*?
- Ją właśnie.
- Nie wiem.
- Nie wiesz, w sensie, że nie masz ochoty w tej chwili ze mną o tym rozmawiać?
- W tym właśnie.
- Dziwne, bo jest przekonana, że to ty napisałeś te słowa.
- Nie napisałem.
- Okej. Zaczynam być irytujący. Pójdę już.
- Nie powiedziałem, że jesteś irytujący.

Jacob ruszył w stronę drzwi, ale przystanął.

- Opowiedzieć ci dowcip?
- Nie.
- Świński.
- W takim razie zdecydowanie nie.
- Jaka jest różnica między subaru a wzwodem?
- „Nie” znaczy nie.
- Ale poważnie. Jaka jest różnica?
- Poważnie, nie chcę tego wiedzieć.

Jacob pochylił się i szepnął:

- Że nie mam subaru.

Wbrew sobie Sam roześmiał się, parszkając i zapluwając się. Jacob też się śmiał, nie z własnego żartu, lecz ze śmiechu syna. Śmiali się razem – do rozpuku, histerycznie.

Sam próbował bez powodzenia odzyskać panowanie nad sobą i zaczął:

- Śmieszne... naprawdę śmieszne... jest to... że ty *masz* subaru.

A potem śmiali się jeszcze bardziej, Jacobowi też poleciało trochę śliny, łzy napłynęły mu do oczu i przypomniał sobie, jak okropnie było być w wieku Sama, jakie to było przykre

i niesprawiedliwe.

– To prawda – powiedział Jacob. – Totalnie tak. Powinienem być powiedzieć „toyotę”.

Gdzie ja miałem głowę?

– Gdzie miałeś głowę?

Gdzie miał głowę?

Uspokoili się.

Jacob podwinął rękawy koszuli jeszcze raz – dość ciasno, ale chciał, żeby były nad łokciem.

– Mama uważa, że powinieneś przeprosić.

– Ty też?

Zacisnął dłoń w kieszeni wokół niczego, wokół noża i odparł:

– Też.

Jedyny i nieprawdomówny.

– Skoro tak, to okej – odparł Sam.

– Nie będzie tak strasznie.

– Właśnie że będzie.

– Racja – powiedział Jacob, całując Sama w czubek głowy: jedyne miejsce, gdzie jeszcze można całować. – Będzie do kitu.

Odwrócił się w progu.

– Jak idzie w *Innym Życiu*?

– Ech.

– Nad czym pracujesz?

– Buduję nową synagogę.

– Naprawdę?

– Tak.

– Mogę spytać po co?

– Bo zniszczyłem starą.

– Zniszczyłeś? Jak za pomocą stalowej kuli do burzenia?

– W tym stylu.

– I teraz zbudujesz synagogę dla siebie?

– Tamtą starą też zbudowałem.

– Mamie by się to spodobało – powiedział Jacob, pojmując wspaniałość i piękno tego, czym Sam nigdy się nie dzielił. – I pewnie miałaby z milion pomysłów.

– Nie wspominaj jej o tym, proszę.

Zapewniło to Jacobowi ukłucie przyjemności, którego nie chciał. Kiwnął głową i odpowiedział:

– Jasne. – A potem pokręcił głową i dodał: – Nigdy bym tego nie zrobił.

– Okej – powiedział Sam – więc... Chyba że jest coś jeszcze?

– A stara synagoga? Po co ją zbudowałeś?

– Żebym mógł ją wysadzić.

– Wysadzić? Wiesz, gdybym był innym tatą, a ty innym dzieckiem, pewnie czułbym się zobligowany, żeby donieść na ciebie FBI.

– Ale gdybyś był innym tatą, a ja innym dzieckiem, pewnie nie musiałbym wysadzać wirtualnej synagogi.



– Poddaję się – odparł Jacob. – Ale czy jest możliwe, że nie budowałeś synagogi, by ją zniszczyć? A w każdym razie nie tylko po to?

– Nie, to nie jest możliwe.

– Znaczy, że próbowałeś zrobić coś dokładnie tak jak należy, a gdy nie wyszło, musiałeś to zniszczyć?

– Nikt mi nie wierzy.

– Ja wierzę. Wierzę, że chcesz, żeby wszystko było jak trzeba.

– Po prostu tego nie łapiesz – powiedział Sam, bo w żadnym razie nie zamierzał przyznać, że ojciec coś rozumie.

Ale rozumiał. Sam nie zbudował synagogi, żeby ją zniszczyć. Nie był jednym z tych tybetańskich szajbusów od piaskowych mandali, o których musiał słuchać w trakcie jazdy – pięciu milczących gości pracowało tysiące godzin nad rękodziełem artystycznym, którego funkcja polegała na braku funkcji. („A ja myślałem, że to naziści są przeciwieństwem Żydów” – powiedział jego tata, odłączając telefon od samochodowego zestawu stereo). Nie, wybudował synagogę w nadziei, że gdzieś w końcu poczuje się swobodnie. Nie chodziło tylko o to, że mógł ją stworzyć zgodnie z własnymi zawiłymi wymaganiami; mógł tam być, nie będąc tam. Nie inaczej niż w przypadku masturbacji. Ale jak z masturbacją: jeśli nie było dokładnie tak, jak powinno, było całkowicie i nieodwracalnie źle. Czasami w najgorszym z możliwych momentów jego upojone id nagle zbaczało gwałtownie z kursu i reflektor umysłu padał na rabina Singera, Seala (tego piosenkarza) albo mamę. I nie było już odwrotu. Podobnie z synagogą: najmniejsza niedoskonałość – nieskończenie mała asymetria rotundy, schody ze zbyt wysokimi przednózkami dla niskich dzieci, gwiazda Dawida do góry nogami – i trzeba się było wszystkiego pozbyć. Nie zachowywał się impulsywnie. Był staranny. Nie mógł po prostu poprawić tego, co było nie tak? Nie, bo zawsze wiedziałby, że wcześniej było źle. „To ta gwiazda, co wisiała do góry nogami”. Ktoś inny uznałby, że za sprawą korekty synagoga jest doskonalsza, niż gdyby od razu była taka jak należy. Ale Sam nie był kimś innym. Samanta też nie.

Jacob usiadł na łóżku syna i powiedział:

– W młodości, może to było w szkole średniej, lubiłem spisywać teksty wszystkich moich ulubionych piosenek. Nie wiem dlaczego. Pewnie dawało mi to poczucie, że rzeczy są na swoim miejscu. Zresztą to było na długo przed internetem. No więc siedziałem sobie z boomboksem...

– Boomboksem?

– Odtwarzaczem kaset z głośnikami.

– To było lekceważenie.

– W porządku... no więc... siedziałem sobie z moim boomboksem, puszczałem sekundę czy dwie piosenki, zapisywałem to, co usłyszałem, przewijałem i odtwarzałem jeszcze raz, żeby się upewnić, że dobrze rozumiałem, potem puszczałem znowu, spisywałem trochę więcej, cofałem do fragmentów, których nie dosłyszałem albo nie byłem pewien, a następnie je spisywałem. Przewijanie kasety jest naprawdę niedokładną czynnością, więc albo cofałem się za bardzo, albo za mało. Było to niezwykle mozolne. Ale uwielbiałem to. Uwielbiałem tamto poczucie staranności. Uwielbiałem poczucie, że coś ustaliłem. Spędziłem na tym Bóg wie ile godzin. Czasem tekst naprawdę potrafił mi zabić klina, szczególnie gdy pojawiły się grunge i hip-hop. A nie godziłem się na zgadywanie, bo to podkopałoby cały

sens spisywania tekstów – chodziło o zrozumienie. Czasem musiałem słuchać tego samego fragmentu bez końca, dziesiątki albo setki razy. Dosłownie zdzieralem taśmę w tym miejscu, więc kiedy później słuchałem piosenki, nie było śladu po fragmencie, który najbardziej chciałem rozwikłać. Pamiętam taką frazę w *All Apologies*... Znasz tę piosenkę, prawda?

– Nie-e.

– Nirvany...? Wspaniała, ale to *wspaniała* piosenka. Tak czy siak, Kurtowi Cobainowi chyba poprzestawiało się w głowie, a z rozszyfrowaniem jednej frazy miałem wyjątkowy zgryz. Po setkach odsłuchań najlepsze, na co wpadłem, brzmiało: „Spienionego morza ryk”. Nie zdawałem sobie sprawy, że się mylę, dopóki wiele lat później nie zaśpiewałem tej piosenki przy mamie, drąc się na całe gardło jak idiota. To było niedługo po naszym ślubie.

– Wytknęła ci błąd?

– Tak.

– To takie w jej stylu.

– Byłem wdzięczny.

– Ale przecież śpiewałeś.

– Ale źle.

– Ale jednak. Powinna była odpuścić.

– Nie, zrobiła jak należy.

– A jak naprawdę brzmiał tekst?

– Uwaga, przygotuj się. Szedł tak: „wpienionego morza wstyd”.

– Niemożliwe.

– Prawda?

– Co to w ogóle ma znaczyć?

– Nic. Na tym polegał mój błąd. Myślałem, że to musi coś znaczyć.

## II

# Nauka nietrwałości

# Antietam

Ani Jacob, ani Julia nie wiedzieli, co dokładnie działo się w pierwszych dwóch tygodniach po tym, jak Julia znalazła telefon: co do czego osiągnięto zgodę, czego należało się domyślać, co poruszano tylko hipotetycznie, czego oczekiwano. Żadne z nich nie miało pojęcia, co jest rzeczywiste. Wydawało się, że wszędzie jest pełno emocjonalnych min. Oboje przemykali więc przez czas i pomieszczenia na paluszkach serc, z wielkimi słuchawkami podłączonymi do czułych wykrywaczy metalu, które potrafiły wychwycić ślady pogrzebanych uczuć, choćby kosztem odcięcia się od reszty życia.

Przy śniadaniu, które telewizjom mogłoby się wydać jak najbardziej radosne, Julia powiedziała do lodówki: „Zawsze kończy nam się mleko”, a Jacob usłyszał w swoich słuchawkach: „Nigdy porządnie się o nas nie troszczyłeś”, nie dosłyszał jednak, że Max mówi: „Nie przychodźcie jutro na konkurs młodych talentów”.

Kiedy następnego dnia u Maxa w szkole zmuszeni byli dzielić wspólnie niewielką przestrzeń windy, Jacob oświadczył: „Przycisk «Zamknij drzwi» nie jest nawet z niczym połączony. Czysto psychologiczna zagrywka”, Julia zaś w słuchawkach usłyszała: „Niech to się już skończy”. Nie usłyszała jednak, że sama mówi: „Sądziłam, że wszystko jest czysto psychologiczne”, co w uszach Jacoba zabrzmiało jak: „Tyle lat terapii i nikt nie ma mniejszego pojęcia o szczęściu”. On zaś nie spostrzegł, że odpowiada: „Czyste czystemu nierówne”. Do windy wszedł prawdopodobnie zadowolony rodzic z prawdopodobnie nierozbitej rodziny i spytał Jacoba, czy dalej zamierza naciskać guzik otwierający drzwi.

Całe to chodzenie na paluszkach, wszystkie te nadinterpretacje i uniki – i okazywało się, że to wcale nie pole minowe, lecz pole bitwy z wojny secesyjnej. Jacob zabrał kiedyś Sama do Antietam, tak jak jego samego zabrał tam wcześniej Irv. Wygłosił podobną do ojcowskiej przemowę o tym, jaki to zaszczyt być Amerykaninem. Sam odnalazł na pół zagrzebany w ziemi pocisk. Broń w świetle Jacoba i Julii była równie nieszkodliwa jak on – pamiątka dawnych bitew, którą bez obaw można obejrzeć, zbadać, a nawet wycenić. Gdyby tylko wiedzieli, że nie należy się jej bać.

Rodzinne rytuały zakorzeniły się dostatecznie głęboko, aby unikanie siebie nawzajem stało się dość łatwe i nie rzucało się zbyt w oczy. Ona brała prysznic, on przygotowywał śniadanie. Ona podawała śniadanie, on siedł pod prysznic. On doglądał mycia zębów, ona słała łóżka, on zatwierdzał zawartość plecaków, ona sprawdzała pogodę i wybierała odpowiednią odzież wierzchnią, on zapuszczał silnik Hieny Eda (ogrzewał wnętrze samochodu przez sześć miesięcy, podczas których było za zimno, i ochładzał przez drugie sześć, gdy było za gorąco), ona wyprowadzała chłopców na dwór i wyglądała na Newark Street, żeby sprawdzić, czy zza pagórka nie wyłaniają się samochody, on zaś wyjeżdżał tyłem na ulicę.

Znaleźli dwa miejsca niemal na samym przedzie widowni. Odłożywszy torbę, Jacob powiedział:

– Załatwię nam jakąś kawę.

I tak właśnie zrobił. A potem czekał z kawą przy wejściu do szkoły przez trzy minuty po tym, jak podniesiono kurtynę. W połowie beznadziejnego wykonania *Let It Go* w wersji

jakiejś dziewczynki szepnął Julii na ucho:

– Chciałbym, żeby rzeczywiście sobie odpuściła. Jak w piosence.

Bez odzewu. Grupa chłopców odegrała scenę z *Avatara*. Coś, co było zapewne dziewczynką, tłumaczyło za pomocą różnych rodzajów makaronu, jak działa euro. Ani Jacob, ani Julia nie chcieli się przyznać, że nie wiedzą, co zamierza zrobić Max. Żadne z nich nie mogło znieść wstydu związanego z tym, że byli zbyt zajęci osobistymi krzywdami, żeby pamiętać o dziecku. I żadne nie mogło znieść wstydu, że to drugie jest lepszym rodzicem. Oboje na własny użytek zgadywali, że Max wykona sztuczkę z kartami, której nauczył go magik po czterdziestce Julii. Dwie dziewczynki śpiewające *When I'm Gone* odegrały trick z kubkiem z teledysku, na co Jacob szepnął:

– To idź już teraz.

– Co?

– Nie. Chodzi o nią. Tę piosenkarkę. Skoro ma iść, to niech idzie.

– Bądź miły.

W finale nauczyciele aktorstwa i muzyki połączyli siły w ugrzecznionej wersji początku *Księgi Mormona* – urzeczywistniając swoje marzenia, raz jeszcze potwierdzali, dlaczego to tylko marzenia. Po burzy oklasków i zwięzłym podziękowaniu dyrektora dzieci wróciły gęśiego do klas.

Jacob i Julia szli do samochodów w ciszy. Wieczorem w domu nie wspomniano o konkursie talentów. Czy Max stchórzył? Czy uważał się za beztalencie? Czy jego wstrzymanie się od udziału było przejawem agresji, czy też wołaniem o pomoc? Gdyby zadali mu któreś z tych pytań, przypomniałby im, że mówił, żeby nie przychodzili.

Kiedy trzy wieczory później Jacob przyszedł do łóżka po odczekaniu przepisowej godziny, Julia nadal czytała, powiedział więc, że o czymś zapomniał, i wrócił, skąd przyszedł, by dalej nie czytać gazety, nie oglądać przy tym kolejnego odcinka *Homelandu* i nie żałować, jak często mu się to zdarzało, że Mandy Patinkin nie był o dziesięć lat starszy – świetnie nadawałby się wówczas do roli Irva.

Dwa dni później Julia weszła do spiżarki, gdzie Jacob sprawdzał, czy kilkaset miliardów atomów nie uporządkowało się przypadkiem w niezdrową przekąskę w ciągu dziesięciu minut od chwili, gdy sprawdzał to po raz ostatni. Wyszła w jednej chwili. (Inaczej niż Jacob, nie podawała rzekomego powodu, dla którego się od niego odsuwa, nigdy nie zdarzało jej się „o czymś zapomnieć”). Spiżarka nie znajdowała się pośród nieoficjalnie zaanektowanych przestrzeni – jak pokój telewizyjny zajmowany przez Jacoba czy salonik Julii – ale była zbyt mała, by ją dzielić we dwoje.

Dziesiątego dnia Jacob otworzył drzwi do łazienki i zastał Julię wycierającą się po kąpieli. Zasłoniła się. Setki razy widział, jak wychodzi z wanny, był świadkiem, jak z jej ciała wychodzi trójka dzieci. Tysiące razy widział, jak się ubiera i rozbiera, w tym dwukrotnie w zajeździe w Pensylwanii. Kochali się w każdej pozycji, oglądając każdą część swych ciał z każdej perspektywy.

– Przepraszam – powiedział, nie bardzo wiedząc, do czego się to słowo odnosi, zorientowawszy się tylko, że jego stopa przydepnęła do połowy zapalnik miny.

Albo natknął się na pamiątkę po dawnej bitwie, którą można było bezpiecznie obejrzeć, zbadać, a nawet wycenić.

A gdyby zamiast przeprosić i odwrócić się, spytał, czy potrzeba zasłonięcia się jest dla

niej czymś nowym, czy też starym, tyle że mającym nowe uzasadnienie?

Kiedy linia obronna generała Roberta E. Lee została przełamana pod Petersburgiem i ewakuacja Richmond była nieuchronna, Jefferson Davis nakazał przenieść skarbiec konfederatów. Przewożono go pociągiem, a następnie krytym wozem. Pod okiem wielu i ciągle z rąk do rąk. Unioniści naciskali, konfederacja się rozpadała, a to, gdzie znajduje się pięć ton złota w sztabkach, nadal pozostaje tajemnicą, choć przyjmuje się, że są zakopane.

A gdyby zamiast przeprosić i odwrócić się, podszedł do niej, dotknął jej, pokazał, że nie tylko nadal chce się z nią kochać, ale wciąż zdolny jest zaryzykować odrzucenie?

W trakcie pierwszej wizyty Jacoba w Izraelu jego kuzyn Szlomo zabrał rodzinę do Kopyły na Skale, gdzie w tamtym czasie mogli wchodzić także niemuzułmanie. Pobożność mężczyzn na dywanikach modlitewnych poruszyła Jacoba tak głęboko jak pobożność Żydów na dole. Tutaj był jednak bardziej poruszony, ponieważ oddanie wydawało się nie tak samoświadome: przy Ścianie Płaczu mężczyźni ledwie skłaniali głowę, tu zaś lamentowali. Szlomo wyjaśnił, że stoją na grocie wydrążonej w Kamieniu Węgielnym.

Na dzień owej groty był niewielki spadek, który – jak uważano – znajdował się nad kolejną jaskinią, określaną często mianem Studni Dusz. To właśnie tutaj Abraham odpowiedział na Boże wezwanie i przygotował się, by złożyć w ofierze swego ukochanego syna, tutaj Mahomet wstąpił do nieba, tu zakopano Arkę Przymierza pełną połamanych i całych tablic. Wedle Talmudu kamień wyznacza środek świata, służąc za wieko nad otchłanią, w której wciąż szaleją wody potopu.

– Stoimy nad najwspanialszym stanowiskiem archeologicznym, jakiego nigdy nie będzie, pełnym najcenniejszych przedmiotów na świecie, w miejscu, gdzie spotykają się historia i religia – powiedział Szlomo. – Wszystko pod ziemią, nikt nigdy tego nie ruszy.

Irv stanowczo obstawał przy tym, że Izrael powinien prowadzić wykopaliska, niech się dzieje, co chce. To kulturowy, historyczny i intelektualny obowiązek. Ale dla Jacoba, dopóki tych rzeczy nie odkopano – póki nie można było ich zobaczyć i dotknąć – pozostawały czymś nierzeczywistym. Lepiej było je więc trzymać poza zasięgiem wzroku.

A gdyby zamiast przeprosić i odwrócić się, Jacob podszedł do Julii i uniósł ręcznik, jak uniósł przed ślubem jej welon, potwierdzając, że nadal jest taka, jak mówił, że jest kobietą, której wciąż pragnie?

Jacob starał się, by ich rozmowy pozostawały pod ziemią, Julia musiała jednak zobaczyć kres rodziny i go dotknąć. Wyrażała przy tym niezmienny szacunek dla Jacoba, pragnienie, by byli przyjaciółmi, *najlepszymi*, i dobrymi – *najlepszymi* – współrodzicami. Chciała skorzystać z rozjemcy i nie zagubić się we wszystkim, czym nie trzeba się przejmować, pragnęła też, by mieszkali blisko siebie, razem jeździli na wakacje i tańczyli na swoich drugich weselach, mimo że przysięgała, że nigdy już nie wyjdzie za mąż. Jacob przytakiwał, nie wierząc, by cokolwiek z tego, o czym mówi, właśnie się działo albo miało się wydarzyć. Przeszli tyle nieuniknionych prób: przyzwyczajanie chłopców do snu, ząbkowanie, upadki z dziecięcych rowerków, fizjoterapia Sama. Tę pewnie też przejdą.

Mogli meandrować po domu, unikając się wzajemnie, mogli też meandrować w rozmowach, by podtrzymać złudzenie bezpieczeństwa, ale gdy w pokoju lub rozmowie pojawiał się dziecko, nie dało się zejść do podziemi. Julia wielokrotnie dostrzegła spojrzenie któregoś z chłopców – Benjy’ego odrywającego w zamyśleniu wzrok od rysunku Odysa, który stawia czoło cykloptom, Maxa przyglądającego się dokładnie włoskom na

swym przedramieniu, Sama ostrożnie uzupełniającego segregator – i myślała: „Nie mogę”.  
„Nie zrobimy tego”, myślał Jacob.

# Damaszek

Dzień przed początkiem zagłady Izraela Julia i Sam zbierali w pośpiechu swoje rzeczy, nim kierowca Ubera, Mohammed, poczuł się zmuszony do tego, by dać im jedną gwiazdkę, tym samym przypieczętowując ich los jako pasażerów *haram*. Jacob przygotowywał natomiast przebranego za pirata Benjy'ego do spędzenia dnia z dziadkami.

– Masz wszystko? – zapytała Sama Julia.

– Tak! – odparł, nie będąc w stanie zdobyć się na herkulesowy wysiłek ukrycia rozdrażnienia niczym.

– Nie przytakuj tu mamie – powiedział Jacob dla dobra Julii i swojego własnego.

Trudno było odnaleźć poczucie koleżeństwa w minionych dwóch tygodniach – nie dlatego, że pojawiło się okrucieństwo, po prostu brak było bezpośredniego kontaktu. Zdarzyło się kilka momentów, zwykle za sprawą wspólnego bezwiednego zdumienia czymś, co powiedział lub zrobił jeden z chłopców, gdy wydawało się, że Jacob i Julia znów przywdziewają jednakowe barwy. W dniu śmierci Olivera Sacksa Jacob podzielił się z chłopcami niektórymi szczegółami z życia swego idola, tłumacząc zakres jego zainteresowań, nieujawnianą homoseksualność, słynne stosowanie lewodopy i to, że być może najciekawszy i najbardziej ujmujący człowiek ostatniego półwiecza ponad trzydzieści z tych pięćdziesięciu lat przeżył w celibacie.

– W celibacie? – spytał Max.

– Bez seksu.

– I co?

– I to, że pragnął chłonąć wszystko, co miał do zaoferowania świat, ale nie chciał lub nie mógł podzielić się sobą.

– Może był impotentem – zasugerowała Julia.

– Nie – odpowiedział Jacob, czując, jak otwiera się rana – on po prostu...

– A może był cierpliwy.

– Ja jestem w celibacie – powiedział Benjy.

– Ty? – odparł Sam. – Ty jesteś Wiltem Chamberlainem.

– Nie jestem tym gościem, kimkolwiek by był, i nie wsadzałem mojego penisa w waginę drugiej osoby.

Obrona jego celibatu była na swój sposób zabawna. Podobnie jak wzmianka o „waginie drugiej osoby”. Ale Benjy co kilka minut mówił coraz zabawniejsze, nad wiek dojrzałe rzeczy. Nie wydawało się to metaforą ani przypadkową wiedzą. Nie poruszało też żadnych obnażonych nerwów. Jednak po raz pierwszy od czasu odnalezienia telefonu zmusiło Julię do wymiany spojrzeń z Jacobem. I w tamtej chwili Jacob poczuł pewność, że znajdą drogę powrotną.

Teraz do koleżeństwa było jednak daleko.

– Co ja takiego powiedziałem? – spytał Sam.

– Chodzi o to, jak to powiedziałeś – odparł Jacob.

– Jak powiedziałem to, co powiedziałem?

– O *tak!* – powiedział Jacob, naśladowując „tak!” Sama.



– Poradzę sobie z moją częścią rozmowy z synem – oznajmiła Jacobowi Julia. A potem spytała Sama: – Pamiętałeś o szczoteczce?

– Oczywiście, że ma szczoteczkę – stwierdził Jacob, czyniąc małe ustępstwo na rzecz lojalności.

– O w dupę – powiedział Sam; zawrócił i popędził na górę.

– Chciał, żebyś się o niego zatroszczył – oświadczyła Julia.

– Nie. Nie sądzę, żeby o to chodziło.

Julia wzięła Benjy’ego na rękę i powiedziała:

– Będę za tobą tęsknić, mój mały mężczyzno.

– *Opi* mówi, że mogę u niego używać brzydkich słów.

– Jego dom, jego zasady – powiedział Jacob.

– No więc: nie – poprawiła go Julia.

– „Dupa” albo „penis”...

– „Penis” to nie jest brzydkie słowo – stwierdził Jacob.

– Wątpię, czy *omi* się spodoba, że tak mówisz.

– *Opi* powiedział, że to nie ma znaczenia.

– Źle go zrozumiałeś.

– Powiedział: „*Omi* nie ma znaczenia”.

– Żartował – uznał Jacob.

– „Dupek” to brzydkie słowo.

Sam wrócił ze szczoteczką.

– A półbuty? – spytała Julia.

– Kuuuuuurwa.

– „Kurwa” też – powiedział Benjy.

Sam z powrotem pomknął po schodach.

– Może daj mu trochę więcej luzu? – zasugerował Jacob w formie pytania adresowanego pozornie do świadomości zbiorowej.

– Nie sądzę, żebym była irytująca.

– Oczywiście, że nie. Chodziło mi o to, że podczas wycieczki to Mark może odgrywać czarny charakter. W razie konieczności.

– Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie.

– Przy czterdziestce dzieciaków w okresie pokwitania, z dala od domu?

– Nie powiedziałabym, że Sam pokwita.

– Pokwita? – spytał Benjy.

– Cieszę się, że będzie tam Mark – powiedział Jacob. – Wiesz, możesz nawet nie pamiętać, ale kilka tygodni temu mówiłaś o nim coś w kontekście...

– Pamiętam.

– Mówiliśmy wiele różnych rzeczy.

– Owszem.

– Tylko tyle chciałem powiedzieć.

– Nie jestem pewna, co przed chwilą powiedziałaś.

– Tylko tyle.

– Wykorzystaj okazję, żeby go trochę poznać – zaproponowała Julia, nie zatrzymując się nad tym dłużej.

- Maxa?
- Nie wycofujcie się do swoich osobnych światów.
- Nie mam żadnego świata, więc to nie powinien być problem.
- Fajnie będzie jutro odebrać Izraelczyków.
- Tak?
- Ty i Max możecie być reprezentacją Stanów Zjednoczonych.

Max zszedł po schodach.

- Dlaczego o mnie rozmawiacie?
- Nie rozmawiamy o tobie – rzucił Jacob.
- Właśnie mówiłam tacie, że powinniście spróbować znaleźć sobie wspólne zajęcie, gdy nikogo nie będzie.

Zadzwoił dzwonek u drzwi.

- Moi staruszkowie – powiedział Jacob.
- *Wspólne* wspólnie? – szepnął Max do Julii.

Jacob otworzył drzwi. Benjy wyswobodził się z objęć Julii i podbiegł do Deborah.

- *Omi!*
- Cześć, *omi* – powiedział Max.
- A ja to co? Mam ebole? – spytał Irv.
- Ebole?
- Cześć, *opi*.
- Fajowy styl Mosze Dajana<sup>13</sup>.
- Jestem *piratem*.

Irv pochylił się do poziomu Benjy’ego i odegrał coś, co jak najbardziej mogło być parodią Dajana, gdyby ktokolwiek wiedział, jak naprawdę brzmi głos Dajana:

- Syryjczycy przekonają się niebawem, że droga z Damaszku do Jerozolimy prowadzi również z Jerozolimy do Damaszku!

– Arrrgggg!

- Spisałam jego rozkład dnia – Julia zwróciła się do Deborah. – I przygotowałam torebkę z kilkoma gotowymi posiłkami.

– Za moich czasów też zdarzało mi się przygotować posiłek, a nawet setki.

- Wiem – odparła Julia, próbując odwzajemnić widomą czułość Deborah. – Chciałam tylko ułatwić wam wszystko jak się da.

– Mam mnóstwo mrożonek w zamrażarce – powiedziała Deborah do Benjy’ego.

– Wegetariańskie paski bekonu Morningstar Farms też?

– Mhm...

– Kuuuuurwa.

– Benjy!

Sam zbiegł po schodach z butami, zatrzymał się, wykrzyknął: „Do diabła!” i zawrócił na pięcie.

– Wyrażaj się – powiedziała Julia.

– Tata mówi, że nie ma czegoś takiego jak brzydkie słowa.

– Ale mówiłem, że można ich w brzydki sposób użyć. I to właśnie przykład takiego użycia.

– Będziemy tak tu stać do zmroku? – spytał Irv Benjy’ego.

– Nie wiem.

– Niech nie siedzi za długo – powiedziała Julia do Deborah.

– A jutro przywieziemy Izraelczyków?

– Zabieram go do zoo – zagadnęła Deborah. – Pamiętasz?

– Siri, czy ja pamiętam, o czym mówi ta kobieta? – zwrócił się Irv do swego telefonu.

Sam wrócił biegiem po schodach z paskiem w ręce.

– Hej, mały – powiedział Irv.

– Cześć, *opi*. Cześć, *omi*.

– Wszystko gra z twoją mową nienawiści?

– Nie zrobiłem tego.

– Wiesz, kiedyś opiekowałem się klasą twojego taty podczas oprowadzania po symulacji obrad ONZ.

– Nic podobnego – wtrącił Jacob.

– Oczywiście, że tak.

– Uwierz, że nie.

– Masz rację – przytaknął Irv, puszczając oko do Sama. – Myślałem o tym, jak zabrałem cię na *prawdziwe* obrady ONZ. – Następnie trzepnął się jedną dłonią w drugą i powiedział: – Brzydki ojciec.

– Zapomniałeś tam o mnie.

– Najwyraźniej nie do końca. – A potem zwrócił się do Sama: – Gotów urządzić im piekło?

– Tak sądzę.

– Pamiętaj, że jeśli wybiorą delegata z tak zwanej Palestyny, masz im powiedzieć, jak jest, a później wstać i wyjść. Słyszysz? Uderzaj słowem, przemów stopami.

– Reprezentujemy Mikronezję...

– Siri, co to Mikronezja?

– I, no wiesz, debatujemy nad rezolucjami, a także odpowiadamy na każdy możliwy kryzys, jaki wymyślą.

– Arabowie?

– Mediatorzy.

– Tato, on wie, co robi.

Trzykrotnie zatrąbił klakson, a po nim rozległo się dziewięć szybkich dźwięków – *szewarim, terua*<sup>14</sup>.

– Mohammed traci cierpliwość – powiedziała Julia.

– A nigdy nie była to jego mocna strona – dorzucił Irv.

– Też już pójdziemy – stwierdziła Deborah. – Mamy plany na nasz wielki dzień: czas opowieści, rzemiosło artystyczne, spacer na łonie natury...

– ...jedzenie galaretek, żarty z Charliego Rose'a...

– Argus, chodź! – zawołał Jacob.

– Chcę się ożenić z owocową galaretką.

– Idziemy do weterynarza – wyjaśnił Max babci.

– Nic się nie dzieje – powiedział Jacob, uśmierzając obawę, której nikt nie wyraził.

– Poza tym, że codziennie dwa razy robi w domu kupę – stwierdził Max.

– Jest stary. To nic niezwykłego.

– Czy pradziadek robi u siebie kupę dwa razy dziennie? – spytał Benjy.

Zaległa cisza; każdy przyznawał w głębi duszy, że – ponieważ ich wizyty u Isaaca stały się tak rzadkie – nie można było wykluczyć, że robi u siebie kupę dwa razy dziennie.

– W sumie czy nie wszyscy robią w domu kupę dwa razy dziennie? – spytał Benjy.

– Twojemu bratu chodziło o dom, a nie o łazienkę.

– Ma worek kolostomijny – powiedział Irv. – Gdzie on, tam i jego kupa.

– Co to za ten jakiś worek? – spytał Benjy.

Jacob odchrząknął i zaczął:

– Jelita pradziadka...

– To jak torebka na resztki z restauracji, tyle że na psie gówno – wtrącił Irv.

– Ale dlaczego miałyby potem to zjeść? – spytał Benjy.

– Może ktoś powinien sprawdzić, co u niego, gdy nas nie będzie – powiedziała Julia. –

Moglibyście nawet zajrzeć tam z Izraelczykami w drodze do domu.

– Taki właśnie miałem plan – skłamał Jacob.

Mohammed zatrząbił jeszcze raz, tym razem głośniej.

Wyszli wszyscy razem: Deborah, Irv i Benjy na *Pinokia* do teatru lalek w Glen Echo, Julia i Sam złapać jadący ze szkoły autobus, a Jacob, Max i Argus do weterynarza. Julia przytuliła Maxa i Benjy'ego, ale Jacoba nie. Powiedziała do niego tylko:

– Nie zapomnij...

– Idźcie! – odparł. – Bawcie się dobrze. Zaprowadzajcie pokój na świecie.

– Trwały pokój – odrzekła Julia, jakby słowa same się zebrały.

– I pozdrów ode mnie Marka. Serio.

– Nie teraz, okej?

– Słyszysz coś, czego nie powiedziałem.

– Do zobaczenia – ucięła szorstko.

W połowie schodów Benjy zawołał:

– A co, jeśli nie będę za wami tęsknił?

– Możesz do nas zadzwonić – powiedział Jacob. – Mój telefon przez cały czas będzie włączony i nie będę od ciebie dalej niż kilka minut jazdy samochodem.

– Powiedziałem: co, jeśli *nie* będę tęsknił.

– Co?

– Czy to by było w porządku?

– Jasne, że tak – powiedziała Julia, całując Benjy'ego po raz ostatni. – Nic nie sprawiłoby mi większej radości, niż gdybyś bawił się tak dobrze, że całkiem byś o nas zapomniał.

Jacob zszedł po schodach, żeby dać Benjy'emu ostatniego, ale już naprawdę ostatniego buziaka.

– A zresztą – powiedział – i tak będziesz za nami tęsknił.

Wtedy pierwszy raz w życiu Benjy postanowił nie wyrażać swoich myśli na głos.

## Strona, która pozostaje w ukryciu

Zatrzymali się po drodze w McDonalddie. Był to rytuał związany z wizytą u weterynarza, który Jacob wprowadził po usłyszeniu podkastu o schronisku w Los Angeles poddającemu eutanazji więcej psów niż którekolwiek w Ameryce. Prowadząca je kobieta wszystkie psy bez wyjątku usypiała sama – czasem i dwanaście dziennie. Do każdego z nich zwracała się po imieniu, dawała im się wybiegać, ile tylko chciały, mówiła do nich, głaskała je i – w ramach ostatniego gestu przed wbiciem igły – karmiła McNuggetsami. „O taki ostatni posiłek by prosiły” – jak to ujęła.

W ciągu minionych kilku lat wizyty Argusa dotyczyły bólu stawów, mętnego wzroku, tłuszczaków na brzuchu i niekontrolowania czynności fizjologicznych. Nie zwiastowały rychłego końca, lecz Jacob wiedział, jak bardzo jego czworonożny kumpel lękał się gabinetu weterynarza, i czuł, że jest mu winien nagrodę, która przy okazji może też posłużyć za pozytywne skojarzenie. Niezależnie od tego, czy właśnie taki ostatni posiłek Argus by dla siebie wybrał, czy też nie, rzucał się na McNuggetsy jak szalony, większość z nich połykając w całości. Odkąd był członkiem rodziny Blochów, niezmiennie jadł karmę Newman's Own dwa razy dziennie. (Julia wojowniczo zabroniła dawania mu resztek ze stołu, ponieważ to „zmusiłoby Argusa do zostania żebrakiem”). McNuggetsy zawsze wywoływały biegunkę, a czasem wymioty. Zwykle jednak trwało to kilka godzin, które można było tak ustawić, żeby zbiegły się ze spacerem po parku. I było warto.

Jacob i Max brali też McNuggetsy dla siebie. W domu prawie nigdy nie jedli mięsa – kolejna decyzja Julii – a na liście rzeczy, których nie wolno robić, jedzenie śmieciowego żarcia plasowało się tuż za kanibalizmem. Jacobowi ani Maxowi nie brakowało McNuggetsów, ale udział w czymś, czego Julia nie pochwała, był doświadczeniem tworzącym więź. Zatrzymali się przy parku Fort Reno i na oczekaniu urządzili piknik. Argus był na tyle lojalny i apatyczny, że bez obaw można go było puścić bez smyczy. Max głaskał go, gdy pies połykał McNuggetsa za McNuggetsem, powtarzając: „Dobry piesek, dobry”.

Choć było to żałosne, Jacob czuł się zazdrosny. Okrutne uwagi Julii – jakkolwiek trafne, jakkolwiek zasłużone – boleśnie utkwily mu w głowie. Wracał bez przerwy do słów: „Nie wierzę, że w ogóle istniejesz”. Była to jedna z najmniej ścisłych, najmniej ciętych rzeczy, jakie powiedziała w ciągu pierwszej kłótni o telefon, i ktoś obdarzony innym umysłem uczepliłby się czegoś innego. Ale to właśnie ta fraza odbijała się w Jacobie echem. „Nie wierzę, że w ogóle istniejesz”.

– Często tu przychodziłem, gdy byłem młodszy – powiedział Jacob do Maxa. – Zjeżdżaliśmy na sankach z tej górki.

– Wy, czyli kto?

– Zwykle kumple. Możliwe, że dziadek zabrał mnie tu parę razy, ale nie przypominam sobie tego. Kiedy było ciepło, przychodziłem tutaj grać w bejsbol.

– Mecze? Czy zwykłe wygłupasy?

– Głównie wygłupasy. Niełatwo było zebrać minjan. Czasem się udawało. Może w ostatni dzień szkoły przed wakacjami.

– Dobry Argus. Taki dobry piesek.

– Z wiekiem zaczęliśmy kupować piwo w spożywczaiku Tenleytown, o tam. Nigdy nas nie legitymowali.

– Co to znaczy?

– Trzeba mieć dwadzieścia jeden lat, żeby legalnie kupić piwo, więc zwykle proszą cię o dowód, jak o prawo jazdy, żeby sprawdzić, ile masz lat. W Tenleytown nigdy tego nie robili. Dlatego wszyscy kupowaliśmy tam piwo.

– Łamałeś prawo.

– To były inne czasy. Poza tym wiesz, co Martin Luther King powiedział o prawach sprawiedliwych i niesprawiedliwych.

– Nie wiem.

– W zasadzie zakup piwa był naszym moralnym obowiązkiem.

– Dobry Argus.

– Żartuję oczywiście. Niedobrze jest kupować piwo, zanim się osiągnie pełnoletniość. I proszę, nie mów mamie, że opowiedziałem ci tę historię.

– Okej.

– Wiesz, co to jest minjan?

– Nie.

– To dlaczego nie spytałeś?

– Nie wiem.

– To dziesięciu mężczyzn powyżej trzynastego roku życia. Tylu potrzeba, żeby modlitwy w synagodze się liczyły.

– Brzmi seksistowsko i ejdżystowsko.

– Niewątpliwie i tak, i tak – powiedział Jacob, zrywając polny kwiatek. – Fugazi każdego lata grało tutaj za darmo.

– Co to jest Fugazi?

– To tylko największy zespół, jaki kiedykolwiek istniał, wedle każdego rozumienia wielkości. Ich muzyka była wielka. Ich etos był wielki. Po prostu byli wielcy.

– Co to takiego etos?

– Przewodnie wartości.

– Na czym polegał ten ich etos?

– Na tym, żeby nie kantować swoich fanów, nie tolerować przemocy na koncertach, nie kręcić klipów ani nie sprzedawać żadnych fanowskich pierdół. I żeby robić muzykę z antykorporacyjnym, antymizoginistycznym, świadomym klasowo przesłaniem, i robić to tak, żeby opadła ci szczena.

– Dobry piesek.

– Powinniśmy się chyba zbierać.

– Mój etos to: „Odnajdź światełko w morza pięknie, wybierz swoje własne szczęście”.

– Wspaniały etos, Max.

– To linijka z piosenki Rihanny.

– Cóż, Rihanna jest mądra.

– Nie napisała jej.

– W takim razie ten, kto ją napisał.

– Sia.

- Tak więc Sia jest mądra.
- I to był tylko żart.
- W porządku.
- A twój?
- Co?
- Etos.
- Nie kantuj swoich fanów, nie toleruj przemocy na koncertach...
- Ale poważnie.

Jacob parsknął śmiechem.

- Serio – naciskał Max.
- Pozwól mi się zastanowić.
- Pewnie tak właśnie brzmi twój etos.
- To etos Hamleta. Znasz Hamleta, prawda?
- Mam dziesięć lat, już trochę pożyłem.
- Przepraszam.
- Poza tym Sam czyta go na lekcjach.
- Ciekaw jestem, co u Fugazi. Zastanawiam się, czy nadal są idealistami, niezależnie od tego, co robią.
- Dobry Argus.

Kiedy weszli do weterynarza, zaprowadzono ich do gabinetu diagnostycznego na tyłach.

- W dziwny sposób przypomina mi to dom pradziadka.
- To naprawdę dziwne.
- Wszystkie te fotografie psów są trochę jak zdjęcia moje, Sama i Benjy’ego. A słój ze smakołykami przypomina słój z cukierkami.
- I pachnie jak...
- Co?
- Nic.
- No co?
- Chciałem powiedzieć, że jak śmierć, ale nie wydało się to specjalnie miłe, więc próbowałem zachować to dla siebie.
- A jak pachnie śmierć?
- Właśnie tak.
- Skąd ty w ogóle to wiesz?

Jacob nigdy nie wahał zmarłego. Troje jego dziadków odeszło, zanim się urodził bądź gdy był tak mały, że go przed tym chroniono. Nie umarł żaden z jego kolegów czy przyjaciół ani dawnych kolegów i przyjaciół. Czasem zadziwiało go, że udało mu się przeżyć czterdzieści dwa lata bez kontaktu ze śmiercią. Temu zadziwieniu towarzyszył strach, że statystyka nadrobi zaległości i zapewni mu wiele śmierci naraz. I że nie będzie na to gotowy.

Czekali pół godziny, zanim przyjął ich weterynarz, a Max dawał Argusowi przekąskę za przekąską.

- Może nie za dobrze to mieszać z McNuggetsami – ostrzegł Jacob.
- Dobry piesek, taki dobry.

Argus wydobywał z Maxa inną stronę jego osobowości – słodycz bądź wrażliwość, które zwykle pozostawały w ukryciu. Jacob wrócił myślami do dnia, który spędził z ojcem w Narodowym Muzeum Historii Naturalnej, gdy był w wieku swojego syna. W niewielu wspomnieniach był sam na sam z ojcem – Irv godzinami siedział w redakcji, a kiedy nie pisał, wykładał, a kiedy nie wykładał, utrzymywał kontakty towarzyskie z ważnymi ludźmi, by potwierdzić, że sam jest ważny – ale tamten dzień Jacob zapamiętał.

Stali naprzeciwko dioramy. Bizona.

– Ładny, co? – zagaił Irv.

– Naprawdę ładny – odparł Jacob, poruszony, wręcz wstrząśnięty, dojmującą obecnością zwierzęcia, jego *osobnością*.

– Nic tutaj nie dzieje się przypadkiem – stwierdził Irv.

– Jak to?

– Dokładają wszelkich starań, żeby dokładnie odtworzyć przyrodę. Na tym to polega. Ale mogliby przecież wybrać wiele innych wiernie odwzorowanych scenerii, prawda? Bizon mógłby pędzić, zamiast stać bez ruchu. Mógłby walczyć, polować, jeść. Mogłyby być dwa bizona, a nie jeden. Na grzbiecie mogli mu umieścić ptaszka. Możliwości było dużo.

Jacob uwielbiał ojcowskie nauki. Odurzały i dawały poczucie bezpieczeństwa. Potwierdzały też, że Jacob jest kimś ważnym w życiu ojca.

– Ale możliwości nie zawsze oznaczają brak ograniczeń – powiedział Irv.

– Dlaczego?

– Bo trzeba ukrywać, co sprowadziło zwierzęta tutaj.

– Jak to?

– Jak myślisz, skąd wzięły się zwierzęta?

– Z Afryki albo skądś?

– Ale w jaki sposób skończyły w dioramach? Sądzisz, że zgłosiły się na ochotnika do wypchania? A może wpadły pod samochód i natrafił na nie jakiś naukowiec szczęściarz?

– Chyba nie wiem.

– Zostały upolowane.

– Naprawdę?

– A polowanie nie jest czyste.

– Nie?

– Nikt nigdy nie dopadł czegoś, co nie chciało zostać dopadnięte, nie robiąc przy tym burdelu.

– Ojej.

– Po kulach zostają otwory, czasem duże. Po strzałach też. A nie da się powalić bizona, robiąc mu małą dziurkę.

– Pewnie nie.

– No więc gdy ustawiają zwierzęta w dioramach, odwracają je otworami, cięciami i dziurami od widza. Tylko zwierzęta namalowane na pejzażu mogą je przypadkiem zobaczyć. Ale przypomnienie sobie, że te dziury tam są, zmienia wszystko.

Pewnego razu, wysłuchawszy, jak Jacob przytacza przykład subtelnej lekceważenia ze strony Julii, doktor Silvers powiedział:

– Z reguły zranieni ludzie zachowują się podle. Jeśli pamięta się o ranach, dużo łatwiej wybaczyć takie zachowanie.



Kiedy Jacob wrócił tego wieczora do domu, Julia była w wannie. Delikatnie pukając, wołając w stronę łazienki i przesadnie głośno szurając nogami, próbował zasygnalizować jej swoją obecność, ale woda leciała za głośno i kiedy otworzył drzwi, przestraszył ją. Odetchnąwszy z ulgą i wyśmiawszy swój strach, oparła brodę na brzegu wanny. Razem słuchali wody. Przyłożona do ucha muszla staje się komorą pogłosową układu krążenia danej osoby. Morze, które wtedy słyszysz, to twoja własna krew. Tego wieczora łazienka stała się komorą pogłosową ich wspólnego życia. A za plecami Julii, tam, gdzie powinny wisieć ręczniki i szlafrok, Jacob zobaczył namalowany pejzaż: równinę, którą zawsze wypełniać będą szkoła, boisko piłkarskie, dział Whole Foods z produktami na wagę (szereg plastikowych pojemników z łuskanym grochem, brązowym ryżem, suszonym mango i surowymi nerkowcami), subaru i volvo, dom, ich dom, a przez okno na drugim piętrze widać było pokoik, tak mały i szczegółowo oddany, że mógł być tylko dziełem Mistrza, i na stole w tym pokoiku, który stał się jej gabinetem, od kiedy pokój dziecienny przestał być potrzebny, znajdował się model architektoniczny – dom, a w tym domu w domu, stojącym w domu, w którym działo się życie, była starannie ustawiona kobieta.

W końcu przyszedł weterynarz. Nie był to ktoś, kogo Jacob się spodziewał lub na kogo liczył, czyli łagodny goj w typie dziadka. Po pierwsze, to była ona. Wedle doświadczeń Jacoba z weterynarzami było jak z pilotami: praktycznie zawsze okazywali się siwymi (bądź siwiejącymi) mężczyznami, którzy działali uspokajająco. Doktor Shelling wyglądała za młodo, żeby postawić Jacobowi drinka – nie żeby miało kiedykolwiek do tego dojść – była wysportowana i miała na sobie coś, co wyglądało na szyty na miarę kitel.

– Co dziś panów sprowadza? – spytała, przeglądając kartę Argusa.

Czy Max widział to, co zobaczył Jacob? Czy był w tym wieku, żeby w ogóle zwracać na to uwagę? Żeby poczuć skrępowanie?

– Ma ostatnio trochę problemów – zaczął Jacob. – Pewnie to zupełnie normalne sprawy dla psa w jego wieku: niekontrolowanie czynności fizjologicznych, jakieś kłopoty ze stawami. Nasz poprzedni weterynarz, doktor Hazel z Animal Kind, zalecił mu rimadyl i cosequin i mówił, że powinniśmy wziąć pod uwagę zmianę dawkowania, jeśli nie będzie poprawy. Nie było, więc podwoiliśmy dawkę, dodaliśmy tabletki na demencję, ale nic to nie zmieniło. No więc pomyślałem o zasięgnięciu dodatkowej opinii.

– Dobrze – powiedziała, odkładając podkładkę do pisania. – A jak się wabi?

– Argus – pospieszył z odpowiedzią Max.

– Fajne imię – odparła, przyklękając.

Ujęła pysk Argusa i patrzyła mu w oczy, głaszcząc go po głowie.

– On cierpi – stwierdził Max.

– Od czasu do czasu odczuwa ból – wyjaśnił Jacob. – Ale nie bez przerwy i nie jest to cierpienie.

– Cierpisz? – spytała doktor Shelling Argusa.

– Skomle, gdy się podnosi i kładzie – powiedział Max.

– Nie brzmi to dobrze.

– Ale skomle też, gdy przy oglądaniu filmów nie upuszczamy wystarczająco dużo popcornu – dodał Jacob. – Katolicka beksa.

– Czy przychodzą panu na myśl inne sytuacje, w których skomle z bólu?

– Powtórzę: prawie zawsze skomle, bo chce jeść albo iść na spacer. Ale to nie jest cierpienie ani nawet ból. To tylko pragnienie.

– Skomle, kiedy kłóćcie się z mamą.

– To piski mamy – powiedział Jacob, próbując złagodzić wstyd, jaki czuł przed panią weterynarz.

– Wystarczająco często go wyprowadzacie? – spytała. – Nie powinien skomleć, że chce na spacer.

– Dużo przebywa na dworze – odparł Jacob. – Trzy razy dziennie – uściślił Max.

– Pies w wieku Argusa musi być wyprowadzany pięć razy dziennie. Przynajmniej.

– Pięć razy dziennie? – zdziwił się Jacob.

– A co do cierpienia, które dostrzeżliście: od jak dawna ono trwa?

– Bólu – poprawił Jacob. – „Cierpienie” to zbyt mocne słowo.

– Od dość dawna – przyznał Max.

– Wcale nie tak długo. Może z pół roku?

– W ostatnim półroczu zrobiło się gorzej – powiedział Max – ale skomle, od kiedy Benjy skończył jakieś trzy lata.

– To samo można powiedzieć o Benjym.

Pani weterynarz spoglądała przez kilka chwil w oczy Argusa, tym razem w ciszy. Jacob chciał, żeby ktoś tak na niego patrzył.

– Dobrze – przerwała milczenie. – Zmierzymy mu temperaturę. Sprawdzę jego najważniejsze organy, a jeśli będzie trzeba, pobierzemy mu krew.

Ze szklanej buteleczki na blacie wyjęła termometr, wycisnęła na niego trochę wazeliny i ustawiła się za Argusem. Czy to Jacoba podnieciło? Czy przygnębiło? To drugie. Ale dlaczego? Z powodu stoickiego spokoju Argusa za każdym razem, gdy się to działo? Dlatego że przypominało Jacobowi o jego własnej niechęci lub niezdolności do okazywania bólu? Nie, musiało chodzić o weterynarz – o jej młodzieńcze piękno (z biegiem wizyty zdawała się starzeć *à rebours*), lecz bardziej o jej czułą opiekę. Pobudziła Jacoba do fantazjowania, ale nie na temat kontaktu seksualnego. Nawet nie na temat tego, jak wprowadza mu czopek. Wyobrażał sobie, jak przyciska słuchawki do jego piersi, jak jej palce delikatnie badają jego węzły chłonne, jak prostuje i zgina jego ręce i nogi, a potem nasłuchuje w poszukiwaniu różnicy między bólem a cierpieniem z wnikliwością, spokojem i skupieniem kogoś, kto próbuje złamać szyfr sejfu.

Max przyklęknął na jedno kolano, ustawił się twarzą w twarz z Argusem i powiedział:

– Zuch psina. Spójrz na mnie. Właśnie tak, piesku.

– Dobrze – powiedziała pani weterynarz, wyjmując termometr. – Trochę podwyższona, ale w dopuszczalnych granicach.

Następnie przebiegła rękoma po ciele Argusa – przyjrzała się dokładnie wnętrzu jego uszu, odchyliła mu wargi, by spojrzeć na zęby i dziąsła, naciskała mu brzuch i obracała jego udo, dopóki nie jęknął.

– Wyraźnie reaguje na ruch tej nogi.

– Ma protezy w obu stawach biodrowych – oświadczył Max.

– Całkowite endoprotezy stawów?

Jacob wzruszył ramionami.

– W lewym miał osteotomię głowy kości udowej – odparł Max.

– Ciekawy wybór.

– Tak – ciągnął Max – był na granicy, jeśli chodzi o wagę, i weterynarz uważał, że możemy mu oszczędzić całkowitej endoprotezy. Ale to był błąd.

– Wygląda na to, że poświęciłeś temu dużo uwagi.

– To mój pies – skwitował Max.

– W porządku – powiedziała. – Wyraźnie cierpi na jakąś dolegliwość. Pewnie zapalenie stawu.

– Od jakiegoś roku robi kupę w domu – dorzucił Max.

– To nie trwa rok – poprawił Jacob.

– Nie pamiętasz pidżama party Sama?

– Tak, ale to był wyjątek. Dopiero kilka miesięcy później zrobił się z tego trwały problem.

– A czy w domu oddaje też mocz?

– Na ogół tylko się wypróżnia, siusiać zaczął niedawno – odparł Jacob.

– Czy nadal przykuca, żeby zrobić kupę? Często to tak naprawdę problem związany z artretyzmem, a nie z jelitami albo odbytem. Pies nie jest już w stanie przyjąć odpowiedniej pozycji i dlatego robi kupę w marszu.

– Często robi kupę w marszu – stwierdził Jacob.

– Ale czasem zdarza mu się to w jego legowisku – dodał Max.

– Jakby nie zdawał sobie sprawy, że to robi – zasugerowała weterynarz. – Albo po prostu jakby nie miał nad tym kontroli.

– Właśnie – przytaknął Max. – Nie wiem, czy psy się wstydzą lub martwią, no ale.

Jacob dostał wiadomość od Julii: „Dotarliśmy do hotelu”.

– Tego się nie dowiemy, ale z pewnością nie brzmi to przyjemnie – powiedziała weterynarz.

„I tyle? – pomyślał Jacob. – Dotarliśmy do hotelu?”. Jakby pisała do ledwie tolerowanego kolegi albo jakby miała to być najkrótsza wiadomość, jakiej wymaga wypełnienie prawnego obowiązku. A potem pomyślał: „Dlaczego zawsze daje mi tak niewiele?”. I ta myśl go zaskoczyła, nie tylko gwałtowną powodzią gniewu, którą wywołała, ale swobodą, jaką mu przyniosła wraz ze słowem „zawsze”, mimo że nigdy wcześniej świadomie jej nie wyraził. „Dlaczego zawsze daje mi tak niewiele?”. Tak rzadko wierzy na słowo. Tak skąpo komplementuje. Tak sporadycznie docenia. Kiedy po raz ostatni nie tłumiała śmiechu w odpowiedzi na któryś z jego żartów? Kiedy ostatnio chciała przeczytać coś, nad czym pracował? Kiedy ostatnio zainicjowała seks? Tak niewiele, by się tym pożywić. Zachował się podle, ale dopiero po dziesięciu latach zadawania ran strzałami zbyt tępymi, by załatwiły sprawę.

Często przypominał sobie ten performance Andy’ego Goldsworthy’ego, podczas którego artysta wraz z nadejściem burzy położył się na ziemi i pozostał tam, dopóki nie przeszła. Kiedy wstał, ukazał się suchy kształt sylwetki. Jak kredowy obrys ciała ofiary. Jak okrąg odcinający się w miejscu, gdzie była tarcza do rzutek.

– Nadal dobrze się bawi w parku – powiedział Jacob do pani weterynarz.

– Co takiego?

– Mówiłem tylko, że wciąż przyjemnie spędza czas w parku.

Po tej – zdawało się – nielogicznej uwadze rozmowa przybrała krańcowo odmienny przebieg, tak że na jaw wyszła ta druga strona.

– Czasem tak – powiedział Max. – Ale przeważnie tylko tam leży. I tak mu ciężko chodzić w domu po schodach.

– Kilka dni temu biegał.

– A potem przez jakieś trzy dni kulał.

– Słuchaj – zaczęła Jacob – jakość jego życia oczywiście się pogarsza. Na pewno nie jest taki jak dawniej. Ale wciąż ma życie, które warto przeżyć.

– Niby kto tak mówi?

– Psy nie chcą umierać.

– Pradziadek chce.

– Ej, chwila. Coś ty powiedział?

– Pradziadek chce umrzeć – skwitował rzeczowo Max.

– Pradziadek nie jest psem. – Całkowita osobliwość tej uwagi zaczęła powoli osaczać gabinet. Jacob próbował dać jej odpór oczywistą poprawką: – I nie chce umrzeć.

– Niby kto tak mówi?

– Może chcecie spędzić chwilę we dwóch? – spytała weterynarz, krzyżując ręce i robiąc krok w stronę drzwi.

– Pradziadek wiąże nadzieje z przyszłością – oświadczył Jacob. – Choćby z dożyciem bar micwy Sama. I czerpie przyjemność ze wspomnień.

– Tak jak Argus.

– Uważasz, że Argus czeka na bar micwę Sama?

– Nikt nie czeka na bar micwę Sama.

– Owszem, pradziadek.

– Niby kto tak mówi?

– Psy czerpią z życia najróżniejsze, bardzo subtelne przyjemności – wtrąciła weterynarz. – Gdy leżą w plamie słońca. Gdy czasem skapnie im jakieś smaczne jedzenie dla ludzi. Trudno powiedzieć, na ile to wykracza poza ich doświadczenie umysłowe. Pozostają nam hipotezy.

– Argus ma poczucie, jakbyśmy o nim zapomnieli – odparł Max, jasno wykładając swoją hipotezę.

– Zapomnieli?

– Jak o pradziadku.

Jacob uśmiechnął się niepewnie do pani weterynarz i rzucił:

– Kto powiedział, że pradziadek czuje się zapomniany?

– On.

– Kiedy?

– Kiedy rozmawiamy.

– To znaczy kiedy?

– Kiedy skajpujemy.

– Wcale tak nie uważa.

– To skąd wiesz, że Argus tak nie uważa, gdy skomle?

– Psy nie mogą czegoś nie uważać.

– Niech mu pani powie – Max zwrócił się do weterynarz.

– Ale co?

– Że Argusa powinno się uśpić.

– Och, nie mnie o tym rozstrzygać. To bardzo osobista decyzja.

– Dobrze, ale gdyby sądziła pani, że nie powinno się go usypiać, po prostu by to pani powiedziała.

– Max, on biega po parku. Ogląda filmy na kanapie.

– Niech mu pani powie – naciskał Max.

– Moje zadanie jako weterynarza polega na tym, by zająć się Argusem, pomóc utrzymać go w zdrowiu, a nie na udzielaniu rad na temat kresu życia.

– A więc innymi słowy zgadza się pani ze mną.

– Max, pani weterynarz tego nie powiedziała.

– Nie powiedziałam tego.

– Czy sądzi pani, że mojego pradziadka powinno się uspić?

– Nie – odparła weterynarz, natychmiast żałując, że jej odpowiedź uwiarygodniła pytanie.

– Niech pani mu powie.

– Co mam powiedzieć?

– Że sądzi pani, że Argusa powinno się uspić.

– Naprawdę nie mnie o tym decydować.

– Widzisz? – Max zwrócił się do ojca.

– Zdajesz sobie sprawę, że Argus jest w tym pomieszczeniu, Max?

– On nie rozumie.

– Oczywiście, że rozumie.

– Ale zaczekaj... Sądzisz, że Argus rozumie, a pradziadek nie?

– Pradziadek rozumie.

– Naprawdę?

– Tak.

– W takim razie jesteś potworem.

– Max!

– *Niech mu pani powie.*

Argus zwymiotował dwanaście niemal doskonale kształtnych McNuggetsów u stóp pani weterynarz.

– Jak udaje im się utrzymać czyste szyby? – Jacob zadał to pytanie ojcu trzydzieści lat wcześniej.

Irv spojrział ze zdziwieniem i rzucił:

– Za pomocą windexu?

– Ale z tamtej strony. Ludzie nie mogą tam przecież wchodzić. Zniszczyliby wszystko, co leży na ziemi.

– Skoro nikt tam nigdy nie wchodzi, to ciągle są czyste.

– Nie – stwierdził Jacob. – Pamiętasz, jak wróciliśmy z Izraela i wszystko było brudne? Chociaż przez trzy tygodnie nikogo nie było w domu? Pamiętasz, jak pisaliśmy nasze imiona po hebrajsku w kurzu na oknach?

– Dom nie jest środowiskiem zamkniętym.

– Owszem, jest.

– Nie tak zamkniętym jak diorama.

– Właśnie tak.

Bardziej niż uczyć Jacoba Irv uwielbiał tylko odpowiadać na jego wyzwania – oznaki

tego, że pewnego dnia własne dziecko go przewyższy.

– Może dlatego tamta strona szkła pozostaje w ukryciu – powiedział z uśmiechem, zanurzając palce we włosach syna, które, gdyby dać im dostatecznie dużo czasu, urosłyby tak, że palce całkiem by w nich utonęły.

– Nie wydaje mi się, żeby szkło tak działało.

– Nie?

– Nie da się ukryć drugiej strony.

– A czy zwierzęta tak działają?

– Co masz na myśli?

– Popatrz na pysk tego bizona.

– Co?

– Przypatrz się dobrze.

# Jeszcze nie

Sam i Billie siedzieli z tyłu autobusu, kilka pustych rzędów za resztą.

– Chcę ci coś pokazać – powiedziała.

– Okej.

– Na twoim iPadzie.

– Zostawiłem go w domu.

– Serio?

– Mama mi kazała – odparł Sam, żałując, że nie wymyślił mniej kompromitującego wytłumaczenia.

– Naczytała się jakiejś publicystyki albo czegoś?

– Chciała, żebym na wycieczce był „obecny”.

– Co zużywa czterdzieści litrów benzyny, ale się nie rusza?

– Co?

– Mnich buddyjski.

Sam roześmiał się, nie łapiąc żartu.

– Widziałeś ten, na którym aligator gryzie węgorza elektrycznego? – spytała.

– Taa, nieźle popieprzone.

Billie wyjęła jakiś zwykły, bardziej-lamerski-niż-dorosły-facet-na-skuterze tablet, który rodzice kupili jej na gwiazdkę, i zaczęła pisać.

– Widziałeś prezentera pogody ze stójką?

Oglądali razem i się śmiali.

– Najlepsze, jak mówi: „Zapowiada się gorący wieczór”.

Załadowała kolejny filmik i powiedziała:

– Ogarnij świnkę morską z kiłą.

– To chyba chomik.

– Nie trać z oczu sedna sprawy.

– Nienawidzę gadać jak tata, ale czy to nie chore, że mamy dostęp do tego gówna?

– Nie, to nie jest chore. Taki jest świat.

– Więc może świat jest chory?

– Nie z definicji. Chore jest to, jacy są ludzie.

– Naprawdę, ale to naprawdę podoba mi się twój sposób myślenia.

– Naprawdę, ale to naprawdę podoba mi się, że tak mówisz.

– Nie mówię, po prostu to prawda.

– I naprawdę, ale to naprawdę lubię też to, że nie potrafisz się zmusić, żeby powiedzieć słowo na „k”, bo boisz się, że pomyślę, że mówisz coś, czego nie powiedziałeś.

– Że co?

– Że naprawdę, ale to naprawdę, *naprawdę* mnie lubisz.

Kochał ją.

Przełączyła tablet na tryb uśpienia i powiedziała:

– *Emet hi haszeker hatow bejoter.*

– Co to?

– Hebrajski.

– Mówisz po hebrajsku.

– „Jeszcze nie”, jak brzmi powszechnie znana odpowiedź Franza Rosenzweiga na pytanie, czy jest religijny. Ale przekminiłam, że jedno z nas powinno się trochę poduczyć na cześć twojej bar micwy.

– Co za Franz? I chwileczkę... co to w ogóle znaczy?

– Prawda to najbezpieczniejsze z kłamstw.

– Ach... Cóż, *anata wa subete o rikai szite iru baai wa, gokai suru hitsujo ga arimasu*.

– Co to niby ma znaczyć?

– „Jeśli wszystko rozumiesz, to musisz być w błędzie”. To chyba po japońsku. Takie było motto do *Call of Duty: Black Ops*.

– Jasne, japońskiego ucze się w czwartki. Po prostu nie złapałam twojej wymowy.

Sam chciał jej pokazać nową synagogę, nad którą pracował przez ostatnie dwa tygodnie. Zastanawiał się, czy budowla najlepiej wyraża to, co w nim najlepsze, i czy przypadnie Billie do gustu.

Autobus zatrzymał się przed Hiltonem – hotelem, w którym teoretycznie za dwa tygodnie odbędzie się przyjęcie z okazji bar micwy Sama, jeśli uda się wydobyć z niego przeprosiny. Dzieciaki wysiadły i rozbiegły się. W lobby wisiał wielki plakat: „Witamy na symulacji obrad ONZ 2016”. Kilkadziesiąt walizek i worków marynarskich piętrzyło się w rogu, w niemal każdym z nich znajdowało się coś, co nie powinno się tam znajdować. Podczas gdy Mark usiłował policzyć obecnych, Sam odciągnął matkę na bok.

– Tylko nie rób problemów, jak będziesz ze wszystkimi rozmawiać, dobrze?

– Problemów z czym?

– Z niczym. Po prostu tego nie rób.

– Boisz się, że przyniosę ci wstyd?

– Tak. Sama mnie zmusiałaś, żebym to powiedział.

– Sam, jesteśmy tu, żeby się czadowo bawić...

– Nie mów „czadowo”.

– ...i ostatnie, czego chcę, to być zawalidrogą.

– Ani „zawalidroga”.

Mark dał Julii znak, że wszyscy są, zwróciła się więc do grupy:

– Mogę prosić o uwagę?

Nikt nie zwrócił na nią uwagi.

– Halo, halo!

– *Halo, halo* – szepnął Sam do nikogo.

Mark spuścił ze smyczy baryton, który z bransoletek zrobił dzwoneczki na wietrze:

– Zamknąć się i patrzeć mi tu, ale już!

Dzieciaki umilkły.

– Dobra – powiedział Julia. – Cóż, jak zapewne wiecie, jestem matką Sama. Powiedział, żebym nie robiła problemów, więc ograniczę się do spraw zasadniczych. Po pierwsze, chciałam wam powiedzieć, że jestem totalnie gotowa psychicznie, żeby z wami tutaj być.

Sam zamknął oczy, zmuszając się siłą woli, by oduczyć się stałości przedmiotu z teorii Piageta.

– Będzie to przeżycie interesujące, stanowiące wyzwanie i odlotowe.



Julia dostrzegła zamknięte oczy Sama, ale nie wiedziała, co takiego zrobiła.

– A więc... kilka gospodarskich uwag przed przekazaniem kluczy do pokojów, które, jak sądzę, są kartami, a nie kluczami, ale nazywamy je kluczami. Przekonacie się, że jestem bardzo wyluzowaną osobą. Ale luz musi działać w dwie strony. Wiem, że jesteście tu, żeby dobrze się bawić, pamiętajcie jednak, że jesteście przedstawicielami prywatnego liceum Georgetown Day School, nie wspominając o naszym ojczystym archipelagu, Sfederowanych Stanach Mikronezji!

Czekała na aplauz. Albo cokolwiek. Billie przerwała ciszę pojedynczym kłaśnięciem i to na nią spadło odium niezręczności.

– A zatem – podjęła Julia – zapewne rozumie się to samo przez się, ale nie będzie żadnego brania prochów dla przyjemności.

Sam stracił władzę w mięśniach szyi, głowa opadła mu bezwładnie.

– Jeśli macie receptę na coś, oczywiście nie ma problemu, przynajmniej do chwili, gdy nie wykorzystujecie tego dla przyjemności lub nie robicie z tego innego, niewłaściwego użytku. Zdaję sobie sprawę, że większość z was nie skończyła jeszcze trzynastu lat, ale chciałam też poruszyć temat stosunków płciowych.

Sam odszedł na bok. Billie poszła za nim.

Mark zauważył, co się dzieje, i wtrącił:

– Sądzę, że pani Bloch pragnie powiedzieć, żebyście nie robili niczego, o czym nie chcielibyście, żebyśmy powiedzieli waszym rodzicom. Bo im o tym powiemy, a wtedy będziecie po uszy w szambie.

Uczniowie przytaknęli jak jeden mąż.

– Kurt Cobain zabił się przez moją matkę – szepnął Sam do Billie.

– Odpuść jej trochę.

– Czemu?

Mark, wręczając uczniom karty magnetyczne, powiedział:

– Zanieście swoje rzeczy do pokojów, rozpakujcie się, nie włączajcie telewizorów i nie interesujcie się minibarkiem. Spotkamy się u mnie o drugiej. Pokój numer tysiąc sto dwadzieścia cztery. Jeśli macie jakiś sprzęt elektroniczny, to wprowadźcie sobie: godzina druga, pokój tysiąc sto dwadzieścia cztery. Jeśli nie macie, spróbujcie wykorzystać mózg. A teraz, jako inteligentni i zmotywowani młodzi ludzie, spożytkujecie czas na powtórkę sprawozdań, żeby wykazać się przenikliwością podczas dzisiejszej popołudniowej minisesji. Macie moją komórkę, na wypadek gdyby coś wyskoczyło. Wiedźcie, że jestem wszechwiedzący. Innymi słowy, widzę i słyszę wszystko, nawet jeśli nie jestem fizycznie obecny. Do zobaczenia.

Dzieciaki wzięły karty magnetyczne i się rozeszły.

– I dla ciebie – powiedział Mark, wręczając kartę Julii.

– Apartament prezydencki, jak przypuszczam?

– Zgadza się. Ale obawiam się, że dla prezydenta Mikronezji.

– Dzięki, że mnie uratowałaś.

– Dzięki, że zrobiłaś ze mnie spoko ziomka.

Julia się roześmiała.

– Chcesz drina? – spytał.

– Poważnie? Prawdziwego *drina*?

- Trunku relaksującego. Tak.
- Powinam się skontaktować z rodzicami Jacoba. Benjy jest u nich na weekend.
- Słodko.
- Dopóki nie wróci jako Meir Kahane w fazie utajenia.
- Hę?
- Kahane był obłąkanym prawackim...
- *Zdecydowanie* potrzeba ci prawdziwego drina.

I wtedy nagle nie było już do omówienia żadnych kwestii organizacyjnych, nie mogli oddawać się rozmowie o niczym, pozostał tylko rosnący z wolna cień rozmowy w sklepie z artykułami żelaznymi na indywidualne zamówienie i wszystko to, o czym Julia wiedziała, lecz czym nie zamierzała się dzielić.

- Idź zadzwonić.
- To tylko pięć minut.
- Ile ma być, to będzie. Napisz, jak będziesz gotowa, i spotkamy się przy barze. Mamy mnóstwo czasu.
- Nie za wcześnie na drinka?
- W tym tysiącleciu?
- W tym dniu.
- W twoim życiu?
- *Dzisiaj*, Mark. Ty już się upiłeś swoim kawalerstwem.
- Człowiek pijany nie zwróciłby uwagi na to, że kawaler to ktoś, kto nigdy nie był żonaty.
- W takim razie upiłeś się wolnością.
- Nie masz na myśli samotności?
- Zastanawiałam się, co powiesz.
- Upiłem się swoją nową trzeźwością.

Myślała o sobie jako o kimś, kto z niezwykłą przenikliwością odczytuje motywy działania innych, ale nie była w stanie rozebrać na części pierwsze tego, co robi Mark. Flirtuje z kimś, kogo pragnie? Podtrzymuje na duchu kogoś, komu współczuje? Niewinnie się przekomarza? I co robiła ona sama? Jeśli miała jakieś poczucie winy z powodu flirtu, znajdowało się ono tak daleko za widnokretem, że równie dobrze mogło być tuż za jej plecami. Jeśli już, wolałaby, żeby Jacob to widział.

Dawniej mieli własne tajne linie łączności, sposoby przemykania wiadomości: przeliterowywanie w obecności małych dzieci, szept przy Isaacu, krótkie notki na temat toczącej się właśnie rozmowy telefonicznej, gesty bądź miny wypracowane w naturalny sposób z biegiem lat, jak w gabinecie rabina Singera, gdy Julia przytknęła dwa palce do czoła i delikatnie pokręciła głową, wydymając nozdrza, co znaczyło: „Odpuść”. Potrafili znaleźć sposób, by dotrzeć do siebie ponad każdą przeszkodą. Ale potrzebowali przeszkód.

Przypomniała sobie, jak Jacob zmusił Sama, by wysłuchał podkastu o ptakach pocztowych podczas pierwszej wojny światowej, i jak zawładnęły one wyobraźnią jej syna – poprosił o gołębia na jedenaste urodziny. Rozkoszując się oryginalnością życzenia i pragnąc jak zawsze nie tylko dołożyć wszelkich starań, by zaspokoić potrzeby swych dzieci, lecz także być postrzegana jako ta, która zada sobie wiele trudu, by je zaspokoić, wzięła to na serio.

– Świetnie nadają się na zwierzątka domowe – przekonywał. – Są takie...

– Domowe?

– Tak. Potrzebują wielkiej klatki, ale...

– A co z Argusem?

– Przy odrobinie warunkowania...

– Wspaniałe słówko.

– Mamo! Przy odrobinie warunkowania absolutnie mogą się zaprzyjaźnić. A kiedy...

– A co z kupami?

– Noszą gołębie majtki. Właściwie pieluchy. Zmienia się je co trzy godziny.

– Żaden obowiązek.

– Będę to robił.

– Szkoła trwa dłużej niż trzy godziny.

– Mamo, będzie *tak fajnie* – powiedział, potrząsając pięściami w sposób, który swego czasu sprawił, że Jacob zaczął się zastanawiać, czy to nie objaw Aspergera. – Moglibyśmy zabierać go do parku albo do szkoły, albo do dziadków, albo dokądkolwiek. Przyczepialibyśmy mu wiadomości do obrączki, a on by po prostu leciał do domu.

– Czy mogę spytać, co w tym fajnego?

– Serio?

– Wy tłumacz to własnymi słowami.

– Jeśli to nie jest oczywiste, nie wiem, jak to wyjaśnić.

– A trudno się je szkoli?

– To superłatwe. W zasadzie daje im się tylko fajne mieszkanko, a one same będą chciały wracać.

– Jak wygląda fajne mieszkanko?

– Jest przestronne, stoi w słońcu, a okalająca je siatka ogrodzeniowa jest tak gęsta, że głowa gołębia nie może się przez nią przecisnąć i utknąć.

– Brzmi dobrze.

– A dno wykłada się darnią, którą regularnie się zmienia. Gołąb ma też wannę, którą regularnie się czyści.

– Tak.

– I mnóstwo smacznych frykasów, jak cykoria, jagody, gryka, len, kiełki fasoli mung, wyka.

– Wyka?

– Nie wiem, wyczytałem to.

– O jak przestronnej klatce mowa?

– Sześć na dziewięć byłaby naprawdę świetna.

– Sześć na dziewięć *czego*?

– Stóp. Sześć stóp szerokości i długości na dziewięć wysokości.

– I gdzie byśmy postawili taką przestronną klatkę?

– W moim pokoju.

– Musielibyśmy podnieść sufit.

– Możemy to zrobić?

– Nie.

– To mogłaby być trochę niższa, a i tak byłaby w porządku.

– A gdyby gołębiowi nie spodobało się jego mieszkanko?

– Spodoba mu się.

– A jeśli nie?

– Mamo, *spodoba się*, bo zrobię wszystko, co należy, żeby stworzyć mu wspaniałe mieszkanko, które pokocha.

– Pytam tylko, co by było gdyby.

– *Mamo*.

– Nie mogę zadać pytania?

– Pewnie nie wróci. W porządku? Będzie leciał i leciał.

Potrzeba było ledwie tygodnia, żeby Sam zapomniał, że na świecie jest coś takiego jak gołębie pocztowe – dowiedział się, że istnieją wyrzutnie na wodę – ale Julia nigdy nie zapomniała tego, co powiedział: „Będzie leciał i leciał”.

– Czemu nie – powiedziała do Marka, żałując, że w pobliżu nie ma czegoś, na czym mogłaby się wesprzeć. – Niech będzie prawdziwy drin.

– Tylko jeden?

– Masz rację – stwierdziła, czyszcząc sobie spód skrzydła przed lotem, który miał ujawnić wygodę jej klatki. – Pewnie już na to za późno.

# Inne życie kogoś innego

Minęło ponad osiem godzin, od kiedy w ciszy wracali do domu od weterynarza – czterysta dziewięćdziesiąt minut wzajemnego unikania się w domu. Produktów nie brakowało, ale brakowało woli, Jacob odgrzał więc w mikrofalówce burrito. Na talerzu ułożył też dwanaście małych marchewek, choć nie było cienia szansy, że zostaną zjedzone, i dodał do tego furę hummusu, żeby Julia – gdy wróci – mogła dostrzec, że w pojemniku jest go wyraźnie mniej. Zaniósł jedzenie do pokoju Maxa. Zapukał i wszedł.

– Nie powiedziałem „proszę”.

– Nie pytałem o pozwolenie. Dałem ci tylko czas, żebyś wyjął palec z nosa.

Max włożył palec do nosa. Jacob postawił talerz na biurku.

– Co tam ogarniasz, ziomeczku?

– Nic tam nie ogarniam – zachnął się Max, odwracając iPada ekranem do dołu.

– Poważnie, co porabiasz?

– Poważnie: nic.

– Co? Nieprzyzwoite filmy? Zakupy moją kartą kredytową?

– Nie.

– Sprawdzasz porady na temat eutanazji w domu?

– To wcale nie jest śmieszne.

– To co?

– *Inne Życie*.

– Nie wiedziałem, że w to grasz.

– W to się nie gra.

– Racja. Nie wiedziałem, że nim żyjesz.

– W sumie to nie. Sam mi nie pozwalała.

– Ale gdy kota nie ma.

– Chyba tak.

– Nie podłożę ci świni.

– Dzięki.

– Czaisz? Nie ma kota, nie podłożę świni?

– Jasne.

– Tak w ogóle, to o co w tym chodzi? To gra?

– Nie, to nie jest gra.

– Nie?

– To społeczność.

– No cóż, nie wydaje mi się – powiedział Jacob, nie potrafiąc się oprzeć pokusie użycia swego najbardziej lekceważącego tonu.

– Tobie na pewno – odparł Max.

– Ale czy to nie bardziej, w każdym razie na tyle, na ile rozumiem, grupka ludzi, którzy płacą miesięczne składki, żeby zbierać się i wspólnie zwiedzać jakąś, nie wiem, zmyśloną scenerię?

– Nie, to nie przypomina synagogi.

– Punkt dla ciebie.

– Dzięki za jedzenie. Do zo.

– Cokolwiek to jest – Jacob spróbował raz jeszcze – fajowo wygląda. Z tego, co mogłem zobaczyć. Z pewnej odległości.

Max zatkał sobie otwór gębowy burrito.

– Serio, ciekaw jestem – powiedział Jacob, podchodząc do niego. – Wiem, że Sam gra, to znaczy żyje tym bez przerwy, i chciałem zobaczyć, o co w tym wszystkim chodzi.

– Nie zrozumiałbyś.

– Daj mi szansę.

– Nie zrozumiałbyś.

– Zdajesz sobie sprawę, że w wieku dwudziestu czterech lat dostałem National Jewish Book Award?

Max odwrócił iPada, przeciągnął po nim palcem i powiedział:

– Uzupełniam właśnie pasek pracy na promocji rezonansowej. Później będę mógł się wymienić za sprzęt jasnowidzący...

– Sprzęt jasnowidzący?

– Zastanawiam się, czy laureat prawdziwej National Book Award musiałby o to pytać.

– A to ty? – spytał Jacob, dotykając stworzenia przypominającego elfa.

– Nie. I nie dotykaj ekranu.

– To którym jesteś?

– Żadnym z nich.

– A którym jest Sam?

– Żadnym.

– To która to postać Sama?

– Jego awatar?

– Tak.

– Tam. Przy automacie z napojami.

– Co? Ta opalona dziewczyna?

– To Latynoska.

– Dlaczego Sam jest Latynoską?

– A dlaczego ty jesteś białym mężczyzną?

– Bo nie miałem wyboru.

– Cóż, on miał.

– Mogę ją odwrócić?

Max nie cierpiał uczucia, gdy ręka ojca spoczywała mu na ramieniu. Budziło to w nim wstręt – było przeżyciem gdzieś mniej więcej pośrodku spektrum, którego przeciwstawne bieguny tworzyły jajka na miękko i trzydzieści tysięcy ludzi domagających się pocałunku, gdy kamera uwięziła go wraz z mamą na telebimie stadionu Nationals Park.

– Nie – odparł Max, uwalniając bark spod ręki ojca – nie możesz.

– Co by się w najgorszym razie mogło stać?

– Mógłbyś ją zabić.

– Oczywiście, że nie. A nawet jeśli, choć to niemożliwe, nie mógłbyś po prostu wrzucić kilku ćwierćdolarówek do automatu i grać dalej?

– Cztery miesiące zajęło Samowi rozwijanie jej skilli, sił jasnowidzących i gromadzenie

broni.

- Mnie zajęło to czterdzieści dwa lata.
- Dlatego nie powinieneś pozwolić nikomu sobą sterować.
- Maxy...
- Wystarczy „Max”.
- Max. Błaga cię ten, kto dał ci życie.
- Nie.
- Rozkazuję ci, abyś dał mi uczestniczyć w społeczności Sama.

Max westchnął głęboko i teatralnie.

- Dwie minuty – oświadczył. – I tylko włączęga bez celu.
- Włączęga Bez Celu to moje drugie imię.

Z wielkimi oporami Max podał Jacobowi iPada.

– Żeby się poruszać, przeciągasz kciukiem w stronę, w którą chcesz iść. Żeby coś podnieść...

- Mój kciuk to ten skulony na końcu, tak?

Max nie zareagował.

- Żarcioch, ziomeczku.
- Nie spuszczaaj oczu z drogi.

W dzieciństwie Jacoba grało się jednym przyciskiem. Gry były proste i przyjemne. Nikt nie czuł, że czegoś im brakuje. Nikt nie uważał, że trzeba przykucać, obracać się wokół własnej osi, zmieniać broń. Miało się karabin i strzelało do sukinkotów, a potem przybijało piątkę z kumplami. Jacob nie chciał wszystkich tych opcji – im precyzyjniejsza kontrola, tym mniej odczuwał, że ją ma.

- Jesteś w tym jakby do niczego – stwierdził Max.

- Może gra jest jakby do niczego.

– To nie jest gra i ta nie-gra zarabia dziennie więcej pieniędzy niż wszystkie książki wydane w Ameryce w ciągu roku łącznie.

- Jestem pewien, że to nieprawda.

- A ja jestem pewien, że to prawda, bo był o tym artykuł.

- Gdzie?

- W dziale kultury.

– W dziale *kultury*? Od kiedy to czytasz dział kultury i od kiedy gry komputerowe to kultura?

- To nie jest gra.

– A nawet gdyby zarabiała górę pieniędzy, to co z tego? – powiedział Jacob, spoglądając z wyżyn swej mądrości. – O czym to w ogóle świadczy?

- O ilości zarobionych pieniędzy.

- Która świadczy o?

- Nie wiem... O tym, jak bardzo jest ważna?

– Istnieje różnica, z której, jestem pewien, zdajesz sobie sprawę, między prewalencją a znaczeniem.

- Jestem pewien, że zdajesz sobie sprawę, że nawet nie wiem, co znaczy prewalencja.

- Kanye West nie jest ważniejszy dla kultury niż...

- Owszem, jest.

– ...niż Philip Roth.

– Po pierwsze, nigdy o tym człowieku nie słyszałem. Po drugie, dla ciebie Kanye może nie być ważny, ale z pewnością jest ważniejszy dla świata.

Jacob przypominał sobie okres, gdy Max miał obsesję na punkcie wartości względnych: „Czy wolałbyś garść diamentów, czy dom pełen srebra?”. Przez chwilę, która przeminęła, ledwie zaistniawszy, widział mniejszego Maxa.

– Myślę, że patrzymy na to w różny sposób – uciał.

– Zgadza się – przytaknął Max. – Ja patrzę na to jak trzeba. A ty nie. I na tym polega różnica. Ilu ludzi ogląda co tydzień twój program rozrywkowy?

– To nie jest mój program.

– Program, dla którego piszesz.

– To nie jest proste pytanie. Część ludzi ogląda go na żywo, inni oglądają powtórki albo nagrywają...

– Kilka milionów?

– Cztery.

– W tę grę gra siedemdziesiąt milionów ludzi. I to takich, którzy musieli ją kupić, a nie tylko włączyć telewizor, kiedy nie mają ochoty spędzać czasu z dziećmi albo obściskiwac się z żonami.

– Ile masz lat?

– Właściwie jedenaście.

– W twoim wieku...

Max wskazał palcem ekran.

– Patrz, co robisz, tato.

– Pewnie, że patrzę.

– Po prostu nie...

– Sytuacja pod kontrolą.

– Tato...

– Tak, tak, to ja – powiedział, a potem przeniósł uwagę z iPada na Maxa. – Była taka piosenka.

– Tato!

– Naprawdę odziedziczyłeś po mamie talent do zamartwiania się.

I wtedy rozległ się dźwięk, którego Jacob nigdy wcześniej nie słyszał – skrzyżowanie pisku opon i jęku konającego zwierzęcia, które właśnie przejechało.

– O w dupę! – krzyknął Max.

– Co?

– O w dupę!

– Chwileczkę... To moja krew?

– Sama! Zabiłeś go!

– Wcale nie. Ja tylko powąchałem jakieś kwiatki.

– Właśnie zaciągnąłeś się Śmiertelnym Bukietem!

– Po co komu „śmiertelny bukiet”?

– Żeby różne dupki mogły głupio ginąć.

– Spokojnie, Max. To było niechcący.

– Kogo obchodzi, czy chcący, czy niechcący!



- Z całym szacunkiem...
- O kurwa, kurwa, kurwa!
- ...to tylko gra.

Jacob nie powinien był tego mówić. Zdecydowanie.

- Z całym szacunkiem – wycedził z przerażającym spokojem Max – pierdol się.
- Co ty powiedziałaś?

– Powiedziałem – Max nie był w stanie spojrzeć ojcu w oczy, ale nie miał problemu z powtórzeniem – *pierdol się*.

- Nie waż się nigdy więcej tak do mnie mówić.
- Jaka szkoda, że nie odziedziczyłem po mamie talentu do łykania gówna.
- Co to miało niby znaczyć?
- Nic.
- A tak nie zabrzmiało.
- Nic, dobra?

– Nie, niedobra. Mama robi wiele rzeczy, ale łykanie gówna do nich nie należy. I tak, wiem, nie mówiłeś tego dosłownie.

Czy Max słyszał ich kłótnię? Dźwięk tłuczonego szkła? Czy tylko zarzucał sieć, żeby sprawdzić, jaką może otrzymać odpowiedź? Ale jakiej odpowiedzi pragnął? I jaką on był gotów mu dać?

Jacob ciężkim krokiem ruszył w stronę drzwi, następnie zawrócił i powiedział:

- Jak będziesz gotowy do przeprosin, zastaniesz mnie...
- Jestem martwy – przerwał Max. – Trupy nie przepraszają.
- Nie jesteś martwy, Max. Na świecie istnieją ludzie naprawdę martwi, a ty się do nich nie zaliczasz. Jesteś zmartwiony. Zmartwiony i martwy to nie to samo.

Zadzwonił telefon – wytchnienie. Jacob spodziewał się, że to Julia. Gdy była poza domem, zawsze odzywała się, zanim dzieci poszły spać.

- Halo?
- Cześć.
- Benjy?
- Hej, tato.
- Wszystko w porządku?
- Tak.
- Późno już.
- Jestem w pizamce.
- Potrzebujesz czegoś, kolego?
- Nie. A ty?
- U mnie wszystko gra.
- Chciałeś tylko przywitać się przed snem?
- To ty do mnie zadzwoniłaś.
- W sumie to chciałem pogadać z Maxem.
- Teraz? Przez telefon?
- Tak.
- Benjy chce z tobą porozmawiać – powiedział Jacob, przekazując telefon Maxowi.
- Dałbyś nam trochę prywatności? – spytał Max.

Niedorzeczność, udręka i piękno tego zdania niemal rzuciły Jacoba na kolana: te dwie samodzielne świadomości, z których żadna nie istniała jeszcze dziesięć i pół roku temu i które zaistniały wyłącznie za jego sprawą, dziś mogły nie tylko działać niezależnie od niego (tyle wiedział już od dłuższego czasu), ale domagały się wolności.

Jacob wziął iPada i zostawił swoje latorośle, żeby mogły porozmawiać. Bawiąc się tabletem, przez przypadek powiększył na cały ekran okienko za *Innym Życiem*. Była to grupa dyskusyjna z nagłówkiem: „Czy można dokonać humanitarnej eutanazji psa w domu?”. Pierwszy komentarz, na którym spoczął jego wzrok, brzmiał: „Miałem ten sam problem, ale z dorosłym psem. To takie smutne. Mama zabrała Charliego do naszego przyjaciela, farmera, który mieszkał kawałek dalej. Powiedział, że będzie w stanie to zrobić. Tak było dla nas dużo łatwiej. Zabrał go na spacer, mówił do niego i zastrzelił go, gdy szli”.

# Sztuczny stan zagrożenia

Zamiast zadzwonić, by sprawdzić, co u Benjy'ego, który oczywiście miewał się dobrze, Julia poprawiła włosy, wessała policzki, obciągnęła koszulkę, przeanalizowała makijaż, przycisnęła dłońmi brzuch i zmrużyła oczy. Napisała do Marka, choćby po to, żeby oddzielić grubą kreską odrazę do samej siebie: „potwierdzone, że dzieciak żyje. gotowa w każdej chwili”. Kiedy dotarła do hotelowego baru, Mark był już przy stoliku.

– Przestronna kwatera? – spytał, gdy zajmowała krzesło naprzeciw niego.

– Własny pokój? Nawet piec byłby przestronny.

– Brzmi, jakbyś urodziła się o siedemdziesiąt pięć lat za późno. – A potem z udawanym grymasem dodał: – Pospieszyłem się?

– Pomyślmy... Mój teść powiedziałby, że nie ma w tym nic złego, dopóki ten, kto żartuje, nie ma ani komórki gojowskiej krwi. Wtedy Jacob wyraziłby sprzeciw. Potem zamieniliby się stronami i walczyli ze zdwojoną energią.

Podszedł kelner.

– Dwa kieliszki białego wina? – zaproponował Mark.

– Brzmi świetnie – odparła Julia. – Ty też się napijesz?

Mark roześmiał się i pokazał dwa palce.

– Jak miewa się Irv? Chyba narobił sporo gnoju.

– Przerzucą gnój tonami. Ale to lepsze niż być ignorowanym.

– Być piętnowanym ze wszystkich stron?

– Pragnąłby, żebyśmy to właśnie teraz robili: rozmawiali o nim. Nie dawajmy mu tej satysfakcji.

– Więc zostawmy to.

– W takim razie, jak ci idzie?

– Co? Rozwód?

– Rozwód, odkryty na nowo głos wewnętrzny, wszystko.

– To proces.

– Czy nie w ten sposób Cheney określał tortury?

– Znasz ten stary dowcip: „Dlaczego rozwody są takie drogie?”.

– Dlaczego?

– Bo są tego warte.

– Myślałam, że tak się mówi o chemioterapii.

– Cóż, od jednego i drugiego się łysieje – powiedział, odgarniając włosy do tyłu.

– Ty nie jesteś łysy.

– Boże, błagam, tylko nie „dystyngowany”.

– Ani nawet dystyngowany.

– Tylko urosłem wyżej niż moje włosy.

– Wszyscy jesteście tacy sami: bez końca eksperymentujecie z zarostem, macie obsesję na punkcie rzadnących włosów, które wcale nie rzadną. A mimo to nie rusza was wylewający się nad paskiem bandzioch.

– Łyso mi. Ale nie o to chodzi. Rzecz w tym, że rozwód jest w najwyższym stopniu

kosztowny – emocjonalnie, logistycznie, finansowo – i jest tego wart. Tyle tylko...

– Że?

– To żaden wielki triumf. Bardziej pyrrusowe zwycięstwo.

– Ale uszedłeś z życiem, nieprawdaż?

– Lepiej wydostać się z budynku z poparzeniami na dziewięćdziesięciu procentach powierzchni ciała, niż zginąć w środku. Ale najlepiej byłoby wyjść, zanim wybuchł pożar.

– Tak, tyle że na zewnątrz jest zimno.

– Gdzie jest twój płonący dom? Na Alasce?

– Zawsze wyobrażam sobie pożary zimą.

– A co u ciebie? – spytał Mark. – Jakie wieści na Newark Street?

– Nie tylko u ciebie sprawy są w toku.

– Co się dzieje?

– Nic – powiedziała, rozkładając serwetkę.

– Alaska?

– Co?

– Nie podzielisz się tym ani trochę?

– To naprawdę nic takiego – odparła, składając serwetkę z powrotem.

– Dobrze, w porządku.

– Nie powinnam o tym mówić.

– Pewnie tak.

– Ale mimo że nie zaczęliśmy nawet pić, i tak jestem na psychosomatycznym rauszu.

– To będzie coś dużego, prawda?

– Mogę ci zaufać, tak?

– Sądzę, że to zależy.

– Serio?

– Tylko osoba godna zaufania przyznałaby się do swojej zawodności.

– Nieważne.

– W zeszłym roku oszukałem skarbowkę, okej? Bardzo. Odliczyłem sobie od podatku biuro, którego nawet nie mam. Teraz będziesz mogła mnie szantażować, jeśli przyjdzie co do czego.

– Po co miałbyś oszukiwać skarbowkę?

– Bo to zaszczyt wnosić wkład w funkcjonowanie naszego społeczeństwa, ale tylko do pewnego stopnia. Bo jestem szmondakiem. Bo mój księgowy jest szmondakiem i powiedział, że mogę to zrobić. Nie wiem po co.

– Któregoś dnia w domu usłyszałam wibracje. Na podłodze leżał telefon.

– O cholera.

– Co?

– Żadna historia z telefonem komórkowym w roli głównej nie kończy się dobrze.

– Otworzyłam go i znalazłam całkiem niedwuznaczne seksualnie wiadomości.

– Tekstowe czy zdjęcia?

– A co za różnica?

– Obraz jest tym, czym jest. Tekst może być wszystkim.

– Zlizywanie spermy z odbytu. Tego rodzaju rzeczy.

– Zdjęcia?

– Słowa – odparła Julia. – Ale jeśli prosisz o kontekst, dzwonię do skarbowki.

Kelnerka przyniosła alkohol i odeszła. Julia zastanawiała się, ile – jeśli w ogóle cokolwiek – usłyszała, co może powiedzieć swojej przełożonej i czy tego wieczora młode, niczym nieobarzone kobiety pośmieją się kosztem rodziny Blochów.

– Zmusiłam Jacoba do wyjaśnień. Powiedział, że to tylko takie gadanie. Zwykły flirt o naprawdę wysokiej temperaturze.

– O wysokiej temperaturze? Zlizywanie spermy z odbytu to prawdziwe Drezno.

– To nic dobrego.

– A kto był odbiorcą?

– Ktoś z pracy. Reżyserka.

– Nie Scorsese...

– Nie tak prędko.

– Julio, naprawdę bardzo przykro mi to słyszeć. To dla mnie szok.

– Może tak będzie lepiej. Jak wcześniej mówiłeś, trzeba otworzyć drzwi, żeby rozświetlić ciemny pokój.

– Nic takiego nie powiedziałem.

– Nie?

– Wierzysz mu?

– W jakim sensie?

– Że to tylko słowa.

– Tak.

– A czy ta różnica coś dla ciebie znaczy?

– Między słowami a czynami? Jasne, że tak.

– Jak wiele?

– Nie wiem.

– On cię zdradził, Julio.

– Nie zdradził mnie.

– Zbyt wielkie słowo na określenie seksu z inną kobietą?

– Nie uprawiał seksu z inną kobietą.

– Oczywiście, że tak. A nawet jeśli nie, to i tak uprawiał. I ty o tym wiesz.

– Nie tłumaczę ani nie umniejszam tego, co zrobił. Ale jest pewna różnica.

– Pisanie w ten sposób do innej kobiety to zdrada, nie dzielmy włosa na czworo. Przykro mi, ale nie mogę sobie tu siedzieć i pozwolić ci myśleć, że nie zasługujesz na więcej.

– To były tylko słowa.

– A gdybyś to ty napisała te „tylko słowa”? Jak myślisz, jak by zareagował?

– Gdyby wiedział, że pijemy sobie tutaj drinka, dostałby tonicznie-klonicznego napadu padaczki.

– Dlaczego?

– Bo tak bardzo brakuje mu pewności siebie.

– W małżeństwie z trójką dzieci?

– On jest czwartym.

– Nie łapię tego.

– Czego?

– Gdyby tylko chorobliwie brakowało mu pewności siebie, to w porządku. Jest, jaki jest.

Podobnie gdyby tylko zdradził; sądę, że w takiej sytuacji dostrzegałbym drogę powrotną. Ale jedno i drugie? Jak możesz się na to godzić?

– Z powodu chłopców. Dlatego że mam czterdzieści trzy lata. Dlatego, że łączy mnie z nim prawie dwadzieścia wspólnych lat i były to niemal wyłącznie lata dobre. Dlatego że bez względu na to, jak głupi czy niegodziwy błąd popełnił, jest z gruntu dobrym człowiekiem. Naprawdę. I dlatego że nigdy z nikim nie seksemesowałam, ale swoje poflirtowałam i pofantazjowałam. Dlatego że często nie byłam dobrą żoną, nierzadko celowo. I dlatego że jestem słaba.

– Tylko słabość brzmi przekonująco.

Przyplątała się do niej myśl, wspomnienie. Na ganku w wynajętym domku w Connecticut szukali u dzieci kleszczy. Przekazywali sobie nawzajem chłopców – zaglądali im pod pachy, przepatrywali włosy i palce u nóg – i oboje, Jacob i ona, sprawdzali nawzajem swoją robotę, zawsze odnajdując przeoczone przez tę drugą osobę kleszcze. Julia była dobra w ich usuwaniu, a Jacob potrafił odciągnąć uwagę chłopców, zabawnie parodiując zachowanie ich matki na zakupach w supermarkecie. Dlaczego właśnie teraz jej się to przypomniało?

– O czym fantazjujesz?

– Co?

– Mówiłaś, że swoje pofantazjowałaś. O czym?

– Nie wiem – odparła, biorąc kieliszek do ręki. – Tak tylko mówiłam.

– Wiem. A ja tak tylko pytam. O czym fantazjujesz?

– Nie twoja rzecz.

– Nie moja rzecz?

– Ani trochę.

– Upijać się twoją słabością?

– Nie uważam, żebyś był uroczy.

– Oczywiście, że nie.

– Ani czarujący. Mimo wszelkich starań.

– Nie trzeba się starać, żeby być tak pozbawionym uroku.

– Ani seksowny.

Mark wziął duży łyk, opróżniając pozostałą połowę kieliszka, a potem stwierdził:

– Odejdź od niego.

– Nie zamierzam od niego odejść.

– Czemu nie?

– Bo małżeństwo to coś, na co nie można machnąć ręką.

– Nie, to na życie nie można.

– I dlatego że nie jestem tobą.

– Nie, ale jesteś sobą.

– Nawet cząstka mnie nie pragnie zostać sama.

Ale gdy tylko te słowa wkroczyły w świat, Julia zdała sobie sprawę, że to nieprawda. Pomyślała o swoich wymarzonych domach z jedną sypialnią – podświadomych planach odejścia. Poprzedzały seksemesy o lata.

– I nie zamierzam zniszczyć mojej rodziny – dodała, zarazem logicznie i nielogicznie puentując swój tok rozumowania.

– Próbując ją naprawić?

– Kładąc jej kres.

Wtedy właśnie – w najlepszym lub najgorszym możliwym momencie – przybiegła Billie, oszołomiona i zasapana.

– Przepraszam, że przeszkadzam...

– Wszystko w porządku?

– Mikronezja ma b...

– Spokojnie.

– Mikronezja ma br...

– Oddychaj.

Billie sięgnęła po jeden z kieliszków i wypła łyk.

– To nie jest woda – powiedziała z ręką na piersi.

– To chardonnay.

– Właśnie złamałam prawo.

– Zaświadczymy o twojej nienaganej reputacji.

– Mikronezja ma broń jądrową!

– Co?

– W zeszłym roku Rosja dokonała inwazji na Mongolię. Rok wcześniej była ptasia grypa.

Zwykle czekają z tym do drugiego popołudnia, ale. Mamy bombę jądrową! Mega, co nie?!  
Ale fuks!

– Co znaczy, że mamy broń jądrową? – spytał Mark.

– Musimy zebrać przedstawicieli.

– Co?

– Zapłaćcie za wino i chodźcie ze mną.

Mark położył pieniądze na stoliku i we troje biegiem ruszyli w stronę wind.

– Mediatorzy wydali oświadczenie, że na lotnisku Yap złapano handlarza bronią podczas próby przemytu walizkowej bomby jądrowej.

– Na lotnisku Yap?

– Tak, nie wiem, tak się nazywa.

– Dlaczego w Mikronezji? – spytał Mark.

– *Właśnie* – przytaknęła Billie, choć żadne z nich trojga nie wiedziało nawet w przybliżeniu, co to miało znaczyć. – Zaczęliśmy już dostawać oferty z Pakistanu, Iranu i co dziwne, z Luksemburga.

– Oferty?

– Chcą, żebyśmy sprzedali im bombę. – Następnie Billie zwróciła się do Julii: – Rozumie pani, prawda?

Julia niepewnie skinęła głową.

– To niech mu pani później wytłumaczy. Teraz to zupełnie co innego!

– Zbierzmy dzieciaki. – Julia zwróciła się do Marka.

– Zajmę się tymi z jedenastego, a ty ogarnij dwunaste. U ciebie w pokoju?

– Dlaczego u mnie?

– Dobra, u mnie.

– Nie, może być u mnie, po prostu...

– U Marka – ucięła Billie.

Mark wszedł do windy. Billie na chwilę zatrzymała Julię.

- Wszystko w porządku? – spytała, gdy drzwi windy się zamknęły.
- Posiadanie broni jądrowej trochę psuje szyki.
- Miałam na myśli panią.
- Co ze mną?
- Czy w porządku u pani?
- Dlaczego pytasz?
- Bo wygląda pani, jakby się miała zaraz rozplakać.
- Ja? Nie.
- Och, okej.
- Nie wydaje mi się.

Ale może rzeczywiście była na skraju płaczu? Może sztuczny stan zagrożenia wyzwolił uwięzione uczucia związane z rzeczywistym zagrożeniem? W jej mózgu znajdowało się centrum urazowe (nie miała doktora Silversa, który by jej to wytłumaczył, ale miała internet). Uruchamiały je najbardziej niespodziewane zdarzenia i wówczas wszystkie jej myśli i spostrzeżenia ruszały w tę stronę. W samym jego centrum znajdował się uraz Sama. W jego centrum zaś – w wirze przyciągającym wszystkie myśli i obserwacje – była chwila, gdy Jacob wniósł Sama do domu i powiedział: „Coś się stało”, a ona zobaczyła więcej krwi, niż naprawdę było, ale nie usłyszała krzyku syna, i na moment, nie dłużej niż na chwilę, straciła nad sobą panowanie. Na moment oderwała się od racjonalności i rzeczywistości, od siebie samej. Dusza opuszcza ciało w chwili zgonu, istnieje jednak jeszcze całkowitsze porzucenie: *wszystko* opuściło jej ciało w sekundzie, gdy ujrzała, jak z jej dziecka leje się krew.

Jacob spojrział na nią surowo, bezlitosny, władczy, i wypowiedział kilka słów, każde z siłą zdania: „Weź. Się. W garść. Natychmiast”.

Suma wszystkiego, za co go nienawidziła, nigdy nie przewyższy miłości, jaką czuła do niego w tamtej chwili.

Włożył jej Sama w ramiona i powiedział:

- Po drodze na oddział urazowy zadzwonimy do doktora Kaisena.

Sam spojrział na Julię z przedludzką zgrozą i wykrzyknął:

- Dlaczego się to stało?! Dlaczego się to stało?! – A potem błagalnie: – To śmieszne. Śmieszne, prawda?

Przytrzymała jego spojrzenie, twardo, i nie zapewniła: „Będzie dobrze”, nie powiedziała niczego takiego. Powiedziała:

- Kocham cię i jestem tutaj.

Suma wszystkiego, za co nienawidziła siebie, nigdy nie przyćmi świadomości, że w najważniejszej chwili życia swego dziecka była dobrą matką.

I wtedy, równie szybko, jak przejęło kontrolę, centrum urazowe Julii ustąpiło. Może było zmęczone? Może litościwe? Może odwróciła wzrok, spojrziała wstecz i przypomniała sobie, że otacza ją świat? Ale jak minęło ostatnie trzydzieści minut? Jechała windą czy szła schodami? Zapukała do Marka czy drzwi do pokoju były otwarte? Dyskusja już trwała i robiła się zażarta. Czy nikt nie dostrzegł jej nieobecności? Jej obecności?

- Ukradziona broń jądrowa to nie okazja do handlu wymiennego – stwierdziła Billie. – Chcemy, żeby rozbrojono to coś, raz-dwa. Kropka.

- Nie ukradliśmy jej. Ale zgadzam się absolutnie z tym, co powiedziałaś przed chwilą.



- Powinniśmy ją po prostu zakopać.
- Nie możemy jej w jakiś sposób zamienić w energię?
- Powinniśmy ją przekazać Izraelczykom – powiedział chłopiec w jarmułce.
- Pieprzyć to, po prostu *zakopmy* ją u nich.

– Jeśli wolno mi się tylko na chwilę wtrącić... – zaczął Mark. – Moja rola nie polega na tym, żeby sugerować wnioski, ale żeby pomóc wam stawiać prowokacyjne pytania. Zastanówmy się więc, czy to możliwe, że nie wzięliśmy pod uwagę jakiegoś istotnego rozwiązania. A co, gdybyśmy zatrzymali bombę?

– *Zatrzymali bombę?* – podchwyciła Julia, sprawiając, że jej obecności nie można już było ignorować. – Nie, nie możemy zatrzymać bomby.

– Czemu nie? – spytał Mark.

– Bo jesteśmy ludźmi odpowiedzialnymi.

– Odegrajmy to po prostu do końca.

– „Odegranie” to nie najlepsze określenie dyskusji na temat bomby jądrowej.

– Może to szansa, by wreszcie wziąć los w swoje ręce? – ciągnął Mark. – Przez większą część naszych dziejów byliśmy zdani na łaskę innych: najeżdżani przez handlowych olbrzymów z Hiszpanii i Portugalii, sprzedawani Niemcom, podbijani przez Japonię i Stany Zjednoczone...

– Pewnie nikt nie przyniósł czarodziejskiego fletu? – Julia zwróciła się do dzieciaków. Nie zrozumiały żartu.

Mark powiedział ciszej:

– Mówię tylko, że nigdy nie byliśmy w pełni samodzielni.

– W historii świata nie istniał żaden w pełni samodzielny kraj – skwitowała Julia.

– Ale panu *dowaliła* – podsumował jakiś chłopiec.

– Islandia jest w pełni niezależna – stwierdził Mark.

– Ale *pani* dowalił! – ten sam chłopiec zwrócił się do Julii.

– Nikt nikomu nie dowalił – oświadczył Mark. – Zastanawiamy się, w jaki sposób rozwiązać bardzo złożony problem.

– Islandia to Hooverville – powiedziała Julia.

– Słuchaj – zaczął Mark – jeśli jestem idiotą, moje głędzenie będzie nas kosztowało najwyżej trzy minuty.

– Dostałam właśnie wiadomość od Liechtensteinu – oznajmiła Billie, trzymając telefon, jakby to była pochodnia i jakby sama była Statuą Wolności. – Proponują nam interes.

– Tak więc jest oczywiste, że nie mamy żadnego programu jądrowego...

– Liechtenstein to kraj?

– ...i nie mielibyśmy środków ani powodów, by nabyć broń jądrową na czarnym rynku.

– Jamajka chce wejść do gry – powiedziała Billie, raz jeszcze wyciągając do góry telefon.

– Oferują trzysta miliardów dolarów.

– Wiedzą, że mowa o *bombie*, prawda? Nie o jądrowym *bongu*? Poproszę o oklaski!

– Ksenofob – mruknął ktoś pod nosem.

– A mimo to – ciągnął Mark – nagle znaleźliśmy się w sytuacji, w której mamy broń nuklearną i możliwość (pytanie, czy postanowimy ją wykorzystać) wejścia do grona państw funkcjonalnie niezależnych, państw zdolnych do dyktowania własnych warunków, państw, które nie pełnią służebnej roli wobec innych krajów ani nie poddają się historycznym

uwarunkowaniom.

– Tak – zaczęła Julia, jakby jej słynny spokój objęto programem ochrony świadków. – No więc mamy trochę utrapień, życie nie okazało się wycieczką do centrum nauki, no i – hola, hola – wychodzi na to, że wystarczy, że zastukamy naszymi uranowymi obcasami i bum! – zyciowy wykidajło wpuści nas na imprezę wszech czasów.

– Wcale tego nie sugerował – stwierdził Sam.

– Jego sugestie są niejasne. – A potem zwróciła się do Marka: – Jesteś bombą jątrzącą, nie jądrową. Właśnie tak.

– *Próbowałem* zasugerować, żebyśmy zbadali, choćby po to, by to odrzucić, potencjalne korzyści z posiadania bomby.

– Zbombardujmy kogoś! – zapalił się ktoś.

– Zbombardujmy! – powtórzyła Julia. – Kogo? A zresztą czy to w ogóle ma znaczenie?

– Oczywiście, że tak – odparła Billie, zbита z tropu i zmartwiona zachowaniem Julii.

– Meksyk? – spytała któraś z dziewczyn.

– Iran oczywiście – oznajmił chłopak w jarmułce.

– A może – powiedziała Julia – powinniśmy zrzucić bombę na jakieś targane wojną i spustoszone głodem afrykańskie państewko, gdzie dzieci są tak chude, że aż grube?

Zeszło z nich powietrze.

– Po co mielibyśmy to robić? – spytała Billie.

– Bo możemy – oświadczyła Julia.

– Jezu, mamo.

– Tylko nie „Jezu”.

– Nie będziemy nikogo bombardować – stwierdził Mark.

– Wyobraź sobie, że będziemy – powiedziała Julia. – Właśnie tak to się zawsze kończy. Albo jest się krajem, który nigdy nie bombarduje, albo jest się krajem otwartym na rzucenie bomby. A kiedy otwierasz się na taką możliwość, to z niej skorzystasz.

– To nie ma żadnego sensu, Julio.

– Tylko dlatego, że jesteś mężczyzną, Marku.

Dzieciaki spojrzały po sobie. Kilkoro z nich nerwowo zachichotało, ale nie Sam.

– W porządku – zawołał Mark, przyciągając uwagę Julii – w takim razie inny pomysł: zbombardujmy siebie.

– Po co? – zapytała do bólu zdezorientowana Billie.

– Ponieważ Julia...

– Pani Bloch.

– ...wolałaby raczej umrzeć, niż ocalić swoje życie. Więc po co to przeciągać?

– Widzisz, co narobiłaś? – powiedział Sam do matki.

– Jamajka podbija do czterystu miliardów – oświadczyła Billie z telefonem w górze.

– *Yah, mon* – rzucił ktoś.

– Jamajka nie ma nawet czterystu dolarów – stwierdził ktoś inny.

– Powinniśmy prosić o prawdziwe pieniądze. Takie, które można zabrać do domu i kupić za nie prawdziwe rzeczy – podsunął ktoś jeszcze.

Sam chwycił matkę za nadgarstek i wyciągnął ją na korytarz, jak wiele razy zdarzało się to robić jej.

– Co ty wyprawiasz? – spytał.

– Co ja wyprawiam?

– Mówiłem tacie, że nie chcę, żebyś tu przyjeżdżała, a ty narobiłaś problemów, chociaż prosiłem, żebyś ich nie robiła. I bardziej martwisz się o to, czy wypadniesz jako fajna mama, niż o to, żeby naprawdę być dobrą mamą.

– Słucham?!

– Zawsze we wszystkim chodzi o ciebie. Ty i tylko ty.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz, i ty też nie.

– Zmuszasz mnie, żebym przeprosił za słowa, których nie napisałem, jedynie po to, żebym miał bar micwę, której tylko ty dla mnie chcesz. Nie tylko sprawdzasz historię w mojej przeglądarce, ale próbujesz też ukryć, że mi nie ufasz. I sądzisz, że myślę, że ołówki na moim biurku same się temperują?

– Troszczę się o ciebie, Sam. Uwierz, że nie sprawia mi przyjemności świecenie oczami u rabina ani porządkowanie twojego flejtuchowatego biurka.

– Jesteś sekutnicą. I owszem, sprawia ci to przyjemność. Jedyną rzeczą, która daje ci szczęście, jest kontrolowanie każdego najdrobniejszego szczegółu naszego życia, ponieważ nie masz kontroli nad własnym.

– Skąd znasz to słowo?

– Jakie?

– Sekutnica.

– Każdy je zna.

– Ale to nie jest dziecięce słowo.

– Nie jestem dzieckiem.

– Jesteś. Moim.

– To, że traktujesz swoje dzieci jak dzieci, jest wystarczająco irytujące, ale tata...

– Uważaj, Sam.

– Mówi, że nie możesz się powstrzymać, ale nie rozumiem, dlaczego miałyby to robić jakąkolwiek różnicę.

– Uważaj!

– Bo co? Odkryję pornografię w internecie albo złamię czubek ołówka i umrę?

– Przestań. W *tej* chwili.

– Bo przypadkiem powiem coś, o czym wszyscy wiedzą?

– A co to niby miałyby być?

– To ty uważaj, mamó.

– O czym wszyscy wiedzą?

– O niczym.

– Nie wiesz tyle, ile ci się zdaje.

– Że wszyscy się ciebie boimy. Jesteśmy nieszczęśliwi, bo nie możemy żyć swoim życiem, dlatego że jesteś sekutnicą i się ciebie boimy.

– Jesteście?

Billie wyszła na korytarz i zbliżyła się do Sama.

– Wszystko w porządku?

– Spływaj, Billie.

– Co ja takiego zrobiłam?

– Nic – odpowiedziała Julia.

Sam naskoczył na Billie, ale tak naprawdę mówił do matki:

- Zajęłabyś się, proszę, swoimi sprawami przez kolejne trzy sekundy?
- Czy ja coś powiedziałam? – Billie spytała Julię.
- Nie jesteś tu potrzebna – powiedział jej Sam. – Idź sobie.
- Sam?

Sam, na krawędzi płaczu, rzucił się do ucieczki. Julia została na miejscu – rzeźba lodowa z zamarzniętych łez.

– To trochę śmieszne, prawda? – powiedziała Billie. Z jej oczu płynęły łzy, których ani matka, ani syn nie byli w stanie uwolnić.

Julia pomyślała o swoim rannym dziecku, które błagalnym głosem mówiło: „To śmieszne. Śmieszne, prawda?”.

- Co jest śmieszne?
- Dzieci kopią najpierw w brzuchu, a potem wychodzą i kopią dalej.
- Takie przynajmniej mam doświadczenia – powiedziała Julia, kładąc rękę na brzuchu.
- Przeczytałam o tym w jednej z książek rodziców na temat wychowywania dzieci.
- Po co ty to właściwie czytałaś?
- Żeby spróbować ich zrozumieć.

# Inna śmierć kogoś innego

Jacob wszedł do sieci i nie sprawdzał najświeższych wiadomości ze świata porno nieruchomościowego, porno designerskiego ani zwykłego porno, nie szukał informacji o powodzeniu ludzi, którym zazdrościł i których wolałby widzieć martwych, nie spędził też kojących trzydziestu minut na szczęśliwym łonie Boba Rossa. Odnalazł numer do wsparcia technicznego *Innego Życia*. Musiał przejść – zero zaskoczenia – przez automatyczną obsługę klienta: siedzący Tezeusz wyposażony jedynie w nić telefoniczną.

– *Inne Życie... iPad... Nie wiem... Naprawdę nie wiem... Nie wiem... Pomocy... Pomocy...*

Po kilku minutach powtarzania „nie wiem” i „pomocy”, jak kosmita udający człowieka, Jacob został połączony z kimś o niemal nieprzeniknionym akcencie, kto robił wszystko, co możliwe, by ukryć fakt, że jest Hindusem podającym się za Amerykanina.

– Tak, cześć, nazywam się Jacob Bloch i dzwonię z powodu syna. Przydarzył nam się wypadek z jego awatarem...

– Dobry wieczór, panie Bloch. Widzę, że dzwoni pan z Waszyngtonu. Korzysta pan późnym wieczorem z niespotykanej przyjemnej jak na tę porę roku pogody?

– Nie. – Jacob nie miał cierpliwości do stracenia, ale oczekiwanie rozmówcy, że będzie udawał, iż rozmowa nie jest międzynarodowa, wydobyło z niego pokłady złośliwości.

– Przepraszam, panie Bloch. Dobry wieczór. Nazywam się John Williams.

– Co pan powie! Uwielbiałem pana muzykę do *Listy Schindlera*.

– Dziękuję panu.

– Do *Jurrasic World* nie aż tak.

– Jak mogę panu dziś wieczorem pomóc?

– Jak wspomniałem, przytrafił się wypadek z awatarem mojego syna.

– Jakiego rodzaju wypadek?

– Niechcący powąchałem Śmiercionośny Bukiet.

– Śmiertelny?

– Zwał, jak zwał. Powąchałem go.

– A mogę spytać, po co pan to zrobił?

– Nie wiem. Po co w ogóle się cokolwiek wacha?

– Tak, ale Śmiertelny Bukiet oznacza natychmiastowy zgon.

– Tak, nie... znaczy łapię... *Teraz* to łapię. Ale nie grałem wcześniej w tę grę.

– To nie jest gra.

– W porządku. Możemy to po prostu naprawić?

– Próbował się pan zabić, panie Bloch?

– Oczywiście, że nie. I nie ja, tylko syn.

– Syn powąchał bukiet?

– Ja, w imieniu syna.

– Tak, rozumiem.

– Nie ma w *Innym Życiu* jakiejś resztówki czy czegoś?

– Resztówki, proszę pana?

- Żeby go odtworzyć.
- Gdyby nie było konsekwencji, byłaby to tylko gra.
- Jestem pisarzem, więc naprawdę rozumiem wagę śmiertelności, ale...
- Można się reinkarnować, ale bez żadnego sprzętu jasnowidzącego. A więc byłoby tak, jakby pan zaczynał od nowa.
- To co pan proponuje, żebym zrobił?
- Może pan odkupić sprzęt jasnowidzący w imieniu syna.
- Ale nie wiem, jak się gra.
- W to się nie gra.
- Nie wiem, jak to się robi.
- Po prostu podjada się łatwo dostępne owoce wytrzymałości.
- Co się podjada?
- Z aptekarskich winnic.
- Nie mam pojęcia jak.
- To wyjątkowo czasochłonne, ale nie trudne.
- Jak bardzo czasochłonne?

– Zakładając, że dość szybko stanie się pan biegły, w przybliżeniu liczyłbym sześć miesięcy.

– Tylko sześć miesięcy? Cóż, to fantastyczna wiadomość, bo tak tutaj sobie siedząc, martwiłem się, że mowa o czymś *naprawdę* czasochłonnym. Ale to świetnie, bo nie mam czasu, żeby lekarz rzucił okiem na pieprzyk, który objawił się na mojej piersi, ale z pewnością mogę spędzić tysiąc godzin z zaciśniętymi kanałami nadgarstka, sprawiając holokaust swoim komórkom mózgowym w trakcie przeczesywania aptekarskich winnic w poszukiwaniu łatwo dostępnych owoców wytrzymałości, cokolwiek by to, do kurwy nędzy, miało znaczyć.

– Albo mógłby pan nabyć pełną reinkarnację.

– Że jak?

– Możliwe jest przywrócenie awatara pańskiego profilu do określonego momentu w czasie. W pana wypadku do chwili tuż przed powąchaniem Śmiertelnego Bukietu.

– Dlaczego, u diabła, od tego pan nie zaczął?

– Niektórzy uważają, że to ordynarna opcja.

– *Ordynarna?*

– Sądzą, że to podważa ducha *Innego Życia*.

– Cóż, wątpię, żeby wielu ojców w mojej sytuacji odbierało to w ten sposób. I możemy to zrobić w tej chwili? Przez telefon?

– Tak, mogę zająć się pańską płatnością i zdalnie zainicjować pełną reinkarnację.

– Cóż, to bodaj najlepsza wiadomość, jaką słyszałem... może w ogóle. Dziękuję. Dziękuję. I naprawdę strasznie przepraszam, że wcześniej byłem takim dupkiem. Stawka jest bardzo wysoka.

– Tak, rozumiem, panie Bloch.

– Mów mi Jacob.

– Dziękuję, Jacobie. Będę musiał uzyskać garść informacji na temat awatara i ustalić dzień i godzinę jego powrotu. Ale dla potwierdzenia: kupujesz pełną reinkarnację za tysiąc dwieście dolarów.

– Przepraszam, powiedziałaś tysiąc dwieście dolarów?

– Tak.

– Jeden, dwa i dwa zera bez przecinka?

– Plus podatek. Tak.

– Ile kosztowała gra?

– To nie gra.

– Przestań pierdolić od rzeczy, Williams.

– *Inne Życie* jest darmowe.

– To jakiś żart? Tysiąc dwieście dolarów?

– To nie żart, Jacobie.

– Zdajesz sobie sprawę, że żyjemy na świecie, w którym ludzie miewają rozszczęp podniebienia, a dzieci umierają z głodu, prawda?

– Owszem, zdaję sobie z tego sprawę.

– A mimo to uważasz, że to etyczne kasować tysiąc dwieście dolarów za naprawę błędu w grze komputerowej?

– To nie jest gra, proszę pana.

– Tysiąc dwieście dla ciebie oznacza, że muszę zarobić dwa czterysta. Wiesz o tym, prawda?

– Nie ja ustalam ceny, proszę pana.

– Czyli że znowu wszystkiemu winna jest niewidzialna ręka rynku?

– Chciałby pan przeprowadzić pełną reinkarnację czy też z powodu ceny jest to mało atrakcyjna opcja?

– Mało atrakcyjna?! Mało atrakcyjna to jest białaczka. To jest, kurwa, *kryminał*. A pan powinien się wstydzić.

– Rozumiem, że nie jest pan już zainteresowany nabyciem pełnej reinkarnacji.

– Niech pan to rozumie jako pozew grupowy, który złożę przeciwko waszej pozbawionej moralnych skrupułów firmie. Znam ludzi, których powinniście się bardzo obawiać. Znam poważnych prawników, którzy zrobią to dla mnie w ramach przysługi. I napiszę o wszystkim w „Washington Post” – w dziale Styl albo w Opiniach – a oni to opublikują, zobaczysz pan, a potem będziecie żałować. Przycięliście w chuja z nie tym gościem co trzeba.

Jacob wyczuł smród kupy Argusa, ale często czuł smród kupy Argusa, gdy się wściekał.

– Jacobie, zanim skończymy rozmowę, czy powiedziałbyś, że w zadowalającym stopniu wyszedłem naprzeciw twoim potrzebom?

Pan Bloch rozłączył się, a następnie warknął w odpowiedzi:

– Srał pies moje potrzeby.

Z niesmakiem wciągnął powietrze, podniósł z powrotem telefon, ale nie wybrał żadnego numeru.

– Pomocy... – powiedział do nikogo. – Pomocy...

# Pełna reinkarnacja

Julia siedziała na skraju łóżka. W telewizji leciała reklama hotelu, w którym była właśnie uwięziona. Litografia na ścianie stanowiła jedną z pięciu tysięcy kopii – pięciu tysięcy doskonale identycznych, zupełnie wyjątkowych, do cna banalnych płatków śniegu. Zaczęła wybierać numer Jacoba. Zastanawiała się, czy nie poszukać Sama. Zawsze było zbyt wiele rzeczy do zrobienia, gdy nie miała czasu. Ale kiedy trzeba było go czymś wypełnić, nigdy nie miała pojęcia, jak to zrobić.

Pukanie wyrwało ją z tej pustki.

– Dzięki, że otworzyłaś drzwi – powiedział Mark, gdy tylko lekko się uchyliły.

– Wizjer był zamazany – odparła Julia, otwierając je szerzej.

– Moje zachowanie było nie na miejscu.

– Co najmniej.

– Staram się przeprosić.

– Odnalazłeś swój wewnętrzny głos i powiedział ci, że zachowałeś się jak dupek?

– Dokładnie tak było.

– Cóż, pozwól, że mój głos zewnętrzny powtórzy jego opinię.

– Przyjęto do wiadomości.

– To nie jest dobry moment.

– Wiem.

– Przed chwilą strasznie się pokłóciłam z Samem.

– Wiem.

– Ty wszystko wiesz.

– Nie kłamałem, gdy powiedziałem dzieciakom, że jestem wszechwiedzący.

Julia pomasaowała skroń i odwróciła się, robiąc miejsce, by Mark mógł wejść.

– Zawsze gdy Sam płakał w dzieciństwie, mówiliśmy mu: „Wiem, wiem” i dawaliśmy smoczek. No i zaczął na niego mówić „wiem-wiem”. Twoja wszechwiedza właśnie mi o tym przypominała. Nie zastanawiałam się nad tym od lat. – I pokręciwszy niedowierzająco głową, dodała: – Czy to w ogóle było w tym życiu?

– Życie było to samo, tylko człowiek inny.

Głosem przypominającym skrzypienie okna, które wie, że zaraz rozleci się na kawałki, powiedziała:

– Jestem dobrą matką, Marku.

– Jesteś. Wiem.

– Jestem naprawdę dobrą matką. Nie chodzi tylko o to, że bardzo się staram. Jestem dobra.

Odległość między nimi zmniejszyła się o krok i Mark powiedział:

– Jesteś dobrą żoną, dobrą matką i dobrą przyjaciółką.

– Tak bardzo się staram.

Kiedy Jacob przyniósł Argusa do domu, Julia poczuła się zdradzona – okazywała wściekłość przy Jacobie i zachwyty przy dzieciach. A jednak to ona zadała sobie trud lektury książki na temat tresury psów i opieki nad nimi. Większość spraw była intuicyjnie



oczywista, ale jedno, co ją uderzyło, to porada, by nie mówić psu „nie”, ponieważ przyswoił on „nie” jako wyrok egzystencjalny: zanegowanie swojej wartości. Będzie słyszał „nie” jako swoje imię: „Jesteś Nie”. Jak to możliwe, by wiedzieć tyle o życiu umysłowym psa albo daczego o wiele lepiej byłoby się nazywać „Ho-ho”, zbyt trudno było Julii pojąć, ale wydawało się, że jest w tym coś wiarygodnego, a nawet istotnego.

Julia potrzebowała przyjaznej egzystencjalnej oceny. Chciała, żeby ją raz jeszcze nazwano, pragnęła usłyszeć: „Jesteś Dobra”.

Mark położył jej rękę na policzku.

Cofnęła się o pół kroku.

– Co ty robisz?

– Przepraszam. To było nie w porządku?

– Oczywiście, że tak. Znasz Jacoba.

– Tak.

– I znasz moje dzieci.

– To prawda.

– I wiesz, że przechodzę przez coś bardzo trudnego. I wiesz, że okropnie pokłóciłam się z Samem.

– Tak.

– I w odpowiedzi próbujesz mnie pocałować?

– Nie próbowałem cię pocałować.

Czy mogła to źle zinterpretować? Nie. Nie mogła jednak również dowieść, że chciał ją pocałować. Poczuli się przez to tak mała, że mogłaby schować się w szafie, wchodząc tam przez szparę pod zamkniętymi drzwiami.

– Dobrze, to co w takim razie próbowałaś zrobić?

– Niczego nie próbowałem zrobić. Widzę, że potrzebujesz pocieszenia, więc wyciągnięcie ręki wydało mi się naturalne.

– Naturalne dla ciebie.

– Przepraszam.

– I nie potrzeba mi pocieszenia.

– Myślałem, że będzie mile widziane. Zresztą wszystkim potrzeba pocieszenia.

– Sądziłeś, że dotykanie mojej twarzy będzie mile widziane?

– Tak. Po tym, jak się przechyliłaś, dając do zrozumienia, że bym wszedł do pokoju. Jak na mnie patrzyłaś. I powiedziałaś: „Jestem dobra”, i zbliżyłaś się o krok.

Naprawdę to zrobiła? Pamiętała tę chwilę, ale była pewna, że to *on* zrobił krok w *jej* stronę.

– Kurde, naprawdę się o to prosiłam?

Czy to możliwe, że była zbyt surowa dla Jacoba po prostu dlatego, że on pierwszy dał wyraz temu, co ona jako pierwsza odczuwała? Równowaga nie tkwiła jednak w okrucieństwie – jedynie w zdradzie, do której nie zamierzała się uciec.

– Nie wciskam ci farmazonów, Julio. Uważasz, że tak jest...

– Owszem.

– ...ale to nieprawda. Przepraszam, jeśli postawiłem cię w niezręcznym położeniu. Wcale nie miałem takiego zamiaru.

– Jesteś samotny, a ja wyglądam na półśrodek.

- Nie jestem samotny i nie...
- To ty potrzebowałeś pocieszenia.
- Oboje potrzebowaliśmy. Potrzebujemy.
- Powinieneś wyjść.
- W porządku.
- To dlaczego nie idziesz?
- Bo nie wierzę, żebyś tego chciała.
- Jak miałabym to udowodnić?
- Możesz mnie popchnąć.
- Nie zamierzam cię popychać, Marku.
- Jak myślisz, dlaczego właśnie użyłaś mojego imienia?
- Bo to twoje imię.

– Co chciałaś przez to podkreślić? Nie mówisz do mnie po imieniu, kiedy każesz mi odejść, tylko wtedy, gdy stwierdzasz, czego nie zamierzasz zrobić.

- Jezu! Po prostu idź, Marku.
- Okej – powiedział i odwrócił się w stronę drzwi.

Nie zdawała sobie sprawy, na czym polegało zagrożenie, wiedziała tylko, że centrum urazowe w jej mózgu pożera wszystko. Na skraju, nadal bezpieczna, pozostawała radość płynąca z odszukiwania i usuwania kleszczy w Connecticut. Ale centrum zwietrzyło przyjemność i zaatakowało ją. U kresu każdej nocy Julia siedziała w suchej wannie i sprawdzała, czy nie ma kleszczy, bo kto miał to zrobić, jeśli nie ona sama?

– Nie, zaczekaj. – Zmieniła zdanie. Mark znów się do niej odwrócił. – Potrzebowałam pocieszenia.

- Mimo to nie...
- Nie skończyłam. Potrzebowałam pocieszenia i na pewno dałam temu wyraz, nawet jeśli nie zamierzałam tego robić ani nie zdawałam sobie z tego sprawy.

– Dziękuję, że to powiedziałaś. A skoro już jesteśmy przy całkowitej jawności: to ja zrobiłem krok w twoją stronę.

- Okłamałeś mnie.
- Nie, po prostu nie potrafiłem znaleźć sposobu, żeby...
- Okłamałeś mnie i kazałeś zwątpić w siebie.
- Nie potrafiłem znaleźć sposobu...

– Wiedziałaś, że mam rację. – Zawahała się. Drobne wspomnienie uwolniło lekki chichot. – Całusy. Przypomniałam sobie właśnie, jak Sam nazywał kiedyś całusy.

- Co?
- Miał na nie kilka różnych określeń, w zależności od sytuacji. „Lepiejka” dostawał, kiedy przytrafiła mu się krzywda. „Szojne bojczik” to był całus od dziadka. „Twarzowca” dawała mu babcia. A „o-ty” to był jeden z tych spontanicznych całusów, które musisz dać zaraz, natychmiast. Chyba zawsze mówiliśmy „o-ty”, kiedy się do nich przymierzaliśmy.

- Dzieci są cudowne.
- Faktycznie, zanim czegokolwiek się dowiedzą.

Mark skrzyżował ręce i powiedział:

- No więc, rzecz w tym, Julio...
- Oho, emfaza.

– ...że próbowałem cię pocałować.

– Tak? – Poczła się nie tylko uwolniona od wcześniejszego zażenowania, ale i – wedle swej wybiórczo przeredagowanej pamięci: po raz pierwszy – pożądana.

– Prawdę mówiąc.

– Dlaczego chciałeś mnie pocałować?

– *Dlaczego?*

– Żeby dać mi lepiejka?

– Żeby dać ci o-ty.

– Ach tak, widzę.

– Czyli postanowiłaś nie zamykać oczu?

– Co?

– Widzisz.

Zrobiła krok w jego stronę z szeroko otwartymi oczyma i spytała:

– Czy od zaraz wszystko będzie źle?

– Nie.

Zrobiła jeszcze pół kroku w jego stronę i spytała:

– Obiecujesz?

– Nie.

Nie pozostał już żaden dystans do pokonania.

– To co możesz obiecać? – spytała.

– Od zaraz wszystko będzie inaczej.

# III

## Zastosowania żydowskiej pięści

# Trzymanie długopisu, uderzanie, masturbacja

– To jakiś żart? – spytał Irv, gdy jechali na lotnisko Washington National. Blochowcie prędzej wyrzekliby się latania, niż nazwali je Portem Lotniczym imienia Reagana.

Grało National Public Radio, Irv poszukiwał bowiem konfrontacji z tym, czego nienawidził, a ku jego skrajnej odrazie puszczano audycję o budowie nowego osiedla na Zachodnim Brzegu. Irv nie cierpiał NPR. Nie chodziło tylko o przekłętą politykę, ale o krzykliwie pretensjonalną, niewyautowaną zniewieściałość, naiwne zdumienie głosików typu *no-chyba-nie-uderzysz-gościa-w-okularach*. (Zdawałoby się, że wszyscy oni – mężczyźni, kobiety, starzy i młodzi – dzielą się tym samym głosem, przekazując go sobie, gdy to konieczne, z gardła do gardła). Zalety radia „wspieranego przez słuchaczy” nie zmieniają faktu, że nikt, kto ma szacunek do samego siebie, nie używa słowa „neseser”, a tym bardziej samego nesesera, a poza tym ilu prenumerat „New Yorkera” człowiekowi potrzeba?

– Cóż, oto i odpowiedź – powiedział Irv, przytakując sobie pełnym samozadowolenia skinieniem głowy, które przypominało kiwanie się nad Talmudem albo parkinsona.

– Na co? – spytał Jacob, nie będąc w stanie ominąć przynęty.

– Na pytanie o najbardziej niezgodną z faktami, odrażającą moralnie, a przy tym po prostu najnudniejszą audycję, jaką w życiu słyszałem.

Odruchowa odpowiedź Irva wywołała reakcję w mózgu Jacoba i po kilku wymianach zdań zaczęli wywijać oratorskiego kozaka – ze skrzyżowanymi rękoma, kopiając gdzie popadnie.

– A poza tym – powiedział Jacob, czując, że posunęli się za daleko – wedle jego własnych słów był to felieton, w którym wyraził swoją opinię.

– Cóż, opinia tego skretyniałego debila jest *fałszywa*...

Nie odrywając wzroku od iPada, Max stanął w obronie National Public Radio (a w każdym razie logiki) i z tylnego siedzenia oznajmił:

– Opinie nie mogą być fałszywe.

– A oto dlaczego opinia tego idioty jest idiotyczna... – Irv odhaczał każde „dlatego że” na palcach lewej ręki. – Dlatego że tylko antysemitę można „sprovokować do antysemityzmu” (szkaradna fraza); dlatego że sama sugestia gotowości podjęcia rozmów z tymi fanatykami byłaby dolewaniem manischewitza do ognia; dlatego że (nie bez powodu) w *ich* szpitalach jest pełno rakiet wycelowanych w nasze szpitale, wypełnione *nimi*; dlatego że w ostatecznym rozrachunku my uwielbiamy kurczaka kung pao, a oni kochają śmierć; dlatego (i od tego tak naprawdę powinienem był zacząć) że proste i niepodważalne fakty są takie... że mamy *rację*!

– Jezus, trzymaj się swojego pasa!

Irv zdjął drugą rękę z kierownicy, którą teraz podtrzymywał tylko kolanami, by zyskać jeszcze jeden oratorski palec.

– I dlatego że tak czy siak, po co *nasze* jarmułki mają się tłoczyć obok gojowskich skautów zapracowujących na odznakę demonstranta przed akademikiem w Berkeley albo obok małp w kefijach, co sobie trochę porzucają kamykami w tej tak zwanej Gazie?

– Przynajmniej jedna ręka na kierownicy, tato.

– Wpakowałem się komuś pod koła?

– I poszukaj lepszego słowa niż „małpy”.

Irv odwrócił się twarzą do wnuka, nadal kierując za pomocą kolan.

– Musisz tego posłuchać. Stawiasz milion małp przed milionem maszyn do pisania i wychodzi z tego *Hamlet*. Dwa miliardy przed dwoma miliardami i dostajesz...

– Patrz na drogę!

– ...Koran. Śmieszne, nie?

– Rasistowskie – mruknął Max.

– Arabowie to nie rasa, *bubele*. To *grupa etniczna*.

– Co to takiego maszyna do pisania?

– I jeszcze jedno – powiedział Irv, odwracając się do Jacoba i wycelowując w niego palec wskazujący, nie opuściwszy przy tym pozostałych sześciu palców. – Ludzie w szklanych domach nie powinni rzucać kamieniami, ale ludzie bez ojczyzny *naprawdę* nie powinni tego robić. Bo kiedy te ich kamienie potłuką witraże Chagalla, nie oczekuj, że zobaczysz nas na kolanach z szufelką w ręce. To, że jesteśmy bystrzejsi od tych pomyleńców, nie znaczy, że mają monopol na szaleństwo. Arabowie muszą zrozumieć, że my też mamy w zanadrzu kamienie, ale nasza proca jest w Dimonie<sup>15</sup>, a palec na przycisku jest połączony z ramieniem, na którym wytatuowano obozowe numery!

– Skończyłeś?

– Z czym?

– Jeśli mogę cię na chwilę gościć z powrotem na Błękitnej Planecie, myślałem sobie, że w drodze powrotnej powinniśmy zabrać Tamira w odwiedziny do Isaaca.

– Po co?

– Bo wyraźnie ma depresję z powodu przeprowadzki i...

– Gdyby był zdolny do wpadania w depresję, zabiłby się siedemdziesiąt lat temu.

– Pieprzony gównowłaz! – wykrzyknął Max, potrząsając iPadem jak znikopisem.

– Nie jest w depresji – powiedział Irv. – Jest stary. Wiek wygląda na depresję, ale nią nie jest.

– Przepraszam – zachnął się Jacob – zapomniałem: nikt nie ma depresji.

– Nie, to ja przepraszam, zapomniałem: wszyscy mają depresję.

– Zakładam, że to przytyk pod adresem mojej terapii?

– A tak w ogóle o jaki pas walczysz? Brązowy? Czarny? Wygrasz, gdy zaciśnie się wokół twojej szyi?

Jacob rozważał, czy oddać, czy odpuścić. Doktor Silvers nazwałby to myśleniem binarnym, ale ufność, jaką pokładał w krytyce systemu binarnego, sama w sobie była binarna. I był to zbyt ciężki poranek, żeby babrać się w szczegółach kłótni z nieugiętym ojcem. Jak zawsze więc: odpuścić. Albo raczej: zamortyzować to.

– To dla niego trudna zmiana – powiedział Jacob. – Ostateczna. Chcę tylko powiedzieć, że musimy być delikatni...

– Jest ludzką skamieliną.

– Jest górą niewyjawionego cierpienia.

– Mamy zielone – rzucił Max.

Ale zamiast jechać, Irv odwrócił się, by wyraźnie podkreślić to, od czego odbiegł:

– Oto, w czym rzecz: liczba Żydów na świecie spada do granicy błędu w chińskim spisie ludności i wszyscy nas nienawidzą. – Ignorując dobiegające z tyłu trąbienie, ciągnął: – Europa... o, *to dopiero* kontynent, gdzie nienawidzą Żydów. Francuzi, te tchórzliwe cipy, nie uroniliby ze smutku nawet jednej łzy, gdybyśmy zniknęli.

– O czym ty w ogóle mówisz? Pamiętasz, co powiedział francuski premier po ataku na koszerny supermarket? „Każdy Żyd, który opuści Francję, zabierze jej kawałek ze sobą”. Albo coś w tym stylu.

– Kupa *merde*. Wiadomo, że za kulisami miał butelkę Château Sang de Juif<sup>16</sup> rocznik 1942, żeby wznieść toast za brakujący kawałek Francji. Anglicy, Hiszpanie, Włosi. Ci ludzie chcą, żebyśmy zginęli. – Wystawił głowę przez okno i wrzasnął na trąbiącego kierowcę: – Jestem dupkiem, dupku! Głuchy nie jestem! – A potem znów zwrócił się do Jacoba: – Naszym jedynym partnerem w Europie, na którym można polegać, są Niemcy, a czy ktokolwiek wątpi, że pewnego dnia skończy się ich poczucie winy i wyjdą spod klosza? I czy ktokolwiek naprawdę wątpi, że pewnego dnia, gdy tylko warunki będą odpowiednie, Ameryka uzna dla dobra wszystkich, że jesteśmy hałaśliwi, śmierdzący, bezczelni i zdecydowanie zbyt sprytni?

– Ja – powiedział Max, uchylając odrobinę okno, żeby zrobić na coś zbliżenie.

– Hej, Maxy – powiedział Irv, próbując przyciągnąć jego wzrok w lusterku wstecznym – wiesz, dlaczego paleontolodzy poszukują kości, a nie antysemityzmu?

– Dlatego że są paleontologami, a nie Ligą Przeciwno Zniesławieniu? – zasugerował Jacob.

– Dlatego że lubią się zagłębiać. Łapiesz?

– Nie.

– Nawet jeśli wszystko, co mówisz, jest prawdą – zaczął Jacob – a tak...

– Zdecydowanie jest.

– ...nie jest...

– Jest.

– Ale nawet gdyby tak było...

– Świat nienawidzi Żydów. Wiem, że uważasz, że dominacja kulturowa Żydów jest swego rodzaju kontrargumentem, ale to tak, jakby powiedzieć, że świat uwielbia pandy, bo tłumy przychodzą oglądać je w zoo. Świat *nienawidzi* pand. Chce, żeby zdechły. Nawet ich młode. I świat nie cierpi Żydów. Zawsze tak było. I zawsze będzie. Tak, można użyć bardziej uprzejmych słów i przywołać polityczne konteksty, ale nienawiść pozostanie nienawiścią, i to zawsze dlatego, że jesteśmy Żydami.

– Lubię pandy – włączył się Max.

– Nie lubisz – poprawił go Irv.

– Byłby niezły odpał, gdybym miał pandę w domu.

– Maxy, wyżarłaby ci twarz.

– Mega.

– Albo przynajmniej zajęłaby nasz dom i skonfrontowała nas ze swoim poczuciem prawa własności – dodał Jacob.

– Niemcy wymordowali półtora miliona żydowskich dzieci, ponieważ były to żydowskie dzieci, a trzydzieści lat później zostali gospodarzem igrzysk olimpijskich. I jaki zrobili z tego użytek! Żydzi ledwo, ledwo wygrali walkę o *nasze* ocalenie i wiecznie są uznawani za

wyrzutków. Dlaczego? Dlaczego za ledwie pokolenie po tym, jak prawie ulegliśmy zagładzie, żydowską wolę przetrwania uważa się za pragnienie podboju? Zapytaj sam siebie: *dłaczego?*

Jego „dłaczego” nie było pytaniem, nawet retorycznym. To był kuksaniec. Odepchnięcie wyprostowaną ręką w czasach wymuszonych gestów. Isaac nie chciał się przenosić – zmuszali go do tego. Jedyne znaczenie, w jakim Sam pragnął stać się mężczyzną, dotyczyło stosunków erotycznych z kimś, kto nie był nim samym, zmuszali go jednak, by przeprosił za słowa, których – według niego – nie napisał, tak by można było na nim wymusić recytację wyuczonych na pamięć słów na oczach rodziny, w którą nie wierzył, przyjaciół, w których też nie wierzył, i Boga. Julia zmuszona była przenieść uwagę z ambitnych budynków, które nigdy nie powstaną, na remont łazienki i kuchni rozczarowanych ludzi ze środkami na koncie. Zajście z telefonem wymuszało zaś kontrolę, której małżeństwo może nie przetrwać – ich związek, jak wszystkie związki, był uzależniony od rozmyślnej ślepoty i zapomnienia. Nawet Irv staczał się w nietolerancję za sprawą niewidzialnej ręki.

Nikt nie chce być karykaturą. Nikt nie chce być gorszą wersją siebie. Nikt nie chce być Żydem ani umierającym.

Jacob nie chciał zmuszać ani być zmuszonym, ale co miał zrobić? Siedzieć z założonymi rękoma, czekając, aż jego dziadek roztrzaska sobie biodro i umrze na sali szpitalnej, jak pisane jest każdemu opuszczonemu staremu człowiekowi? Pozwolić Samowi przeciąć rytualną nić sięgającą królów i proroków tylko dlatego, że judaizm, który praktykowali, był nudny jak diabli i przepelniony hipokryzją? Może. W gabinecie rabina poczuł się gotów do użycia nożyczek.

Jacob i Julia omawiali pomysł wyprawienia bar micwy w Izraelu – wersję żydowskiej ucieczki w dorosłość. Może w ten sposób dałoby się to zrobić, *nie robiąc* tego. Sam się sprzeciwił – uznał, że to fatalny pomysł.

– Fatalny dlaczego? – spytał Jacob, dobrze wiedząc dlaczego.

– Naprawdę nie widzisz tego paradoksu? – odparł Sam. Jacob dostrzegał wiele paradoksów i był ciekaw, który z nich ma na myśli jego syn. – Izrael stworzono jako miejsce dla Żydów uciekających przed prześladowaniami. A my zamierzamy uciec przed judaizmem.

Dobrze powiedziane.

Tak więc bar micwa odbędzie się w synagodze, za przynależność do której płacili dwa i pół tysiąca dolarów od każdej wizyty, i będzie celebrowana przez modnego młodego rabina, który wedle żadnej rozsądnej definicji nie był ani modny, ani młody, ani nawet nie był rabinem. Przyjęcie zostanie wyprawione w Hiltonie, w którym Reagan był tak blisko od skrócenia naszych cierpień i w którym Julia z Samem reprezentowali Mikronezję. Kapela będzie w stanie grać zarówno dobrą horę, jak i dobrego rocka. Oczywiście taka kapela nie istniała w całej historii muzyki koncertowej, ale Jacob wiedział, że na pewnym etapie po prostu przegryza się kapsułkę chowaną w policzku i ma się nadzieję, że nie poczuje się za wiele. Motywem przewodnim – potraktowanym subtelnie i ze smakiem – będzie diaspora rodziny Sama. (Był to pomysł Julii i na tyle, na ile motyw przewodni diaspory w ogóle może być dobrym pomysłem, ten był względnie w porządku). Stoły będą reprezentowały każdy z krajów, po których rozsiana jest rodzina – Stany Zjednoczone, Brazylia, Argentyna, Hiszpania, Australia, Republika Południowej Afryki, Izrael, Kanada – a zamiast karteczek



z nazwiskami każdy z gości otrzyma „paszport” do jednego z państw. Będą one tak pomyślane, by pokazywać kulturę regionu i charakterystyczne obiekty – w tym właśnie miejscu subtelność i smak były wystawione na najpoważniejszą próbę – na środku stołów staną zaś ozdoby z wyeksponowanym drzewem genealogicznym i fotografiami krewnych żyjących obecnie w danym miejscu. Bufet będzie się składał ze stanowisk z charakterystycznymi dla poszczególnych regionów potrawami: brazylijską feijoada, hiszpańskimi tapas, izraelskim falafelem, czymkolwiek, co jedzą w Kanadzie i tak dalej. W ramach upominku goście dostaną śnieżne kule z wizerunkami różnych miejsc. W Izraelu jest więcej wojen niż płatków śniegu, ale Chińczycy są na tyle bystrzy, żeby wiedzieć, że Amerykanie są na tyle głupi, by kupić wszystko. Szczególnie amerykańscy Żydzi, którzy posuną się do ostateczności (poza praktykowaniem judaizmu), by wpoić swym dzieciom poczucie żydowskiej tożsamości.

– Pytałem cię o coś – powiedział Irv, przywołując Jacoba z powrotem do dyskusji, którą toczył już sam ze sobą.

– Tak?

– Tak. Pytałem dlaczego.

– Co dlaczego?

– „Co” nie ma żadnego znaczenia. Na każde pytanie o nas odpowiedź jest taka sama: dlatego że świat nienawidzi Żydów.

Jacob odwrócił się w stronę Maxa:

– Zdajesz sobie sprawę, że genetyka to nie przeznaczenie, prawda?

– Skoro tak mówisz...

– Z grubsza na podobnej zasadzie do tego, jak uniknąłem łysiny pustoszącej głowę twojego dziadka, masz spore szanse na uniknięcie obłędu, który przemienił znośnego człowieka w mężczyznę, który ożenił się z moją matką.

Irv głęboko i teatralnie odetchnął, a następnie z pełną mocą sztucznej szczerości spytał:

– Nie miałbyś nic przeciwko temu, żebym wyraził swoje zdanie?

Max i Jacob parsknęli śmiechem. Jacob lubił to uczucie, samorzutne ojcowsko-synowskie koleżeństwo.

– Posłuchasz albo nie, twoja sprawa. Ale chcę to zrzucić z serca. Sądzę, że marnujesz życie.

– Och, i to by było na tyle? – odparł Jacob. – Szykowałem się na coś naprawdę dużego.

– Myślę, że jesteś niezmiernie utalentowaną, bardzo wrażliwą, wyjątkowo inteligentną osobą:

– *Zajde*<sup>17</sup> za wiele jójczy, tuszę.

– I dokonałeś paru bardzo złych wyborów.

– Domyślam się, że masz na myśli konkretny wybór.

– Tak, pisanie dla tego durnego programu telewizyjnego.

– Ten durny program oglądają cztery miliony ludzi.

– A: co z tego? B: co za cztery miliony?

– I cieszy się uznaniem krytyków.

– Ci, którzy nie umieją uczyć wuefu, oklaskują z trybun.

– Poza tym to moja praca. Tak właśnie utrzymuję rodzinę.

– W ten sposób zarabiasz pieniądze. Rodzinę można wspierać na różne sposoby.

- Powiniennem być dermatologiem? Zrobiłbym dobry użytek z mojego talentu, wrażliwości i intelektu?
- Powinieneś robić coś, co odpowiada twoim zdolnościom i wyraża to, co według ciebie istotne.
- Robię.
- Nie, stawiasz kropki nad „i” i ogonki pod „a” w smoczach przygodach kogoś, kto nie nadaje się do tego, żeby pucować ci hemoroidy. Nie znalazłeś się na ziemi po to, żeby się tym zajmować.
- A teraz zamierzasz mi powiedzieć, po co znalazłem się na ziemi?
- Dokładnie taki mam zamiar.
- Gdzieś w młodości czy dzieciństwie musiałem uczynić coś złeegooo. – Jacob przekreślił piosenkę z *Dźwięków muzyki*.
- Jak już zacząłem...
- Z wyżyn swej mądrości mój samotny ojciec Irv, lej-oł-lej-oł-lej-oł-hoł.
- Dowcipniś z ciebie. Kapujemy, Frankensteinie.
- Rado zła, rado zła, błogosław ojczyznę mą nie zaaawsze.
- Tym razem Irv nie zostawił synowi czasu:
- Jacobie, powinieneś wykuć w kuźni twojej duszy nieistniejące sumienie swej rasy.
- Ojacie – padło bez zachwytu.
- Tak: ojacie.
- Czy miałbyś coś przeciwko, żeby powiedzieć to jeszcze raz, tak by dotarło do tylnych rzędów w moim mózgu?
- Powinieneś wykuć w kuźni duszy nieistniejące sumienie swojej rasy.
- Czyż nie uczyniły tego piece w Auschwitz?
- One niszczyły. A ja mówię o wykuwaniu.
- Doceniam to nieoczekiwane wotum zaufania...
- Po prostu ustawiłem wyniki głosowania.
- ...ale kuźnia mojej duszy nie rozgrzewa się do czerwoności.
- To dlatego tak rozpaczliwie pragniesz być kochany. Tarcie wytwarza ciepło.
- Nie mam nawet pojęcia, co to znaczy.
- Tak samo jest z tą całą sprawą słowa na „cz” u Sama w szkole.
- Chyba nie powinniśmy mieszać do tego Sama – zasugerował Max.
- Tak samo jest ze wszystkim, na cokolwiek byś w życiu spojrział – stwierdził Irv. – Robisz ten sam błąd, który popełniamy od tysięcy lat...
- My?
- ...wierząc, że gdyby tylko dało się nas kochać, bylibyśmy bezpieczni.
- Nawaliła mi nawigacja. Wracamy do nienawiści wobec Żydów?
- Wracamy? Nie. Nie można powrócić do czegoś, czego nigdy się nie opuściło.
- To jest program rozrywkowy.
- Nie wierzę, że w to wierzysz.
- Cóż, wygląda mi to na koniec naszej wspólnej drogi.
- Dlatego że jestem gotów docenić cię bardziej niż ty sam?
- Dlatego że, jak lubisz podkreślać, nie da się negocjować bez partnera do negocjacji.
- Kto tu negocjuje?

– Nie umiesz *konwersować*.

– Jacobie, doprawdy. Opuść na chwilę gardę i spytaj siebie, o co chodzi z tą nieprzepartą potrzebą miłości. Pisałeś takie uczciwe książki. Szczere i ambitne emocjonalnie. Może nie znalazły milionów czytelników. Może nie uczyniły cię bogatym. Ale wzbogacały świat.

– A ty ich nie cierpiełeś.

– Tak, to prawda – zgodził się, zmieniając pas, nie spojrzawszy w żadne z lusterek. – Nie znosiłem ich. Nie daj Boże, żebyś zobaczył moje uwagi na marginesach. A wiesz, kto nienawidzi twojego programu?

– To nie jest mój program.

– Nikt. Poświęciłeś sporo czasu na rzecz rzeszy pełnych wdzięczności zombie.

– A więc to argument przeciwko telewizji?

– Ten argument też mógłbym wytoczyć – powiedział Irv, wybierając zjazd na lotnisko. – Ale to jest argument przeciwko twojemu programowi.

– To nie jest mój program.

– To załatw sobie program.

– Ale nie mam niczego, co w zamian mógłbym zaproponować Wróżce Zębuszce.

– A starałeś się?

– Czy się *starałem*?

Nikt nie starał się bardziej. Nie żeby załatwić sobie program – nie przyszła jeszcze na to pora – ale żeby go napisać. Przez ponad dekadę Jacob łamał kręgosłup swojej duszy, ładując węgiel do kuźni. Poświęcił się tajemnemu, całkiem jałowemu zadaniu odkupienia swego ludu za sprawą języka. Ludu? Rodziny. Rodziny? Samego siebie. Jakiego siebie? I „odkupienie” nie jest może do końca trafnym słowem.

*Wiecznie ginący lud* był dokładnie tym, na co jego ojciec – jak sam uważał – liczył: rykiem szofaru ze szczytu góry. A przynajmniej cichym krzykiem z piwnicy. Ale gdyby Irv miał kiedykolwiek okazję przeczytać ten tekst, zapalałby do niego nienawiścią – zdecydowanie bardziej wylewną niż ta, którą czuł wobec powieści syna. Definicja tego, co według Jacoba istotne, mogła stać się dosyć nieprzyjemna, a ponadto pojawiały się pewne zasadnicze rozbieżności na temat tego, w czyją stronę należy zwrócić czubek ostrza wykutego sumienia.

Istniał też o wiele większy problem: program zabiłby dziadka Jacoba. Nie w sensie metaforycznym. Byłoby to dosłownie dziadkobójstwo. Ten, który był w stanie przetrwać wszystko, nigdy nie przeżyłby spojrzenia w lustro. Jacob trzymał więc tekst przy sobie, w zamkniętej szufladzie biurka. Im mniej był w stanie się nim podzielić, tym bardziej czuł się do niego przywiązany.

Program zaczynał się od pisania programu. Występujące w nim postaci były postaciami wziętymi z prawdziwego życia Jacoba: nieszczęśliwą żoną (która nie chciała być w ten sposób określana); trzema synami: jednym u progu wieku męskiego, drugim na krawędzi skrajnej samoświadomości, trzecim blisko niezależności umysłowej; przerażonym ojcem ksenofobem; tkającą i prującą po cichu matką; dziadkiem w depresji. Gdyby pewnego dnia miał się tym podzielić i spytano by go, ile w tym autobiografizmu, powiedziałby: „To nie moje życie, ale to ja”. A gdyby ktoś – któżby inny, jak nie doktor Silvers? – miał spytać, na ile jego życie jest autobiograficzne, odparłby: „To moje życie, ale to nie ja”.

Pisanie dotrzymywało kroku zmiennym okolicznościom Jacobowego życia. Albo to jego

życie dotrzymywało kroku pisaniu. Czasem trudno było stwierdzić. Jacob pisał o odnalezieniu telefonu miesiące przed tym, nim w ogóle kupił drugi telefon – tak oczywista psychika, że nie usprawiedliwiała nawet jednej minuty za sześć dolarów z doktorem Silversem, a poświęcono jej dobrych kilkadziesiąt godzin. Ale to nie była tylko kwestia psychologiczna. Zdarzało się, że Julia mówiła albo robiła rzeczy tak niesamowicie podobne do tego, co Jacob napisał, że musiał się zastanawiać, czy przypadkiem tego nie czytała. W wieczór, gdy odkryła telefon, spytała: „Martwi cię, że bardziej kochamy dzieciaki niż siebie nawzajem?”. Dokładnie taka linijka – te słowa w takim porządku – od miesiący znajdowała się w scenariuszu. Chociaż były to słowa Jacoba.

Z wyjątkiem chwil, dla uniknięcia których większość ludzi zrobiłaby wszystko, życie toczy się dość wolno, nieciekawie, mało dramatycznie i bezbarwnie. Rozwiązanie tego problemu czy też błogosławieństwa nie polegało ze strony Jacoba na dodaniu programowi dramatyizmu – autentyczność jego dzieła była jedynym antidotum na nieautentyczność jego życia – lecz na wytwarzaniu coraz większej liczby rekwizytów.

Dwadzieścia cztery lata wcześniej, mniej więcej w tym czasie, gdy brak cierpliwości stłumił jego pasję do gitary, Jacob zaczął projektować okładki albumów wymyślonego zespołu. Tworzył listy utworów, pisał teksty piosenek i teksty o zespole. Składał podziękowania ludziom, którzy nie istnieli: inżynierom dźwięku, producentom, menedżerom. Język praw autorskich skopiował ze *Steady Diet of Nothing* Fugazi. Z atlasem opracował trasę koncertową po Stanach, a potem światowe tournée, zastanawiając się nad granicami własnej fizycznej i emocjonalnej wytrzymałości. Czy Paryż, Sztokholm, Bruksela, Kopenhaga, Barcelona i Madryt to za wiele na jeden tydzień? Szczególnie po ośmiu miesiącach w drodze? A nawet gdyby dało się to znieść, co dobrego przysłoby z wywołania u członków grupy nadpobudliwości, która naraziłaby na szwank wszystko, w co wierzyli i do czego doszli tak ciężką pracą? Daty koncertów były nadrukowane na plecach koszulek, które zaprojektował, rzeczywiście zrobił i faktycznie nosił. Ale nie potrafił zagrać akordów barowych.

Jego stosunek do programu był dość podobny – im bardziej skarłowaciała rzeczywistość, tym wspanialsze materiały z nią związane.

Stworzył i bezustannie poszerzał „biblię” do serialu – coś w rodzaju instrukcji obsługi dla tych, którzy pewnego dnia będą nad nim pracować. Sporządził także stale korygowane dossier z podstawowymi danymi na temat każdej z postaci:

## *SAM BLOCH*

*Niespełna trzynastolatek. Najstarszy z braci Blochów. Praktycznie cały swój czas spędza w wirtualnym czasie Innego Życia. Nienawidzi niedopasowania ubrań. Uwielbia oglądać filmiki, na których łobuzy zgarniają bęcki. Niezdolny do ignorowania, a nawet niedostrzegania dwuznacznych seksualnie uwag. Oddałby ciało pokryte trądzikiem bliznowatym w przyszłości za gładkie czoło w terażniejszości. Pragnie, by powszechnie dostrzegano jego przymioty, lecz nigdy o nich nie wspomina.*

## *GERSZOM BLUMENBERG*

*Od dawna zmarły. Syn Anszela, ojciec Isaaca. Dziadek Irvinga. Wnuk kogoś, czyje imię przepadło na wieki. Wielki rabin Drohobycza. Zginął w płonącej synagodze. Jego imieniem nazwano w Jerozolimie mały park z odlotowymi marmurowymi ławkami. Pojawia się tylko w koszmarach.*

*JULIA BLOCH*

*43 lata. Żona Jacoba. Architektka, choć skrycie wstydzi się mówić w ten sposób o sobie, zważywszy, że nigdy niczego nie wybudowała. Wielce utalentowana, tragicznie przeciążona, okresowo optymistyczna. Często zastanawia się, czy wszystko, czego trzeba, by całkowicie zmienić jej życie, to całkowita zmiana kontekstu.*

*– i katalog pomocy ogólnych, który zawierał krótkie (choć ciągle się rozrastające) opisy miejsc, setki zdjęć dla przyszłej rekwizytorni, mapy, plany pięter, spis nieruchomości, anegdota –*

*2294 NEWARK STREET*

*Dom Blochów. Ładniejszy niż większość, jednak nie najładniejszy. Ale ładny. Choć nie tak, jak mógłby być. Przemyślane wnętrza w ramach ograniczonego czasu pracy. Kilka porządnych mebli z połowy zeszłego wieku, kupionych głównie za pośrednictwem eBaya i Etsy. Trochę Ikei z odjazdowymi rozwiązaniami (skórzane uchwyty, wielopłaszczyznowe fronty szafek). Fotografie wiszące grupami (sprawiedliwie rozdzielone pomiędzy rodziny Jacoba i Julii). Mąka migdałowa w szklanym słoju od Williams-Sonoma na steatytowym blacie. Zbyt piękny, żeby go używać, garnek uniwersalny marki Le Creuset – w kolorze lazuru – na tylnym palniku po prawej na podwójnej szerokości kuchence Lacanche, której potencjał marnuje się na wegetariańskie chili. Parę książek kupiono z myślą o lekturze (albo przynajmniej o zajrzeniu do nich); kilka innych, by wywoływały wrażenie bardzo specyficznego rodzaju niezwykle otwartej ciekawości; pozostałe, jak dwutomowe wydanie Człowieka bez właściwości w tekturowym pudełku, ze względu na piękne grzbiety. Hydrokortyzon w czopkach pod stosem „New Yorkerów” w środkowej szufladzie apteczki. Wibrator w czubku buta na górnej półce. Książki o Holokauście za książkami o czym innym. I biegnące w górę futryny kuchennych drzwi oznaczenia wzrostu małych Blochów.*

*Kiedy przyszedł na mnie czas, ociągałem się na tym progu. Futryna była jedyną rzeczą, której nie mogłem porzucić. Zapomnijcie o fotelu Papa Bear i podnóżku do niego. Zapomnijcie o świecznikach i lampach. Zapomnijcie o Ślepych botaniku, kupionym przez nas wspólnie rysunku, który – wobec braku pochodzenia – przypisuje się jednemu z moich idoli, Ben Shahnowi. Zapomnijcie o kapryśnej orchidei. Gdy któregoś popołudnia Julia była poza domem, podważyłem futrynę za pomocą płaskiego śrubokrętu, wsunąłem ją do subaru (jeden koniec oparty o szybę bagażnika, drugi dotykał przedniej) i zawiozłem miarkę wzrostu moich dzieci do nowego domu. Dwa tygodnie później malarz pokojowy wszystko zamalował. Zrobiłem kreski na nowo, najlepiej jak mi na to pozwoliła moja godna pożalowania pamięć.*

– i, co najambitniejsze (albo najbardziej neurotyczne, albo żałosne), uwagi dla aktorów próbujące przekazać to, czego same scenariusze nie mogły, ponieważ potrzeba było więcej słów: JAK ZAGRAĆ SPÓŹNIONY ŚMIECH, JAK ZAGRAĆ „JAK SIĘ NAZYWASZ?”, JAK ZAGRAĆ SAMOBÓJCZE SŁOJE DRZEWA... Każdy odcinek miał plus minus dwadzieścia siedem stron. Każdy sezon składał się z dziesięciu odcinków. Było trochę miejsca na delikatne zarysowanie tła, kilka retrospekcji, dygresji i niezgrabnie wprowadzonych informacji, które nie posuwały akcji naprzód, ale ujawniały motywacje. Potrzeba było jeszcze tak wiele słów: JAK ZAGRAĆ KONIECZNOŚĆ NIEZADOWOLENIA, JAK ZAGRAĆ MIŁOŚĆ, JAK ZAGRAĆ ŚMIERĆ JĘZYKA... W niepoohamowanie zrzedliwym dydaktyzmie uwagi te były żydowsko matczyne i żydowsko ojcowskie w ich konieczności skrywania każdego uczucia za metaforą i odchyleniem. JAK ZAGRAĆ AMERYKANINA, JAK ZAGRAĆ DOBREGO CHŁOPCA, JAK ZAGRAĆ DŹWIĘK CZASU... Biblia szybko przewyższyła długością i głębią same scenariusze – materiały objaśniające przytłoczyły to, co próbowały wytłumaczyć. To takie żydowskie. Jacob chciał zrobić coś, za sprawą czego wszystko zostałoby odkupione, a zamiast tego tłumaczył, tłumaczył, tłumaczył...

### *JAK ZAGRAĆ DŹWIĘK CZASU*

*Tego ranka, gdy Julia znalazła telefon, moi rodzice wpadli na brunch. Wokół Benjy’ego wszystko się rozpadało, choć nigdy się nie dowiem, co wówczas wiedział, on zresztą też nie. Dorośli rozmawiali, gdy ponownie wszedł do kuchni i powiedział:*

*– Dźwięk czasu. Co się z nim stało?*

*– O czym ty mówisz?*

*– No wiecie – odparł, wymachując małą rączką – dźwięk czasu.*

*Chwilę – jakieś pięć frustrujących minut – zabrało rozszyfrowanie, co chciał przez to powiedzieć. Nasza lodówka była w naprawie, w kuchni brakowało więc jej bezustannego, niemal nieuchwytnego buczenia. Benjy praktycznie cały czas w domu spędzał w zasięgu tego dźwięku i dlatego zaczął go kojarzyć z płynącym życiem.*

*Bardzo podobało mi się to nieporozumienie, ponieważ nie było nieporozumieniem.*

*Mój dziadek słyszał krzyki zmarłych braci. To był dźwięk czasu.*

*Mój ojciec słyszał ataki.*

*Julia słyszała głosy chłopców.*

*Ja słyszałem ciszę.*

*Sam słyszał zdrady i dźwięk uruchamiających się produktów Apple’a.*

*Max słyszał wycie Argusa.*

*Benjy był jedyną osobą na tyle młodą, by słyszeć dom.*

Irv opuścił wszystkie cztery okna i zwrócił się do Jacoba:

*– Brak ci siły.*

*– A tobie inteligencji. Razem w pełni niepełny z nas człowiek.*

*– Jacobie, ale poważnie, skąd ta nieprzeparata potrzeba miłości?*

*– Tato, ale poważnie, skąd ta nieprzeparata potrzeba diagnozowania?*

*– Nie stawiam diagnoz. Tłumaczę ci samego siebie.*

*– A tobie nie trzeba miłości?*

– Mnie jako dziadkowi: owszem. Jako ojcu i synowi: tak. Jako Żydowi? Nie. A zatem jakiś piątoligowy brytyjski uniwersytet nie pozwala nam uczestniczyć w swojej idiotycznej konferencji na temat ostatnich postępów w dziedzinie biologii morza? Kogo to obchodzi? Stephen Hawking nie przyjedzie do Izraela? Nie dla mnie boksowanie okularnika z porażeniem czterokończynowym, ale jestem pewien, że nie będzie miał nic przeciwko, jeśli poprosimy z powrotem o jego aparat głosowy; wiesz, ten, co go wyprodukowali *izraelscy* inżynierowie. A skoro już przy tym jesteśmy, z radością zrzeknę się miejsca w Organizacji Narodów Zjednoczonych Przeciwko Izraelowi, jeśli będzie to oznaczać, że uchronię swój tyłek. Żydzi stali się najbystrzejszymi z najślabszych ludzi w historii świata. Posłuchaj, nie zawsze mam rację. Zdaję sobie z tego sprawę. Ale zawsze jestem zdecydowany. A jeśli własna historia czegoś nas nauczyła, to tego, że zdecydowanie jest ważniejsze od racji. Albo od dobra, jeśli już o tym mowa. Wolę być żywy i tkwić w błędzie i złu. Nie potrzeba mi błogosławieństwa od biskupa tu-ru-Tutu ani od uprawiającego orzeszki ziemne prezydenta z wodogłowie, ani od bez przerwy pouczających pseudosocjologów kastratów z działu opinii „New York Timesa”, ani od nikogo. Nie muszę być światłością dla narodów, nie muszę płonąć. Życie jest długie, gdy jesteś przy życiu, a historia ma krótką pamięć. Ameryka potrafiła postępować z Indianami. Australia, Niemcy i Hiszpania... Wszyscy *robili to, co należy*. I o co tyle hałasu? W ich książkach historycznych jest kilka godnych ubolewania stron? Raz do roku muszą wystosować słabiuchne przeprosiny i wypłacić odszkodowania za niedokończoną część roboty? Zrobili, co było trzeba, a życie toczyło się dalej.

– Co ty mówisz?

– Nic. Mówię tak po prostu.

– Co? Że Izrael powinien popełnić ludobójstwo?

– Ty użyłeś tego słowa.

– Bo miałeś to na myśli.

– Powiedziałem i miałem na myśli to, że Izrael jak każdy inny kraj powinien się szanować i stawać w obronie własnej.

– Jak nazistowskie Niemcy.

– Jak Niemcy. Jak Islandia. Jak Stany Zjednoczone. Jak każdy kraj, który kiedykolwiek zaistniał i nie przestał istnieć.

– Brzmi inspirująco.

– Nie byłoby ślicznie w trakcie, ale czy myślisz, że za dwadzieścia lat przy pięćdziesięciu milionach Żydów na Ziemi Izraela od Kanału Sueskiego do pól naftowych, przy najpotężniejszej gospodarce między Niemcami a Chinami...

– Izrael nie jest między Niemcami a Chinami.

– ...przy igrzyskach olimpijskich w Tel Awiwie i większej liczbie turystów w Jerozolimie niż w Paryżu ktokolwiek nawijałby w kółko o tym, jak się przyrządza koszerną kiełbasę? – Irv odetchnął głęboko i pokiwał głową, jakby w zgodzie z czymś, do czego tylko on miał dostęp. – Świat zawsze będzie nienawidził Żydów. Przejdźmy dalej, do pytania, co począć z tą nienawiścią. Możemy ją wyprzeć lub starać się przewyciężyć. Moglibyśmy nawet zdecydować się dołączyć do klubu i nienawidzić siebie.

– Do klubu?

– Znasz jego członków: Żydów, którzy prędeziej zoperują sobie tak zwane skrzywione

przegrody nosowe, niż połamia nos w walce o przetrwanie, Żydów, którzy odmawiają uznania faktu, że Tina Fey nie jest Żydówką, a Siły Obronne Izraela żydowskie są, Żydów w cudzośćwie jak Ralph Lauren (właściwie Lifshitz), Winona Ryder (właściwie Horowitz), George Soros, Mike Wallace, praktycznie wszyscy Żydzi mieszkający w Zjednoczonym Królestwie, Billy Joel, Tony Judt, Bob Silvers...

– Billy Joel nie jest Żydem.

– Oczywiście, że jest.

– Dlatego śpiewa o scenkach z włoskiej restauracji?

– A nie z chińskiej?

– Nie.

– Rzecz w tym, że żydowska pięść może służyć do czegoś więcej niż masturbacja i trzymanie długopisu. Wypuść długopis, a będziesz miał czym uderzyć. Rozumiesz? Nie potrzebujemy kolejnego Einsteina. Potrzebujemy Koufaksa, który miota piłki w głowę.

– Czy kiedykolwiek wpadłeś na to... – zaczął Jacob.

– Tak, prawdopodobnie wpadłem.

– ...że nie uwzględniam siebie w twoim „my”?

– Czy kiedykolwiek wpadłeś na to, że robi to *meszugen* mułła z kodami do broni atomowej?

– A więc nasza tożsamość jest na łasce obłąkanych obcych ludzi?

– Jeśli nie umiesz sam jej stworzyć.

– Czego ode mnie chcesz? Żebym szpiegował dla Izraela? Albo wysadził się w meczecie?

– Chcę, żebyś pisał coś, co ma znaczenie.

– Po pierwsze, to, co piszę, ma znaczenie dla wielu ludzi.

– Nie, to ich bawi.

Jacob przypomniał sobie rozmowę z Maxem z wczorajszego wieczora i zastanawiał się, czy nie zwrócić uwagi na to, że jego serial przynosił większe dochody niż wszystkie książki wydane tego roku w Stanach Zjednoczonych łącznie. Być może nie była to prawda, ale umiałby odegrać fałszywy autorytet.

– Biorę twoje milczenie za oznakę zrozumienia – powiedział Irv.

– Może ty będziesz się trzymał dogmatycznego blogowania, a ja zajmę się serialem, który zgarnia nagrody?

– Hej, Maxy, wiesz, kto robił nagradzane programy rozrywkowe w czasach Machabeuszy?

– Błagam, powiedz – odparł Max, zdmuchując kurz z ekranu.

– Nie potrafię, bo pamiętamy tylko Machabeuszy.

Jacob tak naprawdę myślał, że jego ojciec jest nieokrzesaną, narcystyczną, zadufaną w sobie świnią, zbyt chorobliwie pedantyczną i siedzącą za bardzo pod pantoflem, żeby zdać sobie sprawę z rozmiarów swej hipokryzji, emocjonalnej impotencji i umysłowego niemowlęstwa.

– Czyli w takim razie się zgadzamy?

– Nie.

– Czyli jesteśmy zgodni?

– Nie.

– Cieszę się, że się ze mną zgadzasz.



Ale były też argumenty za tym, żeby mu wybaczyć. Tak. I to mocne. Wspaniałe intencje. Rany.

Zadzwoił telefon Jacoba. Ten prawdziwy. To była Julia. Prawdziwa Julia. Wskoczyłyby przez każde okno – otwarte czy zamknięte – byle uniknąć rozmowy z ojcem, ale bał się odebrać.

– Cześć?

– ...

– Nie dziwię się.

– ...

– Mają w ogóle na to miejsce?

– ...

– Zrozumiałem. Nie tę część z bombą, ale...

– ...

– Jestem w samochodzie.

– ...

– Przylatują wcześniej.

– ...

– Max.

– ...

– Max, chcesz się przywitać z mamą?

– ...

– Jesteś w hotelu? Słyszę odgłosy natury.

– ...

– Pozdrów ją.

– Tata pozdrawia.

– ...

– Julia też pozdrawia.

– ...

– I powiedz, że Benjy świetnie się u nas bawił i nie zginął.

– Chce, żebyś wiedziała, że Benjy świetnie się u niego bawił.

– ...

– Podziękowała.

– Powiedz jej „cześć”.

– Max mówi „cześć”.

– ...

– Powiedziała „cześć”.

– ...

– Niech pomyślę. Argus jest bardzo stary. Zostało to ponownie potwierdzone. Dostaliśmy jakieś nowe tabletki na ból stawów i zwiększyli dawkę tych drugich. Któregoś dnia jeszcze zaszczeka.

– ...

– Nic się nie da zrobić. Weterynarz wciskała gadkę o tym, jaki to zaszczyt troszczyć się o tych, których kochamy, i jak to się przytrafia tylko raz.

– Wcale że nie – powiedział Max.

Jacob wzruszył ramionami.

– I powiedz jej, że weterynarz uważa, że powinniśmy uśpić Argusa.

– Zaczekaj – Jacob zwrócił się do Julii, a następnie wyciszył telefon. – Max, weterynarz tak nie powiedziała.

– *Powiedz jej.*

Jacob włączył dźwięk w telefonie i oznajmił:

– Max chce, żebym przekazał, że weterynarz uważa, że powinniśmy uśpić Argusa, mimo że nic takiego nie powiedziała.

– Powiedziała, mamo!

– ...

– Powiedziała.

– ...

– Odbyliśmy miłą rozmowę o wartości życia i tak dalej.

– ...

– Zabrałem go po drodze do Fort Reno, opowiadałem mu różne historie z czasów, gdy byłem chłopcem.

– Jedliśmy McDonalda.

– ...

– Burrito.

– ...

– Nie, z mikrofali.

– ...

– Oczywiście. Z marchewkami. I hummusem.

Kilkoma ruchami ręki Jacob przekazał Maxowi, że Julia pyta, czy jadł warzywa.

– ...

– Zgoda.

– ...

– Jeszcze jedna rzecz: wczoraj wieczorem narobiliśmy trochę burdłu z awatarem Sama.

– ...

– W *Innym Życiu*. Z jego awatarem. Trochę przy nim pogrzebaliśmy.

– Ty grzebałeś! – poprawił Max.

– ...

– Nie, prawdopodobnie nie.

– Co? Tato, to przecież nieprawda. Mamo, to nieprawda!

– A ja, no wiesz, chciałem okazać zainteresowanie i skończyło się tym, że robiliśmy to razem. Nic strasznego. Po prostu chodziliśmy i zwiedzaliśmy. W każdym razie zabiliśmy ją.

– Nie my. Ty! Mamo: tata ją zabił!

– ...

– Jego awatara. Tak.

– ...

– Niechący.

– ...

– Nie da się naprawić śmierci, Julio.

– ...

– Wczorajszej nocy spędziłem kilka miesięcy, wisząc na telefonie ze wsparciem technicznym. Prawdopodobnie mogę go przywrócić z grubsza tam, gdzie był, ale to będzie wymagało siedzenia przy komputerze, dopóki nie zawezwie mnie Mesjasz.

– ...

– Nie rozmawiałem z Corym od co najmniej roku.

– ...

– Kiepskawo byłoby do niego tak dzwonić, po tym jak się nie oddzwaniało.

– ...

– I nie sądzę, żeby geniusz komputerowy był tym, czego nam trzeba. Ogarnę to. Ale wystarczy już o chorobach i śmierci u nas. Co u was, moi drodzy? Dobrze się bawicie?

– ...

– Poznałaś osławioną Billie?

– Osławioną Billie? – Irv spytał Maxa, patrząc na niego w lusterku wstecznym.

– Dziewczynę Sama – powiedział Max.

– ...

– I?

– ...

– Jaki jest przy niej?

– ...

– Nie brałbym tego do siebie.

– ...

– A Mark?

– ...

– Dobrze, że tam jest?

– ...

– Musiał spuszczać w toalecie jakieś zioło albo przerywać sesyjke francuskich pocałunków?

– Francuskie to takie z języczkiem, prawda? – spytał Max Irva.

– *Mais oui.*

– ...

– Co się dzieje?

– ...

– Co?

– ...

– Coś jest nie tak. Słyszę to.

– ...

– Teraz już *wiem*, że coś się stało.

– Co się dzieje? – spytał Max.

– ...

– Okej, ale możesz mi przynajmniej powiedzieć, z czym to *ma* coś wspólnego, żeby mój umysł nie wirował jak szalony przez następne sześć godzin?

– ...

– Nie o to mi chodziło.

– ...

- Julio, co się dzieje?
- Ale poważnie, co się dzieje? – spytał wreszcie zaciekawiony Irv.
- ...
- Gdyby to było nic takiego, nie rozmawialibyśmy o tym nadal.
- ...
- Chwila. Co?
- ...
- Julio?
- ...
- Mark?
- ...
- Dlaczego, do chuja, to zrobił?
- Wyrażaj się – powiedział Max.
- ...
- Jest żonaty.
- ...
- Ale był.
- ...
- Co mam zrobić? Dźgać laleczkę wudu samego siebie?

Jacob pogłośnił radio, żeby jego ojcu i synowi trudniej było podsłuchiwać rozmowę. Specjalistka od gramatyki języka angielskiego dzieliła się swoim zadurzeniem autoantonimami: słowami, które są przeciwieństwem samych siebie. „Głodomór” oznacza zarówno „kogoś, kto ciągle odczuwa głód”, jak i „kogoś, kto przymiera głodem”. Można dzielić, utrudniając zbliżenie między ludźmi czy stawiając ścianę w mieszkaniu, ale kiedy się z kimś wspólnie żyje, to również dzieli się mieszkanie. A bezprecedensowy wyrok jest precedensem.

- ...
- To nie w porządku.
- ...
- Być może. Ale mówią to także ludzie, gdy coś jest nie w porządku.
- ...
- Oczywiście, że jest.
- A więc to najbardziej komiczna zbieżność w czasie od...
- ...
- Ach.
- ...
- Proszę, powiedz mi w takim razie, o co tu chodzi. Jeśli nie o równowagę, to...?
- ...
- Świetnie.
- ...
- Świetnie.
- ...
- Tak jak to zrobiłem: owszem.
- ...

– I to, i to.

– Co się stało? – spytał Max.

– Nic – odburknął Jacob. A potem zwrócił się do Julii: – Max pytał, co się stało.

– ...

– Ale jesteś przygnębiony – powiedział Max.

– Życie jest przygnębiające – stwierdził Irv. – Tak jak krew jest mokra.

– Poza strupami – zwrócił uwagę Max.

Jacob zrobił jeszcze głośniej, do granic agresji. Dobrze się trzymał, dopóki jego stopy dobrze trzymał beton. Ziemię podtrzymywał Atlas, a Ziemia powstrzymywała Atlasa przed wyruszeniem w dalszą drogę. Kiedy odeszła, nie ostał się nikt.

– ...

– Nie ma już żadnego „oczywiście”.

– ...

– Wracasz do domu?

– ...

– Nie rozumiem, Julio. Naprawdę.

– ...

– Ale tamtego wieczora w łóżku powiedziałaś mi, że to *było* coś, co ty...

– ...

– Właśnie powiedziałaś, że nie powstrzymałaś tego. Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę ci uwierzyć.

– Moi drodzy, może powinniście znaleźć sobie jakiś cichy kącik? – szepnął Irv do Jacoba.

– ...

– Teraz łapię. Czemu nie zadzwoniłaś wczoraj wieczorem?

– ...

– Czy Mikronezja w ogóle *ma* bombę?

– ...

Jacob się rozłączył.

Toczyli ze sobą bój i razem poszli w bój.

– Jezu – powiedział Irv. – O co w tym, u diabła, chodziło?

– Chodziło o to, że...

– Tato?

Rozważanie, czy powiedzieć wszystko ojcu i synowi, zajęło Jacobowi dokładnie tyle samo czasu co odrzucenie tej myśli. Poczuli się dobrze, ale za cenę własnego dobra.

– ...to by było na tyle. Chodziło o mnóstwo logistycznych budżetów dotyczących tego, co będzie, jak później wrócą do domu i gdzie będą spać Izraelczycy, co będą jeść i tak dalej.

Naturalnie Irv mu nie uwierzył. Max oczywiście też nie. Ale Jacob niemal uwierzył samemu sobie.

Bronił życia, przed którym się bronił.

# Słowo na „k”

Billie przygotowywała uwagi na Zgromadzenie Ogólne (po bezproduktywnym posiedzeniu zamkniętym Forum Australii i Oceanii mikronezyjska delegacja zebrała się ponownie w pokoju Marka i debatowała długo po ustalonej godzinie udania się na spoczynek, minimalną większością przegłosowując przekazanie bomby jakimkolwiek kompetentnym i godnym zaufania osobom trzecim, które mogłyby ją bezpiecznie rozbroić i pozbyć się materiału jądrowego), gdy jej telefon odśpiewał dwa pierwsze słowa *Someone Like You* Adele, w sam raz, by spuścić ze smyczy Charybdę uczuć, nie wyjawiając przy tym nikomu, że nie uważa tej piosenki za totalną tandetę. Był to dźwięk przypisany specjalnie do wiadomości od Sama. Trzymała telefon w ręce od zeszłego wieczora, chcąc i zarazem nie chcąc usłyszeć: *I heard*.

pracujesz nad przemową?

dłaczego sądzisz, że chcę z tobą rozmawiać?

dlatego że właśnie to napisałaś

ktos powinien wynaleźć emoji  
zeby oddać słowo które ktoś powinien wymyślić  
zeby oddać, jak bardzo jestem urażona

przeprszam

tak właściwie to guernica

...

gdzie byłeś?

musiałem sprawdzić guernicę

mogłeś po prostu spytać

nikt nie jest jak ty, a ty nigdy nie jesteś  
jak ktokolwiek inny

wytrzasnąłeś to z opakowania po tamponach?

???

postaraj się bardziej

emet hi haszeker hatow bejoter

jaka prawda? i jakie kłamstwo?

że naprawdę, ale to naprawdę lubię...  
to kłamstwo

a prawda?

że kocham

czy właśnie powiedziałeś to co najtrudniejsze?

nie, to było najłatwiejsze

dlaczego byłeś dla mnie taki niemiły?

mogę ci coś opowiedzieć?

ok

jak miałem osiem lat, zgmiotłem sobie  
lewą rękę w zawiasach grubych stalowych drzwi  
urwało mi trzy palce  
i trzeba je było przyszywać  
paznokcie są poharatane  
gdy przestanie mi rosnać dłoń będę  
miał sztuczne paznokcie  
w każdym razie często trzymam rękę w kieszeni  
a kiedy siedzę  
wsuwam ją pod udo

wiem

kilka razy chciałem dotknąć twojej twarzy

naprawdę?

wiele wiele razy

to dlaczego tego nie zrobiłeś?

ręka

bałeś się, że ją zobaczę?

tak

i że sam ją będę widział

mogłeś zrobić to drugą ręką

chcę dotknąć cię tą ręką  
na tym to polega

to właśnie ta ręka, którą chcę być przez ciebie dotykana

serio?

...

gdzie poszłaś?

przycisnęłam tylko telefon do serca

słyszałem jak bije

choć nie rozmawiamy przez telefon?

tak

możesz dotknąć mojej twarzy jeśli chcesz

piszę jak achilles  
ale w prawdziwym życiu jestem cipką

a ja feministką

wiesz, chodziło mi o znaczenie idiomatyczne



tak, wiem że nie jesteś waginą

w takim razie naprawdę cię nabrałem

za nic w świecie nie napiszę lol

przepraszam, że cię zraniłem

dłaczego to zrobiłeś?

bo był to tchórzliwy sposób  
by zranić siebie

co było w tym takiego ciężkiego, że  
choć zawsze czuję, jakbym cię rozumiała  
to zeszłej nocy było inaczej  
przestraszyło mnie to

przyjmujesz przeprosiny?

jak odpowiedział franz rosenzweig  
na pytanie, czy jest religijny...

„jeszcze nie”

imponująca pamięć

jeszcze nie?

jeszcze nie

ale przyjmiesz

zastanawiałeś się kiedyś  
dlaczego w ogóle miało znaczenie, że achilles  
został zraniony w piętę

bo to była jedyna część jego ciała  
która nie była nieśmiertelna

no i? i byłby nieśmiertelnym, który utyka

przypuszczam, że wiesz dlaczego

tak

naprawdę, ale to naprawdę chciałbym się dowiedzieć

naprawdę, ale to naprawdę, naprawdę, naprawdę, naprawdę  
aż rozmienisz słowo „chciałbym”

na milion części

na kocham

no więc mi powiedz

nie chodzi tylko o to, że jego pięta była  
jedyną śmiertelną częścią jego ciała  
CAŁA jego śmiertelność tkwiła w pięcie –  
to jakby przenieść wszystkich z wieżowca  
do podziemi, a potem nadciągnęłyby powódź

i ludzie, którzy pracują na różnych piętrach  
i w innym razie by się nie poznali,  
rozmawiają, postanawiają iść na kolację,  
ciągle chodzą ze sobą na kolacje,  
poznają swoje rodziny,  
wspólnie obchodzą święta,  
biorą ślub i mają  
dzieci, które mają dzieci, które mają dzieci

ale oni się potopili

no i?

# Może to kwestia dystansu

Jacob jako jedyny mówił o kuzynostwie z Izraela „nasi izraelscy kuzyni”. Dla pozostałych domowników byli to „kuzyni z Izraela”. Jacob nie odczuwał potrzeby posiadania, a zbyt zażyłe stosunki go uwierały, czuł jednak, że należy im się rodzinne ciepło proporcjonalne do gęstości krwi. Albo czuł, że to właśnie czuć powinien. Byłoby łatwiej, gdyby oni sami byli łatwiejsi.

Tamira znał od dzieciństwa. Ich dziadkowie byli braćmi z tak maleńkiego i nieważnego galicyjskiego sztetla, że Niemcy nie dotarli tam aż do drugiego przemarszu przez strefę osiedlenia, by zetrzeć żydowskie okruchy. Braci było siedmiu. Isaac i Benny uniknęli losu pozostałej piątki, chowając się razem w dole przez ponad dwieście dni, a potem żyjąc w lasach. Każda z historii o tym czasie, które Jacob podsłuchał – Benny mógł zabić nazistę, Isaac mógł uratować żydowskiego chłopca – przywodziła na myśli kilkanaście opowieści, których nigdy nie usłyszy.

Bracia spędzili rok w obozie dla dipisów, gdzie poznali swoje żony, które okazały się siostrami. Obie pary miały dzieci, w obu wypadkach chłopców: Irva i Szloma. Benny przeniósł się z rodziną do Izraela, a Isaac do Ameryki. Isaac nigdy nie zrozumiał Benny’ego. Benny rozumiał Isaaca, ale nigdy mu nie wybaczył.

W ciągu dwóch lat Isaac z żoną Sarah otworzyli żydowski sklep spożywczy w *schwartz* okolicy, nauczyli się angielskiego na tyle, żeby się trochę ustawić, i zaczęli oszczędzać. Irv poznał zasadę automatycznego wyautowania pałkarza, opanował alfabetyczną/sylabiczną logikę nazewnictwa ulic w Dystrykcie Kolumbii, nauczył się wstydzić wyglądu i zapachu swojego domu, a pewnego dnia jego czterdziestodwuletnia matka zeszła, żeby otworzyć sklep, lecz zamiast tego nagle umarła. Dlaczego? Z powodu ataku serca. Wylewu. Przetrwania. Jej śmierć otoczono tak wysokim i grubym murem milczenia, że nie tylko nikt nie znał żadnych istotnych szczegółów, ale wręcz nikt nie zdawał sobie sprawy, co wiedzą inni. Wiele dziesiątków lat później, na pogrzebie ojca, Irv pozwolił sobie na rozważanie myśli, czy jego matka się nie zabiła.

Wszystko było czymś, czego nie należy pamiętać lub nie wolno zapomnieć, a o tym, co zrobiły dla nich Stany, opowiadano wciąż na nowo. Dziadek raczył dorastającego Jacoba opowieściami o amerykańskiej chwale: o tym, jak armia nakarmiła go i odziała po wojnie, jak na Ellis Island nie proszono, by zmienić nazwisko (był to jego własny wybór), jak człowieka ograniczała tylko własna chęć do pracy, jak nigdy nie doświadczył czegoś, co miałoby choćby najslabszy posmak antysemityzmu – zaznał wyłącznie obojętności, która jest wspanialsza niż miłość, ponieważ bardziej można na niej polegać.

Bracia odwiedzali się co kilka lat, jakby odgrywając rodzinną zażyłość, mogli cofnąć czas, pokonać Niemców i wszystkich ocalić. Isaac zasypywał Benny’ego i jego rodzinę wyglądającymi na drogie bibelotami, zabierał ich do „najlepszych” restauracji z tych drugorzędnych, zamykał na tydzień sklep, żeby oprowadzić ich po atrakcjach turystycznych Waszyngtonu. A kiedy wyjeżdżali, dwa razy tyle czasu poświęcał na lamentowanie nad ich zarozumiałstwem i małostkowością, nad tym, jak to amerykańscy Żydzi są Żydami, a ci pomylenicy z Izraela Hebrajczykami, którzy – gdyby im pozwolić – składaliby w ofierze

zwierzęta i służyli królom. Później stale powtarzała, jak konieczne jest utrzymywanie dobrych stosunków z rodziną.

Jacob uważał kuzynów z Izraela – *swoich* izraelskich kuzynów – za ciekawych, zarazem obcych i znajomych. W ich twarzach dostrzegał twarze członków rodziny, lecz także coś innego, coś, co równie dobrze można by opisać jako ignorancję albo brak kompleksów, pozerstwo bądź wolność: setki tysięcy lat ewolucji stłoczonych w jednym pokoleniu. Może było to egzystencjalne zatwardzenie, ale Izraelczycy zdawali się mieć wszystko w dupie. Cała rodzina Jacoba natomiast zawsze się ze wszystkim srała. Do usranej śmierci.

Jacob pierwszy raz odwiedził Izrael w wieku czternastu lat – w ramach spóźnionego prezentu, którego nie chciał, z okazji bar micwy, na którą nie poszedł. Kolejne pokolenie Blumenbergów zabrało kolejne pokolenie Blochów pod Ścianę Płaczu, w której szczeliny Jacob wsunął modlitwy o rzeczy, na których właściwie mu nie zależało, choć wiedział, że powinno, jak lekarstwo na AIDS i nieuszkodzona warstwa ozonowa. Dryfowali razem w Morzu Martwym pośród wiekowych słoniowatych Żydów, czytających do połowy zanurzone w wodzie gazety broczące cyrylicą. Wcześniej rano wspinali się do Masady i chowali do kieszeni kamienie, które być może wcześniej ściskali w dłoni żydowscy samobójcy. Z punktu obserwacyjnego w Miszkenot Szaananim patrzyli, jak wiatrak szatkuje zmierzch. Poszli do małego parku nazwanego imieniem pradziadka Jacoba, Gerszoma Blumenberga. Był ukochanym rabinem, a żyjący uczniowie pozostali wierni jego pamięci, postanowiwszy nigdy nie mieć innego i wybrawszy własny kres. Temperatura przekraczała czterdzieści stopni Celsjusza. Marmurowa ławka dawała chłód, ale metalowa tabliczka z jego imieniem była zbyt gorąca, żeby jej dotknąć.

Któregoś ranka, gdy jechali, żeby pospacerować brzegiem morza, zawyła syrena przeciwlotnicza. Jacob zrobił oczy jak półdolarówki i odnalazł wzrokiem Irva. Szlomo zatrzymał samochód. Dokładnie tam, gdzie byli, na autostradzie. „Zepsuł się?” – spytał Irv, jakby syrena mogła sygnalizować uszkodzenie katalizatora. Szlomo i Tamir wysiedli z samochodu z bezmyślną determinacją zombie. Wszyscy wyszli z samochodów osobowych i tirów, zeszli z motocykli. Stali, tysiące żydowskich nieumarłych, w zupełnej ciszy. Jacob nie wiedział, czy to koniec, na swój sposób dumne powitanie zimy nuklearnej, próbny alarm czy może jakiś narodowy zwyczaj. Wraz z rodzicami – jak naiwniacy w wielkim eksperymencie społecznym – robił więc to, co wszyscy: stał w milczeniu obok samochodu. Kiedy syrena umilkła, życie ruszyło. Wrócili do samochodu i pojechali dalej.

Irv chyba za bardzo obawiał się ujawnić swą niewiedzę, żeby ją rozwiać, tak więc to Deborah musiała spytać, co się przed chwilą wydarzyło.

– Jom ha-Szoa – powiedział Szlomo.

– To to na cześć drzewek? – spytał Jacob.

– Na cześć Żydów – odparł Szlomo. – Tych, których ścięto.

– Szoa – oznajmił Irv Jacobowi, jakby wiedział wszystko od a do zet – znaczy Holokaust.

– Ale dlaczego wszyscy się zatrzymują i stoją w milczeniu?

– Bo to nie aż tak nie na miejscu, jak wszystko inne, co moglibyśmy zrobić – stwierdził Szlomo.

– A z czym się każdy mierzy? – drążył Jacob.

– Ze sobą – powiedział Szlomo.

Rytuał zahipnotyzował Jacoba i jednocześnie przepelił obrzydzeniem. Odpowiedzią

amerykańskich Żydów na Holokaust było „Nigdy nie zapomnimy”, ponieważ istniała możliwość zapomnienia. W Izraelu włączali na dwie minuty syreny przeciwlotnicze na cały regulator, bo w przeciwnym razie nigdy nie przestałyby wyc.

Szlomo w roli gospodarza zachowywał się w przesadzony sposób, podobnie jak dawniej Benny. Niespętany godnością przetrwania, posuwał się nawet dalej niż ojciec. Irv natomiast nigdy nie zawracał sobie głowy godnością. Dochodziło więc do wielu scen, szczególnie gdy pod koniec posiłku pojawiał się rachunek.

- Nie ruszaj tego!
- Ani mi się *waż* tego dotknąć!
- Nie obrażaj mnie!
- *Ja* obrażam *ciebie*?
- Jesteście naszymi gośćmi!
- Gościcie nas!
- Nic więcej już z tobą nie zjem.
- Trzymam za słowo.

Nieraz ta szczodrość na wyścigi skutkowałą autentycznymi zniewagami. Nie raz i nie dwa podarto banknoty, zniszczono normalne, dobre pieniądze. Wszyscy wygrywali czy wszyscy przegrywali? I po co taka binarność?

Jacob najlepiej pamiętał i najczulej wspominał czas spędzony w domu Blumenbergów, dwupiętrowej budowli w stylu art déco przycupniętej na hajfańskim wzgórzu. Wszystkie powierzchnie wykonane były z kamienia i na tyle zimne, że dało się to odczuć przez skarpetki o każdej porze dnia – cały dom był jak ławka w parku Blumenberga. Na śniadanie podawano plasterki ogórka i kostki sera. Były też wypadki do dziwacznych dwupomieszczeniowych „zoo”: zoo z węzami, zoo z małymi ssakami. Ponadto matka Tamira przygotowywała prawdziwą ucztę przystawkową na obiad – sześć różnych sałatek, sześć dipów. U siebie Blochowcie starali się nie włączać telewizora. Blumenbergowie dokładali starań, żeby go nie wyłączać.

Tamir miał obsesję na punkcie komputerów i kolekcję porno w RGB, zanim Jacob poznał edytory tekstów. W tamtych czasach Jacob ukrywał sprośne gazetki w wydawnictwach encyklopedycznych Barnes & Noble, w katalogach z bielizną szukał sutków i włosów łonowych z oddaniem godnym talmudysty poszukującego woli bożej i słuchał jęków na zablokowanym dla wzroku, ale odkrytym dla słuchu kanale Spice. Najlubiejszą z przyjemności były trzyminutowe zapowiedzi, które hotele dawały do każdego rodzaju filmów: rodzinnych, tych dla dorosłych i dla *naprawdę dorosłych*. Nawet jako nastolatek Jacob dostrzegał masturbacyjną tautologię: skoro trzy minuty filmu są w stanie cię przekonać, że jest to wart uwagi film dla naprawdę dorosłych, to już go więcej nie potrzebowałeś. Na komputerze Tamira ściągnięcie hiszpana trwało cały dzień, ale czy czas nie istniał właśnie po to?

Gdy pewnego razu oglądali rozpixselowaną kobietę, która spazmatycznie rozwiera i ścisza nogi – sześcioklatkowa animacja – Tamir spytał Jacoba, czy ma ochotę sobie zwalić.

Jacob zaprzeczył ironicznym głosem Toma Brokawa, zakładając, że jego kuzyn żartuje.

– Jak sobie chcesz – powiedział Tamir i przystąpił do dogadzania sobie, nakładając na rękę kapkę nawilżającego masła shea.

Jacob patrzył, jak wyjmuje ze spodni twardego penisa i zaczyna go pocierać,

rozprowadzając masło po całej długości. Po minucie albo dwóch Tamir wstał i przyklęknął, zbliżając głowę na odległość kilku cali od ekranu – wystarczająco blisko, by mogło go porazić. Miał długiego, Jacob musiał mu to oddać. Ale nie był przekonany, czy dłuższego niż jego własny. Nie był przekonany, czy w ciemności dałoby się odróżnić ich penisy.

– Jakie to uczucie? – spytał Jacob, zzymając się, że wypowiada na głos tak obrzydliwe i krępujące pytanie.

I wtedy, jakby w odpowiedzi, Tamir porwał chusteczkę higieniczną z pudełka na biurku i jęknął, wystrzeliwując w nią ładunek.

Dlaczego Jacob o to spytał? I dlaczego zaraz potem Tamir się spuścił? Czy to pytanie Jacoba sprawiło, że doszedł? Czy to był – zupełnie podświadomy – zamiar Jacoba?

Masturbowali się ramię w ramię z dziesięć razy. W żadnym wypadku się nie dotykali, ale Jacob zastanawiał się, czy ciche jęki Tamira zawsze były niepohamowane – czy nie było w nich czegoś teatralnego. Nigdy potem – ani po trzech minutach, ani po trzech dekadach – nie rozmawiali o tych sesyjkach, ale dla żadnego z nich nie stanowiły one źródła wstydu. W tamtym czasie byli na tyle młodzi, by nie przejmować się znaczeniem, a później byli na tyle starzy, by szanować to, co utracone.

Pornografia stanowiła tylko jeden z przykładów przepaści między ich życiowymi doświadczeniami. Tamir chodził sam do szkoły, zanim rodzice zaczęli zostawiać Jacoba na przyjęciach urodzinowych „tylko dla dzieci”. Tamir gotował sobie obiad, podczas gdy samolot pełen ciemnozielonych warzywek szukał pasa do lądowania w buzi jego kuzyna. Tamir pił piwo przed Jacobem, palił przed nim zioło, jako pierwszy zaliczył obciążanko, jako pierwszy został aresztowany (Jacobowi miało się to nigdy nie przytrafić), wcześniej zaczął podróżować za granicę, jego serce też narodziło się wcześniej, ponieważ wcześniej zostało złamane. Kiedy Tamirowi dano M16, Jacob otrzymał międzynarodowy bilet kolejowy. Tamir bez powodzenia próbował trzymać się z dala od ryzykownych sytuacji, Jacob bez powodzenia próbował się w nich znaleźć. W wieku dziewiętnastu lat Tamir tkwił w zakopanym do połowy w ziemi posterunku w Libanie, za grubym na cztery stopy betonem. Jacob mieszkał w akademiku w New Haven, którego cegły na dwa lata przed budową zakopano w ziemi, żeby wyglądały na starsze, niż były. Tamir nie miał pretensji do Jacoba – gdyby miał wybór, *byłby* Jacobem – stracił jednak trochę niefrasobliwości niezbędnej, by docenić kogoś tak beztroskiego jak jego kuzyn. Walczył za ojczyznę, podczas gdy Jacob rozważał całymi nocami, czy ten głupi plakat z „New Yorkera”, na którym Nowy Jork jest większy niż cała reszta, lepiej będzie wyglądał na tej czy na tamtej ścianie. Tamir próbował nie dać się zabić, podczas gdy Jacob starał się nie umrzeć z nudów.

Po służbie wojskowej Tamir wreszcie mógł żyć na swoich warunkach. Stał się niezwykle ambitny, w tym sensie, że pragnął zarabiać kupę pieniędzy i kupować kupę chłamu. Po roku rzucił Technion i założył pierwszy z serii start-upów zajmujących się zaawansowanymi technologiami. Prawie wszystkie padły, ale nie trzeba wielu takich, które nie padną, żeby zarobić pierwsze pięć milionów. Jacob był zbyt zazdrosny, żeby dać Tamirowi przyjemność wyjaśnienia, czym się zajmują jego spółki, ale nietrudno było się domyślić, że jak w przypadku większości takich firm w Izraelu, przystosowywały one technologie wojskowe do życia cywilnego.

Z każdą wizytą domy, samochody i biusty dziewczyn Tamira były większe. Jacob przybierał pełen szacunku wyraz twarzy, ujawniający adekwatny poziom dezaprobaty, ale

ostatecznie wszelkie jego aluzyjne zagrywki okazywały się bezcelowe, ponieważ Tamir był całkowicie głuchy na emocjonalne niuanse. Dlaczego Jacob nie potrafił po prostu cieszyć się szczęściem kuzyna? Tamir był równie dobrym człowiekiem jak właściwie każdy, w przypadku kogo wielki sukces sprawia, że coraz trudniej postępować zgodnie z jakimikolwiek wartościami. To dezorientujące, gdy ma się więcej niż potrzeba. Kto mógłby mieć mu to za złe?

Jacob. Jacob mógł, ponieważ miał mniej, niż potrzebował – był uczciwym, ambitnym, niemal spłukanym powieściopisarzem, który prawie nie pisał – i trudno było to uznać w jakiegokolwiek mierze za dezorientujące. W jego życiu nic nie stawało się większe (była to ciągła walka o zachowanie ustalonych rozmiarów), a ludziom bez luksusowych dóbr materialnych pozostaje obnoszenie się ze swoimi wyszukanymi wartościami.

Isaac zawsze faworyzował Tamira. Jacob nigdy nie był w stanie dojść dlaczego. Jego dziadek wydawał się mieć poważne problemy ze wszystkimi krewnymi po bar micwie, włączając w to tych, którzy zmuszali swoje dzieci do skajpowania z nim raz w tygodniu, chodzili z nim po lekarzach i wozili do odległych supermarketów, gdzie można było kupić sześć saszetek proszku do pieczenia w cenie pięciu. Wszyscy lekceważyli Isaaca, ale nikt mniej niż Jacob i bardziej niż Tamir. Mimo to Isaac wymieniłby sześciu Jacobów za pięciu Tamirów.

„Tamir. No, to jest dobry wnuk”.

Choć wcale nie był taki dobry ani w żadnym razie nie był jego wnukiem.

Być może Isaac kochał oddalenie. Może nieobecność pozwalała mitologizować, podczas gdy Jacob musiał być oceniany na podstawie tego, czego mu brakowało, żeby stać się prawdziwym *menszem*.

Jacob próbował namówić Tamira, żeby przyjechał zobaczyć się z Isaakiem przed jego przeprowadzką do Żydowskiego Domu. Męka czekania, aż ktoś umrze i zwolni pokój, trwała osiemnaście miesięcy. Ale Tamir odmawiał wagi temu wydarzeniu.

„Przeprowadzałem się sześć razy w ciągu ostatnich dziesięciu lat” – napisał w mejlu, czy raczej: „przprwdzłm s 6 x w cg sttnch 10 lt”, jakby angielski był tak samo bezsamogłoskowy jak hebrajski. Albo jakby nie mógł wyraźniej pokazać, że ma tę sprawę gdzieś.

„Jasne – odpisał Jacob – ale nigdy do domu pomocy społecznej”.

„Przyjadę, jak umrze, ok?”.

„Nie jestem pewien, czy dla niego wizyta będzie znaczyła wtedy tyle samo”.

„I przyjedziemy na bar micwę Sama” – odpowiedział Tamir; w tamtej chwili był do niej jeszcze rok i nieodwołalnie miała się wydarzyć.

„Mam nadzieję, że dożyje” – napisał Jacob.

„Jakbym słyszał jego”.

Minął rok; Isaac przeżył, jak miał w zwyczaju, żyli też bezczelni Żydzi bezprawnie zajmujący pokoje, które należały mu się z urodzenia. Wtedy jednak, *nareszcie*, skończyło się nieznośne oczekiwanie: ktoś roztrzaskał sobie biodro i umarł, Isaac zaś znalazł się na szczycie listy. Bar micwa Sama była tuż-tuż. A telefon Jacoba informował, że Izraelczycy podchodzą właśnie do lądowania.

– Posłuchaj – zwrócił się Jacob do Maxa, gdy Irv parkował – nasi izraelscy kuzyni...

– *Twoi* izraelscy kuzyni.

– Nasi izraelscy kuzyni nie są najłatwiejszymi ludźmi na świecie...

– A *my* jesteśmy?

– Powiem wam, że jedną rzecz Arabowie robią dobrze – stwierdził Irv, poirytowany kątem, pod jakim zaparkowany był jeden z samochodów. – Nie dają prawa jazdy kobietom.

– Jesteśmy prawie najtrudniejszymi ludźmi na świecie – odpowiedział Jacob Maxowi. – Po twoich kuzynach z Izraela. Ale chciałem zwrócić ci uwagę, żebyś nie oceniał państwa Izrael po uporze, arogancji i materializmie naszych kuzynów.

– Cechach znanych także jako hart ducha, prawość i pomysłowość – skontrował Irv, gasząc silnik.

– Nie chodzi o ich izraelskość – powiedział Jacob – tylko o *nich*. Poza tym są nasi.



# Ostatecznie twój dom jest idealny

W piwnicy leżały rolki folii bąbelkowej jak bele siana w polu na płótnie – dziesiątki litrów uwięzionego powietrza, które latami przechowywano na okazję mającą nigdy nie nadejść.

Ściany były nagie: zdjęto pozostawione w spadku nagrody i dyplomy, ketuby<sup>18</sup>, reprodukcje plakatów z wystaw Chagalla, zdjęcia ślubne, fotografie z uroczystości wręczenia dyplomów, bar micwy i brisu<sup>19</sup>, a także oprawione wydruki USG. Tyle zdjęć w ramach, jakby próbował ukryć ściany. A bez nich tyle odbarwionych prostokątów. Chińskie barachło zdjęto z półek serwantki i włożono do jej szuflad.

Niespłowiałe prostokąty na lodówce wskazywały, gdzie były dawniej śliczne, genialne, nieskazitelne prawnuczęta – wszystkiego zostały trzy zdjęcia portretowe, sześcioro zamkniętych oczu. Vishniaków dotykano pierwszy raz od dekady – zostały przeniesione na podłogę, a te zdjęcia i kartki, które kiedyś pokrywały lodówkę, teraz znajdowały się na stoliku, każde w oddzielnej torebce śniadaniowej z suwakiem. To właśnie z myślą o tej chwili Isaac zbierał te wszystkie torebeczki – mył je po użyciu i wieszał na kranie, żeby wyschły.

Na łóżku piętrzyły się stosy rzeczy, których jeszcze nie rozdzielono pomiędzy najbliższych. Ostatnie kilka lat stanowiło przedłużony proces oddawania wszystkiego, co posiadał, a z tym, co teraz zostało, rozstać się było najtrudniej – nie z powodu sentymentalnego przywiązania, ale dlatego że kto w ogóle chciałby takie rzeczy? Miał trochę naprawdę przyzwoitego srebra. Urocze porcelanowe filiżanki. A gdyby sobie wyobrazić, że zadajecie sobie trud i ponosicie koszt wymiany tapicerki, można by bez ironii argumentować za ocaleniem kilku krzesel. Ale kto byłby skłonny zabrać do domu, a nawet do najbliższego kubła na śmieci ozdobny papier pakunkowy, który wciąż zachowywał zagięcia po otulanych przezeń swego czasu pudełkach?

Kto chciałby samoprzylepne karteczki, torby na zakupy, notesiki na spirali i ogromne długopisy rozdawane jako artykuły reklamowe przez koncerty farmaceutyczne i wzięte dlatego, że leżały?

Puszka skamieniałych żelków zwędzonych podczas kiduszu z okazji narodzin kogoś, kto dziś jest położnikiem. Czy komukolwiek to potrzebne?

Ponieważ nie miał gości, nie odczuwał konieczności chowania odzieży wierzchniej, więc szafa wnękowa przy wejściu była dobrym miejscem, by zmagazynować więcej folii bąbelkowej, której nie potrzebował. Latem bąbelki pęczniały i drzwi szafy się naprężyły – pod naciskiem sworznie w zawiasach obracały się o tysięczne stopnia w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara.

Kto spośród żyjących chciałby to, co jeszcze miał do ofiarowania?

I co za przerwa w bezruchu, co za nagłe zakłócenie przebudziło bąbelki w ostatnim gazowanym napoju imbirowym w lodówce?

# Izraelczycy nadchodzą!

Tamir był w stanie ciągnąć za sobą trzy walizki na kółkach, niosąc dwie reklamówki ze strefy wolnościowej, z których wylewało się – co? Jakiego szajsu ze strefy wolnej od godności mógł potrzebować tak bardzo, by kazać o tyle dłużej czekać kuzynom? Zegarków? Wody kolońskiej? Wielkiego plastikowego emenemsa wypełnionego maleńkimi czekoladowymi emenemsami?

Zaskoczenie związane z jego widokiem nigdy nie słabło. Oto ktoś, z kim Jacob dzielił więcej materiału genetycznego niż z niemal całą resztą świata, a mimo to ilu przechodniów odgadłoby, że są spokrewnieni? Kolor skóry Tamira można było wyjaśnić działaniem słońca, a różnice w budowie ciała przypisać diecie, ćwiczeniom i sile woli, ale co z jego mocno zarysowaną szczęką, wysuniętym czołem, włosami na palcach i głowie? Co z rozmiarem jego stopy, doskonałym wzrokiem, zdolnością zapuszczenia brody w czasie, gdy opiekował się bajgiel?

Podszedł prosto do Jacoba jak rakieta przechwytyjąca z Żelaznej Kopuły, objął go, pocałował w usta, a potem odsunął na długość ręki. Ścisnął ramiona Jacoba i obejrzał go od góry do dołu, jakby rozważał, czy go zjeść, czy zgwałcić.

– Wygląda na to, że nie jesteśmy już dziećmi!

– Nawet nasze dzieci nie są dziećmi.

Miał szeroką, mocną pierś. Dobrze nadawałaby się do tego, żeby ktoś taki jak Jacob mógł na niej pisać o kimś takim jak Tamir. Raz jeszcze odsunął Jacoba na długość ramienia.

– Co znaczy napis na twojej koszulce? – spytał Jacob.

– Śmieszne, nie?

– Tak mi się zdaje, ale nie jestem pewien, czy łapię.

– „Wyglądasz, jakby trzeba mi było drinka”. No wiesz, ty wyglądasz, jakby trzeba mi było drinka.

– Że co, że taki ktoś jest brzydki, że potrzeba drinka? Czy może w twoim wyrazie twarzy widzę własne zapotrzebowanie na alkohol?

– A nie mówiłem? – zwrócił się Tamir do Baraka.

Barak przytaknął i roześmiał się, a Jacob znów nie był pewien, co to ma znaczyć. Minęło niemal siedem lat od ostatniej wizyty Tamira; Jacob nie był w Izraelu, od kiedy się ożenił.

Posyłał Tamirowi wyłącznie dobre wiadomości, w dużej mierze ubarwione, a częściowo w oczywisty sposób nieprawdziwe. Jak się okazało, i Tamir nie stronił od upiększeń i kłamstw, ale wyjawienie prawdy wymagałoby prawdziwej wojny.

Wszyscy się wyściskali. Tamir podniósł Irva z ziemi, wyciskając z niego ciche pierdnięcie – analny chwyt Heimlicha.

– Pierdnąłeś przeze mnie! – powiedział Tamir, zaciskając pięść.

– To tylko gazy – odparł Irv; rozróżnienie bez różnicy, jak powiedziałyby doktor Silvers.

– Sprawię, że pierdniesz jeszcze raz!

– Wolałbym nie.

Tamir ponownie objął Irva i znów go podniósł, tym razem ściskając mocniej. I znowu zadziało, teraz nawet lepiej – jeśli uwzględni się bardzo specyficzną definicję słowa

„lepiej”. Tamir postawił go na ziemi, głęboko odetchnął, a następnie raz jeszcze rozłożył ręce.

– Tym razem się posrasz.

Irv skrzyżował ręce.

– Żarcioch, żarcioch! – Tamir roześmiał się rubasznie.

Śmiali się wszyscy oprócz Irva. Po raz pierwszy od tygodni, a może nawet od miesiący, Jacob słyszał, że Max gromko się śmieje.

Następnie Tamir wypchnął Baraka do przodu, zmierzwił mu włosy i powiedział:

– Spójrz na tego tutaj. Mężczyzna z niego, nie?

„Mężczyzna” to było dokładnie to słowo. Był strzelisty, wykrawany z kamienia jerozolimskiego i hojnie garniowany sierścią – miał takie mięśnie klatki piersiowej, że można by od nich odbijać drobniaki, gdyby nie to, że porastał je las poskręcanych włosów, tak gęstych, że wszystko, co by w nie wpadło, zostałoby zdeponowane na dobre.

Na tle swoich braci i ich fryzur Max wyglądał na prawdziwego chłopaka. Ale przy Baraku wydawał się mały, słaby i bezpłciowy. Wszyscy zdawali się to dostrzegać, choć nikt wyraźniej niż sam Max, który potulnie cofnął się o krok w kierunku pokoju mamusi w Hiltonie.

– Max! – wykrzyknął Tamir, kierując wzrok na chłopca.

– Potwierdzam.

Jacob prychnął z zażenowaniem:

– *Potwierdzam? Serio?*

– Tak mi się wymasknęło – odparł Max, zwietrywszy własną krew.

Tamir rzucił na niego okiem i ocenił:

– Wyglądasz jak wegetarianin.

– Pescowegetarianin – powiedział Max.

– Jesz mięso – stwierdził Jacob.

– Wiem. Wyglądam jak pescowegetarianin.

Barak bez wyraźnego powodu dał Maxowi kuksańca w pierś.

– A! Co do...

– Żarcioch – powiedział Barak. – Żarcioch.

Max pomasaował pierś.

– Twój żarcioch złamał mi mostek.

– Zjemy? – spytał Tamir, klepiąc się po bandziochu.

– Myślałem, że może najpierw zajrzemy do Isaaca – zasugerował Jacob.

– Daj człowiekowi zjeść – zachnął się Irv, tworząc podział poprzez wybór jednej ze stron.

– Dlaczego by nie, u diabła – powiedział Jacob, przypomniawszy sobie cytaty z Kafki: „W walce pomiędzy tobą a światem sekunduj światu”.

Tamir rozejrzał się po terminalu i klasnął.

– Panda Express! Najlepiej!

Wziął wieprzowinę lo mein. Irv zrobił wszystko, co mógł, by ukryć niezadowolenie, ale jego wszystko nie robiło zbyt dużego wrażenia. Skoro Tamir nie mógł być postacią z Tory, mógłby przynajmniej Tory przestrzegać. Ale Irv był dobrym gospodarzem, pokrewieństwo to pokrewieństwo, gryzł się więc w język, dopóki zęby się ze sobą nie zetknęły.

– Wiecie, gdzie można dziś dostać najlepsze na świecie włoskie zarcie? – spytał Tamir,

nadziewając na widelec kawałek wieprzowiny.

– We Włoszech?

– W Izraelu.

– Słyszałem o tym – oświadczył Irv.

Jacob nie mógł puścić takiego niedorzecznego twierdzenia mimo uszu.

– To znaczy najlepsze włoskie jedzenie poza Włochami.

– Nie, mówię wam, najlepsze włoskie żarcie, jakie się dziś przyrządza, przyrządza się w Izraelu.

– Dobra. Ale wysuwasz wątpliwą tezę, że *poza Włochami* Izrael jest krajem, gdzie robi się najlepsze włoskie jedzenie.

– Z Włochami włącznie – powiedział Tamir, strzelając palcami tej ręki, w której nie trzymał widelca, po prostu zacisnąwszy i otworzywszy pięść.

– To z definicji niemożliwe. Jakby powiedzieć, że najlepsze niemieckie piwo jest izraelskie.

– Nazywa się Goldstar.

– I je uwielbiam – dodał Irv.

– Przecież ty nawet nie pijesz piwa.

– Ale gdy mi się zdarza.

– Pozwól, że cię o coś zapytam – zaczął Tamir. – Gdzie wypiekają najlepsze bajgle na świecie?

– W Nowym Jorku.

– Zgoda. Najlepsze bajgle na świecie robi się w Nowym Jorku. A teraz pozwól, że spytam: czy bajgiel jest jedzeniem żydowskim?

– Zależy, co przez to rozumiesz.

– Czy bajgiel jest żydowski tak samo jak pasta jest włoska?

– W podobny sposób.

– Pozwól, że spytam cię o coś jeszcze: czy Izrael jest ojczyzną Żydów?

– Izrael jest żydowskim państwem.

Tamir się wyprostował.

– To nie jest ta część argumentacji, z którą miałeś się nie zgodzić.

Irv rzucił Jacobowi spojrzenie.

– Oczywiście, że to żydowska ojczyzna.

– Zależy, co rozumiesz przez ojczyznę – stwierdził Jacob. – Jeśli ojczyznę przodków...

– Co masz na myśli? – spytał Tamir.

– Miejsce, z którego pochodzi moja rodzina.

– Czyli?

– Galicję.

– A przedtem?

– Co, Afrykę?

Irv pozwolił się sączyć swojemu głosowi jak melasie, tyle że nie słodkiej:

– *Afrykę, Jacobie?*

– To arbitralne. Moglibyśmy wrócić na drzewa albo do oceanu, gdybyśmy chcieli. Są tacy, którzy cofają się do raju. Ty wybierasz Izrael. Ja Galicję.

– Czujesz się Galicjaninem?

– Czuję się Amerykaninem.

– A ja Żydem – oświadczył Irv.

– Prawda jest taka – powiedział Tamir, wrzucając do ust ostatni kawałek wieprzowiny – że jesteś po prostu przyssany do cycka Julii.

– Myślisz, że w łazience jest czysto? – zapytał ni stąd, ni zowąd Max.

Jacob zastanawiał się, czy pytanie Maxa, jego pragnienie bycia nieobecny wiązało się ze świadomością bądź przecuciem tego, że jego ojciec od miesięcy nie dotykał piersi matki.

– To łazienka – stwierdził Tamir.

– Po prostu zaczekam, aż wrócimy do domu.

– Jeśli musisz iść, to idź – powiedział Jacob. – Niedobrze jest wstrzymywać.

– Niby kto tak mówi? – spytał Irv.

– Niby twoja prostata.

– Myślisz, że przemawia do ciebie moja prostata?

– Nie muszę iść – powiedział Max.

– Dobrze jest wstrzymywać – oznajmił Tamir. – To jak... jak wy to nazywacie? Nie kugel...

– Spróbuj, Max, okej? Tak na wszelki wypadek.

– Nie pozwólcie dzieciakowi iść – powiedział Irv, a potem zwrócił się do Tamira: – Kegel, ćwiczenia Kegla. I bez dwóch zdań masz rację.

– W takim razie ja pójdę – stwierdził Jacob. – Wiecie dlaczego? Bo kocham moją prostatę.

– Może powinienes się z nią ożenić – powiedział Max.

Jacob nie musiał iść, ale poszedł. A potem stał przy pisuarze, dupek z wystawionym penisem, spędzając tam kilka chwil, by dla puenty i na wszelki wypadek przedłużyć swoją nieobecność.

Obok niego oddawał mocz człowiek w wieku jego ojca. Siki wystrzeliwały salwami, jak ze zraszacza, i dla Jacoba brzmiało to jak symptom. Kiedy mężczyzna cicho odchrząknął, Jacob odruchowo zerknął w jego stronę i wymienili przelotne uśmiechy, zanim przypomnieli sobie, gdzie się znajdują: w miejscu, w którym toleruje się tylko jedną, niezwykle krótką chwilę dla zanotowania obecności drugiej osoby. Jacob miał wyraźne uczucie, że zna tego mężczyznę. Często mu się to zdarzało przy pisuarach, ale tym razem był pewien – jak zresztą zawsze. Gdzie widział tę twarz? Nauczyciel z podstawówki? Któryś z nauczycieli chłopców? Przyjaciel ojca? Przez moment był przekonany, że nieznajomy jest postacią z jednego ze starych zdjęć rodzinnych Julii z Europy Wschodniej i że odbył podróż w czasie, by go ostrzec.

Jacob wrócił do myśli o szmerzących strumykach i powolnej śmierci z powodu zaniku prostaty, którego, jak tylu innych rzeczy, nigdy nie brał pod uwagę, dopóki nie był do tego zmuszony, i wtedy do niego dotarło: *Spielberg*. Kiedy pojawiła się ta myśl, nie było wątpliwości. Oczywiście, że to on. Jacob stał z obnażonym penisem obok Stevena Spielberga, którego penis też był obnażony. Jak to w ogóle możliwe?

Jak każdy Żyd w ostatniej ćwiartce dwudziestego wieku Jacob dorastał pod skrzydłami Spielberga. Czy raczej w cieniu jego skrzydeł. W tygodniu po premierze widział *E.T.* trzy razy, za każdym razem w kinie Uptown, za każdym razem patrząc poprzez palce, jak scena rowerowego pościgu osiąga punkt kulminacyjny w tak doskonały sposób, że było to dosłownie nie do zniesienia. Widział *Indianę Jonesa* i następny film, i następny. Próbował

wysiedzieć na *Na zawsze*. Nikt nie jest doskonały. Przynajmniej do czasu, gdy nie zrobi *Listy Schindlera*; od tamtej pory nie jest już nawet sobą, lecz ich przedstawicielem. Ich? Milionów wymordowanych. Nie, myślał Jacob, naszym przedstawicielem. Przedstawicielem Niewymordowanych. Ale *Schindler* nie był dla nas. Był dla nich. Dla nich? Nie dla zabitych, oczywiście. Oni nie mogli oglądać filmów. Był dla tych wszystkich, którzy nie byli nami: dla gojów. Bo za sprawą Spielberga, na którego konto ogół społeczeństwa był zmuszony dokonywać corocznych wpłat, w końcu znaleźliśmy sposób, by zmusić ich do przyjrzenia się naszej nieobecności, żeby im to – z pomocą gówna owczarka niemieckiego – wypomnieć.

I na Boga, jakże był podziwiany. Jacob uważał film za ckliwy, pretensjonalny i na granicy kiczu. Ale był do głębi poruszony. Irv potępił decyzję, by opowiedzieć podnoszącą na duchu holokaustową historię i na dobrą sprawę dać statystycznie pozbawione znaczenia szczęśliwe zakończenie dzięki przedstawicielowi statystycznie nieistotnego gatunku, jakim jest dobry Niemiec. Ale nawet Irv był poruszony do granic. Isaac zaś nie mógłby być poruszony bardziej: „Widzicie, widzicie, co zrobili nam, moim rodzicom, moim braciom, mnie, widzicie?”. Wszyscy byli poruszeni i wszyscy przekonywali, że oznacza to najwyższe z estetycznych, intelektualnych i etycznych doświadczeń.

Jacob zamierzał zapuścić żurawia i podejrzeć penisa Spielberga. Pytanie brzmiało, pod jakim pretekstem.

Wszystkie doroczne badania lekarskie kończyły się tym, że doktor Schlesinger klękał przed Jacobem, ujmował jego jaja w dłonie i prosił, by odwrócił głowę i zakasłał. Wydawało się to powszechnym i powszechnie niewytłumaczalnym męskim doświadczeniem. Ale kasłanie i odwracanie głowy miało coś wspólnego z genitaliami. Nie było to rozumowanie niepodważalne, wydawało się jednak poprawne. Jacob odkaszlnął i zerknął ukradkiem.

Wielkość nie robiła wrażenia – Spielberg nie miał dłuższego, krótszego, grubszego ani cieńszego niż większość ziemistych żydowskich dziadków. Jego penis nie był też szczególnie bananowaty, wahadłowaty, siatkowaty, żarówkowaty, gadzi, blaszkowaty, grzybowaty, żylakowaty, haczykowaty ani przekrzywiony. Godne uwagi było to, czego nie brakowało: nie był obrzezany. Jacob bardzo krótko narażony był na wizualną potworność nienaruszonego penisa i dlatego nie postawiłby życia na to, co widział – a stawka wydawała się tak wysoka – lecz wiedział wystarczająco wiele, by wiedzieć, że musi spojrzeć jeszcze raz. Ale choć pisuarowa etykieta może wybaczyć powitanie, a kaszel mógł być znośnym alibi, by rzucić okiem, to po prostu nie istniała droga powrotna za kulisy bez zaproponowania seksu i nawet w świecie, w którym Spielberg nie nakręciłby *A.I.*, coś takiego nie mogłoby się wydarzyć.

Istniały więc cztery możliwości: (1) błędnie rozpoznał go jako Stevena Spielberga i błędnie zidentyfikował jego penis jako nieobrzezany; (2) błędnie rozpoznał go jako Stevena Spielberga i poprawnie zidentyfikował jego penis jako nieobrzezany; (3) to *był* Steven Spielberg, ale błędnie zidentyfikował jego penis jako nieobrzezany – *oczywiście*, że był obrzezany; (4) Steven Spielberg nie został obrzezany. Gdyby Jacob był graczem, przesunąłby swoją górę żetonów na (4).

Spuścił wodę (i zasłonę milczenia), umył ręce zbyt szybko, żeby cokolwiek osiągnąć, i wyszedł z toalety, by dołączyć do reszty.

– Nigdy nie zgadnicie, kto sikał właśnie obok mnie.

– Jezu, tato.

– Blisko. Spielberg.

– Kto to? – spytał Tamir.

– Mówisz poważnie?

– Co?

– *Spielberg*. Steven Spielberg.

– W życiu o nim nie słyszałem.

– Jaja sobie robisz – powiedział Jacob, jak zawsze niepewny, na ile Tamir gra. Cokolwiek by o nim powiedzieć, Tamir był bystry, życiowy i niespokojny. Cokolwiek by jednak o nim powiedzieć, był też głupi, solipsystyczny i zadowolony z siebie. Jeśli miał poczucie humoru, było bardziej suche niż skrobka kukurydziana. Umożliwiało mu to praktykowanie czegoś w rodzaju psychologicznej akupunktury na Jacobie: czy właśnie weszła we mnie igła? Boli? Czy to kompletna bzdura? Nie mógł mówić serio o tym żydowskim włoskim jedzeniu, prawda? I że nie słyszał o Spielbergu? Niemożliwe. I zupełnie prawdopodobne.

– Niemożliwe – powiedział Irv.

– A najbardziej nieprawdopodobne jest to – Jacob pochylił się i szepnął – że jest nieobrzezany.

Max wyrzucił ręce w powietrze.

– A ty co, całowałeś jego siusiaka w kabinie?

– Kto to ten Spielberg? – spytał Tamir.

– Max, byliśmy przy *pisuarach*. – I dla jasności Jacob dodał: – Oczywiście, że nie całowałem jego siusiaka.

– To po prostu niemożliwe – powiedział Irv.

– Wiem. Ale widziałem to na własne oczy.

– Dlaczego na własne oczy sprawdzałeś penisa innego mężczyzny? – spytał Max.

– Bo to Steven Spielberg.

– Dlaczego nikt mi nie powie, co to za jeden? – nagabywał Tamir.

– Bo nie wierzę, że nie wiesz.

– Po co miałbym udawać? – zapytał z całkowitą wiarygodnością.

– Bo to twój dziwaczny izraelski sposób umniejszania osiągnięć amerykańskich Żydów.

– Ale po co miałbym chcieć to robić?

– Ty mi powiedz.

– Okej – odparł Tamir, spokojnie wycierając resztki sosu słodko-kwaśnego z kącików ust – jak sobie chcesz.

Wstał i skierował się w stronę baru sałatkowego.

– Musisz tam wrócić i się upewnić – stwierdził Irv. – Przedstaw się.

– Nie ma mowy – powiedział Max dokładnie tak, jak zrobiłaby to jego matka.

Irv zamknął oczy i oświadczył:

– Wstrząsnęło to mną do żywego.

– Wiem.

– W co mamy wierzyć?

– *Wiem*.

– Przez cały czas myśleliśmy, że ta jego holokaustowa chała miała kompensować *Holokaust*.

– Więc teraz to chała?

– To zawsze była chała – powiedział Irv. – Ale *nasza* chała. Teraz... muszę się zastanowić.

– To nie jest tak, że nie jest Ży...

Ale Jacob nie mógł dokończyć zdania. A może nie musiał. Gdy odłamek możliwości wpadł do świata, nie było miejsca na nic innego.

– Muszę usiąść – powiedział Irv.

– Przecież siedzisz – przypomniał mu Max.

– Muszę usiąść na podłodze.

– Nie – powiedział Jacob. – Jest brudna.

– Wszystko jest teraz brudne – stwierdził Irv.

Obserwowali w ciszy, jak dziesiątki ludzi balansujących przeładowanymi tackami lawirują między sobą i nigdy się nie stykają. Zapewne wyższe formy życia miałyby swoją własną wersję Davida Attenborough. Taka „osoba” mogłaby zrobić znakomity odcinek miniserialu o ludziach, który przedstawiałby tego rodzaju hipnotyczne oglądanie.

Max wyszeptał coś niezrozumiałego. Dla nikogo.

Irv ukrył twarz w dłoniach i powiedział:

– Gdyby Bóg chciał, żebyśmy nie byli obrzezani, nie wymyśliłby maski.

– Co? – spytał Jacob.

– Gdyby Bóg chciał...

– Mówiłem do Maxa.

– Nic nie mówiłem – powiedział Max.

– Co?

– Nic.

– *Szczęki* to taki beznadziejny film – stwierdził Irv.

I wtedy wrócił Tamir. Byli zbyt zajęci apokaliptycznymi spekulacjami, by zauważyć, jak długo go nie było.

– No więc oto w czym rzecz – powiedział.

– Co za rzecz?

– Ma problemy z trzymaniem moczu.

– Kto?

– Steve.

Irv poklepał się po policzkach i zapiszczał, jakby to był jego pierwszy raz w salonie firmowym American Girl.

– Teraz rozumiem, dlaczego zakładałeś, że wiem, kim jest. Bardzo imponujące CV. Cóż mogę powiedzieć? Nie oglądam zbyt wielu filmów. Oglądanie filmów nie przynosi zysków. Choć ich produkcja owszem. Wiecie, że jego majątek to ponad trzy miliardy dolarów? *Miliardy*, nie *-ony*.

– Naprawdę?

– Nie miał powodu mnie okłamywać.

– Ale jaki miał powód, żeby się tym dzielić?

– Bo spytałem.

– O jego majątek?

– Tak.

– I pewnie spytałeś też, czy jest obrzezany, prawda?



– Owszem.

Jacob objął Tamira. Nie miał takiego zamiaru. Po prostu jego ręce same się wyciągnęły. Nie chodziło o to, że Tamir uzyskał tę informację. Rzecz w tym, że posiadał wszystkie przymioty, których brakowało Jacobowi: tupet, nieustraszonosc w sytuacji, gdy nie ma się czego bać, nieustraszonosc, gdy strach jest konieczny, to, że miał wszystko gdzieś.

– Tamir, jesteś cudownym człowiekiem.

– *No i...?* – dopytywał Irv.

Tamir zwrócił się do Jacoba:

– Tak w ogóle to cię zna. Nie rozpoznał cię, ale kiedy wymienilem twoje nazwisko, powiedział, że czytał twoją pierwszą książkę. Mówił, że rozważał zakup opcji, cokolwiek to znaczy.

– Naprawdę?

– Tak właśnie powiedział.

– Gdyby Spielberg zrobił film na podstawie tej książki, to...

– Pora na temat dnia – oświadczył Irv. – Ma krótki rękaw?

Tamir potrząsnął kubkiem z napojem, wyswobadzając kostki lodu z grupowego uścisku.

– Tamir?

– Uzgodniliśmy, że będzie zabawniej, jeśli wam nie powiemy.

– *Uzgodniliście?*

– Steve i ja.

Jacob sprzedał mu sójkę w bok, równie spontaniczną jak wcześniejszy uścisk.

– Ściemniasz.

– Izraelczycy nigdy nie ściemniają.

– Izraelczycy wyłącznie ściemniają.

– Jesteśmy miszpuchą<sup>20</sup> – nalegał Irv.

– Tak. Ale jeśli nie potrafisz dochować tajemnicy przed rodziną, to przed kim ci się uda?

– W takim razie emancypuję się z rodziny. A teraz mi powiedz.

Tamir zeskrobał resztki lo mein z miski i odparł:

– Zanim polecę z powrotem.

– Co?

– Powiem wam przed wyjazdem.

– Nie mówisz poważnie.

Mówił serio?

– Owszem.

Irv walnął w stolik.

– Powiem Maxowi – oświadczył Tamir. – W ramach wcześniejszego prezentu na bar micwę. Pozostawiam jego decyzji, co zrobi z tą informacją.

– Wiesz, że to Sam ma bar micwę – powiedział Max. – Nie ja.

– Jasne. – Tamir puścił oko. – To bardzo wczesny barmicwowy prezent.

Położył ręce na ramionach Maxa i przyciągnął go do siebie. Jego usta niemal dotykały ucha chłopaka. Szepnął. A Max się uśmiechnął. I roześmiał.

W drodze do samochodu Irv dawał Jacobowi znaki, żeby wziął jedną z walizek Tamira, a Jacob w odpowiedzi dawał znaki, że Tamir by mu nie pozwolił. Jacob dawał Maxowi

znaki, że powinien rozmawiać z Barakiem, a Max w odpowiedzi dawał znaki, że jego ojciec powinien – co? Palić przez sztuczną przetokę? Oto było czterech mężczyzn i jeden prawie mężczyzna, a mimo to wykonywali głupie gesty, które nie przekazywały prawie niczego i nie nabrały prawie nikogo.

– Jak twój dziadek? – spytał Tamir.

– W porównaniu z czym?

– Z ostatnim razem, kiedy go widziałem.

– To było dziesięć lat temu.

– Więc pewnie jest starszy.

– Przeprowadza się za kilka dni.

– *Alija*<sup>21</sup>?

– Zgadza się. Do Żydowskiego Domu.

– Ile mu jeszcze zostało?

– Pytasz, ile według przewidywań jeszcze pożyje?

– Szukasz tak skomplikowanych sposobów, by powiedzieć tak proste rzeczy.

– Mogę ci tylko powiedzieć, co powiedział mi lekarz.

– Czyli?

– Że od pięciu lat jest martwy.

– Cud medyczny.

– Nie tylko medyczny. Jestem pewien, że spotkanie z tobą naprawdę wiele by dla niego znaczyło.

– Jedźmy do was. Zostawimy walizki, zobaczymy się z Julią...

– Nie wróci przed późnym wieczorem.

– To przekazamy coś, porzucamy do kosza. Chciałbym zobaczyć twój sprzęt audio-wideo.

– Nie wydaje mi się, żebyśmy coś takiego mieli. A on zwykle wcześniej chodzi spać, koło...

– Jesteś naszym gościem – powiedział Irv, klepiąc Tamira po plecach. – Zrobimy, jak sobie życzysz.

– Oczywiście – przytaknął Jacob, sekundując światu w jego walce z dziadkiem. – Zawsze możemy odwiedzić go później. Albo jutro.

– Przywiozłem mu chałwę.

– Jest cukrzykiem.

– Prosto z suku.

– Jego cukrzyca nie dba raczej o źródło zaopatrzenia.

Tamir wyjął chałwę z bagażu podręcznego, otworzył opakowanie, wziął kawałek i wrzucił sobie do ust.

– Poprowadzę – powiedział Jacob do Irva, gdy zbliżali się do samochodu.

– Dlaczego?

– Bo tak.

– Sądziłem, że autostrada wprawia cię w niepokój.

– Nie bądź śmieszny – zachnął się Jacob, rzucając Tamirowi uśmiech lekceważenia.

A potem stanowczo zwrócił się do Irva: – Daj mi kluczyki.

W samochodzie Tamir przycisnął podeszwę prawej stopy do przedniej szyby, wyrzucając mosznę w stronę fotoradarów, które mogłoby minąć. Splótł palce z tyłu głowy – znów strzelanie palcami – pokiwał głową i zaczął:

– Prawdę mówiąc, sporo zarabiam.

„Zaczął się – pomyślał Jacob. – Tamir parodiujący kiepskiego naśladowcę Tamira”.

– Powariowali z tymi nowymi technologiami, a ja byłem na tyle bystry, byłem na tyle odważny, że w wiele rzeczy wszedłem w odpowiednim momencie. Na tym polega tajemnica sukcesu: to połączenie intelektu i odwagi. Bo na świecie jest dużo inteligentnych ludzi i dużo ludzi odważnych, ale gdy zaczniesz szukać tych, którzy są inteligentni oraz odważni, okaże się, że nie ma tłumów. A ja miałem szczęście. Jake, posłuchaj. – Dlaczego w ogóle sądził, że kapryśne skrócenie imienia Jacoba jest w porządku? Był to akt przemocy, nawet jeśli Jacob nie potrafił tego wychwycić, nawet jeśli to uwielbiał. – Nie wierzę w szczęście, ale tylko głupiec nie przyznałby, jak ważne jest znalezienie się w odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie. Ale szczęściu trzeba pomóc. Takie moje zdanie.

– I zdanie wszystkich innych – zauważył Jacob.

– Ale jednak nie mamy nad wszystkim kontroli.

– A co z Izraelem? – spytał Irv z tylnego siedzenia.

– Z Izraelem?

„Zaczyna się”.

– Izrael rozkwita. Przejdź się któregoś wieczora ulicami Tel Awiwu. Więcej tam kultury na metr kwadratowy niż gdziekolwiek indziej na świecie. Spójrz na naszą gospodarkę. Mamy sześćdziesiąt osiem lat, jesteśmy młodszy od ciebie, Irv. Mamy siedem milionów mieszkańców, nie posiadamy żadnych bogactw naturalnych i prowadzimy bezustanną wojnę. A i tak mamy więcej spółek notowanych na NASDAQ niż jakikolwiek kraj po Ameryce. Mamy więcej start-upów niż Chiny, Indie i Wielka Brytania, zgłaszamy więcej patentów niż jakikolwiek kraj na świecie, łącznie z waszym.– Sprawy mają się dobrze – potwierdził Irv.

– Lepiej niż teraz w Izraelu nie miały się nigdy i nigdzie.

– A u szczytu Imperium Rzymskiego?

– Gdzie podziewają się teraz Rzymianie?

– O to samo pytali Greków.

– Mieszkamy gdzie indziej niż wtedy, kiedy u nas byliście. Ciągłe się przenosimy. To dobry interes i w ogólnym sensie to dobrze. Teraz mieszkamy w trzydziemiości, dwa piętra i parter. Mamy siedem sypialni...

– Osiem – poprawił Barak.

– Ma rację. Osiem.

„To przedstawienie”, przypomniał sobie Jacob, a przynajmniej próbował siebie o tym przekonać, gdy poczuł wypływającą na powierzchnię zazdrość. „Stary numer. W niczym cię nie umniejsza”.

Tamir ciągnął:

– Osiem sypialni, mimo że teraz, gdy Noam jest w wojsku, została nas tylko czworo. Dwie sypialnie na osobę. Ale lubię przestrzeń. Nie chodzi o to, że mamy tylu gości, choć owszem, mamy ich sporo, tylko lubię się przeciągnąć. Kilka pomieszczeń dla moich przedsięwzięć handlowych, Rywka szaleje na punkcie medytacji, a dzieciaki mają stół do domowego hokeja i sprzęt do gier. Stół do piłkarzyków jest z Niemiec. Zatrudniam asystentkę, która nie ma nic wspólnego z interesami, tylko po prostu pomaga mi z różnymi sprawami dotyczącymi stylu życia, i mówię jej: „Znajdź mi najlepszy stół do piłkarzyków na świecie”.

I znalazła. Ma niesamowite ciało i wie, jak znaleźć dosłownie wszystko. To zupełnie niesamowite. Można by zostawić ten stół przez rok na deszczu i nic by mu nie było.

– Myślałem, że w Izraelu nigdy nie pada – powiedział Jacob.

– Pada – stwierdził Tamir – ale masz rację: klimat jest idealny. W każdym razie stawiam na nim drinki i czy kiedykolwiek został po nich ślad? Co, Barak?

– Nie.

– Więc gdy przechadzaliśmy się po nowym mieszkaniu, znaczy tym ostatnim, odwróciłem się do Rywki i mówię: „No i?”, a ona na to: „Do czego nam takie wielkie mieszkanie?”. Powiedziałem jej wtedy to, co powiem wam teraz: im więcej kupujesz, tym więcej musisz sprzedawać.

– Naprawdę powinieneś napisać książkę – zwrócił się Jacob do Tamira, wyjmując maleńką igielkę ze swoich pleców i wbijając ją w plecy kuzyna.

– Tak jak i ty – stwierdził Irv, wyjmując tę maleńką igielkę z pleców Tamira i umieszczając ją w aorcie Jacoba.

– Powiedziałem jej też jeszcze coś: pieniądze będą mieli zawsze ludzie bogaci, więc pragnie się tego, czego oni zapragną. Im coś jest droższe, tym droższe się stanie.

– Ale przecież to znaczy tylko tyle, że drogie rzeczy są drogie – zauważył Jacob.

– Dokładnie.

– Cóż, bardzo chciałbym je kiedyś zobaczyć – przemówił z trzewi Jacoba ten lepszy anioł.

– Musiałbyś się wybrać do Izraela.

– A mieszkanie nie mogłoby wybrać się do mnie? – spytał Jacob z uśmiechem.

– Mogłoby, ale to byłoby szaleństwo. A poza tym już niedługo to będzie inne mieszkanie.

– Cóż, w takim razie bardzo chciałbym zobaczyć właśnie to.

– A łazienki... Łazienki powaliłyby was na kolana. Wszystko zrobiono w Niemczech.

Irv jęknął.

– Takiego rzemiosła nie znajdzie się nigdzie indziej.

– Oczywiście, że się znajdzie.

– Cóż, nie w Stanach. Moja asystentka, osobista, ta z ciałkiem, znalazła mi muszlę klozetową z kamerą, która rozpoznaje, kto się zbliża, i dostosowuje się do zaprogramowanych ustawień. Rywka lubi zimne siedzenie. Ja potrzebuję, żeby przypalało mi włosy na dupie. Yael właściwie chce stać, jak sra. Barak siada na odwrót.

– Nie siadam na odwrót – odciął się Barak, waląc ojca w ramię.

– Myślicie, że jestem szalony – ciągnął Tamir. – Pewnie mnie oceniacie, może nawet w głębi duszy się śmiejecie, ale to moja muszla klozetowa wie, jak mam na imię, i to ja mam lodówkę robiącą zakupy w sieci, a wy jeździcie japońskim gokartem.

Jacob nie uważał, że Tamir jest szalony. Sądził, że konieczność obnoszenia się ze swoim szczęściem i usilnego dowodzenia go jest nieprzekonująca i przykra. I godna współczucia. W tym miejscu załamywała się logika uczuć. Wszystko, co powinno wywołać w Jacobie odrazę do Tamira, przybliżało go do kuzyna – nie z zazdrością, ale w miłości. Kochał bezwstydną słabość Tamira. Uwielbiał jego niezdolność – niechęć – do ukrywania własnej brzydoty. Takie obnażenie się było tym, czego Jacob najbardziej pragnął i przed czym najbardziej się wzbraniał.

– A jak wygląda sytuacja? – spytał Irv.

– Jaka sytuacja?

– Bezpieczeństwo.

– Co? Chodzi ci o jedzenie?

– O Arabów.

– Których?

– O Irańczyków. Syryjczyków. Hezbollah. Państwo Islamskie. Al-Kaidę.

– Irańczycy nie są Arabami. To Persowie.

– Jestem pewien, że dzięki temu sypiasz lepiej.

– Mogłoby być lepiej, mogłoby być gorzej. Poza tym wiecie to co i ja.

– Wiem tylko tyle, ile jest w gazetach – stwierdził Irv.

– A jak myślisz, skąd ja czerpię wiadomości?

– W takim razie jak tam w ogóle *jest*? – naciskał Irv.

– Czy byłbym szczęśliwszy, gdyby Noam był *didżejem* w wojskowej rozgłośni? Pewnie.

Ale miewam się dobrze. Barak, a ty jak się czujesz?

– Super.

– Sądzisz, że Izrael zbombarduje Iran?

– Nie wiem – odparł Tamir. – A ty jak myślisz?

– Uważasz, że *powinien*? – spytał Jacob. Nie był odporny na chorobliwą ciekawość, amerykańsko-żydowska żądza krwi wzbierała, będąc na wyciągnięcie ręki.

– Oczywiście, że *powinni* – oświadczył Irv.

– Gdyby istniała możliwość, żeby zbombardować Iran, nie bombardując go, byłoby dobrze. Każde inne rozwiązanie będzie złe.

– W takim razie co według ciebie *powinien zrobić* Izrael? – nie ustępował Jacob.

– Przecież ci powiedział – stwierdził Irv. – Uważa, że Izrael *powinien* zbombardować Iran.

– Uważam, że to wy *powinniście* zbombardować Iran – zwrócił się Tamir do Irva.

– Stany?

– Tak też byłoby dobrze. Ale miałem na myśli konkretnie was. Mógłbyś na przykład wykorzystać broń biologiczną, którą wcześniej zaprezentowałeś.

Rozśmieszyło to wszystkich, szczególnie Maxa.

– Ale mówiąc poważnie – naciskał Irv – co twoim zdaniem *powinno się wydarzyć*?

– Poważnie? Nie wiem.

– I nie masz z tym problemu?

– A ty?

– Owszem, mam z tym problem. Myślę, że *powinniśmy* zbombardować Iran, zanim będzie za późno.

– A ja myślę, że *powinniśmy* ustalić, kto to „my”, zanim będzie za późno.

Tamir chciał rozmawiać tylko o pieniądzach – średnich dochodach w Izraelu, wielkości jego łatwo zdobytego majątku, niezrównanej jakości życia w nieznośnie gorącej ojczyźnie rozmiarów obciętego paznokcia osaczonej przez psychopatycznych wrogów.

Irv pragnął rozmawiać wyłącznie o sytuacji – kiedy Izrael zamierza dać nam powód do dumy, zapewniając sobie bezpieczeństwo? Czy są jakieś informacje z pierwszej ręki, którymi można powymachiwać przed znajomymi w sali restauracyjnej American Enterprise Institute bądź z których mógłby wyjąć zawleczkę na swoim blogu i rzucić? Czy nie była najwyższa pora, żebyśmy – żebyście – zrobili to lub tamto?

Jacob chciał jedynie pogadać o życiu w cieniu śmierci: czy Tamir kogoś zabił? A Noam? Czy znali jakieś historie o towarzyszach broni, którzy torturowali albo byli poddawani torturom? Jaka była najgorsza rzecz, którą widzieli na własne oczy?

Żydzi, pośród których dorastał Jacob, poprawiali sobie okulary przeciwsłoneczne za pomocą samych mięśni twarzy, analizując przy tym teksty Fugazi i wciskając zapalniczki w swoich używanych volvo kombi. Zapalniczka wyskakiwała, a oni wpychali ją z powrotem na miejsce. Nic się nie zapalało. Byli beznadziejni w sporcie, ale świetni w gierkach sportowych. Unikali bójk, lecz szukali sprzeczek. Byli dziećmi i wnukami emigrantów, ocaleńców. Określała ich i napawała dumą własna uderzająca słabość.

A jednak byli upojeni mięśniami. Nie autentycznymi – te wydawały im się podejrzone, głupie i mocno wątpliwe. Nie, do szaleństwa doprowadzało ich zastosowanie mięśni żydowskiego mózgu: Machabeusze turlający się pod brzuchami opancerzonych greckich słoni, by wbić nóż w miękkie podbrzusze; misje Mosadu, których prawdopodobieństwo powodzenia, środki i rezultaty graniczyły z magią; wirusy komputerowe tak nadludzko skomplikowane i inteligentne, że nie zostawiały żydowskich odcisków palców. Myślisz, świecie, że możesz nam podskoczyć? Sądzisz, że możesz nami pomiatać? Owszem. Ale mózg pokona mięśnie, podobnie jak papier pokonuje kamień. A my się ciebie nauczymy, będziemy ślęczyć przy biurkach i jako ostatni zostaniemy na placu boju.

Kiedy szukali wyjazdu z parkingu, jak kulka na jednej z obsesyjno-kompulsywnych plansz Benjy'ego w *Marble Madness*, Jacob poczuł niezrozumiały spokój. Czy mimo że tak wiele się rozlało, szklanka nadal była do połowy pełna? Czy może okruczeństwo wellbutrinu wyswobodziło się spod zębów jego mózgu, dając odrobinę nieprzetrawionego szczęścia? Szklanka była nadal wystarczająco – do połowy – pełna.

Mimo niekończących się przemądrzałych, uzasadnionych i bez mała honorowych zapewnień Sam pojawiał się na lekcjach przygotowujących do bar micwy. I mimo że zmuszono go do przeprosin za nieprzestępstwo, którego nie popełnił, miał się pojawić przy bimie.

Mimo że był nieznośnym, szowinistycznym fanfaronem, Irv zawsze znajdował się w pobliżu i na swój sposób zawsze kochał.

Mimo że miał na swoim koncie wiele fałszywych obietnic i mimo że jego starszy syn służył na Zachodnim Brzegu, Tamir się pojawił. Przywiózł ze sobą chłopaka. Byli rodziną i *tworzyli* rodzinę.

Ale co z Jacobem? Był tam jeszcze? Jego umysł podskakiwał w stronę supermagnesu Marka i Julii, choć nie tak, jak by się tego spodziewał. Często wyobrażał sobie Julię uprawiającą seks z innymi mężczyznami. Prawie go to zniszczyło, ale tę część, która została oszczędzona, wprawiało w zachwyt. Nie pragnął takich myśli, ale seksualna fantazja żywi się tym, czego nie ma. Wyobrażał sobie, jak Mark dyma ją po spotkaniu w sklepie z artykułami żelaznymi. Ale skoro coś się między nimi wydarzyło (było całkiem prawdopodobne, że już się ze sobą pieprzyli), jego umysł został uwolniony. Nie chodzi o to, że fantazja stała się nagle zbyt bolesna – niespodziewanie stała się nie dość bolesna.

Teraz, gdy jechał z rodziną samochodem, a żona była w hotelu z mężczyzną, którego co najmniej pocałowała, jego fantazja trafiła w samo sedno: ten sam samochód, tylko inni pasażerowie. Julia spogląda w lusterko wsteczne i widzi, że Benjy zasypia jak to zwykle on: wyprostowana sylwetka, szyja też prosto, spojrzenie wycelowane przed siebie, oczy

zamykają się tak powoli, że ruch powiek jest niedostrzegalny – jedynie odwracając wzrok i spoglądając ponownie można zarejestrować zmianę. Fizyczność tego procesu, delikatność takiej powolności wprawia w zakłopotanie i jest piękna. Julia patrzy na drogę, zerka w lusterko, patrzy na drogę. Za każdym razem, gdy spogląda na Benjy’ego w lusterku, jego oczy zamykają się o kolejny milimetr. Zасыпianie zajmuje dziesięć minut, sekundy zostają zwięzione do przezierności jego powoli zamykających się powiek. Na chwilę zanim jego oczy zamkną się całkiem, Benjy robi krótki wydech, jakby zdmuchiwał własną świeczkę. Pozostała część jazdy upływa na szeptaniu, każdy wybój wydaje się księżycowym kraterem, a na księżycu jest zdjęcie rodziny pozostawione w 1972 roku przez astronautę statku kosmicznego Apollo Charlesa Duke’a. Zostanie tam, niezmiennie, przez miliony lat. Przetrwają nie tylko dłużej niż rodzice i dzieci, które na nim są, nie tylko niż prawnuki prawnuków ich prawnuków, ale niż ludzka cywilizacja – aż pochłonie je dogasające słońce. Zatrzymują się przed domem, silnik gaśnie, odpinają pasy, a Mark wnosi Benjy’ego do środka.

W tym nowym gdzie indziej znajdował się umysł Jacoba, kiedy dojechali do wyjazdu z parkingu. Tamir sięgnął po portfel, ale Irv go uprzedził.

– Następnym razem ja płacę – powiedział Tamir.

– Jasne – odparł Irv. – Jak następnym razem będziemy wyjeżdżać z Washington National, pozwolę ci zapłacić za parking.

Bramka się podniosła i Max odezwał się po raz pierwszy, od kiedy wsiedli do samochodu:

– Tato, włącz radio.

– Co?

– Nie słyszałeś?

– Czego?

– W toalecie dla mężczyzn.

– Dziadka klozetowego?

– Radia.

– Nie.

– Stało się coś ważnego.

– Co?

– Sam muszę wszystko robić? – spytał Tamir, włączając radio.

Relacja trwała i z początku nie dało się zrozumieć, co się wydarzyło, choć było jasne, że Max miał rację co do skali. NPR znajdowało się w pełnej gotowości. Napływały relacje z całego Bliskiego Wschodu. Było zbyt wcześnie. Niewiele było wiadomo.

Umysł Jacoba pędził ku swojej strefie komfortu: najgorszemu z możliwych scenariuszy. Izraelczycy przypuścili ofensywę na Iran albo odwrotnie. A może Egipcjanie zaatakowali sami siebie. Wybuchł autobus. Porwano samolot. Ktoś ostrzelał meczet bądź synagogę, wymachiwał nożem w zatłoczonym miejscu publicznym. Eksplozja jądrowa sprawiła, że Tel Awiw wyparował. Ale w przypadku scenariusza najgorszego z możliwych rzecz w tym, że z definicji nie da się go przewidzieć.

*Inne Życie* toczyło się nawet wtedy, gdy nikt nie był obecny. Tak jak *Życie*. Sam przebywał na symulacji obrad Zgromadzenia Ogólnego ONZ – w tej chwili mama podała mu liścik: „Widzę ponad murem. A ty?” – ale ruiny jego pierwszej synagogi połyskiwały obok

fundamentów drugiej. W gruzach wały się fragmenty witraży Żydowskiej Teraźniejszości, każdy odłamek rozświetlany zniszczeniem.



# Serio serio

W sali balowej Hiltona ustawiono koncentryczne łuki ze stołów i krzeseł, by przypominała Zgromadzenie Ogólne ONZ. Delegacje ubrane były w stroje regionalne, a część uczniów próbowała mówić z akcentem, zanim jeden z mediatorów ogłosił moratorium na ten bardzo zły pomysł.

Przemowa delegacji saudyjskiej dobiegała końca. Latynoska w hidżabie, z silnym z natury akcentem, mówiła niepewnym, drżącym głosem i trzęsły jej się ręce. Julia nie znosiła oglądać zdenerwowanych dzieci. Chciała do niej podejść, wygłosić pogadankę motywacyjną – wyjaśnić, że życie się zmienia i to, co słabe, staje się silne, a to, co jest marzeniem, przeradza się w rzeczywistość wymagającą nowych marzeń.

– A zatem żywimy nadzieję – powiedziała dziewczyna z wyraźną ulgą, że zbliża się do finału – że Sfederowane Stany Mikronezji opamiętają się i zachowają w zgodzie z rozsądkiem, szybko przekazując bombę Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej. To wszystko. Dziękuję. *As-salam alejkum*.

Rozległy się nikłe oklaski, głównie inspirowane przez Julię. Odezwał się stojący z przodu pomieszczenia przewodniczący, mediator z hiszpańską bródką na twarzy i portfelem na rzep w tylnej kieszeni:

– Dziękujemy Arabii Saudyjskiej. A teraz wysłuchamy Sfederowanych Stanów Mikronezji. Uwaga wszystkich przeniosła się na delegację z Georgetown Day School. Wstała Billie.

– Trochę to paradoksalne – zaczęła, zaznaczając swoją nonszalancką dominację przerzucaniem papierów w trakcie mówienia – że saudyjska delegatka mówi nam, co robić, *podczas gdy we własnym kraju nie wolno jej nawet pływać*. Tak tylko mówię.

Dzieciaki się roześmiały. Saudyjska delegacja przywiedła. Billie teatralnie wyrównała kartki na biurku i podjęła:

– Szanowni członkowie Organizacji Narodów Zjednoczonych, w imieniu Sfederowanych Stanów Mikronezji chciałabym zająć się tym, co stało się znane jako kryzys jądrowy. Słownik Merriama-Webstera definiuje kryzys jako – przeciągnęła palcem po telefonie, wybudzając go, i zaczęła czytać – „trudną lub niebezpieczną sytuację, która wymaga autentycznego zainteresowania”. Nie mamy tu do czynienia z kryzysem. W naszej sytuacji nie ma nic trudnego ani niebezpiecznego. To w istocie *okazja*, czyli coś, co Merriam-Webster definiuje jako... Jedną chwilę... – Wi-Fi było główniane i wczytanie dodanej do zakładek strony zajęło więcej czasu, niż planowała. – A więc tak: „sytuacja, w której można coś zrobić”. Nie wybieramy swojego losu, ale nie zamierzamy się przed nim uchylać. Latami, tysiącletiami, albo przynajmniej stuleciami, dobrzy obywatele Mikronezji przyjmowali rzeczy takimi, jakimi były, biorąc nasze umniejszane istnienie za dołę, brzemień, przeznaczenie.

Julia i Sam siedzieli na przeciwległych krańcach sektora delegacji. Rysując ceglany mur na żółtym bloczku, Julia odtwarzała poranną rozmowę z Jacobem: swoją dołę, swoje brzemień i przeznaczenie. Dlaczego czuła potrzebę, by zrobić to tak od razu, i to w ten sposób? Nie tylko wyskoczyła z tym bez zastanowienia, choć powinna mówić od serca albo przynajmniej trzymać język na wodzy, ale naraziła też Maxa i Irva na to, że znajdą się

między młotem a kowadłem. Co usłyszeli i zrozumieli? Co Jacob musiał wyjaśniać i w jaki sposób to zrobił? Czy któryś z nich trzech zamierzał wspomnieć o rozmowie Tamirowi i Barakowi? Czy o to właśnie chodziło? Czy chciała, żeby wszystko wyleciało w powietrze? Mur zakrywał już trzy czwarte strony. Liczył z tysiąc cegieł.

– Niebawem wszystko się zmieni, szanowni delegaci – ciągnęła Billie. – Mikronezja mówi: „dość”. Dość pomiatania, dość uległości, wystarczy zjadania ochłapów. Szanowni delegaci, wszystko się zmieni, poczynając od następującej listy żądań, choć z pewnością na niej nie kończąc...

W miejscu, które zostało między szczytem muru a krawędzią strony, Julia napisała: „Widzę ponad murem. A ty?”. Złożyła karteczkę na pół, a potem jeszcze raz i przekazała ją, by przeszła z rąk do rąk przez cały sektor delegacji. Czytając liścik, Sam nie okazał żadnych emocji. Napisał coś na tej samej karteczce, rozłożył ją i złożył, i podał z powrotem do matki. Otworzyła ją i w pierwszej chwili nie dostrzegła niczego. W przestrzeni ponad murem, gdzie sama pisała, nie było nic. Przyjrzała się cegłom – nic. Podniosła wzrok na Sama. Wystawił przed siebie otwartą dłoń, rozłożył palce, a potem przekreślił grzbietem do góry. Julia odwróciła żółtą karteczkę. „Po drugiej stronie muru nie ma muru” – napisał Sam.

Podczas gdy pozostali członkowie delegacji starali się zorientować w sytuacji po radykalnym odejściu od uzgodnionego scenariusza, Billie zmierzała do wielkiego finału:

– Odtąd Mikronezja będzie zasiadać w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, zostanie członkiem NATO – tak, zdajemy sobie sprawę, że znajdujemy się na Pacyfiku – i otrzyma status preferencyjny w handlu z Unią Europejską, Północnoamerykańską Strefą Wolnego Handlu, Unią Narodów Południowoamerykańskich, Unią Afrykańską i partnerami Euroazjatyckiej Wspólnoty Gospodarczej, jej członek zostanie także wyznaczony do Federalnego Komitetu do spraw Otwartego Rynku...

Do pomieszczenia wbiegł mediator.

– Przepraszam za przerwanie obrad – powiedział – ale mam komunikat. Na Bliskim Wschodzie doszło do poważnego trzęsienia ziemi.

– To tak na serio? – spytał jeden z opiekunów.

– Serio.

– Jak poważnego?

– Mówią o historycznym.

– Ale tak serio jak z naszym kryzysem jądrowym? Czy *serio serio*?

Zawibrował telefon Julii – dzwoniła Deborah. Julia powlokła się w kąć i odebrała, podczas gdy kryzys symulowany ustąpił miejsca kryzysowi serio serio.

– Deborah?

– Cześć, Julio.

– Wszystko w porządku?

– Benjy ma się dobrze.

– Przestraszyłam się, gdy wyświetliło mi się twoje imię.

– Wszystko z nim w porządku. Ogląda film.

– Dobrze. Przestraszyłam się.

– Julio. – Deborah wzięła głęboki oddech, by przedłużyć czas niewiedzy. – Julio, stało się coś strasznego.

– Z Benjym?

- Z Benjym wszystko w jak najlepszym porządku.
- Sama jesteś matką. Powiedziała byś mi.
- Oczywiście, że tak. Wszystko z nim dobrze, Julio. Jest szczęśliwy.
- Daj mi go do telefonu.
- Nie chodzi o Benjy'ego.
- O mój Boże, stało się coś Jacobowi i Maxowi?
- Nie. Nic im nie jest.
- Słowo?
- Musisz jechać do domu.

Niewiele było wiadomo, co sprawiało, że to niewiele było przerażające. O osiemnastej dwadzieścia trzy wystąpiło trzęsienie ziemi o sile 7,6 stopnia z epicentrum głęboko pod powierzchnią Morza Martwego, nieopodal izraelskiego osiedla w Kalii. Praktycznie w całym Izraelu, Jordanie, Libanie i Syrii nie było elektryczności. Wyglądało na to, że najbardziej zniszczonymi rejonami były As-Salt i Amman w Jordanie, a także Jerycho na Zachodnim Brzegu, którego mury rozpadły się trzydzieści cztery stulecia temu nie z powodu trąb Jozuego, lecz – jak utrzymywało wielu archeologów – za sprawą wielkiego trzęsienia ziemi.

Pierwsze doniesienia napływały ze starego miasta w Jerozolimie: Bazylika Grobu Świętego z czasów wypraw krzyżowych, tradycyjnie uważana za miejsce pochówku Jezusa i najświętsze miejsce chrześcijaństwa, która uległa poważnemu zniszczeniu podczas trzęsienia ziemi w 1927 roku, częściowo zawaliła się, grzebiąc nieznaną liczbę turystów i duchownych. Synagogi i jesziwy, klasztory, meczety i medresy legły w gruzach. Nie było żadnych informacji na temat Wzgórza Świątynnego – albo dlatego, że nie było ich w ogóle, albo dlatego, że ci, którzy nimi dysponowali, nie chcieli ich ujawnić.

W NPR leciał wywiad z inżynierem budownictwa wodno-ładowego. Obdarzony zmysłowym głosem gospodarz programu, Żyd – zapewne mały i łysy – o nazwisku Robert Siegel, zaczął:

SIEGEL: Z góry przepraszamy za jakość dźwięku tej rozmowy. Zwykle gdy padną linie telefoniczne, korzystamy z telefonów komórkowych. Ale usługi komórkowe również wyłączono, dlatego pan Horowitz mówi do nas przez telefon satelitarny. Panie Horowitz, słyszy mnie pan?

HOROWITZ: Tak, halo. Słyszę.

SIEGEL: Mógłby nam pan przedstawić fachową ocenę tego, co się w tej chwili dzieje?

HOROWITZ: Fachowa ocena... Tak, ale mogę też państwu powiedzieć jako zwykły człowiek, który tu stoi, że Izrael przeżył katastrofalne trzęsienie ziemi. Gdziekolwiek się spojrzy, widać ruiny.

SIEGEL: Ale jest pan bezpieczny?

HOROWITZ: Bezpieczeństwo to pojęcie względne. Moi bliscy żyją i ja, jak państwo słyszą, również. Jedni są bardziej bezpieczni. Inni mniej.

„Dlaczego, do kurwy nędzy, Izraelczycy nie mogą po prostu odpowiadać na pytania?” – zastanawiał się Jacob. Nawet wtedy, w samym środku kataklizmu – samo to słowo brzmiało

jak klasyczna izraelska hiperbola – Izraelczycy zwyczajnie nie byli w stanie dać prostej, nieizraelskiej odpowiedzi.

SIEGEL: Panie Horowitz, jest pan inżynierem w izraelskiej służbie cywilnej, zgadza się?

HOROWITZ: Inżynierem, doradcą w sprawie projektów rządowych, wykładowcą...

SIEGEL: Co może nam pan jako inżynier powiedzieć o możliwych skutkach trzęsienia ziemi o takiej sile?

HOROWITZ: Nie jest dobrze.

SIEGEL: Mógłby pan rozwinąć?

HOROWITZ: Z sześciuset pięćdziesięciu tysięcy budynków w Izraelu na taką sytuację przygotowana jest mniej niż połowa.

SIEGEL: Czy będziemy oglądać zawałające się drapacze chmur?

HOROWITZ: Oczywiście, że nie, panie Siegel. Skonstruowano je tak, by wytrzymały więcej niż to. Najbardziej martwię się o budynki od trzech do ośmiu pięter. Wiele z nich przetrwa, ale niewiele będzie się nadawało do mieszkania. Musicie sobie państwo zdać sprawę, że Izrael do końca lat siedemdziesiątych nie miał prawa budowlanego i to prawo nigdy nie zostało wprowadzone w życie.

SIEGEL: Dlaczego?

HOROWITZ: Mieliliśmy inne sprawy na głowie.

SIEGEL: Konflikt.

HOROWITZ: Konflikt? Mielibyśmy mnóstwo szczęścia, gdyby to był jeden konflikt. Większość budynków jest z betonu – sztywne, surowe konstrukcje. Budynki jak Izraelczycy, można by rzec. Dobrze służyły rosnącej liczbie mieszkańców, ale nie mogłyby być gorzej przystosowane do aktualnej sytuacji.

SIEGEL: Co z Zachodnim Brzegiem?

HOROWITZ: W jakim sensie?

SIEGEL: Jak tamtejsze budynki zareagują na takie trzęsienie ziemi?

HOROWITZ: Trzeba by spytać inżyniera z Palestyny.

SIEGEL: Cóż, na pewno spróbujemy...

HOROWITZ: Ale skoro pyta pan mnie, muszę zakładać, że jest w całkowitej ruinie.

SIEGEL: Przepraszam, co jest?

HOROWITZ: Zachodni Brzeg.

SIEGEL: W ruinie?

HOROWITZ: Wszystkie budynki. Wszystko. Będzie wiele ofiar śmiertelnych.

SIEGEL: Mowa o tysiącach?

HOROWITZ: Obawiam się, że kiedy wypowiadam te słowa, nie żyją już dziesiątki tysięcy ludzi.

SIEGEL: Ja natomiast jestem pewien, że chce pan wracać do rodziny, ale zanim pana puścimy, mógłby pan przedstawić możliwy rozwój sytuacji?

HOROWITZ: O jakie ramy czasowe pan pyta? O godziny? Tygodnie? Pokolenie?

SIEGEL: Zacznijmy od godzin.

HOROWITZ: Dla Izraela kluczowe będzie kilka najbliższych godzin. W tej chwili wszystko ma związek z ustaleniem priorytetów. W całym kraju brak elektryczności i pewnie tak pozostanie, nawet w najważniejszych miastach, przez kilka dni. Jak się pan zapewne domyśla, pierwszeństwo będą miały potrzeby wojskowe.

SIEGEL: Dziwi mnie, że mówi pan coś takiego.

HOROWITZ: Jest pan Żydem?

SIEGEL: Nie jestem pewien, dlaczego ma to znaczenie, ale owszem, jestem.

HOROWITZ: Dziwi mnie, że mój rodak jest zaskoczony. Ale z drugiej strony tylko amerykański Żyd pytałby, dlaczego bycie Żydem ma znaczenie.

SIEGEL: Martwi się pan o bezpieczeństwo Izraela?

HOROWITZ: A pan nie?

SIEGEL: Panie Horowitz...

HOROWITZ: Taktyczna wyższość Izraela opiera się na technologii, a trzęsienie ziemi w dużej mierze ją osłabiło. Zniszczenie wywoła rozpacz i niepokoje. Te z kolei przerodzą się – w sposób naturalny lub sprowokowany – w przemoc. Jeśli jeszcze do tego nie doszło, wkrótce zobaczymy tłumy ludzi wlewających się do Izraela przez granice: z Zachodniego Brzegu, ze Strefy Gazy, z Jordanu, Libanu, Syrii. Nie muszę panu mówić, że Syria już teraz ma problem z uchodźcami.

SIEGEL: Po co mieliby się udawać do Izraela, kraju, który większość ludzi w świecie arabskim postrzega jako śmiertelnego wroga?

HOROWITZ: Bo ten ich śmiertelny wróg ma pierwszorzędną opiekę lekarską. Ich śmiertelny wróg ma żywność i wodę. Izrael będzie też postawiony przed wyborem: wpuścić czy nie. Wpuszczenie będzie wymagało podzielenia się ograniczonymi i cennymi zasobami. Żeby inni mogli żyć, Izraelczycy będą musieli umrzeć. Ale niewpuszczenie pociągnie za sobą kule. I oczywiście wybór będą mieli też sąsiedzi Izraela: zająć się swoimi mieszkańcami albo wykorzystać nieoczekiwaną bezbronność Izraela.

SIEGEL: Miejmy nadzieję, że wspólna tragedia zjednoczy region.

HOROWITZ: Tak, ale nie bądźmy w tej wierze naiwni.

SIEGEL: A na dłuższą metę? Wspominał pan o perspektywie pokolenia.

HOROWITZ: Oczywiście nikt nie może wiedzieć, co się wydarzy, ale Izrael staje w obliczu czegoś o wiele groźniejszego niż rok sześćdziesiąty siódmy czy siedemdziesiąty trzeci, a nawet niż groźby nuklearne Iranu. Istnieje bezpośredni kryzys związany z koniecznością zagwarantowania krajowi bezpieczeństwa, ratowania mieszkańców, dostarczenia żywności i zapewnienia opieki medycznej tym, którzy tego potrzebują, szybkiej i skutecznej naprawy elektryczności, gazu, wody i innych usług komunalnych. Poza tym jest też dzieło odbudowy kraju. To będzie pokoleniowe wyzwanie. I wreszcie, może najbardziej beznadziejna, praca nad tym, żeby zatrzymać tu Żydów.

SIEGEL: To znaczy?

HOROWITZ: Młody, ambitny, idealistyczny Izraelczyk ma wiele powodów, by wyjechać z Izraela. Jest takie powiedzenie o kropli, która przelała czarę.

SIEGEL: Tak.

HOROWITZ: Tysiące budynków były tą kroplą.

JACOB: *Waj iz mir.*

Jacob nie zamierzał nic mówić, a już na pewno nie zamierzał powiedzieć *waj iz mir*. Ale z drugiej strony nikt nigdy nie zamierza tego powiedzieć.

– Jest źle – stwierdził Irv, kręcąc głową. – Bardzo, bardzo źle na wszelkie z możliwych sposobów.

Umysł Jacoba teleportował się do apokaliptycznych scenek: sufitu spadającego na łóżko w starej sypialni Tamira, kobiet w perukach, uwięzionych pod zwałami kamienia jerozolimskiego, ruin ruin Masady. Wyobraził sobie marmurową ławeczkę w parku Blumenberga – teraz roztrzaskany kamień. „To musi być katastrofa”, pomyślał, ale rozumiał to na dwa zupełnie różne sposoby: że to na pewno katastrofa i że chce, żeby to była katastrofa. Nie mógł zgodzić się na drugie z tych znaczeń, ale nie mógł go się także wyprzeć.

– Nie jest dobrze. Ale nie jest aż tak źle – powiedział Tamir.

– Chcesz zadzwonić do domu?

– Słyszałeś go. Linie są zniszczone. A mój głos nikomu nie pomoże.

– Jesteś pewien?

– Nic im nie jest. Na pewno. Mieszkamy w nowym budownictwie. Jak mówił, jest zaprojektowane na takie rzeczy lepiej niż którykolwiek z waszych drapaczy chmur, uwierz mi. Budynek ma zapasowy generator, chyba dwa, a jedzenia w schronie przeciwbombowym starczy na miesiące. Schron jest przyjemniejszy niż tamto mieszkanie w Foggy Bottom. Pamiętajcie je?

Jacob pamiętał, mieszkał tam przez pięć lat. Ale wyraźniej nawet zapamiętał schron przeciwbombowy w domu rodzinnym Tamira, mimo że przebywał w nim krócej niż pięć minut. Był to ostatni dzień jego pierwszej wycieczki do Izraela. Deborah i matka Tamira, Adina, wybrały się na bazar w nadziei, że znajdą jakieś przysmaki, które będzie można przywieźć Isaacowi. Przy kawie Irv z czymś, co wyglądało niemal jak uśmiech, spytał Szloma, czy w domu jest schron.

– Oczywiście – odparł Szlomo – takie jest prawo.

– Pod domem?

– Oczywiście.

Drugie „oczywiście” dawało jasno do zrozumienia to, co powinno być dla Irva jasne już przy słowach „takie jest prawo”: Szlomo chciał schronu pod ziemią, gdy było bombardowanie i gdy go nie było. Ale Irv naciskał:

– Pokazałbyś nam schron? Chciałbym, żeby Jacob go zobaczył.

Z kolei ze słów „Chciałbym, żeby Jacob go zobaczył” wyraźnie wynikało to, co powinno być dla Szloma jasne już przy pytaniu „Pod domem?": Irv nie zamierzał odpuścić.

Pomijając drzwi grube na dwanaście cali, pomieszczenie ukazywało swoją osobliwość powoli. Panowała tam wilgoć, betonowa podłoga się pocila. Światło było kredowe, w kolorze i fakturze. Dźwięk zdawał się zbierać nad nimi chmurami. Na ścianie wisały



cztery maski przeciwgazowe, mimo że rodzina Tamira liczyła tylko trzy osoby. Jakaś promocja typu „cztery w cenie trzech”? Czy jedna była dla sprzątaczk albo dla przyszłego dziecka? Dla Elijaha? Jakie byłyby zasady postępowania, gdyby wojna chemiczna wybuchła w chwili, gdy przebywała tam rodzina Jacoba? Czy było jak w samolocie – zalecano dorosłym, by zadbali o siebie, nim zajmą się dziećmi? Czy Jacob widziałby siebie, duszącego się, w odbiciu w masce ojca? Jego matka nigdy by na to nie pozwoliła. Ale z drugiej strony sama też mogłaby się dusić. Ojciec chyba dałby jej maskę, prawda? O ile nie miałyby na sobie maski Tamira; w tym wypadku nie byłby to problem. Czy dorosłym kazano zadbać o siebie, nim zajmą się *swoimi* dziećmi czy *wszystkimi* dziećmi? A gdyby na miejscu była sprzątaczk, to czy naprawdę zażądałaby od rodziców Jacoba jednej z masek? Tamir był starszy od Jacoba o kilka miesięcy. Czy to czyniło go, relatywnie rzecz biorąc, tym dorosłym spośród nich dwóch? Nie istniał scenariusz, w którym Jacob nie padłby ofiarą wojny chemicznej.

– Wynośmy się z tej nory – powiedział Tamir do Jacoba.

Jacob nie chciał jednak iść. Pozostały czas w Izraelu pragnął spędzić, badając każdy cal tego pomieszczenia, ucząc się go, ucząc się siebie w nim, po prostu tutaj być. Chciał tu zjeść obiad, znieść tu swoje ciuchy, walizkę i plecak, zrezygnować z końcówki zwiedzania, by przebywać za tymi nieprzenikalnymi ścianami jeszcze kilka godzin. Mało tego: chciał usłyszeć syrenę przeciwlotniczą – nie fałszywy alarm na Jom ha-Szoa, ale syrenę zapowiadającą całkowitą zagładę, przed którą byłby chroniony.

– No chodź – nalegał Tamir, ciągnąc Jacoba za ramię z niezgrabną siłą.

Podczas lotu do Stanów, trzydzieści trzy tysiące stóp nad Atlantykiem, Jacob śnił o schronie pod schronem, do którego schodziło się po kolejnej kondygnacji schodów. Ten drugi schron był jednak ogromny, wystarczająco wielki, by wziąć go za świat, tak duży, by pomieścić tylu ludzi, żeby wojna stała się nieuchronna. A gdy bomby zaczęły spadać w świecie po tej stronie grubych drzwi, świat po drugiej stronie stał się schronem.

Niemal dziesięć lat później Tamir i Jacob rozdzielili między siebie sześciopak przy stole kuchennym, którego nie można było obejść, w mieszkaniu wykrojonym z mieszkania wykrojonego z domu w Foggy Bottom.

– Poznałem kogoś – oznajmił Jacob, po raz pierwszy mówiąc o tym na głos.

A prawie dwadzieścia lat później, przecinając japońskim samochodem stolicę na pół, kuzyn z Izraela – izraelski kuzyn Jacoba – powiedział:

– Tak czy siak, do tego nie dojdzie.

– Do czego?

– Do schronów przeciwbombowych. Do wojny.

– Kto powiedział „wojna”?

– Poradzimy sobie z tym – odparł Tamir jakby do siebie. – „Izrael” to po hebrajsku „plan awaryjny”.

Przez następnych kilka minut jechali bez słów. NPR robiło, co mogło, gdy otrzymywało niepotwierdzone wiadomości, a Tamir zagrzebał się w telefonie, który równie dobrze mógł być tabletem, a nawet telewizorem. Mimo że Jacob sprawdzał swój z maniakalną regularnością, nienawidził wszystkich telefonów – uważał, że są wręcz gorsze niż guzy mózgu, które wywołują u użytkowników. Dlaczego? Dlatego że nie cierpiał tego, że własny telefon rujnuje mu życie? A może dlatego, że wiedział, że tak nie jest, lecz dawało mu to

proste i społecznie akceptowane środki, by samemu je sobie zniszczyć? Albo podejrzewał, że inni dostają więcej wiadomości, i do tego ciekawszych? A może od samego początku wiedział, że telefon przyniesie mu zgubę – nawet jeśli nie wiedział, w jaki sposób.

Telefon Tamira był wyjątkowo irytujący. Baraka też. Obydwa były SUV-ami wśród telefonów. Jacoba nie obchodziło, jak żywe mają kolory, jak dobry zasięg ani jak łatwo podłączyć je do innych godnych pogardy urządzeń. Barak nigdy nawet nie był w Stanach Zjednoczonych, które – jeśli nie były najwspanialszym krajem w dziejach świata – w najgorszym razie miały do zaoferowania przynajmniej kilka rzeczy godnych oderwania wzroku od telefonu. Może szukali wiadomości, chociaż jaka strona informacyjna wydaje co kilka sekund okrzyk „Bum szakalaka!”?

– Co z Noamem? – spytał Jacob.

– Co ma być?

– Gdzie teraz jest?

– W tym momencie? – odparł Tamir. – Jak rozmawiamy? Nie mam pojęcia. Informowanie ojców na bieżąco nie jest sprawą wagi państwowej.

– Kiedy ostatnio z nim rozmawiałeś?

– W Hebronie. Ale jestem pewien, że zostali ewakuowani.

– Helikopterem?

– Nie mam pojęcia, Jacob. Skąd mam wiedzieć?

– A Yael?

– W porządku. Jest w Auschwitz.

*Bum szakalaka!*

– Co?

– Na wycieczce szkolnej.

Jechali w ciszy George Washington Parkway, klimatyzacja zmagająca się z wilgocią przedostającą się przez niewidzialne wloty, a rozmowa Jacoba i Irva o niczym walczyła z niezręczną ciszą napierającą na szyby. Minęli Gravelly Point, gdzie miłośnicy lotnictwa ze skanerami radiowymi w rękach i ojcowie z synami na rękach mogli niemal dosięgnąć i dotknąć podwozi odrzutowców, zostawili Kapitol po prawej, przecięli szarą rzekę Potomak, nie obyło się bez wyjaśnień, dlaczego w jednej trzeciej pomnika Waszyngtona zmienia się jego odcień bieli. Przemknęli po Memorial Brigde, między złotymi końmi, objechali z tyłu Mauzoleum Lincolna, schody zdające się prowadzić donikąd, i wślizgnęli się w strumień samochodów na Rock Creek Parkway. Przejechawszy poniżej patia Kennedy Center i obok zębatych balkonów kompleksu Watergate, podążali wzdłuż zakrętów rzeczki, z dala od przyczółków stołecznej cywilizacji.

– Zoo – powiedział Tamir, podnosząc wzrok znad telefonu.

– Zoo – powtórzył Jacob.

– Wiecie – pochylił się Irv – nasze ulubione naczelne, Benjy i Deborah, pewnie właśnie tam są.

Zoo znajdowało się w samym centrum przyjaźni Tamira i Jacoba, w centrum ich rodzinności, wyznaczało granicę między ich młodością a dorosłością. Stanowiło także centrum Jacobowego życia. Jacob często przenosił się w myślach do sceny własnej śmierci, szczególnie gdy miał poczucie, że marnuje życie. Do jakich chwil powróciłby w swych ostatnich chwilach? Przypomniałby sobie pobyt z Julią w zajeździe – obydwaj pobyty.

Wspominałby, jak wnosił Sama do domu po powrocie z oddziału ratunkowego, małą rączkę zmumifikowaną pod warstwami bandażu, karykaturalnie wielką – największą, najbardziej bezużyteczną pięść świata. Wspominałby noc w zoo.

Zastanawiał się, czy Tamir kiedykolwiek o tym myślał, czy myśli o tym teraz.

I wówczas Tamir zaśmiał się tubalnym, podziemnym śmiechem.

– Co cię śmieszy? – spytał Jacob.

– Ja. To uczucie.

– Jakie uczucie?

Roześmiał się znowu. Najlepsze przedstawienie Tamira do tej pory?

– Zazdrość.

– Zazdrość? Nie spodziewałem się, że powiesz coś takiego.

– Nie spodziewałem się, że coś takiego będę czuł. Dlatego to zabawne.

– Nie rozumiem.

– Noam wreszcie będzie miał do opowiedzenia lepsze historie niż ja. Jestem zazdrosny.

Ale to dobrze. Tak powinno być.

– Jak?

– Powinien znać lepsze historie.

– Może powinien zadzwonić? – zasugerował Irv.

– „Dawno, dawno temu był sobie człowiek, który miał takie dobre życie, że nie ma co o nim opowiadać” – wyrecytował Jacob.

– Spróbuję – powiedział Tamir, wybierając długi szereg cyfr. – Nie uda się, ale ze względu na ciebie, Irv, spróbuję.

Po kilku chwilach w samochodzie rozbrzmiało automatyczne nagranie po hebrajsku. Tamir rozłączył się i – tym razem bez zachęty ze strony Irva – spróbował zadzwonić ponownie. Słuchał. Wszyscy słuchali.

– Linia zajęta.

*Waj iz mir.*

– Może spróbuj za minutę?

– Nie ma po co.

– Nie chciałbym wywoływać paniki – powiedział Jacob – ale może chcesz wracać do domu?

*Bum szakalaka!*

– Niby jak miałbym to zrobić?

– Moglibyśmy pojechać z powrotem na lotnisko i sprawdzić loty – zaproponował Jacob.

– Wszystkie loty do i z Izraela zostały odwołane.

*Waj iz mir.*

– Skąd wiesz?

Tamir podniósł telefon i powiedział:

– Myślisz, że gram w gierki?

*Bum szakalaka!*

## Druga synagoga

Synagogi nie są zdolne do odczuwania, ale podobnie jak wierzył, że wszystko jest zdolne do tęsknoty, Sam uważał także, że wszystkie rzeczy mają pewną świadomość swojego nieuchronnego końca: mówił więc ogniskom „wszystko dobrze”, gdy syczał dogasający żar, i przeproszał trzysta ileś milionów plemników, zanim spuścił je do oczyszczalni ścieków. Synagogi nie są niezdolne do odczuwania.

Kiedy Sam wrócił do domu z symulacji obrad ONZ, ruszył prosto ku *Innemu Życiu* jak palacz pędzący, by wydostać się z lotniska w Sydney. Po wybudzeniu iPada na ekranie była notatka: Max wyjaśniał śmierć Samanty, tłumaczył odpowiedzialność ojca (w sensie winy) i swoją (w sensie poczucia winy). Sam przeczytał ją dwukrotnie – dla jasności i żeby odroczyć zderzenie z rzeczywistością.

To, że mu nie odwaliło, gdy się przekonał, że Max nie robi sobie niesmacznego kawału, zaskoczyło go. Dlaczego nie rozwalił iPada o nogę łóżka ani nie wykrzykiwał rzeczy, których nie można by cofnąć, w kierunku kogoś, kto na to nie zasługiwał, albo dlaczego chociaż się nie rozplakał? W żadnym razie nie był obojętny na śmierć Samanty i z pewnością nie dostąpił jakiegoś objawienia, że „to tylko gra”. To nie była tylko gra. Jaką świadomość swego bliskiego końca miała Samanta? Awatary nie są niezdolne do odczuwania.

Każda sesja Skype’a z pradiadkiem zaczynała się słowami „Widzę cię”, a kończyła „Do widzenia”. Sam niepokoił się świadomością, że jedna z tych rozmów może być ich ostatnią i że – na pewnym etapie – trzeba będzie w jakiś sposób zgodzić się na którąś z wersji tego faktu. Skajpowali wczoraj wczesnym rankiem, gdy Sam w pośpiechu pakował się na symulację obrad ONZ. Isaac obudził się, nim słońce wzeszło, i położył się spać, zanim zaszło. Nigdy nie rozmawiali dłużej niż pięć minut (choć wyjaśniano mu sto razy, że skajpowanie nic nie kosztuje, Isaac nie przyjmował do wiadomości, że dłuższe rozmowy nie kosztują więcej), a tym razem trwało to wyjątkowo krótko. Sam podzielił się najogledniejszym opisem nadchodzącej wycieczki szkolnej, potwierdził, że nie jest chory ani głodny i że nie, z nikim się „nie widuje”.

– A na twoją bar micwę wszystko gotowe?

– Praktycznie tak.

Ale gdy miał już kończyć – „Na dole czeka na mnie mama, więc chyba powinienem iść” – poczuł spodziewany dyskomfort, tyle że tym razem była w nim niecierpliwość albo tęsknota. Nie był pewien, czy to jego tęsknota.

– Idź – powiedział Isaac. – Idź. I tak już za długo rozmawiamy.

– Chciałem tylko, żebyś wiedział, że cię kocham.

– Tak, wiem, jasne. Ja ciebie też kocham. Dobrze, a teraz już idź.

– I przykro mi, że się przenosisz.

– Idź, Samele.

– Nie rozumiem, czemu nie możesz po prostu zostać.

– Bo nie mogę się już sobą zająć.

– Znaczą: u nas.

- Samele.
- Co? Nie łapię tego.
- Nie mógłbym chodzić po schodach.
- To byśmy kupili jedną z tych takich platform.
- Są bardzo drogie.
- Wykorzystałbym pieniądze z bar micwy.
- Muszę brać dużo lekarstw.
- A ja muszę brać dużo witamin. Mama jest w te rzeczy świetna.
- Nie chcę cię zasmucać, ale niedługo nie będę w stanie sam się wykąpać ani pójść do toalety.
- Benjy też nie może się sam kąpać i ciągle sprzątam kupy po Argusie.
- Nie jestem dzieckiem ani nie jestem psem.
- Wiem, ja tylko mó...
- Dbam o swoją rodzinę, Samele.
- Bardzo dbasz, ale...
- Moja rodzina nie troszczy się o mnie.
- Rozumiem, ale...
- I to tyle.
- Spytam tatę...
- Nie – powiedział Isaac z surowością, której Sam nigdy u niego nie słyszał.
- Dlaczego? Jestem pewien, że się zgodzi.

Zapanowała długa przerwa. Gdyby nie mrugające oczy Isaaca, Sam zastanawiałby się, czy obraz się nie zatrzymał.

- Powiedziałem: nie – uciął w końcu Isaac.

Połączenie się pogorszyło, piksele zrobiły się większe.

Co takiego zrobił Sam? Coś złego, coś niemiłego, ale co?

Niepewnie, by wynagrodzić krzywdę, którą przypadkowo wyrządził, próbując okazać miłość, powiedział:

- Poza tym mam dziewczynę.
- Żydówkę? – spytał Isaac z twarzą złożoną z ledwie garstki pikseli.
- Tak – skłamał Sam.
- I... do widzenia – powiedział Isaac i się rozłączył.

Dodanie „I”, jedynej litery, która zajmuje mniej miejsca niż spacja, zmieniło wszystko. Tęsknota była jego pradiadkiem.

Synagoga Sama stała, jak ją zostawił. Nie miał awatara, którym mógłby ją zwiedzić, więc szybko i byle jak stworzył postać, żeby tam zajrzeć. Wylano fundamenty, stał też szkielet ścian, ale ponieważ nie było jeszcze regipsów, mógłby wypuścić strzałę albo rzucić spojrzenie przez cały budynek. Podszedł (Sam wiedział, że jego nowy awatar to mężczyzna) do jednej ze ścian, chwycił za słupki jak za więzienne kraty i przewrócił je. Sam jednocześnie sprawował kontrolę i był świadkiem. Podszedł do drugiej ściany i też ją przewrócił.

Sam nie niszczył i nie był to Sam. Wykrawał sobie przestrzeń z większej przestrzeni. Nie wiedział jeszcze, kim jest.

Bujnie rozgałęziający się gmach kurczył się ku środkowi jak podupadające imperium,

które wycofuje armię do stolicy, jak czerniejące palce zdanego na siebie alpinisty. Żadnej sali klubowej, żadnego boiska do koszykówki, żadnych szatni, żadnej biblioteki dla dzieci, żadnych klas, żadnych gabinetów dyrektora, kantora ani rabina, żadnej kaplicy, żadnej świątyni więcej.

Co zostało, gdy padły wszystkie te mury?

Sześć pomieszczeń.

Sam nie planował takiej konfiguracji, on zaledwie ją stworzył. I to nie był Sam.

Jadalnia, salon, kuchnia. Przedpokój. Łazienka, sypialnia dla gości, pokój telewizyjny, sypialnia.

Czegoś brakowało. To miejsce za czymś tęskniło.

Podszedł do ruin pierwszej synagogi i wziął prawie niezniszczony witraż z Mojżeszem unoszącym się na Nilu, a także garstkę gruzu. Jedno z kuchennych okien zastąpił witrażem i włożył gruz do lodówki między butelki z napojem imbirowym.

Ale nadal czegoś brakowało. Wciąż czuło się tęsknotę.

Piwnica. Potrzebna była piwnica. Obdarzona czuciem synagoga, świadoma, że w trakcie budowy jest niszczona, tęskniła za podziemiami. Nie miał pieniędzy, by kupić łopatę, więc posłużył się rękoma. Kopał, jakby to był grób. Kopał, dopóki nie czułby rąk, których nie mógł poczuć. Kopał, dopóki usuniętej ziemi nie zrobiło się tyle, że mogłaby się za nią schować rodzina.

A potem stał wewnątrz swojego dzieła, jak malarz jaskiniowy na malowidle przedstawiającym jaskinię.

„I... do zobaczenia”.

Sam zrobił sobie siwe włosy, przywrócił Firefoxa na pulpit i wygugłał: „Jak produkuje się folię bąbelkową?”.

# Trzęsienie ziemi

Gdy dotarli do domu, Julia siedziała na werandzie; podciągnęła kolana do piersi i przycisnęła je rękoma. Słońce osiadło na jej włosach jak żółty kredowy pył, strząsany przy najdrobniejszym ruchu. Ujrawszy ją tam, Jacob spontanicznie otrząsnął się z urazy, która osiadła w jego sercu jak żwir. Julia nie była jego żoną, nie w tej chwili; była kobietą, którą poślubił – raczej osobą niż siłą sprawczą.

Kiedy się zbliżał, uśmiechnęła się słabo uśmiechem zrezygnowania. Tego ranka, zanim pojechał na lotnisko, przeczytał krótki artykuł na stronie „National Geographic” o zepsutym satelicie meteorologicznym, który nie jest już w stanie robić tego, do czego go zaprojektowano, ale – z powodu ogromnego kosztu i niewielkiej potrzeby złapania go – będzie krążył wokół planety, dopóki w końcu nie spadnie na Ziemię. Tak odległy był właśnie jej uśmiech.

– Co tu robisz? – spytał Jacob. – Myślałem, że nie będzie cię w domu do późna.

– Postanowiliśmy wrócić kilka godzin wcześniej.

– Gdzie Sam? – spytał Max.

– Czy to coś, co można postanowić? Gdy jest się opiekunem?

– Jeśli Mark będzie miał jakieś kłopoty, mogę tam być w ciągu kwadransa.

Jacob nie cierpiał tego pieprzonego imienia.

– Sam jest na górze – odpowiedziała Julia Maxowi.

– Sądzę, że możesz iść ze mną – powiedział Max do Baraka i we dwóch weszli do środka.

– Wypróżnię się – powiedział Irv, powłócząc nogami – a potem ponownie przyłączę się do imprezy. Hej, Julio.

Tamir wynurzył się z samochodu i rozpostarł ramiona.

– Julie!

Nikt nie mówił do niej Julie. Nawet Tamir się tak do niej nie zwracał.

– Tamir!

Wziął ją w objęcia jednym z tych swoich teatralnych uścisków: trzymając na odległość ramienia, mierząc wzrokiem z góry na dół, następnie przyciągając z powrotem do siebie, a potem raz jeszcze odsuwając na odległość ramienia, by przyjrzeć się jej ponownie.

– Cała reszta się starzeje – powiedział.

– A ja nie młodnieję – odparła, nie mając ochoty odpowiadać na jego flirt, ale zarazem nie chcąc go całkiem zdławić.

– Nic takiego nie mówiłem.

Wymienili uśmiechy.

Jacob pragnął nienawidzić Tamira za to, że wszystko seksualizuje, ale nie był pewien, czy nawyk ten wynika z wolnego wyboru, czy z uwarunkowań środowiskowych – na ile styl bycia Tamira był po prostu izraelski i wiązało się to z błędną kulturową interpretacją. Może to, że Jacob z kolei wszystko odseksualizowywał, nawet gdy wszystko seksualizował, wynikało z jego sposobu bycia.

– Tak się cieszymy, że przyjechaliście trochę wcześniej – powiedziała Julia.

„Dlaczego nikt nie wspomina o trzęsieniu ziemi?” – zastanawiał się Jacob. Czy Julia

obawiała się, że jeszcze o nim nie słyszeli? Chciała przedstawić wiadomości w przemyślany i kontrolowany sposób, bez potencjalnych przeszkód? A może jeszcze nie wiedziała? Tym bardziej zagadkowe, dlaczego nie napomknął o nim Tamir, który zawsze mówił o wszystkim.

– To nie jest beztroška wycieczka – stwierdził Tamir. – Powiedziałbym, że wiesz, ale nie wiesz. Tak czy siak, pomyślałem, że przylecimy trochę wcześniej i jak najlepiej to wykorzystamy: niech Barak pozna swoją rodzinę z Ameryki.

– A Rywka?

– Przesyła przeprosiny. Bardzo chciała przyjechać.

– Wszystko w porządku?

Jacob był zaskoczony bezpośredniością Julii, przypomniało mu to o własnej powściągliwości.

– Oczywiście – odpowiedział Tamir. – To tylko jakieś dawne zobowiązania, których nie mogła przełożyć. Ale! Jake wspominał, że przygotowałaś coś do jedzenia?

– Tak?

– Nie. Nie sądziłem nawet, że będziesz przed wieczorem.

– Nie okłamuj żony – uciął Tamir, puszczając oko do Jacoba, który nie był pewien, czy Julia to widziała, więc oznajmił:

– Puścił do mnie oko.

– Przygotujmy coś szybko razem – powiedziała Julia. – Wejdz. Max pokaże ci, gdzie zostawić rzeczy, i zobaczymy się w kuchni.

Kiedy Tamir wszedł do domu, Julia chwyciła Jacoba za rękę.

– Możemy chwilę porozmawiać?

– Nic takiego nie mówiłem.

– Wiem.

– Doprowadzają mnie do szału.

– Muszę ci o czymś powiedzieć.

– O czymś innym?

– Tak.

Po latach Jacob będzie wspominał tę chwilę jako wielki punkt zwrotny.

– Coś się stało – powiedziała.

– Wiem.

– O czym?

– O Marku.

– Nie – odparła Julia – to nie to. Nie chodzi o mnie.

I wtedy, w przypływie wielkiej ulgi, Jacob powiedział:

– Och, tak. Już słyszeliśmy.

– O czym?

– W radiu.

– W radiu?!

– Tak, to brzmi strasznie. Naprawdę przerażająco.

– Ale co?

– Trzęsienie ziemi.

– Och – wydusiła z siebie Julia, rozumiejąc i nie rozumiejąc zarazem. – Trzęsienie ziemi.



Tak.

Wtedy właśnie Jacob zdał sobie sprawę, że wciąż trzymają się za ręce.

– Chwila, co w takim razie miałaś na myśli?

– Jacob...

– Marka.

– Nie, nie to.

– Myślałem o tym w drodze. Myślałem o wszystkim. Gdy się rozłączyliśmy, my...

– Przestań. Proszę.

Poczuł, że krew zalewa mu nagłym przyływem twarz, a potem równie szybko się cofa. Zrobił coś potwornego, ale nie wiedział co. Nie chodziło o telefon. Nic więcej nie można było się w tej sprawie dowiedzieć. O pieniądze, które latami brał z bankomatu? Na głupie, niewinne rzeczy, do pragnienia których nie chciał się przyznać z powodu wstydu? O co? Czy przypadkiem przejrzała jego mejle? Widziała, jak o niej rozmawiał z tymi, którzy mogą zrozumieć, a przynajmniej współczuć? Czy był na tyle głupi albo przymuszony własną podświadomością, że nie wylogował się na którymś z urządzeń?

Położył dłoń na jej dłoni przykrywającej jego dłoń.

– Przykro mi.

– To nie twoja wina.

– Bardzo mi przykro, Julio.

Było mu przykro, i to bardzo, ale z jakiego powodu? Tyle rzeczy wymagało przeprosin.

Na ich ślubie matka Jacoba opowiedziała historię, której nie pamiętał, w którą nie wierzył i która go zraniła, bo nawet jeśli nie była prawdziwa, mogła taka być, a ponadto go obnażała.

– Liczyliście pewnie na mojego męża – zaczęła Deborah, wywołując salwę śmiechu. – Być może zauważyliście, że zwykle to on gada. *I gada.*

Znów śmiech.

– Ale tę przemowę chciałam mieć dla siebie. To ślub mojego syna, którego nosiłam we własnym ciele i własnym ciałem wykarmiłam, i któremu dałam z siebie wszystko, tak by pewnego dnia mógł puścić moją rękę i poprosić o rękę innej. Dobrze o moim mężu świadczy to, że nie spierał się ani nie narzekał. Po prostu przez trzy tygodnie traktował mnie jak powietrze. – Znów śmiech, szczególnie Irva. – Były to najszczęśliwsze trzy tygodnie w moim życiu.

Kolejna salwa.

– Nie zapominaj o naszej podróży poślubnej! – wykrzyknął Irv.

– To myśmy pojechali w podróż poślubną? – spytała Deborah.

Znowu śmiech.

– Być może zauważyliście też, że Żydzi nie składają przysięg małżeńskich. Mówi się, że przymierze ukryte jest już w samym rytuale. Czyż to nie cudownie żydowskie? Stać przed życiowym partnerem i przed Bogiem w prawdopodobnie najważniejszej chwili życia i zakładać, że wszystko rozumie się samo przez się? Trudno sobie wyobrazić jakąkolwiek inną rzecz, którą Żyd przyjąłby bez słów.

I jeszcze jedna salwa.

– Nie mogę się nadziwić, jacy dziwni i łatwi do objaśnienia z nas ludzie. Ale może część z was jest taka jak ja i nic nie poradzi na to, że słyszy znajomą przysięgę: „w bogactwie

i w biedzie, w zdrowiu i w chorobie”. Być może nie są to nasze słowa, ale tkwią w naszej zbiorowej podświadomości. Był taki rok w dzieciństwie Jacoba... – Spojrzała na Irva i podjęła: – A może nawet więcej niż rok? Półtora? – Z powrotem przeniosła wzrok na zebranych. – Był taki okres, który wydawał się trwać dłużej, niż trwał – śmiech – gdy Jacob udawał, że jest niepełnosprawny. Zaczęło się któregoś ranka od oświadczenia, że jest ślepy. „Ale przecież masz zamknięte oczy”, powiedziałam mu.

Znów śmiech.

– „Tylko dlatego, że nie ma na co patrzeć, więc daję im odpocząć”, odpowiedział. Jacob był upartym dzieckiem. Mógł stawiać opór przez wiele dni, a nawet tygodni. Irv, domyślasz się może, skąd mu się to wzięło?

Śmiech.

– Ode mnie natura, od ciebie kultura – odkrzyknął.

Śmiech.

– Wytrwał w tej ślepcie trzy czy cztery dni – ciągnęła Deborah – długo jak na dziecko, w ogóle długo. Ale koniec końców, na którąś kolację przyszedł, mrugając powiekami, i znów biegle posługiwał się widelcem i nożem. „Cieszę się, że wyzdrowiałaś”, powiedziałam. Wzruszył ramionami i wskazał na uszy. „Co się dzieje, kochanie?”. Podszedł do szafki, wziął długopis i papier i napisał: „Przepraszam, ale cię nie słyszę. Jestem głuchy”. Irv na to: „Nie jesteś głuchy”. „Jestem głuchy”, Jacob bezgłośnie poruszył ustami. Może z miesiąc później przykuśtykał do salonu z poduszką pod koszulką na plecach. Słowem się nie odezwał, po prostu dowlókł się do półki, zdjął książkę i z powrotem wykuśtykał z pokoju. „Ciao, Quasimodo”, zawołał za nim Irv i wrócił do lektury. Pomyślał, że to jeden z etapów całego stadium. Poszłam za Jacobem do jego pokoju, usiadłam obok niego i spytałam: „Złamałeś sobie kręgosłup?”. Kiwnął głową. „To musi być niewiarygodnie bolesne”. Przytaknął. Zasugerowałam, że poskładamy kręgosłup, przyklejając mu kij od miotły do pleców. Chodził tak przez dwa dni. Doszedł do siebie. Kilka tygodni później czytałam Jacobowi w łóżku. Głowę miał na poduszce, która wcześniej była jego garbem. Podciągnął rękaw piżamy i mówi: „Zobacz, co się stało”. Nie wiem, co powinnam była zobaczyć, poza tym że powinnam to widzieć, więc odparłam: „Wygląda strasznie”. Przytaknął i dodał: „Bardzo się poparzyłem”. „Właśnie widzę”, odrzekłam, delikatnie go tam dotykając. „Poczekaj, mam jakąś maść w apteczce”. Wróciłam z kremem nawilżającym. „Stosować w przypadku najmocniejszych oparzeń”, powiedziałam, udając, że czytam wskazówki z tyłu opakowania. „Obficie nakładać na oparzenie. Wcierać w skórę jak podczas masażu. Oczekiwany powrót do zdrowia nazajutrz rano”. Masowałam mu rękę przez pół godziny, masaż był z początku przyjemny, potem refleksyjny, intymny i najwyraźniej uspokajający. Kiedy następnego rana przyszedł do nas do łóżka, pokazał mi rękę i powiedział: „Zadziałało”. „Cud”, odrzekłam, a on na to: „Nie, tylko lekarstwo”.

Znowu śmiech.

– „Tylko lekarstwo”. Wciąż o tym myślę. Nie cud, tylko lekarstwo. Ułomności i urazy nadal się pojawiały (pęknięte zebro, utrata czucia w lewej nodze, złamane palce), ale z coraz mniejszą częstotliwością. Później któregoś ranka, może z rok po tym, jak oślepl, Jacob nie zszedł na śniadanie. Często rano nie mógł się obudzić, szczególnie gdy wieczór wcześniej oglądali z ojcem Kacyki z Baltimore. Zapukałam do jego pokoju. Zero odzewu. Otworzyłam drzwi, leżał zupełnie bez ruchu na łóżku, ręce i nogi wyprostowane, pośrodku

wgłębienia w mostku notka: „Czuję się skrajnie chory i sędzę, że mogę umrzeć dziś w nocy. Jeśli patrzysz teraz na mnie i się nie poruszam, to dlatego, że jestem martwy”. Gdyby to była gra, wygrałby. Ale to nie była gra. Mogłam wcierać krem w jego oparzenie, mogłam nastawić mu kręgosłup, ale dla umarłego nie da się zrobić nic. Lubiłam zażyłość naszego sekretnego porozumienia, ale teraz nic już nie rozumiałam. Spojrzałam na niego, gdy tak leżał. Moje stoickie dziecko, tak nieruchome. I się rozplakałam. Tak jak to zrobię za chwilę. Uklękałam obok jego ciała i płakałam, płakałam, płakałam.

Irv ruszył na parkiet i otoczył Deborah ramieniem. Szepnął jej coś na ucho. Pokiwała głową, odszepnęła coś w odpowiedzi. Irv jeszcze raz coś szepnął. Deborah pozbierała się i podjęła:

– Długo płakałam. Położyłam mu na piersi głowę i łzy utworzyły małe rzeczki w rowkach między jego żebrami. Byłeś taki chudy, Jacobie. Nieważne, ile byś jadł, sama skóra i kości. Skóra i kości – westchnęła. – Pozwoliłeś mi to ciągnąć przez długi czas, potem zakaszlałeś, gwałtownie poruszyłeś nogami, zakaszlałeś raz jeszcze i powoli wróciłeś do życia. Nigdy nie byłam bardziej wściekła, niż gdy narażałeś się na niebezpieczeństwo. Kiedy nie patrzyłeś w lewo i prawo, kiedy biegałeś z nożyczkami, miałam ochotę cię uderzyć. Właściwie to musiałam się przed tym powstrzymać. Jak mogłeś tak bardzo nie zważać na to, co kochałam najmocniej? Ale wtedy nie byłam zła. Tylko zdruzgotana. „Nigdy więcej tego nie rób”, powiedziałam do ciebie. „Nigdy, ale to nigdy więcej się nie waż”. Ciągle leżąc na wznak, odwróciłeś głowę, by na mnie spojrzeć (pamiętasz to?) i powiedziałeś: „Ale ja muszę”.

Deborah znów zaczęła płakać i podała Irvowi kartkę, z której czytała.

– W zdrowiu i w chorobie – powiedział. – Jacobie i Julio, mój synu i moja córko, tylko choroba istnieje. Jedni ślepną, drudzy głuchną. Jedni łamią sobie kręgosłup, inni doznają okropnych oparzeń. Ale, Jacobie, miałeś rację: będziesz musiał zrobić to znowu. Nie w ramach zabawy, próby czy pokrętnego usiłowania, by coś przekazać, ale naprawdę i na zawsze.

Irv podniósł wzrok znad kartki, obrócił się w stronę Deborah i powiedział:

– Jezu, Deborah, to przygnębiające.

Znów śmiech, ale tym razem z drżących gardeł. Deborah też się roześmiała i wzięła Irva za rękę.

Czytał dalej:

– W chorobie i w chorobie. Tego wam życzę. Nie wypatrujcie ani nie spodziewajcie się cudów. Nie ma cudów. Już nie. I nie ma leków na krzywdy, które najbardziej ranią. Jedyne lekarstwo to wiara w cierpienie drugiej osoby i nasza przy tym obecność.

Kiedy Jacob i Julia skończyli się kochać po raz pierwszy jako mąż i żona, leżeli obok siebie. Ramię w ramię patrzyli w sufit.

– Przemowa mamy była wspaniała – powiedział Jacob.

– Tak – potwierdziła Julia.

– Ale tylko ta część o głuchocie była prawdziwa. Reszta ani trochę – dodał, biorąc ją za rękę.

Szesnaście lat później, jeden na jeden z matką trójki swoich dzieci na werandzie ich domu pod sufitem samej nieskończoności, Jacob wiedział, że wszystko, co powiedziała jego matka, było prawdą. Nawet jeśli nie mógł sobie tego przypomnieć, nawet jeśli się to nie

wydarzyło. Wybrał chorobę, bo nie znał innego sposobu, by zostać dostrzeżonym. Nawet przez tych, którzy go szukali.

Ale wtedy Julia ścisnęła jego rękę. Nie mocno. Na tyle, żeby wyrazić miłość. Odczuwał miłość. Mażeńską, współrodzicielską, romantyczną, przyjacielską, wybaczącą, pełną oddania, zrezygnowaną, uporczywie ufną – jej rodzaj nie miał znaczenia. Tyle czasu spędził w życiu na granicy: analizując miłość, zatajając dobre samopoczucie, wymuszając szczęście. Julia mocniej ścisnęła rękę swego wciąż jeszcze męża, przytrzymała jego oczy w palcach swoich oczu i powiedziała:

- Umarł twój dziadek.
- Przepraszam – zareagował słowem, które zrodziło się w samym jego rdzeniu.
- Przepraszasz?
- Chwila, co? Nie dosłyszałem.
- Twój dziadek. Isaac. Nie żyje.
- Co?

## IV

# Piętnaście dni z pięciu tysięcy lat

### DZIEŃ DRUGI

Poproszony o szacunkowe dane na temat liczby uwięzionych pod gruzami ludzi, szef izraelskiej akcji ratunkowej mówi: „Jedna osoba to o dziesięć tysięcy za dużo”. Dziennikarz nie ustępuje: „Sugeruje pan dziesięć tysięcy?”.

### DZIEŃ TRZECI

Oświadczenie biura prasowego izraelskiego ministra spraw wewnętrznych: „Nie czas na małostkowe kłótnie. Jeśli islamiści chcą kontroli, mogą ją mieć. Jeśli chcą ochrony ich świętych miejsc, mogą na nią liczyć. Ale nie mogą mieć tego i tego”.

Na co wakf<sup>23</sup> odpowiada: „Syjoniści od dawna zbyt nisko oceniają Arabów i od dawna trzymają to, co pożyczili”.

Na co z kolei odpowiada sam minister spraw wewnętrznych: „Izrael nigdy nie ocenia i nigdy nie pożycza”.

### DZIEŃ CZWARTY

Redaktor do spraw dobrych praktyk medialnych „New York Timesa”: „Wielu czytelników zareagowało na użycie słowa «niewspółmierne» we wczorajszych prognozach liczby ofiar na Bliskim Wschodzie”.

W Libanie przywódca Hezbollahu udziela wywiadu, w którym pojawia się stwierdzenie: „Trzęsienie ziemi nie było dziełem natury. I nie było to trzęsienie ziemi”.

Prezenter wieczornych wiadomości w CBS: „I na koniec dzisiejszego wydania iskierka nadziei pośród gruzów. Oto historia małej Adii, trzyletniej palestyńskiej dziewczynki z Nablusu, która straciła rodziców i trzy siostry. Błąkająca się wśród ruin, pozbawiona nawet nazwiska Adia wzięła za rękę amerykańskiego fotoreportera Johna Tirra i za nic nie chciała jej puścić”.

### DZIEŃ PIĄTY

Odpowiedź ambasadora Izraela: „Może powinniśmy spytać trzydziestu sześciu obywateli japońskich, których «samowolnie, niezdarnie i brutalnie» uratowaliśmy, okupiwszy to własną krwią, czy nie woleliby, żeby z powrotem przetransportować ich drogą powietrzną”.

na Wzgórze Świątynne”.

Analitik wojskowy w Fox News na temat nieuzgodnionego z Izraelem wykorzystania tamtejszej przestrzeni powietrznej przez Turcję do transportu zaopatrzenia: „Brak reakcji ze strony Izraela jest albo bezprecedensowym gestem współpracy, albo oznaką niespotykanej słabości Izraelskich Sił Powietrznych”.

Dwudziestodwuletni arabski obywatel Izraela, którego czwórka rodzeństwa zaginęła, wyjaśnia: „Szlana butelka jest bezużyteczna jako broń, tak samo jak jest śmiertelna jako symbol”. Zamieszki, już nie spontaniczne, określa się mianem *tdamar*: uraza.

Prezydent Syrii: „Wchodzący z tą chwilą w życie rozejm i sojusz strategiczny obejmie jedenaście największych ugrupowań rebeliantów”.

## DZIEŃ SZÓSTY

W Rzymie papież oświadcza: „Watykan sfinansuje i będzie nadzorował odbudowę Bazyliki Grobu Świętego”.

Odpowiedź synodu greckiego Kościoła prawosławnego: „Watykan nic takiego nie robi”.

Odpowiedź katolikosów Kościoła ormiańskiego: „Ruiny mają pozostać nietknięte”.

Parlament brytyjski przyjmuje rezolucję, „by zastrzec, że transporty z brytyjską pomocą humanitarną będą dostarczane bezpośrednio do potrzebujących, nie zaś kanałami izraelskimi”.

Młodszy senator z Kalifornii (Żyd): „Izrael bez wątpienia robi, co w jego mocy, by nadzorować jak najszerzej zakrojoną i jak najskuteczniejszą akcję ratunkową. Z pewnością nie może utrzymać terytorium, wyrzekając się zarazem odpowiedzialności za mieszkańców”.

Kanclerz Niemiec: „Jako najbliższy europejski sojusznik doradzamy Izraelowi wykorzystanie tej tragedii jako okazji, by wyciągnąć rękę do arabskich sąsiadów”.

Tajny komunikat króla Jordanii do premiera Izraela: „Nasze zapotrzebowanie na pomoc jest tak wyjątkowe i pilne, że nie jesteśmy już w sytuacji, w której możemy pytać o jej źródła”.

Odpowiedź: „To prośba czy pogrożka?”.

Odpowiedź: „To oświadczenie”.

Amerykańsko-Izraelski Komitet Spraw Publicznych (AIPAC) ogłasza utworzenie dwóch list urzędników państwowych: „obrońców Izraela” i „zdrajców Izraela”. Według pierwszych ustaleń jest pięciuset dwunastu obrońców i stu dwudziestu trzech zdrajców.

Plakat w Ammanie: „Stop cholерze”.

## DZIEŃ SIÓDMY

Odpowiedź egipskiego ministra spraw zagranicznych: „W związku z Marszem Miliona nie możemy powstrzymać ludzi przed demonstrowaniem braterstwa z ofiarami trzęsienia ziemi”.

Ambasador Turcji przy ONZ twierdzi: „Izrael o połowę zmniejszył liczbę statków z pomocą, którym wolno wpłynąć na izraelskie wody”.

Al-Dżazira utrzymuje: „Pomoc medyczna przeznaczona dla ludności Zachodniego Brzegu jest przetrzymywana na kontrolowanych przez Izraelczyków przejściach granicznych”.

Amerykański sekretarz stanu twierdzi: „Izrael w pełni współpracuje ze wszystkimi działającymi w dobrej wierze partnerami”.

Syria twierdzi: „Przenieśliśmy wojska lądowe pod naszą południową granicę dla celów samoobrony”.

Światowa Organizacja Zdrowia: „Epidemia cholery, którą potwierdzono w kilkunastu miastach terytoriów palestyńskich i Jordanii, stanowi nawet większe zagrożenie niż wstrząsy wtórne bądź wojna”. Prezydent Stanów Zjednoczonych w rozmowie telefonicznej z premierem Izraela ponownie potwierdza, że jego kraj zobowiązuje się pomóc w zapewnieniu Izraelowi „wszystkiego, co jest potrzebne, bez ograniczeń”, dodaje przy tym jednak: „To straszne nieszczęście musi zapoczątkować fundamentalną przemianę obowiązujących na Bliskim Wschodzie zasad”.

Prezenter CNN, z palcem wskazującym przyłożonym do słuchawki w uchu: „Przepraszam, że przerywam. Otrzymujemy właśnie doniesienia, że tuż przed dziewiętnastą miejscowego czasu na Bliskim Wschodzie doszło do kolejnego tragicznego trzęsienia ziemi o sile 7,3 stopnia w skali Richtera”.

## DZIEŃ ÓSMY

Z raportu szefa służb inżynierii wodno-lądowej, który za pośrednictwem bezpiecznej wideokonferencji dostarczono do domów członków Knesetu: „Wśród struktur o strategicznym znaczeniu, które uległy takim zniszczeniom, że nie da się ich użytkować, są: Instytut Geofizyczny w Lod, Międzynarodowy Port Lotniczy imienia Ben Guriona, bazy lotnicze Tel Nof i Chacor. Ruch na wszystkich autostradach jest przynajmniej częściowo utrudniony. Porty funkcjonują w stopniu minimalnym. Jeśli chodzi o ha-Kotel<sup>24</sup>, ziemia, która się osunęła, nie naruszyła integralności Wzgórza Świątynnego, ale przyszłe zawirowania natury geologicznej mogą mieć katastrofalne skutki”.

W obliczu wstrząsów wtórnych Arabia Saudyjska i Jordania podpisują porozumienie w sprawie „tymczasowego zjednoczenia”. Na pytanie, dlaczego bezprecedensowo wielkie saudyjskie wsparcie humanitarne obejmuje wojska lądowe, król Arabii Saudyjskiej odpowiada: „Żeby pomóc w odbudowie”. Spytany, dlaczego pomocy towarzyszy dwieście

samolotów bojowych, odpowiada: „To nieprawda”.

Izrael odmawia uznania Transarabii, tym samym nadając jej nazwę.

Iran zapewnia, że „Jordania w nikiem nie znajdzie większego sprzymierzeńca niż w Iranie”, tym samym odmawiając uznania Transarabii.

Rada Praw Człowieka ONZ przyjmuje rezolucję potępiającą „katastrofalny kryzys wywołany przez jednostronne, niezapowiedziane i całkowite wycofanie się Izraela z terytoriów okupowanych”. Żadne z państw członkowskich nie wstrzymuje się od głosu. Żadne nie głosuje przeciwko rezolucji.

Zapytany, dlaczego Egipt unieważnia traktaty z Izraelem, głównodowodzący egipskich sił zbrojnych odpowiada: „Wszelkie układy i porozumienia zawarto w okolicznościach, które już nie istnieją”. Na pytanie, czy Egipt nadal będzie uznawał istnienie państwa Izrael, mówi: „To czysta semantyka”.

Przed salą wykładową Uniwersytetu Georgetown, gdzie izraelski biolog molekularny przedstawia gościnny referat na temat rozpoznawania pluripotentnych komórek embrionalnych nowotworu złośliwego, skandowanie: „Wstydz się, Izraelu! Wstydz się, Izraelu!”.

Trzystu siedemdziesięciu pięciu obrońców i dwustu sześćdziesięciu zdrajców.

„I na koniec wieczornego wydania najświeższe informacje na temat historii, która podbiła serca wielu ludzi na całym świecie – tej o małej Adii. Z troską, ale i nadzieją oraz prośbą o modlitwę donosimy, że zorganizowany na oczekaniu sierociniec, w którym zatrzymała się Adia, w wyniku wczorajszych wstrząsów wtórnych częściowo się zawalił. Uważa się, że część mieszkańców zdołała uciec, choć – podobnie jak w przypadku wielu innych osób – miejsce pobytu Adii jest nieznane”.

## DZIEŃ DZIEWIĄTY

Grupka izraelskich ekstremistów udających mechaników przedostaje się do Kopyły na Skale i podpala ją. Podpalacze zostają szybko zatrzymani. Premier Izraela wydaje oświadczenie, nazywając usiłowanie podpalenia akcją terrorystyczną.

„Financial Times”: „Deklaracja posłuszeństwa Hamasu wobec Państwa Islamskiego stanowi kolejny krok naprzód ku bezprecedensowemu zjednoczeniu świata muzułmańskiego”.

Z raportu izraelskiego ministra zdrowia przekazanego premierowi: „Szpitale działają z pięćdziesięciokrotnym obciążeniem, a dopływ amerykańskich środków medycznych nie jest wystarczająco szybki ani duży. Epidemia cholery jest nieunikniona, podobnie jak epidemie czerwonki i tyfusu. Wraz ze zbliżaniem się wojny konieczne jest podjęcie trudnych



decyzji w kwestii priorytetów”.

Podczas pośpiesznie zorganizowanego przemówienia na placu Azadi w Teheranie przed tłumem około dwustu tysięcy ludzi ajatollah monotonicznie recytuje: „O Żydzi, nadeszła wasza godzina! Spaliliście naszą Kopułę na Skale, więc teraz na ogień odpowiemy ogniem! Spalimy wasze miasta i wsie, szkoły i szpitale, każdy dom! Żaden Żyd nie będzie bezpieczny!”.

## DZIEŃ DZIESIĄTY

W codziennym orędziu do narodu premier Izraela mówi: „Powody porannych działań są proste: wydalając wakf ze Wzgórza Świątynnego i rozmieszczając tam Siły Obronne Izraela, możemy pokazać światu, że Kopuła na Skale doznała minimalnych uszkodzeń i że jesteśmy w stanie chronić cały teren dopóty, dopóki będzie w niebezpieczeństwie”.

Trzy największe europejskie sieci supermarketów usuwają koszerne produkty z półek w obawie przed protestami. W odpowiedzi torysowski poseł tweetuje: „ŻYDZI to nie IZRAELCZYCY! Jak ŚMIECIE! #ŻydziSąKoszerni”.

Amerykański komentator polityczny w reakcji na wspólne wypowiedzenie wojny przez Syrię, Egipt, Liban i Transarabię: „Była to nieunikniona odpowiedź na zajęcie Wzgórza Świątynnego przez Siły Obronne Izraela, ale ataki rakietowe i potyczki powietrzne trwają od tygodnia. Teraz to oficjalne”.

Ultraortodoksyjni mieszkańcy Jerozolimy rozpuszczają plotkę, że „Mesjasz stoi u drzwi”.

Amerykański prezydent, zwracając się do wspólnego posiedzenia obu izb Kongresu: „Izrael musi natychmiast zrzec się kontroli nad Wzgórzem Świątynnym na rzecz międzynarodowych sił pokojowych, powstrzymać się od jakichkolwiek militarnych działań odwetowych i wznowić udział w akcji ratunkowej na terytoriach okupowanych. Jeśli Izrael wypełni swoje obowiązki, będzie miał bezwarunkowe i nieograniczone poparcie Stanów Zjednoczonych”.

AIPAC dołącza prezydenta USA do listy zdrajców.

## DZIEŃ JEDENASTY

Artykuł wstępny w „The Guardian”: „Problem nie tyle w tym, kto zatknął flagę Izraela na Wzgórzach Świątynnym, ile w tym, dlaczego jej nie ściągnięto. Bierność Izraela zdaje się mieć na celu zaognienie konfliktu”.

Kalif Państwa Islamskiego ogłasza tymczasową jedność z „niewiernym rządem syryjskim

i Hezbollahem”.

Rzecznik tureckich sił powietrznych: „Wirus komputerowy, który zaatakował nasz system kontroli lotów, prowadząc dziś rano do licznych katastrof, był aktem agresji”.

Izraelski premier zapewnia prezydenta Stanów Zjednoczonych, że Izrael nie stworzył ani nie wprowadził rzekomego wirusa.

Prezydent Stanów Zjednoczonych proponuje premierowi Turcji bezprecedensową pomoc i zaawansowaną technologicznie broń w zamian za obietnicę niewłączenia się do wojny.

Algieria, Bahrajn, Katar, Komory, Dżibuti, Irak, Iran, Jemen, Kuwejt, Libia, Mauretania, Maroko, Oman, Pakistan, Somalia, Sudan, Tunezja i Zjednoczone Emiraty Arabskie wypowiadają wojnę Izraelowi.

Stany Zjednoczone odwołują „przerwę wykonawczą” w sprzedaży Egiptowi sześćdziesięciu rakiet typu Harpoon, stu osiemdziesięciu pięciu „zestawów modernizacyjnych” czołgów podstawowych M1A1 Abrams, dwudziestu myśliwców F-16 i pięciuset rakiet Hellfire II produkcji amerykańskiej. Departament Stanu odmawia komentarza.

Prezes oddziału Fundacji Hillela na Uniwersytecie Columbia, komentując pierwsze antyizraelskie demonstracje zainicjowane przez żydowskich studentów: „Dążenie do sprawiedliwości, szczególnie gdy wymaga to introspekcji i pokory, leży u samych podstaw naszej misji: wzbogacenia życia żydowskich studentów, tak by mogli wzbogacić naród żydowski i świat”.

CNN: „Potwierdziliśmy doniesienia, że amerykański samolot transportowy rozbił się w drodze na lotnisko na pustyni Negew”.

Dwustu osiemdziesięciu dziewięciu obrońców i dwustu czterdziestu sześciu zdrajców.

DZIEŃ DWUNASTY

Na okładce „New York Post”: wciąż wzniesiona flaga izraelska pod nagłówkiem: KOPUŁA SKANDALEM!

Albania, Azerbejdżan, Bangladesz, Gambia, Gwinea, Kosowo, Kirgistan, Malediwy, Mali, Niger, Senegal, Sierra Leone, Tadżykistan, Turkmenistan i Uzbekistan wypowiedziały wojnę Izraelowi.

Ajatollah publikuje list otwarty do „arabskich braci Iranu”, który kończy się słowami: „Wasza niechęć, by dopuścić nas do teatru działań wojennych, przyniesie wam zgubę. Bez względu na różnice między nami to nasz czas”.

Amerykański sekretarz stanu proponuje premierowi Izraela „tyle wsparcia, ile będzie potrzebne” w zamian za kontrolę nad działaniami wojennymi i arsenałem jądrowym Izraela. Po bezzwłocznym odrzuceniu propozycji premier pyta: „Dlaczego nie rozmawiam teraz z prezydentem?”.

Młoda matka w Tel Awiwie: „Rakiety są nieustępliwe, ale ścieki miejskie zalały schrony, więc na zewnątrz czekamy na to, co się wydarzy”.

W Brukseli przewodniczący Unii Europejskiej wygłasza przemówienie, w którym stwierdza, że „katastrofa na Bliskim Wschodzie obnaża nieudany eksperyment”.

Izrael wypowiada wojnę „wszystkim, którzy usiłują zniszczyć państwo żydowskie”.

## DZIEŃ TRZYNASTY

NPR: „«Marsz Miliona» nigdy nie był stosowną nazwą. Kiedy był to zwarty marsz, liczył nie więcej niż pięćdziesiąt tysięcy uczestników. Teraz to wiele nieskoordynowanych akcji – różne źródła, wspólny cel podróży: Jerozolima – a liczbę ich uczestników szacuje się nawet na dwa miliony”.

Według sondażu Centrum Badań PEW pięćdziesiąt osiem procent amerykańskich Żydów uważa, że Stany Zjednoczone powinny przystąpić do wojny.

Associated Press donosi: „Kilka plemion Beduinów z pustyni Negew utrzymuje, że władze izraelskie rozdają jodek potasu mieszkającym w pobliżu reaktora jądrowego w Dimonie Izraelczykom, ale im nie”.

Izrael nie udziela w tej sprawie odpowiedzi, nie odpowiada też na wojowniczą retorykę Turcji, na twierdzenia, że obiera za cel obiekty użyteczności publicznej w największych miastach Syrii, Egiptu, Libanu i Transarabii, na okupację turystycznego miasta Ejlat przez transarabską armię ani nie komentuje postanowienia Sił Obronnych Izraela, by bezwzględnie usunąć Izraelczyków pochodzenia arabskiego z izraelskiego wojska, jednocześnie w ramach „wsparcia paramilitarnego” powołując do niego wszystkich Żydów – kobiety i mężczyzn – powyżej szesnastego roku życia.

W opublikowanych w najważniejszych gazetach całej Ameryki ogłoszeniach podpisanych przez stu ewangelickich przywódców pada zdecydowane: „Wszyscy jesteśmy syjonistami”.

Oświadczenie Organizacji Narodów Zjednoczonych: „W związku z liczbą uchodźców po trzęsieniach ziemi szacowaną na ponad dwadzieścia milionów, epidemią cholery, dyzenterii i duru brzuszego, która przynosi więcej ofiar niż trzęsienia ziemi i wojna, a także w obliczu skrajnego braku żywności, wody pitnej i leków Bliski Wschód staje przed kryzysem humanitarnym niespotykanych rozmiarów. Albo odpowiemy na ten kryzys natychmiast,

i to z pełną determinacją, albo będziemy musieli stawić czoło dekadom globalnej destabilizacji i największym stratom wśród ludności cywilnej od czasu drugiej wojny światowej”.

## DZIEŃ CZTERNASTY

Rzecznik Transarabii: „Betlejem i Hebron nie zostały podbite, tylko odzyskane. Ten historyczny triumf nie byłby możliwy bez naszych walecznych braci z Maroka, Algierii, Libii i Pakistanu”.

Amerykański prezydent do izraelskiego premiera: „To był Mosad. Samolot należał do nas i Turcji”.

„Jaki interes miałyby Izrael w zestrzeleniu samolotu ostatniego niebiorącego udziału w walce państwa w regionie, a tym bardziej naszego najbliższego i najbardziej nieodzownego sprzymierzeńca?”

„Sobie powinniście zadać to pytanie”.

„Daję panu słowo: Izrael nie był w żaden sposób zamieszany w zestrzelenie amerykańskiego samolotu”.

Turcja wypowiada wojnę „wspólnie z naszymi braćmi w wierze przeciwko całej syjonistycznej nacji”.

Trzystu jeden obrońców i trzystu trzydziestu czterech zdrajców.

Ocena sytuacji militarnej przekazana premierowi Izraela: „Siły Obronne Izraela są bliskie klęski na północy i wschodzie. 5, 7 i 9 dywizje Armii Syryjskiej w pełni kontrolują Wzgórza Golan i przygotowują ofensywę mającą na celu zdobycie Galilei. Wojska Transarabii przedostały się na pustynię Negew”.

Rzecznik izraelskich osadników opierających się ewakuacji: „Umrzemy w naszych domach”.

## DZIEŃ PIĘTNASTY

Notatka służbowa ministerstwa obrony dla premiera Izraela:

Poniżej nasza odpowiedź na Pańską prośbę o trzy rozwiązania strategiczne mające szanse powodzenia, które mogą przynieść zwycięstwo w wojnie.

Strategia nr 1: Na wyniszczenie

Izrael dysponuje lepszymi środkami medycznymi, choroby epidemiczne zabijają w szybszym tempie niż działania wojenne, a utrzymanie pozycji obronnych jest mniej kosztowne niż prowadzenie ofensywy. Wycofamy się w granice, które da się obronić,

wzmocnimy już i tak solidne siły wojskowe i pozwolimy, by wojna została wygrana biologicznie. Przyspieszymy ten proces, zakłócając dostawy leków i – co ważniejsze – wody. W tej kwestii możliwe jest podjęcie aktywniejszych kroków (do osobistego omówienia).

### Strategia nr 2: Druzgocące posunięcie

Atak jądrowy byłby przytłaczającym pokazem siły, ale wiąże się ze zbyt wielkim ryzykiem, jeśli chodzi o niemożliwe do opanowania konsekwencje, w tym odwet i odpowiedź Amerykanów. Zamiast tego proponujemy dwa radykalne natarcia konwencjonalne: jedno na wschodzie, drugie na zachodzie. Najbardziej efektywnym celem na zachodzie jest Wielka Tama Asuańska. Dziewięćdziesiąt pięć procent ludności Egiptu żyje w promieniu dwunastu mil od Nilu, a tama zapewnia ponad połowę krajowej energii. Po jej zniszczeniu Jezioro Namera wyleje w dół rzeki, zalewając praktycznie cały Egipt (ogromna liczba ofiar, prawdopodobnie idąca w miliony). Egipt jako społeczeństwo przestanie funkcjonować. Na wschodzie zbombardujemy główne szyby naftowe Transarabii, paraliżując zdolność Arabów do prowadzenia wojny.

### Strategia nr 3: Powrót diaspory

Choć wojna ujawniła pogłębiającą się przepaść między władzami Izraela i Stanów Zjednoczonych, a także między amerykańskimi i izraelskimi Żydami, Izrael – za pomocą odpowiedniej kampanii wizerunkowej uwieńczonej przemówieniem premiera – nakłoni sto tysięcy amerykańskich Żydów do przyjazdu do Izraela w celu wsparcia wysiłku wojennego.

Będzie to niezmiernie kosztowne przedsięwzięcie logistyczne, które odciągnie uwagę żołnierzy od planowania i przeprowadzenia operacji wojskowych, a także zmieni przeznaczenie sprzętu i nacisk strategiczny. Większość wolontariuszy nie będzie posiadać wyszkolenia wojskowego ani doświadczenia, nie będzie też nadawać się do walki ani mówić po hebrajsku. Ich obecność zmusi jednak Amerykę do udziału zbrojnego. Prezydent Stanów Zjednoczonych może patrzeć na rzeź ośmiu milionów Żydów izraelskich, ale nie stu tysięcy Żydów amerykańskich.

W oczekiwaniu na Pańską odpowiedź przygotowujemy wyczerpujący i szczegółowy tryb postępowania.

V

Nie mieć wyboru to też jakiś wybór

## Słowo na „i”

– Dzień dobry. Chciałbym złożyć najszczerze kondolencje i zapewnić o niesłabnącym wsparciu Amerykanów dla mieszkańców regionu dotkniętego wczorajszym trzęsieniem ziemi. Nadal nie znamy całkowitej skali zniszczeń, ale obrazy całych dzielnic, które legły w gruzach, a także ojców i matek szukających dzieci pośród ruin rozdzierają serce. W przypadku regionu, któremu cierpienie nie jest obce, tragedia ta wydaje się wyjątkowo bolesna i niepojęta. Myślą i modlitwą jesteśmy z mieszkańcami Bliskiego Wschodu, a także z tymi wszystkimi w Stanach Zjednoczonych, którzy nie znają jeszcze losów swoich bliskich w rodzinnych stronach. Poleciałem rządowi, by z wykorzystaniem wszelkich środków, jakimi dysponują Stany Zjednoczone, zareagował na niecierpiące zwłoki zadanie uwolnienia ludzi uwięzionych pod gruzami i by niósł pomoc humanitarną, która będzie potrzebna w nadchodzących dniach i tygodniach. W tych staraniach nasz rząd, zwłaszcza Amerykańska Agencja do spraw Rozwoju Międzynarodowego, Departament Stanu i Departament Obrony, podjął bliską współpracę z partnerami w regionie i na całym świecie. Kilka spraw jest bezwzględnie najważniejszych. Po pierwsze, intensyfikujemy wysiłki, by jak najszybciej wyjaśnić sytuację pracowników ambasad i ich rodzin w Tel Awiwie, Ammanie i Bejrucie, a także obywateli Stanów Zjednoczonych, którzy pracują i mieszkają w regionie. Amerykanów próbujących odnaleźć członków swych rodzin zachęcamy do kontaktowania się z Departamentem Stanu pod numerem 299-306-2828.

– Powiedz to – zwrócił się Tamir do ekranu.

– Po drugie – ciągnął prezydent, lekceważąc Tamira – zmobilizowaliśmy środki, by pomóc w akcji ratunkowej. W przypadku kataklizmów takich jak ten pierwsze dni są rozstrzygające, jeśli chodzi o ratowanie życia i uniknięcie większej tragedii, toteż poleciałem mojemu zespołowi, by na tyle, na ile to możliwe, szukał pomocy w terenie i koordynował działania z naszymi międzynarodowymi partnerami.

– Powiedz to słowo!

– Po trzecie, wzięwszy pod uwagę, jak wielu różnych surowców i środków potrzeba, podejmujemy kroki, by zagwarantować, że wspomagające nas rządy będą działać w jednolity sposób. Na naszego koordynatora do spraw klęski żywiołowej wyznaczyłem dyrektora Amerykańskiej Agencji do spraw Rozwoju Międzynarodowego, doktora Philipa Shawa. Akcja ratunkowa i przywrócenie stabilizacji w regionie będą zadaniem złożonym i ambitnym. Przerzuciwszy środki na Bliski Wschód, będziemy blisko współpracować z naszymi partnerami w terenie, w tym z miejscowymi strukturami rządowymi, jak również organizacjami pozarządowymi i misjami ONZ (które, jak się zdaje, także poniosły straty) oraz naszymi partnerami w regionie i na całym świecie. Ten wysiłek naprawdę musi mieć charakter międzynarodowy.

– Powiedz to słowo!

Po raz pierwszy od wielu lat, a może i po raz pierwszy w ogóle, Jacob przypomniał sobie zabawkę Mów i Literuj firmy Texas Instruments, którą miał w dzieciństwie. Pewnego lata zabrał ją ze sobą na plażę. Stopiła się na stole piknikowym i nie przestawała powtarzać „Powiedz to”, nawet gdy była wyłączona – jak duch: „Powiedz to, powiedz to, powiedz...”.

– Na koniec niech wolno mi będzie powiedzieć, że w tych czasach przypominamy sobie o zwykłym człowieczeństwie, które nas wszystkich łączy. Mimo że wielu z was doświadcza trudnych chwil tu, w domu, chciałbym zachęcić Amerykanów pragnących wesprzeć jakże niezbędne wysiłki humanitarne, by weszli na stronę WhiteHouse.gov, gdzie można się dowiedzieć, jak pomóc. To nie czas na chowanie się za granicami, lecz na podjęcie wysiłku na rzecz mieszkańców Bliskiego Wschodu. Musimy być gotowi na trudy najbliższych godzin i dni, kiedy poznamy rozmiary tragedii. Będziemy się modlić za ofiary i ich rodziny. Nasza reakcja będzie energiczna i stanowcza. Przrzekam także całemu regionowi, że w Stanach Zjednoczonych Ameryki ma dzisiaj i będzie mieć w przyszłości przyjaciela oraz partnera. Niech Bóg błogosławi was i tych, którzy pracują na waszą rzecz. Dziękuję bardzo.

– Po prostu nie mógł się zmusić, żeby to powiedzieć.

– Najwyraźniej ty też nie możesz.

Tamir posłał Jacobowi najbardziej irytujące spojrzenie, jakie można sobie wyobrazić: kryło się w nim podszyte ironią założenie, że Jacob chyba sobie żartuje – z pewnością musi żartować.

– Ale co? „Pomoc”? „Armia”?

Tamir wyłączył dźwięk w telewizorze, w którym teraz leciały już obrazy myśliwców zostawiających za sobą wielkie smugi dymu, i powiedział:

– Izrael.

– Nie bądź śmieszny.

– Sam nie bądź.

– Oczywiście, że to powiedział.

– Oczywiście, że nie.

– Tak. Powiedział „na rzecz mieszkańców Izraela”.

– „Mieszkańców regionu”.

– No cóż, na pewno mówił o Tel Awiwie.

– Ale na pewno nie wspominał o Jerozolimie.

– Wspominał. A jeśli nie, choć jestem pewien, że to zrobił, to wyłącznie z w pełni uzasadnionych powodów, o których wiesz.

– Przypomnij mi, co takiego wiem.

Zadzwonił telefon Tamira i jak w przypadku każdego telefonu od czasu trzęsienia ziemi nie musiał dzwonić dwa razy. Mogły to być wiadomości od Rywki albo Noama. Mogła to być odpowiedź na jedną z jego kilkunastu prób powrotu do domu. Wcześniej rano przyszedł mejl, więc Tamir wiedział, że są bezpieczni. Ale los niezliczonych krewnych i przyjaciół pozostawał nieznany.

Z góry dzwonił Barak z pytaniem, czy może skorzystać z jego iPada.

– A co jest nie tak z twoim?

– Potrzebujemy dwóch.

Tamir się rozłączył.

– To katastrofa dla regionu – podjął Jacob – nie tylko dla Izraela. I to geologiczna, a nie polityczna.

– Nic nie jest oderwane od polityki – stwierdził Tamir.

– Ale to jest.

– Zaczekaj tylko.



– A gdybyście odrobinę mniej nalegali, żeby o was wspomnieć, nieco łatwiej byłoby to zrobić.

– Ach...

– Co?

– To nasza wina.

– Nie tak to miało zabrzmieć.

– A mógłbym cię spytać – ciągnął Tamir – kim są „wy”? Kiedy mówisz, „gdybyście odrobinę mniej nalegali”, kogo masz na myśli?

– Was.

– Nas, Tamira i Baraka?

– Was. Izraelczyków.

– Izraelczyków. W porządku. Chciałem się tylko upewnić, że nie chodziło ci o Żydów.

– Posłuchaj, to było oświadczenie, a on zachował ostrożność.

– Ale przecież to oderwane od polityki.

– Prezydent nie chciał *robić* z tego polityki.

– To jakie mamy plany? – spytała Julia, wchodząc do pokoju.

– Rezydencja Dumbarton Oaks – odparł Jacob.

– Julio – powiedział Tamir, odwracając się w jej stronę – pozwól, że cię o coś spytam. Czy odczuwasz potrzebę zachowania ostrożności, gdy ucierpiał któryś z twoich przyjaciół?

– Teoretycznie?

– Nie, naprawdę.

– O jaki uraz chodzi?

– O coś poważnego.

– Nie wiem, czy któremukolwiek z moich przyjaciół stało się coś poważnego.

– No to teoretycznie.

– Teoretycznie? Tak, byłabym ostrożna. Jeśli byłoby to konieczne.

– A ty? – spytał Tamir Jacoba.

– Oczywiście, że zachowałbym ostrożność.

– I tu się różnimy.

– Jesteś nieostrożny?

– Jestem lojalny.

– Lojalność nie wymaga lekkomyślności – powiedziała Julia, jakby brała stronę Jacoba, choć wcale nie miała na to ochoty, zwłaszcza że nie wiedziała, czego dotyczy rozmowa.

– Owszem, wymaga.

– I nikomu na nic się nie zda lojalność, która pogarsza sytuację – dodał Jacob, pragnąc, by Julia czuła, że może liczyć na jego wsparcie.

– Chyba że sytuacja i tak się pogorszy. Twój ojciec zgodziłby się ze mną.

– Co dowodzi tylko trzeźwości mojej argumentacji.

Tamir zareagował na to śmiechem. A jego śmiech obniżył rosnącą temperaturę o połowę, rozładowując napięcie.

– Gdzie mają najlepsze sushi w Waszyngtonie? – spytał.

– Nie wiem – przyznał Jacob. – Wiem za to, że nie jest tak dobre, jak najgorsze sushi w Izraelu, które jest lepsze od najlepszego sushi w Japonii.

– Chyba tu zostanie, skoro dziś wychodzicie – oznajmiła Julia. – Muszę nadgonić

zaległości w paru sprawach.

– A cóż to za sprawy? – spytał Tamir tak, jak mógłby to zrobić tylko Izraelczyk.

– Barmicwowe.

– Myślałem, że bar micwa odwołana.

Julia spojrzała na Jacoba.

– Mówiłeś mu, że ją odwołano?

– Nie.

– Nie okłamuj żony – powiedział Tamir.

– Dlaczego ciągle to powtarzasz?

– Ciągle tak mówi? – spytała Julia.

– Nie potrafisz tego dostrzec – stwierdził Jacob – ale on ciągle daje mi znaki. Tak ci tylko mówię.

Tamir znów wysłał w stronę Jacoba niewidzialny znak i powiedział:

– Mówiłeś, że w związku ze śmiercią Isaaca, trzęsieniem ziemi i tym, co wydarzyło się między wami dwojgiem...

– Nic nie mówiłem – uciął Jacob.

– Nie okłamuj żony, Jacob.

– O czym? O Marku? – spytała Julia. – A mówiłeś mu o swoim telefonie?

– Nie mówiłem mu o niczym, o czym ty byś mu nie powiedziała.

– Zresztą to nie moja sprawa – powiedział Tamir.

– Powiedziałem mu, że dyskutujemy, jakie zmiany wprowadzić do bar micwy. W świetle, no wiesz, wszystkiego – Jacob zwrócił się wyłącznie do Julii.

– Zmiany do czego? – spytał Sam.

„Jak dzieci to robią?” – zastanawiał się Jacob. Nie tylko wchodzą do pokoju bezgłośnie, ale do tego w najbardziej nieodpowiednim momencie.

– Do twojej bar micwy – powiedział Max.

A ten skąd się wziął?

– Mama i ja rozmawialiśmy o tym, jak dopilnować, żeby bar micwa wypadła dobrze w kontekście... No wiesz.

– Trzęsienia ziemi?

– Jakiego trzęsienia? – spytał Benjy, nie odrywając wzroku od labiryntu, który rysował.

Cały czas tam był?

– I pradziadka – dodał Jacob.

– Tata i ja...

– Możecie po prostu powiedzieć „my” – stwierdził Sam.

– Sądzimy, że kapela jest nie na miejscu – powiedział Jacob, przejmując w tej rozmowie rodzicielskie obowiązki w ramach próby zademonstrowania Julii, że on również jest w stanie przekazać trudne wieści.

– W porządku. I tak ssali pałkę – skwitował Sam.

Bardzo trudno o owocny dialog z trzynastoletnim chłopcem, ponieważ każda ostrożnie poruszona kwestia staje się przedmiotem Fundamentalnej Rozmowy, wymagając systemu obronnego i przeciwuderzeń w odpowiedzi na ataki, których nie przypuszczono. To, co zaczyna się niewinną uwagą na temat nawyku zostawiania rzeczy w kieszeniach brudnych ubrań, kończy się obwinianiem rodziców o to, że Sam jest w dwudziestym ósmym

percentylu wzrostu, co sprawia, że ma ochotę popełnić samobójstwo na YouTube.

– Wcale nie ssali – odparł Jacob.

– Kiedy mamusia zaparkowała samochód, nie stał dobrze, więc go wziętem i postawiłem gdzie trzeba – powiedział wciąż skupiony na swoim labiryncie Benjy.

– Dziękuję ci, synku – odparła Julia, a potem zwróciła się do Sama: – Można było to ująć nieco ładniej.

– Jezu, to nie wolno mi już mieć własnego zdania? – zachnął się Sam.

– Ale chwileczkę – zaczął Jacob. – To ty ich wybrałeś. Nie mama. Ani ja. Ty. Oglądałeś klipy sześciu różnych kapel i to twoje zdanie zadecydowało o tym, że Electric Brigade zagra na twojej bar micwie.

– Byli najmniej żałośni z trzech totalnie żałosnych opcji, a poza tym wybrałem ich pod przymusem. To nie to samo, co być psychofanką.

– Pod jakim przymusem?

– Pod przymusem bycia zmuszonym do bar micwy, mimo że wiecie, że całe to gównu uważam za gównu warte.

Jacob próbował oszczędzić Julii roli tej, która znowu nie życzy sobie takiego języka:

– „Całe to gównu gównu warte”, Sam?

– Czy to brzydkie użycie?

– Mocno niedoskonałe. I spróbuj uwierzyć, kiedy mówię, że byłbym naprawdę szczęśliwy, nie płacąc zupełnie przeciętnemu Electric Brigade pięciu tysięcy dolarów za odegranie złych coverów kiepskich piosenek.

– Ale rytuał przejścia nie podlega dyskusji – upewnił się Sam.

– Tak – powiedział Jacob – zgadza się.

– Ponieważ nie podlegał dyskusji w twoim wypadku, w wypadku...

– Znowu masz rację. Tak właśnie postępują Żydzi.

– Nie dyskutują?

– Obchodzą bar micwę.

– Ach... Zupełnie źle to wszystko odbierałem. Ale skoro już uświadomiłem sobie, że obchodzimy bar micwę, bo obchodzimy bar micwę, czuję, że naprawdę powinienem poślubić Żydówkę i spłodzić Żydowiątka.

– Powinieneś trochę przyhamować – oświadczyła Julia.

– I na pewno nie chcę być pochowany – powiedział Sam. Fundamentalne pojawiło się w zasięgu wzroku. – Zwłaszcza jeśli wymaga tego żydowskie prawo.

– To poddaj się kremacji jak ja – powiedział Max.

– Albo nie umieraj – zasugerował Benjy.

Jak dyrygent uciszający muzyków Julia rzuciła krótkie i surowe: „Wystarczy” i to było na tyle. Co było w niej takiego strasznego? Co w mierzącej sto sześćdziesiąt dwa centymetry wzrostu kobiecie, która nigdy nie uciekała się do psychicznej ani emocjonalnej przemocy ani nawet nie była w stanie do końca wymierzyć kary, przerażało jej męża i dzieci do granic bezwarunkowej kapitulacji?

Jacob przerwał przerwę:

– Chcieliśmy wyczuć wszystkich na przejawy nadmiernej radości życia w obliczu śmierci pradziadka. Nie wspominając o trzęsieniu ziemi. Byłoby to w złym guście i po prostu źle by wyglądało.

– *Przejawy radości życia?* – podchwycił Sam.

– Mówię tylko, że konieczne jest pewne wyczulenie.

– Pozwólcie, że powiem wam, jak należy na to spojrzeć – zaczął Tamir.

– Może później – zasugerował Jacob.

– A więc żadnego zespołu – powiedział Sam. – Czy to wystarczy, by mieć pewność, że nie będziemy przejawiać radości życia?

– W Izraelu z okazji bar micwy nie ma nawet przyjęć – wtrącił Tamir.

– *Mazel tow* – życzył mu Jacob. A potem zwrócił się do Sama: – Być może pomnę też księgę gości.

– Którą zawsze miałem ochotę odpuścić – odparł Sam.

– Którą przygotowywałam dla ciebie przez trzy tygodnie – powiedziała Julia.

– Przygotowałaś ją w trzy tygodnie – poprawił Jacob.

– Co?

– Nie spędziłaś nad nią trzech tygodni.

– Dlaczego wydaje ci się, że to istotne uściślenie?

Nagle przestało mu się wydawać istotne, więc zmienił kurs:

– Myślę, że powinniśmy się też zastanowić nad zmianą ozdób na środku stołów.

– Dlaczego? – spytała Julia, zaczynając rozumieć, że to jej Jacob wszystko odbiera, a nie Samowi.

– Nigdy nie mogłem pojąć tego pragnienia amerykańskich Żydów, by posługiwać się słowami, których nie rozumieją – oznajmił Tamir. – Odnajdywanie znaczenia w braku znaczenia... Nie kapuję tego.

– Są... radosne – powiedział Jacob.

– Są gustowne.

– Chwileczkę, to co zostało? – spytał Sam.

– Co zostało?

– Właśnie – przytaknął Tamir.

– *Zostało* tyle – powiedział Jacob, kładąc Samowi rękę na ramieniu, zanim ten zdążył się cofnąć – że *zostaniesz* mężczyzną.

– *Zostało* tyle – podjęła Julia – że będziesz razem z rodziną.

– Jesteście największymi szczęściarzami w historii świata – stwierdził Tamir.

– Staramy się – Jacob zwrócił się do Sama, który spuścił wzrok i powiedział:

– Ale przypał.

– Wcale nie – powiedziała Julia. – Sprawimy, że będzie naprawdę wyjątkowo.

– Nie mówiłem, że będzie przypał. Powiedziałem „ale przypał”. Tutaj. Teraz.

– Wolałbyś być w chłodni jak pradziadek? – spytał Jacob, zaskoczony swoimi słowami równie mocno, jak pozostali. Jak w ogóle mógł tak pomyśleć, a tym bardziej powiedzieć? Albo tak: – A może wolałbyś leżeć uwięziony pod gruzami w Izraelu?

– Taki mam wybór? – spytał Sam.

– Nie, ale to bardzo przydatna perspektywa. Spójrz tam – powiedział Jacob, wskazując na wyciszony telewizor, w którym pokazywano wielkie maszyny do robót ziemnych, opony z przymocowanymi do nich drabinkami, odwalające gruzy.

Sam przyjął to do wiadomości, pokiwał głową i odwrócił spojrzenie, by przypadkiem nie napotkać wzroku rodziców.

– Żadnych kwiatów – powiedział.

– Żadnych kwiatów?

– Zbyt piękne.

– Nie jestem przekonana, czy piękno stanowi problem – stwierdziła Julia.

– Problem – zaczął Tamir – w tym...

– Jego część – powiedział Sam, zagłuszając Tamira – więc pozbądźcie się ich.

– Cóż, nie wydaje mi się, żebyśmy mogli się ich pozbyć – stwierdził Jacob – skoro już za nie zapłaciliśmy. Ale możemy spytać, czy da się zmienić wystrój bardziej w stronę czegoś, co pasuje do...

– I dajmy sobie też spokój z jarmułkami z monogramem.

– Dlaczego? – spytała Julia, zraniona tak, jak mógłby się poczuć zraniony jedynie ktoś, kto spędził sześć godzin, wybierając krój czcionki, kolor i materiał na jarmułki.

– Są ozdobne – odparł Sam.

– Dobrze – powiedział Jacob – może byłoby to nieco niesmaczne, zważywszy na okoliczności.

– Nie w smak mi to – stwierdziła Julia.

– Problem... – znów zaczął Tamir.

– Zapewne rozumie się to samo przez się – stwierdził Sam, jak zawsze gdy miał powiedzieć coś, co nie było zrozumiałe samo przez się – ale nie będzie imprezowych upominków dla gości.

– Przepraszam, ale muszę postawić jakąś granicę – powiedziała Julia.

– W sumie myślę, że on ma rację – oświadczył Jacob.

– Tak? – upewniła się Julia. – W *sumie*?

– Tak – powiedział Jacob, choć w sumie nie spodobało mu się to przedrzeźnione „w sumie”. – Upominki dla gości oznaczają...

– Problem...

– Oczywiście, że nie.

– Imprezowe upominki, Julio.

– Oznaczają pewien zwyczaj, którego niedopełnienie sugerowałoby z kolei skrajną niegrzeczność, Jacobie.

– Zwyczaj będący zwieńczeniem imprezy.

– A więc za tektonikę płyt i śmierć pradziadka ukarzymy przyjaciół Sama?

– Karą dla trzynastolatka jest obarczanie dalekich i zupełnie zaniedbanych krewnych Sama workami na śmieci pełnymi turystycznego baracha ze stron, z których pochodzą, i nazywanie tego upominkiem.

– Może i oznaczają imprezę, ale ty oznaczasz dupka – powiedziała Julia.

– Uuu! – mruknął Barak.

A tego skąd przywiało?

– Słucham? – spytał Jacob dokładnie tak, jak zrobiłaby to Julia.

– Przecież nie recytuję Tory – odparła Julia. – Wszyscy wiemy, co to znaczy.

– Co w ciebie wstąpiło?

– To, co zawsze we mnie było.

Ekran telewizora wypełnił się maleńkimi rozbłyskami jak świetlikami zamkniętymi w słoiku.

– Problem – powiedział Tamir, podnosząc się z miejsca – polega na tym, że macie za mało problemów.

– Mogę stwierdzić oczywisty fakt? – spytał Sam.

– Nie – równocześnie odpowiedzieli jego rodzice z nieczęstą jednomyślnością.

W telewizji kobieta nieznanego pochodzenia i przynależności etnicznej rwała sobie włosy z głowy, zawodząc. Robiła to z taką siłą, że jej głowa miotła się na lewo i prawo. U dołu ekranu nie pojawił się pasek. Nie było komentarza. W żaden sposób nie wyjaśniono jej cierpienia. Było tylko cierpienie. Jedynie kobieta, jej włosy zebrane w pięściach, którymi biła się w piersi.

# Bibka czy Biblia

Kiedy Isaac powinien już na dobre zacząć się rozkładać w ziemi, nadal zachowywał świeżość w pojemniku w Bethesdzie. Tylko dla Isaaca koniec niedoli mógł być jej przedłużeniem. Jego ostatnim życzeniem – które wyraził zarówno w testamencie, jak i w zdecydowanie zbyt wielu rozmowach z Irvem, Jacobem i kimkolwiek, komu można by powierzyć to zadanie – był pochówek w Izraelu.

– Ale dlaczego? – próbował dociec Jacob.

– Ponieważ tam właśnie udają się Żydzi.

– W przerwie świątecznej, a nie na całą wieczność.

A kiedy Sam, który przyjechał dla towarzystwa, zauważył, że w Izraelu pradziadek będzie miał mniej odwiedzających, Isaac zwrócił uwagę na to, że „zmarli są martwi” i odwiedziny to ostatnia rzecz, która zaprzęta ich martwe umysły.

– Nie chcesz być pochowany z babcią i resztą rodziny? – zapytał Jacob.

– Wszyscy spotkamy się w odpowiednim czasie.

„Co to, u diabła, znaczy?” – nie spytał Jacob, ponieważ zdarzają się sytuacje, w których samo znaczenie znaczy bardzo niewiele. Ostatnie życzenie do nich należy. Isaac uknuł cały spisek dwadzieścia lat wcześniej – nawet wtedy było to kosztowne, nie miał jednak nic przeciwko temu, żeby w grobie być biedny jak mysz kościelna – więc by spełnić jego ostatnie i do ostatka podtrzymywane życzenie, trzeba było załadować jego ciało do samolotu i obmyślić logistykę po drugiej stronie.

Kiedy jednak nadeszła pora, by wrzucić ciało Isaaca do skrzynki pocztowej, okazało się to niewykonalne ze względów logistycznych: wszystkie loty odwołano, a gdy ponownie otwarto przestrzeń powietrzną, Izrael wpuszczał do siebie jedynie ciała ludzi gotowych na śmierć.

Kiedy minął określany rytuałem czas pochówku w ciągu doby od śmierci, nie było już wielkiego pośpiechu z wymyślaniem jakiegoś rozwiązania. Ale nie znaczy to, że żydowski obrządek był rodzinie obojętny. Od momentu śmierci do pochówku ktoś musiał czuwać nad ciałem przez cały czas.

Synagoga miała od tego ludzi, ale z upływem dni zapal do niańczenia zwłok osłabł i obowiązek ten w coraz większej mierze spadał na Blochów. Należało go przy tym pogodzić z obowiązkiem zapewnienia serdecznej gościny Izraelczykom: Irv mógł ich zabrać do Georgetown, kiedy przy ciele Isaaca siedział Jacob, a później Jacob mógł ich zawieźć do Muzeum Lotnictwa i Przestrzeni Kosmicznej na *To Fly!* w pozerającym perspektywę IMAX-ie, podczas gdy Deborah doznawała dokładnie odwrotnego wrażenia przy Isaacu. Patriarchę rodu, z którym raz w tygodniu bardzo niechętnie skajpowali przez siedem minut, odwiedzali teraz codziennie. Za sprawą jakiejś niepowtarzalnej żydowskiej magii przejście od życia do śmierci przemieniło człowieka wiecznie ignorowanego w kogoś, o kim pamięć nigdy nie zginie.

Jacob wziął na siebie główny ciężar tego obowiązku, ponieważ uważał, że jest do tego najbardziej zdolny, a także dlatego, że bardzo pragnął uciec od innych obowiązków. Czuwał na *szmira*<sup>25</sup> – określenie, którego nigdy w życiu nie słyszał, dopóki nie został choreografem

trzymających *szmira* – przynajmniej raz dziennie, zwykle kilka godzin z rzędu. Przez pierwsze trzy dni ciało trzymano na stole pod prześcieradłem w żydowskim domu pogrzebowym. Później przeniesiono je do pomieszczenia na tyłach, a na koniec tygodnia do Bethesdy, gdzie trafiają niepochowane ciała, żeby obumrzeć. Jacob nigdy nie zbliżał się do niego bardziej niż na dziesięć stóp, nastawiał podkasty głośno jak dla niedosłyszających i starał się nie oddychać przez nos. Przynosił ze sobą książki, przeglądał mejle (musiał stanąć za drzwiami, żeby złapać zasięg), nawet skończył kilka rozdziałów: JAK ZAGRAĆ NIEUWAGĘ, JAK ZAGRAĆ DUCHA, JAK ZAGRAĆ NIEWYRAŻALNE WSPOMNIENIA ODCZUĆ.

W niedzielę po południu, gdy rytualne narzekania Maxa, że nie ma co robić, stały się nieznośnie irytujące, Jacob zaproponował mu, żeby pojechał z nim potrzytać *szmira*, myśląc: „To sprawi, że będziesz wdzięczny za swoją nudę”. Max przystał na propozycję, zmuszając ojca do spełnienia groźby.

Przy drzwiach powitała ich wcześniejsza czuwająca – wiekowa kobieta z szulu, która emanowała takim chłodem i pustką, że można by ją wziąć za jedną ze zmarłych, gdyby nie zdradzał jej nadmiar makijażu: tylko żywi Żydzi bywają zabalsamowani. Wymienili ukłony, kobieta przekazała Jacobowi klucze do drzwi wejściowych, przypomniała mu, że w toalecie nie wolno spuszczać „absolutnie niczego” poza papierem toaletowym (i dwójką oczywiście) i – odrobinę mniej uroczyście niż przed pałacem Buckingham – zmiana warty się dopełniła.

– Okropnie śmierdzi – zauważył Max, zasiadając przy długim dębowym stole w recepcji.

– Oddycham przez usta, kiedy muszę oddychać.

– Śmierdzi, jakby ktoś napierdział do butelki z wódką.

– Skąd wiesz, jak śmierdzi wódka?

– Dziadek kazał mi powąchać.

– Po co?

– Żeby udowodnić, że jest droga.

– Nie wystarczyłaby sama cena?

– Spytaj go.

– Pomaga też guma do żucia.

– Masz może?

– Nie sądzę.

Rozmawiali o Brysie Harperze i o tym, dlaczego – choć gatunek był zbyt wyeksploatowany, by kiwnąć palcem pomysłowości – filmy o superbohaterach nadal są całkiem super. Max poprosił także – jak często bywało – żeby ojciec opowiedział jedną z Argusowych historii.

– Zabraliśmy go raz na szkolenie dla psów. Mówiłem ci już o tym?

– Tak. Ale opowiedz jeszcze raz.

– No więc było to tuż po tym, jak go wzięliśmy. Nauczyciel zaczął od pokazania masażu brzucha, który uspokoi psa, gdy będzie zbyt podniecony. Siedzieliśmy w kółku, może ze dwadzieścia osób, każdy pilnie pracował nad brzuchem swojego psa i pomieszczenie wypełniło się głośnym dudnieniem jak od metra, które biegnie pod budynkiem. Dochodziło z moich kolan. Argus chrapał.

– To takie urocze.

– Urocze.



– Ale wcale nie był bardzo dobrze ułożony.

– Odpuściliśmy. Czuliśmy, że to strata czasu. Ale kilka lat później Argus nabrał nawyku ciągnięcia za smycz na spacerze. I raptem się zatrzymywał, odmawiając pójścia dalej. Zatrudniliśmy więc jakiegoś gościa, z którego korzystali ludzie z parku. Nie pamiętam, jak się nazywał. Pochodził z Saint Lucii, grubawy, utykał. Założył Argusowi kolczatkę i przyglądał się, jak z nim spacerujemy. Jak się można było spodziewać, Argus stanął. „Weź go pociągnij. Pokaż mu, kto jest psem alfa”, powiedział, rozśmieszając mamę. Szarpnąłem, no bo wiesz, to ja jestem psem alfa. Ale Argus ani drgnął. „Mocniej”, powiedział ten facet, więc szarpnąłem mocniej, ale Argus szarpnął równie mocno w swoją stronę. „Weź mu pokaż”, powiedział, więc pociągnąłem jeszcze raz, tym razem całkiem mocno i Argus wydał z siebie odgłos, jakby się dławił, ale wciąż nie ruszył się z miejsca. Spojrzałem na mamę. „Musisz go nauczyć albo już zawsze tak będzie”, powiedział gość. Pamiętam, że pomyślałem sobie: „Mogę z tym żyć już zawsze”. Nie mogłem spać tamtej nocy. Czułem się okropnie winny, że pociągnąłem go tak mocno, że zaczął się dławić. A później rozwinęło się to do poczucia winy z powodu wszystkiego, czego starałem się go nauczyć: żeby przychodził do nogi, podawał łapę na komendę, a nawet wracał. Gdybym mógł zrobić wszystko od nowa, nie próbowałbym go uczyć niczego.

Minęła godzina, potem druga.

Zagrali w wisielca. I grali bez końca. Wyrażenia wymyślane przez Maxa zawsze były błyskotliwe, choć trudno powiedzieć, skąd się to brało. Tysiąc i jedna gorączka nocy. Dobrać różowe okulary. Biały kruk oka nie wykole.

– Tak się mówi na rzadkie książki – powiedział, gdy Jacobowi udało się odgadnąć tylko tyle, żeby powstały głowa, tułów i lewa ręka.

– Podobno.

– Wystrychnąć kogoś na dudka. Czubić się jak dwa koguty. Łabędzi śpiew.

– Skąd ty to wszystko znasz?

– Lubię wiedzieć różne rzeczy.

– Ja też.

– *Minjan Żydów.*

– Świetnie.

– Rozumowanie Blochów.

– Kosmos Maxa.

Potem grali w grę zwaną duchem. Na zmianę dodawali litery do rozwijanego fragmentu, starając się nie być tym, który dokończy słowo, które mieli w myślach i w które ów fragment mógłby się ułożyć.

– B.

– B-I.

– B-I-B.

– B-I-B-K.

– Cholera.

– Bibka.

– Tak. Myślałem o słowie „biblia”.

Grali też w dwadzieścia pytań, w dwie prawdy i kłamstwo oraz w szczęście w nieszczęściu. Obaj żalowali, że nie ma telewizora, który zmniejszyłby ich brzemię.

– Chodźmy na niego popatrzeć – rzucił Max tak od niechcenia, jakby proponował, żeby zabrali się do suszonego mango, które przynieśli ze sobą.

– Na pradziadka?

– Mhm.

– Po co?

– Bo tutaj jest.

– Ale po co?

– A czemu nie?

– „Czemu nie” to żadna odpowiedź.

– Tak jak „po co”.

Czemu nie? Nie było to zabronione. Nie było obraźliwe. Nie było – a przynajmniej nie powinno być – obrzydliwe.

– W college’u chodziłem na zajęcia z filozofii. Nie pamiętam, jak się nazywały, nie przypominam sobie nawet wykładowcy, ale pamiętam, że uczyliśmy się, że niektóre zakazy nie mają etycznego uzasadnienia, tylko po prostu biorą się stąd, że pewnych rzeczy „się nie robi”. Można było sięgać po wszelkie możliwe argumenty za tym, że nie należy zjadać ciał ludzi, którzy zmarli z przyczyn naturalnych, ale koniec końców, to po prostu coś, czego nie robimy.

– Nie powiedziałem, żebyśmy go zjedli.

– Wiem, że nie. Po prostu przedstawiam pewne racje.

– Kto w ogóle miałby ochotę jeść człowieka?

– Niemal na pewno dobrze by pachniał i smakował. Ale nie robimy tego, bo tak się nie robi.

– Kto o tym decyduje?

– Świetne pytanie. Czasem to, czego się nie robi, jest rzeczą ogólnoludzką, czasem zależy od kultury, a czasem nawet od konkretnej rodziny.

– Jak to, że jemy krewetki, ale nie jemy wieprzowiny.

– Jedzenie krewetek nie jest naszym zwyczajem. Jemy je od czasu do czasu. Ale tak, coś w tym stylu.

– Tyle że to nie jest w tym stylu.

– Co?

– Patrzenie na dziadka.

Miał rację – nie było.

– Przyszliśmy tu, żeby z nim być, prawda? – ciągnął Max. – To dlaczego nie mielibyśmy z *nim* być? Jaki ma sens zrobić taki kawał drogi i spędzić tyle czasu tylko po to, żeby posiedzieć w innym pomieszczeniu? Równie dobrze moglibyśmy sobie siedzieć w domu z popcornem i strimować filmik z jego ciałem.

Jacob się bał. Było to bardzo proste wyjaśnienie, nawet jeśli trudniej było wpaść na wyjaśnienie tego wyjaśnienia. Czego tu się bać? Bliskości śmierci? Niezupełnie. Sąsiedztwa niedoskonałości? Ucieleśnionego dowodu na rzeczywistość w jej groteskowej szczerości? Bliskości życia.

– Do zobaczenia po drugiej stronie – powiedział Max i wszedł do środka.

Jacob przypomniał sobie wieczór sprzed wielu lat, kiedy z Tamirem zakradli się do National Zoo.

- Wszystko okej? – zawołał do Maxa.
- Dziwnie – powiedział Max.
- Mówiłem.
- Tego akurat wcale nie mówiłeś.
- Jak wygląda?
- Chodź i zobacz sam.
- Dobrze mi tu, gdzie jestem.
- Wygląda jak przez Skype’a, tylko jakby dalej.
- Wygląda w porządku?
- Chyba tak bym tego nie ujął.

Jak wyglądał? Czy ciało wyglądałoby inaczej, gdyby umarł w inny sposób?

Isaac był ucieleśnieniem historii Jacoba, psychologicznej spizarni jego ludu – spizarni z zarwanymi półkami, spuścizną w postaci niepojętej siły i niepojętej słabości. Ale teraz był tylko ciałem. Ucieleśnienie historii Jacoba było jedynie ciałem.

Kiedy Jacob zostawał u dziadka na noc, kąpali się razem, a długie włosy z rąk, klatki piersiowej i nóg Isaaca unosiły się na powierzchni wody jak roślinność w stawie.

Jacob przypomniał sobie, jak oglądał dziadka zasypiającego pod fryzjerską peleryną, gdy jego głowa opadała bezwładnie, a brzytwa kosiła ścieżkę od linii włosów z tyłu do granic zasięgu ręki fryzjera.

Przypomniał sobie, jak dziadek zachęcał go, żeby ciągnął za jego obwisłą skórę na łokciu, dopóki nie rozciągnęła się w fałd tak duży, by utrzymać piłkę bejsbolową.

Przypomniał sobie zapach, który panował w łazience po tym, jak skorzystał z niej dziadek: nie budził w nim obrzydzenia, po prostu go przerażał. Jacob śmiertelnie się go bał.

Przypomniał sobie, jak dziadek nosił pasek niemal na wysokości sutków i skarpety tuż nad kolana, wspominał jego paznokcie grube jak ćwierćdolarówki i powieki cienkie jak cynfolia, i to, jak między kłaśnięciami obracał dłonie grzbietami w stronę nieba, jakby ciągle otwierał i zamykał niewidzialną książkę, jakby nie był w stanie dać jej szansy, nie był w stanie jej odrzucić i nie był w stanie dać jej jeszcze jednej szansy.

Któregoś razu zasnął w trakcie partyjki makao z kęsem ciemnego chleba w ustach. Jacob mógł być wtedy w wieku Benjy’ego. Ostrożnie zastąpił kiepskie karty dziadka dwiema damami i dwoma asami, ale kiedy wyrwał go ze snu i wrócili do gry, Isaac nie okazał zdziwienia kartami i gdy przyszła jego kolej, pociągnął z kupki.

- Słabe karty? – spytał Jacob.

Isaac pokręcił głową i odparł:

- Cienizna.

Przypomniał sobie, jak patrzył na dziadka przebierającego się w kąpielówki tam, gdzie mu to akurat odpowiadało, niezważającego na własną prywatność ani na zażenowanie Jacoba: obok zaparkowanego samochodu, na środku męskiej toalety, a nawet na plaży. Nie zdawał sobie z tego sprawy? Nie przejmował się? Raz na pływalni miejskiej, gdzie czasami zaglądali w niedzielę rano, dziadek rozebrał się tuż nad basenem. Jacob czuł, jak spojrzenia nieznanomych trą w nim o siebie, rozpalając ognisko gniewu: na obcych ludzi z powodu ich osądu, na dziadka za brak godności, na siebie za własne ponizenie.

Podszedł do nich ratownik i powiedział:

- Za automatami z napojami jest szatnia.

– W porządku – odparł dziadek Jacoba, jakby powiedziano mu, że hipermarket Home Depot jest tuż za zjazdem z Beltway.

– Tutaj nie można się przebierać.

– Czemu nie?

Jacob całymi dekadami rozmyślał o tym „Czemu nie?”. Czemu nie, skoro szatnia była tam, a tu było tu? Czemu nie, bo po co w ogóle o tym rozmawiamy? Czemu nie, bo gdyby widział pan to co ja, też by pan stracił zdolność rozumienia zażenowania? Czemu nie, skoro ciało to tylko ciało?

Ciało to tylko ciało. Ale zanim stał się ciałem, był ucieleśnieniem. A to, przynajmniej dla Jacoba, wyjaśniało czemu nie: ciało jego dziadka nie mogło być wyłącznie ciałem.

Jak długo mogło się to jeszcze ciągnąć?

Irv przekonywał, że powinni po prostu kupić miejsce na cmentarzu Judean Gardens, tak blisko reszty rodziny, jak to tylko możliwe, i skończyć wreszcie z tą śmiercią. Jacob nalegał, żeby zaczekali, dopóki nie wyjaśnią się sprawy w Izraelu, a potem spełnili jednoznaczne życzenie Isaaca co do miejsca wiecznego spoczynku.

– A jeśli to potrwa kilka miesięcy?

– To o tyle więcej zapłacimy domowi pogrzebowemu.

– A jeśli sprawy nigdy się nie wyjaśnią?

– To przypomnimy sobie, jacy z nas byli szczęściarze, że taki był nasz największy problem.

# Ile wiedzą dzieci?

Julia chciała przeciwżyć rozmowę z dziećmi. Jacob mógł twierdzić, że to w tej chwili niepotrzebne, skoro nie zamierzali przeprowadzać właściwej rozmowy przed bar micwą i opadnięciem pogrzebowego pyłu. Zgodził się jednak w nadziei, że do uszu Julii dojdzie to, co wypowiadają jej usta. Co więcej, interpretował jej pragnienie przeprowadzenia próby jako chęć odegrania scenki – uznanie faktu, że nie była pewna. Podobnie jak Julia tłumaczyła sobie jego gotowość jako sygnał, że właściwie jest gotów na początek końca.

– „Musimy o czymś porozmawiać”? – zasugerowała Julia.

Jacob przez chwilę się nad tym zastanawiał, a potem skontrował:

– „Musimy odbyć rozmowę w gronie rodzinnym”?

– Dlaczego tak jest lepiej?

– Bo to potwierdza, że jesteśmy rodziną.

– Ale przecież nie odbywamy „rozmów w gronie rodzinnym”. To będzie cynk, że dzieje się coś złego.

– Bo się dzieje.

– Rzecz właśnie w tym, że za sprawą tej rozmowy próbujemy im przekazać, że nie jest źle. Jest inaczej.

– Nawet Benjy tego nie kupi.

– Ale przecież ja nie mam nawet pieniędzy... – powiedział Benjy.

– Benjy???

– ...żeby coś kupić.

– Co się dzieje, kochanie?

– Czego byście sobie życzyli?

– Co takiego, misiu?

– Pan Schneiderman spytał nas w szkole, czego byśmy sobie życzyli, i zabrał te życzenia do Ściany Płaczu, bo jechał do Izraela na wakacje. Myślę, że moje życzenie było niedobre.

– A o co prosiłeś? – spytał Jacob.

– Nie mogę powiedzieć, bo się nie spełni.

– A jak sądzisz, o co powinieneś być poprosić?

– Nie mogę powiedzieć, na wypadek gdybym zmienił życzenie.

– Skoro dzielenie się nimi oznacza, że się nie spełnią, dlaczego prosisz, żebyśmy podzielili się z tobą naszymi życzeniami?

– No tak – powiedział, a potem odwrócił się i wyszedł z salonu.

Czekali ze wznowieniem rozmowy, dopóki nie usłyszeli jego kroków cichnących na schodach.

– Zresztą – powiedziała Julia nieco ciszej niż wcześniej – chcemy sprawić, żeby poczuli się bezpiecznie, a dopiero potem przejść do zmiany.

– „Chłopcy, moglibyście przyjść na chwilę do salonu?”. Coś takiego?

– A nie do kuchni?

– Chyba tu.

– A potem co? – spytała Julia. – Powiemy im, żeby usiedli?

- Tak, to też będzie cynk.
- Moglibyśmy poczekać, aż będziemy wszyscy razem w samochodzie.
- To mogłoby wypalić.
- Ale wtedy nie moglibyśmy na nich patrzeć.
- Chyba że w lusterku wstecznym.
- Niefortunny symbol.

Rozśmieszyło to Jacoba. Próbowwała być zabawna. W jej staraniach przejawiała się pewna życzliwość. Gdyby to było naprawdę, Julia nigdy by nie zażartowała.

- Przy obiedzie? – zasugerowała.
- To wymagałoby w pierwszej kolejności wyjaśnienia, dlaczego wspólnie go jemy.
- Ciągłe razem jemy obiady.
- Od czasu do czasu zdarza nam się na krótko zgromadzić przy stole.
- Co na obiad? – spytał Max, wpadając do pokoju zupełnie jak Kramer, mimo że nigdy nie oglądał *Kronik Seinfelda*.

Julia posłała Jacobowi spojrzenie, które widział setki razy w setkach kontekstów: „Ile wiesz o dzieciach?”. Ile wiedział Sam, gdy przed dwoma laty wszedł do pokoju, kiedy uprawiali seks? (W klasycznej pozycji, pod kołdrą i bez sprośnego gadania, Bogu dzięki). Albo gdy Max podniósł słuchawkę, kiedy Jacob gniewnie przepytывał ginekologa Julii na temat niezłomości jej niezłomnego guzka – ile usłyszał? A gdy Benjy wpakował się w ich kuchenną awanturę i powiedział „kwintesencja” – co tak naprawdę wiedział?

- Właśnie rozmawialiśmy o obiedzie – powiedział Jacob.
- Taa, wiem.
- Słyszałeś?
- Wydawało mi się, że wołaliście nas na obiad.
- Dopiero wpół do piątej.
- Myślałem...
- Głodny jesteś?
- Co na obiad?
- A co to ma wspólnego z twoim głodem? – spytał Jacob.
- Tak się zastanawiam.
- Lasagne z jakimś warzywkiem – powiedziała Julia.
- Zwykłe lasagne?
- Szpinakowe.
- Nie jestem głodny.
- Masz godzinę, żeby nabrać apetytu na szpinakowe lasagne.
- Argusowi przydałby się spacer.
- Dopiero co z nim byłem – odparł Jacob.
- Zrobił kupę?
- Nie pamiętam.
- Pamiętałbyś, gdyby zrobił – stwierdził Max. – Musi zrobić. Robi teraz tak, że jak zaczyna kupę, to się tam liże.
- Po co nam o tym mówisz, zamiast go po prostu wyprowadzić?
- Bo pracuję nad moją przemową na pogrzeb pradziadka i muszę się skoncentrować.
- Wygłosisz przemowę? – spytał Jacob.

– A ty nie?

Julia była wzruszona urzekająco narcystyczną inicjatywą Maxa. Jacoba zawstydziła własna narcystyczna bezmyślność.

– Powiem kilka słów. A właściwie to pewnie dziadek robi to w naszym imieniu.

– Dziadek nie wypowiada się w moim imieniu – powiedział Max.

– Popracuj nad swoją przemową – powiedziała Julia. – Tata wyprowadzi Argusa.

– Już go wyprowadzałem.

– Aż robi kupę.

Max poszedł do kuchni i wrócił z pudełkiem niezdrowych ekologicznych płatków zbożowych, które zabrał na górę do swojego pokoju.

– Płatki mają być w twojej buzi albo w opakowaniu. I nigdzie indziej – zawołała za nim Julia.

– Nie mogę ich połykać? – odkrzyknął Max z góry.

– Może błędem byłoby rozmawiać ze wszystkimi naraz? – powiedział Jacob, starając się nie mówić za głośno. – Może najpierw powinniśmy porozmawiać z Samem?

– Przypuszczam, że mogłabym...

– Jezu.

– Co?

Jacob wskazał ręką w stronę telewizora, który w ostatnim czasie ciągle był włączony. Pokazywano migawki ze stadionu w Jerozolimie, na którym przed ponad dwudziestu laty Jacob z Tamirem oglądali mecz. Było tam kilkanaście buldożerów. Nie do końca wiadomo, co robiły ani dlaczego Izrael pozwolił, żeby transmitowano takie obrazki, i z tego powodu były przerażające. Przygotowywały poligon? Kopały zbiorowy grób?

Informacje, które docierały do Stanów, były ogólnikowe, niepewne i alarmujące. Blochowicze robili to, w czym byli najlepsi: wyparciem równoważyli przesadę. Choć w głębi duszy wierzyli, że są bezpieczni, zamartwiali się ponad miarę, gadali i gadali, samobiczowali się i biczowali siebie nawzajem, wpędzając się w otchłań udreki. Śledzili nadchodzące wiadomości z wygodnego salonu jak imprezę sportową, czasami łapiąc się na tym, że kibicują tragedii. Zdarzały się nawet małe haniebne rozczarowania, gdy szacunkowe rozmiary zniszczeń korygowano w dół albo kiedy to, co wyglądało na akt agresji, okazało się jedynie wypadkiem. Była to gra, o której nierzeczywistym niebezpieczeństwie można się było wyrażać z entuzjazmem i którym można się było delectować, dopóki wynik był ustawiony. Ale gdyby istniało niejasne poczucie prawdziwego zagrożenia, gdyby gównem zaczęło tężeć – jak miało się stać niebawem – kopaliby, dopóki spod ich łopat nie zaczęłyby strzelać iskry. „Będzie w porządku, to nic”.

Tamira zwykle nie było. Każdego dnia część czasu poświęcał na próbę odnalezienia drogi do domu, ale bez powodzenia. Jeśli rozmawiał z Rywką albo Noamem, robił to na osobności i niczym się nie dzielił. Ku zdumieniu Jacoba nadal miał ochotę zwiedzać i włókł ze sobą niezbyt entuzjastycznie nastawionego Baraka od zabytku do zabytku, od muzeum do muzeum, od Cheesecake Factory do Ruth's Chris Steakhouse. Tak łatwo było Jacobowi zobaczyć w Tamirze to, czego nie mógł dostrzec w sobie: odmowę pogodzenia się z rzeczywistością. Zwiedzał, żeby nie musieć widzieć.

Stadion zastąpiła twarz Adii, małej Palestynki, której cała rodzina zginęła w trzęsieniu ziemi i którą odnalazł amerykański fotoreporter, gdy błąkała się po ulicach. Jej historia

poruszyła świat i poruszała go nadal. Może dlatego, że była tak prosta jak jej piękna twarzyczka. A może przez sposób, w jaki trzymali się za ręce. Było to coś, co podnosiło na duchu pośród tragedii, choć tragedią, myślał Jacob, a przynajmniej czymś złowieszczym było to, że dobre emocje rodziły się między Palestynką a Amerykaninem. W pewnym momencie Max zaczął sypiać z wyciętym z gazety zdjęciem Adii pod poduszką. Kiedy zawalił się jej sierociniec i zaginęła, Max także zaginął. Wszyscy wiedzieli, gdzie jest – zniknęły jedynie jego głos, spojrzenie i zęby – ale nikt nie wiedział, jak do niego trafić.

– Halo, halo? – spytała Julia, machając Jacobowi ręką przed twarzą.

– Co?

– Oglądałeś telewizję, gdy rozmawialiśmy?

– Kątem oka.

– Zdaję sobie sprawę, że Bliski Wschód się wali i że cały świat zostanie wciągnięty w wir, ale prawdę mówiąc, to jest w tej chwili ważniejsze.

Podniosła się i wyłączyła telewizor. Jacob miał wrażenie, że usłyszał westchnienie ulgi odbiornika.

– Idź wyprowadź Argusa, a potem dokończymy.

– Jak naprawdę będzie musiał wyjść, to podejdzie do drzwi i zacznie skomleć.

– Ale po co ma naprawdę musieć?

– W sensie, jak będzie pora.

– Myślisz, że najpierw powinniśmy porozmawiać z Samem? Przed resztą?

– Albo z Samem i Maxem. Na wypadek, gdyby któryś z nich zaczął płakać. Benjy pójdzie za jego przykładem, więc powinniśmy dać im okazję, żeby to przetrawili i się pozbiali.

– Albo pozwolić im się razem wypłakać – powiedziała Julia.

– Może najpierw tylko Sam. Jego reakcja, jakakolwiek by była, będzie pewnie najgwałtowniejsza, ale też najłatwiej będzie mu to przepracować.

Julia dotknęła jednej z leżących na stoliku książek o sztuce.

– A co, jeśli ja się popłaczę? – spytała.

Pytanie sprawiło, że Jacob poczuł swoją cielesność, że zapragnął dotknąć Julii – chwycić za ramię, przycisnąć dłoń do policzka, poczuć, jak równo układają się grzbiety i doliny ich linii papilarnych – ale nie wiedział, czy to wciąż dopuszczalne. Jej spokój podczas rozmowy nie wydawał się sztywny, ale tworzył wokół niej przestrzeń. A jeśli się rozpłaczę? Oczywiście, że się rozpłaczę. Jak wszyscy. Będą ryczeć. I to będzie straszne. Życie dzieci legnie w gruzach. Zginą dziesiątki tysięcy ludzi. Izrael zostanie zniszczony. Chciał tego wszystkiego nie dlatego, że łaknął grozy, ale dlatego, że wyobrażanie sobie najgorszego chroniło go przed najgorszym – skupienie się na sądnym dniu pozwalało żyć z dnia na dzień.

W drodze do Isaaca dobrych kilka lat temu Sam z tylnego siedzenia zadał pytanie:

– Bóg jest wszędzie, prawda?

Jacob i Julia nie po raz pierwszy wymienili spojrzenia z gatunku skąd-mu-się-to-u-diabła-wzięło.

– Tak, ludzie, którzy wierzą w Boga, na ogół tak sądzą. – Jacob wybrnął z sytuacji.

– I zawsze wszędzie był?

– Tak przypuszczam.

– I właśnie tego nie mogę zrozumieć. – Sam obserwował wczesny księżyc, który podczas



jazdy podążał za nimi. – Skoro Bóg był wszędzie, to gdzie umieścić świat, kiedy go stworzył?

Jacob i Julia jeszcze raz wymienili spojrzenia, tym razem pełne podziwu.

Julia odwróciła się w stronę Sama, który nadal patrzył przez okno, jego źrenice ciągle wracały jak wałek maszyny do pisania, i stwierdziła:

– Jesteś niesamowity.

– Okej – powiedział Sam – ale gdzie go umieścić?

Tej nocy Jacob trochę w tej sprawie pogrzebał i dowiedział się, że pytanie Sama inspirowało do wielu przemyśleń przez tysiące lat i że najbardziej rozpowszechnioną odpowiedź stanowiło kabalistyczne pojęcie *cimcum*. W zasadzie Bóg był wszędzie i – jak domyślił się Sam – kiedy zapragnął stworzyć świat, nie było gdzie go umieścić. Pomniejszył więc siebie. Jedni nazywali to skurczeniem, inni ukryciem. Stworzenie wymagało samowymazania, a dla Jacoba oznaczało to najgłębszą pokorę, najczystsza wielkoduszność.

Siedząc teraz z Julią i robiąc próbę tej strasznej rozmowy, Jacob zastanawiał się, czy może przez wszystkie te lata źle rozumiał pustą przestrzeń wokół niej: jej spokój, wycofywanie się. Może to nie było zabezpieczanie się ani obrona, ale najgłębsza pokora, najczystsza wielkoduszność. A jeśli nie wycofywała się, lecz przyzywała? Albo robiła obie te rzeczy naraz? Wycofywała się i przyzywała? Co więcej: stwarzała świat dla ich dzieci, nawet dla Jacoba.

– Nie będziesz płakać – powiedział, próbując wejść w tę przestrzeń.

– Czy to by było coś złego?

– Nie wiem. Myślę, że w zasadzie najlepiej byłoby ich tym nie obarczać. „Obarczać” to nie najlepsze słowo. Chodzi mi... Wiesz, o co mi chodzi.

– Tak.

Jej „tak” zaskoczyło go i jeszcze bardziej dodało mu cielesności.

– Powtórzmy to sobie jeszcze kilkadziesiąt razy i będzie inaczej.

– Za każdym razem będzie mnie dobijać.

– A kiedy przyjdzie pora, adrenalina pomoże powstrzymać łzy.

– Pewnie masz rację.

„Pewnie masz rację”. Dużo czasu upłynęło (wydawało się, że upłynęło – poprawiłby doktor Silvers), od kiedy w jakimkolwiek stopniu uległa jego emocjonalnemu osądowi. Od chwili, gdy mu się odruchowo nie oparła. W tych słowach – „Pewnie masz rację” – kryła się uprzejmość, która go rozbroiła. Nie musiał mieć racji, ale potrzebował tej życzliwości. A gdyby tak za każdym razem, kiedy odruchowo sprzeciwiała się jego punktowi widzenia albo go po prostu odrzucała, mówiła: „Pewnie masz rację”? Bardzo łatwo byłoby mu zatracić się w tej uprzejmości.

– A jeśli się rozpłaczesz – powiedział Jacob – to się rozpłaczesz.

– Chcę im to po prostu ułatwić.

– Nie ma na to szans.

– Na tyle, na ile się da.

– Cokolwiek się stanie, znajdziemy wspólne wyjście.

„Znajdziemy wspólne wyjście”. Co za dziwaczne zapewnienie, pomyślała Julia, skoro sedno tej rozmowy, którą próbowali przeciwiczyć, tkwiło właśnie w tym, że nie byli w stanie znaleźć wyjścia. Nie wspólnie. Mimo to zapewnienie przybrało formę oddającą poczucie wspólnoty: „znajdziemy”.

– Chyba pójdę po szklankę wody – powiedziała. – Chcesz też?

– Kiedy naprawdę będę potrzebował, to podejść do drzwi i zacząć skomleć.

– Myślisz, że tracą na tym dzieci? – spytała w drodze do kuchni. Jacob zastanawiał się, czy woda była wymówką, by nie patrzeć na niego, gdy zadawała to pytanie.

– Włączę tylko na chwilę telewizor. Wyciszony. Muszę zobaczyć, co się dzieje.

– A co z tym, co dzieje się tutaj?

– Jestem tu. Spytałaś, czy tracą na tym dzieci. Tak, sądzę, że tylko w ten sposób można to określić.

Na mapie Bliskiego Wschodu pikujące strzałki wskazywały ruchy różnych armii. Na północy doszło do starć z udziałem Syrii i Hezbollahu. Turcy przybierali coraz bardziej wrogi ton, a nowo utworzona Transarabia gromadziła samoloty i wojska w dawnej Jordanii. Ale dało się to powstrzymać, kontrolować i przekonująco zakwestionować.

– Możesz być spokojna, że ja będę płakał – powiedział Jacob.

– Co?

– Napiję się wody.

– Nie słyszałam, co powiedziałaś.

– Mówiłem, że nawet jeśli nie zobaczysz moich łez, będę płakał.

Było to coś – czuł, że tak jest – co musiał powiedzieć. Od zawsze wiedział – od zawsze czuł

– że Julia uważała, że jest mocniej związana emocjonalnie z dziećmi, że bycie matką, kobietą albo po prostu bycie nią tworzy więź, do której ojciec, mężczyzna czy też Jacob jest niezdolny. Przez cały czas delikatnie to sugerowała – *wydawało się*, że delikatnie to sugeruje – a od czasu do czasu mówiła wprost, za każdym razem przemycając to wtedy, gdy była mowa o rzeczach szczególnych dla jego relacji z dziećmi, jak choćby wspólna zabawa.

Jej postrzeganie rodzicielskich tożsamości ich dwojga właśnie w ten sposób się dzieliło: na głębię i zabawę. Julia karmiła chłopców piersią. Jacob sprawiał, że pękali ze śmiechu z powodu przesadzonych wariacji na temat samolociku lecącego do buzi. Julia miała instynktowną i niepohamowaną potrzebę, by sprawdzać, czy wszystko u nich w porządku, gdy spali. Jacob budził ich, gdy zaczynała się dogrywka. Julia uczyła ich takich słów jak „nostalgia”, „przestrach” i „melancholia”. Jacob lubił powtarzać, że „nie ma czegoś takiego jak brzydkie słowa, jest tylko brzydki sposób użycia”, aby usprawiedliwić ponoć stosowne użycie słów takich jak „dupek” czy „gówniany”, których Julia nie cierpiała w równym stopniu, jak uwielbiały je dzieciaki.

Na dychotomię głębi i zabawy można było też spojrzeć w inny sposób. Jacob poświęcił niezliczoną liczbę godzin z doktorem Silversem na rozważania o ciężkości i lekkości. Julia przydawała wszystkiemu wagi, otwierając przestrzeń dla każdego intymnego uczucia, zachęcając do pogłębionych rozmów na temat każdej przelotnej uwagi i nieustannie wskazując na znaczenie smutku. Jacob czuł, że większość problemów nie stanowi problemu, a te, które go stanowią, można rozwiązać z pomocą rozrywek, jedzenia, aktywności fizycznej albo zwykłego upływu czasu. Julia zawsze chciała ofiarować dzieciom poważne życie: kulturę, zagraniczne wycieczki, czarno-białe filmy. Jacob nie widział nic złego – widział mnóstwo dobra – w radośniejszych, głębszych zajęciach: zabawie w parkach wodnych, bejsbolu, oglądaniu fatalnych filmów o superbohaterach, które dawały mnóstwo frajdy. Ona pojmowała dzieciństwo jako okres kształtowania się duszy. On rozumiał je jako jedyną w życiu okazję, by czuć się bezpiecznym i szczęśliwym. Każde z nich dostrzegało

niezliczone niedociągnięcia i absolutną nieodzowność drugiego.

– Pamiętasz – spytała Julia – jak Bóg wie ile lat temu moja przyjaciółka Rachel przyszła do nas na seder?

– Rachel?

– Z architektury. Przyszła z bliźniakami, pamiętasz?

– I bez męża.

– Tak. Dostał zawału serca na siłowni.

– Opowieść ku przestrodze.

– Pamiętasz?

– Jasne, zaproszenie ze współczucia.

– Chyba chodziła do jesziwy w dzieciństwie albo odebrała jakieś surowe żydowskie wychowanie. Nie zdawałam sobie z tego sprawy i skończyło się na tym, że czułam się bardzo zażenowana.

– Czym?

– Tym, jacy z nas niedouczeni Żydzi.

– Ale świetnie się bawiła, prawda?

– Tak.

– Więc oszczędź sobie zażenowania.

– To było lata temu.

– Zażenowanie to lider na rynku emocji.

Julia zareagowała na to serdecznym – serdeczny *wydawał się* Jacobowi – śmiechem.

Niepohamowany śmiech pośród całego tego taktycznego obmyślenia strategii.

– Dlaczego przypomniałaś ją sobie właśnie teraz?

Cisza może być równie niepohamowana jak śmiech. I może się piętrzyć jak płatki śniegu, które nic nie ważą. I zwalić sufit.

– Nie jestem pewna – odparła Julia.

Jacob próbował wzmocnić dach rozmowy:

– Może przypomniałaś sobie, jakie to uczucie być ocenianym.

– Może. Nie sądzę, żeby to robiła. Ale czułam się oceniana.

– I boisz się tego uczucia? – spytał Jacob.

Kilka nocy wcześniej Julia obudziła się jakby z koszmaru, choć nie pamiętała, żeby o czymś śniła. Zeszła do kuchni, odnalazła spis uczniów Georgetown Day w szufladzie z rupieciami i utwierdziła się w przekonaniu, że Benjy będzie jedynym w całej klasie dzieckiem z dwoma adresami.

– Boję się, że nasza rodzina będzie osądzana – powiedziała.

– A ty siebie osądzasz?

– Ty nie?

– To mnie będą w tym roku zapraszać ze współczucia, czyż nie?

Julia uśmiechnęła się, wdzięczna za zboczenie z tematu.

– Dlaczego ten rok miałyby się różnić od innych?

Pierwszy wspólny śmiech od tygodni.

Jacob nie przywykł do tego ciepła i wprawiło go ono w zakłopotanie. Nie tego się spodziewał, kiedy ćwiczył do tej próby. Oczekiwał czegoś odrobinę pasywno-agresywnego. Zakładał, że będzie musiał skosztować dań z bufetu pełnego badziewia, nie mając za grosz

odwagi (w analizie zysków i strat nie znajdując usprawiedliwienia dla samoobrony), by skorzystać ze skromnego arsenału ripost, jakie przygotował.

Doktor Silvers zachęcał go, żeby po prostu był obecny, żeby siedział ze swoim bólem (niż żeby go od siebie oddalał) i opierał się pragnieniu uzyskania określonych wyników. Ale Jacob czuł, że sytuacja będzie wymagała pewnej dozy bardzo rzadkiej na wschodzie kraju otwartości. Będzie musiał unikać mówienia rzeczy, które mogłyby zostać kiedyś w przyszłości wykorzystane przeciwko niemu, ponieważ wszystko na zawsze trafi do akt. Będzie musiało wyglądać na to, że ulega (uciekając się do szlachetnych zapewnień i jawnego odwrotu na z góry upatrzone tajne pozycje), nie ustępując ani na jotę. Będzie musiał wykazać się sprytem kogoś zbyt przebiegłego na to, by przeczytać książkę na temat sprytu samuraja.

Ale gdy rozmowa nabrała kształtu, Jacob nie odczuwał potrzeby kontroli. Nie było nic do wygrania; można było się tylko bronić przed przegraną.

– „Rodziny są różne” – powiedziała Julia. – Czy nie wydaje ci się to dobre na początek?

– Tak.

– „W jednych jest dwóch ojców. W innych są dwie matki”.

– „Jeszcze inne mieszkają w dwóch domach”?

– W tym momencie Max wywnioskuję, że kupujemy domek letniskowy i wpadnie w zachwyty.

– Domek nad oceanem. „Jeszcze inne mieszkają w dwóch domach: w mieście i nad oceanem”.

„Domek letniskowy”, pomyślała Julia, celowo mącąc sobie w głowie tak dokumentnie, jak zrobiliby to Max. Rozmawiali o tym z Jacobem – nie o domku nad oceanem, na który nigdy nie byłoby ich stać, ale o czymś przytulnym gdzie indziej. Była to wielka nowina, o której zamierzała napomknąć Markowi tamtego dnia, nim przypomniał jej, jak bardzo w jej życiu brak nowin. Miło byłoby mieć domek letniskowy. Może nawet na tyle miło, że znów przez chwilę wszystko by działało albo można by udawać funkcjonującą rodzinę, aż do czasu znalezienia następnego tymczasowego rozwiązania. Pozory szczęścia. Gdyby byli w stanie je utrzymać – nie dla innych, ale pozorując życie dla samych siebie – mogłoby to być na tyle bliskie doświadczeniu prawdziwego szczęścia, że wszystko by się ułożyło.

Mogliby więcej podróżować. Planowanie podróży, wycieczka, odprężenie – zyskaliby trochę na czasie.

Mogliby pójść na terapię dla par, ale dziwaczna lojalność Jacoba wobec doktora Silversa sprawiała, że wizyta u kogoś innego byłaby transgresją (najwyraźniej poważniejszą niż żądanie seksu analnego od kobiety, która nie jest jego żoną). A kiedy Julia stawała przed perspektywą pełnego otwarcia się, straty czasu i poniesienia kosztów wizyt, które dwa razy w tygodniu kończyłyby się bolesnym milczeniem albo niekończącym się gadaniem – nie mogła wykrzesać z siebie niezbędnego optymizmu.

Mogli zrobić dokładnie to, co zawodowo umożliwiała innym ludziom, a w życiu prywatnym potępiała: remont. Tyle można było w ich domu poprawić: unowocześnić kuchnię (przynajmniej nowe elementy stalowe, ale dlaczego nie nowe blaty, nowe urządzenia, a najlepiej nowy, bardziej płynny, przyjemniejszy dla oczu układ?), zrobić nową, luksusową łazienkę, zamontować nowe szafy ścienne, wstawić z tyłu domu drzwi do ogrodu, wstawić świetliki nad prysznicami na piętrze, wykończyć piwnicę.

– „W jednym będzie mieszkała mama, a w drugim zamieszka tata”.

– Okej – powiedział Jacob – ale pozwól, że na chwilę wcielę się w Sama.

– Dobra.

– Zamierzacie się przeprowadzić w tym samym czasie?

– Tak, zamierzamy spróbować to zrobić.

– A ja będę musiał codziennie prznosić swoje rzeczy tam i z powrotem?

– Będziemy mieszkali w odległości spaceru – powiedziała Julia – i nie będziesz tego robił codziennie.

– Naprawdę możesz to obiecać? Teraz mówią jako ja.

– W tej sytuacji to chyba całkiem rozsądna obietnica.

– A jak się podzielimy?

– Nie wiem – stwierdziła Julia – ale na pewno nie dniami.

– A kto będzie tutaj mieszkał? Znowu mówię jako Sam.

– Miejmy nadzieję, że jakaś fajna rodzina.

– My też jesteśmy fajną rodziną.

– Owszem, jesteśmy.

– Czy któreś z was ma romans?

– Jacob.

– Co?

– Nie zapyta o to.

– Po pierwsze: oczywiście, że może o to spytać. Po drugie: to jedna z tych rzeczy, na które, bez względu na małe prawdopodobieństwo, zdecydowanie musimy mieć przygotowaną odpowiedź.

– Dobra, to ja będę Samem – powiedziała Julia.

– Okej.

– Czy któreś z was ma romans?

– Kim jestem? – spytał Jacob. – Sobą? Czy tobą?

– Tobą.

– Nie. Nie o to tutaj chodzi.

– Ale widziałem twój telefon.

– Chwila, *naprawdę?*

– Nie sędzę.

– Nie sądzisz czy nie widział?

– Nie wydaje mi się, żeby widział.

– To dlaczego to powiedziałaś?

– Bo dzieci wiedzą o rzeczach, o których nie wiemy, że wiedzą. A kiedy pomógł mi go odblokować...

– Pomógł ci go odblokować?

– Nie wiedziałam, czyj to.

– I widział...

– Nie.

– Powiedziałaś mu...

– Oczywiście, że nie.

Jacob wcielił się z powrotem w postać samego siebie.

– To, co widziałeś, było wymianą zdań z jednym ze współautorów mojego programu. Pisaliśmy do siebie, wymyślając scenę, w której... cóż... dwoje ludzi rozmawia w dość niestosowny sposób.

– Przekonujące – powiedziała Julia. Jako Julia.

– A ty, mamó? – spytał Jacob. – Miałaś romans?

– Nie.

– A Mark Adelson?

– Nie.

– Nie całowałaś się z nim na symulacji obrad ONZ?

– Czy to naprawdę do czegoś prowadzi, Jacobie?

– Będę tobą.

– Będziesz mną?

– Tak, Samie, pocałowałam Marka na symulacji obrad. Nie było w tym premedytacji...

– W życiu bym nie użyła tego słowa.

– To nie było zaplanowane. Nie było nawet przyjemne. Po prostu się stało. Przykro mi, że do tego doszło. Prosiłam waszego tatę, żeby przyjął przeprosiny, i zrobił to. Wasz ojciec to bardzo dobry...

– Kapujemy.

– Ale serio – powiedział Jacob – jak wyjaśnimy im powody?

– Powody?

Nigdy nie używali słowa „rozwód”. Jacob byłby w stanie się zmusić, by je wypowiedzieć, ponieważ nie miało do niego dojść. Ale nie chciał, żeby ujrzało światło dzienne. Julia nie mogła go wymówić, bo nie była taka pewna. Nie wiedziała, co z nim począć.

Gdyby Julia miała być zupełnie szczerą, z łatwością mogłaby przedstawić powody, dla których powinni zrobić to, o czym nie byli w stanie mówić. Była nieszczęśliwa, choć zarazem niepewna, czy jej nieszczęście nie byłoby czyimś szczęściem. Czuła niezaspokojone pragnienie – głębokie jego pokłady – ale przypuszczalnie podobnie było w przypadku każdej osoby, po ślubie bądź bez niego. Chciała więcej, ale nie wiedziała, czy jakieś więcej istnieje. Dawniej niewiedza była inspirująca. Jak wiara. Teraz przypominała agnostycyzm. Brak wiedzy.

– A jeśli będą chcieli wiedzieć, czy zamierzamy powtórnie brać ślub? – spytała Julia.

– Nie wiem. A zamierzasz?

– Na pewno nie – powiedziała. – Nie ma mowy.

– Strasznie jesteś tego pewna.

– Niczego nie jestem pewna bardziej.

– Kiedyś byłaś taka niepewna wszystkiego, w najlepszym znaczeniu.

– Przypuszczam, że miałam mniej dowodów.

– Masz dowód tylko na to, że konkretna droga, którą obraliśmy, w przypadku konkretnej osoby, czyli ciebie, nie wypaliła.

– Jestem gotowa na nowy rozdział.

– Staropanieństwo?

– Może.

– A co z Markiem?

– Co z nim?

- Jest miły. Przystojny. Dlaczego by nie spróbować?
- Jak możesz być taki skory, żeby się mnie pozbyć?
- Nie. Nie, po prostu wydaje mi się, że coś cię z nim łączy i...
- Nie musisz się o mnie martwić, Jacobie. Poradzę sobie.
- Nie martwię się o ciebie.

Nie zabrzmiało to najlepiej. Spróbował raz jeszcze:

- Nie martwię się o ciebie bardziej niż ty o mnie.

Też niedobrze.

- Mark to równy gość – powiedziała Billie z rogu pokoju.

Czy one lęgną się samorzutnie z tapicerki jak czerwie w gnijącym mięsie?

- Billie?

– Dzień dobry – powiedziała, wyciągając rękę w stronę Jacoba. – Właściwie nie mieliśmy okazji się poznać, choć wiele o panu słyszałam.

„A konkretnie?”, chciał spytać Jacob, ale zamiast tego uściśnął jej dłoń i powiedział:

- Ja o tobie też. – Kłamstwo. – Same dobre rzeczy. – Prawda.

– Pomagałam Samowi z jego przeprosinami i przyszło nam do głowy, że nie do końca wiemy, co spełnia ich warunki. Czy przeprosiny wymagają jednoznacznego odwołania słów?

Jacob posłał Julii spojrzenie mówiące „ogarnij słownictwo tej tutaj”.

- Czy może po prostu opisać, co się stało, i to wyjaśnić? Czy słowo „przepraszam” jest bezwzględnie konieczne?

- Czemu Sam o to nie spyta?

- Jest na spacerze z Argusem. I poprosił o to mnie.

- Przyjdę za chwilę na górę wam pomóc – powiedział Jacob.

– Nie jestem pewna, czy to konieczne ani, prawdę mówiąc, pożądane. My tylko, no, chcemy wiedzieć, co rozumie się przez przeprosiny.

- Sądzę, że jednoznaczne odwołanie jest nieodzowne – powiedziała Julia – ale nie musi paść słowo „przepraszam”.

- Tak właśnie przeczuwałam – odparła Billie. – Okej. No cóż, dziękuję.

Odwróciła się, by wyjść z pokoju, ale Julia przywołała ją z powrotem:

- Billie.

- Tak?

- Słyszałaś może coś z tego, o czym rozmawialiśmy? Czy tylko, że Mark jest miły?

- Nie wiem.

- Nie wiesz, czy coś słyszałaś? Czy nie wiesz, czy czujesz się na tyle swobodnie, żeby odpowiedzieć?

- To drugie.

- Chodzi o to...

- Rozumiem.

- Nie rozmawialiśmy jeszcze z chłopcami...

- Naprawdę rozumiem.

- I jest jeszcze cały kontekst – włączył się Jacob.

- Czaję. Moi rodzice są rozwiedzeni.

- Szukamy tylko własnego sposobu – powiedział Jacob – próbujemy po prostu coś

wymyślić.

– Twoi rodzice są po rozwodzie?

– Tak.

– Jak długo?

– Dwa lata.

– Przykro mi.

– Nie obwiniam siebie o ich rozwód i pani też nie powinna.

– Jesteś zabawna – stwierdziła Julia.

– Dziękuję.

– Rozwód najwyraźniej nie stanął na przeszkodzie temu, żebyś stała się kimś niezwykłym.

– Cóż, nigdy nie dowiemy się, kim bym się stała w przeciwnym razie.

– Jesteś naprawdę zabawna.

– Naprawdę pani dziękuję.

– Zdajemy sobie sprawę, że stawia cię to w niezręcznym położeniu – dodał Jacob.

– To nic – odpowiedziała Billie i znów odwróciła się, żeby wyjść.

– Billie? – zatrzymała ją Julia.

– Tak?

– Czy określiłabyś rozwód rodziców jako stratę?

– Dla kogo?

– Chcę zmienić moje życzenie! – oświadczył Benjy.

– Benjy?

– Powinam już iść – powiedziała Billie, odwracając się do wyjścia.

– Nie musisz iść – odparła Julia. – Zostań.

– Życzyłbym wam, żebyście uwierzyli Samowi.

– W jakiej sprawie? – spytał Jacob, biorąc Benjy'ego na kolana.

– Powinam – powiedziała Billie i skierowała się na górę.

– Nie wiem – odrzekł Benjy. – Słyszałem tylko, jak rozmawiał z Maxem, no i powiedział, że życzyłby sobie, żebyście mu wierzyli. Więc z jego życzenia zrobiłem swoje.

– To nie tak, że mu nie wierzymy – zaprzeczył Jacob, odnajdując na nowo swój gniew na Julię za to, że nie była w stanie wziąć strony Sama.

– To o co chodzi?

– Chcesz wiedzieć, o czym rozmawiali Sam z Maxem? – spytała Julia.

Benjy przytaknął.

– Sam wpadł w tarapaty w szkole hebrajskiej, ponieważ na jego biurku znaleziono kartkę z brzydkimi wyrazami. Mówi, że tego nie zrobił. Jego nauczyciel jest pewien, że tak.

– To dlaczego mu nie wierzycie?

– Wcale mu nie wierzymy – powiedział Jacob.

– Zawsze chcemy mu wierzyć – oznajmiła Julia. – Zawsze pragniemy brać stronę naszych dzieci. Ale nie wydaje nam się, żeby tym razem Sam mówił prawdę. Nie jest przez to kimś złym. I nie kochamy go z tego powodu ani odrobinę mniej. Właśnie w ten sposób okazujemy mu miłość. Próbujemy mu pomóc. Ludzie ciągle popełniają błędy. Ja ciągle je robię. Tata też. I wszyscy liczymy na wzajemne wybaczenie. Ale ta sprawa wymaga przeprosin. Dobrzy ludzie nie popełniają mniej błędów, po prostu potrafią przeproszać.



Benjy zastanowił się nad tym.

Wyciągnął szyję, żeby spojrzeć w twarz Jacoba, i spytał:

– To dlaczego ty mu wierzysz?

– Mama i ja sądzymy to samo.

– Też sądzisz, że skłamał?

– Nie, też myślę, że ludzie popełniają błędy i zasługują na wybaczenie.

– Ale czy myślisz, że skłamał?

– Nie wiem, Benjy. Podobnie jak mama. Tylko Sam wie.

– Ale czy *myślisz*, że skłamał?

Jacob położył Benjy'emu ręce na udach i poczekał, aż przemówi anioł. Ale nie było anioła. Ani baranka.

– Myślmy, że nie mówi prawdy.

– Moglibyście zadzwonić do pana Schneidermana i poprosić, żeby wymienił moje życzenie?

– Pewnie – powiedział Jacob – da się zrobić.

– Ale jak przekażecie mu moje nowe życzenie, nie wypowiadając go?

– A dlaczego go po prostu nie zapiszesz i nie dasz panu Schneidermanowi?

– Już tam jest.

– Gdzie?

– Przy Ścianie Płaczu.

– W Izraelu?

– Chyba.

– Och, w takim razie nie martw się. Na pewno odwołano jego wycieczkę i będziesz miał okazję zmienić życzenie.

– Czemu?

– Z powodu trzęsienia ziemi.

– Jakiego trzęsienia?

– W zeszłym tygodniu doszło do trzęsienia ziemi w Izraelu.

– Dużego?

– Nie słyszałeś, jak o tym rozmawiamy?

– Rozmawiacie o wielu rzeczach, o których nie mówicie do mnie. Czy Ścianie nic nie będzie?

– Oczywiście – pospieszyła z odpowiedzią Julia.

– Jeśli czemuś nic nie będzie – dodał Jacob – to na pewno Ścianie. Nic się z nią nie dzieje od ponad dwóch tysięcy lat.

– Tak, ale były przecież trzy inne ściany.

– Znam świetną historię na ten temat – powiedział Jacob w nadziei, że będzie w stanie przypomnieć sobie to, co właśnie zamierzał opowiedzieć.

Historia pozostawała w stanie uśpienia, od kiedy usłyszał ją w szkole hebrajskiej. Nie pamiętał jej dokładnie i nie myślał o niej od tamtej pory, a jednak w nim tkwiła – cząstka, którą się przekazuje.

– Kiedy rzymskie wojska podbiły Jerozolimę, wydano rozkaz, by zburzyć Świątynię.

– To była Druga Świątynia – stwierdził Benjy – bo pierwszą zniszczono.

– Zgadza się. Bardzo dobrze, że to wiesz. W każdym razie trzy ściany padły, ale czwarta

się przeciwstawiła.

– Przeciwstawiła?

– Stawiła opór. Obroniła się.

– Ściana nie może się obronić.

– Nie została zniszczona.

– Okej.

– Nie ustąpiła pod młotami, kilofami i pałkami. Rzymianie zmusili słonie, żeby naparły na ścianę, próbowali podłożyć pod nią ogień, wynaleźli nawet stalową kulę do burzenia.

– Ekstra.

– Ale wyglądało na to, że nic nie będzie w stanie obalić czwartej ściany. Żołnierz odpowiedzialny za zburzenie Świątyni zameldował dowódcy, że zniszczyli trzy z czterech ścian. Ale zamiast przyznać, że nie potrafią wyburzyć czwartej, zasugerował, żeby ją zostawić.

– Po co?

– Na dowód ich wielkości.

– Nie łapię.

– Kiedy ludzie zobaczą ścianę, będą w stanie przywołać ogrom Świątyni i nieprzyjaciela, którego pokonali Rzymianie.

– Że co?

– Zobaczą, jaka wielka musiała być sama Świątynia – wyjaśniła Julia.

– Okej – powiedział Benjy, przyjmując rzecz do wiadomości.

Jacob zwrócił się do Julii:

– Nie ma jakiejś organizacji, która zajmuje się odbudową synagog w Europie od fundamentów? To trochę w tym stylu.

– Albo jak z pomnikiem ofiar zamachów jedenastego września.

– Jest na to określenie. Kiedyś je słyszałem... *Szul. Tak, szul.*

– Jak bóżnica?

– Wspaniały zbieg okoliczności, ale nie. To z tybetańskiego.

– Gdzie niby miałbyś się nauczyć tybetańskiego słowa?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Jacob. – Ale je znam.

– No i? Każesz nam ściągać z półki tybetański słownik Webstera?

– Mogę coś pomylić, ale wydaje mi się, że to materialny ślad, który pozostał. Jak odcisk stopy. Albo kanalik, którym płynęła woda. Albo w Connecticut: ubita trawa, na której spał Argus.

– Anioł na śniegu – dorzucił Benjy.

– Świetny przykład – powiedziała Julia, wyciągając rękę ku jego twarzy.

– Tyle że my nie wierzymy w anioły.

Jacob dotknął kolana Benjy'ego.

– Mówiłem, że choć w Torze pojawiają się anioły, judaizm tak naprawdę nie popiera...

– Jesteś moim aniołem – powiedziała Julia do Benjy'ego.

– A ty jesteś moją Wróżką Zębuszką – odparł.

Gdyby Jacob mógł wyrazić życzenie, pragnąłby nauczyć się życiowych lekcji, zanim byłoby za późno, żeby je zastosować w praktyce. Ale jak mur, w który by je wetknął, życzenie przywoływało ogrom.

Kiedy Benjy wyszedł z salonu, próba dobiegła końca, Max dostał drugi obiad, którym nie były szpinakowe lasagne, i uznano, że drzwi oddzielające Sama i Billie od reszty świata są dostatecznie uchylone, Jacob postanowił załatwić kilka niepotrzebnych spraw w sklepie z artykułami żelaznymi: kupić krótszy wężyk, który będzie się mniej niezgrabnie chował, uzupełnić zapasy paluszków, może pomacać jakieś elektronarzędzia. W drodze zadzwonił do ojca.

– Poddaję się – powiedział.

– Korzystasz z bluetootha?

– Tak.

– To go wyłącz, żebym cię słyszał.

– Nie można trzymać telefonu w ręce podczas jazdy.

– I dostaje się od tego raka. Cena robienia interesów.

Jacob przysunął telefon do twarzy i powtórzył:

– Poddaję się.

– Wspaniale słyszeć. W związku z czym?

– Pochowajmy dziadka tutaj.

– Poważnie? – Irv sprawiał wrażenie zaskoczonego i zadowolonego, i załamane.

– Co za tym stoi?

Powód – czy nakłonił go do tego ojcowski pragmatyzm, czy zmęczyło go przemeblowywanie życia tak, by mógł spędzać czas ze zwłokami, czy też był zbyt zajęty pochówkiem swojej rodziny, by ciągnąć walkę – aż tak bardzo się nie liczył. Zajęło im to osiem dni, ale decyzja została podjęta: pochowają Isaaca na bardzo zwyczajnym i wystarczająco ładnym cmentarzu Judean Gardens, położonym jakieś trzydzieści minut drogi od miasta. Dziadek będzie miał odwiedzających i spędzi całą wieczność pośród rodziny. I choć być może nie będzie to pierwszy przystanek nieistniejącego i ociągającego się z przybyciem Mesjasza, On w końcu tu dotrze.

# Wersja oryginalna

Jaskier, pospolity zaczątek awatara, był w samym środku cyfrowego gaju cytrynowego: wyraźnie oznaczonej i okolonej drutem kolczastym prywatnej własności produkującej lemoniadę korporacji, która wykorzystywała niby zabawne filmiki z udziałem niby godnych zaufania aktorów, by przekonać zainteresowanych-lecz-nie-pobudzonych konsumentów, by uwierzyli, że to, co piją, ma coś wspólnego z oryginalnością. Sam nie cierpiał tego rodzaju korporacji niemal w połowie tak bardzo jak siebie za to, że jest kolejnym idiotycznym trybikiem, który łyka wszystko, wyszczerzywszy zęby i to... jak brzmi imiesłów przysłówkowy uprzedni od „znosić”? – podczas gdy ich nienawidzi i daje temu wyraz. Nigdy w życiu nie wkroczyłby na teren prywatny. Był na to zbyt etyczny i zbyt tchórzliwy. (Czasem trudno było rozróżnić te dwie rzeczy). Ale na tym polegała jedna z wielu, wielu zalet *Innego Życia*, wyjaśniająca być może uzależnienie Sama: *Inne Życie* stanowiło okazję, by postępować nieco mniej etycznie i mniej tchórzliwie.

Jaskier bezprawnie wkroczył do gaju, owszem, ale nie wzniecił pożaru, nie wykarczował drzewek, nie stworzył (czy jak to się poprawnie mówi) graffiti ani nawet tak naprawdę nie naruszył niczyjej własności. Poszedł tam, żeby побыć w samotności. Pośród na pozór niezliczonych kolumn pni, pod kołdrą cytryn mógł być sam. Nie chodzi o to, że bardzo *pragnął* samotności. „Pragnąć” było słowem, którego mogłaby użyć jego mama.

– Czy pragniesz zrobić jakąś pracę domową, zanim pójdziemy na obiad?  
– *Skończyć* – odpowiadał, czerpiąc wielką przyjemność z tego, że zmusił ją, by się poprawiła.

– Czy pragniesz skończyć jakąś pracę domową, zanim pójdziemy na obiad?

– Pragnę?

– Tak. Pragniesz.

Nie miał wielkiej przyjemności z wielkiej przyjemności, którą zdawał się czerpać z wymądrzania się przy niej. Ale *pragnął* to robić. Pragnął zwalczać odruch, by do niej przywrzeć, pragnął odrzucać to, do czego pragnął się zbliżyć, ale nade wszystko pragnął nie być obiektem jej potrzeb. To było fizjologiczne. Odpychała go nie jej ciągła potrzeba całowania, lecz jawne starania z jej strony, by sobie z tą potrzebą poradzić. Budziły w nim wstręt – napawały obrzydzeniem, przyparwiały o mdłości – kradzione dotknięcia: poprawianie włosów o chwilę dłużej, niż to konieczne, przytrzymywanie ręki podczas obcinania paznokci (coś, co sam umiał zrobić, ale pragnął, żeby zrobiła to ona, lecz wyłącznie w ściśle określony i ograniczony sposób). I ukradkowe spojrzenia: kiedy wychodził z basenu albo, co gorsza, zdejmował koszulę z powodu zarządzonego naprędcie prania. Był okradziony z tego, co mu kradła, i budziło to nie tylko jego odrazę, nie tylko gniew, ale i sprzeciw. Możesz mieć, czego zapragniesz, ale nie możesz sobie tego wziąć.

Jaskier szukał samotności w gaju cytrynowym, ponieważ Sam odbywał sziwę<sup>26</sup> za Isaaca, unikając rozmów z krewnymi, których procesory były zaprogramowane na zawstydzanie go. W jakim innym celu kuzyn drugiego stopnia, którego nie widział od lat, odczuwałby potrzebę wspominania o trądziku? Albo o mutacji głosu? Po co miałyby puszczać oko, pytając o dziewczyny?

Jaskier szukał samotności. Nie żeby побыć sam, ale żeby znaleźć się z dala od innych. To pewna różnica.

- > Sam?
- > ...
- > Sam, to ty?
- > Do kogo mówisz?
- > DO CIEBIE.
- > Do mnie?
- > Do ciebie. Sama.
- > Kim jesteś?
- > WIEDZIAŁEM, że to ty.
- > Kto wiedział?
- > Nie poznajesz mnie?

Czy poznaje? Awatar zwracający się do Jaskra był lwem z bujną tęczową grzywą, brązową kamizelką z zamszu z opalizującymi guzikami ukrytą w dużej mierze pod białą marynarką od smokingu z połami sięgającymi końca ogona (przyozdobionego sześciennym serduszkiem z cyrkonii), wybielonymi zębami za uszmińkowanymi ustami (o tyle, o ile lew ma usta), pyskiem, który był *kapkę* zbyt wilgotny, rubinowymi źrenicami (nie koloru rubinowego, ale z kamieni szlachetnych) i pazurami z macicy perłowej z wrytymi pacyfami i gwiazdami Dawida. Jeśli to było dobre, to było *bardzo* dobre. Tylko czy było dobre?

Nie rozpoznawał niczego. Poza zaskoczeniem, że ktoś go odnalazł w chwili refleksji, i wstydem płynącym z bycia nazwanym i rozpoznany.

Ktoś z dostateczną smykałką do technologii i niedostateczną radością życia mógłby w teorii wyśledzić Sama w Jaskrze. Ale wymagałoby to wysiłku, którego (jak zakładał Sam) nikt, kogo znał – nikt, kto *go znał* – by się nie podjął. Może poza Billie.

Pomijając wirtuozersko lamerskie i podejmowane bez przekonania próby rodziców, by „sprawdzać” jego korzystanie z komputera, nigdy nie przestawało Sama zadziwiać, co uchodzi mu na sucho.

Dowód numer jeden: kradł na rogu w sklepie spożywczym, nad którego drzwiami nadal znajdowało się jego nazwisko i który jego dziadek otworzył, gdy miał więcej martwych braci niż angielskich słów w głowie. Kradł sumiennym koreańskim imigrantom – którzy obok kasy trzymali plasterki cytryny do zwilżania palców w celu chwycenia gotówki – wystarczająco dużo śmieciowego żarcia (wystarczająco dużo paczek cheetosów przebijanych zaostrzonym końcem zgiętego spinacza, by wypuścić powietrze i umożliwić ściśnięcie, wystarczająco dużo mentosowych wzwodów w kieszeniach), że mógłby otworzyć w okolicy własny sklep – ale o innej nazwie, a najlepiej bez nazwy, najlepiej po prostu: sklep. Po co były mu te wszystkie kradzieże? Nie po to, by zjeść, co zabrał. Nigdy tego nie zrobił, ani razu. Zawsze, ale to zawsze zwracał towary – zwrot wymagał znacznie większej niedozwolonej biegłości niż kradzież. Robił to, żeby udowodnić, że potrafi i że to okropne, i żeby dowieść, że nikogo to nie obchodzi.

Dowód numer dwa: ilość (w terabajtach) porno, które pochłaniał, i ilość nasienia

(w kwartach), które wynasieniał. „Pod ich nosem” to może niefortunne określenie, ale jakim cudem tak zwani rodzice mogli być tak zupełnie nieświadomi wykopania i wypełnienia spermą zbiorowej mogiły na tyłach ich własnego domu?

Sziwa przypomniawszy mu o wielu sprawach – o śmiertelności dziadków i rodziców, o śmiertelności własnej i Argusa, o tym, jak niezaprzeczalnie pocieszające może być odtwarzanie rytuałów, których się nie rozumie – ale o niczym tak bardzo, jak o pierwszym razie, gdy się brandzłował, też podczas sziwy. To była stypa po pogrzebie jego stryjecznej babki Doris. Choć zwracali się do niej „babciu Doris”, tak naprawdę pokrewieństwo było odleglejsze i nie do końca jasne. (Po kilku kieliszkach bardzo drogiej wódki dziadek zasugerował nawet, że w ogóle nie łączyły ich więzy krwi). Niezależnie od sytuacji, nigdy nie wyszła za mąż, nie miała dzieci i afiszowała się ze swą samotnością, by chyłkiem przybliżyć się do pnia drzewa genealogicznego.

Familijne zgromadzenie nieznajomej rodziny zajęte było przekąszaniem, a Sam – jak Mojżesz wezwany do potrzebującego krzewu – popędził do łazienki. Jakimś sposobem wiedział, że to ta chwila, nawet jeśli nie rozumiał metody. Tamtego dnia użył żelu do włosów, ponieważ był lepki i znajdował się w pobliżu. Im dłużej przesuwiał ręką w dół i w górę kutasa, tym mocniej podejrzewał, że dzieje się coś o autentycznym znaczeniu – coś nie tylko przyjemnego, ale i mistycznego. Stawało się to coraz przyjemniejsze, ścisnął coraz mocniej, a potem było jeszcze przyjemniej i wtedy – za sprawą małego pchnięcia dla człowieka – ludzkość wykonała wielki skok ponad kanionem oddzielającym gówniane, żalotne, nieprawdziwe życie od pozbawionej kompleksów, złości i skrępowania dziedziny, w której chciał zamieszkać na resztę swoich ziemskich dni i nocy. Z penisa wytrysnęła substancja, którą – musiał to przyznać – uwielbiał bardziej niż kogokolwiek w swoim życiu, bardziej niż jakąkolwiek ideę, tak bardzo, że stała się jego wrogiem. Czasem, w mniej napawających dumą chwilach, przemawiał do swojej spermy, gdy nasienie ścinało mu się w pępku. Czasem spoglądał w jej sto milionów oczu i mówił po prostu: „Wrogowie”.

Pierwszy raz był objawieniem. Pierwszych kilka tysięcy razy. Tego popołudnia jeszcze raz zrobił sobie dobrze. I jeszcze raz, i jeszcze jeden w nocy. Brandzłował się z determinacją godną kogoś, kto ma w zasięgu wzroku szczyt Everestu, i choć stracił wszystkich przyjaciół i szerpów, choć skończył mu się zapasowy tlen, wolałby śmierć od porażki. Za każdym razem używał żelu do włosów, nie zastanawiając się nad potencjalnymi skutkami dermatologicznymi ciągłego smarowania penisa substancją przeznaczoną do układania włosów. Trzeciego dnia jego łoniaki przypominały wyciory do fajki, a pała była trędowata.

Zaczął więc sobie trzepać z pomocą aloesu. Ale zieleń wprowadzała dysonans poznawczy, sprawiając, że czuł się jak pierdolony kosmita, i nie było w tym nic fajnego. Przerzucił się na mleczko nawilżające.

Był szalonym wynalazcą, jeśli chodzi o masturbację, zawsze w poszukiwaniu sposobów, by upodobnić swoją rękę do waginy. Pomogłoby w tym posiadanie faktycznych doświadczeń z faktyczną waginą, ale niezdolność, by zamiast „faktyczny” nie słyszeć „falliczny”, sprawiała, że szanse na to były równie mizerne jak jego użycie słowa „mizerny”. W każdym razie internet był idealnym źródłem wiedzy ginekologicznej, a poza tym istnieją rzeczy, które człowiek wie nie do końca wiadomo skąd, jak choćby to, że dzieci nie szczołgają się z urwiska – czego był pewien na dziewięćdziesiąt pięć procent. Kiedy po pięciu nieskończeniu i niesprawiedliwie długich latach miał swoje pierwsze doświadczenie

seksualne z cielesną istotą płci żeńskiej – nie Billie, ku jego rozpacz, lecz z kimś zaledwie miłym, byстрыm i ładnym – zaskoczyło go, jak trafne były jego wyobrażenia. Wiedział wszystko, od początku do końca. Być może gdyby wiedział, że wie, nieco łatwiej byłoby przetrzymać te lata.

Używał suchej ręki, smarując drugą miodem, szamponem, wazeliną, kremem do golenia, kleikiem ryżowym, pastą do zębów (tylko raz) albo resztkami maści na odparzenia A&D, której jego rodzice jakoś nie mogli wyrzucić, mimo że byli w stanie pozbyć się wszystkiego, co rzeczywiście się liczyło. Zrobił sztuczną waginę z rolki papieru – zakrył jeden koniec folią spożywczą (przymocowaną gumką recepturką) i nalał do środka syropu klonowego, a następnie również drugi koniec zakrył folią (przytrzymywaną gumką) i zrobił szparkę. Pieprzył poduszki, koce, odkurzacze basenowe, wypchane zwierzęta. Zjeżdżał na ręcznym do katalogu Victoria's Secret i numerów „Sports Illustrated” z kostiumami kąpielowymi, do reklam na ostatnich stronach „City Paper” i reklam biustonoszy JCPenney w tygodniku „Parade”, właściwie do wszystkiego, co w ramach jego wszechmocnej i bardzo zmotywowanej wyobraźni mogłoby zostać wzięte za odbyt, waginę, sutek lub usta (w tej kolejności). Oczywiście miał też nieograniczony dostęp do większej ilości darmowego porno, niż wszyscy mieszkańcy Chin łącznie zdołaliby obejrzeć w ciągu całego życia, ale nawet dwunastolatek z szajbą na punkcie odbytu docenia współzależność między wysiłkiem umysłowym a wielkością wytrysku, stąd jego szczyt fantazji: zatrzymać jakąś arabską dziewicę spieszącą do prawdziwego męczennika, który ma ją wyjechać, następnie wetknąć głowę pod jej burkę i – w tej kosmicznej, odseparowanej od zmysłów ciemności – wylizać orbity wokół planety Anus. Czy ktokolwiek uwierzyłby, że nie miało to nic wspólnego z religią, przynależnością etniczną ani nawet tabu?

Przewiązał sobie nadgarstki gumkami – gumki recepturki są dla masturbacji tym, czym mąka dla wypieków – by palce zdrętwiały mu tak, że przestał je odczuwać jako własne. Wyszło fantastycznie, a on niemal stracił rękę. Ustawiał lustro pod takim kątem, żeby widzieć swój odbyt i nic innego, i był w stanie przekonać samego siebie, że to odbyt kobiety, która go w nim pragnie. Masturbował się ręką dominującą i tą drugą – ręką nienaruszoną i zniekształconą – i dwiema dłońmi naraz wykręcał sobie pokrzywę na kutasie. Przez kilka miesięcy preferował coś, co nazywał – na niczyj użytek oczywiście – „uchwytem Rogera Eberta”: nadgarstek w półobrocie, tak by kciuk wskazywał w dół. (Z niezrozumiałych powodów i zarazem z powodów, których wcale nie musiał zrozumieć, sprawiało to wrażenie, jakby jego dłoń należała do kogoś innego). Zamykał oczy i wstrzymywał oddech, dopóki nie zaczynał tracić świadomości. Pieprzył własne podeszwy stóp, jak jakiś napalony guru. Gdyby naprawdę próbował oderwać penisa od reszty ciała, nie mógłby ścisnąć go ani ciągnąć mocniej i właściwie tylko cudem nigdy nic sobie nie zrobił, choć nawet kiedy sobie dogadzał, czuł, że w jakimś głębokim i nieodwracalnym sensie się rani, że tak musi być i że to kolejna część elementarna wiedzy, z którą się urodził.

Masturbował się w łazienkach pociągowych i samolotowych, w kiblu szkolnym i tym w szkole hebrajskiej, w łazienkach księgarń, w Gapie, Zarze i H&M-ie, w toaletach restauracji i w każdym domu, w którym był, od kiedy zyskał zdolność, żeby dojść w toalecie. Gdy była spłuczka, pieprzył to.

Ileż razy próbował sobie obciągnąć? (Jak Tantal: gdy tylko dosięgał, owoc mu się

wymykał). Próbował wyjechać się w odbyt, ale to wymagało naprowadzenia wzrodu w kierunku, w którym ten najbardziej nie chciał iść, jakby to był most wznoszony, który zmuszono do dotknięcia wody. Był w stanie pocierać moszną wokół odbytu, ale to wprawiało go jedynie w przygnębienie.

Kiedyś w sieciowej społeczności fanów analingusa natknął się na argument właściwie nie do odparcia za wsadzeniem sobie palca w tyłek podczas walenia. Pewnego razu ćwiczył swój zwieracz, żeby ten zatrzymywał się automatycznie jak chińska pułapka – było to całkiem przyjemne, choć dość dziwne. Jakby być miską, której brzegi ktoś (mianowicie: on sam), kto nie mógł się doczekać, wytarł do czysta z surowego ciasta palcem. Rzeczywiście był w stanie odnaleźć swoją prostatę i jak obiecywano, gdy dochodził, widział przez ściany. Tyle że nie było tam czego oglądać – poza kolejnym głównianym pomieszczeniem. Wyjęcie palca psuło wszystko. Po pierwsze, tuż po wytrysku to, co przedtem wydawało się nie tylko dobre, ale logiczne, konieczne i nieuniknione, w jednej chwili stawało się niewytłumaczalne, obłąkańcze i odrażające. Można zbagatelizować, a nawet wyprzeć niemal wszystko, co się powiedziało bądź zrobiło, ale nie da się umniejszyć znaczenia – ani wyprzeć – palca w tyłku. Można go tylko zostawić albo wyjąć. A zostawić się nie da.

Sam nigdy nie czuł się swobodnie w swoim ciele – nie w ubraniach, które nigdy na niego nie pasowały, nie, gdy odgrywał swoją idiotyczną parodię chodu nieparalityka – poza chwilami, gdy się masturbował. Podczas masturbacji zarówno panował nad swym ciałem, jak i w nim żył. Nie musiał się wysilać, zdawał się do tego stworzony, był sobą.

- > To JA.
- > Niewiele mi to pomogło. I przestań nadużywać kapsa.
- > to ja.
- > Billie?
- > Co za Billie?
- > Max?
- > Nie.
- > Pradziadek?
- > NOAM.
- > Nie krzycz.
- > noam. twój kuzyn.
- > Kuzyn Noam z Izraela?
- > Nie, kuzyn Noam ze Szwecji.
- > Śmieszne.
- > Prosto z Izraela.
- > Są tutaj twój tata i młodszy brat.
- > Wiem. Tata przysłał mi mejla z cmentarza.
- > Dziwne. Mówił, że nie może się z wami skontaktować.
- > Pewnie miał na myśli, że telefonicznie. Bez przerwy mejlujemy.
- > Odbywamy sziwę w domu dziadka.
- > Tak, o tym też wiem. Przesłał mi mejlem zdjęcie łososa.
- > Po co?
- > Dlatego że tam był. I dlatego że z jego punktu widzenia świata brakuje realności,



dopóki nie zrobi mu się zdjęcia telefonem.

> Mówisz po angielsku lepiej jak ja.

> „Lepiej ode mnie”.

> Racja.

> W każdym razie chciałem ci powiedzieć coś, co zabrzmiało jak oryginalna wersja „Przykro mi z powodu twojej straty”.

> Nie wierzę w oryginalne wersje.

> Życzę ci mniej smutku. Co ty na to?

> Jak mnie znalazłeś?

> Tak samo jak znalazłbyś mnie, gdybyś szukał. Nic trudnego.

> Nie wiedziałem, że jesteś w *Innym Życiu*.

> Spędzałem tam większość czasu. Ale nigdy przedtem nie byłem w tym gaju.

> Też nigdy przedtem nie byłem w tym gaju.

> Podoba ci się, kiedy ludzie niepotrzebnie powtarzają fragmenty czyichś wypowiedzi? Tak jak właśnie zrobiłeś? Mogłeś powiedzieć „Ja też nie”, ale wzięłeś moje słowa i zrobiłeś z nich swoje. Powiedziałem: „nigdy przedtem nie byłem w tym gaju”, a ty powiedziałeś: „Też nigdy przedtem nie byłem w tym gaju”.

> Podoba mi się, gdy ludzie niepotrzebnie powtarzają fragmenty czyichś wypowiedzi.

> Gdybym korzystał z emotikonów, mógłbym tutaj jakiegoś użyć.

> Miło, że tego nie robisz.

> W wojsku nie ma czasu na *Inne Życie*.

> Za wiele prawdziwego życia?

> Nie wierzę w prawdziwe życie.

> ;)

> Naprawdę się zapuściłem. Spójrz na moje paznokcie.

> Popatrzeć na ciebie? Spójrz na mnie! Wciąż mam na twarzy łożysko.

> ???

> Mój tata popełnił awatarobójstwo.

> Dlaczego?

> Przypadkiem powąchał Śmiertelny Bukiet.

> Dlaczego?

> Bo nosi swój zwieracz jak naszyjnik, który zatamował mu dopływ krwi do mózgu. Tak czy siak, jestem w trakcie odbudowy i nie do końca zadowolają mnie moje postępy.

> Wyglądasz... staro.

> Taa. Stałem się trochę pradziadkiem.

> Dlaczego?

> Może z tego samego powodu, dla którego stanę się nim w prawdziwym życiu? Znaczy w tym życiu.

> Potrzebujesz owoców wytrzymałości?

> Kilkaset tysięcy by nie zaszkodziło.

> Mogę dać ci swoje.

> Żartowałem.

> A ja nie.

> Po co miałbyś to robić?

- > Bo ty ich potrzebujesz, a ja nie. Chcesz 250000?
- > 250000!
- > Nie krzycz.
- > Musiało ci to zająć z rok.
- > Albo trzy.
- > Nie mogę tego przyjąć.
- > Możesz, możesz. To prezent z okazji bar micwy.
- > Nawet nie wiem, czy będę ją miał.
- > Bar micwa nie jest czymś, co się ma. To coś, czym się staje.
- > Nawet nie wiem, czy będę bar micwą.
- > A czy dzieci wiedzą, że przychodzą na świat?
- > Wrzeszczą.
- > Więc i ty wrzeszcz.
- > Gdzie jesteś?
- > Przez następnych kilka godzin w domu.
- > Myślałem, że gdzieś, gdzie jest niebezpiecznie.
- > Poznałeś moją matkę.
- > Twój tata mówił, że jesteś na Zachodnim Brzegu.
- > Byłem. Ale wróciłem w przeddzień trzęsienia ziemi.
- > Cholera, nie do wiary, że gadamy tak długo, a ja nie spytałem jeszcze, jak sobie radzicie. Jestem do niczego. Przepraszam.
- > W porządku. Pamiętaj, że to ja ciebie odnalazłem.
- > Zasysam.
- > Jestem bezpieczny. Wszyscy jesteśmy bezpieczni.
- > Co by się stało, gdybyś nadal był na Zachodnim Brzegu?
- > Naprawdę nie mam pojęcia.
- > Strzelaj.
- > Po co?
- > Bo jestem ciekaw.
- > Cóż, gdybyśmy tam utknęli, przypuszczam, że musielibyśmy stworzyć jakąś tymczasową bazę i czekać na ratunek.
- > Jaką bazę?
- > Taką, jaką bylibyśmy w stanie sklecić. Może zajęlibyśmy jakiś budynek.
- > Otoczeni ludźmi, którzy chcą was zabić?
- > Wielkie mecyje.
- > Rzucaliby w was różnym gównem?
- > Gównem?
- > Granatami albo czymś.
- > Nie ma czegoś takiego jak „granaty albo coś”. Rodzaje broni są ściśle określone.
- > Racja.
- > Może. A może nie. Może byliby zajęci własnymi problemami.
- > Nie byłoby za dobrze.
- > Nie istnieje scenariusz, według którego byłoby dobrze.
- > A jaki byłby najgorszy?

Sama, podobnie jak jego tatę, pociągały najgorsze możliwe scenariusze. Zdawało się oczywiste, dlaczego go ekscytują, ale trudno było wyjaśnić pociechę, którą niosły. Może odzwierciedlały dystans od jego własnego bezpiecznego życia. A może pogodzenie się z najstraszniejszymi rezultatami uwzględniało coś w rodzaju przygotowania psychicznego i rezygnacji? Może były to tylko kolejne ostre przedmioty – jak filmiki, których nienawidził i potrzebował – pozwalające wydobyć jego wnętrze.

Kiedy był w szóstej klasie, jego grupę ze szkoły hebrajskiej zmuszono do obejrzenia dokumentu o obozach koncentracyjnych. Nigdy nie było dla niego jasne, czy to dlatego, że jego nauczyciel był leniwy (zawsze to jakiś sposób, by mieć z głowy kilka godzin lekcyjnych), nie umiał lub nie chciał przybliżyć materiału, czy też odczuwał niemożność uczenia o tym inaczej, niż po prostu pokazując film. Nawet wtedy Sam uważał, że jest za młody, żeby coś takiego oglądać.

Siedzieli przy biurkach dla praworecznych, a nauczyciel – którego nazwisko wszyscy będą pamiętać do końca życia – w ramach wprowadzenia, inspiracji i sprostowania wymamrotał kilka niezapadających w pamięć słów i puścił film. Oglądali stojące w rzędach nagie kobiety, wiele z nich z przyciśniętymi do piersi dziećmi. Płakały – matki i maluchy – ale dlaczego tylko płakały? Dlaczego były takie zdyscyplinowane? Takie dobre? Dlaczego nie uciekały? Dlaczego nie próbowały uratować życia swoich dzieci? Dlaczego ich nie broniły? Lepiej dostać kulę podczas ucieczki, niż po prostu pójść na śmierć. Maleńka szansa jest nieskończenie większa od żadnej.

Chłopcy, którzy byli jeszcze dziećmi, oglądali film zza biurka: widzieli mężczyzn kopiących sobie zbiorowe groby, a potem klękających w środku z palcami splecionymi z tyłu głowy. Dlaczego kopali własne groby? Skoro i tak masz zginąć, po co w tym pomagać? W zamian za kilka dodatkowych chwil życia? To mogłoby mieć sens. Ale jakim sposobem zachowywali taki spokój? Dlatego że sądzili, że zyskają tych kilka dodatkowych chwil? Być może. Maleńka szansa jest nieskończenie większa od żadnej, ale chwila życia to wieczność. Bądź dobrym żydowskim chłopakiem, wykop porządny żydowski grób, klękaj jak *mensch* i jak mawiała przedszkolanka Sama Judy Shore: „Dają, co dają, niech się nie wkurzają”.

Widzieli ziarniste fragmenty filmu z ludźmi, którzy stali się eksperymentami naukowymi. Sam nie mógł nie pamiętać martwych bliźniąt wciąż kurczowo ściskających się nawzajem na stole. Czy za życia też tak uparcie przy sobie trwały? Nie mógł się nie zastanawiać.

Oglądali sceny z wyzwolonych obozów: setki albo tysiące chudych jak szkielety ciał, kolana i łokcie wygięte w złą stronę, ręce i nogi pod niewłaściwymi kątami, oczy tak głęboko zapadnięte, że nie było ich widać. Kopce ciał. Spychacze wystawiające na próbę dziecięcą wiarę, że zwłoki niczego nie czują.

Co mu pozostało? Świadomość, że Niemcy byli – są – źli, źli, źli, nie tylko zdolni do odrywania dzieci od matek, a potem rozrywania na strzępy ich małych ciałek, ale tego *żądni*, że gdyby nie-Niemcy nie interweniowali, Niemcy zamordowaliby każdego Żyda, każdą Żydówkę i każde żydowskie dziecko na świecie; i że oczywiście jego dziadek miał absolutną rację, gdy mówił, że Żyd nigdy nie powinien kupować żadnego rodzaju niemieckich produktów, wciskać pieniędzy do niemieckiego portfela, odwiedzać Niemiec, kulić się na dźwięk tego plugawego języka dzikusów i mieć choćby odrobinę więcej styczości niż to nieuniknione z jakimkolwiek Niemcem, niezależnie od jego wieku – nawet

jeśli brzmiało to jak obłąd. Wyryj to na węgarze drzwi wejściowych i wygraweruj na furtce.

A może pozostała mu świadomość, że wszystko, co kiedyś się wydarzyło, znów mogłoby się wydarzyć, prawdopodobnie się wydarzy, musi się wydarzyć, *wydarzy się*?

Albo świadomość, że jego życie, nawet jeśli nie stanowiło efektu głębokiego cierpienia, to przynajmniej było z nim nieodłącznie związane i że istniało coś w rodzaju egzystencjalnej zależności, bez względu na to, czym owa zależność była, i niezależnie od jej implikacji, pomiędzy *jego* życiem a *ich* śmiercią?

Albo nie świadomość, tylko uczucie? Jakie uczucie? Co to za uczucie?

Sam nie wspomniał rodzicom o tym, co zobaczył. Nie szukał wyjaśnienia ani pociechy. Dawano mu jednak mnóstwo wskazówek – niemal zawsze mimowolnych i w najwyższym stopniu subtelnych – by nigdy o to nie pytał, a nawet nie dostrzegał. Nigdy więc o tym nie wspomniano, bez przerwy nie mówiono, był to wieczny przedmiot nierozmowy. Gdziekolwiek spojrzeć, tam tego nie było.

Jego ojciec miał obsesję na punkcie przejawów optymizmu, wyobrażonego gromadzenia własności i robienia sobie żartów, matka na punkcie kontaktu fizycznego przed pożegnaniem, tranu, odzieży wierzchniej i „tego, co słuszne”, Max na punkcie skrajnej empatii i dobrowolnego wyobcowania, Benjy na punkcie metafizyki i elementarnego bezpieczeństwa. On sam, Sam, zawsze tęsknił. Co to było za uczucie? Miało coś wspólnego z samotnością (jego i innych), coś z cierpieniem (jego i innych), coś ze wstydem (jego i innych), a także ze strachem (jego i innych). Ale także z uporczywą wiarą, uporczywą godnością i uporczywą radością. A mimo to nie było żadną z tych rzeczy ani ich sumą. Było to uczucie bycia Żydem.

Ale co to za uczucie?

# Pewne rzeczy trudno dziś przychodzi

Izrael w dalszym ciągu określał sytuację jako możliwą do opanowania, ale nadal nie otworzył przestrzeni powietrznej, przez co dziesiątki tysięcy Izraelczyków były pozostawione samym sobie i co uniemożliwiło przyjazd Żydom pragnącym pomóc. Tamir próbował złapać okazję i polecieć samolotem transportowym Czerwonego Krzyża, starał się o specjalną przepustkę za pośrednictwem attaché wojskowego przy ambasadzie, badał możliwość zaopiekowania się transportem sprzętu budowlanego. Ale nie było powrotu do domu. Niewykluczone, że odczuwał wdzięczność, że jest na pogrzebie – przez kilka godzin mógł odpoczywać w pokoju.

Na cmentarzu Sam miał na sobie niedopasowany barmicwowy garnitur. Wkładanie go było jedyną rzeczą, której nienawidził bardziej niż samego procesu kupowania: tortur gabinetu luster, niezbyt pomocnej pomocy matki i krawca ocaleńca, w gruncie rzeczy pedofila, który nie raz, nie dwa, ale trzy razy obmacywał krocze Sama parkinsonowatymi palcami i mówił: „Mnóstwo miejsca”.

Tamir i Barak włożyli spodnie i koszule z krótkim rękawem – ich strój na każdą okazję, czy chodziło o wizytę w synagodze, czy w sklepie spożywczym, czy o mecz koszykówki Maccabi Tel Awiw, czy o pogrzeb patriarchy rodu. Każdy rodzaj oficjalności – jeśli chodzi o ubiór, sposób wyrażania się, zachowanie – postrzegali jako rażące pogwałcenie danego od Boga prawa, by zawsze być sobą. Jacob uważał to za okropne i godne zazdrości.

On sam miał na sobie czarny garnitur z pudełkiem miętusów marki Altoids w kieszeni – artefakt czasów, gdy tak troszczył się o to, jak pachnie jego oddech, że chuchał w dłoń, by go powąchać.

Julia włożyła sukienkę vintage od A.P.C., którą znalazła na Etsy za tyle co nic. Nie była to tak całkiem pogrzebowa toaleta, ale Julia nigdy nie miała okazji jej nosić, a bardzo tego chciała, zaś od czasu okrojenia bar micwy pogrzeb był najbardziej uroczystym wydarzeniem, na jakie mogła liczyć.

– Ślicznie wyglądasz, Julio – zwróciła się do Jacoba, nie cierpiąc się za te słowa.

– Prześlicznie – potwierdził Jacob, nie cierpiąc jej za te słowa, jednocześnie zaskoczony, że jego opinia na temat jej urody nadal ma dla niej znaczenie.

– Sugestia osłabia siłę uderzenia.

– To pogrzeb, Julio. I dziękuję.

– Za co?

– Za to, że powiedziałaś, że dobrze wyglądam.

Irv włożył garnitur, który nosił od czasu wojny sześciodniowej.

Isaac miał na sobie biały kitel, w którym brał ślub, szatę, którą nosił raz do roku w Dzień Pojednania i w którą uderzał pięścią: „Za grzech, który popełniliśmy przed Tobą przez to, co wyrwało się z naszych ust... Za grzech, który popełniliśmy przed Tobą publicznie i na osobności... Za grzech, który popełniliśmy przed Tobą przez zamieszanie w sercu...”. Kitel nie miał kieszeni, ponieważ zmarłych należy chować bez żadnych obciążeń.

Niewielka – jeśli chodzi o liczebność i posturę – armia z Adas Israel przemknęła przez żałobę jak letnia bryza, przynosząc taborety, zakrywając lustra, zajmując się daniami

i wysyłając Jacobowi rachunek bez wyszczególnienia żadnych pozycji, którego nie był w stanie zakwestionować, nie popełniając jednocześnie żydowskiego seppuku. Po skromnym nabożeństwie miał się odbyć pochówek na cmentarzu Judean Gardens, następnie kidusz u Irva i Deborah, po nim zaś wieczność.

Na pogrzebie pojawiło się kilkoro krewnych z okolicy, a paru starszych, trochę *meszuge* Żydów przyjechało z Nowego Jorku, Filadelfii i Chicago. Jacob spotykał tych ludzi przez całe życie, ale wyłącznie podczas rytuałów przejścia – bar micw, wesel, pogrzebów. Nie znał ich nazwisk, ale ich twarze wywoływały coś w rodzaju egzystencjalnego odruchu Pawłowa: skoro się tutaj znalazłeś, skoro cię widzę, to znaczy, że dzieje się coś ważnego.

Rabin Auerbach, który znał Isaaca przez kilkadziesiąt lat, dostał przed miesiącem udaru, wobec czego zostawił odprawienie nabożeństwa swojemu zastępcy: młodemu, niechlujnemu, bystremu, a może i przygłupiemu wytworowi jakiegoś miejsca, gdzie produkuje się rabinów. Zastępca na nogach miał tenisówki z niezawiazanymi sznurówkami, co wydało się Jacobowi nędznym hołdem dla kogoś, kto prawdopodobnie *zjadł* sznurówki w bezniebnych polskich lasach. Z drugiej strony mogła to być jakaś forma religijnego okazania szacunku, jak siedzenie na niskich stołkach czy zakrywanie luster.

Rabin podszedł do Jacoba i Irva, zanim zaczęło się nabożeństwo.

– Przykro mi z powodu waszej straty – powiedział, składając przed sobą dłonie w miseczkę, jakby mieściły empatię albo mądrość, albo pustkę.

– Aha – powiedział Irv.

– Istnieje kilka rytualnych...

– Niech pan sobie oszczędzi gadania. Nie jesteśmy religijną rodziną.

– Zapewne zależy to od tego, co rozumie się przez słowo „religijny” – odparł rabin.

– Zapewne nie – skorygował Jacob, albo w obronie taty, albo w obliczu nieobecności Boga.

– A nasza postawa wynika z wyboru – powiedział Irv. – Nie z lenistwa, nie z asymilacji ani nie z inercji.

– Szanuję to – odparł rabin.

– Równie dobrzy z nas Żydzi jak z innych.

– Jestem pewien, że lepsi niż większość.

– Nie ma dla mnie wielkiego znaczenia, co pan szanuje, a czego nie – zaatakował Irv.

– To również szanuję – powiedział rabin. – Jest pan człowiekiem o stanowczych przekonaniach.

– Tego gościa naprawdę nie sposób urazić – zwrócił się Irv do Jacoba.

– Chodźmy – rzucił Jacob. – Już czas.

Rabin przećwiczył z nimi krok po kroku kilka pomniejszych obrzędów, których odprawienia – oczywiście zupełnie dobrowolnego – oczekuje się od nich w celu zapewnienia Isaacowi należytego przejścia do tego miejsca, w które wierzą Żydzi, czymkolwiek by ono było. Po początkowej niechęci Irv wydawał się nie tylko skłonny, ale wręcz żywo zainteresowany tym, by skreślić swoje *chety* i wykropkować *zajiny*<sup>27</sup> – jakby wyrażenie sprzeciwu było wystarczającym sprzeciwem. Nie wierzył w Boga. Nie potrafił, mimo że otwarcie się na tę głupotę mogłoby go otworzyć na pocieszenie, którego tak bardzo potrzebował. Zdarzyło się w jego życiu kilka chwil... nie wiary, ale bigoterii, każda z nich

wiązała się z Jacobem. Jak wtedy, gdy Deborah zaczęła rodzić, a Irv modlił się do nikogo, żeby jej i dziecku nic się nie stało. Kiedy Jacob przyszedł na świat, modlił się do nikogo, by syn go porządnie przeżył, posiadał więcej wiedzy i samowiedzy, a także doświadczył większego szczęścia niż on. Podczas bar micwy Jacoba Irv, stojąc obok arki, zmówił modlitwę wdzięczności do nikogo – ta wpięrw zadrżała, następnie załamała się, a potem przerodziła w coś tak cudownie niepohamowanego i potężnego, że głos odmówił mu posłuszeństwa, gdy miał wygłosić przemowę na przyjęciu. Albo kiedy wraz z Deborah nie czytali ksiązek, w które wlepiali wzrok w poczekalni Szpitala imienia George’a Washingtona, i Jacob – z twarzą zalaną łzami i fartuchem we krwi – nieomal wyrwał drzwi z zawiasów, robiąc, co w jego mocy, żeby wypowiedzieć słowa: „Masz wnuka”, a Irv zamknął oczy, ale nie do końca, i zmówił modlitwę do nikogo, bez żadnej treści, czysty ładunek. Suma tych „niktów” składała się na Króla Wszechświata. Spędził dostatecznie dużo życia na mocowaniu się z głupotą. Teraz, na cmentarzu, całe te zmagania wydawały się głupie.

Rabin zmówił krótką modlitwę, nie tłumacząc jej ani nie wyjaśniając choćby w przybliżeniu jej sensu, a następnie zbliżył żyletkę do klapy marynarki Irva.

– Potrzebuję tego garnituru na bar micwę wnuka.

Ponieważ nie usłyszał Irva – albo dlatego, że go usłyszał – młody rabin zrobił maleńkie nacięcie i polecił mu je rozpruć palcami wskazującymi, by utworzyć faktyczne rozdarcie. Ten gest był śmieszny. Jak czary, relikw z czasów kamienowania kobiet za to, że mają okres nie tak jak trzeba. I skandaliczny, zważywszy, że to garnitur Brooks Brothers. Ale Irv pragnął pochować ojca zgodnie z żydowskim prawem i tradycją.

Wsadził palce w nacięcie, jakby to była jego pierś, i pociągnął. A materiał, drąc się, wydarł z jego oczu łzy. Jacob nie widział łez ojca od lat. Nie pamiętał, kiedy ostatnio je oglądał. Nagle wydało mu się prawdopodobne, że nigdy.

Irv popatrzył na syna i wyszeptał:

– Nie mam już rodziców.

Rabin powiedział, że zanim trumna zostanie zabrana z karawanu, jest czas na to, by Irv wybaczył ojcu i poprosił go o wybaczenie.

– Nie trzeba – odrzucił propozycję Irv.

– Wiem – przytaknął rabin.

– Powiedzieliśmy wszystko, co należało powiedzieć.

– A jednak proszę to zrobić.

– Sądzę, że mówienie do zmarłego jest głupie.

– A jednak niech pan to zrobi. Nie chciałbym, żeby pan żałował tej ostatniej szansy.

– Nie żyje. To nie ma dla niego znaczenia.

– Ale *pan* żyje – powiedział rabin.

Irv pokręcił głową i kręcił nią nadal, ale obiekt jego lekceważenia się zmienił: z rytuału na jego własną niezdolność do współuczestnictwa.

Obrócił się do Jacoba i powiedział:

– Przepraszam.

– Zdajesz sobie sprawę, że to nie ja jestem martwy?

– Tak. Ale obaj w pewnym momencie będziemy. A teraz jesteśmy tutaj.

– Za co przepraszasz?

- Przeprosiny z prawdziwego zdarzenia to po prostu przeprosiny. Przepraszam za wszystko, za co muszę przeprosić. Bez kontekstu.
- Sądziłem, że bez kontekstu bylibyśmy potworami.
- Jesteśmy nimi tak czy inaczej.
- Tak, no cóż, ze mnie też jest szmondak.
- Nie powiedziałem, że jestem szmondakiem.
- Okej, w takim razie ja nim jestem.

Irv przyłożył dłoń do policzka Jacoba i niemal się uśmiechnął.

- Zaczynamy tę imprezę – powiedział do rabina i podszedł do tyłu karawanu.

Niepewnie położył rękę na trumnie i opuścił zakrytą głowę. Jacob usłyszał jakieś słowa – chciał słyszeć wszystko – ale nie był w stanie ich zrozumieć. Szept nie ustawał – trwał dłużej niż „Wybacz mi” i „Wybaczam ci”. Co takiego mówił Irv? Dlaczego Blochom tak trudno przychodziła rozmowa za życia? Dlaczego Jacob nie mógłby spoczywać w trumnie na tyle długo, by słyszeć niewysłowione uczucia rodziny, a potem wrócić do świata żywych bogatszy o to, czego się dowiedział? Słowa były dla tych, którzy nie mogli na nie odpowiedzieć.

Było zdecydowanie zbyt wilgotno i już jedna zaimprovizowana przemowa to byłoby o wiele za dużo. Mężczyźni przepacali bieliznę, przepacali białe koszule i czarne garnitury, przepacali wszystko aż po fałdy poszetek w brustaszach. Wraz z potem tracili na wadze, jakby próbowali zamienić się w sól jak żona Lota albo stać się niczym jak mężczyzna, którego mieli pochować.

Choć większość kuzynów czuła się zobowiązana, by powiedzieć kilka słów, nikt nie czuł się zobowiązany, by je przygotować, tak więc zebrani zmuszeni byli cierpliwie znosić w tej wilgoci ponad godzinę bezładnych ogólników. Isaac był odważny. Silny. Kochający. Plus krępujące odwrócenie tego, co goje mówią o swoich: ocalał dla nas.

Max opowiedział, jak pewnego razu pradziadek wziął go na stronę i ni stąd, ni zowąd, bez żadnej Chanuki, bez wzorowego świadectwa, występu ani rytuału przejścia zapytał: „Czego pragniesz? Obojętnie. Powiedz mi. Chcę, żebyś miał to, czego pragniesz”. Max odparł, że chce drona. Gdy następnym razem odwiedził Isaaca, ten znów wziął go na bok i wręczył mu planszówkę Reversi – albo podróbkę Othella, albo grę, którą Othello splagiatowało. Max zwrócił żalobnikom uwagę, że gdyby próbowało się wymyślić słowo, które najmniej przypomina brzmieniem słowo „dron”, mogłoby to być „reversi”. Potem skinął głową, a może się uklonił, i wrócił na miejsce obok matki. Bez morału, pocieszenia ani sensu.

Irv, który zaczął pracować nad przemową na długo przed śmiercią Isaaca, wybrał milczenie.

Tamir stał w oddali. Trudno było stwierdzić, czy stara się stłumić emocje, czy też je wyzwolić. Nieraz sięgał po telefon. Jego beztroska przechodziła wszelkie pojęcie, nie istniało nic, czego nie byłby w stanie zbyć wzruszeniem ramion: nawet śmierć czy klęska żywiołowa. Ale to coś innego złościło w nim Jacoba i tego czegoś Jacob mu niemal na pewno zazdrościł. Dlaczego Tamir nie mógł bardziej go przypominać? Oto pytanie. I dlaczego Jacob nie mógł być bardziej jak Tamir? Oto drugie pytanie. Gdyby spotkali się w połowie drogi, byłby z nich całkiem rozsądny Żyd.



W końcu rabin wystąpił naprzód. Odchrząknął, poprawił okulary i wyjął z kieszeni mały kołnotatnik. Przekartkował kilka stron i schował go z powrotem, nauczył się bowiem jego zawartości na pamięć albo zdał sobie sprawę, że przypadkowo wziął nie ten notatnik co trzeba.

– Cóż możemy powiedzieć o Isaacu Blochu?

Zrobił wystarczająco długą przerwę, żeby wywołać retoryczną niepewność. Czy to rzeczywiście było pytanie? Czy przyznawał, że nie poznał Isaaca na tyle, by wiedzieć, o czym ma mówić?

„Cóż możemy powiedzieć o Isaacu Blochu?”.

Mokry cement rozdrażnienia, który Jacob poczuł przy karawanie, szybko wysechł na coś, o co można połamać pięści. Nienawidził tego człowieka. Nie znosił jego prostackiej słuszności, gówna wartwej pretensjonalności, obsesyjnego głaskania brody, szampowych, wyuczonych gestów, zbyt ciasnego kołnierzyka, niezawiązanych sznurowadeł i przekrzywionej jarmułki. Czasem opanowywał Jacoba taki niezniuansowany, natychmiastowy i trwały wstręt. Zdarzało się to z kelnerami, z Davidem Lettermanem, z rabinem, który oskarżył Sama. Nieraz wracał do domu po obiedzie ze starym kumplem, z którym przeżył wiele pór życia, i od niechcienia rzucał Julii: „Wydaje mi się, że to koniec”. Z początku nie wiedziała, co miał na myśli – „Co za koniec? Dlaczego koniec?” – ale po latach spędzonych z człowiekiem tak pamiętliwym, o tak binarnej osobowości, tak agnostycznym, jeśli chodzi o własną wartość, że aż zmuszonym do nabożnej pewności w sprawie innych, poznała go, a może nawet zrozumiała.

– Cóż możemy powiedzieć o kimś, o kim jest za wiele do powiedzenia? – Rabin włożył ręce do kieszeni marynarki, zamknął oczy i pokiwał głową. – Nie słowa nas zawodzą, lecz czas. Nie wystarczyłoby go, od dziś do jego kresu, by opisać tragedię i heroizm, i *tragedię* życia Isaaca Blocha. Moglibyśmy tu tak stać i mówić o nim aż do dnia naszych pogrzebów, a i tak nie wystarczyłoby czasu. Odwiedziłem Isaaca rankiem w dzień jego śmierci.

Chwila! Co? Czy to możliwe? Czy nie był to jakiś rabin szmondak, który znalazł się tu tylko dlatego, że połowa twarzy dobrego rabina przestała funkcjonować? Czy gdyby zatrzymali się u Isaaca w drodze powrotnej z lotniska, ich drogi by się zeszły?

– Zadzwoił i poprosił, żebym do niego wpadł. Nie słyszałem zniecierpliwienia w jego głosie. Ale słyszałem potrzebę. Więc poszedłem. Byłem u niego w domu po raz pierwszy. Spotkaliśmy się raz czy dwa w szulę, zawsze się mijając. Kazał mi usiąść przy stole w kuchni. Nalał mi szklanek napoju imbirowego, podał talerzyk z pumpernikiem w kawałkach i kantalupę. Wielu z was jadło taki posiłek przy tym stole.

Cichy śmieszek uznania.

– Mówił powoli i z wysiłkiem. Opowiedział mi o bar micwie Sama i programie Jacoba, o tym, że Sam wcześniej nauczył się dzielić przez liczby wielocyfrowe, o jeździe na rowerze Benjy’ego, projektach Julii i *miszegas*<sup>28</sup> Irva. To jego określenie.

Stłumiony śmiech. Rabin był górą.

– A potem powiedział: „Nie odczuwam już rozpacz, rabinie. Przez siedemdziesiąt lat śniły mi się wyłącznie koszmary, ale już ich nie mam. Czuję tylko wdzięczność za życie, za każdą przeżyta chwilę. Nie tylko za te dobre. Jestem wdzięczny za każdą chwilę mojego życia. Tyle cudów widziałem”.

Była to albo najzuchwalej piętrząca się i parująca kupa żydowskiego gówna, jaką

kiedykolwiek przerzucił jakikolwiek rabin bądź ktokolwiek inny, albo odkrywca wgląd w świadomość Isaaca Blocha. Tylko rabin wiedział na pewno, co zostało wiernie przedstawione, co ubarwione, a co z tałesu wzięte. Czy ktokolwiek słyszał, żeby Isaac użył słowa „rozpacz”? Albo „wdzięczność”? Mógłby powiedzieć: „Było potwornie, ale mogło być gorzej”. Ale czy powiedziałyby *coś takiego*? Wdzięczny za co? I co to za cuda, których niby był świadkiem?

– Potem spytał, czy mówię w jidysz. Odparłem, że nie. Powiedział: „Co to za rabin, co nie mówi w jidysz?”.

Śmiech.

– Powiedziałem, że dziadkowie rozmawiali w jidysz z rodzicami, ale rodzice nie pozwalali mi tego słuchać. Chcieli, żebym nauczył się angielskiego. Żebym *zapomniał* jidysz. Isaac wyjawiał, że postąpił tak samo, że był ostatnim mówiącym w jidysz członkiem rodziny, że język spocznie razem z nim w trumnie. A potem przykrył moją dłoń swoją i zaproponował: „Pozwól, że nauczę cię pewnego wyrażenia w jidysz”. Popatrzył mi w oczy i powiedział: *Kein briere iz oich a breire*. Spytałem go, co to znaczy. Cofnął rękę i odparł: „Sprawdź sobie”.

Znów śmiech.

– A i owszem, sprawdziłem. W telefonie, u niego w łazience.

I znów śmiech.

– *Kein briere iz oich a breire* znaczy: „Nie mieć wyboru to też jakiś wybór”.

Nie, to nie mogły być jego słowa. Wydawały się zbyt pseudooświecone, za bardzo pogodzone z sytuacją. Isaac Bloch miał różne oblicza, ale rezygnacja do nich nie należała.

Gdyby brak wyboru był wyborem, po 1938 roku Isaacowi raz dziennie kończyłyby się możliwości. Ale rodzina go potrzebowała, szczególnie zanim zdążyła zaistnieć. Dla nich musiał odwrócić się plecami do swych dziadków, rodziców i pięciu braci. Dla nich musiał schować się w tamtym dole razem ze Szłomem, ruszyć na sztywnych nogach w stronę Rosji, nocami wyjadać jedzenie ze śmietników, kryć się, kraść, szukać resztek. Dla nich musiał sfalszować dokumenty, żeby wejść na pokład statku i okłamać we właściwych słowach przedstawiciela urzędu imigracyjnego Stanów Zjednoczonych, a potem by pracować po osiemnaście godzin na dobę, żeby sklep przynosił zyski.

– Potem – podjął młody rabin – poprosił, żebym mu kupił papier toaletowy w Safeway, bo akurat mieli wyprzedaż.

Wszyscy zachichotali.

– Powiedziałem mu, że nie będzie już musiał kupować papieru. Zajmą się tym w Żydowskim Domu. Uśmiechnął się porozumiewawczo i odrzekł: „Ale ta cena...”.

Głośniejszy, swobodniejszy śmiech.

– „I to wszystko?”, spytałem. „Tak, to tyle”, powiedział. „Chciał pan coś usłyszeć? Coś powiedzieć?”. „Każdy człowiek potrzebuje dwóch rzeczy”, odrzekł. „Po pierwsze, musi czuć, że wnosi coś do świata. Zgadzasz się?”. Przytaknąłem. „A druga rzecz – powiedział – to papier toaletowy”.

Najgłośniejszy śmiech jak dotąd.

– Rozmyślałam nad chasydzką nauką, którą odebrałem jako student rabinacki. Istnieją trzy stopnie okazywania żałoby: za pomocą łez, milczenia i pieśni. Jak opłakiwać Isaaca Blocha? Łzami, ciszą czy pieśnią? Jak opłakiwać koniec jego życia? Koniec żydowskiej epoki, którą współtworzył i którą ucieleśniał? Koniec Żydów, którzy mówili z tą muzyką

popsutych instrumentów, którzy układali zdania w niebywałym szyku i nie rozumieli sedna wszystkich utartych zwrotów, którzy mówili „mnie” zamiast „mi” i „Niemcy” zamiast „naziści”, którzy błagali swoich zupełnie zdrowych krewnych, żeby trzymali się zdrowo, zamiast odczuwać milczącą wdzięczność za zdrowie? Jak opłakiwać kres dzwoniących w uszach pocałunków i tego pijackiego europejskiego pisma? Czy mamy ronić łzy nad ich zniknięciem? Bezgłośnie rozpaczać? A może wyśpiewywać ich chwałę? Isaac Bloch nie był ostatni w swoim rodzaju, ale gdy ten gatunek człowieka odejdzie, zrobi to na zawsze. Znamy tych ludzi, żyliśmy pomiędzy nimi, ukształtowali nas jako Żydów i Amerykanów, synów i córki, wnuków i wnuczki, ale czas, kiedy mogliśmy ich poznać, dobiega końca. Gdy minie, znikną na zawsze. I będziemy jedynie ich wspominać. Dopóki nie przestaniemy. Znamy ich. Znamy ich poprzez łzy na cześć ich cierpienia, poprzez milczenie na cześć tego, czego nie da się powiedzieć, i poprzez pieśń na cześć ich bezprzykładnej siły. Nie będzie już Żydów, którzy biorą każdy okrucieństwo dobrej wiadomości za gwarancję nieuchronnej apokalipsy, którzy traktują szwedzki stół jak sklep spożywczy przed zamiecią, którzy dotykają palcem dolnej wargi, zanim przewrócą stronę eposu swego ludu: hagady Maxwell House.

Nienawiść Jacoba topniała – nie ulotniła się, nawet nie osłabła, ale straciła kształt.

Rabin przerwał, złączył dłonie i westchnął.

– Gdy tak stoimy nad grobem Isaaca Blocha, toczy się wojna. Dwie wojny. U progu jednej stoimy, druga trwa już od siedemdziesięciu lat. Nadciągająca wojna rozstrzygnie o przetrwaniu Izraela. Ta stara zadecyduje o przetrwaniu żydowskiej duszy. Przetrwanie od samego początku było motywem przewodnim i stanowiło imperatyw żydowskiego istnienia, i to wcale nie dlatego, że tak postanowiliśmy. Od zawsze mieliśmy wrogów, zawsze nas prześladowano. To nieprawda, że wszyscy nienawidzą Żydów, ale w każdym kraju, który zamieszkiwaliśmy, w każdej dekadzie każdego stulecia stykaliśmy się z nienawiścią. Spaliśmy więc z otwartymi oczyma, trzymaliśmy w szafie spakowane walizki, a w górnych kieszeniach koszul, przy sercu, bilety na pociąg w jedną stronę. Dokładaliśmy starań, żeby nikogo nie urazić i nie zachowywać się za głośno. Żeby odnosić sukcesy, owszem, ale bez przyciągania zbytek uwagi. Urządziliśmy swoje życie wokół pragnienia, by to życie utrwalić: za pomocą opowieści, zwyczajów, wartości, marzeń i lęków. Kto mógłby mieć nam to za złe? Jesteśmy narodem strauumatyzowanym. A nic innego nie ma takiej mocy zniekształcania umysłu i serca jak trauma. Gdybyście mieli spytać stu Żydów, co jest żydowską książką stulecia, odpowiedź byłaby jedna: *Dziennik Anne Frank*. Gdybyście spytali, co jest żydowskim dziełem sztuki stulecia, otrzymalibyście tę samą odpowiedź. I to mimo że nie miał on być ani książką, ani dziełem sztuki, i nie powstał w stuleciu, o które chodziło w pytaniu. Ale jego urok – symbolicznie i na własnych prawach – jest obywatelski.

Jacob rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy ktoś był równie zaskoczony kierunkiem, w którym zmierza przemowa. Nikt nie wydawał się zmieszany. Nawet Irv, którego głowa niemal zawsze obracała się na osi niezgody, kiwał potakująco.

– Ale czy to dla nas dobre? Czy dobrze było sprzymierzać się ze wzruszeniem, nie zaś z surowością, z ukrywaniem się, a nie z szukaniem, z byciem prześladowanym zamiast z wolą? Nikt nie może obwiniać Anne Frank o to, że umarła, ale możemy mieć pretensje do siebie, że opowiadamy jej historię jako własną. Nasze opowieści są dla nas tak

fundamentalne, że łatwo zapomnieć, że sami je wybieramy. Decydujemy się wyrwać pewne strony z książek do historii, a inne zwinąć i włożyć do mezuzy. Decydujemy się uczynić życie najwyższą żydowską wartością, zamiast rozróżniać między jego rodzajami albo, bardziej radykalnie, przyznać, że istnieją rzeczy ważniejsze od bycia żywym.

Tak wielka część współczesnego judaizmu (włączając w to Larry'ego Davida<sup>29</sup> – o którym można powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest śmieszny – a także istnienie i trwałość stereotypu żydowskiej księżniczki, pełną akceptację naszej ciamajdowości, strach przed gniewem, ciągle przenoszenie nacisku ze sporu na wyznanie) jest bezpośrednią konsekwencją naszej decyzji, by pamiętniki Anne Frank zastąpiły Biblię w roli naszej biblii. Ponieważ Tora, której celem jest sformułowanie i przekazanie żydowskich wartości, aż nazbyt jasno daje do zrozumienia, że życie samo w sobie nie jest najwyższą wartością. Jest nią *prawość*. Abraham spiera się z Bogiem, chcąc, by ten oszczędził Sodomę ze względu na prawość jej mieszkańców. Nie dlatego, że życie z natury zasługuje na ocalenie, ale dlatego, że należy oszczędzić prawość. Bóg zsyła na ziemię potop, oszczędzając jedynie Noego, który był „prawym wśród współczesnych sobie ludzi”. Poza tym jest też koncepcja Łamed-wowników: trzydziestu sześciu sprawiedliwych z każdego pokolenia, dzięki zasługom których całemu światu oszczędza się zagłady. Ludzkość zostaje ocalona nie dlatego, że jest warta ocalenia, ale dlatego, że prawość garstki usprawiedliwia istnienie reszty. Refrenem mojego żydowskiego wychowania, a być może także waszego, była ta linijka z Talmudu: „A ktokolwiek ratuje jedno życie, to jakby ocalił cały świat”. To piękna myśl, taka, zgodnie z którą warto żyć. Ale nie powinniśmy przypisywać jej większego znaczenia, niż naprawdę ma. O ileż wspanialszy mogliby być dziś Żydzi, gdyby naszą ambicją zamiast nieumierania było prawe życie. Gdyby zamiast „Uczyniono mi to” naszą mantrą było: „Ja to uczyniłem”.

Przerwał. Zmrużył oczy na dłuższą chwilę i przygryzł dolną wargę.

– Pewne rzeczy trudno dziś mówić. – Niemal się uśmiechnął, tak jak Irv wtedy, gdy dotknął twarzy Jacoba. – Stosunek judaizmu do słów jest wyjątkowy. Przypisując słowa rzeczom, daje się im życie. „Niechaj się stanie światłość”, powiedział Bóg i stała się światłość. Nie ma w tym magii. Żadnej podniesionej ręki i piorunów. Wystarczy samo sformułowanie myśli. Być może to najbardziej wpływowa z żydowskich idei: wyrażenie ma moc sprawczą. Tak samo jest z małżeństwem. Mówicie „tak” i tak jest. Bo co tak naprawdę znaczy kogoś poślubić?

Jacob poczuł, że piecze go skóra głowy. Julia musiała poruszyć palcami.

– Poślubić znaczy powiedzieć, że się kogoś poślubia. Powiedzieć o tym nie tylko przed małżonkiem, ale przed swoją społecznością i jeśli się wierzy, przed Bogiem. I tak samo rzecz ma się z modlitwą, prawdziwą modlitwą, która nigdy nie jest prośbą ani peanem, lecz wyrazem czegoś o wyjątkowym znaczeniu, co w innym razie nie mogłoby zostać wyrażone. Jak napisał Abraham Jozua Heschel: „Modlitwa nie może nas zbawić, ale może nas uczynić godnymi zbawienia”. Wyrażanie czyni nas godnymi, prawymi.

Znów przygryzł dolną wargę i pokręcił głową.

– Pewne rzeczy trudno dziś powiedzieć. Często bywa tak, że wszyscy mówią o tym, o czym nikt nie ma pojęcia. Dziś nikt nie mówi o tym, co wszyscy wiedzą. Kiedy rozmyślam o wojnach przed nami (wojnie o ocalenie naszego życia i wojnie o zbawienie naszych dusz), myślę też o naszym największym przewodniku, Mojżeszu. Być może pamiętacie, że jego matka, Jokebed, ukryła go w trzciniowym koszyku, który puściła z prądem Nilu, była to

bowiem jej ostatnia nadzieja na uratowanie syna. Koszyk odnalazła córka faraona. „Spójrz! Płaczące hebrajskie dziecko!”, powiedziała. Ale skąd wiedziała, że to Hebrajczyk?

Rabin przerwał i przytrzymał wzburzoną ciszę w miejscu, jakby z wysiłkiem próbował ocalić życie ptaka, który pragnął jedynie odlecieć.

– Pewnie stąd – odezwał się Max – że Hebrajczycy próbowali uchronić dzieci przed śmiercią, a tylko w takiej sytuacji ktoś wsadziłby dziecko do koszyka i posłał z biegiem rzeki.

– Być może – odparł rabin, nie okazując protekcyjnego zadowolenia z pewnością siebie Maxa, jedynie podziw dla jego myśli. – Być może. – I raz jeszcze wymusił ciszę.

– No więc – przemówił Sam – mówię to zupełnie poważnie: może zobaczyła, że jest obrzezany? Tak? Mówi przecież: „Spójrz”.

– Możliwe – powiedział rabin, skinąwszy głową.

I zagłębił się w ciszę.

– Nic nie wiem – stwierdził Benjy – ale może dziecko płakało po żydowsku?

– Jak można płakać po żydowsku? – spytał rabin.

– Nic nie wiem – powtórzył Benjy.

– Nikt nic nie wie – odparł rabin. – Spróbujmy więc dowiedzieć się czegoś wspólnie. Jak można płakać po żydowsku?

– Myślę, że tak naprawdę dzieci nie mówią.

– A łyzy?

– Nie wiem.

– To dziwne – powiedziała Julia.

– Co takiego?

– Czy nie powinna *usłyszeć*, jak płacze? Zwykle tak to jest. Słyszysz, jak płaczą, i do nich idziesz.

– Tak, tak.

– Powiedziała: „Spójrz! Płaczące hebrajskie dziecko!”. *Spójrz*. Zobaczyła, że płacze, ale tego nie usłyszała.

– Proszę mi zatem powiedzieć, co to oznacza – bez protekcyjności ani zadufania w sobie odrzekł rabin.

– Wiedziała, że jest Hebrajczykiem, bo tylko Żydzi płaczą bezgłośnie.

Przez chwilę, na jedno mgnienie oka, Jacoba ogarnął paniczny strach, że udało mu się utracić najinteligentniejszą osobę na świecie.

– Czy miała rację? – spytał rabin.

– Tak – odparła Julia. – Był Hebrajczykiem.

– Ale czy miała rację, że Żydzi płaczą bezgłośnie?

– Nie wedle moich doświadczeń – zachichotała Julia, wywołując u innych śmiech, który rozładował napięcie.

Nie poruszywszy się, rabin zstąpił do grobu ciszy. Spojrzał na Julię niemal nieznośnie wprost, jakby byli jedynymi żywymi ludźmi na ziemi, jakby dziewięćdziesiąt stopni było jedyną rzeczą, która odróżnia pochowanych od tych, którzy wciąż stoją.

Wejrzał w jej głąb i spytał:

– Ale czy wedle pani doświadczeń Żydzi płaczą bezgłośnie?

Skinęła głową.

– A teraz chciałbym spytać o coś *ciebie*, Benjy.

– Okej.

– Powiedzmy, że jako Żydzi mamy taki wybór: płakać bezgłośnie, jak to ujęła twoja matka, albo płakać po żydowsku, jak sam to określiłeś. Jak brzmiałby płacz po żydowsku?

– Nie wiem.

– Nikt tego nie wie, więc nie możesz się mylić.

– Nie mam zielonego pojęcia.

– Może jak śmiech? – zasugerował Max.

– Jak śmiech?

– Nie wiem. My tak właśnie robimy.

Przez chwilę, na jedno mgnienie oka, Jacoba ogarnął paniczny strach, że zdołał zniszczyć trzy najcudowniejsze istoty ludzkie na świecie.

Przypomniawszy sobie, że za każdym razem, gdy Sam we wczesnym dzieciństwie miał jakieś obtarcie, skaleczenie albo oparzenie, po każdym badaniu krwi, każdym upadku z drzewa, o którym już zawsze mówiono, że to „za wysoko”, Jacob natychmiast go podnosił, jakby ziemia nagle zapłonęła, i mówił: „Nic ci nie jest. Wszystko w porządku. To nic. Już dobrze”. Sam zawsze mu wierzył, a Jacob był zachwycony, jak dobrze się to sprawdza, i zarazem tym zawstydzony. Czasem, kiedy potrzebne było poważniejsze kłamstwo, gdy widać było krew, Jacob mawiał nawet: „To śmieszne”. Syn mu wierzył, bo synowie nie mają wyboru. Ale synowie odczuwają ból, a niewyrażanie bólu nie oznacza jego braku, tylko inny ból. Kiedy ręka Sama została zmiażdżona, powiedział: „To śmieszne. Śmieszne, prawda?”. Było to jego dziedzictwo.

Filary nóg Jacoba nie mogły udźwignąć jego ciężkiego serca. Poczł, że się śłania – ze słabości albo żeby przykleknąć.

Położył Julii rękę na ramieniu. Nie odwróciła się w jego stronę, nie dała do zrozumienia, że w ogóle zauważyła jego dotyk, ale pomogła mu ustać.

– A zatem – powiedział rabin, ponownie przejmując władzę – co można powiedzieć o Isaacu Blochu i jak powinniśmy go opłakiwać? W jego pokoleniu istnieją tylko dwa rodzaje Żydów: ci, którzy zginęli, i ci, którzy ocaleli. Ślubowaliśmy wierność ofiarom i dotrzyaliśmy słowa, że nigdy ich nie zapomnimy. Ale odwróciliśmy się plecami od tych, którzy przetrwali, i skazaliśmy ich na niebyt. Całą miłość przelaliśmy na zmarłych. Dziś jednak te dwa rodzaje Żydów stoją na tej samej pozycji, równi w obliczu śmierci. Być może w życiu pozagrobowym Isaac nie będzie przebywał razem z braćmi, ale jest z nimi w śmierci. Co więc możemy o nim teraz powiedzieć i jak winniśmy go opłakiwać? Jego bracia zginęli nie z braku siły, ale to dzięki swej sile Isaac żył i zmarł. *Kein briere iz oich a breire*. Nie mieć wyboru to też jakiś wybór. Jak opowiemy historię kogoś, kto nigdy nie miał wyboru? Stawką jest nasze wyobrażenie na temat prawości, na temat życia wartego ocalenia. Nad czym płakał Mojżesz? Nad sobą? Czy może płakał z głodu bądź strachu? Płakał nad swoim ludem? Jego niewolą, cierpieniem? A może były to łzy wdzięczności? Być może córka faraona nie usłyszała jego płaczu, ponieważ nie płakał, dopóki nie otworzyła wiklinowego koszyka. Jak powinniśmy opłakiwać Isaaca Blocha? Łzami? Ale jakimi? Ciszą? Jaką ciszą? A może pieśnią? Ale jak? Nasza odpowiedź go nie ocali, może jednak ocalić nas.

Na wszystkie trzy sposoby, oczywiście. Jacob mógł dojrzeć ruchy rabina z odległości pięciu tysięcy lat. Na wszystkie trzy – z powodu tragedii, z powodu szacunku i z powodu

wdzięczności. Ze względu na wszystko, co było konieczne, byśmy się tu znaleźli, ze względu na przyszłe kłamstwa i chwile tak wielkiej radości, że nie mają one żadnego związku ze szczęściem. Za pomocą łez, ciszy i pieśni, albowiem przetrwał, byśmy mogli grzeszyć, albowiem nasza religia jest tak przepiękna, mętna i krucha jak witraż z Kol Nidre<sup>30</sup>, albowiem Eklezjastes się mylił: nie wszystko ma swój czas. „Czego pragniesz? Obojętnie. Powiedz mi. Chcę, żebyś miał to, czego pragniesz”.

Jacob się rozpłakał.

Zaniósł się szlochem.



# Nazwiska były wspaniałe

Jacob niósł trumnę wraz z kuzynami. Była o wiele lżejsza, niż się spodziewał. Jak ktoś, kto miał tak ciężkie życie, mógł ważyć tak niewiele? Samo zadanie było jednak zaskakująco trudne: kilka razy prawie się przewrócili, a Irv był o włos od wpadnięcia do grobu razem z ojcem.

– To najgorszy cmentarz w historii – powiedział Max, nie zwracając się do nikogo w szczególności, ale na tyle głośno, że wszyscy słyszeli.

W końcu udało im się umieścić prostą sosnową trumnę na szerokich taśmach, na których ostrożnie włożono ją do grobu.

I oto była: nagi fakt. Irv był odpowiedzialny – przywilej micwy – za sypnięcie pierwszej grudy ziemi na trumnę ojca. Nabrał kopiastą szufłę, zwrócił się w stronę dołu i przechylił łopatę, pozwalając ziemi opaść. Dźwięk był głośniejszy, niż powinien, i znacznie gwałtowniejszy, jakby wszystkie drobinki piasku naraz uderzyły w drewno i jakby zrzucono je z dużo większej wysokości. Jacob się skrzywił. Julia i chłopcy także. Wszyscy się skrzywili. Jedni myśleli o ciele spoczywającym w trumnie. Inni myśleli o Irvie.

## JAK ZAGRAĆ WCZESNE WSPOMNIENIA

*Moje najwcześniejsze wspomnienia ukryte są w zakamarkach ostatniego domu dziadka jak afikomany<sup>31</sup>: kąpiele w pianie z płynu do mycia naczyń, mecze futbolu amerykańskiego rozgrywane w piwnicy, na kolanach, razem z innymi wnukami ocalańców, kończące się zawsze kontuzjami, na pozór ruchome oczy z portretu Goldy Meir, granulki kawy rozpuszczalnej, krople tłuszczu na powierzchni każdego płynu, gra w makao przy kuchennym stole, tylko my, dwaj ludzie, tylko wczorajszy bajgiel, zeszlotygodniowy „Jewish Week” i sok z koncentratu z jakiejś ostatniej dużej wyprzedaży w historii. Zawsze go pokonywałem. Czasem rozgrywaliśmy sto rozdań jednego wieczora, czasem graliśmy w oba wieczory weekendu, czasem trzy weekendy w miesiącu. Zawsze przegrywał.*

*To, co uważam za swoje najwcześniejsze wspomnienie, zapewne nie może nim być – jest zbyt późne. Mylę pierwsze z najwcześniejszym na tej samej zasadzie (na co zwracała uwagę Julia), zgodnie z którą pierwsze piętro domu zwykle jest drugim, a czasem trzecim poziomem.*

*Oto moje najwcześniejsze wspomnienie: grabiłem liście przed domem, gdy zobaczyłem coś przy bocznych drzwiach. Mrówki zaczęły okrążyć martwą wiewiórkę. Od jak dawna tam leżała? Zjadła truciznę? Zabił ją pies z okolicy, a potem – pełen psich wyrzutów sumienia – dostarczył tu przedmiot swego wstydu? Albo dumy? A może wiewiórka zginęła, próbując dostać się do środka?*

*Wbiegłem do domu i powiedziałem o tym mamie. Miała zaparowane okulary, mieszała w garnku, którego nie mogła widzieć. Nie podnosząc wzroku, oznajmiła: „Powiedz tacie, żeby się nią zajął”.*

*Przez otwarte drzwi – stojąc po bezpiecznej stronie progu – patrzyłem, jak ojciec obleka rękę przezroczystym woreczkiem foliowym, w którym przyszedł poranny „Post”, podnosi wiewiórkę,*



a następnie wyjmuję rękę, wywracając na drugą stronę woreczek z wiewiórką w środku. Kiedy mył dłonie w łazience, stałem obok niego i zadawałem pytanie za pytaniem. Zawsze udzielano mi lekcji i doszedłem do wniosku, że wszystko dostarcza jakichś niezbędnych informacji, jakiegoś morału.

Była zimna? Kiedy według ciebie zmarła? Jak twoim zdaniem odeszła? Nie przeszkadzało ci to?

– Nie przeszkadzało? – spytał ojciec.

– Brzydziło.

– Oczywiście, że tak.

– Ale poszedłeś tam tak po prostu i zrobiłeś to, jakby to była pestka.

Pokiwał głową.

Śledziłem jego obrączkę ślubną pod warstwą mydła.

– Czy wydawało ci się to odrażające?

– Tak.

– To było takie wstrętne.

– Tak.

– Nie mógłbym tego zrobić.

Roześmiał się ojcowskim śmiechem i powiedział:

– Kiedyś to zrobisz.

– A jeśli nie?

– Kiedy człowiek jest ojcem, nie ma nad sobą nikogo. Jeśli nie zrobię czegoś, co należy zrobić, kto się tym zajmie?

– Mimo to nie mógłbym.

– Im bardziej nie będziesz chciał tego zrobić, tym więcej będzie w tobie taty.

Szafę wnękową wypełniały setki woreczków foliowych. Wybrał przezroczysty, żeby dać mi lekcję.

Zadręczałem się tą wiewiórką przez kilka dni, a potem przez ćwierć wieku nie wracałem do niej myślami, dopóki Julia nie była w ciąży z Samem – wtedy zacząłem mieć powracający sen o martwych wiewiórkach piętrzących się wzdłuż ulic w naszej okolicy. Były ich tysiące: przyciśnięte do krawężników, wypełniające komunalne kosze na śmieci, leżące pyszczkami do dołu w ostatecznej pozie, podczas gdy automatyczne systemy nawadniania trawników przemaczały ich futerka. We śnie zawsze wracałem skądś do domu, za każdym razem szedłem w górę ulicy, zawsze u kresu dnia. Rolety były rozświetlone jak ekrany telewizorów. Nie mieliśmy działającego kominka, ale z komina wydobywał się dym. Musiałem iść na palcach, żeby uniknąć nadeptnięcia na wiewiórki, choć czasem nie dało się temu zapobiec. Przepraszałem – ale kogo? Wiewiórki leżały na parapetach i werandach, wylewały się z rynien. Widziałem ich zarysy od spodu markiz. Wystawały ze skrzynek na listy, gdzie widocznie próbowały znaleźć jedzenie albo wodę, albo po prostu umrzeć w środku – jak ta wiewiórka, która chciała umrzeć w moim domu z dzieciństwa. Wiedziałem, że będę musiał zająć się nimi wszystkimi.

Jacob chciał stanąć obok Irva, tak jak wtedy, gdy był dzieckiem, i spytać, jak zdołał nasypać ziemi do grobu swego ojca.

„Czy wydawało ci się to odrażające?”.

„Tak”, odpowiedziałyby Irv.

„Nie mógłbym tego zrobić”. Jego ojciec roześmiałyby się ojcowskim śmiechem i powiedział: „Kiedyś to zrobisz”.

„A jeśli nie?”.

Dzieci chowają zmarłych rodziców, ponieważ zmarłych trzeba pochować. Rodzice nie muszą sprowadzać dzieci na świat, ale muszą odprowadzać z niego rodziców.

Irv podał szpadel Jacobowi. Ich spojrzenia się spotkały. Ojciec szepnął synowi na ucho:

– Jesteśmy i tutaj skończymy.

Kiedy Jacob wyobrażał sobie, że dzieci go przeżyją, nie wyobrażał sobie żadnej wersji nieśmiertelności, jak to zwykle mało oryginalnie przedstawiają ci, którzy próbują zachęcić innych do posiadania dzieci. Nie odczuwał żadnego rodzaju zadowolenia, spokoju ani satysfakcji. Czuł jedynie przytłaczający smutek z powodu tego, co go ominie. Przy dzieciach śmierć wydawała się mniej w porządku, bo więcej było do stracenia. Z kim ożeni się Benjy? (Wbrew sobie Jacob nie był w stanie wyzbyć się żydowskiej pewności, że Benjy będzie chciał wziąć ślub i go weźmie). Jaki etyczny i intratny zawód przyciągnie Sama? Jakim dziwnym hobby będzie oddawał się Max? Dokąd będą podróżować? Jak będą wyglądać ich dzieci? (Oczywiście, że będą chcieli mieć dzieci i będą je mieli). Jak będą sobie radzić i jak będą świętować? W jaki sposób każdy z nich umrze? (Ominą go przynajmniej ich śmierci. Może to rekompensata za to, że sam będzie musiał umrzeć).

Przed powrotem do samochodu Jacob poszedł się przejść. Czytał kamienie nagrobne jak strony wielgachnej książki. Nazwiska były wspaniałe – dlatego że wyglądały na żydowskie haiku, dlatego że podróżowały wehikułami czasu, podczas gdy ci, których miały identyfikować, zostali w tyle, dlatego że wprawiały w takie zakłopotanie jak centy zawinięte w papierowe rulony, dlatego że były tak piękne jak statki w butelkach przewożone na statkach, dlatego że były jak środki mnemotechniczne: *Miriam Apfel, Shaindel Potash, Beryl Dressler...* Pragnął je zapamiętać, by później z nich skorzystać. Chciał zapamiętać wszystko, ze wszystkiego zrobić użytek: ze sznurowadeł rabina, z niepowiązanych melodii bólu, z utwardzonych śladów stóp kogoś, kto przyszedł w deszczu.

*Sidney Landesman, Ethel Keiser, Lebel Alterman, Deborah Fischbach, Lazer Berenbaum...*

Zapamięta te nazwiska. Nie utraci ich. Wykorzysta je. Zrobi coś z tego, co jest już niczym.

*Seymour Kaiser, Shoshanna Ostrov, Elsa Glaser, Sura Needleman, Hymie Rattner, Simcha Tisch, Dinah Perlman, Ruchel Neustadt, Izzie Reinhardt, Ruben Fischman, Hindel Schulz...*

Jak słuchanie żydowskiej rzeki. Tyle że możesz wejść do niej dwa razy. Możesz – Jacob mógłby, wierzył, że by mógł – wziąć wszystko, co przepadło, i ponownie to odnaleźć, wskrzesić, tchnąć nowe życie w zapadnięte płuca tych nazwisk, tych akcentów, tych idiomów, manieryzmów i sposobów bycia. Młody rabin miał rację: nikt nigdy nie będzie już nosił takich nazwisk. Ale mylił się.

*Mayer Vogel, Frida Walzer, Yussel Offenbacher, Rachel Blumenstein, Velvel Kronberg, Leah Beckerman, Mendel Fogelman, Sarah Bronstein, Schmuuel Gersh, Wolf Seligman, Abner Edelson, Judith Weisz, Bernard Rosenbluth, Eliezer Umansky, Ruth Abramowicz, Irving Perlman, Leonard Goldberger, Nathan Moskowitz, Pincus Ziskind, Solomon Altman...*

Jacob przeczytał kiedyś, że dziś na świecie żyje więcej ludzi, niż zmarło w całej historii ludzkości. Ale nie odbierał tego w ten sposób. Wydawało się, jakby wszyscy byli martwi.

I mimo wszelkich odrębności – mimo niesłychanej osobliwości nazwisk tych niezwykle osobliwych Żydów – istniało tylko jedno przeznaczenie.

I wtedy znalazł się tam, gdzie spotykały się dwie ściany, w rogu rozległego cmentarza, w rogu ogromu.

Odwrócił się, by stanąć w obliczu bezmiaru, i dopiero wtedy przyszło mu do głowy albo dopiero wtedy został zmuszony uznać to, czego niedostrzeganie na sobie wymusił – stał pośród samobójców. Znajdował się w getcie tych, którzy nie nadawali się do pochowania z resztą. W tym rogu otaczano kordonem wstyd. Tutaj niewypowiedziany wstyd grzebano pod ziemią. Jeden komplet naczyń do potraw mlecznych, drugi do mięsa: nigdy nie powinny się ze sobą zetknąć.

*Miriam Apfel, Shaindel Potash, Beryl Dressler...*

Miał pewną mglistą wiedzę na temat zakazu odbierania sobie życia i ceny – poza śmiercią – za taki czyn. Kara nie uderzała w przestępcę, ale w ofiary: w tych, którzy zostali i zmuszeni byli pochować swoich zmarłych w innej ziemi. Pamiętał to, podobnie jak pamiętał zakaz tatuaży – coś o bezczeszczeniu ciała – który również zapewniał miejsce w tej innej ziemi. I – mniej duchowy, ale równie religijny – zakaz picia pepsi, ponieważ PepsiCo postanowiło sprzedawać swoje produkty w krajach arabskich, a w Izraelu nie. I zakaz dotykania sziks w każdy sposób, na jaki miało się śmiertelną ochotę, bo to *szand*<sup>32</sup>. A także zakaz stawiania oporu, kiedy starsi dotykali którejkolwiek części twojego ciała w jakikolwiek sposób chcieli, ponieważ umierali, wiecznie umierali, i to była micwa. Stojąc w tym nieotoczonym murem getcie, myślał o ejruwach – cudownie żydowskich kruczkach, którymi dzieliła się z nim Julia. Zanim zdążył zapoznać się z zakazem, zostawał on ominięty. Julia dowiedziała się o ejruwach nie w ramach żydowskiego wychowania, lecz na architekturze: był to przykład „struktury magicznej”.

W szabat Żydzi nie mogą nosić: kluczy, pieniędzy, chusteczek, leków, spacerówek, lasek, a nawet dzieci, które jeszcze nie chodzą. Zakaz noszenia, formalnie rzecz biorąc, dotyczy przenoszenia rzeczy z przestrzeni prywatnej do publicznej. Ale co, jeśli jakiś wielki obszar uczyni się sferą prywatną? Co, jeśli cała dzielnica będzie prywatną dziedziną? Albo miasto? *Ejruw* to sznurek albo drut, który okala pewien teren, czyniąc go terenem prywatnym i tym samym dopuszczając noszenie. Jerozolimę otacza *ejruw*. Praktycznie cały Manhattan jest otoczony *ejruwem*. Niemal w każdej żydowskiej gminie na świecie jest *ejruw*.

– W Dystrykcie Kolumbii też?

– Oczywiście.

– Nigdy go nie widziałem.

– Bo go nigdy nie szukałeś.

Zabrała go na róg Reno i Davenport, gdzie *ejruw* zakręcał i najłatwiej było go zobaczyć. Był tam, jak nić dentystyczna. Ruszyli jego śladem ulicą Davenport, a potem Linnean, Brandywine i Broad Branch. Szli pod sznurkiem biegnącym od znaku drogowego do latarni, a potem do słupa wysokiego napięcia i słupa telefonicznego.

Pośród samobójców Jacob stał z pełnymi kieszeniami. Były w nich: spinacz, który Sam jakimś cudem wygiął w samolocik, zmięty dwudziestak, jarmułka Maxa z pogrzebu (pochodząca, jak się wydaje, z wesela dwojga ludzi, o których Jacob nigdy nie słyszał), kwit z pralni za spodnie, które miał na sobie, kamyk, który Benjy podniósł z grobu i o którego potrzymanie poprosił ojca, i więcej kluczy niż było zamków w życiu Jacoba. Im był starszy,

tym więcej nosił i tym mocniejszym powinno go to uczynić.

Isaaca pochowano w szacie bez kieszeni, sześćset jardów od żony, z którą przeżył dwieście tysięcy godzin.

*Seymour Kaiser*: kochający brat, kochający syn; głowa w piekarniku. *Shoshanna Ostrov*: kochająca żona; nadgarstki podcięte w kąpieli. *Elsa Glaser*: kochająca matka i babcia; powiesiła się na wiatraku sufitowym. *Sura Needleman*: kochająca żona, matka i siostra; weszła do rzeki z kieszeniami pełnymi kamieni. *Hymie Rattner*: kochający syn; nadgarstki podcięte nad umywalką w łazience. *Simcha Tisch*: kochający ojciec, kochający brat; nóż do steków w brzuchu. *Dinah Perlman*: kochająca babcia, matka i siostra; skoczyła ze szczytu schodów. *Ruchel Neustadt*: kochająca żona i matka; nożyk do listów w szyi. *Izzie Reinhardt*: kochający ojciec, mąż i brat; rzucił się z Memorial Bridge. *Ruben Fischman*: kochający mąż; wjechał w drzewo z prędkością stu mil na godzinę. *Hindel Schulz*: kochająca matka; ząbkowany nóż do chleba w poprzek nadgarstka. *Isaac Bloch*: kochający brat, mąż, ojciec, dziadek, pradziadek; powiesił się na pasku w kuchni.

Jacob chciał wyciągnąć nitkę ze swojego czarnego garnituru, obwisać ją wokół drzewa w rogu i przejść wzdłuż granic samobójczego getta, opasując je, podczas gdy nitka by się pruć. A potem, gdy publiczne stałoby się prywatnym, wyniosłoby wstyd. Ale dokąd?

Każdy ląd otacza woda. Czy każde wybrzeże jest ejruwem?

Czy równik jest ejruwem okrążającym ziemię?

Czy orbita Plutona zamyka układ słoneczny?

A obrączka wciąż pozostająca na jego palcu?

# Wskrzeszenie

- > Co nowego?
- > To ty jesteś w samym środku kryzysu.
- > To akurat nic nowego.
- > Tu wszystko po staremu, poza tym, że pradziadek nie żyje.
- > Rodzina w porządku?
- > Tak. Myślę, że tata jest dosyć przybity, ale trudno powiedzieć, bo zawsze wydaje się trochę przybity.
- > Jasne.
- > I zresztą to jakby nie jego ojciec. Tylko dziadek. Co też smutne, ale mniej. O wiele mniej smutne.
- > Jasne.
- > Naprawdę lubię, jak ludzie powtarzają fragmenty zdań. Czemu?
- > Nie wiem.
- > Wygląda na to, że twój tata i brat dobrze się bawią. Martwią się o was, oczywiście. Ciągłe o was mówią. Ale skoro nie mogą być tam, to dobrze, że są tutaj.
- > Znaleźli coś?
- > Co masz na myśli?
- > Dom?
- > Po co?
- > Żeby kupić.
- > Po co mieliby kupować tutaj dom?
- > Ojciec jeszcze o tym nie wspominał?
- > O czym?
- > Może twojemu tacie?
- > Przeprowadzacie się?
- > Mówi o tym od kilku lat, ale kiedy przyszedł czas, żebym wstąpił do wojska, zaczął się rozglądać. Tylko w sieci, może też z pomocą jakichś agentów na miejscu. Myślałem, że tak tylko gada, ale gdy wysłano mnie na Zachodni Brzeg, zaczął szukać bardziej na serio. Myślę, że znalazł kilka miejsc, które wydawały się obiecujące, i dlatego teraz tam jest. Żeby zobaczyć je osobiście.
- > Myślałem, że przyjechał na moją bar micwę.
- > Dlatego właśnie zatrzymał się na dłużej niż kilka dni.
- > Nie miałem pojęcia.
- > Może jest skrępowany.
- > Nie wiedziałem, że potrafi odczuwać skrępowanie.
- > Odczuwać – tak. Okazywać – nie.
- > Twoja mama też chce się przenieść?
- > Nie wiem.
- > A ty?
- > Wątpię, żebym miał jeszcze mieszkać z rodzicami. Po wojsku jest szkoła. Po szkole

życie. Mam nadzieję.

> Ale co o tym sądzisz?

> Wolę nie sądzić.

> Uważasz, że to krępujące?

> Nie. To nieodpowiednie słowo.

> Myślisz, że twój tata zdradza мамę?

> Dziwne pytanie.

> Tak?

> Tak.

> Tak – dziwne pytanie? Czy tak – sądzisz, że twój tata zdradza мамę?

> Jedno i drugie.

> Jezu. Serio?

> Ktoś, kto zadaje takie pytanie, nie powinien być tak zaskoczony odpowiedzią.

> Dlaczego sądzisz, że ją zdradza?

> Dlaczego zadajesz takie pytanie?

> Nie wiem.

> Więc się zastanów.

> Dlaczego zadaję takie pytanie?

Nie pytał bez powodu. Pytał, ponieważ trafił na drugi telefon taty, zanim trafiła na niego mama. „Trafił” to chyba nie najlepsze słowo, ponieważ natknięcie się nań było efektem szperania w ulubionych kryjówkach taty: pod stertą skarpet w komodzie, w pudełku w głębi „szafki prezentowej”, nad wysokim stojącym zegarem, który pradziadek dał im z okazji narodzin Benjy’ego. Łupem nigdy nie było nic sprośniejszego od porno. „Dlaczego – pragnął spytać, ale nie potrafiłby tego zrobić – ach, dlaczego ktoś posiadający komputer stacjonarny, laptop, tablet albo smartfona miałby płacić za pornografię?”.

Znalazł zwitek pięćdziesiątek, pewnie na jakąś słabostkę, którą tata chciał ukryć przed mamą – coś zupełnie niewinnego, jak jakieś elektronarzędzie, o którym mama mogłaby powiedzieć, że nigdy mu się do niczego nie przyda. Znalazł maleńki woreczek z ziołem, którego ilość w ciągu półtora roku, gdy go kontrolował, nie zmalała. Znalazł też ukryty zapas halloweenowych słodyczy – po prostu przykre. I stertę kartek ze stroną tytułową opatrzoną napisem „Biblia do *Wiecznie ginącego ludu*” –

## JAK ZAGRAĆ POŻĄDANIE

*Nie grać. Masz wszystko, czego mógłbyś potrzebować bądź pragnąć. Jesteś zdrowy (na razie) i jest wspaniale. Masz pojęcie, ile trzeba było cierpienia i mozołu, żeby ta chwila była możliwa? Żeby umożliwić ją tobie? Zastanów się nad tym, jak jest świetnie, jaki jesteś szczęśliwy i bez reszty zadowolony.*

– zbyt nudne, by dokładniej się temu przyglądać.

Ale wtedy, myszkując w szufladzie stolika nocnego taty, Sam znalazł telefon. Tata miał iPhone’a. Wszyscy o tym wiedzieli, ponieważ wszyscy musieli ścierpieć jego niekończące się

narzekania, jaki to niesamowity telefon i jak wielce jest od niego uzależniony. („Dostłownie rujnuje mi życie”, mawiał, wykonując jakąś zupełnie niepotrzebną czynność w rodzaju sprawdzania pogody trzy dni naprzód. „Możliwe opady. Ciekawe”).

Ten telefon był zwyczajnym smartfonem z gatunku tych, które rozdają za darmo przy okazji zbrodniczo drogiego planu taryfowego. Może to jakiś starość, którego tata z uwagi na zbyt wielki sentyment nie chciał wyrzucić? Może pełno w nim zdjęć Sama i jego braci, a tata nie był na tyle rozgarnięty, żeby przetrzucić je na iPhone’a (mimo że czuł się zbyt bystry, żeby poprosić o pomoc w sklepie z telefonami, a nawet zwrócić się z taką prośbą do biegłego technologicznie syna), więc go zachował i z czasem szufladę wypełnił telefony pełne zdjęć.

Nie mogło być nic prostszego niż rozgryzienie, jak go odblokować – jego tata, mimo swej potrzeby bezpieczeństwa, krążył wokół trzech tych samych lamersko przewidywalnych wersji rodzinnego hasła.

Zwyczajna tapeta: zachód słońca.

Żadnych gier. Zero apek fajniejszych niż kalkulator. Po co komu w *ogóle* taki smartfon?

To telefon mamowy. Prywatny telefon tylko dla nich. Trudno było zrozumieć tę potrzebę, ale może sedno tkwiło w jej braku. W sumie to całkiem urocze. Trochę lamerskie, ale trochę romantyczne, przez co trochę obleśne. Chyba że istniało jakieś proste uzasadnienie, jak zapewne – teraz-gdy-o-tym-pomyślał – musiało być, na przykład, że to telefon, który zabierają na wycieczki, z opłaconymi z góry rozmowami międzynarodowymi.

Kiedy przeglądał wiadomości, uświadomił sobie, że były to błędne wytłumaczenia, i to błędne w najwyższym stopniu, i że jego rodzice nie są ludźmi, za których ich uważał, absolutnie nie są, albo że na świecie istnieje nie tylko jedna Julia, bo Julia, która jest jego mamą, nigdy – ale to nigdy – nie poruszałaby kciukami w taki sposób, by utworzyć słowa: *wykorzystaj wilgoć mojej cipki, żeby przygotować na siebie odbyt.*

Zabrał telefon do łazienki, zamknął drzwi i skrolował.

*chcę twoje dwa palce w każdej z dziurek*

Co? Jak u Spocka? Co, do chuja, jest cięte?

*na brzuchu, z nogami w rogach łóżka, rękoma z tyłu, dupą otwartą szeroko jak się da, cipą, z której leci na prześcieradło...*

Co jest, kurwa, grane?

Ale zanim Sam zdążył o to spytać po raz trzeci, drzwi do domu się otworzyły, telefon spadł za muszlę klozetową, mama powiedziała: „Już jestem”, a on próbował wyprzedzić kroki na schodach w drodze do pokoju.

Nie poznał doktora Silvera, ale wiedział, co doktor w tej sytuacji by stwierdził: Sam zostawił telefon umyślnie. Sam, podobnie jak każdy członek rodziny niebędący jego tatą, nie znosił doktora Silvera, był zazdrosny, że tata ma takiego powiernika i że doktor Silver ma tatę. Co dobrego mogło wyniknąć dla kogokolwiek ze znalezienia telefonu?

> Czy twój tata zdradza mamę albo coś w tym stylu?

Nagle, z powrotem w prawdziwym nierzeczywistym życiu, Jaskier zatoczył się o kilka jardów. Trochę utykał, szedł, zacinając się. Zrobiwszy kilka kółek wokół niczego – jak planeta wokół słońca, które nie istnieje, albo panna młoda wokół męża, którego nie ma – podniósł skamielinę ptaka z jednej z najstarszych wersji *Innego Życia*, może sprzed trzech lat: logo Twittera. Jaskier spojrzał tępo na kamień, potem go odłożył, znów podniósł, następnie wykonał ruch, jakby miał rzucić, a w końcu postukał się nim w głowę, jakby sprawdzał własną dojrzałość.

> Widzisz ten błąd?

> To nie błąd. Zacząłem transfer.

> Czego?

> Owoców wytrzymałości.

> Mówiłem, żebyś tego nie robił.

> Nie. A nawet jeśli, to i tak bym cię zignorował.

Powódź cyfrowych obrazów rozkwitających na ekranie i gasnących, gdy tylko udało się je przetworzyć: częściowo były to przechowane chwile z innego życia Samanty, rozmowy, które przeprowadziła, jej przeżycia; pozostałe były bardziej impresjonistyczne. Oglądał zrzuty ekranu, na które już patrzył, przemieszane z obrazkami, które musiał widzieć kiedyś Noam: smugę na błękitnym niebie, szydełkowe tęcze na Etsy, lemiesz spycharki dotykający staruszki, minetę od tyłu w szatni, bicie małpy doświadczalnej, bliźnięta syjamskie (jedno roześmiane, drugie płaczące), zdjęcia satelitarne Synaju, nieprzytomnych piłkarzy, próbnik lakierów do paznokci, ucho Evandera Holyfielda, psa poddawanego eutanazji.

> Ile przesyłasz?

> Wszystkie.

> Co?

> 1738341.

> O W DUPE! Aż tyle zebrałeś?

> Robię ci całkowitą transfuzję.

> Co?

> Słuchaj, muszę się przygotować do wyjścia.

> Gdzie?

> Do Jerozolimy. Zmobilizowano moją jednostkę. Ale nie mów mojemu ojcu, OK?

> Czemu?

> Będzie się martwił.

> Ale przecież powinien.

> Zamartwianie się mu nie pomoże. Ani mnie.

> Ale ja nawet tyle nie potrzebuję. Miałem tylko 45 tysięcy, kiedy tata mnie zabił.

> Stwórz wspaniałego siebie.

> Mojego awatara.



- > Twojego pradziadka.
- > To zbyt wiele.
- > Mam pozwolić, żeby sfermentowały? Zrobić cydr wytrzymałości?
- > Powinieneś je wykorzystać.
- > Ale nie wykorzystam. A ty tak.

Obrazy nadciągały szybciej, tak szybko, że mogły docierać jedynie podprogowo; nakładały się na siebie, zlewały, a z rogu ekranu, z kilku pikseli sączyło się światło, by go zabarwić, światło jak ciemność, którą pęknięta rura zostawia na suficie, światło zalewające bezustannie odświeżane obrazy, więcej światła niż obrazu, a potem prawie całkiem biały ekran, ale jaśniejszy od bieli, i niewyraźne obrazy, jakby oglądane przez lawinę.

W chwili być może najczystszej empatii w swoim życiu Sam próbował sobie wyobrazić, co Noam widzi właśnie na ekranie. Ciemność rozlewającą się jak światło? Czy dostawał ostrzeżenia na temat niskiego poziomu życia? Sam wyobraził sobie, jak Noam w odpowiedzi na powiadomienia klika „ignoruj” raz za razem, nie zwracając uwagi na irytujące alarmy i naciskając „potwierdź”, gdy w końcu miał zatwierdzić ostateczny wybór.

Lew podszedł do starca, uklęknął przed nim, położył swoje ogromne, wspaniałe łapy na zgarbionych plecach Jaskra, polizał kilkugodzinny zarost, kilkugodzinny cień (kilkugodzinną jasność?), lizał bez końca, jakby siłą woli starał się przywrócić Jaskra do życia, gdy w istocie zmuszał się do powrotu do tego, co przychodzi przed życiem.

- > Spójrz tylko na siebie, Bar Micwo.

Lew oparł wielką głowę na zapadniętej piersi Jaskra, który schował palce w jego rozwianej grzywie.

W trakcie stypy po pogrzebie pradziadka Sam zaczął płakać. Nie płakał często. Nie zdarzyło mu się to, od kiedy przed dwoma laty Argus wrócił do domu po wszczepieniu drugiej endoprotezy stawu biodrowego, z wygoloną tylną połową tułowia odsłaniającą frankensteinowe szwy i ze spuszczonej głowie.

– Po prostu tak wygląda powrót do zdrowia – powiedział Jacob. – Za miesiąc będzie jak stary Argus.

- Miesiąc?!
- Szybko zleci.
- Ale nie Argusowi.
- Będziemy go rozpieszcząć.
- Ledwie może chodzić.
- Nie powinien chodzić więcej, niż to konieczne. Weterynarz powiedział, że najważniejsze dla jego rekonwalescencji jest, by korzystał z tej łapy najmniej, jak to możliwe. Spaceruje wyłącznie na smyczy. I żadnych schodów. Musimy go trzymać na parterze.

- Ale jak wejdzie na górę do swojego legowiska?
- Będzie musiał spać tutaj.
- Ale będzie wchodził na górę.
- Nie sądzę. Wie, jak słabą ma łapę.

– Będzie wchodził.

– Położę kilka książek na schodach, żeby zatarasować drogę.

Sam nastawił budzik na drugą w nocy, żeby zejść i sprawdzić, czy u Argusa wszystko w porządku. Włączył drzemkę raz, a potem drugi, ale trzecie wibracje rozbudziły poczucie winy. Zwlókł się po schodach, tylko w połowie zdając sobie sprawę, że wyszedł z łóżka, z pomocą *Encyklopedii sztuki* wydawnictwa Grove niemal zafundował sobie paraliż i zastał ojca śpiącego na łyżeczce z Argusem. Właśnie wtedy się rozpłakał. Nie dlatego, że kochał tatę – choć w tamtej chwili z pewnością tak – ale dlatego, że z tych dwóch zwierząt na podłodze to taty było mu bardziej żal.

> Tylko na siebie popatrz, Bar Micwo.

Stał przy oknie. Kuzyni grali na PlayStation, zabijając wizerunki. Dorośli byli na górze, jedli wstrętne, śmierdzące, wędzone, galaretowate potrawy, których w chwili refleksji Żydzi nagle potrzebują. Nikt go nie zauważył, czego zresztą chciał, nawet jeśli nie tego było mu trzeba.

Nie płakał z powodu czegoś, co miał przed sobą – ani z powodu śmierci pradziadka, ani z powodu śmierci awatara Noama, ani z powodu zawalenia się małżeństwa rodziców, ani z powodu zawalenia się bar micwy, ani z powodu zawalenia się budynków w Izraelu. Jego łzy sięgały wstecz. Potrzeba było dobroci Noama, by ujawnić ziejącą nieobecność dobroci. Jego tata spał na podłodze przez trzydzieści osiem dni. (Dodatkowy tydzień na wszelki wypadek). Czy łatwiej było okazać taką życzliwość psu, bo nie ryzykowało się odrzucenia? A może dlatego, że potrzeby zwierząt są tak zwierzęce, podczas gdy potrzeby ludzi są tak ludzkie?

Może nigdy nie stanie się mężczyzną, ale płacząc przy tym oknie – nad zupełnie osamotnionym pradziadkiem spoczywającym w ziemi dwadzieścia minut drogi stąd, nad awatarem obracającym się w rozpixselowany proch w jakimś chłodzonym centrum przechowywania danych gdzieś w pobliżu niczego, nad rodzicami po drugiej stronie sufitu, lecz sufitu nie do przebicia – Sam narodził się na nowo.

# Tylko płacz

Judaizm rozumie śmierć, pomyślał Jacob. Poucza nas, co robić, kiedy nie mamy najmniejszego pojęcia, co robić, a czujemy nieodpartą potrzebę, by coś robić. Należy siedzieć w ten sposób. Tak *uczynimy*. Należy ubierać się tak a tak. Tak *uczynimy*. W danym czasie należy wypowiadać określone słowa, nawet jeśli miałyby się odczytywać transliterację. *Na-ah-seh*<sup>33</sup>.

Jacob przestał płakać ponad godzinę temu, ale nadal miał coś, co Benjy nazywał „poszlochem”. Irv przyniósł mu szklaneczkę brzoskwiniowego sznapsa, oznajmił: „Powiedziałem rabinowi, że jest mile widziany, ale wątpię, żeby się pojawił”, i wrócił do swego przyczółku koło okna.

Stół zastawiony był półmiskami z jedzeniem: pumpernikłowymi bajglami, minibajglami, flajglami, białystokerami, serkiem śmietankowym, serkiem śmietankowym z zieloną cebulką, pastą łososiową, pastą tofu, wędzonymi rybami i rybami w occie, czarnymi jak smoła brownie z zawijasami z białej czekolady jak kwadratowe wszechświaty, ciasteczkami blondie, rogalami, hamantaszami niedostosowanymi do pory roku (z truskawkami, suszonymi śliwkami i makiem) i „sałatkami” – Żydzi stosują słowo „sałatka” do wszystkiego, czego nie można utrzymać w jednej ręce: sałatka ogórkowa, sałatka z rybami morskimi o białym mięsie, tuńczykiem i wędzonym łososiem, sałatka soczewicowa, sałatka z makaronem, sałatka z komosą ryżową. Był też winogronowy napój gazowany, czarna kawa, dietetyczna cola, czarna herbata, wystarczająco dużo naturalnie gazowanej wody mineralnej, żeby zwodować lotniskowiec, a także sok winogronowy Kedem – płyn bardziej żydowski od żydowskiej krwi. Oraz pikle, kilka rodzajów. Kapary nie pasują do żadnego typu potraw, ale te, których każda łyżeczka próbowała uniknąć, odnajdywały drogę tam, gdzie *naprawdę* nie pasowały, na przykład do czyjejs w połowie wypitej półbezkofeinowej kawy. A na środku stołu niewiarygodnie zbite kule zakrzywiały wokół siebie czas i przestrzeń. Było dziesięć razy za dużo jedzenia. Ale musiało być.

Krewni wymieniali się opowieściami o Isaacu, wyładowując talerze po sufit. Śmiali się z tego, jaki był zabawny (celowo i przypadkiem) i jaki potrafił być bezgranicznie upierdliwy (celowo i przypadkiem). Rozważali, jaki był z niego bohater (celowo i przypadkiem). Było trochę płaczu, chwile niezręcznej ciszy, wdzięczność za okazję do spotkania rodzinnego (niektórzy kuzyni nie widzieli się od bat micwy Leah, inni od śmierci babci Doris). Wszyscy patrzyli w telefony: żeby sprawdzić, co na wojnie, jaki wynik meczu, jaka pogoda.

Dzieci, zdążywszy zapomnieć o smutku w pierwszej osobie, który mogły odczuwać z powodu śmierci Isaaca, grały w pierwszoosobowe gry w piwnicy. Puls Maxa przyspieszył dwukrotnie, gdy chłopak przyglądał się próbie zamachu przeprowadzonej przez kogoś, kto – jak sądził – był jego kuzynem drugiego stopnia. Sam usiadł z boku z iPadem i błąkał się po wirtualnym gaju cytrynowym. Tak to już zawsze szło, ta wertykalna segregacja. I nieuchronnie dorośli obdarzeni dostatecznym rozsądkiem, żeby uciec ze swojego świata, migrowali na dół. Co właśnie zrobił Jacob.

Kuzynów było co najmniej dwunastu – większość ze strony Deborah, kilku ze strony Julii.

Młodszy rozpakowali wszystkie planszówki, jedną po drugiej – nie żeby w nie grać, lecz żeby wymieszać małe elementy. Co jakiś czas któremuś z nich nagle odbijała szajba. Starsi otoczyli Baraka, który na telewizorze tak wielkim, że trzeba było siedzieć pod przeciwną ścianą, żeby dojrzeć jego krawędzie, dokonywał wirtuozerskich aktów skrajnej przemocy.

Benjy był sam; wtykał zmięte banknoty z Monopoli między żaluzje.

– Nie żałujesz oknu.

– To nie są prawdziwe pieniądze.

– Nie?

– Wiem, że sobie żartujesz.

– Nie widziałeś mamy gdzieś w pobliżu, co?

– Nie.

– Hej.

– Co?

– Płakałeś, kolego?

– Nie.

– Na pewno? Wyglądasz, jakbyś płakał.

– Cholera jasna! – krzyknął któryś kuzyn.

– Wyrażaj się! – odkrzyknął Jacob.

– Nie płakałem – powiedział Benjy.

– Smutno ci z powodu pradziadka?

– Nie bardzo.

– To co cię martwi?

– Nic.

– Ojcowie wiedzą takie rzeczy.

– To dlaczego nie wiesz, co mnie martwi?

– Ojcowie nie wiedzą wszystkiego.

– Tylko Bóg wie.

– Kto ci to powiedział?

– Pan Schneiderman.

– Kto to jest?

– Mój nauczyciel ze szkoły hebrajskiej.

– Schneiderman. Tak.

– Powiedział, że Bóg wszystko wie. Ale to nie ma dla mnie sensu.

– Dla mnie też nie.

– Ale to dlatego, że nie wierzysz w Boga.

– Mówiłem wyłącznie, że nie jestem pewien. Ale gdybym wierzył w Boga, i tak nie miałoby to dla mnie sensu.

– Tak, bo gdyby Bóg wiedział wszystko, po co mielibyśmy pisać karteczki, które się wtyka w Ścianę Płaczu?

– Słuszna uwaga.

– Pan Schneiderman powiedział, że Bóg wie wszystko, ale czasem zapomina. No i liściki są po to, żeby przypomnieć mu o tym, co ważne.

– Bóg zapomina? Serio?

– Tak powiedział.

- Co o tym sądzisz?
- To dziwne.
- Też tak myślę.
- Ale to dlatego, że nie wierzysz w Boga.
- Gdybym wierzył, byłby to Bóg, który pamięta.
- Mój też.

Mimo równie agnostycznego podejścia do istnienia Boga jak do znaczenia samego pytania (czy dwoje ludzi może odnosić się do tego samego, gdy mowa o Bogu?), Jacob pragnął, by Benjy wierzył. A przynajmniej pragnął tego doktor Silvers. Przez kilka miesięcy lęk Benjy'ego przed śmiercią powoli i systematycznie narastał i istniało zagrożenie, że z uroczego przerodzi się w kłopotliwy. Doktor Silvers powiedział: „Pański syn ma całe życie, by dojść do odpowiedzi na pytania teologiczne, ale nigdy nie odzyska tego czasu, kiedy wchodził w pierwsze relacje ze światem. Niech pan po prostu sprawi, żeby poczuł się bezpiecznie”. Jacoba uderzyła słuszność tej opinii, nawet jeśli myśl o zadaniu misyjnym wprawiała go w zakłopotanie. Kiedy następnym razem chłopiec poruszył kwestię swojego strachu przed śmiercią, właśnie w chwili gdy Jacob odczuwał instynktowną potrzebę przyznania, że wieczny niebyt jest niewątpliwie najstraszniejszą rzeczą, jaką można sobie wyobrazić, przypomniał sobie polecenie doktora Silversa: „Niech pan po prostu sprawi, żeby poczuł się bezpiecznie”.

– Cóż, słyszałeś o niebie, prawda? – spytał Jacob, sprawiając, że nieistniejącemu aniołowi odpadły skrzydła.

- Wiem, że twoim zdaniem nie jest prawdziwe.
- No cóż, nikt nie wie tego na pewno. A już zwłaszcza ja. Ale wiesz, czym jest niebo?
- Nie bardzo.

Jacob udzielił najbardziej pocieszającego wytłumaczenia, na jakie było go stać, nie szczedząc przy tym przesady, lecz zarazem dochowując wierności swoim przekonaniom.

– A gdybym w niebie chciał do późna nie kłaść się spać? – spytał Benjy, rozkładając banknoty na sofie.

- Mógłbyś co wieczór siedzieć, do której byś chciał – odparł Jacob.
- I pewnie mógłbym jeść deser przed obiadem.
- Nie musiałbyś w ogóle jeść obiadów.
- Ale w takim razie nie byłbym zdrowy.
- Zdrowie nie miałyby znaczenia.

Benjy przechylił głowę i rzucił:

- Urodziny.
- Co z nimi?
- Jak wyglądają?
- No więc oczywiście nigdy się nie kończą.
- Chwilka, *zawsze* ma się urodziny?
- Tak.
- Codziennie jest przyjęcie i dostaje się prezenty?
- Codziennie.
- Chwilka... Czyli że codziennie trzeba pisać liściki z podziękowaniami?
- Nie trzeba nawet mówić „dziękuję”.

- Chwilka, to znaczy, że jest się zerem czy nieskończonością?
- A czym chcesz być?
- Nieskończonością.
- To byłbyś nieskończonością.
- Chwilka, ale wszyscy zawsze mają urodziny?
- Tylko ty.

Benjy zerwał się na nogi, uniósł ręce nad głowę i oświadczył:

- Chcę umrzeć w tej chwili!

„Tylko niech pan nie sprawi, że poczuje się zbyt bezpiecznie”.

W piwnicy Irva i Deborah, stojąc przed bardziej zniuansowanym zagadnieniem teologicznym, Jacob ponownie oparł się instynktowi prawdomówności na rzecz emocjonalnego bezpieczeństwa:

- Może Bóg pamięta wszystko, ale czasem postanawia zapomnieć?
- Po co miałyby to robić?

– Żebyśmy my pamiętali – odparł Jacob, zadowolony ze swojej improwizacji. – To jak z życzeniami – ciągnął. – Gdyby Bóg wiedział, czego chcemy, nie musielibyśmy mieć pragnień.

- A Bóg chce, żebyśmy wiedzieli za siebie.
- Możliwe.
- Kiedyś myślałem, że pradziadek jest Bogiem – powiedział Benjy.
- Tak?
- Tak, ale umarł, więc raczej nim nie był.
- Można myśleć o tym w ten sposób.
- Wiem, że mama nie jest Bogiem.
- Skąd wiesz?
- Bo ona nigdy by o mnie nie zapomniała.
- Masz rację – potwierdził Jacob – nie zapomniałaby.
- Bez względu na wszystko.
- Bez względu na wszystko.

Kolejna seria mamrotanych przekleństw ze strony kuzynów.

- W każdym razie właśnie to doprowadzało mnie do płaczu – powiedział Benjy.
- Mama?

– Życzenie do Ściany Płaczu.

– Dlatego że rozmyślałeś sobie, jaki Bóg jest zapominalski?

– Nie – odparł Benjy, wskazując telewizor, który nie wyświetlał gry, jak sądził Jacob, lecz efekty ostatnich, najpoważniejszych wstrząsów wtórnych. – Dlatego że Ściana się rozpadła.

– *Ściana*?

Rozsypały się po świecie – każde życzenie wetknięte w każdą ze szczelin, lecz także każde życzenie wciśnięte w serce każdego Żyda.

- Nie ma już dowodu ich wielkości – powiedział Benjy.

– Co?

– No to, co mi opowiadałeś o Rzymianach.

Ile wiedzą dzieci i jak wiele zapamiętują?

- Jacob! – zawołał z góry Irv.

– Ściana Płaczu – powiedział Jacob, jakby dzięki wypowiedzeniu nazwy na głos znów mogła zaistnieć.

Jacob mógł sprawić, że jego dzieci poczują się bezpiecznie. Ale czy mógł zapewnić im bezpieczeństwo?

Benjy pokręcił głową i powiedział:

– Teraz to tylko Płacz.

# Spójrz! Płaczące hebrajskie dziecko

Obecność Tamira nie tylko uniemożliwiła dokonanie pełnego rozrachunku, wymagała też od Julii bycia pogodną gospodynią. Śmierć dziadka Jacoba zmuszała ją z kolei przynajmniej do odgrywania miłości i troski, choć czuła wyłącznie smutek i zwątpienie. Dawała sobie radę z rozkwitającą urazą, a nawet z tłumieniem swej pasywnej agresji, ale w pewnym momencie konieczność bycia dobrą budzi nienawiść do siebie i innych.

Jak każdy żywy człowiek miała fantazje. (Choć jej bezmierne poczucie winy z powodu bycia istotą ludzką wymagało stałego przypominania, że jest „jak każdy żywy człowiek”). Domy, które projektowała, były fantazjami, ale na nich się nie kończyło.

Wyobrażała sobie tydzień w samotności w Big Sur. Może w Post Ranch Inn, może w jednym z pokojów z widokiem na ocean. Może masaż, może kosmetyczka, może „zabiegi”, które niczemu nie zapobiegają. Może przeszłaby wydrążonym w sekwoi tunelem, a słoje drzewa wyginałyby się wokół niej.

Wyobrażała sobie, że ma prywatnego kucharza. Weganie żyją dłużej, są zdrowsi, mają lepszą cerę – też by tak mogła. Gdyby ktoś robił zakupy, gotował i sprzątał za nią, byłoby to proste.

Wyobrażała sobie, że Mark dostrzega w niej drobiazgi, których nigdy w sobie nie zauważyła: frazeologizmy używane w błędny, ale uroczy sposób, to, co robią jej stopy, gdy nitkuje zęby, jej zabawny stosunek do deserowych menu.

Wyobrażała sobie, że chodzi na spacer bez celu, myśli o rzeczach bez organizacyjnego znaczenia, jak to, czy żarówki w stylu vintage nie są tak właściwie ohydne.

Wyobrażała sobie, że cichy wielbiciel anonimowo prenumeruje dla niej jakieś czasopismo.

Wyobrażała sobie, że kurze łapki znikają tak jak ślady kur na zakurzonej podwórku.

Wyobrażała sobie zniknięcie ekranów – z jej życia, z życia jej dzieci. Z siłowni, gabinetów lekarskich i tyłów taksówek, a także tych wiszących nad barami i w kątach tanich knajpek, zniknięcie iWatchów z nadgarstków ludzi z iPadami w rękę w metrze.

Wyobrażała sobie śmierć swoich wypełnionych powietrzem klientów i ich marzeń o coraz cięższych i cięższych urządzeniach kuchennych.

Fantazjowała na temat śmierci tak zwanego nauczyciela, który przed czterema laty śmiał się z jednej z odpowiedzi Maxa. Przywrócenie Maxowi przyjemności z chodzenia do szkoły wymagało miesiąca rozmów przed snem.

Doktor Silvers musiałby umrzeć przynajmniej kilka razy.

Wyobrażała sobie nagłe zniknięcie Jacoba – z domu i z życia. Wyobrażała sobie, jak Jacob pada trupem na siłowni, co wymagało wyobrażenia sobie, że chodzi na siłownię. W tym celu z kolei trzeba było sobie wyobrazić, że znów pragnie być atrakcyjny za sprawą czegoś innego niż sukces zawodowy.

Oczywiście nie chciała tak naprawdę, żeby umarł, nie pragnęła tego żadną cząstką siebie, nawet podświadomie, a gdy fantazjowała na temat jego śmierci, zawsze była ona bezbolesna. Czasem wpadał w świadomy popłoch, próbując sięgnąć w głąb piersi i złapać za swoje jękające się serce. Czasem myślał o dzieciach. Czasem – ostatecznie czasem – znikał



na zawsze. Ona zaś zostawała sama, a w końcu nie sama, i opłakiwali ją inni.

Przygotowywałyby wszystkie posiłki (co i tak już robiła), sama by sprzątała (co i tak już robiła), kupowałyby papier milimetrowy do labiryntów bez wyjścia Benjy'ego, prażone chipsy z glonów z dodatkiem sosu teriyaki dla Maxa, fajną-ale-bez-przesadnej-napinki torbę na ramię dla Sama, gdy poprzednia by się rozpadła. Ubierałyby ich na wyprzedających na koniec roku w Zarze i Crewcuts i woziła do szkoły (co i tak już robiła). Musiałaby się sama utrzymać (z czym przy swoim obecnym stylu życia by sobie nie poradziła, ale to nie problem, biorąc pod uwagę ubezpieczenie na życie Jacoba). Jej wyobraźnia była wystarczająco silna, by ją zranić. Julia okazała się jednak dostatecznie słaba, by zatrzymać ból dla siebie.

A potem przysłała najboleśniejszą myśl, myśl, której nigdy nie można dotknąć nawet liniami papilarnymi zwojów mózgu: śmierć dzieci. Ta najstraszniejsza z myśli kiełkowała w niej wiele razy, od kiedy była w ciąży z Samem: wyimaginowane poronienia, urojona śmierć łóżeczkowa, wyobrażone upadki ze schodów, podczas których próbowała osłonić jego ciało przed krawędziami stopni, wyobrażony rak za każdym razem, gdy widziała dziecko z nowotworem. Do tego świadomość, że każdy szkolny autobus, do którego kiedykolwiek wsadzi jedno ze swoich dzieci, stoczy się ze wzgórza prosto do zamarzniętego jeziora, a łód na nowo uformuje się wokół jego sylwetki. Za każdym razem, gdy jedno z jej dzieci poddawano znieczuleniu ogólnemu, żegnała się z nim tak, jakby miała się z nim pożegnać na zawsze. Nie była z natury strachliwa, a tym bardziej skłonna do apokaliptycznych wizji, ale Jacob miał rację, gdy po wypadku Sama powiedział, że to za wiele miłości jak na szczęście.

Wypadek Sama. Stanowił miejsce, w które nie chciała się udawać, ponieważ nie było stamtąd drogi powrotnej. A mimo to centrum urazowe w jej mózgu zawsze ją tam popychało. I nigdy nie wracała stamtąd do końca. Doszła do ładu z tym, dlaczego się to wydarzyło – nie istniało żadne „dlatego” – ale nie z tym, *jak* do tego doszło. Wydawało się to zbyt bolesne, ponieważ niezależnie od ciągu wydarzeń, nie było konieczne ani nieuniknione. Jacob nigdy jej nie spytał, czy to ona otworzyła drzwi. (Były o wiele za ciężkie, żeby ich syn otworzył je sam). Julia nigdy nie spytała Jacoba, czy to on zamknął je na jego palcach. (Być może Sam mógł wprawić je w ruch, a siła inercji zajęła się resztą?). Zdarzyło się to przed pięcioma laty, a podróż – trwający całe stulecie poranek na oddziale urazowym, wizyty u chirurga plastycznego dwa razy w tygodniu, rok rehabilitacji – sprawiła, że stali się sobie bliżsi niż kiedykolwiek. Zarazem jednak powstała czarna dziura milczenia, od której wszystko musiało trzymać się na bezpieczną odległość i która tak wiele połykała, że łyżka z niej ważyła więcej niż milion słońc pochłaniających milion zdjęć miliona rodzin na milionie księżyców.

Mogli rozmawiać o tym, jacy z nich szczęściarze (Sam mógł stracić palce), ale nigdy o tym, jakiego mieli pecha. Mogli uciekać się do ogólników, ale nigdy nie opisywali szczegółów: tego, jak doktor Fred raz po raz wbijał igły w palce Sama, by sprawdzić czucie, podczas gdy Sam patrzył rodzicom w oczy, prosząc, błagając, by to się skończyło; tego, że gdy wrócili do domu, Jacob włożył swoją zakrwawioną koszulę do reklamówki i zaniósł ją do śmietnika na rogu z Connecticut; tego, że Julia swoją zakrwawioną koszulę schowała w poszewce i wsunęła ją pod stos spodni.

Za wiele miłości jak na szczęście, ale ile szczęścia by wystarczyło? Czy znów zrobiłaby to

wszystko? Zawsze sądziła, że jej umiejętność znoszenia bólu jest większa niż u kogokolwiek innego – na pewno niż u dzieci czy Jacoba. Brzemie byłoby najznośniejsze, gdyby to ona je niosła, zresztą i tak ostatecznie miała je dźwigać sama. Tylko mężczyźni mogą wypisać się z rodzicielstwa. A gdyby mogła zrobić wszystko od nowa?

Często myślała o tych emerytowanych japońskich inżynierach, którzy zaoferowali się naprawić uszkodzone elektrownie jądrowe po tsunami. Zdawali sobie sprawę, że będą wystawieni na śmiertelne dawki promieniowania, ale zważywszy na to, że ich przewidywana długość życia była mniejsza niż czas potrzebny na to, by wykończył ich rak, nie widzieli powodu, by go nie dostać. W ekskluzywnym sklepie z artykułami żelaznymi Mark powiedział, że nie jest jeszcze za późno na szczęście. A kiedy w życiu Julii będzie wystarczająco późno na szczerłość?

Zdumiewające, jak niewiele się zmieniło, gdy wszystko uległo zmianie. Rozmowa, którą próbowali, ciągle się rozrastała, ale nie było już do końca wiadomo, czego dotyczy. Czy kiedy Jacob pokazał Julii listę miejsc, do których mógłby się przenieść, było to choć odrobinę bardziej rzeczywiste, niż gdy przedstawiał jej wykaz miejsc, do których *mogłoby* się przeprowadzić? Czy kiedy dzielili się wizjami szczęśliwego życia oddzielnie, było to mniej fikcyjne od niegdysiejszego dzielenia się wizjami wspólnego życia? Ćwiczenie rozmowy z dziećmi nabrało cech teatru, jakby próbowali sobie poradzić raczej z dekoracjami niż z życiem. Miała poczucie, że dla Jacoba było to coś w rodzaju gry, że znajdował w tym przyjemność. Albo, co gorsza, że planowanie separacji stanowiło nowy rytuał, który ich łączył.

Życie rodzinne pogrążyło się w marazmie. Rozmawiali o tym, że Jacob zacznie spać gdzie indziej, ale w pokoju gościnnym był Tamir, Barak korzystał z kanapy, a pomysł wyjeżdżania do hotelu, gdy wszyscy zasną, i wracania, zanim wstaną, wydawał się zarazem okrucieństwem i rozrzutnością. W kółko dyskutowali, jaki harmonogram zapewniłby im odpowiednio dużo czasu z dziećmi, wygodne przekazywanie ich sobie i tak mało tęsknoty, jak to tylko możliwe – ale nie powzięli żadnych kroków – ani żeby naprawić to, co zepsute, ani żeby zostawić to za sobą.

Po pogrzebie... Po bar micwie...

Po wyjeździe Izraelczyków...

Po zakończeniu semestru...

W ich desperacji tkwiła nonszalancja i możliwe, że rozmawianie na ten temat na razie wystarczało. Można było z tym poczekać, dopóki nie będzie można.

Ale pogrzeby, jak turbulencje podczas lotu i czterdzieste urodziny, narzucają kwestię śmiertelności. Może w innej sytuacji odnalazłaby z Jacobem sposób, by nadal żyć we wspólnym czyścicu. Stworzyliby nowe sprawy do załatwienia, podziały, wyjścia awaryjne dla emocji, fantazje. Pogrzeb sprawił, że rozmowa stała się niemal zbrodnią, wzbudził jednak także w Julii uporczywą potrzebę stawiania pytań. Wszystko, co kiedy indziej dało się odroczyć, teraz stało się pilne. Przypomniała sobie obsesję Maxa na punkcie czasu, tego, jak go mało. „Marnuję życie!”

Poszła do sypialni, do sterty płaszczy piętrzącej się na łóżku. Wyglądały jak zwłoki, jak zmarli Żydzi. Takie obrazy odcisnęły piętno również na dzieciństwie Julii, a teraz od pewnych skojarzeń nie dało się uciec. Obrazy nagich kobiet przyciskających do piersi swoje

dzieci. Nie oglądała ich, od kiedy zobaczyła je po raz pierwszy, ale nigdy nie przestała ich widzieć.

Rabin spojrział na Julię ponad cierpliwie oczekującym grobem. „Ale czy wedle pani doświadczeń Żydzi płaczą bezgłośnie?”, spytał. Czy widział to, czego nikt inny nie słyszał?

Znalazła płaszcz i go włożyła. W kieszeniach pełno było paragonów, niewielki arsenał cukierków służących do przekupstw, klucze, wizytówki i różne zagraniczne pieniądze z wycieczek, do których przygotowania i pakowanie pamiętała, choć nie mogła sobie przypomnieć samych wyjazdów. Dwoma garściami przerzuciła to wszystko do kosza, jak w obrzędzie taszlichu.

Bez zatrzymywania się ruszyła do drzwi frontowych: obok sałatki z białej kapusty, czarnej kawy, dania z niebieskiego lufara i ciasteczek blondie, obok winogronowych napojów gazowanych i brzoskwiniowych sznapsów, mijając paplaninę o inwestycjach, Izraelu i raku. Przeszła obok monotonnego kadyszu żałobników, obok zasłoniętych lusterek, obok fotografii stojących na szafce z telewizorem: Isaac z Izraelczykami w trakcie ich poprzedniej wizyty, Isaac na czterdziestce Julii, Isaac na kanapie, wpatrujący się w jakiś nieodległy punkt przed sobą. Kiedy dotarła do drzwi, po raz pierwszy zauważyła księgę pamiątkową, która leżała otwarta na stoliku. Przekartkowała ją, żeby sprawdzić, czy jej chłopcy coś napisali.

Sam: „Przykro mi”.

Max: „Przykro mi”.

Benjy: „Przykro mi”.

Jej też było przykro i kiedy przechodziła przez próg, dotknęła mezuzy, ale nie pocałowała palców. Przypomniała sobie, jak Jacob zaproponował, żeby wybrali własny tekst do mezuzy na drzwiach domu. Zdecydowali się na wers z Talmudu: „Każde źdźbło trawy ma swego anioła, który pochyla się nad nim i szepcze: «Wzrastaj! wzrastaj!»”. Czy następna rodzina, która zamieszka w ich domu, w ogóle będzie miała o tym pojęcie?

# Jaskinia lwa

Tamir i Jacob zasiedzieli się tej nocy do późna. Julia gdzieś była, ale nie tu. Isaaca nie było ani tu, ani nigdzie. Dzieci powinny spać w swoich pokojach, ale Sam przebywał w *Innym Życiu*, jednocześnie snapczatując z Billie, a Max sprawdzał trudne słowa z *Buszującego w zbożu*, wkurzony, jak nauczył go tego Holden, że musi korzystać z papierowego słownika. Barak był w pokoju gościnnym, spał i rósł we śnie. Na dole zostało tylko dwóch kuzynów – starzy kumple, mężczyźni w średnim wieku, ojcowie nadal młodych dzieci.

Jacob wyjął piwo z delikatnie buczonej lodówki, wyciszył telewizor i z ciężkim, udawanym westchnieniem usiadł po drugiej stronie stołu naprzeciwko Tamira.

- Niełatwo dzisiaj było.
- Przeżył dobre, długie życie – powiedział Tamir, a potem pociągnął dobry, długi łyk.
- Tak przypuszczam – odparł Jacob. – Pomijając „dobre”.
- Prawniki.
- Które nazywał swoją zemstą na narodzie niemieckim.
- Zemsta jest słodka.
- Całe dni spędzał na wycinaniu kuponów rabatowych na rzeczy, których nigdy nie kupi, powtarzając wszystkim, którzy chcieli słuchać, że nie słucha go nikt. – Łyk. – Zabrałem raz dzieci do zoo w Berlinie...

- Byłeś w Berlinie?
- Mieliśmy tam nagranie i zbiegło się to z feriami.
- Zabrałeś dzieci do Berlina, a do Izraela nie?
- Jak już mówiłem, poszliśmy do zoo we wschodniej części miasta i było to niemal najbardziej przygnębiające miejsce, w jakim kiedykolwiek byłem. Pantera, w otoczeniu roślinności tak przekonującej jak chińska wystawa z jedzeniem z plastiku, zajmowała siedlisko wielkości miejsca parkingowego dla niepełnosprawnych. Robiła ósemki, bez końca, po tym samym torze. Gdy zawracała, odrzucała głowę do tyłu i mrużyła oczy. Za każdym razem. Staliśmy zahipnotyzowani. Sam, który miał wtedy może z siedem lat, przycisnął dłonie do szkła i spytał: „Kiedy są urodziny pradziadka?”. Popatrzyliśmy na siebie z Julią. Jaki siedmiolatek zadaje takie pytanie w takiej chwili?

- Taki, którego trapi to, że jego dziadek jest panterą w depresji.
- Właśnie. I miał rację. Dzień za dniem ta sama rutyna: czarna rozpuszczalna i kantalupa. Przedzieranie się przez „Jewish Week” z tą jego ogromną lupą. Sprawdzanie całego domu, żeby się upewnić, że wszystkie światła nadal są wyłączone. Pchanie balkonika rehabilitacyjnego, z nóżkami zabezpieczonymi piłkami tenisowymi, do szulu, żeby grać w te same smutne słowne uzupełnianki z tymi samymi gośćmi ze zwyrodnieniem plamki żółtej, wymieniając jedynie imiona w informacjach na temat rokowań i ukończenia szkoły średniej. Rozmrażanie rosołu podczas przeglądania tych samych albumów ze zdjęciami. Jedzenie zupy z ciemnym chlebem w trakcie przedzierania się przez kolejny akapit „Jewish Week”. Drzemka przy jednym z tych samych pięciu filmów. Przechodzenie przez ulicę, by potwierdzić nieprzerwaną egzystencję pana Kowalskiego. Pomijanie obiadu. Sprawdzanie domu, żeby upewnić się, że wszystkie światła dalej są wyłączone. Chodzenie spać o siódmej

i śnienie tych samych koszmarów przez jedenaście godzin. Czy to jest szczęście?

– Pewna wersja.

– Ale nie taka, którą ktokolwiek by sobie wybrał.

– Wielu by ją wybrało.

Jacob pomyślał o braciach Isaaca, o głodnych uchodźcach, o ocalańcach niemających nawet rodziny, która mogłaby nie zwracać na nich uwagi – wstydził się zarówno marnego życia dziadka, które potrafił tolerować, jak i tego, że oceniał je jako marne.

– Nie mogę uwierzyć, że zabrałeś dzieciaki do Berlina – powiedział Tamir.

– To niewiarygodne miasto.

– Ale przed Izraelem?

Google wiedział, ile jest z Waszyngtonu do Tel Awiwu, a za pomocą centymetra można było ustalić szerokość stołu, lecz Jacob nawet w przybliżeniu nie mógłby określić dystansu emocjonalnego, który dzielił go od Tamira. „Czy rozumiemy się nawzajem? A może jesteśmy sobie prawie obcy i tylko opieramy się na przypuszczeniach i udajemy?” – zastanawiał się.

– Żałuję, że nie mieliśmy lepszego kontaktu – powiedział.

– Ty i Isaac?

– Nie. *My*.

– Sądzę, że gdybyśmy chcieli, byłoby inaczej.

– Nie jestem taki pewien – stwierdził Jacob. – Chciałem zrobić wiele rzeczy, a ich nie zrobiłem.

– Chciałeś *kiedyś* czy patrząc wstecz?

– Trudno powiedzieć.

– Trudno wiedzieć? Czy trudno powiedzieć?

Jacob wypił łyk piwa i ręką wytarł krążek, który został na stole, żałując – jak to on – że nie jest kimś, kto odpuszcza takie sprawy. Myślał o wszystkim, co dzieje się za tymi ścianami, nad sufitem, pod podłogą – jak słabo rozumiał funkcjonowanie swojego domu. Co działo się w gniazdku, gdy nic nie było podłączone? Czy w rurach była w tej chwili woda? Musiała być, skoro leciała, gdy tylko odkręcało się kran. Czy to znaczyło, że dom ciągle wypełnia siedząca woda? Czy nie ważyłoby to potwornie dużo? Kiedy dowiedział się w szkole, że jego ciało w sześćdziesięciu procentach składa się z wody, postąpił tak, jak nauczył go ojciec, i nie dał temu wiary. Woda po prostu nie była wystarczająco ciężka, żeby to mogła być prawda. Następnie znów zrobił tak, jak nauczył go ojciec, i to do niego zwrócił się w poszukiwaniu prawdy. Irv napełnił wodą wiadro na śmieci i kazał mu je podnieść. Kiedy Jacob nie mógł sobie z nim poradzić, Irv powiedział: „Powinieneś poczuć własną krew”.

Jacob zbliżył piwo do ust. W telewizji pokazywano Ścianę Płaczu. Odchylił się i powiedział:

– Pamiętasz, jak wymknęliśmy się z domu moich rodziców? Wiele lat temu?

– Nie.

– Kiedy poszliśmy do National Zoo?

– National Zoo?

– Serio nie? – spytał Jacob. – Kilka dni przed moją bar micwą.

– Oczywiście, że pamiętam. To ty nie pamiętasz, że wspomniałem o tym w drodze

z lotniska. I to było w noc przed twoją bar micwą. Nie kilka dni wcześniej.

– Racja. Wiem. Wiedziałem. Nie wiem, dlaczego tak to zmieniłem.

– Co by na to powiedział ten twój doktor Silvers?

– Jestem pod wrażeniem, że zapamiętałeś jego nazwisko.

– Ułatwiłeś mi to.

– Co by powiedział doktor Silvers? Pewnie, że chronię się za ogólnikami.

– Ile płacisz temu człowiekowi?

– Płacę mu niedorzeczną kupę pieniędzy. A ubezpieczenie pokrywa pozostałe dwie trzecie.

– Przed czym się chronisz?

– Przed zamartwianiem się bardziej?

– Niż ja?

– To nie znaczy, że jestem jakoś bardzo oświecony.

I nie tylko za ścianami, nad sufitem, pod podłogą, ale w samym pokoju działo się mnóstwo rzeczy, o których Jacob miał ledwie najmglistsze pojęcie: od audycji radiowych, kanałów telewizyjnych, rozmów telefonicznych, przez bluetootha, Wi-Fi, wycieki z mikrofali, promieniowanie piekarnika i żarówek, po promieniowanie słoneczne z największego piekarnika i największej żarówki ze wszystkich. Wszystko to ciągle przebiegało przez pokój, czasem wywołując nowotwory albo zabijając plemniki, niedostrzeżone.

– Byliśmy tacy głupi. – Tamir zachichotał.

– Dalej jesteśmy.

– Ale wtedy byliśmy jeszcze głupszy.

– Za to bardziej romantyczni.

– Romantyczni?

– W kwestii życia. Nie pamiętasz, jak to było? Wierzyć, że życie samo w sobie może być przedmiotem miłości?

Kiedy Tamir poszedł po kolejne piwo, Jacob napisał do Julii: „gdzie jesteś? dzwoniłem do maggie i powiedziała, że cie nie było”.

– Nie – powiedział Tamir do lodówki. – Nie pamiętam tego.

Tamtego ranka przed trzydziestu laty w zoo ich skarpety zamieniły się w nasączone potem gąbki. W Dystrykcie Kolumbii latem wszystko było rytuałem oczyszczenia. Widzieli słynne pandy, Ling-Ling i Hsing-Hsing, słonie i ich wspomnienia, jeżozwierze z ich pancerzami z przyborów do pisania. Ich rodzice spierali się, gdzie jest bardziej nieznośna pogoda: w Waszyngtonie czy w Hajfie. Jedni i drudzy chcieli przegrać, bo przegrywając, odnosiło się zwycięstwo. Tamir, starszy o bardzo istotne sześć miesięcy, przez większość czasu zwracał uwagę, jak słaba jest ochrona i jak łatwo byłoby się tutaj zakraść, być może nie do końca zdając sobie sprawę, że zoo jest otwarte, oni w nim są, a wstęp był za darmo.

Z zoo pojechali Connecticut Avenue do Dupont Circle (Irv i Szlomo z przodu, Adina i Deborah za nimi, Jacob i Tamir siedzący tyłem do kierunku jazdy z tyłu volvo), zjedli kanapki w jakiejś niezapadającej w pamięć restauracji, a potem spędzili popołudnie w Narodowym Muzeum Lotnictwa i Przestrzeni Kosmicznej, czekając w kolejce na dwadzieścia siedem wspaniałych minut *To Fly!*

Żeby wynagrodzić sobie gówniany obiad, wieczorem poszli do Armanda na „najlepszą

pizę z Chicago w Waszyngtonie”, potem zjedli deser lodowy u Swensena, obejrzeni nudne kino akcji w Uptown po to tylko, by doświadczyć nabożnej czci wobec ekranu tak wielkiego, że wydawał się przeciwieństwem bycia pogrzebanym, a może nawet przeciwieństwem umierania.

Pięć godzin później, gdy jedyne światło docierało z panelu systemu alarmowego, Tamir potrząsnął Jacobem i wybudził go.

– Co ty wyprawiasz? – spytał Jacob.

– Chodźmy – szepnął Tamir.

– Co?

– Chodźmy.

– Śpię.

– Jak ktoś śpi, to nie gada.

– To się nazywa mówienie przez sen.

– Idziemy.

– Gdzie?

– Do zoo.

– Jakiego zoo?

– Chodź, fajfusie.

– Mam jutro bar micwę.

– Dzisiaj.

– Właśnie. I muszę spać.

– Odeśpisz podczas bar micwy.

– Po co mielibyśmy iść do zoo?

– Żeby się tam zakraść.

– Ale po co?

– Nie bądź cipką.

Może jego zdrowy rozsądek był wciąż w trybie offline, a może rzeczywiście Jacob przejmował się tym, że w ocenie Tamira będzie cipką, bo usiadł na łóżku, przetaił oczy i się ubrał. W jego umyśle uformował się zwrot „to takie nie w moim stylu”, który miał sobie powtarzać przez całą noc, dopóki sam nie stał się własnym przeciwieństwem.

Ruszyli w ciemności ulicą Newark, a potem skęcili w prawo przy oddziale biblioteki publicznej Cleveland Park. Po cichu, bardziej jak lunatycy niż agenci Mosadu, szli Connecticut, potem przecięli most Klinge Valley (przez który Jacob nie był w stanie przejść bez wyobrażania sobie, jak z niego skacze) i minęli budynek Kennedy-Warren. Nie spali, ale to był sen. Zbliżyli się do zaśniedziałego lwa i wielkich liter z betonu: ZOO.

Tamir miał rację: nie było nic łatwiejszego, niż przeskoczyć przez sięgające do pasa betonowe ogrodzenie. Było to tak proste, że sprawiało wrażenie pułapki. Jacobowi do szczęścia wystarczyłoby przekroczenie granicy, nadanie występкови oficjalnego charakteru. Potem mógłby zawrócić na pięcie, ściskając w trzęsącej się dłoni odznakę za naruszenie prawa. Ale Tamirowi taki scenariusz nie odpowiadał.

Jak malutki komandos przykucnął, przeanalizował swoje pole widzenia, a następnie szybkim skinieniem dał znać Jacobowi, by ruszył za nim. I Jacob ruszył. Tamir poprowadził go obok kiosku przy wejściu, mapy zoo, coraz dalej i dalej od ulicy, aż stracili ją z oczu jak żeglarze tracący z oczu brzeg. Jacob nie wiedział, dokąd Tamir go prowadzi, ale zdawał

sobie sprawę, że jest prowadzony i że będzie za nim szedł. „To takie nie w moim stylu”.

Zwierzęta, na ile Jacob mógł to ocenić, spały. Jedyne dźwięki wydawał wiatr przemykający między bujnymi bambusami i upiornie buczące automaty. Wcześniej zoo przypominało pasaż handlowy w święto pracy. Teraz było tu jak na pełnym oceanie.

Zwierzęta zawsze stanowiły dla Jacoba zagadkę, zwłaszcza gdy spały. Naszkicowanie świadomości czuwającego zwierzęcia – choćby w prymitywnym, prostackim przybliżeniu – wydawało się możliwe. Ale o czym śnią nosorożce? Czy w ogóle śnią? Zwierzęta nigdy nie zasypiały nagle – działo się to powoli, spokojnie. Ale śpiące zwierzę zawsze zdawało się gotowe, na skraju wybudzenia, na skraju przemocy.

Dotarli do wybiegu lwów i Tamir się zatrzymał.

– Nie przestałem o tym myśleć, odkąd byliśmy tutaj rano.

– O czym?

Położył ręce na barierce i powiedział:

– Chcę dotknąć ziemi.

– Stoisz na ziemi.

– Tam w środku.

– Co?

– Przez chwilę.

– Odjebało ci.

– Mówię serio.

– Na pewno nie.

– Tak. Serio.

– W takim razie jesteś nieźle pokurwiony.

– Tak. Ale jestem też kurewsko poważny.

Tamir zaprowadził ich, zdał sobie sprawę Jacob, do jedynej części wybiegu, gdzie ogrodzenie było na tyle niskie, by podręcznikowy przykład pacjenta z zaburzeniami psychicznymi wedle DSM-5 był w stanie wydostać się z powrotem. Oczywiście już rano odnalazł to miejsce, może nawet zmierzył je wzrokiem, może – na pewno – odegrał tę scenę w wyobraźni.

– Nie – powiedział Jacob.

– Dlaczego nie?

– Sam wiesz dlaczego.

– Nie wiem.

– Bo *pożre cię lew*, Tamir! Jezu, kurwa, Chryste.

– Śpią – powiedział.

– One?

– Są trzy.

– Policzyłeś?

– Tak. Poza tym tak napisano na tabliczce.

– Śpią, bo nikt nie narusza ich terytorium.

– A zresztą nawet ich tu nie ma. Są w środku.

– Skąd wiesz?

– Widzisz je?

– Nie jestem jebanym zoologiem. Nie widzę prawdopodobnie nic z tego, co się teraz



dzieje.

– Śpią w środku.

– Chodźmy do domu. Powiem wszystkim, że tam wskoczyłeś. Powiem, że zabiłeś lwa albo że lew zrobił ci laskę, powiem wszystko co trzeba, żebyś poczuł się bohaterem, ale spierdalajmy stąd.

– To, czego chcę, nie ma nic wspólnego z nikim.

Tamir zaczął się wdrapywać.

– Zginiesz – powiedział Jacob.

– Ty kiedyś też – odpowiedział Tamir.

– Co niby mam zrobić, jak lew się obudzi i rzuci się za tobą?

– Co ty masz zrobić?

Rozśmieszyło to Jacoba, a jego śmiech rozbawił Tamira. Niewinny żarcik rozładował napięcie. Ale ten żarcik sprawił też, że najgłupszy pomysł stał się uzasadniony, może nawet sensowny albo wręcz genialny. Alternatywa – rozsądek – wydała się szaleństwem. Bo byli młodzi. Bo młodym jest się raz w życiu, które przeżywa się tylko raz. Bo lekkomyślność to jedyny cios, jaki można zadać nicości. Ile pełni istnienia może znieść człowiek?

Stało się to tak szybko, choć trwało całą wieczność. Tamir zeskoczył po drugiej stronie i wylądował z głuchym tąpnięciem, którego najwyraźniej nie przewidział, bo popatrzył na Jacoba z błyskiem przerażenia w oczach. I próbował się poderwać z ziemi, jakby była lawą. Za pierwszym skokiem nie zdołał osiągnąć szczytu ogrodzenia, ale drugie podejście poszło gładko. Podciągnął się, a Jacob przeciągnął go na swoją stronę i upadli we dwóch na chodnik, zaśmiewając się.

Co czuł Jacob, śmiejąc się z kuzynem? Śmiał się z życia. I z siebie. Nawet trzynastolatek rozpoznaje przyjemność i grozę własnej nieistotności. *Zwłaszcza trzynastolatek.*

– Teraz ty – powiedział Tamir, gdy podnieśli się i otrzepali.

– Nie ma chuja.

„To takie nie w moim stylu”.

– Dajesz.

– Wołałbym się przekreślić.

– Możesz mieć jedno i drugie. No dalej, musisz.

– Dlatego że ty to zrobiłeś?

– Dlatego że tego chcesz.

– Wcale nie.

– No już – nie ustępował Tamir. – Będziesz się cieszył. Latami będziesz miał z tego radość.

– Szczęście nie jest dla mnie takie istotne.

Wtedy padło stanowcze:

– *Ale już, Jacob!*

Jacob próbował obrócić w żart przyływ agresji Tamira.

– Rodzice chyba by mnie zabili, gdybym zginął przed bar micwą.

– *To będzie twoja bar micwa.*

– Nie ma mowy.

Tamir postanowił go sprowokować.

– Przywalę ci, jak tego nie zrobisz.

– Daj mi święty spokój.

- Naprawdę ci przywalę.
- Ale ja mam okulary i trądzik.

Żarcik niczego nie rozproszył, nie sprawił, że coś wydało się niemal sensowne. Tamir walnął Jacoba w klatkę piersiową, wystarczająco mocno, by posłać go na ogrodzenie. Pierwszy raz w życiu ktoś Jacoba uderzył.

- Co, do chuja, Tamir?!
- Nad czym się użalasz?
- Nie użalam się.
- Skoro nie, to przestań się mazać.
- Nie mażę się.

Tamir położył Jacobowi ręce na ramionach i oparł czoło o jego czoło. Jacob był przez rok karmiony piersią, kąpano go w kuchennym zlewie, setki razy zasypiał ojcu na rękach, ale takiej bliskości nie doświadczył nigdy.

- Musisz to zrobić – powiedział Tamir.
- Nie chcę.
- Chcesz, ale się boisz.
- Nie.

Owszem. Bał się.

– Chodź – powiedział Tamir, prowadząc Jacoba do ogrodzenia. – To proste. Potrwa chwilę. Sam widziałeś. Widziałeś, że to nic takiego. A zapamiętasz to na zawsze.

- „To takie nie w moim stylu”.
- Martwi nie mają wspomnień.
- Nie dam ci umrzeć.
- Nie? A co zrobisz?
- Wskoczę z tobą.
- I zginiemy we dwóch?
- Tak.
- Ale nie będę przez to ani trochę mniej martwy.
- Będiesz. No już, idź.
- Słyszałeś coś?
- Nie, bo nie ma czego słyszeć.
- Serio: nie chcę umierać.

Wydarzyło się to, tak jakoś się nie dziejąc, bez podejmowania żadnej decyzji, bez wysyłania żadnego impulsu z mózgu do żadnego z mięśni. W pewnej chwili Jacob znalazł się na szczycie ogrodzenia, choć nawet nie zaczął się wdrapywać. Ręce latały mu tak mocno, że ledwie był w stanie się trzymać.

- „To takie nie w moim stylu”.
- Puszczaj – powiedział Tamir.

Trzymał się.

„To takie nie w moim stylu”.

- Puszczaj.

Pokręcił głową i puścił.

Był na ziemi, w jaskini lwa.

„To przeciwieństwo mnie”.

Tam, na ziemi, pośrodku sztucznej sawanny, w centrum stolicy kraju, poczuł coś tak niepohamowanego i prawdziwego, że mogło to albo uratować, albo zniszczyć mu życie.

Za trzy lata dotknie językiem języka dziewczyny, dla której z wielką radością dałby sobie rękę odciąć, gdyby tylko mu na to pozwoliła. Rok później poduszka powietrzna uszkodzi mu rogówkę i ocali życie. Dwa lata po tym ze zdumieniem będzie się wpatrywał w usta na jego penisie. Później, tego samego roku, powie ojcu to, co mówił o *nim* od lat. Zjara mnóstwo zioła, będzie patrzył, jak kolano wygina mu się w złą stronę podczas głupiej gierki futbolu dotykowego, za granicą z niewy tłumaczalnych przyczyn wzruszy go do łez obraz przedstawiający kobietę z dzieckiem, dotknie niedźwiedzia brunatnego pogrążonego we śnie zimowym i zagrożonego wyginięciem łuskowca, tydzień będzie czekał na wyniki testu ciążowego, po cichu będzie się modlił o życie żony, wrzeszczącej, gdy nowe życie będzie z niej wychodzić – w wielu chwilach życie wyda mu się wielkie, cenne. Razem złożą się one jednak na śmiesznie mały wycinek ziemskiego czasu Jacoba – pięć minut rocznie? Ile to łącznie? Jeden dzień? W najlepszym wypadku. Dzień pełni istnienia przez cztery dekady życia?

W jaskini lwa czuł, że własne istnienie otacza go i bierze w objęcia. Poczuł się, może pierwszy raz w życiu, bezpieczny.

Ale potem to usłyszał i wrócił do rzeczywistości. Podniósł wzrok, napotkał spojrzenie Tamira i zobaczył, że Tamir też to słyszał. Poruszenie. Przydeptane liście. Co przekazali sobie tym spojrzeniem? Strach? Ale to było jak śmiech. Jak najlepszy ze wszystkich dowcipów, którymi się wymienili.

Jacob odwrócił się i zobaczył zwierzę. Nie w wyobraźni – prawdziwe zwierzę w prawdziwym świecie. Zwierzę, które się nie namyśla ani nie deliberuje. Nieobrzezane zwierzę. Było pięćdziesiąt metrów od niego, ale jego gorący oddech sprawił, że Jacobowi zaparowały okulary.

Tamir bez słowa wspiął się z powrotem na ogrodzenie i wyciągnął rękę. Jacob podskoczył, ale nie zdołał jej chwycić. Ich palce się zetknęły, przez co odległość wydała się nieskończona. Jacob skoczył raz jeszcze i znów musnęli się czubkami palców, a lew biegł, z każdym krokiem o połowę zmniejszając dystans. Jacob nie miał czasu, żeby zebrać się w sobie ani zastanowić, jak zyskać dodatkowy cal czy dwa, po prostu spróbował raz jeszcze i tym razem – dzięki adrenalinie albo nagłemu pragnieniu Boga, by dowieść swego istnienia – schwycił nadgarstek Tamira.

Znów leżeli rozwaleni na chodniku. Tamir zaczął się śmiać i Jacob też, a potem – a może w tej samej chwili – Jacob się rozpłakał.

Może wiedział. Może – on, nastolatek śmiejący się i płaczący na chodniku – w jakiś sposób zdawał sobie sprawę, że już nigdy w życiu nie będzie czuł niczego podobnego. Może ze szczytu góry widział przed sobą wielką równinę.

Tamir też płakał.

Trzydzieści lat później nadal byli na skraju wybiegu, ale mimo cali, których im przybyło, wdrapanie się do środka nie wydawało się już możliwe. Ogrodzenie też urosło. Bardziej niż oni.

– Od tamtej nocy nigdy nie czułem się tak pełen życia – oświadczył Jacob, przynosząc Tamirowi kolejne piwo.

– Życie było aż takie nudne?

– Nie. Dużo się działo. Ale nie czułem tego samego.

– Są różne wersje szczęścia – stwierdził Tamir.

Jacob zawahał się, zanim otworzył butelkę, i powiedział:

– Wiesz, nie jestem pewien, czy w to wierzę.

– Nie chcesz w to wierzyć. Chcesz wierzyć, że twoja praca powinna mieć znaczenie równe wojnie, a długotrwałe małżeństwo powinno zapewniać takie samo radosne podniecenie jak pierwsza randka.

– Wiem – powiedział Jacob. – Nie oczekuj za wiele. Naucz się kochać odrętwienie.

– Tego nie powiedziałem.

– Przez całe życie uparcie trwałem w przekonaniu, że we wszystkim, o czym rozmawialiśmy w dzieciństwie, tkwiło przynajmniej ziarno prawdy. Że obietnica prawdziwie odczuwanego życia to nie kłamstwo.

– Zdarzyło ci się kiedyś zatrzymać i zadać sobie pytanie, dlaczego kładziesz taki nacisk na odczucia?

– A na co innego człowiek może kłaść nacisk?

– Na spokój.

– Mam mnóstwo spokoju – odparł Jacob. – Aż za dużo.

– Spokój też ma różne wersje.

Przez dom przeleciał wiatr, a głęboko w trzewiach okapu kuchennego zatrzepotał szyber.

– Julia uważa, że w nic nie wierzę. Może ma rację. Nie mam pojęcia, czy to się liczy jako przeświadczenie, czy jako niedowierzenie, ale jestem pewien, że dziadek przebywa teraz w ziemi i tylko w ziemi. A my mamy to, co nas czeka. Pracę, małżeństwa...

– Jesteś rozczarowany?

– Jestem. A może załamany. Nie, to coś pomiędzy rozczarowaniem a załamaniem.

Zniechęcony?

Światło nad zlewem zgasło z trzaskiem. Jakieś złącze nie było dobrze zabezpieczone.

– To był ciężki dzień – powiedział Tamir.

– Tak, ale ciągnął się dekadami.

– Chociaż wydawało się, że to tylko kilka sekund?

– Zawsze kiedy ktoś pyta, co u mnie, łapię się na tym, że mówię: „Jestem w okresie przejściowym”. Wszystko to przejście, zawirowania w drodze do celu. Ale powtarzam to od tak dawna, że pewnie powinienem pogodzić się z tym, że reszta mojego życia będzie jednym długim przejściem: klepsydrą bez baniek. Przesypującą się bez końca.

– Jacob, naprawdę nie masz wystarczająco dużo problemów.

– Mam ich dość – powiedział, jednocześnie znów pisząc do Julii – uwierz mi. Ale moje problemy są takie nieistotne, takie rodzinne. Dzieci cały dniami gapią się w ekrany. Pies nie kontroluje czynności fizjologicznych. Odczuwam nienasycony głód porno, ale nie mogę liczyć na erekcję, gdy mam przed sobą analogową cipę. Łysieję, co, jak wiem, zauważyłeś i na co, za co ci dziękuję, nie zwróciłeś uwagi.

– Nie łysiejesz.

– Jestem mniejszy niż życie.

Tamir pokiwał głową i spytał:

– A kto nie jest?

– Ty.

– A co we mnie takiego wielkiego? Nie mogę się doczekać, żeby to usłyszeć.

– Walczyłeś na wojnach i żyłeś w cieniu przyszłych wojen, a Noam jest w tej chwili w środku Bóg-wie-czego. Stawka twojego życia odzwierciedla jego wielkość.

– I warto tego zazdrościć? – spytał Tamir. – Jedno piwo mniej, a byłbym obrażony tym, co powiedziałeś. – Osuszył do dna butelkę. – Jedno więcej i byłbym wściekły.

– Nie ma się o co obrażać. Mam na myśli tylko tyle, że uniknąłeś Wielkiej Równiny.

– Myślisz, że pragnę czegoś mocniej niż nudnego białego domku w nudnym sąsiedztwie, gdzie nikt nikogo nie zna, bo wszyscy oglądają telewizję?

– Tak – przytaknął Jacob. – Sądzę, że oszalałbyś tak jak dziadek.

– Wcale nie był szalony. To ty jesteś szalony.

– Nie miałem na...

Światło z trzaskiem wróciło, oszczędzając Jacobowi dowiedzenia się, co miał na myśli.

– Posłuchaj siebie, Jacob. Myślisz, że to wszystko gra, bo jesteś jedynie fanem.

– Co to miało niby znaczyć?

– Mniej niż fanem. Nie wiesz nawet, komu kibicujesz.

– Hej, Tamir. Wykorzystujesz coś, czego nie powiedziałem. Co się dzieje?

Tamir wskazał telewizor – wojska izraelskie powstrzymywały wzburzony tłum Palestyńczyków próbujących dostać się do Zachodniej Jerozolimy – i powiedział:

– To właśnie się dzieje. Może nie zauważyłeś?

– Ależ dokładnie o tym mówię.

– O dramacie. Racja. Uwielbiasz tragedie. Zawstydzą cię to, kim jesteśmy.

– Że co? Kto?

– Izrael.

– Przestań, Tamir. Nie mam pojęcia, o czym mówisz ani dlaczego ta rozmowa przybrała taki obrót. Nie mogę się po prostu poużalać nad swoim życiem?

– Jeśli tylko wolno mi bronić własnego.

W nadziei, że odrobina samodzielności może wyciągnąć Maxa z dołka, Jacob i Julia zaczęli mu pozwalać na wyprawy w pojedynkę: do pobliskiej pizzerii, biblioteki, piekarni. Któregoś popołudnia wrócił z drogerii z parą tekturowych okularów „rentgenowskich”. Jacob ukradkiem przyglądał się, jak Max je przymierza, następnie czyta etykietę, potem przymierza je raz jeszcze i znów czyta etykietę. Chodził w nich po pierwszym piętrze, coraz bardziej rozeźlony. „Są zupełnie do kitu!” – powiedział, rzucając je na podłogę. Jacob wyjaśnił mu łagodnie, że to taki dowcip, który ma na celu sprawienie, żeby inni myśleli, że możesz patrzeć przez przedmioty. „Dlaczego nie napisali tego jasno i wyraźnie na opakowaniu? – spytał Max w gniewie przechodzącym w upokorzenie. – I dlaczego miałyby to być mniej zabawne, gdyby naprawdę można było patrzeć przez rzeczy?”.

Co się działo we wnętrzu Tamira? Jacob nie mógł pojąć, jak ciepły żart na temat szczęścia został zredukowany do gorącej kłótni na tematy polityczne, z udziałem tylko jednego dyskutanta. Czegoś dotknął, ale czego?

– Dużo pracuję – zaczął Tamir. – Wiesz o tym. Zawsze dużo pracowałem. Bywają mężczyźni, którzy pracują, żeby uciec od rodziny. Ja pracuję, żeby swoją utrzymać. Wierzysz w to, co mówię, prawda?

Jacob skinął głową, nie potrafiąc zmusić się do powiedzenia: „Oczywiście, że tak”.

– Często nie było mnie na kolacji, gdy Noam był mały. Ale codziennie odwoziłem go do

szkoły. To było dla mnie ważne. W ten sposób poznałem wielu innych rodziców. Przeważnie ich lubiłem. Ale był taki jeden ojciec, którego nie mogłem znieść, prawdziwy dupek, jak ja. No i oczywiście nie znosiłem też jego dziecka. Chłopak miał na imię Ejtan. Może już wiesz, dokąd ta historia zmierza?

– Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia.

– Kiedy Noam wstąpił do wojska, kto musiał być w jego jednostce?

– Ejtan.

– Ejtan. Jego ojciec i ja wymieniamy mejle, gdy któryś z nas ma się czym podzielić. Nigdy nie spędzamy razem czasu i nie rozmawiamy przez telefon. Ale sporo do siebie piszemy. Nie polubiłem go, im więcej mam z nim do czynienia, tym bardziej go nie cierpię. Ale kocham go. – Objął ręką pustą butelkę. – Mogę cię o coś spytać?

– Jasne.

– Ile pieniędzy dajecie Izraelowi?

– Ile pieniędzy? – powtórzył Jacob, idąc do lodówki po kolejne piwo dla Tamira i żeby się ruszyć. – Zabawne pytanie.

– Tak. Co dajecie Izraelowi? Mówię poważnie.

– Ale co? Komu, Zjednoczonemu Związkowi Pomocy Żydom? Uniwersytetowi Ben-Guriona?

– Jasne, uwzględnij to wszystko. I uwzględnij wycieczki do Izraela. Z rodzicami, z twoją własną rodziną.

– Wiesz, że nie byłem tam z Julią i chłopcami.

– Zgadza się, poleciałeś do Berlina. Cóż, wyobraź sobie, że poleciałeś do Izraela. Wyobraź sobie hotele, w których byś się zatrzymał, kursy taksówkami, falafele, mezuzę z kamienia jerozolimskiego, którą byś stamtąd przywiózł.

– Nie wiem, do czego zmierzasz.

– No cóż, ja za to wiem, że daję ponad sześćdziesiąt procent moich zarobków.

– Znaczą podatków? Mieszkasz tam.

– To tym bardziej powód, dla którego powinniście ponosić ciężar finansowy.

– Naprawdę nie bardzo nadażam, Tamir.

– I nie chodzi tylko o to, że odmawiacie zapłacenia swojej części. Wy jeszcze *odbieracie*.

– Co odbieramy?

– Naszą przyszłość. Wiedziałeś, że ponad czterdzieści procent Izraelczyków rozważa emigrację? Była taka ankieta.

– I to jakimś cudem moja wina? Tamir, rozumiem, że Izrael nie jest miasteczkiem studenckim i przebywanie z dala od rodziny musi być dla ciebie w tej chwili męką, ale uczepliłeś się nie tego gościa co trzeba.

– Daj spokój, Jacob.

– Co?

– Narzekasz, jaki to jesteś zniechęcony i jakie małe jest twoje życie. – Tamir się pochylił.

– A ja jestem przerażony.

Jacob był poruszony do granicy milczenia. Wydawało się, jakby Tamir wszedł tego wieczora do kuchni w tekturowych okularach rentgenowskich, cisnął je z frustracji na ziemię, ale zamiast wyjaśnić, że są one tylko po to, by inni myśleli, że widzi się przez rzeczy, sam się odsłonił.

– Jestem przerażony – powtórzył. – I mam dość więzi uczuciowej z ojcem Ejtana.

– Macie więcej niż ojca Ejtana.

– Zgadza się: mamy Arabów.

– Macie nas.

– *Nas?* Twoje dzieci śpią na ekologicznych materacach, a mój syn jest w samym środku tego – powiedział, raz jeszcze wskazując telewizor. – Oddaję ponad połowę wszystkiego, co mam, a ty dajesz jeden procent, góra. Chcesz być częścią epopei i czujesz się uprawniony, by mówić mi, jak mam prowadzić dom, a mimo to nie robisz i nie poświęcasz nic. Daj więcej albo gadaj mniej. Ale nie wspominaj już o „nas”.

Tamir, podobnie jak Jacob, wolał nie trzymać telefonu w kieszeni i kładł go na stołach albo blatach. Choć jego telefon wcale nie przypominał aparatu Jacoba, Jacob kilka razy instynktownie go podnosił. Za pierwszym razem na wyświetlaczu było zdjęcie Noama z dzieciństwa, jak przymierza się do wykonania rzutu różnego. Następnym razem pojawiło się inne zdjęcie: Noam salutujący w mundurze. Za trzecim razem Rywka obejmowała Noama.

– Rozumiem, że się martwisz – powiedział Jacob. – Odchodziłbym od zmysłów. A na twoim miejscu pewnie bym siebie nienawidził. To był długi dzień.

– Pamiętasz, jaką miałeś obsesję na punkcie schronu? Jak nas za pierwszym razem odwiedziłeś? Twój ojciec też. Właściwie musiałem cię stamtąd wyciągać.

– Nieprawda.

– Kiedy pokonaliśmy sześć arabskich armii w czterdziestym ósmym...

– My? Nawet nie było cię jeszcze na świecie.

– Racja, nie powinienem mówić „my”. „My” obejmuje ciebie, a ty nie miałeś z tym nic wspólnego.

– Miałem z tym tyle wspólnego co ty.

– Z tą różnicą, że mój dziadek ryzykował swoim życiem, a zatem również moim.

– Nie miał wyboru.

– Ameryka zawsze stanowiła dla nas wybór. Jak Izrael dla was. Co roku kończycie seder słowami „W przyszłym roku w Jerozolimie” i co roku postanawiacie obchodzić go w Stanach.

– Dlatego że Jerozolima to idea.

Tamir zaśmiał się i grzmotnął pięścią w stół.

– Nie dla ludzi, którzy tam mieszkają, nie. Nie, gdy zakładasz dziecku maskę gazową. Co robił twój ojciec w siedemdziesiątym trzecim, kiedy Egipcjanie i Syryjczycy spychali nas w stronę morza?

– Pisał felietony i komentarze, przewodził marszom, lobbował.

– Wiesz, że kocham twój ojca, ale mam nadzieję, że słyszysz sam siebie, Jacobie. Komentarze? Mój ojciec dowodził jednostką pancerną.

– Ojciec pomagał.

– Dał, co mógł, nie poświęcając się ani nawet nie ryzykując. Niczego. Myślisz, że rozważał, czy wejść na pokład samolotu i przylecieć do Izraela, by walczyć?

– On nie umie walczyć.

– To nie takie trudne, po prostu starasz się nie zginąć. W czterdziestym ósmym dawali karabiny kościotrupom, gdy tylko zeszyły na ląd ze statków z Europy.

– I miał w domu żonę.

– Bez żartów.

– I to nie jego kraj.

– W punkt!

– Jego krajem były Stany.

– Nie, on nie miał ojczyzny.

– Ameryka była jego domem.

– W Ameryce co najwyżej wynajął pokój. A wiesz, co by się stało, gdybyśmy przegrali wojnę, jak wielu, wielu z *nas* się obawiało?

– Ale nie przegraliście.

– Ale gdyby? Gdyby zepchnięto nas do morza albo wyrznięto na miejscu?

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Twój ojciec pisałby komentarze.

– Nie wiem, do czego zmierzasz za pomocą tego umysłowego ćwiczenia. Próbujesz dowiedzieć, że mieszkasz w Izraelu, a ja nie?

– Nie, że Izrael nie jest dla ciebie niezbędny.

– Niezbędny?

– Tak. Kochasz go, wspierasz, śpiewasz o nim, modlisz się za niego, zazdrościsz nawet mieszkającym tam Żydom. Ale przetrwałbyś bez niego.

– W sensie, że nie przestałbym oddychać?

– W tym sensie.

– Cóż, w tym sensie Ameryka też nie jest mi niezbędna.

– Jasne, że nie. Ludzie myślą, że Palestyńczycy nie mają ojczyzny, ale oni by za swoją ojczyznę zginęli. To ty zasługujesz na współczucie.

– Bo nie oddałbym życia za kraj?

– Zgadza się. Niedokładnie to ująłem. Nie oddałbyś życia *za nic*. Przykro mi, jeśli rani to twoje uczucia, ale nie udawaj, że to niesprawiedliwe albo niezgodne z prawdą. Julia miała rację: ty w nic nie wierzysz.

Byłaby to ta chwila, gdy jeden z nich albo obaj wypadliby stąd jak burza, ale Jacob podniósł swój telefon ze stołu i spokojnie powiedział:

– Odeszczam się. A jak wrócę, będziemy udawać, że ostatnie dziesięć minut się nie zdarzyło.

Tamir nic po sobie nie dał poznać.

Jacob zamknął się w łazience, ale nie sikał ani nie udawał, że nie doszło do żadnej kłótni. Wyjął telefon z kieszeni. Na głównym ekranie było zdjęcie z szóstych urodzin Maxa. Dali mu z Julią walizkę pełną różnych strojów. Kostium klauna. Mundur strażaka. Strój Indianina, portiera, szeryfa. Pierwszy, który przymierzył – ten utrwalony cyfrowo – był mundurem żołnierza. Jacob spuścił w toalecie nic, wszedł w ustawienia telefonu i zastąpił zdjęcie jedną z domyślnych tapet: bezdrzewnym liściem<sup>34</sup>.

Wrócił do kuchni i usiadł naprzeciwko Tamira. Postanowił, że spróbuje z żartem o różnicy między subaru a wzwodem, ale zanim zdołał wydusić pierwsze słowo, Tamir powiedział:

– Nie wiem, gdzie jest Noam.

– Jak to?



– Przez kilka dni był w domu. Wymieniliśmy parę mejli i rozmawialiśmy. Ale po południu dostał przydział. Rywka nie wie dokąd. A ja nic nie słyszałem. Próbował się dodzwonić, ale przez własną głupotę nie miałem włączonego telefonu. Co ze mnie za ojciec!

– Och, Tamir. Tak mi przykro. Nie potrafię nawet sobie wyobrazić, co czujesz.

– Potrafisz.

– Noamowi nic się nie stanie.

– Możesz mi to obiecać?

Jacob podrapał nieswędzące miejsce na ręce i powiedział:

– Bardzo bym chciał.

– Wierzyłem w wiele z tego, co mówiłem. Ale w sporo rzeczy nie wierzyłem. Albo nie jestem pewien, czy wierzyłem.

– Mnie też zdarzało się mówić rzeczy, w które nie wierzyłem. Każdemu się zdarza.

– Dlaczego nie wyśle mi jednozdaniowego mejla? Dwóch liter: „OK”.

– Nie wiem, gdzie jest Julia – powiedział Jacob, próbując zderzyć rzeczywistość Tamira z własną. – Nie jest w podróży służbowej.

– Nie?

– Nie. A ja się boję.

– W takim razie możemy pogadać.

– A co niby robiliśmy?

– Wydawaliśmy dźwięki.

– To wszystko moja wina. Julia. Rodzina. Zachowałem się, jakby dom nie był mi niezbędny.

– Powoli. Powiedz mi, co...

– Znalazła telefon – odparł Jacob, jakby to oświadczenie wymagało przerwania jakiejś wypowiedzi. – Mój tajny telefon.

– W dupę. Po co ci tajny telefon?

– To było naprawdę głupie.

– Miałeś romans?

– Nie wiem nawet, co znaczy to słowo.

– Wiedziałbyś, gdyby miała go Julia.

To zwolniło hamulec bezpieczeństwa w umyśle Jacoba: czy w tej chwili uprawia seks z Markiem? Czy pieprzy ją w chwili, gdy o niej rozmawiają?

– Pieprzyłeś się z nią? – spytał Tamir.

Jacob zawahał się, jakby musiał zastanowić się nad pytaniem, jakby nie wiedział, co znaczy słowo „pieprzyć”.

– Tak.

– Więcej niż raz?

– Tak.

– Nie w domu.

– Nie – odparł Jacob tak, jakby ta sugestia go uraziła. – W hotelach. Raz w biurze. To tylko zgoda na to, by przyznać się do naszego braku szczęścia. Julia była pewnie nawet bardziej wdzięczna, że to się stało.

– Każdy jest tak wdzięczny za zgodę, której nikt nie chce.

– Może.

– To ta sama rozmowa, którą wcześniej toczyliśmy. Ta sama.

– Myślałem, że okazało się, że to pierdolenie?

– Trochę tak, ale nie w tej części. Nie możesz powiedzieć: „Taki właśnie jestem”. Nie możesz powiedzieć: „Jestem żonaty. Mam trójkę wspaniałych dzieciaków, ładny dom, dobrą robotę. Nie mam wszystkiego, czego mógłbym sobie życzyć, nie jestem tak bogaty, kochany czy wypierdolony, jak bym chciał, ale taki właśnie jestem, taki postanowiłem być i do bycia kimś takim się przyznaję”. Nie możesz tego powiedzieć. Ale nie możesz też przyznać się do tego, że pragniesz więcej, że więcej chcesz. Zostawmy zresztą innych, ty nawet przed sobą nie potrafisz się przyznać, że jesteś nieszczęśliwy.

– Jestem nieszczęśliwy. Jeśli to chciałeś ode mnie usłyszeć, proszę bardzo. Pragnę więcej.

– Teraz wydajesz tylko dźwięki.

– W takim razie co nie jest wydawaniem dźwięków?

– Wyjazd do Izraela. Żeby żyć.

– Dobra, teraz to chyba ty żartujesz.

– Mówię to, co już wiesz.

– Że gdybym przeniósł się do Izraela, polepszyłoby się w moim małżeństwie?

– Że gdybyś potrafił wstać i powiedzieć: „Taki właśnie jestem”, przynajmniej żyłbyś własnym życiem. Nawet gdyby to, kim jesteś, budziło w innych odrazę. Nawet gdyby budziło odrazę w tobie.

– Czyli nie żyję własnym życiem?

– Nie.

– To w takim razie czym?

– Może wyobrażeniem życia twojego dziadka. Albo ojca. Albo własnym wyobrażeniem.

Albo w ogóle żadnym życiem.

Jacob podejrzewał, że powinien się obrazić, i instynktownie chciał się Tamirowi zrewanżować, ale czuł też pokorę i wdzięczność.

– To był długi dzień i nie mam pojęcia, czy mówimy jeszcze to, co tak naprawdę myślimy – powiedział. – Cieszę się, że tu jesteś. Przypomina mi to czasy naszego dzieciństwa. Ograniczmy nasze straty.

Tamir wypił ostatnią jedną trzecią piwa jednym haustem. Odstawił butelkę na stolik, ruchem delikatniejszym, niż Jacob kiedykolwiek u niego widział, i spytał:

– Kiedy przestaniemy zapobiegać dalszym stratom?

– Ty i ja?

– No.

– W odróżnieniu od czego? Od zaprzepaszczenia wszystkiego?

– Albo odebrania tego, co nasze.

– Twoje i moje?

– No.

Dokończył niedopite piwo Jacoba i wyrzucił dwie puste butelki do śmieci.

– Utylizujemy odpadki – powiedział Jacob.

– A ja nie.

– Wystarczy ci ręczników na górze?

– A jak myślisz, co robię z ręcznikami?

– Staram się tylko być dobrym gospodarzem.

- Zawsze starasz się kimś być.
- Tak. Zawsze staram się kimś być. To mówi o mnie coś dobrego.
- W porządku.
- Ty też zawsze starasz się kimś być. Tak samo Barak. I Julia, i Sam, i Max, i Benjy.

Każdy.

- Kim staram się być?

Jacob zawahał się na jedno uderzenie serca, ostrożny.

- Próbujesz być większy, niż naprawdę jesteś.

Uśmiech Tamira zdradził siłę ciosu.

- Aha.

- Każdy próbuje kimś być.

- Twój dziadek nie.

Co to było? Głupi dowcip? Jakaś prostacka próba wymierzona w rozsądek?

- Przestał próbować – powiedział Jacob – i to go zabiło.

- Mylisz się. Jemu, jako jedynemu z nas, się tak naprawdę udało.

- Co?

- Stać się kimś.

- Trupem?

- Kimś prawdziwym.

Jacob prawie powiedział: „Teraz już zupełnie się pogubiłem”.

Prawie powiedział: „Idę na górę”.

Prawie powiedział: „Nie zgadzam się z niczym, co mówisz, ale rozumiem cię”.

Wieczór mógłby dobiec końca, rozmowa mogłaby się urwać, to, czym się podzielono, można by przełknąć, przetrwać i – z wyjątkiem substancji odżywczych – wydalić.

Zamiast tego jednak Jacob spytał:

- Chcesz jeszcze piwo? A może tym sposobem tylko się upijemy i utyjemy?

– Godzę się na wszystko, co proponujesz – powiedział Tamir. – Włączając upojenie i otyłość.

- I łysinę.

- Nie, tym zajmij się za nas dwóch.

– Wiesz co – powiedział Jacob – mam na górze trochę trawki. Gdzieś. Pewnie ma tyle lat co Max, ale trawa się nie psuje, co?

- Nie bardziej niż dzieci – odparł Tamir.

- Cholera.

- Co w najgorszym razie może się zdarzyć? Nie upalimy się?

# W zawiasach

Dojście do mieszkania Marka zajęło Julii trzy godziny. Jacob esemesował i dzwonił, dzwonił i esemesował, ale ona nie esemesowała ani nie dzwoniła, żeby sprawdzić, czy Mark jest u siebie. Jej palec puszczał dzwonek w chwili, gdy go naciskał – cykl ten trwał przez niepokojącą chwilę, jakby ptak uderzał w okno.

– Halo?

Stała bez ruchu i słowa. Czy mikrofon mógł wyczuć jej oddech? Czy Mark cztery piętra wyżej przysłuchiwał się jej wydechom?

– Widzę cię, Julio. Tuż nad dzwonekami jest mała kamera.

– Tu Julia – powiedziała Julia, jakby wycięła ostatnich kilka sekund i odpowiedziała na „halo?” jak normalny człowiek.

– Tak, patrzę na ciebie.

– To nieprzyjemne uczucie.

– To wyjdź z kadru i chodź na górę.

Drzwi same się otworzyły.

Następnie otworzyły się przed nią drzwi windy, a potem otworzyły się raz jeszcze.

– Nie spodziewałem się ciebie – stwierdził Mark, wprowadzając ją do środka.

– Też się siebie nie spodziewałam.

Odruchowo otaksowała mieszkanie wzrokiem. Wszystko było nowe i wyglądało na nowe: sztuczne listwy, podłogi tak lśniące, że można by grać na nich w kręgle, wielkie plastikowe ściemniacze oświetlenia.

– Jak widzisz – powiedział Mark – praca w toku.

– A co nią nie jest?

– Sporo mebli przyjedzie jutro. Jutro będzie to wyglądało zupełnie inaczej.

– Cóż, w takim razie cieszę się, że mam okazję zobaczyć wersję przed.

– To tylko tymczasowe. Potrzebowałem czegoś, a to... było coś.

– Sądzisz, że cię oceniam?

– Nie, ale sądzę, że oceniasz moje mieszkanie.

Popatrzyła na Marka, na wysiłek, który podejmował: chodził na siłownię, używał kosmetyków do włosów, kupował ciuchy, o których ktoś – w czasopiśmie albo sklepie – powiedział, że są modne. Rozejrzała się po mieszkaniu – jak wysokie były sufity, jak duże okna, jak lśniące sprzęty.

– Gdzie jesz?

– Poza domem, zazwyczaj. Zawsze.

– Gdzie otwierasz listy?

– Na tamtej kanapie robię wszystko.

– Śpisz na niej?

– Wszystko poza spaniem.

„Wszystko poza spaniem” było nieznośnie dwuznaczne. A może tak odebrała to Julia. Ale wszystko zdawało się jej w tamtej chwili nieznośnie dwuznaczne, ponieważ była nieznośnie obnażona. Zanim skóra odrosła i zagoiła się, część wnętrza dłoni Sama była na zewnątrz

i istniała ciągła obawa przed zakażeniem. Julia dziecinnie nie chciała obwiniać ręki swego dziecka o jej bezbronność. Patrzyła na niego tak, jakby był zupełnie taki jak wcześniej, a tylko świat stał się groźniejszy. Ze szpitala poszli prosto na lody. „Ze wszystkimi dodatkami?” – spytał podający. Kiedy jej ręka naciskała klamkę – pierwszych drzwi, które otworzyła od chwili, gdy te ciężkie się zamknęły – Julia dostrzegła tylną stronę wywieszki „Czynne”.

– Spójrz – powiedziała, odnajdując w żarcie kolejny powód, by siebie nienawidzić – świat jest nieczynny.

– Nie – odrzekł Sam. – Nieczynne. Do odwołania.

Jeszcze jeden powód, żeby siebie nienawidzić.

Tyle rzeczy mogła powiedzieć Markowi. Tak wiele bezpiecznych tematów miała do dyspozycji. Na koloniach nauczyła się słać łóżko po szpitalnemu. W szpitalu nauczyła się wtłaczać ciasno złożone słowa między ciągnące się sekundy. Ale w tej chwili nie chciała, żeby wszystko było schludne ani ukryte. Nie chciała też jednak, by wszystko było tak rozchełstane i obnażone, jak się wydawało.

Czego pragnęła?

– Czego ja chcę? – spytała cicho, jakby to był spacer w przestrzeni kosmicznej. Chciała, żeby część jej wnętrza znalazła się na zewnątrz, ale ile i jak bardzo?

– Co?

– Nie wiem, dlaczego pytam ciebie.

– Nie słyszałem, o co pytałaś – powiedział Mark, zmniejszając dystans między nimi, być może, żeby lepiej słyszeć.

Próbowała wszystkiego: detoksu sokami, nocy z poezją, szydełkowania, odręcznego pisania listów do ludzi, których sobie odpuściła, chwil nienegocjowalnej szczerości, którą obiecali sobie przed szesnastu laty w Pensylwanii. Kilka razy próbowała medytacji, ale zawsze czuła się zagubiona, gdy naprowadzano ją w stronę „przypomnienia sobie” własnego ciała. Wiedziała, co przez to rozumiano, ale była do tego niezdolna albo się przed tym opierała.

Zrobiła krok w stronę Marka, zmniejszając odległość, być może po to, by wszystko, czego nie była w stanie powiedzieć, można było lepiej usłyszeć.

Ale teraz, bez żadnych starań, przypomniawszy sobie własne ciało. Przypomniawszy sobie swoje piersi, których nie widział żaden inny mężczyzna, nie w sytuacji erotycznej, od czasu jej młodości. Przypomniawszy sobie ich wagę, to, że były powoli opadającymi ciężarkami, które nakręcały jej zegar biologiczny. Pojawiły się zbyt wcześnie, lecz rosły zbyt wolno, a odnosił się do nich tylko jej chłopak z college’u, którego urodziny nadal wspominała jako „platoniczne”. Gdy miała okres, stawały się tak wrażliwe, że chodząc po domu, trzymała się za nie. Od czasu do czasu – lata po tym, jak wyłączyła go ostatni raz – słyszała astmatyczny oddech odciągacza pokarmu firmy Medela, który stara się nie zdechnąć. W końcu poznała swoje piersi bliżej, bo z czasem pojawiło się więcej powodów do strachu, ale odwracała wzrok, gdy – w ciągu ostatnich trzech lat – wciskano je między płytki mammografu: za każdym razem technik, nieproszony, dawał słowo, że maszyna emituje mniejszą ilość promieniowania niż ta, na którą byłaby wystawiona podczas lotu transatlantyckiego. Kiedy Jacob zabrał ją do Paryża na czterdzieste pierwsze urodziny, wyobraziła sobie, że dzieci przepatrują niebo w poszukiwaniu samolotu, a jej piersi świecą jak zatrute znaki

ostrzegawcze.

Czego chciała?

Chciała, żeby wszystko wyszło na wierzch.

Pragnęła czegoś niemożliwego, czego spełnienie by ją zniszczyło.

I wtedy zrozumiała Jacoba. Wierzyła mu, gdy twierdził, że słowa to tylko słowa, ale nigdy go nie rozumiała. Teraz pojęła: musiał włożyć rękę w zawiasy. Ale nie chciał sam zamknąć drzwi.

– Muszę wracać do domu – powiedziała.

Potrzebowała czegoś niemożliwego, czego zaspokojenie by ją uratowało.

– To właśnie przysłaś mi powiedzieć?

Skinęła głową.

Stał wyprostowany, wyższy niż wcześniej.

– Rozumiem, że jesteś w trakcie jakiejś podróży – powiedział. – Nikt nie łapie tego lepiej ode mnie. I naprawdę się cieszę, że posłużyłem za postój, na którym mogłaś rozprostować nogi, dolać benzyny i się wysuszyć.

– Proszę, nie złość się – powiedziała prawie jak dziewczynka.

Skóra paliła ją ze strachu – przed jego złością, przed tym, że na nią zasłużyła, wreszcie przed karą za jej niegodziwość. Można było wybaczyć, że pozwoliła, by jej dzieci cierpiały, ale nie istniała dostateczna kara za rozmyślne sprawienie dzieciom bólu. Zamierzała zniszczyć swoją rodzinę – celowo, i to nie dlatego, że nie było alternatywy. Postanowiła wybrać brak wyboru.

– Mam nadzieję, że ułatwiłem rozwój – ciągnął Mark, nie wysilając się teraz, by ukryć własny ból. – Naprawdę. Mam nadzieję, że przy mnie nauczyłaś się czegoś, co będziesz mogła później wykorzystać z kimś innym. Ale czy mogę ci udzielić darmowej porady?

– Po prostu muszę iść do domu – odparła, przerażona tym, co zaraz powie, tym, że za sprawą jakiejś czarodziejskiej sprawiedliwości zabije to jej dzieci.

– To nie ty jesteś problemem, Julio. Twoje życie nim jest.

Życzliwość była gorsza od tego, czego obawiała się najbardziej.

Mark otworzył drzwi

– I mówię to, pragnąc dla nas dwojga jedynie spokoju: wiedz, że gdy następnym razem zobaczę twoją twarz na ekranie, nie będę nawet patrzył, jak czekasz.

– Muszę iść do domu.

– No, powodzenia.

Odeszła.

Pojechała taksówką do hotelu, którego remont miała nadzorować.

Na środku, pod dziesięcioma tysiącami żyrandolowych kryształków, stała groteskowo wielka, nienaturalnie symetryczna kompozycja kwiatowa.

Portier powiedział coś do ukrytego w dłoni mikrofonu, którego przewód biegł w górę rękawa i w dół jego boku do nadajnika przypiętego do paska – musiał istnieć lepszy sposób komunikowania się.

A recepcjonista, którym za piętnaście lat *niemal* mógłby być Sam, tyle że z idealną lewą dłonią, spytał:

– Ilu kluczy będzie pani potrzebować?

Pomyślała, żeby odpowiedzieć: „Wszystkich”. Pomyślała, żeby powiedzieć: „Żadnego”.

# Kto jest w wolnym pokoju?

Zanim Jacob zszedł z trawką, Tamir zamienił jabłko w fajkę, na pozór bez użycia żadnych narzędzi.

- Imponujące.
- Imponujący ze mnie człowiek.
- Cóż, bez wątplenia potrafisz przerobić owoc na sprzęt do jarania.
- Nadal pachnie jak zioło – powiedział Tamir, otwierając najgłębiej ukryty woreczek. –

To dobry znak.

Uchylili kilka okien i palili w ciszy przerywanej tylko upokarzającym kaszlem Jacoba. Rozsiedli się wygodnie. Czekali.

Kanał jakimś sposobem zmienił się na ESPN. Czy telewizor zyskał zdolność odczuwania i wolę? Pokazywano dokument o transferze z 1988 roku, w wyniku którego Wayne Gretzky trafił z Edmonton Oilers do Los Angeles Kings – o tym, jakie skutki przyniosło to dla Gretzky'ego, Edmonton, Los Angeles, hokeja, planety Ziemi i wszechświata. Coś, co w każdej innej sytuacji zmusiłoby Jacoba do roztrzaskania telewizora albo wyłupienia sobie oczu, nagle dawało najszcześniejsze wytchnienie. Czy to Tamir włączył ten kanał?

Stracili rachubę czasu – mogło minąć czterdzieści pięć sekund albo czterdzieści pięć minut.

– Dobrze mi – powiedział Jacob, odchylając się do pozycji pólężącej, jak kazano mu podczas pesachowych sederów w dzieciństwie, jak przystało wolnemu człowiekowi.

– Mnie nawet bardzo – powiedział Tamir.

– Po prostu z gruntu i zasadniczo... *dobrze*.

– Znam to uczucie.

– Ale rzecz w tym, że moje życie nie jest dobre.

– Tak.

– Tak: wiesz? Czy tak: twoje też nie?

– Tak.

– Dzieciństwo jest dobre – stwierdził Jacob – reszta to przestawianie rzeczy z miejsca na miejsce. Jeśli jesteś szczęściarzem, nie masz tego w dupie. Ale to tylko różnica stopnia.

– Ale te stopnie mają znaczenie.

– Poważnie?

– Jeśli liczy się jedna rzecz, to liczy się wszystko.

– To naprawdę udane naśladowanie mądrości.

– Wieprzowina lo mein się liczy, głupie, sprośne żarty się liczą. Twarde materace i miękka pościel się liczą. Boss się liczy.

– Boss?

– Springsteen. Podgrzewana deska sedesowa. Małe rzeczy: wymiana żarówki, przegranie z dzieckiem w kosza, jazda donikąd. To ta twoja Wielka Równina. I mógłbym tak ciągnąć.

– Jeszcze lepiej, gdybyś wrócił do początku i powtórzył to, *dokładnie* to samo, jeszcze raz, a ja bym notował.

– Liczy się chińskie żarcie. Liczą się głupie sprośne żarty. Twarde materace i miękka

pościel...

– Zjarałem się.

– Patrzę na żyrandol od góry.

– Jest zakurzony? – spytał Jacob.

– Ktoś inny spytałby, czy jest piękny.

– Ludziom nie powinno się pozwalać na ślub, dopóki mogą mieć dzieci.

– Może byłbyś w stanie nazbierać wystarczająco dużo podpisów, żeby tak się stało.

– A satysfakcjonująca kariera zawodowa jest niemożliwa.

– W żadnym wypadku?

– W wypadku dobrych ojców. Ale tak trudno zboczyć z drogi. Wszystkie te jebane żydowskie gwoździe, którymi przeorano mi ręce.

– Żydowskie gwoździe?

– Oczekiwania. Zalecenia. Nakazy. Pragnienie dogodzenia wszystkim. I całej reszcie.

– Reszcie?

– Musiałeś kiedyś czytać ten wiersz, wpis w dzienniku czy cokolwiek autorstwa dzieciaka, który zginął w Auschwitz. Albo może w Treblince? Niezbyt istotny szczegół, po prostu... Ten o tym, że „Następnym razem rzucając piłkę, rzuć ją dla mnie”?

– Nie.

– Serio?

– Nie wydaje mi się.

– Uważaj się za szczęściarza. Tak czy siak... może nie przytoczę tego dokładnie, ale sedno jest takie: nie oplakuj mnie, żyj za mnie. Zaraz mnie zagazują, więc wyświadczyć mi przysługę i baw się dobrze.

– Nigdy tego nie słyszałem.

– Ja musiałem to słyszeć z tysiąc razy. To motyw przewodni mojego żydowskiego wychowania, motyw, który wszystko zniszczył. Nie dlatego, że za każdym razem, gdy rzucasz piłkę, myślisz o zwłokach chłopaka, który powinien być na twoim miejscu, ale dlatego, że czasem po prostu chcesz posiedzieć beczynnym przed głupim telewizorem, a zamiast tego myślisz: „Naprawdę powinienem porzucać piłkę”.

Tamir się roześmiał.

– Zabawne, tyle że rzucanie piłki zamienia się w twój stosunek do osiągnięć naukowych, staje się miarą odległości od ideału w jednostkach porażki, zamienia się w chodzenie do college’u, w coś, za co ten zamordowany dzieciak by zabił, zamienia się w uczenie się rzeczy, które cię nie interesują, ale są dobre, szlachetne i dochodowe, staje się żydowskim małżeństwem, żydowskimi dziećmi i życiem po żydowsku w jakiejś obłąkańczej próbie, by odkupić cierpienie, które sprawiło, że twoje coraz bardziej wyobcowane życie jest możliwe.

– Powinieneś jeszcze zajarać.

– Problem w tym – ciągnął Jacob, biorąc z powrotem jabłko – że spełnienie oczekiwań to niesamowite uczucie, tyle że spełniasz je tylko raz („Dostałem szóstkę!”, „Zenię się!”, „To chłopiec!”), a potem zostaje ci ich przeżywanie. Nikt w tamtej chwili tego nie wie i wszyscy wiedzą to później, ale nikt tego nie przyzna, bo w ten sposób wyciągnęłoby się fundamentalny klocek z żydowskiej jengi. Więc zamieniasz emocjonalne pragnienia na towarzystwo, zamieszkiwanie unerwionego organizmu na towarzystwo, poszukiwania na towarzystwo. Wiem, w oddaniu tkwi dobro. Rzeczy muszą się z czasem rozwinąć, dojrzeć,



osiągnąć pełnię. Ale wszystko ma cenę i to, że o tym nie mówimy, nie czyni tego znośnym. Tyle błogosławieństw, ale czy ktokolwiek zatrzymał się kiedyś, żeby spytać, po co komu błogosławieństwo?

– Błogosławieństwa to tylko klątwy, których zazdroszczą inni.

– Powinieneś palić więcej zioła, Tamir. Zamienia cię w pierdolonego Yodę, a co najmniej w Deepaka Choprę.

– Może pozwala ci w inny sposób słuchać.

– Widzisz! Dokładnie o to mi chodziło.

– Robisz się zabawny – powiedział Tamir, zbliżając jabłko do ust.

– Zawsze byłem zabawny.

– To może ja słucham w inny sposób.

Tamir ściągnął kolejnego bucha.

– Jaka była reakcja Julii? Na te esemesy?

– Niedobra. Oczywiście.

– Zostaniecie ze sobą?

– Tak. Jasne. Mamy dzieci. I przeżyliśmy razem kawał życia.

– Jesteś pewien?

– To znaczy: *rozmawialiśmy* o rozstaniu.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz.

Jacob ściągnął jeszcze jednego macha.

– Opowiadałem ci kiedykolwiek o swoim programie telewizyjnym?

– Jasne.

– Nie, chodzi mi o *mój* program.

– Jestem spalony, Jacob. Udawaj, że mówisz do sześciolatka.

– Pisałem program telewizyjny o nas.

– O tobie i o mnie?

– Cóż, nie, o tobie nie. Albo na razie nie.

– Byłbym świetny w telewizji.

– O mojej rodzinie.

– Jestem twoją rodziną.

– O rodzinie tu. O Isaacu. Rodzicach. Julii i dzieciakach.

– Kto chciałby coś takiego oglądać?

– Pewnie wszyscy. Ale nie o to chodzi. Chodzi o to, że to prawdopodobnie naprawdę dobre i prawdopodobnie do takiego pisania się urodziłem, i byłem właściwie tylko temu oddany przez ostatnie dziesięć lat albo coś koło tego.

– Dziesięć lat?

– Nigdy z nikim się tym nie dzieliłem.

– Czemu nie?

– Cóż, zanim zmarł Isaac, bałem się, że go zdradzę.

– Czym?

– Prawdą na temat tego, kim i jacy jesteśmy.

– Dlaczego niby miałyby to być zdrada?

– Któregoś ranka słuchałem radia, podkastu naukowego, który lubię. Robili wywiad z kobietą, która przez dwa lata mieszkała w ogromnej kopule geodezyjnej. Nic nie wpada

do środka, nic się nie wydostaje. W tej właśnie. Było to całkiem ciekawe.

– Posłuchajmy go teraz.

– Nie, szukam tylko metafory.

– Byłbym bardzo szczęśliwy, gdybyśmy teraz tego posłuchali.

– Nie jestem nawet w stanie stwierdzić, czy mówisz poważnie, czy robisz sobie ze mnie jaja.

– Jacob, proszę.

– Nadal nie potrafię tego stwierdzić. No, w każdym razie mówiła, jak funkcjonowanie w tym zamkniętym środowisku uświadomiło jej życiowe współzależności: to coś je tamto, potem robi kupę, która żywi z kolei to, co w efekcie bla-bla-bla. Potem przeszła do czegoś, o czym już wiedziałem, nie dlatego, że jestem taki, kurwa, mądry, ale dlatego, że to jedna z tych rzeczy, o których większość ludzi wie: że to prawdopodobne, że z każdym oddechem wdycha się cząsteczki, które wydychali Pol Pot, Cezar, a nawet dinozaury. Co do dinozaurów mogę się trochę mylić. Ostatnio naprawdę się nimi zainteresowałem. Nie wiem dlaczego. Przez trzydzieści lat prawie o nich nie myślałem, a potem nagle znów zaczęły mnie ciekawić. Słyszałem też w innym podkaście...

– Dużo podkastów słuchasz.

– Wiem. Rzeczywiście to robię. Żenujące, co?

– Pytasz mnie, czy jesteś zażenowany?

– To upokarzające.

– Nie wiem niby czemu.

– Co za człowiek chyłkiem wymyka się do wolnych pokoi i przyciska prawie całkiem wyciszony telefon do ucha, żeby wysłuchać (w pojedynkę!) rezultatów badań jakiegoś gościa na temat czegoś tak niezwiązanego z niczym jak echolokacja. To upokarzające. I upokorzenie jest upokarzające. – Za pomocą butelki z piwem Jacob nakreślił na stoliku pierścień kondensacyjny. – W każdym razie ten drugi podcast cały był o tym, jak to wszystkie dinozaury (nie większość, ale wszystkie) za jednym zamachem wyginęły. Przemierzały ziemię przez dużo milionów lat, a potem, w godzinę albo coś koło, zniknęły. Dlaczego ludzie zawsze używają słowa „przemierzać” w odniesieniu do dinozaurów?

– Nie wiem.

– Ale tak mówią. Dinozaury *przemierzały* ziemię. To dziwne.

– Tak.

– 2 dziwne, nie?

– Im więcej o tym myślę, tym robi się dziwniejsze.

– Żydzi przemierzali Europę przez tysiące lat...

– A potem w dekadę albo coś koło...

– Ale mówiłem o czym innym. O kobiecie w kopule... dinozaurach... może o Pol Pocie?

– O oddychaniu.

– Racja! Z każdym oddechem wdychamy cząsteczki turu-ru-ru. Tak czy owak, oczy prawie mi wyszły na wierzch, bo po prostu brzmiało to jak typowe naukowe pierdolenie w bambus. Ale potem poszła jeszcze dalej, mówiła, że to, co wypuszczamy, na pewno będzie wdychane przez nasze pra-pra-pra-pra-pra-pra-pra-prawnuki.

– I przyszłe dinozaury.

– I przyszłych Pol Potów.

Obaj się roześmiali.

– Ale mnie to naprawdę z jakiegoś powodu przygnębiło. Nie rozplakałem się ani nic takiego. Nie musiałem zatrzymać się na poboczu. Ale musiałem wyłączyć podcast. Nagle to było dla mnie za wiele.

– Dlaczego w ogóle? Jak myślisz?

– Dlaczego w ogóle myślę?

– Nie. Jak myślisz, dlaczego w ogóle przygnębiło cię wyobrazenie sobie, że twoje prapraprapraprapraprawniki wdychają twój oddech?

Jacob wypuścił oddech, który wciągnie ostatni członek jego rodu.

– Spróbuj – powiedział Tamir.

– Przypuszczam – kolejny wydech – przypuszczam, że zostałem wychowany, by rozumieć, że nie zasługuję na wszystko, co było przede mną. Ale nikt nigdy nie przygotował mnie na świadomość tego, że nie zasługuję też na to, co będzie po mnie.

Tamir wziął jabłko ze stołu, podniósł je tak, że światło żyrandola przecięło jego wydrążony środek, i powiedział:

– Chcę wyjechać to jabłko.

– Co?

– Ale mój kutas jest za duży – odparł. A potem, próbując wepchnąć tam swój owłosiony palec wskazujący, dodał: – Nie mogę nawet strzelić mu palcówy.

– Odłóż jabłko, Tamir.

– To Jabłko Prawdy – powiedział Tamir, ignorując Jacoba. – I chcę je wyruchać.

– Jezu.

– Poważnie.

– Chcesz wyruchać Jabłko Prawdy, ale twój kutas jest za duży?

– Tak. Dokładnie na tym polega kłopot.

– Aktualny kłopot? Czy kłopot z życiem?

– I ten, i ten.

– Jesteś porobiony.

– Ty też.

– Ten naukowiec, który opowiadał o dinozaurach...

– O czym ty mówisz?

– O tamtym podkaście. Ten naukowiec powiedział coś tak pięknego, że myślałem, że umrę.

– Nie umieraj.

– Poprosił słuchaczy, by wyobrazili sobie kulę wystrzeloną do wody i stożkowatą pustkę, którą zostawiłaby za sobą, dziurę w wodzie, zanim woda zdąży ją z powrotem wypełnić. Powiedział, że asteroida utworzyłaby podobny ślad, rozdarcie w atmosferze, i że spoglądający na nią dinozaur widziałby oko nocy w niebie za dnia. To właśnie byśmy widzieli na chwilę przed zagładą.

– Może nie chodzi o to, że chciałeś umrzeć, tylko że chciałeś się stać dinozaurem.

– Że jak?

– Widział coś tak niewiarygodnie pięknego, zanim zginął. Usłyszałeś o tym, pomyślałeś, że to niewiarygodnie piękne, i w ten sposób przyjąłeś, że zostaniesz zgładzony.

– Przyznają stypendia MacArthura niewłaściwym osobom.

- Kłamałem.
- Na temat czego?
- Większości spraw.
- Aha?
- Rozmawialiśmy z Rywką o przeprowadzce.
- Naprawdę?
- Rozmawialiśmy.
- O przeprowadzce dokąd?
- Zmusisz mnie, żebym to powiedział?
- Chyba tak.
- Tutaj.
- Żartujesz.

– Tylko rozmawialiśmy. Tylko o tym myślimy. Od czasu do czasu dostaję propozycje pracy, a miesiąc temu dostałem naprawdę dobrą, świetną, od firmy zajmującej się technologiami. Przy kolacji bawiliśmy się z Rywką w udawanie, co by było, gdybym wziął tę robotę, a potem rozmowa przestała być zabawą.

– Myślałem, że jesteś tam szczęśliwy. A całe to pieprzenie o wynajętym pokoju w Ameryce?

- Słyszałeś cokolwiek z tego, co mówiłem wcześniej?
- Kiedy błagałeś, żebym podjął aliję?
- Żebym ja mógł podjąć ajilę.
- Czyli że co?
- Aliję na wspak.
- Właśnie to wymyśliłeś?
- Kiedy mówiłeś.

– I co, istnieje jakaś stała Blocha-Blumenberga, którą należy utrzymać?

– Stała żydowska. Najlepiej by było, gdyby amerykańscy Żydzi i Żydzi z Izraela po prostu zamienili się miejscami.

– Czy to właśnie o tym przez cały ten czas rozmawiamy? O twoim poczuciu winy z powodu opuszczenia Izraela?

- Nie, rozmawiamy o twoim poczuciu winy z powodu porzucenia małżeństwa.
- Nie porzucam małżeństwa – powiedział Jacob.
- A ja nie porzucam Izraela – odparł Tamir.
- Wszystko to tylko gadanie?

– Za każdym razem, gdy odrzucałem propozycję ojca, czy to był następny kawałek chałwy, czy wieczorny spacer, mawiał: *De zelbe prajz*. Cena ta sama. Tylko wtedy używał jidysz. Nienawidził jidysz. Ale tak właśnie mówił. I to nie tylko w jidysz, ale naśladując głos dziadka. Gadanie o opuszczeniu Izraela nic mnie nie kosztuje. Cena ta sama, jak wtedy, kiedy się o tym nie mówi. Naprawdę słyszę głos ojca naśladującego dziadka: *de zelbe prajz*.

Tamir wybudził telefon i pokazał Jacobowi zdjęcia Noama: ze szpitala, pierwsze kroki, pierwszy dzień w szkole, pierwszy mecz piłki nożnej, pierwsza randka, pierwszy raz w mundurze.

– Miałem obsesję na punkcie tych zdjęć – powiedział. – Nie oglądania ich, ale patrzenia, czy nadal tu są. Czasem sprawdzam to pod stołem. Czasem idę w tym celu do łazienki.

Pamiętasz wyprawy do supermarketu z dziećmi, gdy były małe? To uczucie, że w chwili gdy znikną ci z oczu, przepadną na zawsze? To coś w tym stylu.

Wszystkie dinozaury zostały starte z powierzchni ziemi, ale część ssaków przetrwała. Były to w większości zwierzęta ryjące. Pod ziemią znalazły schronienie przed żarem, który strawił wszystko, co żyło na jej powierzchni. Tamir zarył się w telefonie, w zdjęciach syna.

– Czy dobrzy z nas ludzie? – spytał.

– Co za dziwne pytanie.

– Tak?

– Nie sądzę, żeby istniała siła wyższa, która nas ocenia – powiedział Jacob.

– Ale jak mamy oceniać sami siebie?

– Za pomocą łez, milczenia czy...

– Nawet moje wyznanie było kłamstwem.

– Musiałem dać ci powód do kłamstwa.

– Chcę uciec. Rywka nie.

– Chcesz uciec z Izraela? Czy chcesz uciec z małżeństwa?

– Z Izraela.

– Miałeś romans?

– Nie.

– A ona?

– Nie.

– Zawsze jestem zmęczony – powiedział Jacob. – Zawsze wykończony. Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałem, ale co, jeśli przez cały ten czas wcale nie byłem zmęczony? Co, jeśli moje zmęczenie było tylko kryjówką?

– Bywają gorsze.

– A gdybym postanowił, że już nigdy nie będę zmęczony? Gdybym po prostu odrzucił możliwość bycia zmęczonym? Mój organizm mógłby być zmęczony, ale nie ja.

– Nie wiem, Jacob.

– A co, jeśli sam nie mogę opuścić mojej kryjówki? Jeśli jest zbyt swojska, zbyt bezpieczna? I trzeba mnie stamtąd wykurzyć?

– Sądzę, że sam się właśnie stamtąd wykurzasz.

– A jeśli to Julia musi mnie wykurzyć?

Jacob spojrział na jabłko leżące między nimi. Rozumiał, co Tamir ma na myśli, mówiąc, że chce je wyjechać. Nie było to pragnienie natury seksualnej, lecz egzystencjalnej – by dotrzeć do własnej prawdy.

– Wiesz, co miałbym ochotę teraz zrobić?

– Co? – spytał Tamir.

– Ogolić sobie głowę.

– Dlaczego?

– Żeby móc zobaczyć, jaki łysy naprawdę jestem. I żeby wszyscy mogli zobaczyć.

– Co ty na to, żebyśmy zamiast tego zrobili popcorn?

– Byłoby okropnie. Ale jestem na to gotów. Ale będzie okropnie. Ale jestem na to gotów.

– W kółko powtarzasz to samo.

– Chyba zasypiam.

– To śpij.

- Ale...
- Co?
- Ja też kłamałem.
- Wiem.
- Tak?
- Tak. Nie wiem tylko, w których miejscach.
- Nie miałem romansu.
- Nie.
- Albo miałem, ale jej nie pieprzyłem.
- To co robiłeś?
- Trochę z nią pisałem. Nawet nie tak dużo.
- Dlaczego ściemniałeś?
- Bo nie chciałem zostać przyłapany.
- Ale mi?

– Och. Nie wiem.

– Musiał być jakiś powód.

– Jestem zjarany.

– Ale to jedyna rzecz, w której ściemniałeś.

– Kiedy Julia odnalazła mój telefon i powiedziałem jej prawdę, czyli że nic się tak naprawdę nie wydarzyło, uwierzyła mi.

– To dobrze.

– Ale nie chodzi o to, że mi ufała. Powiedziała, że wie, że nie byłbym do tego zdolny.

– I chciałeś, żebym ja myślał, że jednak jesteś.

– Tak, tak bym siebie interpretował.

– Mimo że *nie jesteś* do tego zdolny.

– Potwierdzam.

– Spytałeś wcześniej, co za człowiek wymyka się chyłkiem, żeby posłuchać podkastów o nauce.

– Tak.

– Taki, który korzysta z tego samego telefonu, żeby wypisywać do kobiety, której nawet nie tknie.

– To był inny telefon.

– Ale ta sama ręka.

– To teraz ogoliłeś mi głowę – powiedział Jacob, zamykając oczy. – Powiedz, czego nie mogę zobaczyć.

– Jesteś bardziej łyсы, niż myślałem, ale mniej, niż sam myślisz.

Jacob poczuł nagle szarpnięcie, spadek szybem windy wyznaczający początek snu. Nie zdawał sobie sprawy z upływu czasu, z przejść między myślami ani z okresów bez nich.

Co stałoby się z dźwiękiem czasu? Gdyby wszystko, co z Julią ćwiczyli, zostało odegrane? Gdyby za zgłębienie pomysłu cena nie była ta sama? Nigdy więcej szeptania chłopcom na ucho przy świecach. Nigdy więcej zadumy nad popołudniowym przyjęciem urodzinowym przy zmywaniu naczyń. Nigdy więcej szurania grabiami, gdy zgarniało się liście pod krawężnik, żeby można było skoczyć w nie jeszcze jeden, ostatni raz. Czego by nasłuchiwał, żeby usłyszeć swoje życie? A może byłby na nie głuchy?

Następną rzeczą, jaką sobie uświadomił, była ręka, był głos.

– Coś się stało – powiedział Tamir, potrząsając jego przedramieniem.

– Co?

– Zasnąłeś.

– Nie. Wcale. Tylko sobie myślałem.

– Zdarzyło się coś poważnego.

– Daj mi chwilę.

Jacob zamrugał, żeby zamglony wzrok odzyskał ostrość, przekrzywił głowę w prawo i w lewo i podszedł do kanapy.

Dwie godziny wcześniej, gdy Jacob i Tamir się upalili, jacyś izraelscy ekstremiści weszli do Kopyły na Skale i podłożyli ogień. Płomienie prawie nie wyrządziły szkód, utrzymywali Izraelczycy, ale sama próba wyrządziła ich aż nadto. Telewizor, który w jakiś sposób przełączył się z ESPN na CNN, pokazywał obrazy przepełnione agresją: mężczyźni – zawsze mężczyźni – wymachujących pięściami ku niebu, wystrzeliwujących w niebo wzburzone strumienie kul, próbujących zabić niebo. Jacob już to widział, ale migawki pochodziły zawsze z terenów ogarniętych trzęsieniem ziemi, przede wszystkim z Gazy i Zachodniego Brzegu. Tym razem jednak CNN przeskakiwało z miejsca na miejsce, a zapasy furii wydawały się nieskończone: mężczyźni ustawieni w kółku palili flagę Izraela w Dżakarcie, mężczyźni w Chartumie okładali kijami kukłę izraelskiego premiera, mężczyźni w Karaczi, Dhace, Rijadzie i Lahaur, mężczyźni w zakrywających twarze bandanach rozbijający witrynę sklepu w Paryżu, mężczyźni z tak silnym akcentem, że prawdopodobnie znał nie więcej niż sto angielskich słów, krzyczący do kamery w Teheranie: „Śmierć Żydom!”.

– Źle to wygląda – powiedział Jacob, sparaliżowany i upojony obrazami.

– Źle?

– Bardzo źle.

– Muszę wracać do domu.

– Wiem – odparł Jacob, zbyt przymulony, żeby zrozumieć, a nawet by mieć pewność, że już nie śpi. – Coś wykombinujemy.

– Zaraz. Musimy jechać do ambasady.

– Tak. W porządku.

Tamir pokręcił głową i powiedział:

– Już, już, już!

– Rozumiem. Daj mi tylko coś na siebie włożyć.

Ale żaden z nich nie ruszył się z kanapy. Telewizor wypełnił się żydowskim gniewem: mężczyznami w czarnych kapeluszach krzyczącymi po hebrajsku w Londynie, śniadymi mężczyznami z jednego z ostatnich istniejących kibuców wygrażającymi w stronę kamery i histerycznie powtarzającymi słowa, których Jacob nie rozumiał, Żydami ścierającymi się z żydowskimi żołnierzami strzegącymi Wzgórza Świątynnego.

– Ty też musisz jechać.

– Jasne. Daj mi minutę.

– Nie – powiedział Tamir, ściskając barki Jacoba z siłą, jakiej użył w zoo trzydzieści lat wcześniej. – Musisz jechać do domu.

– Jestem w domu. Co?

– Do Izraela.

- Co?
- Musisz jechać ze mną do Izraela.
- Tak?
- Tak.
- Tamir, przecież chcesz opuścić Izrael.
- Jacobie.
- Teraz chcesz, żebym to ja tam pojechał?

Tamir wycelował palec w telewizor.

- Widzisz to?
- Od tygodnia na to patrzę.
- Nie. Czegoś takiego nikt wcześniej nie widział.
- O czym ty mówisz?
- Tak to się kończy – oświadczył Tamir. – Właśnie tak.

I po raz pierwszy odkąd Tamir przyjechał do Waszyngtonu, w ogóle po raz pierwszy, Jacob dostrzegł rodzinne podobieństwo. Zobaczył pełne paniki oczy chłopców – grozę, w którą zaglądał przed pobraniem krwi i po skaleczeniach do krwi.

- Tak to się kończy?
- Tak wygląda zagłada Izraela.
- Bo muzułmanie drą się w Dżakarcie i Rijadzie? Co takiego zrobią? Pójdą na Jerozolimę?
- Tak. I pojedą konno i gównianymi samochodami, i dowiozą ich autobusy i łodzie. Nie chodzi tylko o nich. Spójrz na nas.
- To minie.
- Nie. Tak to się właśnie skończy.

Ani obrazy na ekranie, ani słowa Tamira nie przeraziły Jacoba tak bardzo jak przerażenie z oczu jego dzieci, które zobaczył w oczach Tamira.

- Skoro naprawdę w to wierzysz, Tamirze, musisz wydostać rodzinę z Izraela.

– Nie mogę! – wykrzyknął Tamir i Jacob dostrzegł wściekłość Irva w zaciśniętych zębach kuzyna: głęboki wewnętrzny smutek, który nie znał innego wyrazu niż nieukierunkowany gniew.

- Dlaczego? Co może być ważniejszego od bezpieczeństwa twojej rodziny?

– Nie mogę ich stamtąd wydostać, Jacobie. Nie ma lotów do ani z. Myślisz, że nie próbowałem? Myślisz, że czym się całymi dniami zajmuję? Chodzę po muzeach? Albo na zakupy? Staram się zapewnić bezpieczeństwo mojej rodzinie. Nie mogę ich stamtąd wyciągnąć, więc sam muszę lecieć. I ty też musisz.

Jacob był teraz zbyt rozbudzony na nonszalancką odwagę.

- Izrael nie jest moim domem, Tamirze.
- Tylko dlatego, że nie został jeszcze zniszczony.
- Nie, dlatego że to nie moja ojczyzna.

– Ale moja! – odparł Tamir i tym razem Jacob zobaczył w nim Julię. Widział prośbę, której nie zdołał dostrzec wtedy, gdy jej dom nadal można było ocalić. Zobaczył własną ślepotę.

- Tamir, ty...

Ale słowa nie uformowały się, bo nie było myśli, którą mogłyby wyrazić. Nie miało to znaczenia, bo Tamir przestał słuchać. Pochylił się i do kogoś pisał. Do Rywki? Noama?



Jacob nie spytał, bo czuł, że nie ma tu dla niego miejsca.

Jego miejsce było w wolnym pokoju, gdzie pisał: *łagasz, żebym wypieprzył twoją ciasną piczkę, ale jeszcze na to nie zasłużyłaś.*

Jego miejsce było w wolnym pokoju, gdzie ta sama ręka przyciskała do ucha inny telefon, żeby mógł (w pojedynkę) słuchać: „Ludzie ślepi mogą widzieć. To prawda. Za pomocą cmokania mogą orientować się w terenie dzięki echu odbijającemu się od pobliskich przedmiotów. Tym sposobem niewidomi są w stanie wybrać się na wędrowkę po skalistej okolicy, poruszać się po mieście, a nawet jeździć na rowerze. Ale czy to jest widzenie? Rezonans magnetyczny u osób dokonujących echolokacji pokazuje aktywność w tych samych ośrodkach wzrokowych, co w przypadku mózgow osób, które widzą. Niewidomi widzą po prostu uszami, a nie oczyma”.

Jego miejsce było w wolnym pokoju, gdzie czytał: *mój mąż wyjeżdża na weekend z dziećmi, przyjdź mnie naprawdę wyruchać.*

Jego miejsce było w wolnym pokoju, gdzie słyszał:

„W takim razie dlaczego więcej niewidomych osób nie jeździ na rowerach? Według Davida Spellmana, wybitnego nauczyciela echolokacji, dlatego że tylko garstka dostaje swobodę niezbędną, by się tego nauczyć. «Rzadko, może raz na sto przypadków, pewnie nawet rzadziej, zdarzają się rodzice, którzy są w stanie patrzeć, jak ich niewidome dziecko zbliża się do skrzyżowania, nie ściskając go za rękę. Z miłości trzymają więc swoje pociechy z dala od niebezpieczeństw, ale w ten sposób trzymają je też z dala od widzenia. Gdy ucę dzieci jazdy na rowerze, nieuchronnie zdarzają się upadki, tak jak i dzieciom widzącym. Ale rodzice niewidomych dzieci prawie zawsze biorą to za dowód, że od ich maluchów oczekuje się zbyt wiele, i wkraczają do akcji, by je chronić. Im bardziej rodzice pragną, by dzieci widziały, tym bardziej to uniemożliwiają, ponieważ na drodze staje miłość». – Jak był pan w stanie to przezwyciężyć i się nauczyć? – «Ojciec odszedł, gdy się urodziłem, a matka pracowała na trzy etaty. Brak miłości pozwolił mi widzieć»”.

## *De zelbe prajz*

Tamir poszedł na górę, a Jacob siedział dalej, próbując odtworzyć ostatnich kilka chwil, ostatnie dwie godziny, ostatnich trzynaście, szesnaście i czterdzieści parę lat. Co się wydarzyło?

Tamir powiedział, że Jacob nie zginąłby za nic. Nawet jeśli była to prawda, dlaczego miało się to liczyć? Co takiego z natury dobrego tkwi w tego rodzaju ostatecznym poświęceniu? Co złego jest w zarabianiu całkiem przyzwoitych pieniędzy, jedzeniu dostatecznie dobrych posiłków, mieszkaniu w wystarczająco ładnym domu, przy jednoczesnym staraniu, by być na tyle etycznym i ambitnym, na ile pozwalają okoliczności? Próbował; za każdym razem mu się nie udawało, ale wedle jakiej miary? Ofiarował rodzinie całkiem dobre życie. Czuł, że jego jedyne życie powinno być lepsze niż wystarczająco dobre, ale ile prób sięgnięcia po więcej kończyło się tym, że zostawało się z niczym?

Lata temu, gdy wciąż dzielili się z żoną swoją pracą, Julia zeszła do piwnicy z dwoma kubkami herbaty i spytała, jak mu idzie.

Jacob odchylił się w swoim fotelu Aeron i powiedział:

– No cóż, nie jest to nawet w przybliżeniu tak dobre, jak mogłoby być, ale przypuszczam, że jest na tyle dobre, na ile mnie teraz stać.

– W takim razie jest tak dobre, jak mogłoby być.

– Nie – odparł Jacob – mogłoby być dużo lepsze.

– Jakim sposobem? Gdyby napisał to ktoś inny? Gdybyś napisał to w innym momencie swojego życia? Wtedy rozmawialibyśmy o czymś innym.

– Gdybym był lepszym pisarzem.

– Ale nie jesteś – powiedziała, stawiając kubek na biurku. – Jesteś ledwie doskonały.

Mimo wszystkiego, czego nie mógł Julii zaoferować, dał jej dużo. Nie był wielkim artystą, ale pracował ciężko (dostatecznie) i był oddany (dostatecznie) swemu pisarstwu. Uznanie złożoności nie jest słabością. Krok w tył to nie ucieczka. Nie był w błędzie, gdy zazdrościł lamentującym mężczyznom na dywanikach modlitewnych w Kopule na Skale, ale może był w błędzie, widząc w ich pobożności odbicie własnej egzystencjalnej bladeści. Agnostycyzm jest nie mniej żarliwy od fundamentalizmu, a Jacob być może zniszczył to, co kochał, ślepy na doskonałość tego, co jest wystarczająco dobre.

Zadzwoił do Julii na komórkę. Nie odebrała. Była druga w nocy, ale ostatnimi czasy nie istniała taka pora dnia, kiedy odebrałaby jego telefon.

„Cześć, dodzwoniłeś się do Julii...”

Ale przynajmniej zobaczy, że próbował do niej dotrzeć.

Po sygnale powiedział:

– To ja. Nie wiem, czy oglądałaś wiadomości, ale jacyś ekstremiści podpalili Kopulę na Skale albo próbowali to zrobić. Żydowski ekstremiści. Przypuszczam, że z technicznego punktu widzenia im się udało. Pożar był bardzo niewielki. Ale... no wiesz, to duża rzecz. W każdym razie możesz to obejrzeć. Albo poczytać na ten temat. Nie wiem nawet, gdzie jesteś. Gdzie jesteś? No...

Poczta głosowa go rozłączyła. Zadzwoił ponownie.

„Cześć, dodzwoniłeś się do Julii...”.

– Rozłączyło mnie. Nie wiem, ile z tego dotarło, ale mówiłem, że Bliski Wschód właśnie wyleciał w powietrze, a Tamir wpadł w zupełną histerię i chce, żebym go dziś w nocy wiozł do ambasady, znaczy teraz, o drugiej nad ranem, żeby go jakimś sposobem wsadzić do samolotu. Rzecz w tym, że mówi, że muszę jechać z nim. Na początku myślałem po prostu, że miał na...

Poczta głosowa go rozłączyła. Zadzwoił jeszcze raz.

„Cześć, dodzwoniłeś się do Julii...”.

– I... to ja. Jacob. Oczywiście. Tak czy owak, mówiłem właśnie, że Tamir świruje i zabieram go do ambasady. Obudzę Sama i dam mu znać, że wychodzimy i będzie musiał...

Poczta głosowa go rozłączyła. Dozwolony czas nagrania zdawał się kurczyć. Znowu zadzwonił.

– Jacob?

– Julia?

– Która godzina?

– Myślałem, że masz wyłączony telefon.

– Dlaczego dzwonisz?

– No... Właściwie powiedziałem to poczcie głosowej, ale...

– Która godzina?

– Druga albo coś koło.

– Dlaczego, Jacobie?!

– Gdzie jesteś?

– Dlaczego dzwonisz do mnie o drugiej nad ranem?

– Bo to ważne.

– Z dziećmi wszystko w porządku?

– Tak, wszyscy cali i zdrowi. Ale Izrael...

– Nic się nie stało...?

– Nie. Nie dzieciom. Śpią. Chodzi o Izrael.

– Powiesz mi o tym rano, dobrze?

– Julio, nie dzwoniłbym, gdyby to nie było...

– Jeśli z chłopcami wszystko okej, cała reszta może zaczekać.

– Nie może.

– Uwierz, że może. Dobranoc, Jacob.

– Jacyś ekstremiści podpalili Kopułę na Skale.

– Jutro.

– Będzie wojna.

– Jutro.

– Przeciwno nam.

– W lodówce mamy tonę zapasów.

– Co?

– Nie wiem. Śpię.

– Myślę, że chyba zaraz będę leciał.

– Dziękuję.

– Do Izraela. Z Tamirem.

Słyszał, jak zmienia pozycję, i dobiegły go przytłumione trzaski zakłóceń.

– Nie polecisz do żadnego Izraela.

– Naprawdę się nad tym zastanawiam.

– W życiu byś nie pozwolił, żeby takie głupie zdanie zakradło się do któregoś z twoich scenariuszy.

– Co to miało znaczyć?

– To znaczy: pogadamy rano.

– Lecę do Izraela – powiedział i tym razem, usunąwszy „myślę”, dał wyraz czemuś zupełnie innemu: pewności, która wypowiedziana na głos, ujawniła przed nim samym jego brak pewności. Za pierwszym razem chciał usłyszeć od niej „Nie jedź”. Ale zamiast tego mu nie uwierzyła.

– I po co niby miałbyś to robić?

– Żeby pomóc.

– W czym? W pisaniu do gazetki kompanii?

– W tym, o co tylko mnie poproszą. W napełnianiu worków z piaskiem, w robieniu kanapek, w walce.

Roześmiała się, coraz mniej zaspana.

– *W walce?* – Jeśli to właśnie będzie konieczne.

– I jak by to miało wyglądać?

– Potrzeba im mężczyzn.

Zachichotała. Jacobowi wydawało się, że słyszał jej chichot.

– Nie zabiegam o twój szacunek ani aprobatę – powiedział. – Mówię ci o tym, bo trzeba wykombinować, jak będzie wyglądało kilka najbliższych tygodni. Zakładam, że przyjedziesz do domu...

– Szanuję i aprobuję twoje pragnienie zostania bohaterem, szczególnie w tej chwili...

– To, co robisz, jest naprawdę do bani.

– Nie – powiedziała, teraz już agresywnie wyraźnym głosem – to ty zachowujesz się do bani. Budzisz mnie w środku nocy z tym idiotycznym, rodem z teatru Kabuki, odegraniem... nawet nie mam pojęcia czego. Stanowczości? Odwagi? Bezinteresowności? Zakładasz, że przyjadę do domu? To miło. I wtedy co? Bez niczyjej pomocy zajmę się dziećmi tak długo, jak potrwa twoja paintballowa przygoda? Żaden problem: wystarczy przygotować im po trzy posiłki dziennie (czyli dziewięć, bo nie ma takiej rzeczy, którą zjadłoby dwóch naraz), wozić ich na lekcje gry na wiolonczeli, na piłkę i na piłkę, do szkoły hebrajskiej i po różnych lekarzach, nie? Jasne. Też chcę być bohaterem. Przypuszczam, że byłoby to wspaniałe doświadczenie. Ale najpierw, zanim krawiec zdejmie z nas miarę do galowych mundurów, sprawdźmy, czy jesteśmy w stanie utrzymać to, co już mamy.

– Julio...

– Nie skończyłam. Budzisz mnie tym nedorzecznym sranem w banię, więc wolno mi teraz potrzymać konchę. Gdybyśmy naprawdę mieli choć na chwilę wziąć pod uwagę ten śmieszny pomysł, że bierzesz udział w walce, to musielibyśmy uznać fakt, że armia, która włączyłaby cię w swoje walczące szeregi, jest w rozpaczliwym położeniu, zaś armie w rozpaczliwym położeniu zwykle nie mają w zwyczaju traktować każdego życia tak, jakby w grę wchodziła cała ludzkość, a ponieważ nie posiadasz żadnej wiedzy wojskowej, domyślam się, że nie będziesz wzywany do operacji specjalnych, jak rozbijanie bomb czy

przeprowadzane z chirurgiczną precyzją zamachy, tylko raczej do czegoś w rodzaju: „Stań na wprost tej kuli; twoje mięso przynajmniej zmniejszy jej prędkość, zanim wejdzie w ciało kogoś, kogo naprawdę cenimy”. I będzie po tobie. A twoje dzieci zostaną bez ojca. A twój ojciec stanie się jeszcze większym dupkiem na forum publicznym. A...

– A ty?

– Co?

– Czym ty się staniesz?

„W chorobie i w chorobie – na ślubie Jacoba powiedziała jego matka. – Tego wam życzę. Nie wypatrujcie ani nie spodziewajcie się cudów. Nie ma cudów. Już nie. I nie ma leków na krzywdy, które najbardziej ranią. Jedyne lekarstwo to wiara w cierpienie drugiej osoby i nasza przy tym obecność”.

Jacob odzyskał słuch, którego utratę udawał w dzieciństwie, ale głuchota stała się dla niego czymś w rodzaju hobby, które kultywował także w dorosłości. Nigdy nie dzielił się tym z Julią ani z nikim innym, wydawało się to bowiem niesmaczne, złe. Nikt, nawet doktor Silvers, nie wiedział, że Jacob był w stanie zapisać się i uczęszczać na coroczne konferencje waszyngtońskiego oddziału Narodowego Stowarzyszenia Niesłyszących. Nie udawał, że jest głuchy, gdy się tam wybrał. Udawał, że uczy w szkole podstawowej dla niedosłyszących dzieci. Swoje zainteresowanie tłumaczył tym, że sam jest dzieckiem głuchego ojca.

– Czym ty się staniesz, Julio?

– Nie mam pojęcia, do czego próbujesz mnie zmusić. Żebym powiedziała, że co? Że zastanawianie się nad samotnym wychowaniem trójki dzieci czyni ze mnie egoistkę?

– Nie.

– Sugerujesz, że po cichu tego właśnie pragnę?

– A tak jest? Nie przyszło mi to nawet do głowy, ale tobie najwyraźniej tak.

– Mówisz poważnie?

– Czym się staniesz?

– Nie mam pojęcia, na jakie wody próbujesz mnie wywieść, ale jestem kurewsko zmęczona i męczy mnie ta rozmowa, więc jeśli masz coś do powiedzenia...

– Czemu nie powiesz po prostu, że chcesz, żebym został?

– Co?

– Nie rozumiem, dlaczego nie możesz się zmusić do powiedzenia, że nie chcesz, żebym jechał.

– To właśnie powtarzam przez ostatnie pięć minut.

– Nie, mówisz, że to niesprawiedliwe w stosunku do dzieci. W stosunku do ciebie.

– „Niesprawiedliwe” to twoje określenie.

– Ani razu nie powiedziałaś, że nie chcesz, ty, Julio, nie chcesz, żebym jechał, bo tego nie chcesz.

Otworzyła ciszę, jak rabin robiący nacięcie w marynarce Irva na pogrzebie.

– Wdową – powiedział Jacob. – Tym się staniesz. Ciągłe przenosisz swoje potrzeby i lęki na dzieci albo na mnie, albo na kogokolwiek, kto jest w zasięgu. Dlaczego nie możesz po prostu przyznać, że nie chcesz, ty nie chcesz, być wdową.

Usłyszał – pomyślał, że słyszy – jak sprężyny materaca wracają do stanu spoczynku. Z jakiego łóżka się podniosła? Jak wiele jej ciała było odsłonięte i w jakim stopniu

spowijała je ciemność?

- Ponieważ nie byłabym wdową – odparła.
- Owszem, byłabyś.
- Nie, Jacobie, nie byłabym. Wdowa to kobieta, która straciła męża.
- No i?
- A ty nie jesteś moim mężem.

W latach siedemdziesiątych w Nikaragui nie istniała infrastruktura pozwalająca zadbać o głuche dzieci – żadnych szkół, żadnych materiałów edukacyjnych ani informacyjnych, nie było nawet skodyfikowanego języka migowego. Kiedy otwarto pierwszą nikaraguańską szkołę dla niesłyszących dzieci, nauczyciele uczyli odczytywania języka hiszpańskiego z ruchu warg. Ale na boisku dzieci porozumiewały się za pomocą znaków, które opracowały same, w naturalny sposób wytwarzając wspólny słownik i gramatykę. Korygowany na bieżąco język rozwijał się i dojrzewał wraz z kolejnymi pokoleniami uczniów przewijających się przez szkołę. To jedyny udokumentowany przypadek języka stworzonego zupełnie od zera przez jego użytkowników. Nie pomógł w tym żaden dorosły, niczego nie zapisywano na papierze, nie było żadnych wzorców. Tylko potrzeba dzieci, by zostać zrozumianymi.

Jacob i Julia próbowali. Wymyślali znaki, przeliterowywali słowa w obecności wciąż małych dzieci, były też zasady. Ale język, który stworzyli i tworzyli nawet w tej chwili, zawęził świat, zamiast go objaśnić.

„Nie jestem twoją żoną”.

Z powodu tych esemesów? Zniszczyć wszystko z powodu konkretnego układu kilkuset liter? Jak sądził, co się stanie? I co sobie właściwie wyobrażał? Że co robi? Julia miała rację: to nie była chwila słabości. Popchnął wymianę wiadomości w stronę seksu, kupił drugi telefon, obmyślał słowa, gdy ich nie pisał, wymykał się, by przeczytać wiadomości od niej, gdy tylko przychodziły. Nieraz sadzał Benjy’ego przed telewizorem, żeby móc sobie zwalić do nowej wiadomości. *Dlaczego?*

Dlatego że to było doskonałe. Był ojcem swoich dzieci, synem swego ojca, mężem żony, przyjacielem przyjaciół, ale dla kogo był sobą? Cyfrowa zasłona dawała możliwość zniknięcia, które – w końcu – umożliwiała autoekspresję. Kiedy był nikim, mógł być sobą. Nie chodziło o to, że rozsadzała go tłumiona seksualność, choć to prawda. Liczyła się jednak wolność. Właśnie dlatego, gdy napisała „mój mąż wyjeżdża na weekend z dziećmi, przyjdź mnie naprawdę wyruchać”, nie dostała odpowiedzi. I dlatego nie było jej też na „nie możesz CIĄGLE walić konia!”. I dlatego „co się z tobą stało?” było ostatnią wiadomością przesłaną między ich telefonami.

– Nie wiem, jak mogłoby mi być bardziej przykro z powodu tego, co zrobiłem – powiedział Jacob.

- Mógłbyś zacząć od powiedzenia, że jest ci przykro.
- Tyle razy przepraszałem.
- Nie, tyle razy mówiłeś, że przepraszałeś. Ale ani razu mnie nie przeprosiłeś.
- Przeprosiłem tamtego wieczora w kuchni.
- Nie.
- To w łóżku.
- Nie.

– W samochodzie, przez telefon, gdy byłeś na symulacji obrad ONZ.

– Powiedziałeś, że przeprosiłeś, ale nie przeprosiłeś. Posłuchaj uważnie, Jacobie. Bo ja pamiętam. Od kiedy znalazłam telefon, powiedziałeś „przepraszam” dokładnie raz. Kiedy powiedziałam, że nie żyje twój dziadek. I nie mówiłeś tego do mnie. Ani do nikogo.

– No cóż, jeśli w tym rzecz, to nie ma to znacze...

– W *ty*m rzecz i to ma znaczenie.

– Jeśli w tym rzecz, nie ma to znaczenia, bo skoro nie pamiętasz przeprosin, to najwyraźniej nie wyraziłem ich wystarczająco dobitnie. W takim razie posłuchaj mnie teraz: bardzo cię przepraszam, Julio. Jest mi wstyd i cię przepraszam.

– Nie chodzi o te wiadomości.

Tego wieczora, gdy Julia znalazła telefon, powiedziała Jacobowi: „Wydajesz się szczęśliwy, ale nie jesteś”. I jeszcze: „Uważasz, że nieszczęście jest czymś tak niebezpiecznym, że wolałbyś raczej pójść na dno ze statkiem, niż przyznać, że ma dziurę”. A gdyby ona nie poszła na dno ze statkiem? Bo skoro nie chodziło o wiadomości, to chodziło o wszystko. A jeśli zamykając się w wolnym pokoju, Jacob zamykał Julię w niezamieszkanym domu? A jeśli tym, za co musiał przeprosić, było wszystko?

– Powiedz mi, po prostu mi powiedz, dlaczego zamierzasz zniszczyć tę rodzinę?

– Ani mi się waż tak mówić.

– Ale to prawda. Niszczysz naszą rodzinę.

– Nie. Kończę nasze małżeństwo.

Nie mógł uwierzyć, że ośmieliła się powiedzieć coś takiego.

– Koniec naszego małżeństwa zniszczy naszą rodzinę.

– Nie. Nie zniszczy.

– Dlaczego? Dlaczego to robisz?

– Z kim odbyłam te wszystkie rozmowy przez ostatnie trzy tygodnie?

– *Rozmawialiśmy.*

Pozwoliła, by to słowo przez chwilę wybrzmiewało, a potem powiedziała:

– Właśnie dlatego.

– Że rozmawialiśmy?

– Że ty zawsze gadasz, a twoje słowa nic nie znaczą. Skrywałeś swoją największą tajemnicę za murem, pamiętasz to?

– Nie.

– Nasz ślub. Zrobiłam wokół ciebie siedem okrążeń i otoczyłam cię miłością, przez lata cię nią otaczałam, a mur się zawalił. To ja go obaliłam. Ale wiesz, co odkryłam? Twoja największa tajemnica polega na tym, że jesteś murem aż po ostatni kamyczek w samym środku. Nic tam nie ma.

Teraz to on nie miał wyboru.

– Julio, jadę do Izraela.

I albo dlatego, że dodał jej imię, albo dlatego, że zmienił się ton jego głosu, a może – co bardziej prawdopodobne – dlatego, że rozmowa dotarła do miejsca pęknięcia, zdanie to nabrało nowego znaczenia: takiego, w które Julia uwierzyła.

– Nie mogę w to uwierzyć.

– Muszę.

– Dla kogo?

- Dla naszych dzieci. I ich dzieci.
- Nasze dzieci nie mają dzieci.
- Ale będą miały.
- A więc na tym polega wymiana: tracisz ojca, zyskujesz dziecko?
- Julio, sama to powiedziałaś: posadzą mnie przed komputerem.
- Nie powiedziałam tego.
- Powiedziałaś, że nie będą na tyle głupi, żeby dać mi broń.
- Tego też nie powiedziałam.

Jacob usłyszał pstryknięcie lampki. Hotel? Mieszkanie Marka? W jaki sposób mógł ją spytać, gdzie jest, tak by nie zakomunikować przy tym oceny ani zazdrości i nie dać do zrozumienia, że leci do Izraela, by ukarać ją za to, że poleciała do Marka?

Lingwiści, powieściopisarze i hobbyści wymyślili ponad tysiąc „sztucznych języków”. Za każdym z nich kryło się marzenie, by skorygować niedokładność, nieskuteczność i nieregularność języka naturalnego. Jedne sztuczne języki oparte są na skali dźwięków i się je śpiewa. Inne bazują na kolorach i ciszy. Najbardziej podziwiana się te, które zaprojektowano tak, by ukazywały, czym *mogłaby* się stać komunikacja. Żaden z nich nie jest w użyciu.

– Jeśli zamierzasz to zrobić – powiedziała Julia – jeśli naprawdę masz taki zamiar, chcę od ciebie dwóch rzeczy.

- Co masz na myśli?
- Jeśli zamierzasz pojechać do Izraela...
- Zamierzam.
- ...musisz dla mnie zrobić dwie rzeczy.

– Okej.

– Sam musi mieć bar micwę. Nie możesz wyjechać, nie pomagając w doprowadzeniu tego do końca.

– W porządku. Zróbmy to jutro.

– Czyli dzisiaj?

– W środę. I na miejscu.

– A on w ogóle umie już swoją haftarę?

– Wystarczająco. Możemy zaprosić wszystkich z rodziny, którzy dadzą radę przyjechać, i wszystkich znajomych, których Sam będzie chciał. Izraelczycy są na miejscu. Dziewięćdziesiąt procent tego, czego potrzebujemy, mogę kupić w Whole Foods. Oczywiście pominiemy dodatki.

– Moi rodzice nie będą w stanie dotrzeć.

– Przykro mi z tego powodu. Może z nimi poskajpujemy?

– I potrzebujemy Tory. To nie jest dodatek.

– Racja. Cholera. Jeśli rabin Singer nie weźmie udziału...

– Nie weźmie.

– Mój tata może zwrócić się do szulu w Georgetown z prośbą o rewanż. Zna tam trochę ludzi.

– Zajmiesz się tym?

– Tak.

– Dobra. Ja mogę kupić... A gdybym... – Zanurzyła się we własnych planach,



w nieznanym odpoczynku macierzyńskim płacie mózgu, w miejscu, które obmyślało dziecięce rozrywki dwa tygodnie naprzód i pilnie baczyło na alergię pokarmowe potęgach znajomych, i zawsze znało numer buta wszystkich, i nie musiało ustawiać żadnych przypomnień, żeby co dwa lata umówić przegląd u dentysty, i na bieżąco śledziło wysyłanie liścików z podziękowaniami za prezenty urodzinowe.

– A druga rzecz? – spytał Jacob.

– Co?

– Powiedziałaś, że chcesz, żebym zrobił dwie rzeczy.

– Musisz uśpić Argusa.

– Uśpić?!

– Tak.

– Dlaczego?

– Dlatego że już pora i dlatego że to twój pies.

Kiedy Jacob był chłopcem, zatrzymywał kręcący się globus palcem i wyobrażał sobie, jak by to było żyć w Holandii, Argentynie, Chinach albo Sudanie.

Kiedy Jacob był chłopcem, wyobrażał sobie, że jego palec na chwilę zatrzymuje prawdziwą Ziemię. Nikt właściwie tego nie zauważał, tak jak nikt nie zwracał uwagi na obracanie się Ziemi, ale słońce zostawało na niebie tam, gdzie było, ocean zastygał w bezruchu, a zdjęcia spadały z lodówek.

Gdy Julia wypowiedziała te słowa – „Dlatego że już pora i dlatego że to twój pies” – jej palec zatrzymał w miejscu życie Jacoba.

„Dlatego że już pora i dlatego że to twój pies”.

Przestrzenią, w której spotykały się te dwa zdania, był jego dom. Ale czy mógł tam żyć?

Na ostatnim zjeździe, w którym wziął udział, Jacob poznał dwoje głuchych rodziców i ich niesłyszącego syna. Przeprowadzili się niedawno do Stanów z Anglii, wyjaśnił ojciec, ponieważ chłopiec stracił rękę w wypadku samochodowym.

– Przykro mi – powiedział Jacob, robiąc pięścią kółko wokół serca.

Matka dotknęła czterema palcami dolnej wargi, następnie wyprostowała dłoń, wyginając palce w dół – jakby posyłała pocałunek, tyle że bez pocałunku.

– Czy tutaj są lepsi lekarze? – spytał Jacob.

– Brytyjski język migowy – zamigała matka – wykorzystuje dwie ręce do alfabetu palcowego. Amerykański korzysta z jednej. Dałby sobie radę w Anglii, ale chcemy zapewnić mu jak najlepsze możliwości.

Matka poszła z chłopcem do namiotu z rękodziełem, a Jacob i ojciec zostali. Rozmawiali przez godzinę, w ciszy, wprawiając w ruch powietrze między sobą za sprawą życiowych historii.

Jacob czytał o niesłyszących parach, które pragnęły mieć głuche dzieci. Jedna z nich nawet z pomocą badań genetycznych wybrała takie dziecko. Zdał sobie sprawę, że całkiem często się nad tym zastanawia, nad moralnymi konsekwencjami takiego kroku. Gdy podzielili się już wystarczająco wieloma doświadczeniami, żeby zadanie pytania nie wydawało się wścibstwem, Jacob spytał tamtego ojca, jak się czuł, gdy dowiedział się, że jego syn jest głuchy tak jak on.

– Ludzie pytali mnie, czy liczę na chłopca, czy na dziewczynkę – pokazał na migi ojciec. – Mówiłem im na to, że pragnę jedynie zdrowego dziecka. Ale bardzo skrycie żywiłem pewne

pragnienie. Wie pan może, że badań słuchu nie wykonuje się aż do chwili, gdy ma się wypuścić dziecko ze szpitala?

– Nie miałem pojęcia.

– Działa to tak, że przesyła się do ucha dźwięk. Jeśli jest odpowiedź, dziecko słyszy.

Zostawiają więc uchu tyle czasu, ile mogą, żeby osuszyło się z płynu owodniowego.

– Jeśli dźwięk się nie odbija, dziecko jest głuche?

– Tak jest.

– A zatem była chwila niewiedzy?

– Dzień. Przez jeden dzień nie był głuchy ani słyszący. Kiedy pielęgniarka powiedziała nam, że jest głuchy, płakałem bez końca.

Jacob raz jeszcze okrążył pięścią serce.

– Nie – zamigał ojciec. – Słyszące dziecko byłoby błogosławieństwem. Głuche to wyjątkowe błogosławieństwo.

– Takie było pańskie pragnienie?

– Bardzo skryte pragnienie.

– Ale co z tym, że chcą mu państwo zapewnić jak najlepsze możliwości?

– Mogę spytać, czy jest pan Żydem? – pokazał na migi mężczyzna.

Pytanie było tak dziwne, że Jacob nie miał pewności, czy prawidłowo je zrozumiał, ale skinął twierdząco.

– Też jesteśmy Żydami.

Jacob poczuł to stare, krępujące, wyjątkowo pokrępowane rozpoznanie.

– Skąd pochodzi pańska rodzina? – spytał tamten ojciec.

– Zewsząd. Głównie z Drohobycza.

– Tośmy *landsmani* – zamigał ojciec. Właściwie to pokazał „Pochodzimy z tych samych stron”, ale Jacob rozumiał, że jego ręce mówią w jidysz.

– Trudniej jest być Żydem – pokazał mężczyzna. – Nie ma się wtedy najlepszych możliwości, jakie tylko istnieją.

– Jest inaczej – zamigał Jacob.

– Przeczytałem kiedyś w jednym wierszu takie słowa: „Możesz natknąć się na martwego ptaka; nie ujrzysz nigdzie ich stada”<sup>35</sup>.

Znak stada to dwie ręce odpływające od tułowia jak fale.

Jacob wrócił ze zjazdu do domu w samą porę na szabatową kolację. Zapalili świece i je pobłogosławili. Pobłogosławili wino i się go napili. Odsłonili chałkę, pobłogosławili ją, rozerwali, przekazywali ją sobie i zjedli. Błogosławieństwa zniknęły w głuchocie świata, ale gdy szeptali do maleńkich uszu dzieci, modlitwy odpowiedziały echem. Po posiłku Jacob, Julia, Sam, Max i Benjy zamknęli oczy i poruszali się po domu.

# VI

## Zagłada izraela

# Wracajcie do domu

Ostatecznie nie musieli się spieszyć z bar micwą – znalezienie sposobu, by dostać się do Izraela, zajęło Tamirowi i Jacobowi osiem dni – ale najwyraźniej nie było wystarczająco dużo czasu, żeby uśpić Argusa. Jacob rozmawiał z kilkorgiem pełnych współczucia weterynarzy, obejrzał jednak również kilka strasznych filmików na YouTubie. Nawet gdy eutanazja wyraźnie zdawała się czymś „dobrym” – oferowała prawdziwie spokojny koniec autentycznie cierpiącemu zwierzęciu – była potworna. Nie mógł tego zrobić. Nie był na to przygotowany. Argus też nie. Nie byli gotowi.

Ambasada nadal okazywała się mało pomocna, a zwykłe loty do Izraela wciąż były wstrzymane. Zbadali więc sprawę akredytacji prasowych, wolontariatu w Lekarzach bez Granic, lotu do innego kraju i dotarcia do Izraela łodzią – wszystko to bez szans na powodzenie.

Ich sytuację, i wszystko inne, zmieniło transmitowane przez telewizje całego świata przemówienie izraelskiego premiera. Przemówienie, którego – o czym premier musiał wiedzieć w trakcie pisania go – żydowskie dzieci będą się w przyszłości uczyć w szkole lub które zostanie wyryte na tablicach pamiątkowych.

Patrząc prosto w kamerę i w żydowskie dusze wszystkich oglądających go Żydów, zakomunikował, że istnienie Izraela znalazło się w bezprecedensowym niebezpieczeństwie, i zażądał, aby Żydzi pomiędzy szesnastym a pięćdziesiątym piątym rokiem życia „wrócili do domu”.

Otwarto przestrzeń powietrzną i dżambo dzety, opróżnione z siedzeń, by pomieścić więcej osób, latały bez przerwy z lotnisk Nowego Jorku, Los Angeles, Miami, Chicago, Paryża, Londynu, Buenos Aires, Moskwy i innych ważnych skupisk ludności żydowskiej.

Nie tankowano ich niemal do samego startu, nikt bowiem nie wiedział – nawet w przybliżeniu – jak będą ciężkie.

# Dziś nie jestem mężczyzną

– Musimy odbyć rozmowę w gronie rodzinnym – powiedział Sam.

Było to w noc przed jego przygotowaną naprędce bar micwą. Za dwanaście godzin miało pojawić się zamówione jedzenie. Trochę później miała przybyć garstka kuzynów i znajomych, którym uda się dotrzeć w tak krótkim czasie. A potem: wiek męski.

Max i Benjy siedzieli na łóżku Sama, ich stopy rosły w kierunku podłogi, Sam zaś oddał swoje czterdzieści jeden kilogramów ulubionemu krzesłu obrotowemu – ulubionemu dlatego, że możliwości jego mechanizmu dawały poczucie sprawności, i ulubionemu dlatego, że wcześniej należało do jego taty. Na pulpicie migał materiał pokazujący armię przemierzającą Synaj.

Z rodzicielską delikatnością Sam przedstawił odpowiednią do wieku braci wersję tego, co się stało z telefonem ojca, i tego, co wiedział – dzięki strzępom rozmowy podsłuchanym przez Maxa w samochodzie i dzięki temu, czego Billie była świadkiem i w czym przeszkodziła na symulacji obrad ONZ, a także łącząc wszystko w jedną całość – o związku matki z Markiem. („Nie łapię, o co tyle hałasu – powiedział Benjy. – Ludzie cały czas całują innych i to jest przyjemne?”). Sam podzielił się zarówno tym, co podsłuchiwała Billie, gdy ich rodzice ćwiczili rozmowę separacyjną (w połączeniu z rezultatami węszenia Maxa), jak i tym, czego dowiedział się Barak o postanowieniu ich ojców, by lecieć do Izraela. Wszyscy wiedzieli, że Jacob kłamał, mówiąc, że Julia spędziła całą noc na inspekcji budowlanej, wyczuwali jednak, że nie wie, gdzie tak naprawdę była, więc nikt o tym nie wspominał.

Sam często fantazjował, że zabija braci, ale też wyobrażał sobie, że ich ratuje. Czuł przeciwstawne siły, odkąd tylko byli jego braćmi – tymi samymi rękoma, które kołysały Benjy’ego, chciał zmiażdżyć jego klatkę piersiową – a natężenie tych współistniejących impulsów charakteryzowało jego braterską miłość.

Ale nie w tej chwili. Teraz pragnął ich jedynie kołysać. Nie odczuwał zaborczości ani tego, że jest pomniejszany na ich korzyść, żadnej piekającej, niezwiązanej z niczym złości.

Kiedy Sam dotarł do punktu kulminacyjnego – „Wszystko się zmieni” – Max zaczęła płakać. Odruchowo Sam chciał rzucić: „To śmieszne, śmieszne, prawda?”, ale górę wzięła jeszcze silniejszy odruch i powiedział: „Wiem, wiem”. Kiedy Max się rozplakał, dołączył do niego Benjy – jak zbiornik zalewający przepelniony zbiornik, który przez to wylewa.

– Kieprawo – powiedział Sam. – Ale będzie w porządku. Po prostu nie możemy do tego dopuścić.

– Nie rozumiem. Całowanie jest przyjemne – wykrztusił Benjy przez łyzy.

– Co zrobimy? – spytał Max.

– Odkładają wszystko, aż będzie po mojej bar micwie. Po bar micwie powiedzą nam o rozwodzie. Po bar micwie tata się wyprowadzi. I po bar micwie chce jechać do Izraela. Dlatego nie zamierzam mieć bar micwy.

– Dobry plan – powiedział Benjy. – Jesteś mądry.

– To po prostu cię do niej zmuszą.

– Niby jak? Będą mnie szczypać w nos, dopóki nie wyrzucę z siebie haftary?

– Będziesz miał szlaban.

- Co z tego?
- Będziesz miał szlaban na kompa i telewizję.
- Kogo to obchodzi?
- Ciebie.
- To nie będzie.
- Mógłbyś uciec – podsunął Benjy.

– Uciec? – spytali bracia jednym głosem, a Max nie mógł powstrzymać się, by nie zawołać:

- Oczko!
- Sam, Sam, Sam – zakończył rozgrywkę Benjy, uwalniając brata z niezręcznej ciszy.
- Nie mogę uciec – oznajmił Sam.
- Tylko dopóki nie skończy się wojna – odparł Max.
- Nie zostawiłbym was, chłopaki.
- A ja bym za tobą tęsknił – powiedział Benjy.

Kiedy Jacob i Julia podzielili się z Samem i Maxem wiadomością, że będą mieli małego braciszka, Jacob popełnił błąd, proponując, aby wymyślili mu imię – rozkoszny pomysł, który przy stu milionach prób nawet raz nie przyniósłby możliwego do przyjęcia wyniku. Max szybko zdecydował się na Hienę Eda, po lojalnym sługusie Skazy z *Króla Lwa*, przyjmując zapewne, że właśnie tym będzie nowy brat: jego wiernym pacholkiem. Sam pragnął nazwać go Mydłkiem, ponieważ było to trzecie słowo, na którym wylądował jego palec, kiedy przerzucał słownik (obiecał sobie postawić na pierwsze, jakiegokolwiek będzie, ale trafił na „wymuszenie”, a za drugim razem na „ambivalentny”). Problem nie tkwił w tym, że bracia się ze sobą nie zgadzali, tylko w tym, że obydwa imiona były takie wspaniałe: i Hiena Ed, i Mydłek. Cudowne imiona, które dla każdego człowieka byłyby zaszczytem i w zasadzie gwarantowały fajowe życie. Rzucili monetą, potem grali do dwóch zwycięstw i do czterech, a Julia, jak to Julia, złożyła karteczkę ze zwycięskim imieniem w origami, które wyrzuciła przez otwarte okno, ale zrobiła też chłopcom tiszerty z naprasowanym napisem „Brat Mydłka” i oczywiście, bodziaka z napisem „Mydłek”. Było takie zdjęcie, na którym we trzech w mydłkowych strojach śpią na tylnym siedzeniu volvo nazwanego Hieną Edem w ramach łatwego ustępstwa na rzecz Maxa.

Sam poklepał się po kolanach, przywołując Benjy’ego do siebie:

- Też bym za tobą tęsknił, Mydłku.
- Kto to jest Mydłek? – spytał Benjy, wspinając się na kolana brata.
- Ty nim prawie zostałeś.

Dla Maxa wszystko to było zbyt emocjonujące, żeby jakoś zareagować albo jakoś to nazwać.

- Jeśli uciekniesz, to ja też.
- Nikt nigdzie nie ucieka – oświadczył Sam.
- Ja też – dorzucił Benjy.
- Musimy zostać – powiedział Sam
- Dlaczego? – spytali jednocześnie.
- Oczko!
- Benjy, Benjy, Benjy.

Sam mógł odpowiedzieć: „Dlatego że trzeba się wami zająć, a w pojedynkę nie dam

radę”. Albo: „Dlatego że to moja bar micwa i tylko ja muszę przed nią uciec”. Albo: „Dlatego że w życiu nie jest jak w filmach Wesa Andersona”. Zamiast tego jednak powiedział:

- Dlatego że wtedy nasz dom byłby całkiem pusty.
- Powinien być – stwierdził Max. – Zasługuje na to.
- I ze względu na Argusa.
- Argus pójdzie z nami.
- Nie może dojść do rogu ulicy. Jak mógłby uciekać?

Determinacja Maxa rosła:

- To go uśpimy, a potem uciekniemy.
- Zabiłbyś Argusa, żeby zatrzymać bar micwę?
- Zabiłbym Argusa, żeby zatrzymać życie.
- Tak, jego.
- Nasze.
- Mam pytanie – powiedział Benjy.
- Jakie? – spytali chórem jego bracia.
- Oczko!
- Jezu, Max.
- W porządku. Sam, Sam, Sam.
- Co to za pytanie?
- Max powiedział, że mógłbyś uciec na tak długo, jak potrwa wojna.
- Nikt nigdzie nie ucieka.
- A jeśli wojna nigdy się nie skończy?

# O Żydzi, nadszedł wasz czas!

Julia wróciła do domu w samą porę, żeby położyć chłopców spać. Powrót wcale nie był aż tak przykry, jak sobie wyobrażali, ale tylko dlatego, że Julia zakładała noc pełną ciszy, a Jacob noc krzyków. Przytulili się, wymienili słabe uśmiechy i zabrali się do pracy.

– Mój tata wystarał się o Torę.

– A co z rabinem?

– Dwa w cenie jednego.

– Błagam, tylko nie kantor.

– Dzięki Bogu nie.

– Znalazłeś wszystko w Whole Foods?

– Załatwiłem catering.

– Dzień przed?

– Nie najlepszy catering. Jakieś bezpodstawne oskarżenia o salmonellę.

– Na pewno pogłoski. Będzie nas ile? Z piętnaście osób? Dwadzieścia?

– Jedzenia mamy na sto.

– Wszystkie te kule śnieżne... – autentycznie smutnym głosem powiedziała Julia.

Kule stały na trzech półkach bieliźniarki, w siatce piętnaście wszerej na osiem w głąb. Miały tam zostać, nietknięte, na lata – tyle uwięzionej wody, jak całe powietrze w zgromadzonej folii bąbelkowej, jak słowa uwięzione w bąbelkach myśli. W ich kopułach musiały być malusieńkie pęknięcia, woda bowiem powoli – może ze ćwierć cała rocznie? – wyparowywała i w chwili gdy Benjy był gotów obchodzić (albo nie) bar micwę, śnieg w kulach spoczywał już na wyschniętych ulicach, nadal nieskazitelnie czysty.

– Tak przy okazji: chłopcy nie mają pojęcia. Powiedziałem im właśnie, że wczoraj w nocy byłaś na placu budowy, i o nic nie pytali.

– Nigdy się nie dowiemy, co wiedzą.

– Oni też nie.

– To była tylko noc – powiedziała, pakując naczynia do zmywarki. – Ale nie *postanowiłam* być od nich z dala. Stało się tak wyłącznie dlatego, że musiałam. Czuję się okropnie.

Zamiast starać się zbagatelizować jej odczucia, Jacob próbował je z nią dzielić:

– Jest ciężko. – Był tam jednak także ten drugi anioł, z małymi stópkami przybitymi do ramienia Jacoba. – Byłaś u Marka?

– Kiedy?

– Tam właśnie poszłaś?

Można było odpowiedzieć na to pytanie na wiele sposobów. Ona wybrała:

– Tak.

On przyniósł z piwnicy dodatkowe talerze. Ona wzięła prysznic, żeby pozbyć się napięcia i poddać garnitur Sama działaniu pary. On wyprowadził Argusa do Rosedale, gdzie przysłuchiwali się, jak inne psy aportują w ciemnościach. Ona wstawiła do prania bieliznę dzieci, skarpetki i ścierki do naczyń. A potem znów byli w kuchni, gdzie wyjmowali czyste, jeszcze ciepłe naczynia ze zmywarki.

Nie mając takiego zamiaru, Julia zaczęła od tego, na czym wcześniej skończyła:



– Kiedy byli maleńcy, nie odrywałam od nich wzroku nawet na dwie sekundy. Ale przyjdzie czas, gdy całymi dniami nie będziemy ze sobą rozmawiać.

– Nie.

– Przyjdzie. Każdy rodzic myśli, że jemu się to nigdy nie przytrafi, ale przydarza się to wszystkim.

– Nie pozwolimy, żeby to się stało.

– A zarazem to wymusimy.

Później poszli na górę. On przetrząsała przybory toaletowe, dopóki nie przypomniała sobie, czego szuka. On zamienił miejscami w szafie swetry i tiszerty – w tym roku trochę wcześniej. Za oknami było ciemno, ale Julia opuściła rolety z myślą o poranku. Jacob stanął na podnóżku, żeby dosięgnąć żarówki. A potem myli zęby przy umywalkach, stojąc obok siebie.

– Przy parku Rock Creek – powiedział Jacob – jest interesujący dom na sprzedaż.

– Od strony Davenport?

– Co?

Wypluła pianę i spytała:

– Dom na Davenport Street?

– Tak.

– Widziałam go.

– Byłaś tam?

– Na liście nieruchomości.

– Całkiem ciekawy, nie?

– Ten dom jest lepszy – odparła.

– To najlepszy z domów.

– Bardzo dobry.

Splunął, a potem zawahał się między wypłukaniem szczoteczki a umyciem nią języka.

– Powinienem spać na kanapie – stwierdził.

– Ja też mogę.

– Nie, ja się przeniosę. Powinienem przyzwyczajać się do spania w trudnych warunkach, trochę się zahartować.

Żart Jacoba zmuszał do powagi.

– Stylowo sfatygowana kanapa nie oznacza takich znowu niewygód.

– Może dobrze by było, gdybym nastawił budzik na jakąś wczesną godzinę i wrócił do sypialni, żeby chłopcy zobaczyli nas rano razem?

– W którymś momencie i tak będą musieli się dowiedzieć. Prawdopodobnie już wiedzą.

– Po bar micwie. Dajmy im ten ostatni okrucuch. Nawet jeśli wszyscy mieliby udawać.

– I naprawdę nie będziemy więcej rozmawiać o twoim wyjeździe do Izraela?

– A co tu jeszcze mówić?

– Że to szaleństwo.

– To zostało już powiedziane.

– Że to niesprawiedliwe wobec mnie i dzieci.

– To zostało już powiedziane.

To, co nie zostało powiedziane, co chciał usłyszeć i co może sprawiłoby nawet, że podjąłby inną decyzję, brzmiało: „Że nie chcę, żebyś jechał”. Zamiast tego powiedziała

jednak: „Nie jesteś moim mężem”.

Kanapa była zupełnie wygodna – wygodniejsza od ekologicznego materaca z listownicowców i końskiego włosia – ale Jacob nie mógł spać. Nie był nawet w stanie dojść do fazy, w której przewraca się z boku na bok. Nie miał pewności, co czuje – mogło to być poczucie winy, upokorzenie albo po prostu smutek – i jak zawsze, gdy nie udawało mu się rozpoznać jakiegoś uczucia, przeradzało się ono w gniew.

Zszedł do piwnicy i włączył telewizor. CNN, MSNBC, Fox News, ABC: wszędzie relacje z Bliskiego Wschodu, wszystko wymienne. Dlaczego nigdy nie potrafił przyznać, że szuka swojego programu, który nawet nie był jego? Nie chodziło o ego, tylko o samobiczowanie. Czyli o ego.

Był, retransmitowany na TBS. Czasem Jacob przekonywał sam siebie, że program stał się lepszy, gdy usunięto przekleństwa i krótkie przebłyski nagości, które pojawiały się tam tylko dlatego, że swoboda robienia takich rzeczy musi być usprawiedliwiona robieniem ich. Zastanawiał się przez chwilę, ile producenci wykonawczy zarabiają na transmisji, i zmienił kanał.

Przeleciał przez jakiś reality show o gotowaniu, przez którąś wersję sportów ekstremalnych, przez jedną z nikkzemnie złych wersji *Minionków*. Wszystko było wariacją na temat czegoś, co już na samym początku nie było dobre. Odbił pełnowymiarową podróż dookoła planety Telewizja, kończąc w punkcie wyjścia: na CNN.

Wolf Blitzer znowu odwrócił uwagę od swojego zarostu z czyścica rodem – ani to broda, ani niebroda – za pomocą kolejnej pary nowych okularów. Był człowiekiem z telewizora, stojącym przed telewizorem i wykorzystującym ten telewizor-w-telewizorze do wytłumaczenia geopolityki Bliskiego Wschodu. Jacob się wyłączył. Zwykle wykorzystywałby tę chwilę umysłowej włączki, żeby zastanowić się nad masturbacją albo nad tym, czy resztki płatków Pirate Booty na dnie paczki usprawiedliwiałyby wycieczkę na górę. Zamiast tego jednak, zainspirowany jutrzejszą bar micwą Sama, pomyślał o swojej, sprzed niemal trzydziestu lat. Jego parszą była Ki Tisa, która – na jego nieszczęście – okazała się najdłuższą parszą w Księdze Wyjścia i jedną z dłuższych w Torze. Dobrze ją pamiętał. *Ki Tisa* oznacza „gdy zbierzesz” – to pierwsze charakterystyczne słowa parszy odnoszące się do spisu żydowskiej ludności. Mgliście pamiętał też melodie, ale te równie dobrze mogły być pospolitymi żydowsko brzmiącymi frazami muzycznymi, do jakich uciekają się ludzie, gdy udają odmawianie modlitwy, której wstydzą się nie znać.

Ki Tisa miała silną dramaturgię: pierwszy spis, Mojżesz wspinający się na górę Synaj, złoty cielec, Mojżesz rozbijający tablice, Mojżesz wspinający się na górę Synaj po raz drugi i powracający z tym, co zyska miano Dziesięciorga Przykazań. Najwyraźniej Jacob pamiętał jednak nawet nie to, co było w samej parszy, ale powiązany z nią tekst, ustęp Talmudu, który dał mu rabin i który zajmował się kwestią tego, co zrobiono z połamanymi tablicami. Pytanie to uderzyło Jacoba swym pięknem, nawet gdy był niezainteresowanym tą kwestią trzynastoletkiem. Wedle Talmudu Bóg polecił Mojżeszowi, by włożył do arki zarówno nietknięte, jak i zniszczone tablice. Żydzi nieśli je – połamane i całe – przez czterdzieści lat swej wędrówki i umieścili je w Świątyni Jerozolimskiej. „Dlaczego?”, spytał rabin, którego twarzy Jacob nie mógł odtworzyć w pamięci, którego głosu nie był w stanie przywołać i który z pewnością już nie żył. „Dlaczego po prostu ich nie zakopali, jak należało postąpić ze świętym tekstem? Albo ich nie zostawili, jak należało postąpić

z bluźnierstwem?”.

Kiedy uwaga Jacoba przeniosła się z powrotem na CNN, Wolf zwracał się do hologramu ajatollaha, snując domysły na temat treści jego zbliżającego się przemówienia – pierwszego oficjalnego komentarza ze strony Iranu od momentu podpalenia Kopyły na Skale. W świecie muzułmańskim i żydowskim z niecierpliwością wyczekiwano jego słów, miały one bowiem wyznaczyć najradykałniejsze reakcje na sytuację, nakreślić ich skrajny wymiar.

Jacob pognał na górę, złapał paczkę Pirate Booty (i opakowanie prażonych chipsów z glonów, i ostatnie dwie podróbki ciastek Oreo firmy Newman's Own, i butelkę hefeweizena) i zbiegł na dół w samą porę, by zdążyć na początek. Wolf nie wspomniał, że przemówienie będzie wygłaszane pod gołym niebem, na placu Azadi, na oczach dwustu tysięcy ludzi. Udało mu się za to popełnić niewybaczalny grzech dziennikarstwa telewizyjnego: zachować zbytnią powściągliwość, zmniejszyć oczekiwania, sprawić, by *naprawdę* niezbędny program, wydawał się nieobowiązkowy.

Lekko puciołowaty mężczyzna podszedł do mikrofonu – ciemny jak smoła turban, śnieżnobiała broda, czarna szata jak czarny dymek komiksowy wypełniony krzykiem. W jego oczach kryła się niezaprzeczalna mądrość, nawet łagodność. Zupełnie nic nie odróżniało jego twarzy od twarzy Żyda.

# WRACAJCIE DO DOMU

„Jest godzina dziewiąta wieczorem w Izraelu. Druga po południu w Nowym Jorku. Siódma wieczorem w Londynie, jedenasta rano w Los Angeles, ósma wieczorem w Paryżu, trzecia po południu w Buenos Aires, dziewiąta wieczorem w Moskwie, czwarta rano w Melbourne.

To przemówienie jest transmitowane na całym świecie, we wszystkich ważnych środkach masowego przekazu. Jest tłumaczone symultanicznie na kilkadziesiąt języków i będzie oglądane przez ludzi wszystkich religii, ras i kultur na świecie. Ale mówię wyłącznie do Żydów.

Od czasu siejącego spustoszenia trzęsienia ziemi sprzed dwóch tygodni Izrael znosił katastrofę za katastrofą. Jedne sprowadziła na nas obojętna ręka Matki Natury, inne pięści naszych wrogów. Dzięki swojej pomysłowości, sile i determinacji zrobiliśmy to, co Żydzi robią od zawsze: przetrwaliśmy. Ile potężniejszych ludów zniknęło z powierzchni ziemi, podczas gdy naród żydowski trwał? Gdzie są wikingowie? Gdzie są Majowie? Hetyci? Mezopotamczycy? I gdzie podzieli się nasi historyczni wrogowie, którzy zawsze przewyższali nas liczebnie? Gdzie są faraonowie, którzy zgładzili naszych pierworodnych, ale nie byli w stanie zgładzić nas? Gdzie są Babilończycy, którzy zniszczyli naszą Pierwszą Świątynię, ale nie byli w stanie zniszczyć nas? Gdzie jest Cesarstwo Rzymskie, które zniszczyło Drugą Świątynię, lecz nie było w stanie zniszczyć nas? Gdzie naziści, którzy nie zdołali nas zgładzić?

Przepadli.

A my jesteśmy.

Rozrzuceni po całym świecie, śnimy różne sny w różnych językach, ale łączy nas bogatsza, wspanialsza historia, niż może sobie przypisać jakikolwiek lud, który zaszczycał swą obecnością Ziemię. Trwaliśmy, trwaliśmy i przetrwaliśmy, i zaczęliśmy z góry zakładać, że zawsze trwać będziemy. Ale, bracia i siostry, potomkowie Abrahama, Izaaka, Jakuba, Sary i Rebeki, Racheli i Lei, przychodzę dziś do was, by wam powiedzieć, że historia żydowskiego narodu jest historią przetrwania tylko dlatego, że Żydzi nie zostali zgładzeni. Jeśli przetrwamy dziesięć tysięcy klęsk, ale potem, koniec końców, zostaniemy zgładzeni, historia Żydów będzie historią zagłady. Bracia i siostry, spadkobiercy królów i królowych, proroków i świętych mężów – dzieci (wszyscy nimi jesteśmy) żydowskiej matki, która spuściła wiklinowy kosz do rzeki historii – płyniemy z prądem i ta chwila zadecyduje o naszej historii.

Jak wiedział król Salomon, „prawy siedmiokroć upadnie i wstanie”. Upadaliśmy po siedmiokroć i po siedmiokroć się podnosiliśmy. Uderzyło w nas trzęsienie ziemi o niespotykanej sile. Znieśliśmy zawalenie się naszych domów, utratę podstawowych usług komunalnych, wstrząsy wtórne, choroby, ataki rakietowe, a teraz atakują nas z każdej strony wrogowie finansowani i uzbrajani przez supermocarstwa, podczas gdy wsparcie dla nas słabnie, a nasi przyjaciele odwracają wzrok. Nasza prawość nie osłabła, ale nie możemy znów upaść. Przed dwoma tysiącami lat zostaliśmy pokonani i skazani na dwa tysiące lat wygnania. Jako premier państwa Izrael dziś wieczorem jestem tu, by oznajmić wam, że jeśli znowu upadniemy, Księga Lamentacji doczeka się nie tylko nowego rozdziału, ale i nowego

zakończenia. Historia żydowskiego narodu – *nasza* historia – będzie opowiadana wraz z historiami wikingów i Majów.

W Księdze Wyjścia opisana jest bitwa między Izraelem i Amalekitami: mężczyzna przeciwko mężczyźnie, armia przeciwko armii, lud przeciwko ludowi, z dowódcami obserwującymi wydarzenia z dogodnych pozycji daleko za swoimi wojskami. Oglądając bitwę, Mojżesz spostrzega, że gdy ma uniesione ręce, Izrael czyni postępy, a gdy jego ręce są opuszczone, Izrael ponosi straty. Trzyma więc przed sobą wyciągnięte ręce. Ale, o czym przypomina się nam raz po raz, Mojżesz jest tylko człowiekiem. A żaden człowiek nie może mieć bez końca uniesionych rąk.

Szczęśliwie w pobliżu są brat Mojżesza Aaron i jego szwagier Hur. Przyzwani przez Mojżesza, podtrzymują jego ramiona przez czas trwania bitwy. Izrael triumfuje.

Kiedy do was przemawiam, Siły Powietrzne Izraela we współpracy z innymi gałęziami Sił Obronnych rozpoczynają operację Ręce Mojżesza. Za osiem godzin samoloty El Al zaczną wylatywać z ważnych skupisk ludności żydowskiej na całym świecie i przywozić żydowskich mężczyzn i kobiety w wieku od szesnastu do pięćdziesięciu pięciu lat do placówek wojskowych. Towarzyszyć im będą myśliwce odrzutowe, by zapewnić bezpieczeństwo. Wraz z przylotem do Izraela nasi dzielni bracia i siostry zostaną poddani ocenie i skierowani tam, gdzie najlepiej będą mogli wesprzeć nasz wysiłek przetrwania. Szczegółowe informacje na temat operacji można znaleźć pod adresem [www.operationarmsofmoses.com](http://www.operationarmsofmoses.com).

Przygotowywaliśmy się do tego. Sprowadziliśmy do domu naszych etiopskich braci i siostry z pustyni. Sprowadziliśmy do domu rosyjskich Żydów, irańskich Żydów i francuskich Żydów. Sprowadziliśmy tych, którzy przeżyli okropności Holokaustu. Ale to będzie przedsięwzięcie bezprecedensowe – bezprecedensowe w historii Izraela i historii świata. Mamy jednak do czynienia z bezprecedensowym kryzysem. Jedyne sposoby, by zapobiec naszej całkowitej zagładzie, to odpowiedzieć całą naszą siłą.

W ciągu pierwszych dwudziestu czterech godzin lotów sprowadzimy do Izraela pięćdziesiąt tysięcy Żydów.

Do końca trzeciego dnia trzysta tysięcy.

Siódmego dnia diaspora będzie w domu: milion Żydów, walczących ramię w ramię z żydowskimi braćmi i siostrami. Z pomocą tych Aaronów i Hurów nasze ramiona nie tylko będą zwycięsko wzniesione, lecz będziemy też mogli dyktować warunki pokoju”.

# Dziś nie jestem mężczyzną

Rozwinęli Torę na wyspie kuchennej i Sam zaintonował śpiew z łaską, która nigdy wcześniej nie dotknęła żadnego członka rodziny Blochów – łaską bycia w pełni sobą. Irvowi takiej łaski brakowało, wstydził się płaczu i dusił go w sobie. Julia też jej nie miała, za bardzo przejmowała się etykietą, by odpowiedzieć na swój najpierwotniejszy odruch i podejść do syna, stanąć u jego boku. Jacobowi również jej brakowało, bo przejmował się tym, co myślą inni.

Tora leżała zamknięta i ubrana w szafce, z której wyjęto półki i przybory plastyczne. Otaczający Sama mężczyźni zajęli miejsca, by on w samotności śpiewnie recytował swoją haftarę, co robił powoli, zdecydowanie, z ostrożnością okulisty przeprowadzającego operację na własnych oczach. Rytuały zostały dopełnione. Pozostała już tylko jego przemowa.

Sam stał przy bimie wyspy kuchennej. Wyobrażał sobie snop przyćmionego światła, który pada z jego czoła, stwarzając wszystko, co przed nim: jarmułkę na głowie Benjy'ego (*Ślub Jacoba i Julii, 23 sierpnia 2000*), tańs spowijający jego dziadka jak niedokończone przebranie ducha, puste składane krzeselko, na którym siadywał pradziadek.

Okrzyżył wyspę, potem ruszył niezdarnie między krzesłami i położył rękę na ramieniu Maxa. W fizycznej bliskości, której żaden z nich nie zniósłby w żadnej innej chwili, Sam wziął twarz Maxa w dłoń i szepnął mu coś na ucho. Nie był to żaden plan. Ani tajemnica. Ani wiadomość. Max roztopił się jak świeca na jorrajt<sup>36</sup>.

Sam wrócił na drugą stronę wyspy.

– Witajcie, zebrani. No więc. Tak. Cóż. Cóż mogę powiedzieć? Wiecie, jak to czasem jest, gdy ktoś zdobywa nagrodę i udaje, że taki był pewny, że jej nie dostanie, że nie zawracał sobie głowy przygotowaniem przemówienia? Nie wierzę, żeby choć raz w historii ludzkości była to prawda. A przynajmniej nie w przypadku Oscara albo czegoś równie ważnego, co pokazuje się w telewizji. Domyślam się, że ludzie uważają, że gdy powiedzą, że nie przygotowali przemowy, zrobią wrażenie skromnych albo, co gorsza, twardo stąpających po ziemi, ale tak naprawdę wychodzą na totalnie nieszczerych narcyzów. Przypuszczam, że przemowa z okazji bar micwy jest jak samolot w środku burzy: jak już w tym tkwisz, nie ma drogi ucieczki, trzeba przez to przejść. Tego wyrażenia nauczył mnie pradziadek, mimo że od jakichś trzydziestu lat nie leciał samolotem. Uwielbiał różne zwroty. Myślę, że dzięki nim czuł się Amerykaninem. Tak naprawdę to nie jest przemowa. Szczerze mówiąc, nie sądziłem, że tu będę, dlatego nie przygotowywałem niczego poza moją pierwotną przemową z okazji bar micwy, która teraz nie miałaby żadnego sensu, zważywszy że wszystko całkowicie się zmieniło. Ale dużo nad nią pracowałem, więc jeśli ktokolwiek chce, pewnie mógłbym mu ją potem wysłać mejlem. W każdym razie napomknąłem o tej sprawie z aktorami, którzy twierdzą, że nie przygotowali przemowy, ponieważ być może pokazując swoją świadomość tego, jak niewiarygodne jest mówienie, że jest się nieprzygotowanym, mogę dać wam powód, żebyście mi uwierzyli. Prawdziwe pytanie brzmi, dlaczego przejmuję się tym, czy mi wierzycie. W każdym razie dziadek Irv robił coś takiego, że dawał mnie i Maxowi pięć dolców, kiedy wygłosiliśmy przemowę, która go do czegoś przekonała.

Kiedykolwiek, o czymkolwiek. No więc ciągle wygłaszaliśmy krótkie przemówienia: o tym, dlaczego ludzie nie powinni mieć psów, dlaczego windy sprzyjają otyłości i powinno się ich zabronić, dlaczego za naszego życia roboty pokonają ludzi, dlaczego należy się pozbyć Bryce'a Harpera, dlaczego pacnięcie muchy jest w porządku. Nie istniało nic, czego byśmy nie próbowali dowieść, bo nawet jeśli nie potrzebowaliśmy pieniędzy, pragnęliśmy ich. Lubiliśmy, gdy było ich coraz więcej. Albo chcieliśmy wygrywać. Albo żeby nas kochano. Wspominam o tym, bo sądzę, że dzięki temu staliśmy się całkiem nieźli w mówieniu z głowy, co właśnie teraz mam zrobić. Dzięki, dziadku. Po pierwsze, wcale nie chciałem mieć bar micwy. Mój sprzeciw nie miał podstaw moralnych ani intelektualnych, uważałem po prostu, że to gigantyczna strata czasu. Więc może jednak to kwestia moralna? Nie wiem. Zakładam, że sprzeciwiłbym się nadal, nawet gdyby rodzice autentycznie mnie słuchali albo zaproponowali inne spojrzenie na bar micwę. Nigdy się tego nie dowiemy, bo powiedziano mi po prostu, że to robimy, bo to robimy. Na tej samej zasadzie nie jemy cheeseburgerów, bo tego nie robimy. Mimo że jemy czasem prawdziwe kalifornijskie krabowe *maki*, choć to też jest coś, czego nie robimy. I często nie przestrzegamy szabatu, mimo że to coś, co robimy. Nie mam żadnego problemu z hipokryzją, jeśli służy ona samej sobie, ale nie pasuje mi przykładanie logiki „tego, co robimy” do bar micwy. Więc próbowałem ją sabotować. Starałem się nie nauczyć haftary, ale mama włączała nagranie, gdy tylko byliśmy w samochodzie, i prawdę mówiąc, moja haftara jest niewiarygodnie chwytliwa: w rodzinie wszyscy potrafią ją recytować, a Argus z pierwszym wersem zaczyna machać ogonem. Zachowywałem się paskudnie wobec korepetytora, ale był całkiem zadowolony, łykając upokorzenia, które mu fundowałem, dopóki mógł realizować czeki od rodziców. Jak część z was może wie, zostałem oskarżony o napisanie kilku niestosownych słów w szkole hebrajskiej. Mimo że to straszne, gdy ci nie wierzą, z przyjemnością myślałem o kłopotach, w nadziei, że dzięki nim uniknę *tego*. Jak widać, nie udało się. Nigdy dotąd o tym nie myślałem, ale przyszło mi do głowy, że nie wiem, czy kiedykolwiek próbowałem czemuś w moim życiu zapobiec. To znaczy oczywiście starałem się schodzić z linii uderzenia pałkarzom i wiele wysiłku wkładałem w to, żeby nie korzystać z pisuarów bez osłonek, ale mam na myśli jakieś *wydarzenie*. Nigdy nie próbowałem nie dopuścić do urodzin albo, nie wiem, Chanuki. Może mój brak doświadczenia kazał mi sądzić, że to będzie łatwiejsze. Ale pomimo wszelkich starań żydowski wiek męski był coraz bliżej. Potem doszło do trzęsienia ziemi, a to zmieniło wszystko. I umarł pradziadek, co też wszystko zmieniło, i wszyscy zaatakowali Izrael, i wydarzyło się całe mnóstwo innych rzeczy, w które nie czas ani pora się tutaj wdawać, i nagle wszystko było inaczej. I podczas gdy wszystko się zmieniało, powody, dla których nie chciałem mieć bar micwy, też się zmieniły i stały się poważniejsze. Nie chodziło tylko o gigantyczną stratę czasu – jeśli się nad tym zastanowić, to tamten czas zdążył już przepaść. I nie chodziło nawet o to, że wiedziałem, że po mojej bar micwie wydarzy się wiele złych rzeczy, więc próba jej powstrzymania była tak naprawdę próbą zapobieżenia wszelkim nieprzyjemnym sprawom. Nie da się zatrzymać biegu wydarzeń. Można się tylko z niego wypisać, jak pradziadek Isaac, albo całkowicie się poświęcić, jak mój tata, który podjął tę ważną decyzję, by ruszyć do Izraela i walczyć. A może to tata postanowił się stamtąd, czyli *stąd*, wypisać, a dziadek poświęcił się całkowicie? W tym roku czytaliśmy w szkole *Hamleta*, wszyscy kojarzą całą tę sprawę z „Być albo nie być”. Rozmawialiśmy o tym przez jakieś trzy kolejne lekcje czy coś takiego – o wyborze między

życiem a śmiercią, działaniem a namysłem, czymś tam a czymś tam. W sumie zmierzało to donikąd, aż moja przyjaciółka Billie powiedziała coś niesamowicie mądrego: „Czy nie istnieje inna możliwość poza tymi dwiema? Na przykład: przede wszystkim być albo przede wszystkim nie być, oto jest pytanie”. Skłoniło mnie to do myśli, że może jest też tak, że nie do końca trzeba wybierać. „Być albo nie być. Oto jest pytanie”. Być *oraz* nie być. Oto jest odpowiedź. Mój kuzyn z Izraela Noam – to jego tata, Tamir, o tam – powiedział mi, że bar micwa to nie coś, co masz, bar micwą się stajesz. Miał rację i mylił się. Bar micwa to coś, co się ma, *oraz* coś, czym człowiek się staje. Oczywiście *mam* dziś bar micwę. Wyrecytowałem swoją parszę z Tory i haftarę i nikt nie przystawiał mi pistoletu do głowy. Chciałbym jednak wykorzystać tę okazję, by jasno dać wszystkim do zrozumienia, że *nie staję* się bar micwą. Nie prosiłem o to, by być mężczyzną, nie chcę być mężczyzną i odmawiam bycia mężczyzną. Tata opowiedział mi kiedyś historię z dzieciństwa o martwej wiewiórce na trawniku. Patrzył, jak dziadek się nią zajmuje. Po wszystkim powiedział do dziadka: „Nie mógłbym tego zrobić”. Na co dziadek odparł: „Jasne, że byś mógł”. Tata na to: „Nie mógłbym”. „Kiedy jesteś tatą, nie ma nikogo po tobie”, oświadczył dziadek, a tata powiedział: „I tak bym nie mógł”. Dziadek na to: „Im bardziej nie będziesz chciał tego zrobić, tym więcej będzie w tobie taty”. Nie chcę taki być, więc nie będę. A teraz pozwólcie, że wyjaśnię, dlaczego napisałem tamte słowa.



# O Żydzi, nadszedł wasz czas!

„O muzułmanie, nadeszła godzina! Wojna Boga przeciwko Jego wrogom zakończy się triumfem! Zwycięstwo w Świętej Ziemi Palestyny jest w zasięgu ręki sprawiedliwych. Wywrzemy pomstę za Lod, wywrzemy pomstę za Hajfę, Akkę i Dajr Jasin, wywrzemy pomstę za pokolenia męczenników, wywrzemy pomstę, chwała Allachowi, za Al-Kuds<sup>37</sup>! Och, Al-Kuds, gwałcone przez Żydów, traktowane jak dziwka przez synów wieprzy i małp, przywrócimy ci twą koronę i chwałę!

Spalili Kubbat as-Sachrę do gołej ziemi. Ale to oni będą płonąć. Zwracam się do was słowami, które przepelniały serca tysięcy męczenników: *Chajbar, Chajbar ja jahud, dżajsz Muhammad saufa ja'ud!*<sup>38</sup>. Jak Prorok Mahomet, pokój z Nim, pokonał perfidnych Żydów pod Chajbarem, tak też armie Mahometa ostatecznie dziś ich upokorzą!

O Żydzi, nadszedł wasz czas! Na wasz ogień odpowiemy ogniem! Spalimy wasze miasta i wioski, szkoły i szpitale, każdy dom! Żaden Żyd nie będzie bezpieczny! Przypominam wam, o muzułmanie, czego Prorok, pokój z Nim, nas naucza: w Sądny Dzień nawet kamienie i drzewa przemówią – słowami lub bez słów – i powiedzą: «O sługo Allacha, o muzułmaninie, Żyd się za mną czai; chodź i go zabij!»”.

# Wracajcie do domu

„Patrzcie na mnie – powiedział Gedeon swym ludziom, stawiającym czoła Madianitom niedaleko od miejsca, w którym teraz stoję. – I czyńcie to samo co ja. Oto ja dojdę do krańca obozu, a co ja będę czynić, i wy czyńcie. Gdy zatrąbię w róg ja i wszyscy, którzy są ze mną, wówczas i wy zatrąbicie w rogi dokoła obozu i będziecie wołać: «Za Pana i za Gedeona!». Na widok i dźwięk naszej jedności wróg poszedł w rozsypkę i zbiegł.

Większość Żydów postanowiła nie mieszkać w Izraelu, Żydzi nie dzielą dziś jednego zbioru politycznych i religijnych przekonań, nie dzielą także kultury ani języka. Ale płyniemy tą samą rzeką historii.

Do Żydów ze świata ci, którzy byli przed wami – wasi dziadkowie, pradziadkowie – i ci, którzy przyjdą po was – wasze prawnuki i praprawnuki – wołają: «Wracajcie do domu».

Wracajcie do domu, nie tylko dlatego, że dom was potrzebuje, lecz dlatego, że wy potrzebujecie domu.

Wracajcie do domu, by walczyć nie tylko o przetrwanie Izraela, ale i o swoje własne.

Wracajcie do domu, bo naród bez domu nie jest narodem, tak jak człowiek bez domu nie jest człowiekiem.

Wracajcie do domu nie dlatego, że zgadzacie się ze wszystkim, co robi Izrael, nie dlatego, że uważacie, że Izrael jest doskonały albo przynajmniej trochę lepszy od innych krajów. Wracajcie do domu nie dlatego, że Izrael jest taki, jak byście chcieli, ale dlatego, że jest *wasz*.

Wracajcie do domu, bo historia zapamięta, co wybierze każdy z was w tym momencie.

Wracajcie do domu, a wygramy tę wojnę i zaprowadzimy trwały pokój.

Wracajcie do domu, a odbudujemy to państwo silniejszym i bliższym tego, czym miało się stać, niż przed zniszczeniem.

Wracajcie do domu i bądźcie kolejną dłonią trzymającą długopis piszący historię żydowskiego ludu.

Wracajcie do domu i podtrzymujcie rękę Mojżesza wysoko w górze. A potem, gdy karabiny ostygną, a budynki wzniosą się tam, gdzie dawniej stały, tyle że dumniejsze, ulice zaś będą rozbrzmiewać głosami bawiących się dzieci, odnajdziecie swoje imiona nie w Księdze Lamentacji, lecz w Księdze Życia.

A później, dokądkolwiek postanowicie się udać, zawsze będziecie w domu”.

# Dziś nie jestem mężczyzną

– Kilka tygodni temu wszyscy zadreżczali się tym, jak będą wyglądały moje przeprosiny w przemowie z okazji bar micwy. Jak wyjaśnię moje zachowanie? Czy w ogóle się do tego przyznam? Kiedy mnie obwiniano, nie miałem ochoty się tłumaczyć, a tym bardziej przeproszać. Ale teraz, gdy inne sprawy przyciągają uwagę wszystkich i nikogo to już tak naprawdę nie obchodzi, chciałbym się wytłumaczyć i przeprosić. Moja przyjaciółka Billie, o której już wspomniałem, stwierdziła, że uciekam się do wyparcia. Billie jest naprawdę piękna, mądra i dobra. Odpowiedziałem jej: „Może po prostu osiągnąłem pokój wewnętrzny”. „Pokój pomiędzy czym a czym?”, spytała. Pomyślałem, że to bardzo interesujące pytanie. „Naprawdę nie stosuję wyparcia”, powiedziałem, na co ona odparła: „Dokładnie to powiedziałaaby osoba, która coś wypiera”. Ja na to: „Ale jak rozumiem, ty niczego nie wypierasz?”, na co ona: „Każdy trochę wypiera”. „W porządku – odparłem – w takim razie nie wypieram więcej niż przeciętny człowiek”. „Powiedz to, co najtrudniejsze”, nalegała. A ja na to: „Że co?”. „Nie chodzi mi – powiedziała Billie – że już w tej chwili. Nie wiedziałbyś nawet, co to takiego, dopóki długo i z całych sił byś się nad tym nie zastanowił. Ale jak już się namyślisz, masz mi powiedzieć”. „A jeśli wiem?”. „Nie wiesz”. „Ale jeśli?”. „Poprosiłabym cię – powiedziała – żebyś wybrał słowa, ale wiem, że zbyt wiele wypierasz, żeby powiedzieć mi, czego tak naprawdę chcesz”. Co oczywiście było prawdą. „Może właśnie to najtrudniej powiedzieć”, stwierdziłem. „Co? – spytała. – Że chcesz mnie pocałować? To nie łapie się nawet do pierwszej setki”. Dużo myślałem o tym, co powiedziała. Zastanawiałem się nad tym w szkole hebrajskiej tego dnia, gdy napisałem tamte słowa. Sprawdzałem tylko, jakie każde z nich budzi uczucie, jak trudno je napisać i powiedzieć do siebie samego. Dlatego to zrobiłem. Ale nie w tym rzecz. Rzecz w tym, że popełniłem błąd. Myślałem, że *najtrudniej* powiedzieć to, co *najgorsze*. Ale w sumie bardzo łatwo jest mówić okropne rzeczy: kretyń, cipa – obojętne. W pewnym sensie to nawet łatwiejsze, bo dokładnie wiemy, jak brzydkie to słowa. Nie ma w nich nic strasznego. To, co naprawdę trudno powiedzieć, bierze się trochę z niewiedzy. Jestem tutaj dlatego, że zdałem sobie sprawę, że najtrudniej wypowiedzieć nie słowa ani zdania, ale zdarzenie. To, co najtrudniejsze, nie może być czymś, co mówi się do siebie. Potrzebny jest do tego ktoś, komu najtrudniej to powiedzieć.

# O Żydzi, nadszedł wasz czas!

„O muzułmanie, Bóg żąda od swych sług śmierci tych Żydów. Wzywam bojowników Koranu, by stoczyli ostatnią bitwę przeciwko zwierzętom, które zabijają proroków. O muzułmanie, czyż muszę wam opowiadać historię o kobiecie, która podała Prorokowi, pokój z Nim, zatrute jagnię, by Go zabić? Prorok, pokój z Nim, powiedział do swych towarzyszy: «Nie jedzcie jagnięcia. Mówi, że ma w sobie truciznę». Ale było za późno dla jego towarzysza, Biszra Ibn al-Bary, który zmarł od trucizny. Żydówka próbowała zabić Proroka, pokój z Nim, ale – chwała Panu – nie udało się jej. Taka oto jest natura Żydów, tego dwakroć przeklętego ludu! Będą próbowali was zabić, ale Allah zaszczepi w waszych sercach wiedzę o ich haniebnych czynach i ocali was. Musicie czynić, jak Prorok, pokój z Nim, uczynił z Żydem Kenaną Ibn al-Rabim, który ukrył skarb Żydów z plemienia Banu an-Nadir. Prorok, pokój z Nim, powiedział Az-Zubajrowi Ibn al-Awwamowi: «Torturuj tego Żyda, dopóki nie dowiesz się tego, co wie». Przyłożył mu rozgrzane żelazo do piersi, a ten niemal zmarł. Potem zaś Prorok, pokój z Nim, przywiódł Żyda Kenanę przed oblicze Muhammada Ibn Maslamy, a ten skrócił go o głowę! Następnie wziął Żydów Kenany w niewolę. Najpiękniejszą z żydowskich kobiet Mahomet, pokój z Nim, wziął zaś dla siebie! Oto nasza droga, o muzułmanie! Niech Prorok będzie wam nauczycielem w kontaktach z Żydami!

O bracia Palestyńczycy! Pamiętajcie! Kiedy muzułmanie, Arabowie, Palestyńczycy prowadzą wojnę przeciwko Żydom, czynią to, by oddawać cześć Allahowi. Przystępują do wojny jako muzułmanie! Hadis nie mówi: «O sunnici, o szyici, o Palestyńczycy, o Syryjczycy, o Persowie, idźcie w bój». Mówi: «O muzułmanie!». Zbyt długo walczyliśmy sami ze sobą i przegrywaliśmy. Teraz będziemy walczyć razem i zwyciężymy.

Walczymy w imię islamu, albowiem islam nakazuje nam toczyć wojnę, póty nie przyjdzie kres, z każdym, kto grabi naszą ziemię. Kapitulacja jest drogą Szatana!”.

# Wracajcie do domu

Ale po ostatnim słowie premiera ujęcie ani drgnęło. Premier wytrzymał spojrzenie kamery. I kamera wytrzymała. Z początku wydawało się, że to niezręczny błąd podczas transmisji, ale nie był to przypadek.

Premier spoglądał przed siebie.

Kamera patrzyła na wprost.

A potem premier zrobił coś tak niewymownie symbolicznego, tak potencjalnie kiczowatego, tak bardzo, ale to bardzo przesadzonego, że pociągało za sobą ryzyko połamania nóg potencjalnym odbiorcom, w chwili gdy przymierzali się do koniecznego skoku wiary.

Wyjął szofar spod mównicy. I w żaden sposób nie wyjaśniając jego znaczenia – jego biblijnej bądź historycznej doniosłości, zamiaru wzbudzenia u Żydów skruchy i skłonienia ich do powrotu, nie dzieląc się nawet tym, że ten konkretny szofar, ten po dwakroć zawinięty róg barani miał dwa tysiące lat, że był to szofar znaleziony w Masadzie, ukryty w wodopoju i zakonserwowany dzięki żarowi pustyni, że w jego wnętrzu znajdowały się ślady biologiczne szlachetnego żydowskiego męczennika – przyłożył go do ust.

Kamera się nie ruszyła.

Premier wciągnął powietrze i tchnął w barani róg cząsteczki wszystkich Żydów, którzy kiedykolwiek stąpali po Ziemi: oddech królów-wojowników i handlarzy ryb, krawców, swatów i producentów wykonawczych, koszernych rzeźników, wydawców o radykalnych poglądach, kibucników, konsultantów do spraw zarządzania, chirurgów ortopedów, grabarzy i sędziów, pełen wdzięczności śmiech kogoś z ponad czterdziestką wnucząt zgromadzonych wokół niego na sali szpitalnej, sztuczny jęk prostytutki ukrywającej dzieci pod łóżkiem, na którym całowała w usta nazistów, westchnienie starożytnego filozofa w chwili olśnienia, płacz ledwie osieroczonego dziecka samego w lesie, ostatni pęcherzyk powietrza wypływający z Sekwany i pękający, gdy Paul Celan tonął z kieszeniami pełnymi kamieni, słowo „jasne” z ust pierwszej żydowskiej kosmonautki przypiętej do fotela zwróconego ku wieczności. I oddech tych, którzy nigdy nie żyli, lecz od których żywota zależna była żydowska egzystencja: patriarchów, matriarchiń i proroków, ostatnią prośbę Abła, śmiech Sary na wieść o cudzie, Abrahama składającego w ofierze Bogu i synowi to, czego nie mógł ofiarować im obu: swoje „Oto jestem”.

Premier wycelował szofar pod kątem czterdziestu pięciu stopni, sześćdziesięciu stopni i ekrany telewizyjne w Nowym Jorku i w Los Angeles, w Miami, Chicago i Paryżu, w Londynie, Buenos Aires, Moskwie i Melbourne zdrząły. Zatrzęsły się.

# Dziś nie jestem mężczyzną

– Najtrudniej powiedzieć to, co najtrudniej usłyszeć: zmuszony do wyboru pomiędzy rodzicami, byłbym w stanie go dokonać. Rozmawiałem o tym z Maxem i Benjym i gdyby ich zmusić, obaj również zdołaliby wybrać. Dwóch z nas wybrałoby jedno, trzeci drugie z rodziców, ale uzgodniliśmy, że zmuszeni wybierać, wszyscy zdecydowalibyśmy się na to samo, żebyśmy mogli zostać razem. Kiedy przed kilkoma tygodniami brałem udział w symulacji obrad ONZ, kraj, który reprezentowaliśmy, Mikronezja, nagle wszedł w posiadanie broni jądrowej. Nie prosiliśmy o broń jądrową ani nie chcieliśmy jej, bo broń jądrowa jest właściwie pod każdym względem okropna. Ale ludzie mają tę broń z pewnego powodu – żeby nigdy nie musieć z niej skorzystać. To tyle. Skończyłem.

Nie uklonił się, a oni nie klaskali. Nikt się nie ruszył ani nie odezwał. Sam jak zwykle nie wiedział, co zrobić ze swoim ciałem. Ale organizm, którym był pokój pełen rodziny i przyjaciół, wydawał się zależeć od jego ruchu. Gdyby się rozplakał, ktoś by go pocieszył. Gdyby wybiegł, ktoś wybiegłby za nim. Gdyby poszedł po prostu porozmawiać z Maxem, wszyscy zaczęliby sobie opowiadać szmoncesy. Ale gdyby wciąż tam stał, z zaciśniętymi w pięści dłońmi, oni również nadal by stali.

Jacob pomyślał, że może by zaklaskać, uśmiechnąć się i powiedzieć coś czerstwego w stylu: „Czas na szamkę!”.

Julia pomyślała, że może podeszłaby do Sama, oplotła go ramionami i dotknęła głową jego głowy.

Nawet Benjy, który z racji tego, że nigdy się nie namyślał, zawsze wiedział, co robić, stał bez ruchu.

Irv pragnął przejąć władzę jako nowy patriarcha rodziny, ale nie wiedział jak. Czy miał piątkę w kieszeni?

Billie, stojąca na środku pokoju, powiedziała:

– Na razie.

Wszyscy odwrócili się w jej stronę.

– Co? – spytał Sam.

Nie trzeba było przekrzykiwać żadnego dźwięku, lecz mimo to krzyknęła:

– Na razie.

# O Żydzi, nadszedł wasz czas!

Wiwaty nie ustawały długo po tym, jak ajatollah opuścił rękę uniesioną po raz ostatni w geście solidarności. Długo po tym, jak zniknął za tymczasową sceną w otoczeniu dwunastu goryli w cywilu. Wiwaty – oklaski, skandowanie, krzyki, śpiewy – nie ustawały po tym, jak powitał go szereg najbliższych doradców, z których każdy całował ajatollaha i błogosławił mu. Później wsadzono go do samochodu bez klamek, z grubymi na dwa cale szybami i odwieziono. Wiwaty nie ustawały i wzmagaly się, ale bez grawitacyjnego środka ciężkości tłum ruszył we wszystkich kierunkach.

Wolf Blitzer i uczestnicy programu zaczęli omawiać wystąpienie – nie mając czasu, by ułożyć sobie w głowie tłumaczenie, sięgali po cytaty za cytatem, dopóki nie poskładali ich z powrotem w całość zupełnie nie po kolei – ale kamera nadal pokazywała tłum. Plac Azadi nie był w stanie pomieścić ludzkiej masy, pompując ją do pobliskich ulic jak krew, nie był w stanie pomieścić jej także kadr kamery.

Jacob wyobrażał sobie, że wszystkie ulice w Teheranie wypełniają ludzie wymachujący pięściami i walący się w piersi. Wyobrażał sobie, że wszystkie parki i miejsca spotkań są przepełnione tak jak plac Azadi. Kamera pokazała zbliżenie na kobietę uderzającą wierzchem dłoni we wnętrze drugiej, raz za razem, potem na chłopca, który krzyczał, siedząc ojcu na barana – cztery ręce w powietrzu. Widać było ludzi na balkonach, na dachach, na drzewach. Ludzi na samochodach i markizach z blachy falistej, zbyt gorących, by dotknąć ich gołą skórą.

Słowa ajatollaha wsączyły się do ponad miliarda otwartych uszu, na placu było dwieście tysięcy nieruchomych par oczu, a Żydzi stanowili dwa promile ludności świata, ale oglądając powtórkę przemówienia – ajatollaha wymachującego pięściami, falowanie tłumy – Jacob myślał tylko o swojej rodzinie.

Zanim po urodzeniu Sama pozwolili im zabrać go ze szpitala do domu, Jacob musiał wysiedzieć na piętnastominutowym kursie omawiającym Dziesięcioro Przykazań Opieki nad Noworodkiem: NIE BĘDZIESZ POTRZAŚAŁ DZIECKIEM; BĘDZIESZ PIELEGNOWAŁ KIKUT PĘPOWINY ZA POMOCĄ WACIKA NASĄCZONEGO CIEPŁĄ WODĄ Z MYDŁEM PRZYNAJMNIEJ RAZ DZIENNIE; BĘDZIESZ ZWRACAŁ UWAGĘ NA CIEMIĄCZKO; KARM DZIECKO SWOJE JEDYNIEM MLEKIEM MATKI LUB MLEKIEM POCZĄTKOWYM, OD JEDNEJ DO TRZECH UNCJI CO DWIE-TRZY GODZINY, I NIE ODBIJAJ DZIECKA, GDY ZAŚNIE PO KARMIENIU, i tak dalej. Wszystko, co każdy, kto chodził do szkoły rodzenia, spędzał czas w towarzystwie niemowlęcia albo po prostu urodził się jako Żyd, już wie. Ale dziesiąte przykazanie wytrąciło Jacoba z równowagi. ZAPAMIĘTAJ: TO NIE BĘDZIE TRWAĆ ZAWSZE.

# Wracajcie do domu

Po tym, jak goście udali się do domów, kierowca Ubera przyjechał po Torę, Tamir zabrał wszystkie dzieciaki na mecz Natsów (gdzie dzięki troskliwej pomysłowości Maxa o bar micwie Sama poinformowano na tablicy wyników w trakcie przerwy podczas siódmego inningu), po chwili niepotrzebnego mejlowania, po spacerze z Argusem do rogu ulicy – Jacobowi i Julii zostało sprzątanie. Gdyby, zanim urodziły im się dzieci, poproszono ich, żeby opisali swoje wyobrażenia związane z rodzicielstwem, mówiliby rzeczy w rodzaju: „czytanie w łóżku”, „kąpanie” czy „trzymanie siodełka roweru i biegnięcie”. Rodzicielstwo składa się z takich chwil ciepła i bliskości, ale nimi nie jest. Jest sprzątaniami. Ogromna większość życia rodzinnego nie wiąże się z wzajemnym okazywaniem miłości ani żadnym znaczeniem, a tylko ze spełnieniem. Spełnienie nie oznacza uczucia pełni, lecz wypełnianie tego, co teraz przypada tobie.

Julia ostatecznie nie zgodziła się na papierowe talerzyki – nie mogła się do tego zmusić – więc trzeba było trochę pozmywać. Jacob zapełnił zmywarę po brzegi, a resztę naczyń umyli ręcznie, na zmianę zmywając i wycierając.

– Miałaś rację, że mu nie uwierzyłaś – powiedział Jacob.  
– Najwyraźniej. Ale ty miałaś rację, że powinniśmy byli mu uwierzyć.  
– Źle to rozegraliśmy?  
– Nie wiem – odparła Julia. – To w ogóle było pytanie? Z dziećmi wszystko jest jakoś tam źle rozegrane. Dlatego staramy się uczyć i w przyszłości działać mniej nieumiejętnie. Ale przez ten czas one się zmieniają, więc lekcja nie ma zastosowania.

– Mecz o honor.  
Oboje się zaśmiali.  
– Mecz o miłość.

Gąbka prawie całkiem zamieniła się w papkę, jedyna czysta ścierka do naczyń była mokra, a płynu do zmywania została resztką i trzeba było go rozcieńczyć, ale dali sobie radę.

– Słuchaj – zaczął Jacob – nie chodzi o fatalizm, ale o odpowiedzialność: załatwiłem całą masę spraw z księgową i prawnikiem, i...

– Dziękuję – powiedziała Julia.  
– W każdym razie wszystko jest całkiem jasno i szczegółowo wytłumaczone w dokumencie, który położyłem na twoim stoliku nocnym. W zaklejonej kopercie, na wypadek gdyby któryś z chłopców na to natrafił.

– Nie zginiesz.  
– Oczywiście, że nie.  
– Nawet nie pojedziesz.  
– Pojadę.

Julia włączyła młynek do odpadków w zlewozmywaku, a Jacobowi przyszło na myśl, że gdyby był imitator dźwięków, któremu przydzielono zadanie wygenerowania krzyku szatana dobiegającego z piekła, mógłby po prostu przystawić mikrofon do tego, co teraz słyszał.



– Jeszcze jedno – powiedział.

– Co?

– Poczekam, aż skończysz.

Wyłączyła młynek.

– Pamiętasz, że wspominałem, że od długiego czasu pracuję nad programem?

– Nad tajemnym arcydziełem.

– Nigdy tak tego nie określałem.

– O nas.

– Tylko ogólnie.

– Tak, wiem, do czego się odnosisz.

– W prawej dolnej szufladzie mojego biurka jest egzemplarz.

– Całości?

– Tak. A na wierzchu leży biblia.

– Biblia?

– Do programu. Coś w rodzaju poradnika, jak go czytać. Dla przyszłych aktorów, przyszłego reżysera.

– Czy dzieło nie powinno mówić samo za siebie?

– Nic nie mówi samo za siebie.

– Sam mówi. Sam za siebie.

– Gdyby program był Samem, biblia nie byłaby potrzebna.

– A gdybyś ty był Samem, nie potrzebowałbyś programu.

– Zgadza się.

– Dobrze. A zatem twój program i biblia do niego są w prawej dolnej szufladzie biurka.

A na wypadek gdybyś naprawdę poleciał do Izraela i, nie wiem, poległ w boju? Mam to wysłać do twojego agenta?

– Nie. Proszę, Julio.

– Spalić?

– Nie jestem Kafką.

– To co?

– Miałem nadzieję, że to przeczytasz.

– Jeśli zginiesz.

– I tylko wtedy.

– Nie wiem, czy wzrusza mnie to, jak otwarty jesteś w tej chwili, czy jak zamknięty na co dzień.

– Słyszałaś, co powiedział Sam: „Być oraz nie być”.

Julia wytarła blat i przewiesiła ścierkę do naczyń przez kran.

– I co teraz?

– Cóż – zaczął Jacob, wyjmując telefon z kieszeni, żeby sprawdzić godzinę. – Trzecia. Za wcześnie, żeby iść spać.

– Jesteś zmęczony?

– Nie – odrzekł. – Tylko przyzwyczajony do bycia zmęczonym.

– Nie wiem, co to znaczy, ale w porządku.

– Wpionionego morza wstyd.

– Że co?

– Nie zakładaj, że to musi znaczyć cokolwiek. – Jacob położył dłoń na blacie i dodał: – Ciebie, oczywiście. To, co mówił Sam.

– Co mówił o czym?

– Wiesz. Kogo by wybrał.

– Tak – przytaknęła z czymś w rodzaju uśmiechu – oczywiście, że mnie. Pytanie brzmi tak naprawdę, kto jest odszczepieńcem.

– Możliwe, że był to mały element wojny psychologicznej.

– Pewnie masz rację.

Znów się zaśmiali.

– Dlaczego nie poprosiłaś, żebym nie leciał do Izraela?

– Bo po szesnastu latach rozumie się to samo przez się.

– Spójrz! Płaczące hebrajskie dziecko.

– Spójrz! Głucha córka faraona.

Jacob wsunął ręce do kieszeni i powiedział:

– Znam język migowy.

– Co? – Julia się roześmiała.

– Mówię zupełnie poważnie.

– Nie, nie.

– Znam go tak długo jak ty mnie.

– Pieprzysz od rzeczy.

– Nie.

– To pokaż na migi „pieprzę od rzeczy”.

Jacob wskazał siebie, następnie wykonał ruch otwartą prawą dłonią nad lewą pięścią, potem wyciągnął prawą dłoń z kciukiem wystającym do góry, zacisnął na kciuku lewą dłoń i pociągnął w górę, puszczając kciuk.

– Skąd mam niby wiedzieć, czy to prawdziwy znak?

– Jest prawdziwy.

– To pokaż „życie jest długie”.

Jacob ułożył ręce tak jak dzieci, kiedy pokazują pistolety, wycelował palce wskazujące w swój brzuch, a potem powiódł nimi w górę tułowia ku szyi. Następnie wyciągnął przed siebie lewą rękę, wskazał pięść prawym palcem wskazującym i ruszył nim w górę ręki ku barkowi.

– Chwila, płaczesz? – spytał Jacob.

– Nie.

– Ale jesteś blisko?

– Nie – zaprzeczyła. – A ty?

– Zawsze jestem blisko płaczu.

– Pokaż: „Spójrz! Płaczące hebrajskie dziecko”.

Jacob przystawił prawą rękę do twarzy, mniej więcej na wysokości oczu, wyciągnął palce wskazujący i środkowy i wyrzucił dłoń do przodu – dwoje oczu poruszających się w przestrzeni. Później przebiegł palcami wskazującymi – jednym po drugim – po policzkach, jakby malował na swojej twarzy łzy. Następnie prawą ręką pogłaskał wyimaginowaną brodę. Potem ułożył dłonie w kołyskę, grzbietami do dołu, i zaczął nią bujać w tę i z powrotem na wysokości brzucha.

– To głośkanie po brodzie? To „Hebrajczyk”?

– Hebrajczyk, Żyd. Tak.

– Niezła sztuka: znak zarazem antysemicki i mizoginistyczny.

– Na pewno wiesz, że naziści byli w większości głusi.

– Tak, wiem o tym.

– I Francuzi, i Anglicy, i Hiszpanie, i Włosi, i Skandynawowie. Praktycznie wszyscy poza nami.

– To właśnie dlatego twój ojciec zawsze krzyczy.

– Zgadza się – zaśmiał się Jacob. – A przy okazji: „skąpiec” wygląda tak samo jak „Żyd”, tyle że na końcu zaciska się pięść.

– Jezu.

Jacob rozłożył wyprostowane ręce na boki i przechylił głowę w prawą stronę. Julia roześmiała się i ścisnęła gąbkę, aż jej knykcie zrobiły się białe.

– Naprawdę nie wiem, co powiedzieć, Jacobie. Trudno mi uwierzyć, że trzymałeś w tajemnicy cały język.

– Nie trzymałem go w tajemnicy. Po prostu nikomu o nim nie mówiłem.

– Czemu?

– Kiedy napiszę pamiętnik, nazwę go *Wielką księgą czemów*.

– Słyszac tytuł, ludzie mogą pomyśleć, że to wielka księga *dzemów*.

– Niech myślą.

– Poza tym myślałam, że nazwałeś go Biblią.

Julia wyłączyła radio, które nie wiadomo jak długo grało bez głosu.

– Różne kraje mają różne języki migowe, tak?

– Tak.

– W takim razie jaki jest żydowski znak na „Żyda”?

– Nie mam pojęcia – odparł Jacob. Wziął telefon i wygugłał: „hebrajski język migowy żyd”. Odwrócił telefon w stronę Julii i powiedział: – Taki sam.

– Smutne.

– Tak? Nie?

– Na kilku poziomach.

– A jaki ty byś stworzyła? – spytał Jacob.

– Gwiazda Dawida wymagałaby niezłej giętkości.

– Może dłoń na czubku głowy?

– Niezłe – stwierdziła Julia – ale nie nadaje się dla kobiet. Ani dla znakomitej większości żydowskich mężczyzn takich jak ty, którzy nie noszą jarmułek. Może dłonie otwarte jak książka?

– Bardzo dobre – powiedział Jacoba – ale czy niepiśmienni Żydzi nie są Żydami? A dzieci?

– Nie miałam na myśli czytania książki, ale samą książkę. Może Torę. Albo Księgę Życia. Jak się pokazuje „życie”?

– Pamiętasz „życie jest długie”? – odparł, raz jeszcze robiąc z dłoni pistolety, a potem ruszając palcami wskazującymi w górę tułowia.

– No to tak – powiedziała Julia, kładąc dłonie przed sobą, otwierając je jak książkę, a następnie przesuwając je w górę tułowia, jakby przepychała książkę przez płuca.

– Zaproponuję to wstępnie na następnym zebraniu Mędrców Syjonu.

– Jak pokazać „goja”?

– Goja!? A kogo to, kurwa, obchodzi?

Julia się roześmiała, Jacob też.

– Nie mogę uwierzyć, że tak zupełnie sam znałeś jakiś język.

Eliezer Ben-Jehuda sam wskrzesił język hebrajski. Inaczej niż większość syjonistów nie przejawiał zapału do stworzenia państwa Izrael, żeby jego lud miał ojczyznę. Chciał, żeby ojczyznę miał jego język. Wiedział, że bez państwa – bez miejsca, gdzie Żydzi mogą się targować, przeklinać, tworzyć świeckie prawa i kochać się – język nie przetrwa. A bez języka ostatecznie nie będzie narodu.

Syn Ben-Jehudy, Itamar, był pierwszym rodzimym użytkownikiem hebrajskiego od ponad tysiąca lat. Wychowywano go tak, że nie wolno mu było słuchać żadnego innego języka ani w żadnym innym języku mówić. (Ojciec Itamara zgromił raz jego matkę za to, że śpiewa rosyjską kołysankę). Rodzice nie pozwalali mu bawić się z innymi dziećmi – żadne z nich nie mówiło po hebrajsku – ale, by osłodzić nieco jego samotność, podarowali mu pieska, który wabił się Maher, co po hebrajsku oznacza „szybki”. Było to swego rodzaju znęcanie się nad dzieckiem. A jednak bardzo możliwe, że to bardziej Itamar niż jego ojciec był odpowiedzialny za pierwszy raz, kiedy współczesny Żyd opowiedział po hebrajsku sprośny dowcip, powiedział innemu Żydowi po hebrajsku, żeby się odpierdolił, pisał po hebrajsku na sądowej maszynie stenograficznej, wykrzykiwał po hebrajsku słowa, których wykrzyczeć nie zamierzał, wreszcie po hebrajsku jęczał z rozkoszy.

Jacob ustawił ostatnie wytarte kubki na półce, do góry dnem.

– Co robisz? – spytała Julia.

– Robię to po twojemu.

– I nie zamartwiasz się histerycznie, czy wyschną do końca bez odpowiedniej cyrkulacji powietrza?

– Nie, ale nie nabrałem też nagłej obawy, że nazbiera się w nich kurz. Po prostu mam dość spierania się.

Bóg polecił Mojżeszowi, by włożył do arki zarówno nietknięte, jak i zniszczone tablice. Żydzi nieśli je – połamane i całe – przez czterdzieści lat swej wędrówki i umieścili jedne i drugie w Świątyni Jerozolimskiej.

Dlaczego? Dlaczego ich po prostu nie zakopali, jak należało postąpić ze świętym tekstem? Albo ich nie zostawili, jak należało postąpić z bluźnierstwem?

Dlatego że były nasze.

# VII Biblia

## JAK ZAGRAĆ SMUTEK

Nie istnieje, więc ukryć go jak nowotwór.

## JAK ZAGRAĆ STRACH

Dla śmiechu.

## JAK ZAGRAĆ PŁACZ

Na pogrzebie mojego dziadka rabin opowiedział, jak córka faraona odnalazła Mojżesza. „Spójrz! – wykrzyknęła, otwierając koszyk. – Płaczące hebrajskie dziecko”. Rabin poprosił dzieci, żeby spróbowały wyjaśnić, co powiedziała córka faraona. Benjy zasugerował, że Mojżesz „płakał po żydowsku”.

– Jak brzmiałby płacz po żydowsku? – spytał rabin.

Max wystąpił naprzód w kierunku pustego grobu i powiedział:

– Może jak śmiech?

Ja cofnąłem się o krok.

## JAK ZAGRAĆ SPÓŹNIONY ŚMIECH

Stosuj humor agresywnie jak chemię. Śmieję się, aż wypadną ci włosy. Nie istnieje coś, z czego nie można by się pośmiać. Kiedy Julia mówi: „Jest nas tylko dwoje. Tylko ty i ja przy telefonie”, roześmiej się i powiedz: „I Bóg. I Agencja Bezpieczeństwa Narodowego”.

## JAK ZAGRAĆ ZNIKNIĘCIE WŁOSÓW

Nikt nie ma zielonego pojęcia, ile ma włosów – zarówno dlatego, że nie możemy tego zobaczyć na własne oczy (nawet za pomocą wielu luster, uwierzcie), jak i dlatego, że nasze oczy są nasze.

Czasem, gdy chłopcy byli jeszcze na tyle mali, by nie kwestionować pytań (i można im było zaufać, że nie wspomną o tym innym), pytałem ich, jak bardzo jestem łysy. Skłaniałem głowę, układałem włosy tak, żeby odsłonić miejsce, gdzie – według mnie – rzedły, i prosiłem, by mi opisali mnie samego.

– Wyglądają normalnie – mówili zazwyczaj.

– A tutaj?

- Praktycznie tak samo jak wszędzie indziej.
- A nie wydaje się, jakby było ich tutaj mniej?
- Nie bardzo.
- Nie bardzo? Czy nie?
- Nie?

– Proszę cię teraz o pomoc. Czy mógłbyś rzucić na to porządnie okiem i udzielić mi porządnej odpowiedzi?

To, co zostało z moich włosów, było produktem interwencji farmaceutycznej – małe rączki Aarona i Hura ścisnęły kurczowo cebulki, wyciągając je z wnętrza mojej czaszki. Winą za łysienie obarczałem geny, a także stres. Pod tym względem nie różniło się od całej reszty.

Propecia działa, hamując wydzielanie testosteronu. Jednym z dobrze udokumentowanych i powszechnie doświadczanych skutków ubocznych jest spadek libido. To fakt, nie opinia ani próba obrony. Żałuję, że nie potrafiłem podzielić się tym z Julią. Ale nie mogłem, dlatego że nie mogłem pozwolić, żeby wiedziała, że biorę propecję, bo nie potrafiłem się przyznać, że przejmuję się tym, jak wyglądam. Lepiej było pozwolić jej myśleć, że nie jest w stanie mnie podniecić.

Kąpałem się z Benjym kilka miesięcy po tym, jak dzieci zaczęły spędzać czas u mnie w domu. Rozmawialiśmy o *Odysei*, której wersję dla dzieci niedawno skończyliśmy czytać, i o tym, jak bolesne musiało być dla Odyseusza ukrywanie tożsamości, gdy w końcu wrócił do domu, a także o tym, dlaczego było to konieczne.

– Nie wystarczy tylko wrócić do domu – powiedział. – Trzeba móc tam zostać.

– Tak bardzo masz rację, Benjy – zgodziłem się. Zawsze używałem jego imienia, gdy byłem z niego dumny.

– W sumie jesteś trochę łysy – rzucił.

– Co?

– Jesteś jakby łysy.

– Tak?

– Trochę, tak.

– Czy przez cały ten czas starałeś się chronić moje uczucia?

– Nie wiem.

– W którym miejscu jestem łysy?

– Nie wiem.

Nachyliłem się, ale nie poczułem żadnego dotyku.

– Benjy? – spytałem, zwrócony twarzą do wody.

– Nie jesteś łysy.

Podniosłem głowę.

– W takim razie dlaczego to powiedziałaś?

– Bo chciałem, żebyś poczuł się lepiej.

## JAK ZAGRAĆ PRAWDZIWĄ ŁYSINĘ

W święta chodziliśmy do restauracji Great Wall Szechuan House, w piątkę. Unosiliśmy dzieci na wysokość akwarium, aż nam się trzęsły ręce, i zamawialiśmy wszystkie gorące

przystawki, w których nie było wieprzowiny. W ostatnie takie Boże Narodzenie moje ciasteczko informowało: „Nie jesteś duchem”. Kiedy czytaliśmy wróżby na głos w ramach rytuału, spojrzałem na „Nie jesteś duchem” i powiedziałem: „Zawsze istnieje jakiś sposób”.

Dwanaście lat później straciłem wszystkie włosy w ciągu miesiąca. W tamtą Wigilię niespodziewanie pojawił się Benjy z taką ilością chińszczyzny, że można by nią wykarmić pięcioosobową rodzinę.

– Wzięłeś wszystkiego po jednym? – spytałem, wyśmiewając własną miłość do cudownie absurdalnej obfitości.

– Wszystkiego, co *trejf*<sup>39</sup>.

– Martwisz się, że jestem samotny?

– Martwisz się, że się martwię?

Jedliśmy na kanapie z talerzami na kolanach, na stoliku piętrzyły się parujące białe pudełka. Zanim Benjy ponownie sobie nałożył, postawił pusty talerz na przepelnionym stoliku, rękoma objął moją głowę i skierował ją w dół. Gdyby nie było to tak nieoczekiwane, znalazłbym jakieś wyjście. Ale skoro już się działo, poddałem się: położyłem ręce na kolanach i zamknąłem oczy.

– Nie wystarczy ci rąk, co?

– Nie potrzebuję rąk.

– Ach, Benjy.

– Mówię poważnie – powiedział. – Głowa pełna włosów.

– Lekarz, Bóg wie ile lat temu, ostrzegł mnie, że to się stanie: jak tylko przestaniesz pan brać tabletki, straci je pan wszystkie naraz. Nie uwierzyłem mu. A może myślałem, że będę wyjątkiem.

– Jakie to uczucie?

– Móc pokroić chleb, mając wzwód?

– Tato, *jem*.

– Być w stanie robić pompki z założonymi rękoma?

– Przepraszam, że wyraziłem zainteresowanie – powiedział, nie mogąc powstrzymać kącików ust przed mimowolnym uniesieniem się w uśmiechu.

– Wiesz co, któregoś razu potrzebne mi było jajko.

– Naprawdę? – spytał, podejmując grę.

– Tak. Akurat coś piekłem...

– Często pieczesz.

– Bez przerwy. Aż dziw bierze, że tego nie robię, opowiadając ten dowcip. Tak czy siak, coś tam piekłem i odkryłem, że brakuje mi jednego jajka. Najgorzej, co?

– Nie może być nic gorszego.

– Prawda? – Obaj zaczynaliśmy kipieć z oczekiwania. – No więc zamiast wlec się do sklepu przez śnieg, żeby kupić jedenaście jajek, których nie chciałem, pomyślałem, że sprawdzę, czy nie mógłbym jednego pożyczyć.

– I właśnie dlatego National Jewish Book Award za 1998 rok wisi w twoim gabinecie.

– *Jidysze kop*<sup>40</sup> – powiedziałem, pukając się w czoło.

– Żałuję, że nie jesteś moim prawdziwym tatą – stwierdził Benjy ze zwilgotniałymi od powstrzymywanego śmiechu oczyma.

– No więc otworzyłem okno... – Nie byłem pewien, czy uda mi się z puentą, która cały

czas się formowała, gdy się do niej zbliżałem. – No więc otworzyłem okno, napisałem i wyreżyserowałem pięciosekundową fantazję, w której wystąpiłem i na którą zabrakłoby „XXX-ów”, a moja nabrzmiała żołądz zadzwoniła do drzwi po drugiej stronie ulicy.

– Sąsiadka miała jajko? – spytał Benjy, niemal skręcając się od powstrzymanego śmiechu.

– Sąsiad.

– Sąsiad!

– Nie, nie miał.

– Co za dupek.

– I przypadkiem go oślepiłem.

– Jakby tego było mało.

– Nie, poczekaj. Chwileczkę. Spytaj jeszcze raz, czy miała jajko.

– Mam pytanie.

– Pozwól, że spróbuję na nie odpowiedzieć.

– Miała jajko?

– Twoja mama? Owszem.

– Cuda-niewidy!

– I przypadkiem je zapłodniłem.

Śmiech, który hamowaliśmy, nigdy się nie rozległ. Wzdychaliśmy, uśmiechaliśmy się, rozsiadaliśmy, kiwaliśmy głowami bez powodu.

– To musi być ulga – powiedział Benjy.

– Co musi?

– W końcu wyglądać tak, jak się wygląda.

Spojrzałem na „Będziesz dużo podróżować” i powiedziałem:

– Nie jestem duchem.

Benjy miał pięć lat, gdy zaczęliśmy *Opowieści z „Odysei”*. Czytałem je Samowi i Maxowi i za każdym razem im dalej zaszliśmy, tym wolniej czytaliśmy, aż w końcu robiliśmy to z prędkością jednej strony na wieczór. Pierwszego wieczora dotarliśmy z Benjym do cyklopów. Przytrafił mi się jeden z tych rzadkich momentów, kiedy człowiek zdaje sobie sprawę, co się dzieje, w momencie gdy się to dzieje – Benjy był moim ostatnim dzieckiem i po raz ostatni czytałem ten fragment. Już tego nie będzie.

– „Dlaczego? – czytałem. – Dlaczego rozbijasz spokój nocy swymi okrzykami?” – Każdej przerwie dawałem przestrzeń, otwierając zdania tak bardzo, jak to możliwe. – „«Kto cię zranił?». «NIKT!», odkrzyknął Polifem, wijąc się na dnie swojej jaskini. «Nikt próbował mnie zabić! Nikt mnie oślepił!»”.

## JAK ZAGRAĆ NIKOGO

Powiedziałem Julii, że nie chcę, żeby jechała z nami na lotnisko. Położyłem dzieci do snu jak każdego innego wieczora, bez nadmiernie dramatycznych pożegnań, powiedziałem, że będę na FaceTimie tak często, jak to możliwe, i wrócę za tydzień albo dwa z walizką pełną najrozmaitszych pierdółek. Wyszedłem, gdy spali.

– Możesz to zrobić, jak tylko chcesz – powiedziała. – Ale mogę cię spytać, albo może spytaj sam siebie, na co takiego czekasz?



– Co przez to rozumiesz?

– Dla ciebie wszystko to „nic wielkiego”. Przez całe życie raz podniosłeś głos, żeby mi oznajmić, że jestem twoim wrogiem.

– Nie miałem tego na myśli.

– Wiem. Ale nie masz też na myśli milczenia. Jeśli to jest nic wielkiego – pożegnanie z dziećmi, zanim pójdziesz na wojnę – to co jest wielkie? Co to takiego, te wielkie mecyje, na które czekasz?

Ojciec zawiózł nas na lotnisko MacArthura w Islip na Long Island. Siedziałem obok niego, a z tyłu Barak zasypiał i budził się z głową na piersi Tamira. Pięć godzin drogi. W radiu relacjonowano pierwszy dzień operacji Ręce Mojżesza. Reporterzy stacjonowali na wyznaczonych lotniskach na całym świecie, ale ponieważ było jeszcze wcześnie, informacje oparte były na spekulacjach, ilu ludzi posłucha wezwania. Było to przeciwieństwo podróży z lotniska Washington National do domu, którą odbyliśmy kilka tygodni wcześniej.

Z tyłu i z przodu samochodu toczyły się różne rozmowy; niewiele słyszałem z tego, co przelatywało między Tamirem a Barakiem, zaś ojciec, którego głos nie mieścił się w małych przestrzeniach, odnalazł wreszcie szept.

– Na miejscu będzie Gabe Perelman – powiedział. – Rozmawiałem wczoraj wieczorem z Herschem. Zobaczymy wielu znajomych.

– Pewnie tak.

– Glenna Mechlinga. Larry’ego Movermana.

– Z mamą w porządku, tak? Rano była niepokojąco nonszalancka.

– Jak to matka. Ale nic jej nie będzie.

– A tobie?

– Cóż mogę powiedzieć? Taka cena głoszenia niepopularnych prawd. Wyłączyłem sygnał w telefonie domowym. A bagiety postawiły na rogu lodówkę. Mówiłem, żeby tego nie robili. Nalegali, powiedzieli, że nie ja decyduję. To minie.

– Nie, chodziło mi o mój wyjazd.

– Czytałeś, co napisałem. Każdą cząstką siebie pragnę, żebyś nie musiał jechać, ale wiem, że musisz.

– Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje.

– To dlatego, że mnie nie słuchałeś przez ostatnie dwadzieścia lat.

– Dłużej.

Nie spuszczając wzroku z drogi, położył rękę na moim udzie i powiedział:

– Też w to nie mogę uwierzyć.

Zatrzymaliśmy się na krawężniku. Lotnisko było zamknięte, obsługiwało wyłącznie loty do Izraela. Z dwunastu samochodów wyszli mężczyźni, nikt nie machał pękatym mieczem świetlnym i nie wołał „Ruchy, ruchy”, ale było tam dwóch gości w wojskowej zieleni, z karabinami maszynowymi przyciśniętymi do piersi. Wyjaliśmy worki marynarskie z bagażnika i stanęliśmy przy samochodzie.

– Barak nie wyjdzie? – spytałem.

– Śpi – odparł Tamir. – Pożegnaliśmy się w samochodzie. Tak jest lepiej.

Ojciec położył Tamirowi rękę na barku i powiedział:

– Jesteś dzielny.

– To nie jest odwaga.

– Kochałem twojego ojca.

– A on ciebie.

Ojciec skinął głową. Położył rękę na drugim barku Tamira i zaczął:

– Ponieważ go już nie ma...

I tyle wystarczyło. Jakby wiedzę na temat tego, co w tej chwili robić, zaszczepiono mu w dniu narodzin, Tamir odstawił worek na ziemię, opuścił ręce i lekko się skłonił. Ojciec położył mu dłonie na głowie i powiedział:

– *Jewarechecha Adonaj wejiszmerecha*. Niech Bóg cię błogosławi i strzeże. *Jaer Adonaj panaw eleicha wichuneka*. Niech Bóg rozświetla dla ciebie Swoje oblicze i okazuje ci łaskę. *Jisa Adonaj panaw eleicha wejasem lecha szalom*. Niech Bóg zwróci ku tobie Swoje oblicze i ześle ci pokój.

Tamir podziękował mojemu ojcu i powiedział, że się przejdzie i spotkamy się w środku. Kiedy zostaliśmy tylko we dwóch, ojciec się roześmiał.

– Co?

– Wiesz, jakie były ostatnie słowa Lou Gehriga, prawda? – spytał.

– „Nie chcę umierać”?

– „Do diabła, choroba Lou Gehriga! Powinienem być się tego spodziewać”<sup>41</sup>.

– Zabawne.

– Powinniśmy byli się tego spodziewać.

– Ty się spodziewałeś.

– Nie, tylko tak mówiłem.

Barak przebudził się, spokojnie rozejrzał wokoło, a następnie – zakładając być może, że nadal śni – zamknął oczy i oparł czoło o szybę.

– Będiesz codziennie zaglądał do domu, tak?

– Oczywiście – powiedział ojciec.

– I zabieraj dzieci. Daj Julii od czasu do czasu odpocząć.

– Oczywiście, Jacobie.

– Dopilnuj, żeby mama jadła.

– Zamieniłeś nas miejscami.

– Kolega z „Timesa” powiedział, że nie jest nawet w przybliżeniu tak źle, jak to brzmi.

Izrael celowo robi wiele, by sytuacja wydawała się gorsza, niż jest, w nadziei na większe wsparcie ze strony Amerykanów. Stwierdził, że przejaskrawiają wszystko, żeby osiągnąć jak najkorzystniejszy pokój.

– „Times” to antysemicki wymaz z pochwy.

– Mówię tylko, żebyś się nie bał.

Jakby wiedzę na temat tego, co w tej chwili robić, zaszczepiono mi w dniu narodzin, skłoniłem głowę. Ojciec położył mi na niej ręce. Czekałem. Jakby wiedzę na temat tego, co w tej chwili robić, zaszczepiono mu w chwili moich narodzin, jego dłonie zaczęły się zbliżać i palce zacisnęły się na moich włosach, zatrzymując mnie w miejscu. Czekałem na błogosławieństwo, które nie miało nadejść.

## JAK ZAGRAĆ CISZĘ

Najpierw spytaj: „O jaki rodzaj ciszy chodzi?”. KRĘPUJĄCA CISZA nie jest CISZĄ

ZAWSTYDZENIA. CISZA BEZ SŁÓW nie jest CISZĄ NIEWYPOWIEDZIANĄ ani CISZĄ SUBTELNYCH PRZEMILCZEŃ. I tak dalej. I dalej, i dalej. Potem spytaj: „O jaki rodzaj samobójstwa bądź poświęcenia chodzi?”.

## JAK ZAGRAĆ PODNIESIONE GŁOSY

Podniosłem głos na drugiego człowieka tylko dwa razy w życiu. Za pierwszym razem, gdy Julia pokazała mi esemesy i wypchnięty z samokontroli ku samemu sobie krzyknąłem: „Jesteś moim wrogiem!”.

Nie pamiętała, że przejąłem te słowa od niej. Kiedy rodziła Sama (jej jedyny poród naturalny), podążała czterdziestogodzinną spiralą coraz głębszego i bardziej izolującego cierpienia, dopóki – otoczeni tymi samymi czterema ścianami – nie znaleźliśmy się w innych pomieszczeniach. Położna powiedziała coś absurdalnego (coś, co w każdej innej sytuacji Julia zbyłaby, przewracając oczyma), a ja rzuciłem coś czułego (coś, na co w każdej innej sytuacji Julia by się rozpłakała i za co by mi podziękowała), Julia zaś jęczała jak niekobieta nieczłowiek, ściskając poręcz łóżka, jakby to była barierka bezpieczeństwa w kolejce górskiej, i patrząc na mnie wzrokiem bardziej szatańskim niż na jakimkolwiek zdjęciu z efektem czerwonych oczu. „Jesteś moim wrogiem!”, warknęła.

Trzydzieści lat później nie zamierzałem jej cytować i nie przyszło mi nawet do głowy, że to zrobiłem, dopóki później o tym nie napisałem. Julia zdawała się o tym nie pamiętać, podobnie jak o wielu rzeczach, które wydarzyły się w trakcie porodu.

Za drugim razem także podniosłem głos na nią. Wiele lat później. Dużo łatwiej było mi dawać to, o co nie byłem proszony ani czego nie byłem winien. Może nauczyłem się tego od Argusa – jedyny sposób skłonienia go, żeby wypuścił z zębów przyniesioną piłkę, polegał na tym, by sprawiać wrażenie obojętnego. A może Argus nauczył się tego ode mnie? Od kiedy prowadziliśmy oddzielne życie, niemożliwe stało się przepuszczenie mojego życia wewnętrznego przez kanał, który wciąż dzieliliśmy, czego pragnąłem. Dlatego że Julia wydawała się na nie obojętna – wydawała się albo była.

Przez długi czas nie rozmawialiśmy ze sobą, ale była kimś, z kim chciałem rozmawiać. Dzwoniłem, odbierała, dzieliliśmy się różnymi rzeczami, zupełnie jak nie za dawnych czasów.

- Przypuszczam, że potrzebowałem dowodu – oświadczyłem.
- Jestem dobrą duszą, do której dzwoniłeś, pamiętasz? – powiedziała.
- Pamiętasz, mówi się, że świat jest wyjątkowo otwarty?
- Co się z tobą stało? – spytała.

Nie oskarżała mnie ani nie rzucała wyzwania. Powiedziała to z obojętnością konieczną, bym wyrzucił z siebie wszystko.

Podniosłem głos na drugiego człowieka tylko dwa razy w życiu. Za każdym razem była to ta sama osoba. Ujmując to inaczej: znałem tylko jedną osobę w życiu. Ujmując jeszcze inaczej: pozwoliłem jednej osobie poznać siebie. W smutku wykraczającym poza gniew, ból i strach krzyknąłem na Julię:

- To niesprawiedliwe! Niesprawiedliwe! Niesprawiedliwe!

## JAK ZAGRAĆ ŚMIERĆ JĘZYKA

W synagodze z czasów mojej młodości – którą opuściłem, gdy poszedłem do college’u, i do której powróciłem, gdy Julia była w ciąży z Samem – była ściana pamięci z żaróweczkami świecącymi obok nazwisk tych, którzy zmarli w danym tygodniu danego roku. W dzieciństwie przestawiałem plastikowe litery składające się na nazwiska we wszelkie słowa, w jakie się dało. Ojciec mawiał, że nie ma brzydkich słów, można tylko brzydko ich użyć. Później, gdy sam zostałem ojcem, powtarzałem to moim chłopakom.

Ponad tysiąc czterystu członków gminy było w wieku poborowym. Z trzydziestu dwóch, którzy udali się do Izraela, zginęło dwudziestu czterech. Dwie dziesięciowatowe żaróweczki w kształcie płomienia przy każdym nazwisku. Ledwie czterysta osiemdziesiąt watów światła. Mniej niż w żyrandolu u mnie w salonie. Nikt nie ruszał tych nazwisk. Ale pewnego dnia zostaną ułożone w słowa. A przynajmniej taką można mieć nadzieję.

Wydaje się, jakby minęły wieki, odkąd szwendałem się po tym budynku. Pamiętam jednak zapachy: sidur jak zwiędłe kwiaty, stęchlizna koszyka z jarmużkami, arka pachnąca nowym samochodem. Pamiętam też powierzchnie: miejsce, gdzie stykały się szerokie pasy lnianej tapety, przypominające alfabet Braille’a tabliczki przymocowane do oparcí każdego z obitych aksamitem foteli, unieśmiertelniające szczodrość kogoś, kto najpewniej nigdy w nich nie usiądzie, zimna stal poręczy wyłożonych pluszem schodów. Pamiętam żar tamtych żarówek i chropowatość liter. Gdy siedzę przy biurku zasłanym tysiącami stron, kontynuując komentowanie komentarza, zastanawiam się, jak należy oceniać sposób użycia słów utworzonych z umarłych. I z żywych. Ze wszystkich żywych i umarłych.

## JAK ZAGRAĆ NIKOGO

W poczekalni było kilkuset mężczyzn. Kilkuset mężczyzn pochodzenia żydowskiego. Byliśmy obrzezani, dzieliliśmy żydowskie markery genetyczne, nuciliśmy te same starożytne melodie. Ile razy w dzieciństwie powtarzano mi, że nie ma znaczenia, czy myślę o sobie jako o Żydzie – wystarczy, że Niemcy tak o mnie myślą? W poczekalni bodaj pierwszy raz w życiu przestałem się zastanawiać, czy czuję się Żydem. Nie dlatego, że znalazłem odpowiedź, ale dlatego, że pytanie przestało się liczyć. Widziałem trochę ludzi, których znałem: starych kumpli, znajome twarze z synagogi, kilka osób publicznych. Nie dostrzegłem Gabe’a Perelmana ani Larry’ego Movermana, ale był Glenn Mechling. Skinęliśmy sobie głowami z przeciwnych końców olbrzymiego pomieszczenia. Niewiele było rozmów. Część mężczyzn siedziała w milczeniu, inni dzwonili z komórek – zapewne do swoich rodzin. Rozlegały się śpiewy: *Jeruszalaim szel zahaw... Hatikwa*<sup>42</sup>... Było to wzruszające, ale co znaczy „to”? Poczucie koleżeństwa? Najskrajniejsza wersja tego rozpoznania, jakie czułem z głuchym ojcem na zjeździe? Wspólne poświęcenie? Nagła świadomość historii, tego, jak jest nieistotna i wielka, tego, jak bezsilna i wszechmocna jest w niej jednostka? Strach?

Przez całe dorosłe życie pisałem książki i scenariusze, ale po raz pierwszy poczułem się jak bohater tekstu – poczułem, że skala mojego pierdółkowego istnienia, *dramatyzm* życia wreszcie są stosowne do przywileju bycia żywym.

Nie, to był drugi raz. Pierwszy był w jaskini lwa.

Tamir miał rację: moje problemy były nieistotne. Poświęciłem mnóstwo swojego skończonego ziemskiego czasu na błahe rozmyślania, błahe emocje, wślizgiwanie się pod

drzwiami do wolnych pokoiów. Ile godzin spędziłem w sieci, oglądając po raz kolejny te same durne filmiki, przepatrując dokładnie spisy domów, których nigdy nie kupię, klikając raz po raz, by sprawdzić, czy nie przysły zdawkowe mejle od ludzi, na których mi nie zależy? Ile siebie, ile swoich słów, uczuć i działań z przekonaniem powstrzymywałem? Odchyliłem się od siebie o ułamek stopnia, ale po tylu latach przebycie drogi powrotnej do siebie wymagało samolotu.

Śpiewali, znałem pieśń, ale nie wiedziałem, jak się do nich przyłączyć.

## JAK ZAGRAĆ KLUCIE NADZIEI

Zawsze wierzyłem, że wszystko, czego potrzebuję, by zupełnie odmienić swoje życie, to całkowita zmiana osobowości.

## JAK ZAGRAĆ DOM

Gdy skończyliśmy czytać *Opowieści z „Odysei”*, Max poczuł się opuszczony.

– Dlaczego? – spytał, odwracając się twarzą do poduszki. – Dlaczego musiały się skończyć?

– Nie chciałbyś przecież, żeby Odyseusz wiecznie wędrował, prawda? – powiedziałem, masując go po plecach.

– No to w takim razie po co w ogóle musiał opuścić dom?

Nazajutrz rano zabrałem go na targ w nadziei, że odnajdzie pocieszenie w wypiekach. Co drugą niedzielę przy głównym wejściu rozstawiało się przenośne schronisko dla zwierząt i często zatrzymywaliśmy się tam, żeby je podziwiać. Tego ranka uwagę Maxa przyciągnął golden retriever Stan. Nigdy nie rozmawialiśmy o sprawieniu sobie psa, a ja z pewnością nie miałem takiego zamiaru, zresztą nawet nie wiem, czy Max chciał tego konkretnego psa, ale powiedziałem:

– Jeśli chcesz zabrać Stana do domu, możemy to zrobić.

Wszyscy poza mną wpadli do domu. Julia była wściekła, ale nie dała tego po sobie poznać, dopóki nie znaleźliśmy się sami na szczycie schodów.

– *Znów* stawiasz mnie w sytuacji, w której albo muszę przystać na zły pomysł, albo muszę być złym policjantem.

Na dole chłopcy wołali:

– Stan! Stan, tutaj! Chodź! Chodź!

Spytałem kobietę prowadzącą schronisko, skąd jego imię – nazwanie tak psa wydało mi się dziwne. Odparła, że psy dostają imiona po wycofanych huraganach atlantyckich. Zważywszy, że tyle zwierząt przechodziło przez ośrodek, korzystanie z listy imion ułatwiało sprawę.

– Przepraszam, imiona po wycofanych czym?!

– Wie pan, w jaki sposób nazywa się huragany? Krąży się w obrębie jakiejś setki nazw. Ale jeśli huragan powoduje wyjątkowe zniszczenia lub jest wyjątkowo śmiertelny, wycofuje się jego imię – by okazać wrażliwość. Nie będzie już kolejnej Sandy.

Tak jak nie będzie kolejnego Isaaca.

Nie wiemy, jak miał na imię dziadek mojego dziadka.

Kiedy dziadek przybył do Ameryki, zmienił nazwisko z Blumenberg na Bloch.

Mój ojciec był pierwszą osobą w rodzinie, która miała „angielskie imię” i „hebrajskie imię”.

Kiedy zostałem pisarzem, eksperymentowałem z różnymi wersjami mojego imienia, z rozmaitym wykorzystaniem inicjałów, dodawaniem drugiego imienia, pseudonimami.

Im dalej byliśmy od Europy, z tym większej puli tożsamości musieliśmy wybierać.

„Nikt próbował mnie zabić! Nikt mnie oślepił!”.

Nadanie nowego imienia Stanowi było pomysłem Maxa. Powiedziałem, że to może zamącić psu w głowie.

– Ale musimy przecież sprawić, żeby był nasz – odrzekł Max.

## JAK ZAGRAĆ NIKOGO

Dano nam do wypełnienia jakieś proste formularze i ogłoszono, że mamy po kolei przejść przed mężczyzną w średnim wieku. Mężczyzna w kitlu poddawał każdego szybkim oględzinom i wskazywał jedną z kilkunastu długich kolejek, w których zaczęli grupować się mężczyźni mniej więcej w podobnym wieku. Skojarzenie z selekcją po wejściu na teren obozów koncentracyjnych wydawało się tak jednoznaczne i bezsprzeczne, że trudno sobie wyobrazić, by nie było zamierzone.

Kiedy dotarłem do początku mojej kolejki, przysadzista, może siedemdziesięcioletnia kobieta poprosiła, abym usiadł naprzeciwko niej przy składanym plastikowym stoliku. Wzięła moje papiery i zabrała się do wypełniania szeregu formularzy.

– *Atah medaber iwrit?*<sup>43</sup> – spytała, nie podnosząc wzroku.

– Słucham?

– *Lo medaber iwrit?*<sup>44</sup> – powiedziała, zakreślając kwadracik.

– Słucham?

– Żyd?

– Oczywiście.

– Proszę wyrecytować Szczę.

– *Szma Israel, Adonai*<sup>45</sup> ...

– Należy pan do gminy?

– Do Adas Israel.

– Jak często uczestniczy pan w nabożeństwach?

– Może ze dwa razy w roku.

– Przy jakich dwóch okazjach?

– W Rosz Haszanę i Jom Kipur.

– Języki poza angielskim?

– Trochę hiszpański.

– Z pewnością będzie to bardzo przydatne. Choroby przewlekłe?

– Brak.

– Żadnej astmy? Podwyższonego ciśnienia? Epilepsji?

– Nie. Miewam egzemę. Z tyłu na szyi, gdzie kończą się włosy.

– Próbował pan oleju kokosowego? – spytała, nadal nie podnosząc wzroku.

– Nie.

– To niech pan spróbuje. Szkolenie bądź doświadczenie wojskowe?

– Brak.

– Strzelał pan kiedyś z broni palnej?

– Nigdy nie miałem jej w rękach.

Zakreśliła kilka kwadracików, najwyraźniej nie czując potrzeby zadawania kolejnego zestawu pytań.

– Jest pan w stanie funkcjonować bez okularów?

– Dobrze funkcjonować?

Zakreśliła pole.

– Umie pan pływać?

– Bez okularów?

– Czy umie pan pływać?

– Oczywiście.

– Startował pan kiedykolwiek w zawodach pływackich?

– Nie.

– Ma pan jakiegokolwiek doświadczenie w wiązaniu węzłów?

– Jak chyba każdy?

Zakreśliła dwa kwadraciki.

– Potrafi pan odczytywać mapę topograficzną?

– Przypuszczam, że wiedziałbym, na co patrzę, ale nie wiem, czy to się kwalifikuje jako czytanie.

– Ma pan doświadczenie z elektrotechniką?

– Raz brałem...

– Nie umie pan rozbroić prostej bomby?

– Znaczący: *jak* prostej?

– Nie umie pan rozbroić prostej bomby.

– Nie umiem.

– Ile najdłużej wytrzymał pan bez jedzenia?

– Jom Kipur, jakiś czas temu.

– Jaką ma pan tolerancję na ból?

– Nie mam nawet pojęcia, jak można by odpowiedzieć na to pytanie.

– Odpowiedział pan – stwierdziła. – Czy był pan kiedykolwiek w stanie szoku?

– Prawdopodobnie. Właściwie tak. Często.

– Cierpi pan na klaustrofobię?

– Zdecydowanie.

– Jaki największy ciężar jest pan w stanie nieść?

– Fizyczny?

– Jest pan podatny na oddziaływanie ekstremalnego ciepła bądź zimna?

– A ktokolwiek nie jest?

– Uczulenie na leki?

– Jestem uczulony na laktozę, ale przypuszczam, że nie do końca o to pani pytała.

– Morfina?

- Morfina?!
- Zna pan zasady pierwszej pomocy?
- Nie odpowiedziałem w sprawie morfiny.
- Ma pan uczulenie na morfinę?
- Nie mam pojęcia.

Zapisała coś, co bezskutecznie próbowałem rozszyfrować.

- Nie chcę nie dostać morfiny, gdybym potrzebował morfiny.
- Istnieją inne sposoby, by ulżyć w cierpieniu.
- Równie dobre?
- Zna pan zasady pierwszej pomocy?
- Tak jakby.

– Będzie to tak jakby pocieszające dla kogoś, kto potrzebuje pierwszej pomocy. –

Studiując dokładnie papiery, które wypełniłem w kolejce, powiedziała: – W nagłym wypadku kontaktować się z...

- Napisałem.
- Z Julią Bloch.
- Tak.
- Kto to?
- Co?
- Nie zaznaczył pan pokrewieństwa.
- Oczywiście, że zaznaczyłem.
- W takim razie w tej rubryce użył pan atramentu sympatycznego.
- To moja żona.
- Zwykle żony wolą niezmywalne flamastry.
- Musiałem...
- Zapisał się pan jako dawca narządów w Stanach?
- Tak.
- Gdyby zginął pan w Izraelu, pozwoliliby pan, żeby wykorzystano tam pańskie organy?
- Taaak – powiedziałem, pozwalając „a” rozciągnąć się na sto stóp.
- Tak?
- Tak, gdybym zginął...
- Jaką ma pan grupę krwi?
- Grupę krwi?
- Ma pan krew?
- Tak.
- Jakiej grupy? A? B? AB? 0?
- Pyta pani o oddawanie czy przetaczanie?

W końcu po raz pierwszy, od kiedy zaczęliśmy rozmawiać, spojrzała mi w oczy.

- To ta sama grupa.

## JAK ZAGRAĆ SAMOBÓJCZE SŁOJE DRZEWA

Żeby leworęczność, pojawianie się bliźniaków albo rude włosy stały się cechą rodzinną (jak w przypadku mojej rodziny), muszą pojawić się wielokrotnie. Żeby stało się nią



samobójstwo, wystarczy jedna próba.

Akt zgonu dziadka otrzymałem od urzędu stanu cywilnego stanu Maryland. Chciałem się upewnić, że wiem to, co już wiedziałem. Charakter pisma koronera był tak czytelny jak druk, w przeciwieństwie do lekarskiego „uduszenia się przez powieszenie”. Zabił się około dziesiątej rano. W akcie napisano, że doniesienie złożył pan Kowalski, najbliższy sąsiad. Że mój dziadek nazywał się Isaac Bloch. Że urodził się w Polsce. Że powiesił się za pomocą paska wciśniętego między drzwi kuchenne i futrynę.

Kiedy jednak wyobrażałem to sobie w łóżku nocą, widziałem go przed domem, jak zwisa na linie z drzewa. Trawa w cieniu jego stóp powoli obumierała i obróciła się w splachetek gołej ziemi w poza tym dzikim, zarośniętym ogrodzie.

Później w nocy wyobrażałem sobie rośliny pnące się, by napotkać jego stopy, jakby ziemia próbowała odpokutować za swoje przyciąganie. Wyobrażałem sobie, że palmowe liście podtrzymują go jak ręce, lina się rozluźnia.

Jeszcze później (tej nocy prawie nie zmrużyłem oka) wyobrażałem sobie, że idę z dziadkiem przez las sekwojowy. Miał niebieską skórę i paznokcie długie na cal, ale poza tym wyglądał jak człowiek, z którym przy jego kuchennym stole jadałem ciemny chleb i kantalupę, człowiek, który, gdy powiedziano mu, by nie przebierał się publicznie w kostium kąpielowy, spytał: „Czemu nie?”. Isaac zatrzymał się przy potężnym obalonym drzewie i wskazał słoje.

– Ten tutaj to ślub moich rodziców. Było to zaaranżowane małżeństwo. Sprawdziło się. A tutaj – powiedział, wskazując inny słoje – to, jak Iser spadł z drzewa i złamał rękę.

– Iser?

– Mój brat. Dostałeś po nim imię.

– Myślałem, że dostałem imię po kimś, kto nazywał się Jakow.

– Nie. Tak ci tylko powiedzieliśmy.

– Jakim sposobem Iser stał się Jacobem?

– Iser to skrót od Izraela. Anioł nadał Jakubowi imię Izrael, po tym jak zmagał się z nim przez całą noc.

– Ile miał lat?

– A tutaj – powiedział, wskazując kolejny słoje – odszedłem z domu. Z Bennym. Cała reszta została, moi dziadkowie i rodzice, pięciu braci, i ja też chciałem zostać, ale Benny mnie przekonał. Zmusił mnie. A tu Benny i ja wsiadamy na różne statki: jeden do Stanów, drugi do Izraela. – Dotknął słoja i mówiąc, pozwolił paznokciowi ześliznąć się na zewnątrz, w stronę kory. – Tutaj urodziłeś się ty. A ten słoje to twoje dzieciństwo. Tu się ożeniłeś. Tutaj urodził się Sam, tu Max, tu Benjy. A tutaj – dotknął paznokciem krawędzi pnia, jak igła gramofonowa dotyka płyty – jest chwila obecna. A za nią – pokazał punkt w powietrzu, jakiś centymetr od pnia – jest chwila twojej śmierci, a tutaj – wskazał obszar nieco bliżej pnia – jest cała reszta twojego życia, tu zaś – wyjechał palcem tuż za krawędź pnia – jest to, co stanie się zaraz.

W jakiś sposób pojąłem, że ciężar jego wiszącego ciała przewrócił drzewo, wyjawiając naszą historię.

JAK ZAGRAĆ SIEDEM OKRĄŻEŃ

Nigdy nie potrafiłem przewidzieć, które religijne rytuały Julia uzna za piękne, a które za mizoginistyczne, moralnie odrażające albo po prostu głupie. Byłem więc zaskoczony, gdy chciała okrążyć mnie siedem razy pod chupą.

Podczas naszych przygotowawczych lektur (jej przygotowawczych lektur; ja poddałem się dość szybko) Julia dowiedziała się, że okrążenia odwzorowują biblijną historię Jozuego prowadzącego Izraelitów do Kanaanu. Kiedy dotarli do otoczonego murem miasta Jerycho i pierwszej bitwy, którą musieli stoczyć w drodze do Ziemi Obiecanej, Bóg polecił Jozuemu, by powiódł Izraelitów siedem razy wokół murów. Gdy tylko skończyli siódme okrążenie, mury runęły i Izraelici zdobyli miasto.

– Skrywasz swoją największą tajemnicę za murem – powiedziała tonem zdradzającym zarazem ironię i powagę – a ja otoczę cię miłością i mur się zawali.

– I zdobędziesz mnie.

– Zdobędziemy siebie.

– Wystarczy, że tak będę stał?

– Stój tak tylko, a potem się zawal.

– Jaka jest moja największa tajemnica?

– Nie wiem. Dopiero zaczynamy.

Dowiedziała się, dopiero gdy kończyliśmy.

## JAK ZAGRAĆ OSTATNIA W PEŁNI SZCZĘŚLIWĄ CHWILĘ

– Zróbmy coś wyjątkowego – zaproponowałem na miesiąc przed czterdziestymi urodzinami Julii. – Coś nie w naszym stylu. Imprezę. Prawdziwą balangę: z kapelą, furgonetką lodziarza, magikiem.

– Magikiem?

– Albo tancerzem flamenco.

– Nie – powiedziała. – To ostatnie, czego mogłabym pragnąć.

– Nawet jeśli ostatnie, to wciąż figuruje na liście.

Roześmiała się i odparła:

– To urocze, że o tym pomyślałeś. Ale zróbmy coś zwyczajnego. Smaczna kolacja w domu.

– Daj spokój. Będzie fajnie.

– Z mojej perspektywy fajna byłaby zwykła rodzinna kolacja.

Kilka razy próbowałem ją przekonać, ale dawała jasno do zrozumienia – z coraz większym naciskiem – że nie ma mowy o żadnych „wielkich mecyjach”.

– Czy aby na pewno nie za bardzo się zaklinasz?

– W ogóle się nie zaklinam. Najbardziej pragnę zjeść w spokoju smaczną kolację w rodzinnym gronie.

Tamtego ranka zrobiliśmy jej z chłopcami śniadanie do łóżka: świeży gofr, smoothie jarmużowo-gruszkowe, *huevos rancheros*.

Wyszeptaliśmy życzenia do słonia w zoo (stary urodzinowy zwyczaj nieznanego pochodzenia), pozbieraliśmy liście w parku Rock Creek, żeby wcisnąć je do Księgi Lat (kolejny zwyczaj), zjedliśmy obiad przy jednym z wystawionych na zewnątrz stolików w ulubionej greckiej restauracji Julii w Dupont Circle. Poszliśmy do galerii Phillips Collection, gdzie Sam i Max tak gorąco i nieudolnie udawali zainteresowanie, że Julia była

zmuszona powiedzieć: „Wiem, że mnie kochacie. Nie ma nic złego w tym, że się nudzicie”.

Robiło się ciemno, kiedy dotarliśmy do domu z sześcioma torbami artykułów spożywczych na kolację. (Nalegałem, żebyśmy nie robili zakupów pod kątem żadnego innego posiłku, mimo że kilku rzeczy potrzebowaliśmy. „Dziś – powiedziałem – nie będziemy praktyczni”). Dałem Samowi klucze i chłopcy pobiegli przodem do domu. Potem Julia i ja wyładowaliśmy zakupy na wyspę i zaczęliśmy odkładać łatwo psujące się artykuły. Nasze spojrzenia się spotkały i dostrzegłem, że płacze.

– Co się dzieje? – spytałem.

– Znienawidzisz mnie, jak ci powiem.

– Jestem pewien, że nie.

– Będziesz strasznie wkurzony.

– Jestem prawie pewien, że istnieje moratorium wkurzeniowe na urodziny.

I wtedy, pozwalając w końcu popłynąć łzom, Julia powiedziała:

– Tak naprawdę liczyłam na wielkie mecyje.

Zaśmiałem się.

– To nie jest śmieszne.

– To *jest* śmieszne, Julio.

– Nie chodzi o to, że wiedziałam, czego chcę, i ukryłam to przed tobą. Nie starałam się być rozczarowana.

– Wiem o tym.

– Miałam na myśli to, co wtedy powiedziałam. Naprawdę. Aż do teraz, i nie chodzi mi nawet o powrót do domu, ale o tę właśnie chwilę, nie zdawałam sobie sprawy, że pragnęłam czegoś wielkiego. Ale tak było. To takie głupie. Ile ja mam lat, osiem?

– Czterdzieści.

– No właśnie, co nie? Jestem czterdziestolatką, która nie wie, czego chce, dopóki nie jest za późno. A na domiar złego zrzucał to na ciebie, jakbyś mógł odpowiedzieć czymkolwiek innym niż poczucie winy lub ból.

– Masz – powiedziałem, podając jej pudełko makaronu orecchiette. – Odłóż na miejsce.

– Tylko tak daleko sięga twoje współczucie?

– A co z wkurzeniowym moratorium?

– To ulica jednokierunkowa i dobrze o tym wiesz.

– Odłóż na miejsce ten pretensjonalny makaron.

– Nie – odparła. – Nie. Nie dziś.

Zaśmiałem się.

– To nie jest śmieszne – oświadczyła, uderzając w blat.

– To takie śmieszne.

Złapała pudełko, rozdarła je i wysypała makaron na podłogę.

– Zrobiłam niezły burdel – powiedziała – i nawet nie wiem dlaczego.

– Odłóż na miejsce puste pudełko – nakazałem.

– *Pudełko?*

– Tak.

– Po co? – spytała. – Żeby stworzyć przygnębiający symbol?

– Nie – odparłem. – Dlatego że samozrozumienie nie jest warunkiem koniecznym bycia zrozumianym.

Zrobiła wdech, pojmując coś, czego jeszcze nie rozumiała, i otworzyła drzwi do spiżarni. Chłopcy, dziadkowie, Mark z Jennifer, David z Hannah, a także Steve i Patty wysypali się na zewnątrz, ktoś włączył muzykę i poleciał Stevie Wonder, ktoś inny wypuścił z szafy ściennej w korytarzu balony, które zadzwoniły o żyrandol, a Julia na mnie spojrzała.

## JAK ZAGRAĆ WSTYD EGZYSTENCJALNY

Spotkanie w Ikei z Maggie Silliman prześladowało mnie latami. Maggie była ucieleśnieniem mojego wstydu. Często budziłem się w środku nocy i pisałem do niej listy. Każdy zaczynał się tak samo: „Myliłaś się. Nie jestem dobrym człowiekiem”. Gdybym mógł być ucieleśnieniem własnego wstydu, może zostałemby oszczędzony. Może nawet byłbym dobry.

## JAK ZAGRAĆ NIEPEKNIĘTE PIERŚCIENIE

W ramach pierwszej sztuczki magik poprosił Julię, by wyciągnęła kartę z niewidzialnej talii.

– Niech pani na nią spojrzysz – powiedział – ale nie pozwól mi jej zobaczyć.

Posłuchała, przewracając oczyma.

– Wie pani, jaką ma pani kartę?

– Tak – skinęła głową. – Wiem, co mam.

– A teraz proszę rzucić ją przez pokój.

Z przesadzonym zaangażowaniem cisnęła niewidzialną kartą. Wspaniale było obserwować ten gest: jego sztuczność, wielkoduszność, to, jaki był szybki i zarazem jak długo trwał, ruch jej obrączki w powietrzu.

– Max. Masz na imię Max, prawda? Mógłbyś przynieść kartę, którą rzuciła twoja matka?

– Ale to niewidzialna karta – odparł, zwracając się do matki o pomoc.

– Przynieś ją i tak – powiedział magik, a Julia skinęła głową.

Max potruchtał radośnie przez pokój.

– Okej, mam ją! – krzyknął.

– Mógłbyś nam powiedzieć, co to za karta?

Max popatrzył na matkę i rzucił:

– Ale ja nie mogę jej zobaczyć.

– I tak nam powiedz – odparł magik.

– I nie mogę sobie przypomnieć, jakie są rodzaje kart.

– Kiery, kara, trefle i piki. Od dwójki do dziesiątki. Albo dzoker, walet, dama, król bądź as.

– Racja – powiedział Max, znów zwracając się do matki, która ponownie dała mu znać, że to w porządku. Przyjrzał się niewidocznej karcie, uniósł ją przed zmrużone oczy i powiedział: – Siódemka karo.

Magik nie musiał pytać Julii, czy to jej karta, ponieważ płakała. Kiwała głową i płakała.

Zjedliśmy trochę tortu, opróżniliśmy jadalnię i powygłupialiśmy się w tańcu, korzystaliśmy z papierowych talerzyków i sztuczków jednorazowego użytku.

Magik jeszcze trochę został, szczegółowo wyjaśniając sztuczki każdemu, kto tylko zwrócił

na niego uwagę.

– To było naprawdę wspaniałe – oznajmiłem, klepiąc go po plecach, niemile zaskoczony jego chudością. – Po prostu doskonałe.

– Cieszę się. Proszę się nie krępować i polecać mnie znajomym. W ten sposób łapię zlecenia.

– Ależ oczywiście.

Wykonał dla mnie klasyczną sztuczkę z połączonymi pierścieniami. Widziałem ją niezliczoną ilość razy, lecz nadal budziła dreszczyk emocji.

– Na moich piątych urodzinach w magika wcielił się tata – powiedziałem. – Od tego właśnie zaczął.

– Czyli wie pan, na czym to polega?

– Pęknięte pierścienie.

Podał mi je. Z pięć długich minut poświęciłem na poszukiwanie tego, co musiało tam być.

– Co się stanie, jeśli sztuczka pójdzie nie tak? – spytałem, niegotów jeszcze, by oddać pierścienie.

– Jak miałyby pójść nie tak?

– Ktoś wyjmie złą kartę albo pana okłamię, albo talia się rozsypie.

– Nigdy nie wykonuję sztuczki – odparł. – To proces. Nie oczekuję żadnego rezultatu.

W nocy powiedziałem w łóżku do Julii:

– On nie oczekuje żadnego rezultatu.

– Brzmi wschodnio.

– Ale zdecydowanie nie wschodnioeuropejsko.

– Nie.

Wyłączyłem światło przy łóżku.

– Ta pierwsza sztuczka. Czy tam *proces*. Max naprawdę trafił w twoją kartę?

– Tak naprawdę żadnej nie wybrałam.

– Nie?

– Chciałam, ale nie mogłam się zmusić.

– To dlaczego płakałaś?

– Bo Max jeszcze mógł.

## JAK ZAGRAĆ NIKOGO

Tej nocy gdy wróciłem z Islip, poszedłem prosto do chłopców. Była trzecia nad ranem. Benjy leżał powyginany w jednej z tych niemal niewyobrażalnie cudacznych pozycji, jakie przybierają dzieci we śnie: z pupą mocno w górze, sztywnymi nogami i ciężarem ciała wciskającym jego policzek w poduszkę. Przepocił pościel i chrapał jak maleńkie ludzkie zwierzątko. Wyciągnąłem rękę, ale zanim zdążyłem go dotknąć, gwałtownie otworzył oczy.

– Wcale nie spałem.

– Już dobrze – powiedziałem, przejeżdżając ręką po jego wilgotnych włosach. – Zamknij oczy.

– Nie spałem.

– Oddychałeś jak we śnie.

– Jesteś w domu.

– Jestem. Nie poleciałem.

Uśmiechnął się. Jego oczy zamknęły się zbyt wolno, żeby mogło to być świadome, i wyszeptał:

– Powiedz mi.

– Co mam ci powiedzieć?

Otworzył oczy, zobaczył, że nadal jestem obok, znowu się uśmiechnął i odparł:

– Nie wiem. Po prostu mi powiedz.

– Wróciłem do domu.

Zamknął oczy i spytał:

– Wygrałeś wojnę?

– Już śpisz.

Otworzył oczy i powiedział:

– Zastanawiam się tylko, jak ci było na wojnie.

– Nie pojechałem.

– Och. To dobrze. – Zamknął oczy i dodał: – Wiem, co to.

– Co co?

– To słowo na „ch”.

– Tak?

– Wyguglałem.

– Ach. W porządku.

Otworzył oczy. I choć tym razem się nie uśmiechnął, w jego głębokim oddechu mogłem dosłyszeć, że trwałość mojej obecności przyniosła mu ulgę.

– Nigdy go nie użyję – obiecał. – Nigdy.

– Dobranoc, kochany.

– Nie śpię.

– Ale zasypiasz.

Zamknął oczy. Pocałowałem go. Uśmiechnął się.

– To „ch” jak w „chodzić”? – spytał. – Czy jak w „chipsach”?

– Ale co?

– No, słowo na „ch”. Nie wiem, jak się je wymawia.

– Ale przecież nigdy go nie powiesz.

– Ale i tak chcę wiedzieć.

– Po co?

– Nigdzie już sobie nie pojedziesz, prawda?

– Nie – odrzekłem, bo nie wiedziałem, co mam powiedzieć: dziecku ani sobie.

## JAK ZAGRAĆ MIŁOŚĆ

Miłość nie jest pozytywnym uczuciem. Nie jest błogosławieństwem ani klątwą. Błogosławieństwo polega na tym, że to klątwa, a zarazem nie klątwa. MIŁOŚĆ DO DZIECI nie jest ZAMIŁOWANIEM DO DZIECI, nie jest MIŁOŚCIĄ MAŁŻEŃSKĄ, nie jest MIŁOŚCIĄ SYNOWSKĄ, nie jest MIŁOŚCIĄ DO SWOJEJ RODZINY WIELOPOKOLENIOWEJ, nie jest ZAMIŁOWANIEM DO IDEI RODZINY. ZAMIŁOWANIE DO JUDAIZMU nie jest UMIŁOWANIEM ŻYDOWSKOŚCI, nie jest MIŁOŚCIĄ DO IZRAELA ani MIŁOŚCIĄ DO BOGA.

ZAMIŁOWANIE DO PRACY nie jest MIŁOŚCIĄ DO SIEBIE. Nawet ZAMIŁOWANIE DO SIEBIE nie jest MIŁOŚCIĄ DO SIEBIE. UMIŁOWANIE NARODU, UMIŁOWANIE OJCZYZNY i UMIŁOWANIE DOMU RODZINNEGO nie mają punktów wspólnych. ZAMIŁOWANIE DO PSÓW jest wobec MIŁOŚCI DO ŚPIĄCEGO DZIECKA tym, czym ZAMIŁOWANIE DO PSÓW jest wobec MIŁOŚCI DO PSA. ZAMIŁOWANIE DO PRZESZŁOŚCI ma tyle wspólnego z ZAMIŁOWANIEM DO PRZYSZŁOŚCI, co ZAMIŁOWANIE DO MIŁOŚCI z UMIŁOWANIEM SMUTKU – to znaczy: wszystko. Ale z drugiej strony ZAMIŁOWANIE DO MÓWIENIA WSZYSTKIEGO czyni człowieka niegodnym zaufania.

Bez miłości się umiera. Z miłością też. Nie wszystkie śmierci są jednakowe.

## JAK ZAGRAĆ GNIEW

– Jesteś moim wrogiem!

## JAK ZAGRAĆ STRACH PRZED ŚMIERCIA

– To niesprawiedliwe! Niesprawiedliwe! Niesprawiedliwe!

## JAK ZAGRAĆ SKRZYŻOWANIE MIŁOŚCI, GNIEWU I STRACHU PRZED ŚMIERCIA

Podczas corocznego usuwania kamienia dentysta poświęcił niezwykle dużo czasu na oglądanie mojej jamy ustnej – nie zębów, ale czegoś głębiej. Jego narzędzia tortur, nietknięte, powoli matowiały na tacce. Spytał, czy mam trudności z przełykaniem.

– Dlaczego pan pyta?

– Z czystej ciekawości.

– Chyba trochę.

– Od jak dawna?

– Od kilku miesięcy?

– Wspominał pan o tym swojemu lekarzowi?

Skierował mnie do onkologa w szpitalu Johnsa Hopkinsa.

Zaskoczył mnie odruch, by zadzwonić do Julii. Prawie już ze sobą nie rozmawialiśmy: dawno temu wyszła drugi raz za mąż, dzieci – czyli dorośli – były panami własnej logistyki, a im człowiek starszy, tym mniej ma się czym dzielić, aż w końcu ostatnią wieść przekazuje ktoś inny. Dialog w programie jest praktycznie taki sam jak to, co wtedy rzeczywiście się wydarzyło, z jednym istotnym wyjątkiem: w prawdziwym życiu się nie rozplakałem. Krzyczałem: „To niesprawiedliwe! Niesprawiedliwe! Niesprawiedliwe!”.

JACOB

To ja.

JULIA

Poznaję po głosie.

JACOB  
Minęło trochę czasu.

JULIA  
I twój numer mi się wyświetla.

JACOB  
Jako Jacob?

JULIA  
W przeciwieństwie do czego?

JACOB  
Słuchaj...

JULIA  
Wszystko w porządku?

JACOB  
Byłem dziś rano u dentysty...

JULIA  
Przecież cię nie zapisałam.

JACOB  
Nadzwyczaj dobrze radzę sobie z takimi rzeczami.

JULIA  
Konieczność była żoną możliwości.

JACOB  
Dostrzegł u mnie w gardle guzek.

Julia zaczyna płakać. Każde z nich jest zaskoczone jej reakcją na (na razie) nic i trwa to dłużej, niż oboje mogliby sobie wyobrazić albo uznać za możliwe do zniesienia.

JULIA  
Umierasz?

JACOB  
Julio, *dentysta*.



JULIA

Mówisz mi, że zobaczył guzek, i do mnie dzwonisz.

JACOB

No wiesz, zarówno guzek, jak i telefon mogą być niezłośliwe.

JULIA

To co teraz?

JACOB

Mam wizytę u onkologa w Hopkinsie.

JULIA

Powiedz mi wszystko.

JACOB

Wiesz wszystko, co wiem ja.

JULIA

Masz jakieś inne objawy? Sztywnienie karku? Trudności z przełykaniem?

JACOB

Czy od czasu naszej ostatniej rozmowy chodziłaś na akademię medyczną?

JULIA

Gugluję w trakcie rozmowy.

JACOB

Tak, odczuwam sztywnienie karku. I owszem, mam problemy z przełykaniem. Poświęcisz mi teraz, proszę, całą swoją uwagę?

JULIA

Czy Lauren okazuje wsparcie?

JACOB

Musiałabyś o to spytać mężczyznę, z którym się obecnie spotyka.

JULIA

Przykro mi to słyszeć.

JACOB

Jesteś pierwszą osobą, której o tym mówię.

JULIA  
Chłopcy wiedzą?

JACOB  
Powiedziałem już, jesteś pierwszą...

JULIA  
Racja.

JACOB  
Przepraszam, że cię tym obarczam. Wiem, że od długiego czasu nie należę do twoich obowiązków.

JULIA  
Nigdy nie byłeś moim obowiązkiem.  
(*uderzenie serca*)  
I nadal nim jesteś.

JACOB  
Nie powiem nic dzieciom, dopóki faktycznie nie będzie o czym mówić.

JULIA  
Dobrze. To dobrze.  
(*uderzenie serca*)  
Jak się trzymasz?

JACOB  
Dobrze. To tylko dentysta.

JULIA  
Nie ma nic złego w strachu.

JACOB  
Gdyby był taki mądry, to zostałby dermatologiem.

JULIA  
Płakałeś?

JACOB

Osiemnastego listopada 1985 roku, gdy Lawrence Taylor zakończył karierę Joego Theismanna.

JULIA

Dość, Jacobie.

JACOB

To tylko dentysta.

JULIA

Wiesz, nie sądzę, żebym widziała, jak płaczesz. Nie licząc łez szczęścia, gdy rodzili się chłopcy. To możliwe?

JACOB

Na pogrzebie dziadka.

JULIA

Prawda. Ryczałeś.

JACOB

Szlochałem.

JULIA

Ale pamiętanie o tym, ponieważ wyjątek potwierdza...

JACOB

Nic.

JULIA

Wszystkie te tłumione łzy dały przerzuty.

JACOB

Tak, dokładnie to według dentysty pomyśli onkolog.

JULIA

Rak gardła.

JACOB

A kto tu coś mówi o raku?

JULIA

Nowotwór gardła.

JACOB  
Dziękuję.

JULIA  
Jest za wcześnie, żeby zauważyć, jakie to poetyczne?

JACOB  
O wiele za wcześnie. Nie zostałem nawet zdiagnozowany, nie mówiąc o superfajnej chemii i rekonwalescencji tylko po to, by dowiedzieć się, że to na nic.

JULIA  
W końcu będziesz miał tę swoją łysinę, Jacobie.

JACOB  
Już ją mam.

JULIA  
Racja.

JACOB  
Nie, ale serio. Odstawiłem propecię. Wyglądam jak Mr. Proper. Spytaj Benjy'ego.

JULIA  
Widziałeś się z nim ostatnio?

JACOB  
Wpadł z chińszczyzną w Wigilię.

JULIA  
Urocze. Jak wyglądał?

JACOB  
Jest olbrzymi. I stary.

JULIA  
Nie wiedziałam nawet, że brałeś propecię. Ale przypuszczam, że już bym nie wiedziała, co bierzesz.

JACOB

W sumie brałem ją całkiem długo.

JULIA

Jak długo?

JACOB

Jakoś od narodzin Maxa.

JULIA

Naszego Maxa?

JACOB

Wstydziłem się. Trzymałem ją z szarfą do smokingu.

JULIA

Przygnębia mnie to.

JACOB

Mnie też.

JULIA

Jacobie, dlaczego po prostu się nie rozpłaczesz?

JACOB

No pewnie.

JULIA

Mówię poważnie.

JACOB

To nie są *Dni naszego życia*. To *życie*.

JULIA

Boisz się, że jeśli cokolwiek z siebie wypuścisz, coś będzie się mogło do ciebie przebić. Znam cię. Ale jest nas tylko dwoje. Tylko ty i ja przy telefonie.

JACOB

I Bóg. I Agencja Bezpieczeństwa Narodowego.

JULIA

Tym właśnie chcesz być? Wiecznym żartownisiem? Ciągłe coś zatajającym,

odwracającym uwagę, ukrywającym? Nigdy do końca sobą?

JACOB

Wiesz, dzwoniłem, licząc na współczucie.

JULIA

I nie przeliczyłeś się, nie zdążywszy nawet powiedzieć „jeden”. Na tym właśnie polega prawdziwe współczucie.

JACOB

*(po dłuższej chwili)*

Nie.

JULIA

Co nie?

JACOB

Nie jestem tym, kim chcę być.

JULIA

Cóż, jesteś w dobrym towarzystwie.

JACOB

Zanim zadzwoniłem, zdałem sobie sprawę, że pytam siebie – na głos, dosłownie, raz po raz – „Kto jest dobrą duszą? Kto jest dobrą duszą?”.

JULIA

Dlaczego?

JACOB

Chyba chciałem dowodu.

JULIA

Na istnienie dobroduszości?

JACOB

Na dobroduszość wobec mnie.

JULIA

Jacobie.

JACOB

Mówię poważnie. Ty masz Daniela. Chłopcy mają swoje życie. A ja jestem z tych, w przypadku których sąsiedzi muszą zwrócić uwagę na smród, żeby ktokolwiek zdał sobie sprawę z ich śmierci.

JULIA

Pamiętasz ten wiersz? „Dowód na / Twoje istnienie? Nie ma nic / poza”<sup>46</sup>?

JACOB

*Bogiem...* Pamiętam. Kupiliśmy ten tomik w Shakespeare and Company. Czytaliśmy nad brzegiem Sekwany z bagietką, serem i bez noża. Tyle szczęścia. Tak dawno temu.

JULIA

Rozejrzyj się wkoło, Jacobie. Nie ma nic poza dowodem na to, jak bardzo jesteś kochany. Chłopcy cię ubóstwiają. Przyjaciele się do ciebie garną. Założę się, że kobiety...

JACOB

A ty? Co z tobą?

JULIA

Jestem dobrą duszą, do której dzwoniłeś, pamiętasz?

JACOB

Przepraszam.

JULIA

Za co?

JACOB

Trwają teraz Pokutne Dni.

JULIA

Wiem, że wiem, co to znaczy, ale nie mogę sobie przypomnieć.

JACOB

Dni między Rosz Haszaną a Jom Kipur. Świat jest wyjątkowo otwarty. Uszy Boga, Jego oczy, Jego serce. Ludzie też.

JULIA

Nieży się z ciebie zrobił Żyd.

JACOB

W nic z tego nie wierzę, ale wierzę w to.

(uderzenie serca)

Tak czy owak, to w ciągu tych dziesięciu dni powinniśmy poprosić tych, których kochamy, by wybaczyli nam wszystkie złe uczynki – „świadome i nieświadome”.

(uderzenie serca)

Julio...

JULIA

To tylko dentysta.

JACOB

Tak bardzo cię przepraszam za wszystkie sytuacje, w których świadomie albo nieświadomie wyrządziłem ci krzywdę.

JULIA

Nie wyrządziłeś mi *krzywdy*.

JACOB

Ależ tak.

JULIA

Popełnialiśmy błędy. Oboje.

JACOB

Hebrajskie słowo oznaczające „grzech” tłumaczy się jako „chybienie celu”. Przepraszam za sytuacje, w których zgrzeszyłem przeciwko tobie o włos, i przepraszam za te sytuacje, gdy zgrzeszyłem przeciwko tobie, uciekając od tego, ku czemu powinienem był zdążać.

JULIA

W tamtym tomiku była też inna strofa: „I wszystko, co dawniej było / nieskończenie daleko / i nie do powiedzenia jest dziś / nie do powiedzenia / w tym właśnie pokoju”<sup>47</sup>.

Cisza jest tak zupełna, że żadne z nich nie jest pewne, czy połączenie nie zostało przerwane.

JACOB

Ty nieświadomie otworzyłaś drzwi. Ja je nieświadomie zamknąłem.

JULIA

Jakie drzwi?



JACOB  
Ręka Sama.

Julia zaczyna płakać, cicho.

JULIA  
Wybaczam ci, Jacobie. Tak. Wszystko. Wszystko, co zatajaliśmy przed sobą i co do siebie dopuszczaliśmy. Małostkowość. Ukrywanie i trwanie w tym. Osądzanie. Nic z tego nie ma już znaczenia.

JACOB  
Nic z tego nigdy go nie miało.

JULIA  
Miało. Ale nie tak bardzo, jak sądziliśmy.  
*(uderzenie serca)*  
I mam nadzieję, że ty mi wybaczysz.

JACOB  
Wybaczam.  
*(po dłuższej przerwie)*  
Jestem pewien, że masz rację. Byłoby dobrze, gdybym umiał dać wyraz swojemu smutkowi.

JULIA  
Twojej złości.

JACOB  
Nie czuję złości.

JULIA  
Ależ tak.

JACOB  
Naprawdę nie.

JULIA  
Co cię tak złości?

JACOB  
Julio, nie...

JULIA

Co się z tobą stało?

*Milczą. Ale to inna cisza niż ta, którą poznali. Nie jest to cisza zwykłego żartowania, ukrywania, odwracania uwagi. Ani cisza czterech ścian – to cisza tworzenia przestrzeni, którą należy wypełnić.*

*Z każdą mijającą sekundą – a sekundy mijają po dwie, po dwie – powstaje większa przestrzeń. Przybiera kształt domu, do którego mogliby się przeprowadzić, gdyby postanowili dać sobie jeszcze jedną szansę, oddać się głęboko i bezwarunkowo zadaniu ponownego odnalezienia wspólnego szczęścia. Jacob może poczuć przyciąganie wolnej przestrzeni, przejmujące pragnienie, by zostać wpuszczonym do tego, co przed nim szeroko otwarte.*

*Płacze.*

*Kiedy płakał po raz ostatni? Gdy usypiał Argusa? Gdy obudził Maxa, by mu powiedzieć, że nie poleciał do Izraela, a Max powiedział: „Wiedziałem, że nie pojedziesz”? A może gdy próbował wesprzeć kiełkujące w Benjym zainteresowanie astronomią i zabrał go aż do Marfy, gdzie zwiedzili obserwatorium i obejmwali wzrokiem galaktyki niczym morza zamknięte w muszlach, i gdy tamtej nocy leżeli na dachu wynajętego przez Airbnb domku i Benjy spytał: „Dlaczego szepczemy?”, a Jacob odparł: „Nawet nie zauważyłem, że szepczemy”, na co Benjy powiedział: „Kiedy ludzie patrzą w gwiazdy, zwykle szepczą. Ciekawe czemu?”.*

## JAK ZAGRAĆ OSTATNIE WSPOMNIENIA

Najwcześniejsze wspomnienie, jakie mam – ojciec zajmujący się martwą wiewiórką.

Moje ostatnie wspomnienie starego domu – w skrzynce na listy zostawiam klucze w kopercie z naklejonym znaczkiem bez adresu docelowego ani zwrotnego.

Moje ostatnie wspomnienie matki – karmienie jej jogurtem za pomocą łyżki. Odruchowo wydawałem z siebie odgłosy samolotu, mimo że nie robiłem czegoś takiego od piętnastu lat. Byłem zbyt zażenowany, żeby zdobyć się na przeprosiny. Mrugnęła okiem, jestem pewien.

Moje ostatnie wspomnienie Argusa – słyszę, jak jego oddech staje się coraz głębszy, i czuję zwalnający puls, a potem widzę swoje odbicie w jego uciekających oczach.

Pomimo wiadomości tekstowych i mejli, które nadal ze sobą wymienialiśmy, moje ostatnie wspomnienie Tamira pochodzi z Islip. Powiedziałem mu:

– Zostań.

– To kto wtedy pojedzie? – zapytał.

– Nikt – odparłem.

– To co się w ten sposób ocali? – zapytał.

– Nic – przyznałem.

– Tak po prostu odpuścić?

Moje ostatnie wspomnienie rodziny pochodzi sprzed trzęsienia ziemi, gdy rodzice mają zabrać Benjy’ego na noc, a Sam i Julia wybierają się na symulację obrad ONZ.

– A co, jeśli nie będę za wami tęsknił? – spytał Benjy.

Nie wiedział oczywiście, co się niebawem wydarzy, ale jak mógłbym wspominać to inaczej niż jako przepowiednię?

Moje ostatnie wspomnienie ojca – podrzucam go z jego dziewczyną na Dulles, gdy

wybiera się na wycieczkę (z jego listy „rzeczy do zaliczenia przed śmiercią”) do warszawskiego getta – jego Cooperstown – a ja mówię:

– No kto by pomyślał? Zabierasz gojkę na Bal Powracającej Diaspory?

Zawsze miałem poczucie, że powstrzymuje przy mnie śmiech, ale tym razem mi się udało. Poklepał mnie po policzku i powiedział:

– Życie zadziwia.

Oczywiście nie wiedział, że nawet nie wsiądzie na pokład samolotu, ale jak mógłbym wspominać to inaczej niż ironicznie?

Ostatnie wspomnienie bycia mężem Julii – wypolerowany uchwyt szuflady ze słodyczami, szczelina, gdzie stykają się płyty steatytu, naklejka „Nagroda Specjalna za Odwagę” na spodzie blatu wyspy kuchennej wręczona Maxowi za – o czym nikt nie wiedział – jego ostatni wyrwany ząb, naklejka, którą Argus oglądał codziennie wiele razy i tylko on ją widział.

– W tej rozmowie o wiele na to za późno – powiedziała Julia.

## JAK ZAGRAĆ „JAK MASZ NA IMIĘ?”

Max poprosił o wyprawienie bar micwy. Nawet jeśli miał to być wyraz czegoś podziemnego, nawet jeśli miał to być jakiś hiperwyrafinowany akt agresji, wprawił mnie i Julię w zadowolenie. Rok nauki minął bez komplikacji ani narzekań, nabożeństwo było piękne (staliśmy z Julią razem przy arce, co wydawało się dobre i słuszne), przyjęcie nie miało żadnego określonego tematu i okazało się autentycznie fajne, a Max zdeponował wystarczająco dużo obligacji rządowych, by kupić sobie coś naprawdę wspaniałego, gdy po dwudziestu latach przyjdzie do ich wypłacenia po wartości nominalnej, kiedy dwukrotność wypłaty będzie się wydawała warta połowę wkładu.

Parszą Maxa była Wajiszlach, w której Jakub – ostatni z patriarchów – w środku nocy zostaje napadnięty przez nieznanego napastnika. Jakub obala go na ziemię i nie chce puścić, domagając się od niego błogosławieństwa. Przeciwnik – anioł albo Bóg we własnej osobie – pyta: „Jak masz na imię?”, on zaś, przytrzymując go z całych sił, odpowiada: „Jakub”. („Jakub” oznacza „trzymający za piętę” – gdy się rodził, złapał bowiem za piętę swego starszego brata Ezawa, pragnąc jako pierwszy wyjść na świat). Następnie anioł mówi: „Odtąd nie będziesz się zwał Jakub, lecz Izrael, co oznacza «Ten, który mocuje się z Bogiem»”.

Max przemówił z bimy, z pewnością siebie zdecydowanie wykraczającą ponad jego czy mój wiek:

– Jakub mocował się z Bogiem, by otrzymać błogosławieństwo. Mocował się z Ezawem, by je uzyskać. Mocował się o błogosławieństwo z Izaakiem, mocował się z Labanem i w każdym wypadku w końcu brał górę. Mocował się, ponieważ rozumiał, że błogosławieństwa są warte trudu. Wiedział, że można zachować tylko to, czego się nie chce puścić. *Izrael*, historyczna ojczyzna Żydów, to dosłownie ten, kto „mocuje się z Bogiem”. Nie „chwali Boga”, nie „czci Boga”, nie „kocha Boga”, nawet nie „słucha Boga”. W istocie to przeciwieństwo słuchania. Mocowanie się oznacza nie tylko naszą sytuację: to nasza tożsamość, nasze imię.

Ostatnie zdanie zabrzmiało bardzo w stylu Julii.

– Ale czym *jest* mocowanie się?

Pytanie z kolei zabrzmiało jak z doktora Silvera.

– Mamy mocujących się grecko-rzymskich zapaśników, mocowanie się na rękę, mocowanie się wrestlerów, zawodników sumo i lucha libre, mocowanie się z ideami, mocowanie się z wiarą... Wszystko to ma jedną wspólną cechę: bliskość.

I oto byłem tam – przewidziany odbiorca przemowy, tak blisko swojej byłej żony, że nasze ubrania się stykały, w ławce z dziećmi, których połowę życia przegapiałem.

„Można zachować tylko to, czego się nie chce puścić” – powiedział Max.

„Żydowska pięść może służyć do czegoś więcej niż masturbacja i trzymanie długopisu” – stwierdził pewnego razu mój ojciec.

„Żeby dostrzec swoją linię życia, musisz zwolnić uścisk” – głosiła wróżba w ciastku w któreś święta.

Max robił się coraz bystrzejszy i bystrzejszy. Zawsze zakładaliśmy z Julią, że z całej paczki to Sam jest najtęższą głową (Max to artysta, a Benjy będzie wiecznie rozkoszny), ale to Max traktował szachy poważnie (zajął trzecie miejsce w rejonowych rozgrywkach Dystryktu Kolumbii dla zawodników do szesnastego roku życia), to Max (kiedy jego umysł był wciąż „giętki”) postanowił dwa razy w tygodniu brać lekcje u nauczyciela mandaryńskiego i to Max został przyjęty na Harvard po trzecim roku w szkole średniej. (Aż do chwili gdy zdecydował się złożyć papiery, nie zdawałem sobie sprawy, że wszystkie te dodatkowe zaliczenia – kursy uzupełniające, szkoła letnia – stanowiły sposób, by więcej być poza domem i szybciej się stamtąd wyrwać).

– Bliskość – powiedział, lustrując wzrokiem zgromadzonych. – Łatwo być blisko, ale *pozostać* blisko jest prawie niemożliwe. Pomyślcie o pasjach. A nawet ideach. Są nam bliskie, czasem tak, że wydają się częścią nas, a potem w pewnym momencie już nie są. Odchodzą. Z czasem tylko jedna rzecz może utrzymać coś w pobliżu: trzymanie się tego. Branie się z tym za bary. Przygnięcie do ziemi, jak Jakub uczynił z aniołem, i niepuszczanie. Odpuszczamy to, z czym się nie mocujemy. Miłość nie oznacza braku walki. Miłość *jest* walką.

Brzmiało to jak słowa kogoś, kim chciałem, lecz nie mogłem być. Brzmiało jak Max.

## JAK ZAGRAĆ NIKOGO

Usłyszałem migawkę, zanim zobaczyłem fotografa. Był to pierwszy i jedyny wystrzał mojej wojny.

– Hej – powiedziałem, idąc ciężkim krokiem w jego stronę. – Co ty, u diabła, wyprawiasz?

Dlaczego, u diabła, byłem taki zdenerwowany?

– Pracuję tu dla „Timesa” – powiedział, pokazując mi przepustkę prasową wiszącą mu na szyi.

– Może pan tutaj przebywać?

– Konsulat dał mi upoważnienie, jeśli o to pan pyta.

– No cóż, ja nie dałem panu upoważnienia, żeby robić mi zdjęcie.

– Mam je wykasować? – spytał ani asertywnie, ani pojednawczo.

– Nie, w porządku, ale niech pan nie robi więcej – powiedziałem.

– Nie chcę problemów. Z przyjemnością je wykasuję.

– Proszę je zostawić – odparłem. – Ale tylko to jedno.

Odszedł, by robić zdjęcia innym grupkom. Niektórzy pozowali. Inni nie zdawali sobie sprawy z jego obecności albo nie chcieli jej uznać. Mój odruchowy gniew – jeśli w ogóle można to tak określić – zaskoczył mnie. Trudniej było jednak wyjaśnić moje nalegania, żeby zatrzymał tę fotografię, ale nie robił ich więcej. Jakie dwie pieczenie próbowałem upiec przy jednym ogniu?

Moje myśli powędrowały w kierunku wszystkich tych lat robienia dzieciom zdjęć portretowych: polizanych rąk zmagających się z niesfornymi kosmykami pod pretekstem czułego głaskania, pozwalania, by chłopcy oglądali bajki, podczas gdy wciskało się ich w ładne, niewygodne ubrania, niezdarnych prób, by podprogowo zakomunikować wartość „naturalnego” uśmiechu. Fotografie zawsze wychodziły tak samo: wymuszony uśmiech przymkniętych ust, oczy pusto wpatrujące się w mgiełkę – coś ze sterty odrzutów Diane Arbus. Ale uwielbiałem je. Kochałem prawdę, którą przekazywały: że dzieci nie są jeszcze zdolne do udawania. Albo że nie są jeszcze w stanie zataić nieszczerości. Uśmiechają się wspaniale, najlepiej na świecie, ale udawanie uśmiechów wychodzi im absolutnie najgorzej. Tę niezdolność definiuje dzieciństwo. Kiedy Sam podziękował mi za swój pokój w moim nowym domu, stał się mężczyzną.

Któregoś roku Benjy był autentycznie zaniepokojony swoim zdjęciem portretowym: nie chciał uwierzyć, że dziecko na fotografii to ani on, ani nie on. Max wziął na siebie spotęgowanie jego udreki, wyjaśniając mu, że każdy ma żywe ja i martwe ja, prowadzące żywot równoległy – „coś jak twój własny duch” – i że te pozowane zdjęcia to jedyna okazja, by zobaczyć nasze martwe ja. Benjy się rozplakał. Próbując go uspokoić, wyjąłem album ze zdjęciami z mojej bar micwy. Przejrzelismy już dobrych kilkadziesiąt fotografii, gdy Benjy powiedział:

– Ale ja myślałem, że bar micwa Sama jest w przyszłości.

Podczas mojego przyjęcia z okazji bar micwy krewni, znajomi rodziców i ludzie zupełnie obcy wręczali mi koperty z obligacjami rządowymi. Kiedy kieszenie mojej marynarki napęczniały, zacząłem przekazywać koperty matce, która wkładała je do torebki stojącej pod jej krzesłem. Tego wieczora, przy kuchennym stole, zestawiliśmy z ojcem w tabelce „sprawiedliwy łup”. Nie pamiętam sumy, ale pamiętam, że dzieliła się bez reszty przez osiemnaście.

Przypominam sobie albuminowy archipelag na łososiu. Pamiętam, jak fraza *wenismecha*<sup>48</sup> w pieśni *Hawa Nagila* złała się śpiewakowi jak u dzieci recytujących alfabet, które sądzą, że „l-m-n-o” to jedna litera. Pamiętam, jak wyniesiono mnie na krzesło, wysoko ponad żydowski lud – koronacja Jednookiego Męża. Kiedy z powrotem znalazłem się na podłodze, ojciec kazał mi spędzić kilka minut z dziadkiem. Otaczałem go czcią, jak mnie nauczono, ale zawsze był to obowiązek.

– Cześć, dziadku – powiedziałem, nadstawiając czubek głowy do całusa.

– Zdeponowałem trochę pieniędzy na twoim koncie studenckim – powiedział, klepieniem wskazując puste krzesło obok siebie.

– Dziękuję.

– Mówił ci tata ile?

– Nie.

Rozejrzał się na boki, skinął, żebym zbliżył ucho do jego ust, i szepnął:

– Tysiąc czterysta czterdzieści dolarów.

– O ja! – wykrzyknąłem, cofając się, by przywrócić dogodny dystans między nami. Nie miałem pojęcia, czy taka suma uzasadniała to przedstawienie, ale wiedziałem, czego się ode mnie oczekuje: – To niesamowicie szczodre z twojej strony. Dziękuję.

– Ale i to – powiedział, schylając się z trudem, by podnieść z ziemi torbę na zakupy. Położył ją na stole i wyjął z niej coś owiniętego w serwetkę. Przypuszczałem, że to bułka (często przechowywał w torbach zawinięte w serwetkę bułki), ale poczułem ciężar przedmiotu. – No dalej – zachęcał mnie.

W środku był aparat, leica.

– Dziękuję – powiedziałem, sądząc, że to aparat jest prezentem.

– W 1946 roku, po wojnie, wróciliśmy z Bennym. Myśleliśmy, że może nasza rodzina znalazła sposób, by przetrwać. Przynajmniej jedna osoba. Ale nie było nikogo. Zobaczył nas sąsiad, jeden z przyjaciół ojca, i zaprowadził nas do domu. Przechowywał część naszych rzeczy, na wypadek gdybyśmy mieli kiedykolwiek wrócić. Powiedział, że choć wojna się skończyła, nie jest bezpiecznie i musimy już iść. No to poszliśmy. Zabrałem tylko kilka rzeczy, to była jedna z nich.

– Dziękuję.

– Pieniądze i zdjęcia zaszyłem w podszewce marynarki, którą miałem na sobie na statku. Tak bardzo się martwiłem, że ktoś będzie próbował ukraść moje rzeczy. Przyrzekłem sobie, że jej nie zdejmę, ale było gorąco, zbyt gorąco. Spałem, tuląc ją w ramionach, a kiedy obudziłem się jednego ranka, walizka nadal leżała obok, ale marynarka zniknęła. Dlatego właśnie nie mam pretensji do tego, kto ją wziął. Gdyby to był złodziej, ukradłby walizkę. Po prostu było mu zimno.

– Ale przecież mówiłeś, że było gorąco.

– Gorąco jak dla mnie. – Położył palec na wyzwalaczu migawki, jakby to był wyzwalacz miny lądowej. – Mam tylko jedno zdjęcie z Europy. Moje własne. Używałem go jako zakładki w moim dzienniku w walizce. Fotografie braci i rodziców były zaszyte w tamtej marynarce. Przepadły. Ale tym aparatem je zrobiono.

– A gdzie twój dziennik?

– Zarzuciłem go.

Co zobaczyłbym w tych zaginionych zdjęciach? Co wyczytałbym w dzienniku? Benjy nie rozpoznawał siebie na zdjęciu portretowym, ale co widziałem w nim ja? I co widziałem, patrząc na zdjęcie USG Sama? Ideę? Człowieka? *Mojego* człowieka? Siebie samego? Ideę siebie? Musiałem w niego uwierzyć i uwierzyłem. Nigdy nie przestałem w niego wierzyć. Przestałem tylko w siebie.

Podczas przemowy z okazji bar micwy Sam powiedział: „Nie prosiliśmy o broń jądrową ani nie chcieliśmy jej, bo broń jądrowa jest właściwie pod każdym względem okropna. Ale ludzie mają ją z pewnego powodu: żeby nigdy nie musieć z niej skorzystać”.

Billie krzyknęła coś, czego nie zrozumiałem, ale pojąłem błysk szczęścia w oczach Sama. Napięcie w pokoju rozlało się aż po wszystkie zakamarki; przemowa Sama przecięła rozmowy o niczym na pół, a potem ponownie je scalała. Przyniosłem mu trochę jedzenia i powiedziałem:

– Jesteś o tyle lepszy, niż ja byłem w twoim wieku. Albo i teraz.

– To nie są zawody – stwierdził.

– Nie, to postępowanie. Chodź ze mną na chwileczkę.

– Gdzie?

– Co znaczy: gdzie? Do krainy Moria, oczywiście.

Zaprowadziłem go na górę, do mojej komody, i z dolnej szuflady wyjąłem leicę.

– Należała do twojego pradziadka. Przywiózł ją z Europy. Podarował mi ją w bar micwę

i powiedział, że nie ma żadnych zdjęć braci ani rodziców, ale tym aparatem je zrobiono.

Wiem, że chciał, żebyś ją miał.

– Tak ci powiedział?

– Nie. Ale wiem, że...

– Czyli to ty chcesz, żebym ją miał.

Kto kogo tutaj prowadził?

– Tak – odparłem.

Trzymał ją w dłoniach, obrócił kilka razy.

– Działa?

– Kurde, nie wiem. Nie jestem pewien, czy w tym tkwi sedno.

– A nie powinno? – spytał.

Sam oddał leicę do odnowy. Przywrócił ją światu, a ona – wyciągając Sama z *Innego Życia*

– przywróciła światu jego.

W college'u studiował filozofię, ale tylko w college'u.

Leicę zostawił w pociągu w Peru podczas podróży poślubnej z pierwszą żoną.

W wieku trzydziestu ośmiu lat został najmłodszym w historii sędzią zatrudnionym w Sądzie Apelacyjnym dla okręgu Dystrykt Kolumbia.

Na sześćdziesiąte piąte urodziny chłopcy zabrali mnie do restauracji Great Wall Szechuan House. Sam uniósł butelkę tsingtao i wygłosił piękny toast, który zakończył słowami: „Tato, ty zawsze się rozglądasz”. Nie wiedziałem, czy chodzi mu o szukanie, czy o patrzenie.

Tamir siedział na podłodze terminalu, oparty plecami o ścianę, ze wzrokiem skupionym na telefonie. Podeszedłem i usiadłem obok niego.

– Mam pewne wątpliwości – powiedziałem.

Uśmiechnął się, pokiwał głową.

– Tamir?

Znów kiwnął głową.

– Możesz na chwilę przestać pisać i posłuchać?

– Nie piszę – odparł i odwrócił w moją stronę telefon z kafelkami miniaturek rodzinnych zdjęć.

– Mam pewne wątpliwości.

– Tylko pewne?

– Mógłbyś to ze mną przedyskutować?

– A o czym tu dyskutować?

– Ty wracasz do rodziny – powiedziałem. – Ja bym swoją zostawił.

– Byś?

– Nie rób mi tego. Proszę cię o pomoc.

– Nie wydaje mi się. Sądzę, że prosisz o wybaczenie.

– Za co? Nawet nic nie zrobiłem.

- Każda wątpliwość zaprowadzi cię z powrotem na Newark Street.
- To niekoniecznie prawda.
- Niekoniecznie?
- Jestem tu. Pożegnałem się z dziećmi.
- Nie jesteś mi winien przeprosin – oświadczył. – To nie twój kraj.
- Może się w tej sprawie myliłem.
- Chyba jednak miałeś rację.
- I jak mówiłeś, nawet jeśli nie mój, to twój.
- Kim ty jesteś, Jacob?

Przez trzy lata z rzędu na zdjęciach portretowych Max miał zamknięte oczy. Za pierwszym razem było to w sumie dość zabawne rozczarowanie. Za drugim trudniej było wy tłumaczyć to przypadkiem. Rozmawialiśmy, dlaczego miło jest mieć takie zdjęcia, jak bardzo uwielbiali je dziadkowie i pradziadkowie, jaką stratą pieniędzy jest celowe ich psucie. Rankiem w dniu robienia trzeciego zdjęcia poprosiliśmy Maxa, by spojrzał nam w oczy i przyrzekł, że będzie miał oczy szeroko otwarte. „Spróbuję”, powiedział, wściekle mrugając, jakby wpadła mu do oka mucha. „Nie próbuj – skwitowała Julia – tylko zrób to”. Kiedy dostaliśmy wywołane zdjęcia, wszyscy trzej mieli zamknięte oczy. Ale nigdy w życiu nie widziałem bardziej szczerych uśmiechów.

- Może właśnie tym – odpowiedziałem Tamirowi.
- Mówisz tak, jakbyś nie mógł wybrać, kim chcesz być.
- Może to właśnie mój wybór.
- Może?
- Nie wiem, co powinienem zrobić, i proszę cię, żebyś to ze mną omówił.
- No to przegadajmy sprawę. Kim jesteś?
- Co?
- Powiedziałeś: „Może właśnie tym”. No więc: kim, być może, jesteś?
- Tamir, daj spokój.
- Z czym? Proszę, żebyś wyjaśnił, co miałeś na myśli. Kim jesteś?
- To nie jest jedna z tych rzeczy, które da się w ten sposób wyrazić.
- Spróbuj. Kim jesteś?
- Dobra, nieważne. Przepraszam, że tu przyjechałem.
- Kim jesteś, Jacob?
- A ty, Tamir?
- Jestem kimś, kto wraca do domu bez względu na trudności.
- Cóż, wyjąłeś mi to z ust.
- Może. Ale nie z serca. Dokądkolwiek pójdziesz, nie będziesz wracał do domu.

Kiedy matka zachorowała, wspomniała, że ojciec raz w miesiącu chodzi na grób Isaaca. Gdy go o to spytałem, zmienił temat, jakbym mu zarzucił uzależnienie od hazardu. „Pokuta za pochowanie go w Ameryce”, oznajmił. „Co tam robisz?”, chciałem wiedzieć. „Stoję jak głupi kołek”. „Mogę iść z tobą następnym razem?”, spytałem; do Tamira powiedziałem:

- Zostań.
- To kto wtedy pojedzie?
- Nikt.
- To co się w ten sposób ocali?



- Nic.
- Tak po prostu odpuścić?
- Tak.

Miałem rację: ojciec sprzątał gałązki, liście, wrywał chwasty, czyścił nagrobek moką szmatką, którą trzymał w woreczku strunowym w kieszeni marynarki, a z innego woreczka wyciągał fotografie. „Chłopcy”, powiedział, odwracając na chwilę zdjęcie w moją stronę, a następnie kładąc je na ziemi wierzchem do dołu, nad oczyma swego ojca. Chciałem otoczyć ejruwem samobójców i odebrać im wstyd, ale jakże mógłbym znieść własny wstyd? Jak, wracając do domu z Islip, mógłbym stawić czoło Julii i chłopcom? „Wydaje się, jakbyśmy go chowali przed pięcioma minutami”, powiedziałem do ojca; do Tamira zaś powiedziałem:

- Wydaje się, jakbyśmy odbierali cię z lotniska przed pięcioma minutami.
- „Wydaje się, jakby wszystko zdarzyło się przed pięcioma minutami”, odparł ojciec.

Tamir zbliżył usta do mojego ucha i szepnął:

- Jesteś taki niewinny.
- Co? – szepnąłem, jakbym patrzył w gwiazdy.
- Jesteś niewinny.
- Dziękuję.

Cofnął się i odparł:

- Nie. W sensie: zbyt ufny. Zbyt dziecinny.
- Co? Łatwowierny?
- Nie znam tego słowa.
- O co ci chodzi?
- Stevena Spielberga oczywiście nie było w toalecie dla mężczyzn.
- Wszystko to zmyśliłeś?
- Tak.
- Wiedziałaś, kto to jest?
- Myślisz, że u nas, w Izraelu, nie mamy prądu?
- Niezły jesteś – mruknąłem.

„Widzę cię” – powiedziałby mój dziadek zza drugiej strony ekranu.

- Takie z ciebie niewiniątko – oznajmił Tamir.

„Do widzenia” – powiedziałby dziadek.

„A mimo to nigdy nie byliśmy starsi”, powiedział mój ojciec, a potem zaintonował kadysz żałobników.

JAK ZAGRAĆ OSTATNIĄ RZECZ, KTÓRĄ SIĘ WIDZI PRZED POPEŁNIENIEM SAMOBÓJSTWA

Sześcioro zamkniętych oczu, trzy szczere uśmiechy.

JAK ZAGRAĆ OSTATNIĄ RZECZ, KTÓRĄ SIĘ WIDZI PRZED REINKARNACJĄ

Wyjście awaryjne z terminalu lotniska MacArthur; wejście awaryjne do świata.

## JAK ZAGRAĆ SAMOBÓJSTWO

Rozepnij pasek. Wsuń go z pięciu szlufek spodni. Owiń sobie wokół gardła, zaciągnij, zapnij na szyi. Umieść drugi koniec paska na górnej krawędzi drzwi. Zamknij je, tak żeby pasek trzymał się mocno między drzwiami a framugą. Spójrz na lodówkę. Pozwól ciału opaść całym ciężarem. Ośmioro zamkniętych oczu.

## JAK ZAGRAĆ REINKARNACJĘ

Kilka miesięcy po wyprowadzce, kolejnego dnia bez listu w skrzynce na drzwiach sypialni, opróżniałem kosze dzieciaków na brudną bieliznę i w bieliźnie Maxa znalazłem kupę. Miał jedenaście lat. W najbliższych tygodniach dostałem kilka takich przesyłek. Czasem dało się odwrócić majtki na lewą stronę nad muszlą klozetową, zetrzeć plamę i wrzucić je do prania. Zwykle nie dało się ich jednak ocalić.

Nie wspominałem o tym doktorowi Silversowi z tego samego powodu, dla którego nie wspominałem o ciągłym bólu gardła mojemu lekarzowi: podejrzewałem, że to symptom czegoś, czemu nie chcę pozwolić wyjść na jaw. Nie wspominałem o tym Julii, ponieważ nie chciałem usłyszeć, że u niej w domu Max nigdy czegoś takiego nie zrobił. I nie wspominałem o tym samemu Maxowi, bo było to coś, czego chciałem mu oszczędzić. Oszczędzić nam.

W dzieciństwie oddawałem stolec na dywanik koloru lila u dziadka w łazience, kilka cali od deski sedesowej. Celowo. Dlaczego robiłem coś takiego? A Max?

Kiedy byłem dzieckiem, strasznie chciałem mieć psa, ale powiedziano mi, że psy są brudne. Kiedy byłem dzieckiem, kazano mi myć ręce przed pójściem do toalety, bo świat jest brudny. Ale po również kazano mi je myć.

Dziadek wspominał o kupach na podłodze tylko raz. Uśmiechnął się, przykrył jedną stronę mojej głowy swoją ogromną dłonią i oświadczył: „To w porządku. To wspaniale”. Po co w ogóle coś takiego powiedział?

Max nigdy nie wspominał o kupach w koszu na bieliznę, mimo że wpadł na mnie, gdy rozwieszałem parę jego upranych ręcznie majtek na suszarce, i powiedział:

– Argus zmarł w dniu, kiedy zaczęliśmy przychodzić do tego domu. Myślisz, że kiedykolwiek poczułby się tu jak u siebie?

## JAK ZAGRAĆ SPRAWY ŚMIERCI I ODRODZENIA

Nigdy o nich nie mówić.

## JAK ZAGRAĆ WIARĘ

Podczas drugiego USG Julii zobaczyliśmy rączki i nóżki Sama. (Choć nie był jeszcze Samem, tylko „Orzeszkiem”). Tak zaczął się exodus od idei do stworzenia. W to, o czym przez cały czas myślisz, lecz czego – bez pomocy – nie możesz zobaczyć, usłyszeć, poczuć, posmakować ani dotknąć, trzeba uwierzyć. Ledwie kilka tygodni później, gdy Julia była w stanie wyczuć

obecność i ruchy Orzeszka, nie trzeba było już w niego *tylko* wierzyć, ponieważ można było także *wiedzieć*. Z biegiem miesięcy – wiercił się, kopał, czekał – wiedzieliśmy coraz więcej i więcej i mniej musieliśmy wierzyć. A potem pojawił się Sam i wiara opadła – nie była już potrzebna.

Ale nie opadła tak do końca. Pozostał pewien osad. Niewytłumaczalne, nieuzasadnione i niedorzeczne uczucia i zachowania rodziców można wyjaśnić – lub częściowo wyjaśnić – tym, że przez większą część roku musieli wierzyć. Rodzice nie mogą sobie pozwolić na luksus rozsądku, a przynajmniej nie w większym stopniu niż człowiek religijny. To, co sprawia, że ludzie religijni i rodzice potrafią być tak zupełnie nie do zniesienia, czyni zarazem religię i rodzicielstwo czymś tak niezrównanie pięknym: to zakład o wszystko albo nic. To wiara.

Oglądałem narodziny Sama przez wizjer kamery. Kiedy lekarz mi go podał, położyłem kamerę na łóżku i zapomniałem o niej, dopóki pielęgniarka nie przyszła zabrać Sama na mierzenie, ogrzewanie czy jakkolwiek inną całkowicie konieczną rzecz, którą robią z noworodkami i która usprawiedliwia najważniejszą życiową lekcję: opuści cię każdy, nawet twoi rodzice.

Ale dano nam z nim dwadzieścia minut, mamy więc dwudziestominutowy film z widokiem na ciemne okno i ścieżką dźwiękową nowego życia – nowego życia Sama, naszego nowego życia. Powiedziałem mu, jaki jest piękny. Powiedziałem Julii, jaki jest piękny. Powiedziałem jej, jaka jest piękna. Wszystko to było niedopowiedzeniem, nieścisłością – używałem tego samego nieodpowiedniego słowa, próbując przekazać trzy zupełnie różne, zasadnicze sensy. Piękny, piękny, piękna.

Słysząc płacz – wszystkich.

Słysząc śmiech – Julii i mój.

Słysząc, jak Julia po raz pierwszy nazywa mnie „tata”. Słysząc, jak szepczę Samowi błogosławieństwa, modły: „Bądź zdrow, bądź szczęśliwy, zaznaj spokoju”. Mówiłem to raz po raz: „Bądź zdrow, bądź szczęśliwy, zaznaj spokoju”. Nie było to coś w moim stylu ani coś, co zamierzałem powiedzieć; to słowa czerpane ze studni głębszej niż moje życie, a dłonie, które wciągały wiadro, nie należały do mnie. Ostatnia rzecz, jaką słysząc na filmie, gdy pielęgniarka puka do drzwi, to jak zwracam się do Julii: „Zanim się zorientujemy, będzie nas chował”. „Jacobie...”. „Okej, ockniemy się na jego ślubie”. „Jacobie!”. „Na bar micwie?”. „Nie moglibyśmy z tym nieco ostrożniej?”. „Z czym?”. „Z opuszczeniem”.

Myliłem się prawie co do wszystkiego. Ale miałem rację, jeśli chodzi o tempo utraty. Bywały chwile ciągnące się bez końca: pierwsza okrutna noc przyzwyczajania do spania w pojedynkę, okrucieństwo (tak to odbierałem) odrywania go od mojej nogi pierwszego dnia w szkole, unieruchomienie go, podczas gdy lekarz, który nie zszywał jego ręki, mówił: „To nie czas na przyjaźń” – ale lata leciały tak szybko, że musiałem przeglądać filmy i albumy ze zdjęciami w poszukiwaniu dowodów wspólnego życia. Ono się zdarzyło. Musiało się zdarzyć. Przeżywaliśmy to wszystko. A mimo to potrzeba było dowodu. Albo wiary.

Nocą, w dniu, w którym zmiążdżyło Samowi rękę, powiedziałem Julii, że to za wiele miłości jak na szczęście. Kochałem synka ponad moje możliwości kochania, ale nie kochałem miłości. Ponieważ była przytłaczająca. Ponieważ z konieczności była okrutna.

Ponieważ nie mogła dopasować się do mojego organizmu i przez to wyrodziła się w coś na kształt dręczącej hiperczułości, która gmatwała to, co powinno być najmniej skomplikowane – wychowywanie i zabawę. Ponieważ było to za wiele miłości jak na szczęście. W tej sprawie też miałem rację.

Wnosząc Sama do domu po raz pierwszy, błagałem siebie o to, żeby zapamiętać każde odczucie i każdy szczegół. Pewnego dnia będę pewnie chciał sobie przypomnieć, jak wyglądał ogród, kiedy moje pierwsze dziecko ujrzało go pierwszy raz. Będę pragnął znać dźwięk odpinania zatrzasku fotelika samochodowego. Moje życie będzie zależało od umiejętności jego odtwarzania – przyjdzie zapewne dzień, gdy oddałbym rok z tego, co mi zostało, za godzinę trzymania moich maleństw w ramionach. Co do tego również miałem rację, nie wiedząc nawet, że kiedyś się z Julią rozwiedziemy.

*Pamiętałem.* Pamiętałem wszystko: kroplę zaschniętej krwi na gazie wokół ranki po obrzezaniu, zapach jego karku, składanie parasolki jedną ręką, trzymanie w górze jedną dłonią jego nóżek za kostki podczas wycierania wnętrza jego ud, lepkość maści na odparzenia A&D, upiorność zamrożonego mleka matki, zakłócenia elektronicznej niani nastawionej na zły kanał, rączki Sama wyrzucane w górę niczym ręce spadających z drzew małych przodków, gdy tylko położyło się go na plecach, pamiętałem niemożliwą do zniesienia nieregularność jego oddechu, moją własną niezdolność do wybaczenia sobie chwil, kiedy odwracałem wzrok i stało się coś zupełnie bez znaczenia, ale jednak się stało.

Wydarzyło się. To wszystko. A mimo to przemieniło mnie to w wierzącego.

## JAK ZAGRAĆ ZBYT WIELKĄ MIŁOŚĆ

Szeptać na ucho, nasłuchiwać echa.

## JAK ZAGRAĆ MODLITWĘ

Szeptać na ucho, nie nasłuchiwać echa.

## JAK ZAGRAĆ NIKOGO

Noc, gdy wróciłem do domu z Islip, była ostatnią, którą spędziłem z Julią w łóżku. Posunęła się, kiedy wszedłem pod kołdrę.

- Krótka ta wojna – wymamrotała.
- Właśnie ucałowałem dzieci – powiedziałem.
- Wygraliśmy? – spytała.
- Okazuje się, że nie ma żadnego „my”.
- Wygrałam?
- Wygrałaś?

Odwróciła się na bok i powiedziała:

- Przetrawianie.

## JAK ZAGRAĆ „OTO JESTEM”

W klauzuli pod koniec naszego porozumienia rozwodowego stwierdzano, że gdyby któreś z nas miało jeszcze dzieci, to nasze wspólne potomstwo nie będzie traktowane „mniej przychylnie” z finansowego punktu widzenia – ani za naszego życia, ani w testamentach. Spośród wszystkich bolesnych drzazg, a było ich wiele, ta jedna szczególnie zalaża Julii za skórę. Ale zamiast zareagować na to, co wówczas przyjmowałem za źródło jej zgryzoty – że z powodu wieku posiadanie większej liczby dzieci było realne tylko w moim wypadku – przyczepiła się do kwestii, której tam nawet nie poruszono.

– Nie wyjdę ponownie za mąż, nawet za milion lat – powiedziała mediatorowi.

– Ten punkt nie dotyczy ponownego ożenku, tylko posiadania dzieci.

– Gdybym miała mieć jeszcze dzieci, chociaż nie będę, to działałoby się to w kontekście małżeństwa, co się nie wydarzy.

– Życie jest długie – stwierdził mediator.

– A wszechświat nawet większy, ale jakoś nie odwiedzają nas za często inne inteligentne formy życia.

– Tylko dlatego, że nie jesteśmy jeszcze w Żydowskim Domu – powiedziałem, próbując za jednym zamachem uspokoić ją i nawiązać nić niewinnego koleżeństwa z mediatorom, który posłał mi zdeorientowane spojrzenie.

– A życie wcale nie jest długie – oświadczyła Julia. – Gdyby było, nie znajdowałabym się na półmetku.

– Nie jesteśmy jeszcze na półmetku – powiedziałem.

– Ty nie, bo jesteś mężczyzną.

– Kobiety żyją dłużej od mężczyzn.

– Tylko formalnie rzecz biorąc.

Mediator, jak zwykle, nie złapał przynęty. Odchrząknął, jakby machnął maczetą, by wyrąbać sobie ścieżkę w naszej zarośniętej historii, i powiedział:

– Ta klauzula, która, o czym powinienem wspomnieć, w przypadku takich porozumień jak państwa jest czymś zupełnie standardowym, nie będzie miała na panią wpływu, jeśli nie będzie pani miała więcej dzieci. Zabezpiecza ona panią i potomstwo, w razie gdyby dzieci miał Jacob.

– Nie chcę, żeby się tu znalazła – oznajmiła Julia.

– Moglibyśmy przejść do jakichś autentycznie spornych kwestii? – zasugerowałem.

– Nie – zachnęła się. – Nie chcę tego tutaj.

– Nawet jeśli oznacza to zrzeczenie się prawnej ochrony? – spytał mediator.

– Wierzę, że Jacob nie będzie traktował innych dzieci bardziej przychylnie od naszych.

– Życie jest długie – powiedziałem, mrugając do mediatora bez ruszania powieką.

– To jakiś żart? – spytała Julia.

– Oczywiście.

Mediator ponownie odchrząknął i przekreślił klauzulę.

Julia nie chciała odpuścić. Nawet wtedy, gdy usunęliśmy to, czego nie było tam od początku. W środku rozmowy o czymś zupełnie niezwiązanym (co zrobić ze Świętem Dziękczynienia, Halloween, urodzinami i czy to konieczne, by prawnie zakazać obecności choinki w obu naszych domach) nie wahała się wypalić:

– Niesłusznie zrzuca się wszystko na rozwód. To małżeństwo do tego doprowadziło.

Takie wyrwane z kontekstu wypowiedzi stały się częścią ustalonego porządku – były nie

do przewidzenia, a jednocześnie nie zaskakiwały. Wobec tourettowych wybuchów Julii mediator okazywał niemal autystyczną cierpliwość aż do chwili, gdy pewnego popołudnia podczas dzielenia włosa na czworo w sprawie podejmowania decyzji dotyczących pomocy lekarskiej, na wypadek gdyby nie można było skontaktować się z jednym z rodziców, Julia powiedziała:

– Dosłownie umrę, zanim ponownie wyjdę za mąż.

Mediator bez odchrząknięcia ani zwłoki spytał:

– Czy chce pani, abym ujął to w jakiś formalny zapis prawny?

Julia zaczęła spotykać się z Danielem jakieś trzy lata po rozwodzie. Wedle mojej wiedzy, która była w dużym stopniu ograniczona dzięki uprzejmości dzieci starających się mnie chronić, wcześniej nie chodziła za często na randki. Zdawała się cieszyć spokojem i samotnością – zresztą zawsze twierdziła (a ja nigdy nie wierzyłem), że tak będzie. Jej kariera rozkwitła: wybudowano dwa domy według jej projektów (jeden w Bethesdzie, drugi na wybrzeżu), dostała też zlecenie, by przekształcić wielką rezydencję w Dupont Circle w muzeum promujące kolekcję sztuki współczesnej należącą do miejscowego oligarchy od supermarketów. Benjy – niemniej od braci życzliwy, ale zdecydowanie mniej wyrafinowany psychologicznie – coraz częściej wspominał o Danielu, zwykle w kontekście jego biegłości w montowaniu filmików na laptopie. Ta skromna umiejętność, którą dało się osiąść w jedno popołudnie, jeśli było się skłonny poświęcić to popołudnie na naukę, radykalnie odmieniła życie Benjy’ego. Wszystkie „dziecinne” filmiki nagrywane wodoszczelnym aparatem cyfrowym, który sprawiłem mu dwie Chanuki wcześniej, nagle zostały ożywione jako w pełni wyprodukowane „filmy dla dorosłych”. (Nigdy nie sugerowałem, że aparat powinien zostawać u mnie i nigdy nie poprawialiśmy używanej przez Benjy’ego terminologii). Pewnego razu, gdy podrzucałem chłopców z powrotem do Julii po szczególnie fajnym weekendzie z przygodami, które planowałem przez poprzednie dwa tygodnie, Benjy chwycił mnie za nogę i spytał:

– Musisz już iść?

Powiedziałem, że tak, ale że będzie się świetnie bawił i zobaczymy się znów za kilka dni.

Benjy odwrócił się do Julii i spytał:

– Jest Daniel?

– Na spotkaniu – powiedziała – ale w każdej chwili może wrócić.

– Och, znowu spotkanie? Chcę zrobić film dla dorosłych.

Kiedy skręciłem za róg samochodem, zobaczyłem na ławeczce mężczyznę mniej więcej w moim wieku, w ciuchach, które mógłbym nosić. Nie miał nic do czytania ani żadnego innego celu niż czekanie.

Wiem, że pojechał z nimi na safari.

Wiem, że zabierał Maxa na mecze Wizards.

W pewnym momencie się wprowadził. Nie wiem kiedy; nigdy nie przedstawiono mi tego w charakterze wiadomości.

– Czym zajmuje się Daniel? – spytałem raz chłopców nad indyjskim jedzeniem.

Często jadaliśmy poza domem, bo trudno mi było znaleźć czas na zakupy i gotowanie, choć bardziej dlatego, że miałem obsesję na punkcie udowodnienia im, że nadal możemy „dobrze się bawić”. A jedzenie na mieście to dobra zabawa. Dopóki ktoś nie spyta: „Gdzie dziś wieczorem zjemy kolację?”. W tym momencie zaczyna się to robić przygnębiające.

- Jest naukowcem – powiedział Sam.
- Ale nie jakimś laureatem Nobla czy coś – powiedział Max. – Po prostu naukowcem.
- Jakim naukowcem?
- Nie wiem – odparli Sam i Max w tej samej chwili, ale nikt nie zawołał: „Oczko”.
- Jest astrofizykiem – powiedział Benjy. A potem dodał: – Smutno ci?
- Że jest astrofizykiem?
- Tak.

Julia pytała kilka razy, czy nie poszedłbym z nim na drinka, nie poznał go. Mówiła, że dużo by to dla niej i dla Daniela znaczyło i że chłopcom mogłoby się to tylko przysłużyć.

– Oczywiście – stwierdziłem. – Brzmi świetnie. – I nawet wierzyłem sobie, kiedy to mówiłem. Ale nigdy do tego nie doszło.

Kiedy się zegnaliśmy po jednej z wywiadówek Maxa, Julia powiedziała mi, że zamierzają się z Danielem pobrać.

- Czy to znaczy, że jesteś martwa?
- Słucham?
- Miałaś prędzej umrzeć, niż znów wyjść za mąż.

Roześmiała się.

– Nie, nie jestem martwa. Jestem odrodzona.

– Jako ty?

– Jako ja z dodatkiem czasu.

– Jak do mnie doda się czas, wychodzi mój ojciec.

Zaśmiała się znowu. Czy był to śmiech spontaniczny, czy wielkoduszny?

– W reinkarnacji fajne jest to, że życie staje się raczej procesem niż zdarzeniem.

– Chwila, mówisz poważnie?

– To tylko z jogi.

– Cóż, pozostaje to w jawnej sprzeczności z tym, co *tylko* z nauki.

– Jak już mówiłam: życie staje się raczej procesem niż zdarzeniem. To jak z tym, co powiedział ci magik o sztuczkach i rezultatach. Nie musisz osiągnąć oświecenia, tylko się do niego przybliżyć. Stań się tylko bardziej otwarty.

– Na większość rzeczy nie należy się otwierać.

– Otwarty na świat...

– Tak, żyję w świecie.

– ...własny.

– To bardziej skomplikowane.

– Jedno życie to zbyt wielkie ciśnienie.

– Jak w Rowie Mariańskim, ale taka jest rzeczywistość. A przy okazji: o co chodziło z tym całym pieprzeniem, że Max jest zbyt sumienny?

– Że zostaje na przerwach w klasie, żeby dokładnie przejrzeć pracę domową?

– Jest skrupulatny.

– Chce kontrolować, co tylko da się kontrolować.

– To też z jogi?

– Szczerze mówiąc, też załatwiłam sobie swojego doktora Silversa.

Dlaczego wywołało to moją zazdrość? Dlatego, że moje uczucia wobec jej małżeństwa były zbyt skrajne, żeby odczuć je wprost?

– Cóż – powiedziałem – wierzę w wiele rzeczy. Ale na samym szczycie listy tego, w co nie wierzę, jest reinkarnacja.

– Ciągłe powracasz, Jacobie. Tyle że zawsze jako ty.

Nie spytałem, czy dzieci wiedziały o tym przede mną, a jeśli tak, to jak długo. Nie powiedziała mi, kiedy to będzie ani czy zostanę zaproszony.

Spytałem:

– Czy to oznacza, że będę traktowany mniej przychylnie?

Roześmiała się. Objąłem ją, powiedziałem, że cieszę się jej szczęściem, a po powrocie do domu zamówiłem konsolę do gier, choć zawsze zgadzaliśmy się ze sobą, że tego nie zrobimy.

Ślub odbył się trzy miesiące później, zostałem zaproszony, a dzieci wiedziały przede mną, ale tylko o jeden dzień. Kazałem im nie wspominać Julii o konsoli i to było faktyczne chybienie celu.

Nie mogę nie porównywać ich ślubu do naszego. Było mniej osób, ale w dużej mierze byli to ci sami ludzie. Co sobie myśleli, kiedy mnie zobaczyli? Ci, którzy mieli odwagę, żeby podejść, albo udawali, że nie dzieje się nic w najmniejszym stopniu niezręcznego i że po prostu rozmawiamy sobie o niczym na weselu wspólnej znajomej, albo kładli mi rękę na barku.

Zawsze byliśmy z Julią dobrzy w przyciąganiu nawzajem swojej uwagi, nawet po rozwodzie. Po prostu mieliśmy sposób, by się odnajdywać. Zresztą był to taki nasz żart: „Jak cię znajdę w kinie?”. „Bądź sobą”. Ale tego popołudnia nie zdarzyło się to ani razu. Julia była zbyt zajęta, choć na pewno musiała też śledzić, gdzie jestem. W różnych momentach imprezy myślałem o wymknięciu się, ale nie miało do tego dojść.

Chłopcy wspólnie wygłosili ujmującą przemowę.

Poprosiłem o czerwone wino.

Daniel mówił roztropnie i z miłością. Podziękował mi za przybycie, za powitanie go. Skinąłem głową, uśmiechnąłem się. Przeszedł do następnego tematu.

Poprosiłem o czerwone wino.

Przypomniałem sobie przemowę matki na naszym ślubie: „W chorobie i w chorobie. Tego wam życzę. Nie wypatrujcie ani nie spodziewajcie się cudów. Nie ma cudów. Już nie. I nie ma leków na krzywdy, które najbardziej ranią. Jedyne lekarstwo to wiara w cierpienie drugiej osoby i nasza przy tym obecność”. Kto uwierzy w moje cierpienie? Kto będzie przy nim obecny?

Oglądałem horę zza stolika, patrzyłem, jak chłopcy podnoszą siedzącą na krześle matkę. Zaśmiewała się do rozpuku i byłem pewien, że skoro znalazła się w dogodnej pozycji, nasz wzrok się spotka, ale tak się nie stało.

Postawiono przede mną sałatkę.

Julia i Daniel chodzili od stolika do stolika, by upewnić się, że przywitali się ze wszystkimi gośćmi, i aby zrobić zdjęcia. Widziałem, jak nadchodzą niczym meksykańska fala na meczu Natsów, i można było tylko wziąć w tym udział.

Stałem z boku. Fotograf zachęcał: „Powiedźcie mokka”, ale tego nie zrobiłem. Pstryknął trzy razy, dla pewności. Julia szepnęła coś Danielowi i dała mu całusa. Odszedł, a ona usiadła obok mnie.

– Cieszę się, że przyszedłeś.



– Oczywiście.

– Wcale nie oczywiście. To decyzja, którą podjąłeś, i zdaję sobie sprawę, że nie była ona oczywista.

– Cieszę się, że chciałaś, żebym tu był.

– Wszystko w porządku? – spytała.

– W porządku.

Rozejrzałem się po sali: po skazanych na zgubę kwiatkach, oblewających się potem szklankach z wodą, szminkach w kosmetyczkach zostawionych na krzesłach, rozstrajających się gitarach naprzeciw głośników, nożach, które były świadkami zawierania tysięcy związków.

– Chcesz usłyszeć coś smutnego? – spytałem. – Zawsze sądziłem, że to ja jestem ten szczęśliwy. Szczęśliwszy, tak powinienem to ująć. Nigdy nie myślałem o sobie jako o człowieku szczęśliwym.

– Chcesz usłyszeć coś jeszcze smutniejszego? Myślałam, że to ja jestem ta nieszczęśliwa.

– Chyba oboje się myliliśmy.

– Nie – odparła – oboje mieliśmy rację. Ale tylko w kontekście naszego małżeństwa.

Położyłem ręce na kolanach, jakbym chciał jeszcze bardziej się uziemić.

– Byłaś w domu, kiedy mój tata to powiedział? „Bez kontekstu wszyscy bylibyśmy potworami”?

– Nie wydaje mi się. Albo sobie tego nie przypominam.

– Nasz kontekst przeobraził nas w potwory.

– Nie, nie w potwory – stwierdziła. – Byliśmy dobrzy i wychowaliśmy trójkę niesamowitych dzieci.

– Teraz ty jesteś szczęśliwa, a ja nadal jestem mną.

– Życie jest długie – powiedziała, wierząc, że pamiętam.

– A wszechświat nawet większy – odparłem, dowodząc, że się nie myli.

Postawiono przede mną talerz z labraksem.

Wzięłem widelec tylko po to, by czegoś dotknąć, i powiedziałem:

– Mogę zadać ci pytanie?

– Jasne.

– Co mówisz ludziom, gdy pytają, dlaczego się rozwiedliśmy?

– Od dawna nikt o to nie pytał.

– Ale co im mówiłaś?

– Że uświadomiliśmy sobie, że po prostu dobrzy z nas przyjaciele, dobrzy rodzice.

– Czy to nie powody, żeby się nie rozwodzić?

Uśmiechnęła się i odrzekła:

– Ciężko mi było to ludziom tłumaczyć.

– Mnie też. Zawsze brzmiało to tak, jakbym coś ukrywał. Albo jakbym w czymś zawinił.

Albo po prostu jakbym ciągle zmieniał wersję.

– Niczyj interes, tak naprawdę.

– A co mówisz samej sobie?

– Od dawna siebie o to nie pytałam.

– Co sobie mówiłaś?

Podniosła moją łyżeczkę i powiedziała:

– Rozwiedliśmy się, bo to właśnie zrobiliśmy. I to nie jest tautologia.

Podczas gdy kelnerzy stawiali dania obiadowe na ostatnich stolikach, przy pierwszych podawano już deser.

– A chłopcom? – spytałem. – Jak im to wytłumaczyć?

– W sumie nigdy mnie nie pytali. Czasem obserwowali kontury, ale nigdy nie wchodzili do środka. A ciebie?

– Ani razu. Czy to nie dziwne?

– Nie – powiedziała, panna młoda w sukni. – Nie dziwne.

Spojrzałem na moich chłopców, wyglupiających się na parkiecie jak to dzieci, i spytałem:

– Dlaczego postawiliśmy ich w takiej sytuacji, że musieli pytać?

– Nasza miłość do nich stanęła na przeszkodzie temu, żebyśmy byli dobrymi rodzicami.

Przebiegłem palcem po krawędzi kieliszka, ale nie wybrzmiała żadna muzyka.

– Byłbym znacznie lepszym ojcem, gdybym mógł zacząć od nowa.

– Możesz – powiedziała.

– Nie zamierzam mieć już dzieci.

– Wiem.

– I nie mam wehikułu czasu.

– Wiem.

– I nie wierzę w reinkarnację.

– Wiem.

– Myślisz, że mogło nam się udać? – spytałem. – Gdybyśmy mocniej się starali? Gdybyśmy wracali do różnych spraw?

– Co udać?

– Życie.

– Udały nam się trzy – odparła.

– Mogło nam się udać jedno?

– To pytanie?

– Czemu nie?

– *Udać*. Nie wyjść. Z życiem można robić bardziej ambitne rzeczy.

– Tak?

– Taką mam nadzieję.

W drodze na przyjęcie słuchałem podcastu o asteroidach i o tym, jak bardzo jesteśmy nieprzygotowani na wypadek, gdyby jedna z nich zmierzała w naszą stronę. Fizyk, z którym przeprowadzano wywiad, wyjaśniał, dlaczego żadne z potencjalnych rozwiązań by nie zadziałało: atak bombą jądrową zamieniłby kosmiczną kulę armatnią w kosmiczny gruby śrut (a resztki dzięki sile grawitacji prawdopodobnie utworzyłyby nową asteroidę w ciągu kilku godzin); lądowiki mogłyby zmienić tor lotu asteroidy za pomocą zamocowanych silników sterujących, gdyby coś takiego istniało, ale nie istnieje i nie zaistnieje; równie nieprawdopodobne byłoby wysłanie ogromnego statku kosmicznego w roli „traktora grawitacyjnego”, który samą swoją masą odciągnąłby asteroidę od Ziemi.

– To co byśmy zrobili? – spytał gospodarz programu.

– Pewnie użylibyśmy broni jądrowej – powiedział fizyk.

– Ale mówił pan, że w ten sposób rozpadłaby się tylko na wiele asteroid, które by w nas uderzyły.

- Zgadza się.
- Zatem to by nie zadziało.
- Niemal na pewno nie – odparł fizyk – ale byłaby to nasza jedyna nadzieja. „Nasza jedyna nadzieja”.

Ten zwrot nic we mnie wówczas nie obudził. Potrzeba było, żeby „nadzieja” Julii przywarła do drugiego końca włókna w moim umyśle, by obudzić smutek.

- Pamiętasz, jak roztrzaskałem żarówkę? Na naszym ślubie?
- Naprawdę mnie o to pytasz?
- Podobała ci się ta chwila?
- Zabawne pytanie – powiedziała Julia. – Ale tak, podobała mi się.
- Mnie też.
- Nawet nie wiem, co miała symbolizować.
- Cieszę się, że spytałaś.
- Wiedziałam, że się ucieszysz.

– No więc jedni sądzą, że ma nam to przypominać o wszelkich zniszczeniach, które były konieczne, by przywieść nas do chwili największego szczęścia. Inni uważają, że to swego rodzaju modlitwa: bądźmy szczęśliwi, póki odłamki żarówki nie złożą się na nowo w całość. Jeszcze inni myślą, że to symbol kruchości. Ale nigdy nie słyszałem najprostszej interpretacji: że tacy właśnie jesteśmy. Jesteśmy złamanymi jednostkami, przeznaczonymi do rozbitych związków w roztrzaskanym świecie.

- Twoja wersja jest mniej inspirująca.
- „Nie jest – pomyślałem. – Jest bardziej inspirująca”.
- Nie istnieje nic równie całego jak złamane serce – powiedziałem.
- To z Silvera?
- Prawdę mówiąc, z cadyka z Kocka.
- Posłuchaj sam siebie.

– Studiowałem u boku rabina, który odprawiał nabożeństwo na pogrzebie mojego dziadka.

- Ciekawość nawróciła kota rabina.
- Miaużeł tow.

Jakże uwielbiałem jej śmiech.

Spojrzałem na Julię i w tamtej chwili zrozumiałem, że nigdy by nam się nie udało. Zrozumiałem jednak także, że była moją jedyną nadzieją.

– Czy to nie dziwne? – powiedziałem. – Szesnaście lat razem. Wtedy wydawało się to wszystkim, ale z czasem będzie to coraz mniejsza i mniejsza część naszego życia. Całe to wszystko było... czym? Rozdziałem?

- Ja tak na to nie patrzę.

Założyła włosy za ucho; dziesiątki tysięcy razy widziałem, jak to robi.

- Dlaczego płaczesz? – spytałem.
- Dlaczego płaczę? A dlaczego ty nie? To *życie*. Płaczę, bo to moje życie.

Tak jak dźwięk łopatki zanurzonej w karmie dla psów sprawiał, że Argus przybiegał z dowolnego miejsca w domu, tak zdawało się, że chłopców niemal telepatycznie przyciągały łzy matki.

- Dlaczego wszyscy płaczą? – spytał Sam. – Czy ktoś zdobył złoty medal?

- Jesteś smutny? – zapytał mnie Benjy.
- Nie musisz się o mnie martwić – odparłem.
- W porządku – powiedziała Julia. – I niech tak będzie.

Nie istniało nic boleśniejszego niż znalezienie się w centrum uwagi na ślubie mojej żony, może z wyjątkiem ciągłego myślenia o niej jako o mojej żonie.

– Uradowany? – spytał Max, podając Benjy’emu kandyzowaną wisienkę ze swojego bezalkoholowego drinka Shirley Temple.

– Skonfundowany? Iksowatowaty? Półprzezroczysty?

Roześmiałem się.

– No to jaki? – spytał Sam.

Jaki? Jakie to było uczucie? Co czułem?

– Pamiętacie, jak rozmawialiśmy o wartości bezwzględnej? Chyba w fizyce.

– W matematyce.

– Pamiętacie, co to takiego?

– Odległość od zera.

– Nie mam pojęcia, o czym mówicie – stwierdził Benjy.

– Ja też nie – powiedziała Julia, sadzając go sobie na kolanach.

– Z uczuciami jest czasem tak samo – powiedziałem. – Nie są pozytywne ani negatywne, po prostu jest ich dużo.

Nikt nie miał pojęcia, o czym mówię. Sam nie miałem pojęcia, o czym mówię. Żałowałem, że nie mogę zadzwonić do doktora Silversa, dać go na tryb głośnomówiący i poprosić, żeby mnie wytłumaczył – mnie samemu i mojej rodzinie.

Po rozwodzie przeżyłem kilka krótkich związków. Miałem szczęście, że spotkałem te kobiety. Były mądre, silne, zabawne i szczodre. Moje wytłumaczenie tego, co poszło źle, zawsze sprowadzało się do niezdolności, by żyć z nimi zupełnie szczerze. Doktor Silvers zmuszał mnie, bym zgłębił, co rozumiem przez „całkowitą szczerłość”, ale nigdy nie podważał mojego rozumowania, nie sugerował, że uprawiam autosabotaż ani że tworzę definicje, którym nie sposób sprostać. Szanował mnie, jednocześnie mi współczując. Albo przynajmniej chciałem, żeby to właśnie czuł.

– Bardzo trudno byłoby żyć w ten sposób – powiedział. – W pełni szczerze.

– Wiem.

– Nie tylko otworzyłby się pan na wielkie cierpienie, musiałby pan go także wiele zadać.

– Wiem.

– I nie sądzę, żeby dzięki temu stał się pan szczęśliwszym człowiekiem.

– Ja też nie.

Obrócił krzesło i wyjrzał przez okno, jak często mu się to zdarzało, gdy się zastanawiał, jakby mądrość dało się odnaleźć tylko w oddali. Obrócił się z powrotem i powiedział:

– Ale gdyby był pan w stanie wieść takie życie...

I wtedy przerwał. Zdjął okulary. W ciągu dwudziestu lat znajomości był to jedyny raz, kiedy je ściągnął. Ścisnął nasadę nosa kciukiem i palcem wskazującym.

– Gdyby był pan w stanie tak żyć, nasza praca dobiegłaby końca.

Nigdy nie byłem w stanie tak żyć, ale nasza praca dobiegła końca rok później, gdy podczas joggingu dostał ataku serca i zmarł. Zadzwoniła do mnie jedna z terapeutek, która miała biuro w tym samym budynku. Zaprosiła mnie, żebym przyszedł o tym porozmawiać,

ale nie chciałem z nią rozmawiać. Chciałem pogadać z nim. Czułem się zdradzony. To *on* powinien przekazać wieść o swojej śmierci.

A ja powinienem przekazać wiadomość o moim smutku dzieciom. Ale podobnie jak śmierć przeszkodziła doktorowi Silversowi w podzieleniu się ze mną informacją o śmierci, mój smutek skrywał przed nimi mój smutek.

Członkowie zespołu zajęli miejsca i bez żadnej muzycznej gry wstępnej wykonali *Dancing on the Ceiling*. Labraksa, który znajdował się wcześniej przede mną, już nie było; musiał zostać zabrany. Lampka wina, która stała wcześniej przede mną, też zniknęła; musiałem je wypić.

Chłopcy pobiegli na parkiet.

– Wymiksuję się – powiedziałem Julii.

– Miks z Islip – odparła.

– Co?

– Wymiks z Islip. – I po chwili: – Przepraszam. Nie...

Kiedy odwiedziliśmy Masadę, ojciec napełnił kieszenie kamykami, a ja – nie zdając sobie sprawy, dlaczego to robi, świadom jedynie potrzeby aprobaty z jego strony – napełniłem swoje. Szlomo kazał nam odłożyć je na miejsce. Po raz pierwszy słyszałem, jak mówi „nie” któremuś z nas. Powiedział, że gdyby każdy wziął sobie po kamyku, Masada zostałaby rozsiana po kominkach, regałach i stolikach – i nie byłoby żadnej Masady. Nawet jako chłopiec wiedziałem, że to absurd: jeśli coś jest wieczne, to góry.

*Wymiks z Islip.*

Ruszyłem do samochodu pod niebem usianym obiektami bliskimi Ziemi.

Gdzieś w weselnej księdze gości są podpisy moich dzieci. Rozwinęły własny charakter pisma. Ale ja nadałem im imiona.

Zaparkowałem przed wejściem, dwoma kołami na krawężniku. Możliwe, że nawet nie zamknąłem za sobą drzwi.

Oto jestem, piszę w niemal pozbawionym dostępu do słońca gabinecie, podczas gdy moja rodzina tańczy.

Ile synagog zbudował Sam? Czy któraś z nich przetrwała? Choćby ściana?

Moja synagoga stworzona jest ze słów. Wszystkie przestrzenie pozwalają jej się przemieszczać, gdy porusza się ziemia. Przy wejściu znajduje się mezuzah, kawałek drewna przybity do futryny drzwi: rodzinne słoje. Wewnątrz arki jest to, co rozbite, i to, co całe: strzaskana dłoń Sama obok ręki sięgającej po jego „wiem-wiem”; Argus leżący we własnych odchodach obok szczeniaka siusiającego, gdy tylko Max wszedł do domu; Tamir po wojnie obok Noama sprzed wojny, nigdy nierozprostowujące się kolana mojego dziadka obok mojego pocałunku w nieistniejące kuku jego prawnuka, odbicie mojego ojca w lustrze przykrytym czarnym sukniem obok moich usypiających synów w lusterku wstecznym, obok człowieka, który nigdy nie przestanie pisać tych słów, który spędził życie, waląc bezsilnie pięściami w drzwi synagogi, żeby go wpuszczono, obok chłopca śniącego o ludziach uciekających ze schronu przeciwlotniczego dla bezpieczeństwa świata, chłopca, który zdałby sobie sprawę, że te grube, ciężkie drzwi otwierają się na zewnątrz, że przez cały ten czas byłem w Najświętszym ze Świętych.

## VIII Dom

W następstwie zagłady Izraela Jacob przeprowadził się do swojego nowego domu. Była to ładna, choć może nieco mniej, wersja starego domu: odrobinę niższe sufity, nie tak stare i nie tak szerokie deski podłogowe, kuchnia z okuciami, które okuciami na „indywidualne zamówienie” mogło nazwać tylko samo Home Depot, wanna, z której prawdopodobnie wypłukiwał się bisfenol A i która najpewniej też pochodziła z Home Depot, ale trzymała wodę, laminowane szafy ściennie z niemal równomiernie rozmieszczonymi półkami, które spełniały swoje zadanie i były dość ładne, słaby, nieprzyjemny zapach strychu w domostwie bez strychu, gałki u drzwi z Home Depot, murszejące okna produkcji którejś z marek Marvin, służące raczej jako wizualna granica niż bariera dla żywołów lub dźwięków, ściany pofalowane od uwięzionej w nich niezbyt czarującej wilgoci, złowieszcze łuszczenie się farby w rogach sufitu, delikatnie sadystyczne kolory ścian, nierówno zamontowane wyłączniki światła, toaletka z Home Depot z imitacji porcelany ze słojuowanymi, laminowanymi szufladkami w łazience koloru upławów, w której rolka papieru toaletowego była poza zasięgiem każdego, kto nie został importowany z Afryki, żeby robić wsady bez wyskoku, wszędzie złowieszcze przerwy, szczeliny i rozziwy – pomiędzy sztukateriami, między gzymsami a sufitem, między listwami przypodłogowymi a podłogą, między umywalką a ścianą, między gzymsem niedziałającego kominka a ścianą, między nierówno zamontowanymi wyłącznikami a ścianami, między futrynami a ścianami, między bardziej plastikowymi niż plastik rozetami z Home Depot a zażółconym sufitem, wreszcie między deskami podłogi. Nie miało to tak naprawdę znaczenia, ale nie uchodziło uwadze. Jacob musiał przyznać, że większy z niego drobnomieszczanin, niż chciałby przyznać, ale wiedział, co jest istotne. Te rzeczy też wprowadzały rozziwy.

Miał czas, miał nagle całe życie czasu, a jego potrzeby przybrały raczej kształt potrzeb niż zdolności ich zaspokojenia. Proklamował niepodległość i to wszystko – od niekończącego się oczekiwania na Mesjasza ciepłej wody po nierówno zamontowany wyłącznik światła, z którego wystawało za mało pstryczków – napęniało go nadzieją. Albo przynajmniej jakąś jej wersją. Możliwe, że Jacob ją do tego zmusił, ale to Julia wybrała rozziwy i separację. I podczas gdy jego powrót z Islip można było rozumieć jako próbę odzyskania tożsamości, co najmniej tak samo łatwo można było go rozumieć jako jej utratę. Być może więc nie napisał swojej deklaracji niepodległości, ale z przyjemnością złożył pod nią podpis. Była to wersja szczęścia.

Czterdzieści dwa lata to młody wiek, powtarzał sobie bez przerwy jak idiota. Jasno i wyraźnie mógł usłyszeć swoją głupotę, a mimo to nie był w stanie skończyć z jej obwieszczaniem. Przypominał samemu sobie o postępach w technologii medycznej, o własnych wysiłkach, by jeść mniej niezdrowo, o siłowni, na którą się zapisał (aczkolwiek tylko formalnie), i o fakcie, którym pewnego razu podzielił się z nim Sam: z każdym rokiem przewidywana długość życia zwiększa się o rok. Każdy, kto nie pali, dożyje setki. Ludzie uprawiający jogę będą żyli dłużej od Mojżesza.

Z czasem jego dom zacznie przypominać ich dom – za sprawą dywanów, lepszych okuć, kolorów ścian zgodnych z konwencją genewską, obrazów, zdjęć i litografii, sączącego się uspokajająco światła lampy, książek o sztuce ułożonych w stosy na blatach, narzut nie narzuconych, lecz elegancko złożonych i umieszczonych na kanapach i fotelach, może kominka rozpalanego drewnem w rogu. I z czasem wszystko, co jest możliwe, faktycznie zaistnieje. Znajdzie sobie dziewczynę albo nie. Znienacka kupi samochód, choć pewnie nie. W końcu zrobi coś z programem telewizyjnym, dla którego przez ponad dekadę drenował duszę. (Duszę, która jest jedyną rzeczą wymagającą rozproszenia, by gromadzić). Skoro nie musiał już chronić dziadka, przestał pisać biblię i wrócił do samego programu. Zamierzał zanieść go jednemu z producentów, którzy byli zainteresowani tym, co Jacob robi – dawniej, gdy zajmował się rzeczami, którymi można się było dzielić. Minęło sporo czasu, ale pewnie nadal go pamiętali.

Istniał więcej niż jeden powód, żeby trzymać te kartki w szufladzie – nie chronił wyłącznie innych. Ale teraz, gdy nie zostało nic do stracenia, nawet Julia zrozumiałaby, że program nie był ucieczką od wyzwania życia rodzinnego, ale zadośćuczynieniem za jego rozpad.

Izrael nie uległ *zagładzie* – a przynajmniej nie w dosłownym znaczeniu. Pozostał krajem żydowskim, z żydowską armią i granicami tylko nieznacznie różniącymi się od tych sprzed trzęsienia ziemi. Niekończąca się debata kręciła się wokół pytania, czy te nowe granice są „dobre dla Żydów”. Choć, co wymowne, amerykańscy Żydzi najczęściej używali zwrotu „dobre dla Izraelczyków”. A to z kolei, uważali Izraelczycy, było „złe dla Żydów”.

Izrael był osłabiony, ale jego wrogowie zostali osłabieni jeszcze bardziej. Kiedy przesiewasz swoje gruzy buldożerami, niewielką możesz czerpać pociechę ze świadomości, że twój wróg przesiewa swoje rękoma. Ale pewną pociechę tak. Jak by powiedział Isaac: „Mogłoby być gorzej”. Nie, on by powiedział: „*Jest gorzej*”.

Może miał rację. Może gorzej było przetrwać, jeśli warunek konieczny dalszego *bycia* stanowiło zniszczenie. Nie chodziło o to, że amerykańskim Żydom przestało zależeć. Nadal jeździli do Izraela na wakacje, bar micwę albo „odnaleźć siebie”. Krzywili się, gdy wody Morza Martwego pierwszy raz dotykały ich zadrapań, krzywili się, gdy ich serca po raz pierwszy poruszyła *Hatikwa*, wciskali zwinięte karteczki z życzeniami między gruzy Ściany Płaczu, opowiadali o zamelinowanych hummusowniach, opisywali dreszczyk emocji związany z odległymi atakami rakietowymi, krzywili się, gdy ich oczy po raz pierwszy zetknęły się ze słońcem Masady, opowiadali o ciągłej ekscytacji na widok żydowskich śmieciarzy, żydowskich strażaków i żydowskich bezdomnych. Ale poczucie, że się przybyło, że ostatecznie odnalazło się miejsce przynoszące pociechę, poczucie *bycia w domu* – zanikało.

W przypadku części z nich brało się to z niemożności odpuszczenia Izraelowi jego działań w trakcie wojny – łatwiej byłoby przyjąć nawet masakrę czy dwie niż całkowite i jednoznaczne zrzeczenie się odpowiedzialności za nie-Żydów – wycofania sił bezpieczeństwa i ratowników, gromadzenia zapasów leków, które gdzie indziej znalazłyby natychmiastowe zastosowanie, odcięcia mediów, racjonowania żywności mimo jej nadwyżek, blokady konwojów z pomocą dla Strefy Gazy i Zachodniego Brzegu Jordanu. Irv, którego publikowane raz dziennie na blogu, od czasu do czasu podżegające wpisy przerodziły się w płynącą wartko rzekę prowokacji, bronił Izraela na każdym kroku:

– Gdyby chodziło o rodzinę w trudnej sytuacji, a nie o kraj, nikt nie osądzałby rodziców za to, że trzymają jedzenie w lodówce i plastry z opatrunkami w apteczce. Różne rzeczy mogą się zdarzyć, szczególnie gdy twoi miłujący śmierć sąsiedzi nienawidzą cię na zabój. To, że troszczysz się bardziej o dzieci, nie jest nieetyczne.

– Gdyby ta rodzina żyła w swoim domu, to może prawie byś miał rację – stwierdził Jacob. – I może prawie byś miał rację, gdyby każda rodzina była w stanie traktować siebie w sposób w równym stopniu uprzywilejowany. Ale świat, w którym żyjemy, tak nie wygląda, i ty o tym wiesz.

– To świat, który oni stworzyli.

– Czy kiedy patrzysz na tę dziewczynkę, Adię, nie współczujesz jej z całego serca?

– Oczywiście, że tak. Ale moje serce, jak zresztą każde, ma ograniczone rozmiary i gdyby przyszło do wyboru między Adią a Benjym, wyrwałbym jej jedzenie z rąk i oddał jemu. Nie dowodzę nawet, że to słuszne albo dobre. Mówię po prostu, że nic w tym złego, ponieważ to nie jest wybór. „*Powinność zakłada możliwość*”, prawda? Aby być do czegoś moralnie zobligowanym, musisz być w stanie to zrobić. Kocham Noama, Yael i Baraka, ale nie mogę ich kochać tak bardzo jak Sama, Maxa i Benjy’ego. To niemożliwe. Kocham też moich przyjaciół, ale nie mogę kochać ich tak, jak kocham swoją rodzinę. I choć trudno w to uwierzyć, jestem w pełni zdolny, by kochać Arabów, ale nie tak jak Żydów. To nie jest kwestia wyboru.

Irv szczerze i przekonująco orędownął za tym, żeby każdy amerykański Żyd w wieku poborowym poleciał do Izraela. Stanowczo. Z wyjątkiem tego, którego nie mógł nie kochać bardziej niż innych. Był hipokrytą. Ojcem.

– A mimo to niektórzy potrafią wybrać inaczej – powiedział Jacob.

– Czyli?

– Cóż, weźmy pierwszy przykład z brzegu. Pierwszy Żyd: Abraham.

– Senatorze, służyłem z Abrahamem, znałem Abrahama, Abraham był moim przyjacielem. Senatorze, żaden z pana Abraham<sup>49</sup>.

– Nie twierdzę, że ja potrafiłbym wybrać inaczej. Najwyraźniej nie.

Czy to było oczywiste? Irv zawęzał krąg zainteresowań do najmłodszych członków rodziny, ale czy to był jego środek? A co z nim samym? Julia spytała Jacoba, czy martwi go, że bardziej kochają dzieciaki niż siebie nawzajem. Ale czy Jacob kochał swoje dzieci bardziej niż siebie? Powinien, ale czy mógł?

W przypadku innych amerykańskich Żydów to nie działania Izraela stworzyły dystans emocjonalny, lecz to, jak owe działania postrzegano – ludzie, na których poparcie Izrael zawsze mógł liczyć, albo zmienili strony, albo zamilkli, zostawiając amerykańskich Żydów raczej z uczuciem samotności niż słusznego oburzenia.

Dla pozostałych dyskomfort polegał na tym, że Izrael nie był ani chaotycznie zachowującym się chłopcem do bicia, ani supermocarstwem zdolnym do zbombardowania sąsiadów z epoki kamienia gładzonego, tak by wysłać ich z powrotem do epoki kamienia łupanego. Dawid był w porządku. Goliat też. Ale spróbuj no nie być jednym bądź drugim.

W ramach operacji Ręce Mojżesza premier wyznaczył za cel sprowadzenie do Izraela miliona amerykańskich Żydów. Pierwszego dnia lotów poleciało dwadzieścia tysięcy i choć nawet w przybliżeniu daleko było do zakładanych pięćdziesięciu tysięcy, przynajmniej wszystko posuwało się w dobrym kierunku. Zamiast jednak osiągnąć trzysta tysięcy



z końcem trzeciego dnia, liczbę przybyszy – w stosunku do tych zakładanych – ciągle trzeba było dzielić na pół, jak wpływy z biletów kinowych. „Times” szacował, że ostatecznie poleciało mniej niż trzydzieści pięć tysięcy amerykańskich Żydów i że trzy czwarte z nich było w wieku czterdziestu pięciu lub więcej lat. Izrael bez nich przetrwał – armia wycofała się do możliwych do obrony granic, pozwalając, by epidemia dokonała dzieła zabijania; tragedia trwała pięć tysięcy godzin transmisyjnych. Ani Izraelczycy, ani Żydzi amerykańscy nie mogli jednak wyprzeć się tego, co zostało obnażone.

Jacob wciąż postrzegał Tel Awiw jako tętniące życiem miasto kultury, a Jerozolimę jako miasto obezwładniająco uduchowione. Nadal odczuwał niemalże seksualną rozkosz, gdy przypominał sobie rzeczywiste miejsca, gdzie rzeczy prawie stworzone w wyobraźni przydarzały się naprawdę ludziom rodem niemal z krainy fantazji. Widok kobiet z karabinami ciągle zapewniał mu prawdziwą seksualną przyjemność. Ultraortodoksi nadal budzili w nim wstręt i nadal nie był w stanie powstrzymać źle ulokowanej wdzięczności, którą wobec nich czuł. Ale coś się zmieniło.

Czym był dla niego Izrael? Kim byli Izraelczycy? Agresywniejszymi, wstrętniejszymi, bardziej zwariowanymi, owłosionymi i muskularnymi braćmi... *tam*. Byli śmieszni i byli *jego*. Odważniejsi, piękniejsi, bardziej żarłocznicy, z większą liczbą urojeń i mniejszą liczbą zahamowań – byli bardziej lekkomyślni i byli bardziej sobą. *Tam*. Tam byli tym wszystkim. I byli *jego*.

Po zagładzie, do której nieomal doszło, nadal byli *tam*, ale już nie byli *jego*.

Jacob na każdym kroku podejmował próby racjonalizowania działań Izraelczyków – aby ich bronić, a przynajmniej wytłumaczyć. I na każdym kroku wierzył w to, co mówił. Czy należało kontrolować konwoje z pomocą humanitarną, jeśli to spowalniało jej dostarczanie? Było to konieczne, aby utrzymać porządek i bezpieczeństwo. Czy należało zająć Wzgórze Świątynne? Było to konieczne, aby je chronić. Czy należało odmawiać komukolwiek opieki lekarskiej? Było to konieczne, aby w pełni zadbać o obywateli Izraela, którzy – w przeciwieństwie do arabskich sąsiadów – nie mieli się dokąd zwrócić. „Powinność oznacza możliwość”. A mimo to owocem tych dających się obronić, a przynajmniej usprawiedliwić, kroków był Izrael, który strzegł pilnie potrzebnej pomocy, podbił najbardziej sporne muzułmańskie terytorium i zmusił matki dzieci, które nie musiały umierać, do łomotania w zamknięte szpitalne drzwi. Nawet jeśli nie istniała inna droga, powinna była istnieć.

Czy gdyby w ciągu nocy ocean powiększył się o jedną stopę kwadratową, ktokolwiek by to nazajutrz rano zauważył? A gdyby powiększył się o milę? Albo pół? Horyzont ukrywa odległość, jak zresztą czyni to sama odległość. Amerykańscy Żydzi nie postrzegali swojej postawy jako wycofania i nigdy nie opisaliby w ten sposób swoich relacji z Izraelem – nie przed innymi, nie przed sobą. Ale nawet gdy utrzymywali, że odczuwają ulgę i radość z powodu zwycięstwa Izraela, nawet gdy maszerowali w pochodach i wysyłali nieznośnie wysokie czeki w ramach wysiłku odbudowy, izraelskim falom więcej czasu zajmowało dotarcie do amerykańskiego brzegu.

Nieoczekiwanie zmniejszyła się za to odległość między Irvem a Jacobem. Przez rok chodzili razem do szulu i odmawiali kadysz za Isaaca. Codziennie trzy razy. A przynajmniej raz, zazwyczaj. A kiedy nie poszli, rzucali *minjan* na wiatr i przeżywali żałobę w salonie Irva, zwróceniu w stronę regału, nie zważając na wskazówkę kompasu. Odnaleźli nowy

język – niewolny od żartów, ironii i sporów, ale już od nich niezależny. Może był to język odzyskany.

Nikt nie nadawał się mniej od Irva do pomocy w przeprowadzce (nie potrafił odróżnić prześcieradła z gumką od łyżki cedzakowej), ale też nikt bardziej Jacobowi nie pomógł. Razem jeździli do Ikea, Pottery Barn, Home Depot i dziecięcego Gapa. Kupili dwie miotły i rozmawiali o okresach przejściowych, nowych początkach i nietrwałości, zamiatając kurz, który zdawał się nieskończony. Albo zamiatali w milczeniu.

– Niedobrze jest żyć samotnie – powiedział Irv, próbując rozgryźć działanie odkurzacza.

– Spróbuję znowu – powiedział Jacob. – Po prostu jeszcze nie jestem gotów.

– Miałem na myśli siebie.

– Coś się stało z mamą?

– Nie, mama jest najlepsza z nich wszystkich. Tylko myślę o ludziach, których odepchnąłem.

Pakowanie okazało się emocjonalnie łatwiejsze, niż Jacob się spodziewał, ale logistyka była zaskakująco najeżona trudnościami. Problemem nie były rozmiary – mimo gromadzenia rzeczy przez szesnaście lat nzebierało się ich zaskakująco niewiele. Problem – koniec końców, w ostatecznym rozrachunku małżeństwa – tkwił w pytaniu, co sprawia, że coś należy do ciebie, a nie do kogoś innego. Jakim sposobem życie dotarło do punktu, w którym to pytanie miało znaczenie? I co zajęło mu aż tyle czasu?

Gdyby wiedział, że będzie się rozwodził, lepiej przygotowałby się do zakończenia – kupiłby jedną z tych staromodnych ręcznych maszynek do tłoczenia papieru i oznaczyłby stronę tytułową każdej z książek napisem „Księgozbiór Jacoba Blocha”, może odkładałby niewielkie, niezauważalne sumy albo zaczął przenosić rzeczy, których nieobecność w starym domu nigdy nie zostałaby dostrzeżona, a których obecność w nowym wiele by zmieniała.

Przerażające było to, jak szybko i zupełnie od nowa mógł przepisać czy też nadpisać przeszłość. Wszystkie te lata wydawały się warte zachodu, kiedy trwały, ale ledwie minęło kilka miesięcy po ich drugiej stronie i zaczęły się jawić jako ogromna strata czasu. Strata życia. Jego mózg odczuwał niemal niepoohamowaną potrzebę, by widzieć to, co najgorsze, w tym, co nie wyszło. Żeby postrzegać to raczej jako coś, co się nie udało, niż jako coś, co udawało się aż do końca. Czy chronił się przed poczuciem straty, nie przyznając się do tego, że cokolwiek przepadło? A może nie przejmując się, osiągał jakieś żałosne emocjonalne niezwyknięcie?

Dlaczego Jacob z uporem się sprzeciwiał, kiedy któryś z przyjaciół okazywał współczucie? Dlaczego musiał obrócić półtorej dekady małżeństwa w ciąg głupich kalamburów i ironicznycn uwag? Dlaczego choć przed jedną osobą – przed sobą samym – nie mógł przyznać, że nawet jeśli rozumiał, iż należało się rozwieść, nawet jeśli był pełen nadziei co do przyszłości, nawet jeśli na horyzoncie rysowało się szczęście, było to smutne? Sprawy mogą jednocześnie obrócić się na dobre i złe.

Trzy dni po powrocie do Izraela Tamir napisał do Jacoba mejl z posterunku na pustyni Negew, gdzie jego batalion czołgów czekał na rozkazy: „Dziś strzelałem i strzelał mój syn. Nigdy nie wątpiłem w słuszność czynnej obrony ojczyzny przeze mnie ani przez Noama. Ale coś jest nie tak w tym, że obaj strzelaliśmy jednego dnia. Potrafisz to zrozumieć?”.

„Jeździsz czołgiem?” – spytał Jacob.

„Czytałeś, co napisałem?”.

„Przepraszam. Nie wiem, co powiedzieć”.

„Przeładowuję amunicję”.

Pięć dni później, kiedy zwrócili się w stronę regałów, by zmówić kadysz, Irv wymamrotał: „Posłuchaj”, a Jacob wiedział, że coś się stało. Co więcej, wiedział, że chodzi o Noama. Nie przewidział tego, ale jak ktoś obserwujący tory z końca pociągu dostrzegął, że nie istnieje inna droga.

Noam był ranny. Poważnie, ale nie śmiertelnie. Była przy nim Rywka. Tamir do nich jechał.

– Jak się o tym dowiedziałeś? – spytał Jacob.

– Wczoraj w nocy dzwonił do mnie Tamir.

– Prosił, żebyś mi powiedział?

– Chyba jestem dla niego trochę jak ojciec.

W pierwszym odruchu Jacob chciał zaproponować, żeby polecili do Izraela. Nie wszedł do samolotu, by walczyć u boku kuzyna, ale poleciałby, żeby usiąść przy wezgielcu łóżka jego syna i ofiarować ten rodzaj siły, który z mięśni wymaga jedynie mięśnia serca.

Pierwszym odruchem Tamira było uczepienie się Rywki. Gdyby ktoś miesiąc, rok czy dekadę temu powiedział mu, że Noam zostanie ranny na wojnie, przewidywałby koniec małżeństwa. A jednak gdy niewyobrażalne się zdarzyło, było dokładnie odwrotnie, niż sobie wyobrażał.

Kiedy domem wstrząsnęło walenie do drzwi w środku nocy, Tamir znajdował się w wysuniętej bazie operacyjnej pod Dimoną; dowódca jednostki obudził go, by przekazać mu wiadomość. Później oboje mieli próbować ustalić, kiedy dokładnie dowiedzieli się, co się stało, jakby coś o zasadniczym znaczeniu zależało od tego, kto wiedział pierwszy i jak długo jedno z nich wiedziało, a drugie nadal sądziło, że z Noamem wszystko dobrze. Przez te pięć czy trzydzieści minut istniałaby między nimi większa odległość niż ta, która dzieliła ich, zanim się poznali. Być może gdyby Tamir był w domu, wspólne doświadczenie oddaliłoby ich od siebie, rzucając w cierpienie na wyścigi, źle ulokowaną wściekłość, obwinianie się. Ale oddalenie ich do siebie zbliżyło.

Ile razy w tych pierwszych tygodniach wchodził do pokoju i stawał przy drzwiach, nie będąc w stanie się odezwać? Ile razy pytała: „Potrzebujesz czegoś?”, na co on odpowiadał: „Nie”. „Jesteś pewien? – pytała. On mówił: „Tak”, ale myślała: „Spytaj jeszcze raz”. Ona odpowiadała: „Wiem”, ale myślała: „Chodź do mnie”. A on mówił: „Spytaj jeszcze raz”. Na co odpowiadała: „Chodź do mnie”. I szedł, bez słów.

Leżeli tuż obok siebie, jej ręka na jego udzie, jego głowa na jej piersi. Gdyby byli nastolatkami, wyglądałoby to na początek miłości, ale żyli w małżeństwie od dwudziestu lat i była to jej ekshumacja.

Kiedy Tamir został poinformowany o obrażeniach Noama, dano mu tygodniowy urlop. Trzy godziny później był już w szpitalu z Rywką, a gdy zapadł zmrok, obojgu kazano iść do domu. Rywka instynktownie poszła spać do pokoju gościnnego. W środku nocy Tamir przyszedł i stanął przy drzwiach.

– Potrzebujesz czegoś? – pytała.

– Nie – odparł.

– Jesteś pewien?

– Tak.

– Wiem.

– Spytaj jeszcze raz – poprosił.

– Chodź do mnie – powiedziała, a on podszedł, bez słów.

Potrzebował odległości, by ją przemierzyć. A więc mu ją dała. Każdej nocy szła do pokoju gościnnego. Co noc do niej przychodził.

Kiedy Tamir siedział przy synu, myślał o tym, co Jacob powiedział mu o siedzeniu przy ciele Isaaca, o pragnieniu Maxa, by znajdować się blisko niego. Zniekształcona twarz Noama przybierała odcienie fioletu, które nie występują w naturze, jego policzki i czoło zlewały się w jedno z powodu opuchlizny. Dlaczego zdrowie nie jest wstrząsające jak choroba, dlaczego nie wymaga w równym stopniu modlitwy? Tamir potrafił tygodniami nie odzywać się do syna, ale nie zostawiłby z własnej woli jego pozbawionego przytomności ciała.

Noam wynurzył się ze śpiączki dzień przed zawieszeniem broni. Poznanie skali jego obrażeń – zarówno w wymiarze codziennego funkcjonowania organizmu, jak i uszczerbku na zdrowiu psychicznym – miało potrwać. Nie został pogrzebany żywcem ani spalony. Ale został złamany.

Kiedy podpisano zawieszenie broni, nie świętowano na ulicach. Nie było fajerwerków, butelek krążących z rąk do rąk ani śpiewów z okien. Tamtej nocy Rywka spała w sypialni. Miłosny dystans, który odnaleźli w kryzysie, wraz z nastaniem pokoju się zmniejszył. W całym kraju i na całym świecie Żydzi pisali wstępniaki obwiniające innych Żydów – o brak przygotowania, mądrości, etyki, dostatecznej siły, pomocy. Koalicja pod wodzą premiera rozpadła się i zaplanowano wybory. Nie będąc w stanie zasnąć, Tamir wziął telefon ze stolika nocnego i napisał esemesa: „Wygraliśmy, ale przegraliśmy”.

W Dystrykcie Kolumbii była dziewiąta wieczorem. Jacob siedział w mieszkaniu z jedną sypialnią, które wynajmował od tygodnia przez Airbnb, trzy przecznice od swoich śpiących dzieci. Szedł tam, gdy położył je do łóżek, i wracał, zanim się obudziły. Chłopcy wiedzieli, że nie spędza nocy w domu, on zaś wiedział, że oni wiedzą, ale odgrywanie tej komedii wydawało się konieczne. Nic nie miało być dla Jacoba trudniejsze niż ten okres pomiędzy domami, który trwał pół roku. Wszystko, co niezbędne, było zarazem wyczerpujące: udawanie, wstawanie z samego rana, samotność.

Kciuk Jacoba ciągle przesuwiał listę kontaktów w telefonie, jakby mogła się pojawić jakaś nowa osoba, z którą potrafiłby się podzielić smutkiem, do którego nie był w stanie się przyznać. Chciał wyciągnąć rękę do Tamira, ale to było niemożliwe: nie po Islip, nie po tym, co spotkało Noama. Kiedy więc przyszła wiadomość – „Wygraliśmy, ale przegraliśmy” – odczuł ulgę i wdzięczność, ale zachował ostrożność, aby nie powiększyć rozmiarów swego wstydu ujawnieniem go.

Co wygraliście? Co przegraliście?

Wygraliśmy wojnę. Przegraliśmy pokój.

Ale wygląda na to, że wszyscy przyjęli

warunki zawieszenia broni.

Własny pokój ducha.

Jak się czuje Noam?

Wyjdzie z tego.

Jaka ulga to słyszeć.

Kiedy siedzieliśmy u ciebie przy stole w kuchni,  
porobieni, opowiedziałeś mi coś  
o oku dnia w niebie nocą.  
O co chodziło?

To z dinozaurami?

Tak.

No więc właściwie chodziło o oko nocy w niebie za dnia.

Ale jak?

Wyobraź sobie kulę wystrzeloną do wody.

Tyle wystarczy. Już pamiętam.

Dlaczego zacząłeś o tym myśleć?

Nie mogę spać. No i zamiast tego myślę.

Też nie sypiam za wiele.  
Jak na ludzi, którzy mówią o zmęczeniu  
tak dużo jak my, nie śpimy za dużo.

Nie będziemy się przenosić.

Nie sądziłem, że mieliście.

Mieliśmy.

Rywka zaczynała zmieniać zdanie.  
Ale koniec z tym.

Co się zmieniło?

Wszystko. Nic.

Racja.

Jesteśmy, kim jesteśmy.  
Zmieniło się to, że się do tego przyznajemy.

Sam też nad tym pracuję.

A gdyby to była noc?

Kiedy?

Gdy spadła asteroida.

Wyginęłyby nocą.

Ale co by zobaczyły?

Oko nocy w nocnym niebie?

Jak by to według ciebie wyglądało?

Może jak nic?

Przez kilka następnych lat wymieniali krótkie esemesy i mejle w tonie rzeczowych informacji, głównie na temat dzieci, bez żadnego zabarwienia ani niezwiązanych z tematem uwag. Tamir nie przyjechał na bar micwę Maxa ani Benjy'ego, nie był na ślubie Julii (mimo serdecznych zaprosin z jej strony i próśb Jacoba) ani na pogrzebach Deborah i Irva.

Po pierwszych odwiedzinach dzieci w nowym domu – pierwszym i najgorszym dniu reszty jego życia – Jacob zamknął drzwi, poleżał z Argusem przez pół godziny, mówiąc mu, jaki z niego dobry, najlepszy psiak, a potem usiadł z filizanką kawy, która ogrzewała swym ciepłem pomieszczenie tak długo, jak długo pisał do Tamira mejl, którego miał nigdy nie wysłać, następnie zaś wstał z kluczami w dłoni, w końcu gotów udać się do weterynarza. Mejl zaczynał się słowami: „Przeegraliśmy, ale przeegraliśmy”.

Przegrana wiązała się po części z oddawaniem, a po części z odbieraniem. Jacoba

nierzadko zaskakiwało, gdy przekonywał się, czego trzyma się kurczowo, a co lekką ręką odpuszcza – co wydawało mu się jego i co wydawało się potrzebne.

Weźmy egzemplarz *Hańby*. Przecież *on* go kupił – pamiętał, jak pewnego lata znalazł go w antykwariacie w Great Barrington, przypominał sobie nawet wspaniałe zbiór sztuk Tennessee Williamsa, którego nie kupił, bo towarzyszyła mu Julia i nie chciał zostać skonfrontowany ze swoim pragnieniem posiadania książek, których nie miał najmniejszego zamiaru czytać.

Julia zabrała *Hańbę* ze stolika nocnego Jacoba, argumentując to tym, że powieść leżała tam nietknięta przez ponad rok. („Nietknięta” to było jej słowo. On powiedziałby „nieprzeczytana”). Czy miał do książki prawo, ponieważ ją kupił? Czy miała je Julia, ponieważ ją przeczytała (tknęła)? Czy to, że ją tknęła i przeczytała, nie sprawiało, że zrzekała się do niej praw, ponieważ teraz to on miał ją tknąć i przeczytać? Takie myśli wydawały się haniebne. Można było ich sobie oszczędzić, tylko pozbywając się wszystkiego, ale jedynie człowiek bardziej świątły bądź głupi zatarłby ręce i pomyślał: „To tylko rzeczy”.

A co z niebieskim wazonem na kominku? Jej rodzice dali mu go w prezencie. *Jemu*, nie *im*. Był to prezent urodzinowy. Albo na Dzień Ojca. Przypominał sobie przynajmniej tyle, że był to prezent, który wręczono mu z dołączoną karteczką skierowaną do *niego* i który był wybrany starannie z myślą o *nim*, ponieważ rodzice Julii szcycili się tym, że świetnie go znają i – co dobrze o nich świadczyło – w istocie tak było.

Czy uznawanie za swoją własność czegoś, za co zapłacili jej rodzice, oznaczało małoduszność, bo choć wręczyli to *jemu*, robili to bez wątplenia z myślą o ich wspólnym domu? I choć wazon był piękny, to czy Jacob pragnął tej energii psychicznej w swoim azylu i symbolu nowych początków? Czy naprawdę ten wazon dałby jego kwiatom największą szansę rozkwitnięcia?

Większość rzeczy mógł odpuścić.

Uwielbiał Wielki Czerwony Fotel – przez ostatnich kilkanaście lat czytał niemal wyłącznie w nim, wtuliwszy się w sztruks. Czy fotel czymś nie nasiąknął? Nie nabrał właściwości wykraczających poza fotelowość? Czy plama potu na oparciu była jedyną pozostałością po całym tym doświadczeniu? Co zamykało się w tych szerokich prążkach? „Odpuść go”, pomyślał.

Sztuńce. Podnosił nimi jedzenie do ust, podobnie jak jego dzieci. To najbardziej podstawowa z ludzkich aktywności, bez której nie możemy żyć. Mył je w zlewie przed wstawieniem do zmywarki. Odginał łyżeczki po niezdarnej psychokinezie Sama, używał noży, by podważyć pokrywki puszek z farbą i zdrapać zaschnięte bóg-wie-co ze zlewu, wprowadzał widelce pod koszulę na plecach, żeby podrapać swędzące miejsce poza zasięgiem palców. „Odpuść je. Odpuść to wszystko, dopóki całkiem nie zniknie”.

Albumy fotograficzne. Miałyby ochotę zatrzymać część z nich. Ale nie powinno się ich rozdzielać, tak samo jak *Encyklopedii sztuki* wydawnictwa Grove. Nie dało się też pominąć faktu, że to Julia zrobiła prawie wszystkie zdjęcia: zauważmy, że jest na nich nieobecna. Czy ta nieobecność oznaczała domaganie się prawa własności?

Miarka wzrostu na futrynie kuchennych drzwi. W Nowy Rok i żydowski Nowy Rok robił wielkie mecyje, wołając wszystkich na mierzenie. Stali, patrząc przed siebie, plecy proste jak deski surfingowe, nigdy na palcach, ale zawsze pragnąc pokazać swój wysoki wzrost. Jacob przykładał czarny marker sharpie do czubków ich głów i rysował dwucalową kreskę.

Potem pisał inicjały i datę. Pierwszy pomiar to SB 01/01/05. Ostatni – BB 01/01/16. Między nimi widniało kilkadziesiąt kresek. Jak to wyglądało? Jak maleńka drabinka, po której mogły wspinać się i schodzić maciupkie aniołki? Jak progi na instrumencie wygrywającym dźwięk przemijającego życia?

Byłby całkiem szczęśliwy, nie zabierając niczego i po prostu zaczynając od początku. „To tylko rzeczy”. Ale nie byłoby to sprawiedliwe. A nawet więcej: byłoby to niesprawiedliwe. Sprawiedliwość i niesprawiedliwość szybko nabrały większego znaczenia niż same rzeczy. Poczucie krzywdy osiągnęło swój szczyt, gdy zaczęli rozmawiać o sumach, które naprawdę nie miały znaczenia. Któregoś wiosennego popołudnia, gdy do okna przykleiły się kwiaty wiśni, doktor Silvers powiedział do Jacoba: „Niezależnie od warunków pańskiego życia, nigdy nie będzie pan szczęśliwy, jeśli nadal tak często będzie pan używał słowa «niesprawiedliwość»”.

Próbował więc odpuścić to wszystko – rzeczy i wyobrażenia, którymi je przepełniał. Miał zacząć od nowa.

Pierwszym zakupem do nowego domu były łóżka dla dzieci. Ponieważ pokój Benjy’ego był raczej mały, potrzebne było łóżko z pojemnikami. Może rzeczywiście trudno było je znaleźć, a może Jacob utrudnił sobie zadanie. Spędził całe trzy dni na przeszukiwaniu sieci i chodzeniu po sklepach, decydując się w końcu na coś całkiem ładnego (z firmy w sposób wyzywająco mylący nazwanej „Design w Zasięgu Ręki”), z solidnej dębiny, co kosztowało ponad trzy tysiące dolarów. *Plus* podatek, *plus* dostawa.

Łóżko oczywiście wymagało materaca (rozmowa o tym, co oczywiste), a materac oczywiście musiał być ekologiczny (rozmowa o tym, co nieoczywiste), ponieważ Julia spytałaby, czy taki jest, a następnie, nie ufając jego odpowiedzi, zdjęłaby prześcieradło i rzuciła okiem. Stałoby się coś, gdyby po prostu powiedział: „Poszedłem na łatwiznę”? Tak, stałoby się. Ale dlaczego? Z obawy przed rozczarowaniem jej? Ze strachu przed nią? Dlatego że miała rację i miało znaczenie, w jakie substancje chemiczne dzieci były wciśnięte przez połowę swojego życia? Kolejny tysiąc dolarów.

Materace oczywiście wymagały prześcieradeł, ale najpierw potrzebne były nakładki na materace, bo choć Benjy był u progu końca nocnych wypadków, to nadal był nie po tej stronie progu co trzeba (Jacobowi przyszło do głowy, że rozwód mógł nawet wywołać regresję) i jeden taki wypadek mógł w praktyce zniszczyć ekologiczny materac za tysiąc dolarów. A zatem: kolejne sto pięćdziesiąt dolarów. A potem te prześcieradła. Liczba mnoga odnosi się nie tylko do rozmaitych rodzajów prześcieradeł, koniecznych, by można było mówić o „zestawie prześcieradeł”, ale także do drugiego ich zestawu, bo tyle właśnie ludzie kupują. Często zdawał sobie sprawę, że jest zdany na łaskę tego rodzaju logiki: należy to zrobić w taki a taki sposób, bo tak trzeba, bo tak właśnie ludzie robią. Ludzie kupują dwa sztucce na każdy jeden, którego będą używać. Ludzie kupują ezoteryczne sosy do sałatek, które zrobią może raz, jeśli w ogóle. I dlaczego funkcjonalność widelca jest tak słabo dostrzegana? Posiadając zwykły widelec, człowiek nie potrzebuje trzepaczki do jaj, łopatk, szczypiec do sałatek (zamiast nich dwa widelce), ubijaka do ziemniaków ani w zasadzie żadnych innych bardzo specjalistycznych przyborów kuchennych, których rzeczywista rola polega na tym, że się je kupuje. Spokój odnalazł częściowo w postanowieniu, że skoro zamierza nabyć rzeczy, których nie potrzebuje, to przynajmniej kupi byle jakie ich wersje.

Wyobraź sobie, że zaczynasz życie pozagrobowe i nie wiesz, czy jesteś w niebie, czy



w piekle.

– Przepraszam, gdzie ja jestem? – pytasz przemykającego anioła.

– Zapytaj, popytaj anioła w punkcie informacyjnym.

– A gdzie to?

Ale anioła już nie ma.

Rozglądasz się wokół. Można by podnieść wiele argumentów za tym, że to niebo. Można by podnieść wiele argumentów za tym, że to piekło. Tak właśnie wygląda Ikea.

Do czasu, gdy skończył przygotowywać nowy dom dla chłopców, Jacob sześć razy wyprawiał się do Ikei i nawet wówczas nie był w stanie określić, czy w ostatecznym rozrachunku ją uwielbia, czy też czuje do niej wstręt.

Żywił odrazę do płyt wiórowych, do regałów, które potrzebowały książek, żeby się nie rozjechać.

Uwielbiał wyobrazać sobie analizy, jakim poddawano każdy szczegół – najkrótszą możliwą długość kołeczka, który będzie powielony osiem milionów razy – żeby sprzedawać rzeczy za ceny graniczące z magią.

Czuł odrazę, gdy mijał kogoś, kto w wózku na zakupy miał nie tylko to samo co on, ale do tego tak samo ułożone. I czuł odrazę do wózków: trzech śmiertelnych wrogów i czwartego z drżączką jak u pacjenta z parkinsonem, a także do promieni skrętu wielkich jak tęcza – i nie chodzi o sam kształt, ale o prawdziwą tęczę.

Uwielbiał niespodziewane przedmioty – pięknie zaprojektowane, idealnie nazwane i naprawdę wykonane z materiałów gęstszych niż pianka do golenia. Ten czarny marmurowy móździerz Ädelsten z tłuczkiem. Czy to był artykuł sprzedawany ze stratą? Akt miłości?

Żywił odrazę do maszyny, która waliła w ten biedny fotel raz po raz, codziennie przez cały dzień i prawdopodobnie przez całą noc, potwierdzając zarówno wytrzymałość fotela, jak i istnienia zła.

Jacob usiadł na kanapie – zielone, przypominające aksamit obicie skrywające coś (cokolwiek to jest) będącego przeciwieństwem listownicowców i końskiego włosia – i zamknął oczy. Miał poważne problemy z zasypianiem. Od długiego czasu. Ale tutaj było dobrze. Mimo przepływającej przed nim rzeki nieznanomych, którzy od czasu do czasu się przysiadali, żeby sprawdzić, czy kanapa jest wygodna, dawało to poczucie bezpieczeństwa. Był w swoim własnym świecie na tym świecie, który znajdował się we własnym świecie w świecie. Wszyscy czegoś szukali, ale zapasy były nieskończone, więc niczyja satysfakcja nie musiała następować niczym kosztem – nie trzeba było walczyć, nie trzeba było nawet się nie zgadzać. Co z tego, że było to zupełnie bezduszne? Może niebo nie było zaludnione duszami, lecz właśnie z nich opróżnione? Może na tym polegała sprawiedliwość?

Obudziło go coś, co w pierwszej chwili wydało mu się waleniem tej niemoralnej maszyny, jakby to jego wytrzymałość była raz po raz brutalnie kwestionowana. Ale to tylko życzliwy anioł klepał go w ramię.

– Za dziesięć minut zamykamy – powiedziała.

– Och, najmocniej przepraszam – odparł.

– Za co? – spytała.

Zanim doszło do trzęsienia ziemi, Jacob każdego ranka schodził na dół, nie zastanawiając

się, czy Argus zrobił kupę, ale gdzie i jakiej konsystencji. Okropnie było zaczynać w ten sposób dzień i choć Jacob wiedział, że to nie wina psa, to kiedy liczył się czas, a dzieci nie współdziałały jak roboty, kupa w czterech różnych miejscach mogła wywołać atak szału.

– Argus, Jezu Chryste!

W takiej chwili jedno z dzieci przychodziło Argusowi na ratunek:

– On nic na to nie poradzi.

A potem Jacob czuł się fatalnie.

Z perskich i orientalnych dywanów Argus robił rorschachy, prznosił wyściółkę tapicerowanych mebli do szaf i swojego żołądka, drapał podłogi jak skreczujący didżej Grand Wizard Theodore. Ale był ich psem.

Wszystko byłoby o wiele łatwiejsze, gdyby Argus cierpiał – nie dyskomfort, ale głęboki ból. Albo gdyby weterynarzowi udało się odnaleźć raka, chorobę serca, a nawet niewydolność nerek.

Gdy Jacob powiedział Julii, że rusza walczyć do Izraela, odparła, że najpierw musi uspić Argusa. Nie zrobił tego, a ona drugi raz o tym nie wspomniała. Ale kiedy wrócił do domu z wyjazdu, którego nie było, pozostała otwarta, choć niewidzialna, rana.

W kolejnych miesiącach stan Argusa pogorszył się wraz ze wszystkim innym. Pies zaczynał wyć bez wyraźnego powodu, dreptał w miejscu, zanim usiadł, jadł coraz mniej, aż w końcu nie jadł prawie w ogóle.

Julia i chłopcy mieli być lada moment. Jacob łaził po domu, dostrzegając wszystkie niedoskonałości i wydłużając ciągnącą się w jego głowie w nieskończoność listę poprawek, którymi należy się zająć: popękana fuga przy ciekącym prysznicu, niedbałe przemalowanie tam, gdzie ściana korytarza styka się z podłogą, przytkany otwór wentylacyjny w suficie jadalni, przeładowane ozdobami okno w sypialni.

Zadzwonił dzwonek. Po chwili znów. I jeszcze raz.

– Idę! Idę!

Otworzył drzwi na spotkanie uśmiechów.

– Dziwnie brzmi twój dzwonek.

„Twój” dzwonek.

– Trochę dziwnie. Dziwnie dobrze? Czy dziwnie źle?

– Raczej dziwnie dobrze – odrzekł Max i może była to jego opinia, a może uprzejmość.

– Wejdźcie – powiedział Jacob. – Chodźcie. Mam superprzekąski: cheddarowe króliczki, truflowy ser, który lubisz, Benjy, limonkowe chipsy z tortilli, Max. I cały zestaw włoskich napojów gazowanych: aranciate, limonate, pompelmo, klementynkę.

– Nie trzeba – powiedział Sam, uśmiechając się jak do rodzinnego zdjęcia.

– W życiu nie słyszałem o pompelmo – stwierdził Max.

– Ja też nie – odparł Jacob. – Ale mamy je.

– Uwielbiam to miejsce – całkiem szczerze i przekonująco oświadczyła Julia, choć była to z góry przygotowana kwestia.

Robili próbę odwiedzin, podobnie jak przećwiczyli rozmowę rozwodową, rozmowę na temat tego, jak podzielić się harmonogramem przynosin między obydwojma domami, i mnóstwo innych spraw, które były zbyt bolesne, by przeżyć je tylko raz.

– To co, chłopaki? Chcecie, żeby was oprowadzić? Czy może wolicie sami go zwiedzić?

– Może zwiedzić? – powiedział Sam.

– Śmiało. Na drzwiach pokoiów są wasze imiona, więc ich nie przegapicie.

Usłyszał samego siebie.

Chłopcy poszli na górę. Powoli, z rozmysłem. Nic nie mówili, ale Jacob słyszał, jak dotykają przedmiotów.

Julia zwlekała. Zaczekała, dopóki dzieci nie znalazły się na drugim piętrze, a potem stwierdziła:

– Jak na razie wszystko w porządku.

– Myślisz?

– Tak – odparła. – Ale to potrwa.

Jacob zastanawiał się, co o jego domu miałby do powiedzenia Tamir, gdyby go kiedykolwiek zobaczył. Co powiedziałby Isaac? Oszczędził sobie przenosin do Żydowskiego Domu, nieświadomy, że oszczędził sobie też przenosin Jacoba. I samego Jacoba.

Jacob zaprowadził Julię do pomieszczenia, które miało stać się salonem – było w tej chwili bardziej puste, niż gdyby nie zamykały go ściany. Siedzieli na jedynym stojącym tu meblu, zielonej kanapie, na której kilka tygodni temu przysnął Jacob. Nie dokładnie tej samej, ale jednej z dwóch milionów identycznych sióstr.

– Nakurzyło się – powiedziała. A potem: – Przepraszam.

– Nie, to prawda. Strasznie.

– Masz odkurzacz?

– Kupiłem taki sam, jaki mamy – powiedział Jacob. – Mieliśmy? Masz? Podłogę też myję.

Wydaje się, że cały czas.

– Czuć kurz w powietrzu, jeszcze z remontu. Ciągle osiada.

– Jak można się pozbyć kurzu z powietrza?

– Po prostu rób to, co do tej pory – odparła.

– I mam oczekiwać innego skutku? Czyż to nie definicja szaleństwa?

– Masz może miotełkę do kurzu?

– Słucham?

– Kupię ci ją. Są naprawdę przydatne.

– Mogę sam kupić, jeśli podeślesz mi link.

– W tej sytuacji łatwiej mi ją po prostu kupić.

– Dzięki.

– Czujesz się w porządku w sprawie Argusa?

– Nie.

– Powinieneś.

– Moje uczucia nigdy nie przejmowały się tym, jakie powinny być.

– Jesteś dobry, Jacobie.

– W porównaniu z kim?

– Z innymi mężczyznami.

– Czuję się, jakbym wybierał wodę durszlakiem.

– Gdyby życie było proste, każdy by to robił.

– Każdy to robi.

– Pomyśl, ile nienarodzonych trylionów trylionów ludzi przypada na każdego, kto się rodzi.

– Albo wystarczy pomyśleć o moim dziadku.

– Często o nim myślę – powiedziała. Podniosła wzrok i zlustrowała pokój. – Nie wiem, czy to irytujące, czy pomocne, kiedy wspominam o rzeczach...

– Po co ta binarność?

– Racja. Cóż. Ściany są trochę ciemne.

– Wiem. Nie trochę, prawda?

– Pełne rozpacz.

– Zatrudniłem kolorystę.

– Żartujesz.

– Użyłem farby, którą lubisz. Farrow coś tam.

– Farrow and Ball.

– I zaproponowali usługi kolorysty. Przyjąłem, że to w ramach grzeczności, skoro kupuję tyle ich wściekle drogiej farby. A potem przyszedł rachunek na dwa tysiące pięćset dolarów.

– Nie!

– Tak. Dwa tysiące pięćset. I czuję się, jakbym żył pod kepi Unii.

– Słucham?

– Pod taką czapką z wojny secesyjnej. Słuchałem ostatnio historii...

– Trzeba było mnie poprosić.

– Nie stać mnie na ciebie.

– To byłoby gratis.

– Czy mój ojciec cię nie nauczył, że nie istnieje ktoś taki jak kolorysta za darmo?

– Wszędzie jest papier – powiedział Benjy, schodząc po schodach. Wydawał się pogodny, niewzruszony.

– To tylko, żeby chronić podłogę, zanim skończą robotę – powiedział Jacob.

– Będę się często potykał.

– Dawno nie będzie po nim śladu, jak tu zamieszkacie. Po papierze, po drabinach, kurzu.

Wszystko to zniknie.

Max i Sam wrócili na dół.

– Czy mogę mieć w pokoju minilodówkę? – spytał Max.

– Jak najbardziej – powiedział Jacob.

– Po co? – spytała Julia.

– Nie sądzicie, że na podłogach jest za dużo papieru? – zwrócił się do braci Benjy.

– Na te wszystkie włoskie napoje.

– Sądzę, że w zamyśle taty miało to być coś wyjątkowego z okazji waszej pierwszej wizyty.

– Tato?

– Z pewnością nie będziemy ich pić na co dzień.

– Sam, myślisz, że papier na podłodze jest zły?

– Dobrze, w takim razie żebym mógł trzymać martwe szczury.

– Martwe szczury?

– Zgodziłem się na pytona – powiedział Jacob – a tym właśnie pytony się żywią.

– Prawdę mówiąc, chyba trzeba je zamrażać – stwierdził Max. – A nie wydaje mi się, żeby minilodówki miały zamrażalniki.

– Po co ci w ogóle pyton? – spytała Julia.

– Bo zawsze chciałem mieć pytona, bo są niesamowite i tata powiedział, że skoro już mamy nowy dom, to w końcu mogę go dostać.

I wtedy Sam, który był jak na niego dziwnie małomówny, powiedział:

– Mój pokój wydaje się całkiem fajny. Dzięki, tato.

Była to najtrudniejsza rzecz, jaką Jacob mógł usłyszeć. Julia dostrzegła, że potrzebuje pomocy, i wkroczyła do akcji.

– No więc – powiedziała, klaskając w dłonie i mimowolnie wzbijając więcej kurzu – myśleliśmy sobie z tatą, że miło byłoby jakoś ten dom nazwać.

– A to nie jest po prostu Dom Taty?

– Racja – przytaknął Jacob, ochłonawszy i przywdziawszy maskę optymizmu. – Ale wszyscy chcemy o nim myśleć jako o jednym z dwóch rodzinnych domów.

– Ta, ten, w którym ty mieszkasz. W przeciwieństwie do tego, w którym mieszka mama.

– Nie lubię tego domu – powiedział Benjy, przecinając linkę hamulcową emocji Jacoba.

– Polubisz – stwierdziła Julia.

– Nie lubię tego domu.

– Przrzekam, że polubisz.

Jacob czuł, że wpada w poślizg. To niesprawiedliwe, że on musiał się przeprowadzić, niesprawiedliwe, że postrzegano go jako tego, który oszedł, niesprawiedliwe, że cały ten kurz był jego. Ale czuł też swoją zależność od starań Julii. Nie mógłby zrobić tego bez niej. Nie mógł żyć bez niej bez niej.

– Będzie wspaniale – powiedziała, jakby mogła wdmuchiwać swój optymizm w przebity balonik szczęścia Benjy’ego, tak żeby zachował swój kształt. – Tata mówił, że na górze jest nawet miejsce na stół pingpongowy.

– No pewka – potwierdził Jacob. – I przetrollowałem eBaya w poszukiwaniu starych automatów do skee balla.

– Nie *przetrollowałeś* – stwierdził Max – tylko *przetrałowateś*.

– Ale – powiedział Sam, nagle ożywiony – czy wiedziałeś, że *trollowanie* pochodzi tak naprawdę od *trałowania*? Nie od, wiecie, trolli?

– Nie wiedziałem – odparł Max, wdzięczny za tę szczyptę wiedzy. – Zawsze zakładałem, że chodzi o trolle.

– Co nie?

Chwila normalności przywodziła na myśl zwyczajne życie.

– Co to skee ball? – spytał Benjy.

– Takie jakby połączenie kręgli i rzutek – odparł Sam.

– Trudno mi to sobie wyobrazić.

– Mają takie w sali zabaw Chuck E. Cheese.

– Ach, racja.

Zwyczajne życie? Czy całe to zamieszanie było usprawiedliwione tym pragnieniem?

– Co powiecie na Dom Gier? – podsunął Max.

– Za bardzo kojarzy się z kasynem – uznał Sam.

– Dużo tu kurzu – powiedział Benjy.

– Kurz zniknie.

– A może Wersalkowy Dom?

– Czemu?

- Od nazwy ulicy. Davenport Street.
- Brzmi jak bardzo stary dom.
- Nie wiem, co jest złego w tym, żeby nazwać go Domem Taty – powiedział Sam. – Możemy udawać, że to coś innego, ale przecież to właśnie to.
- Papierowy Dom – trochę do siebie, trochę do nikogo mruknął Benjy.
- Co?
- Bo tutaj wszędzie jest tyle papieru.
- Ale zanim się wprowadzicie, papier zniknie – zapewnił Jacob.
- I na papierze piszesz, a przecież jesteś pisarzem.
- Píše na komputerze – powiedział Sam.
- A papier łatwo się drze i pali.
- Dlaczego chciałbyś nazwać dom od czegoś, co się łatwo drze i pali?
- Odpuść mu, Max.
- Co ja takiego powiedziałem?
- Zostawmy to – zaproponował Jacob. – Możemy go po prostu nazwać 2328, jak adres.
- Nie – odrzekła Julia – nie zostawiajmy. To fajny pomysł, a my jesteśmy pięciorgiem inteligentnych ludzi. Damy radę.

Pięcioro inteligentnych ludzi myślało. Zastosowali swoją inteligencję do czegoś, co koniec końców nie było kwestią inteligencji, jakby stosowali śrubokręt krzyżakowy do rozwiązania krzyżówki.

W jednych religiach akcentuje się znaczenie spokoju wewnętrznego, w innych doniosłość unikania grzechu, w jeszcze innych wagę chwały. Judaizm kładzie nacisk na inteligencję – pod kątem tekstu, rytuału i kultury. Wszystko jest nauką, wszystko przygotowaniem, bezustannym wypełnianiem umysłowej skrzynki z narzędziami, dopóki człowiek nie jest gotowy na każdą sytuację (i skrzynka nie jest zbyt ciężka do noszenia). Żydzi stanowią dwa promile ludności świata, ale przyznano im dwadzieścia dwa procent wszystkich Nagród Nobla (dwadzieścia cztery, jeśli nie liczyć pokojowej Nagrody Nobla). A zważywszy brak Nobla za Bycie Eksterminowanym, przez dekadę Żydzi nie mieli wielkich szans, więc w praktyce odsetek jest jeszcze wyższy. Dlaczego? Nie dlatego, że Żydzi są bystrzejsi od kogokolwiek – dlatego że kładą nacisk na rzeczy, które Sztokholm nagradza. Żydzi kształcili się do Nagrody Nobla przez tysiące lat. Ale gdyby istniała Nagroda Nobla w dziedzinie zadowolenia, poczucia bezpieczeństwa albo umiejętności odpuszczenia, to te dwadzieścia dwa procent – dwadzieścia cztery bez pokojowej – spadałoby tak szybko, że potrzeba by było spadochronu.

- Ciągle sądzę, że powinniśmy go nazwać Domem Taty – powiedział Sam.
- Ale to nie jest tylko mój dom. To nasz dom.
- Nie możemy go nazwać Naszym Domem – stwierdził Sam – bo drugi dom też jest nasz.
- Dom Zegarowy?
- Dlaczego?
- Nie wiem.
- Dom Pompelma?
- Dom Anonima?
- Dom Kurzu?
- Ciąg dalszy nastąpi – ucieła Julia, sprawdzając na telefonie godzinę. – Muszę zabrać

tych koleś do fryzjera.

– Jasne – powiedział Jacob, zdając sobie sprawę z tego, co nieuchronne, i pragnąc to odroczyć choćby o kilka minut. – Chce ktoś na początek coś przegryźć albo się czegoś napić?

– Spóźnimy się – stwierdziła Julia. A potem: – Pożegnajcie się wszyscy z Argusem.

– Do zo, Argus.

– Narty, Argo.

– Pożegnajcie się porządnie – powiedziała.

– Czemu?

– To jego pierwsza noc w nowym domu – zauważył Jacob.

– Nowy Dom? – zasugerował Sam.

– Może – odparł Jacob. – Choć już niedługo nie będzie nowy.

– Wtedy będziemy mogli zmienić nazwę – stwierdził Sam.

– Jak Synagoga Staronowa w Pradze – podsunęła Julia.

– Albo się przeprowadzić – powiedział Benjy.

– Żadnych przeprowadzek więcej – odparł Jacob.

– Musimy lecieć – zwróciła się Julia do dzieciaków.

Chłopcy pożegnali się porządnie z Argusem, a potem Julia uklękła, by znaleźć się twarzą na wysokości jego pyska.

– Trzymaj się, włochaczu.

Nic nie dała po sobie poznać – nic, co dostrzegłby ktokolwiek poza Jacobem. Ale on to dostrzegał. Nie byłby w stanie opisać, co ją zdradziło – na pewno nie jej twarz, nie ciało, nie głos – ale wszystko widział jak na dłoni. Jacob mógł się najwyżej zdobyć na tłumienie emocji. Julia potrafiła zachować opanowanie. Patrzył na to z pełnym szacunku podziwem. Robiła to dla dzieci. Dla Argusa. Ale jak jej się to udawało?

– Dobra – powiedział Jacob.

– Dobra – powiedziała Julia.

– Wiem, co powinniśmy zrobić – oświadczył Benjy.

– Powinniśmy iść – odparła Julia.

– Nie. Powinniśmy przejść się po domu z zamkniętymi oczyma. Jak kiedyś w szabat.

– Może jak będziecie tu następnym razem? – zasugerował Jacob.

Sam zrobił krok naprzód, w przestrzeń swej dorosłości:

– Tato, możemy to zrobić dla niego.

Na te słowa Julia odstawiła torebkę. Jacob wyjął ręce z kieszeni. Nikt nie patrzył, czy inni zamknęli oczy, bo to by była zdrada wobec ducha tego rytuału. I nikt nie podglądał, ponieważ istniał odruch silniejszy od tego odruchu.

Z początku to była dobra zabawa; to było zabawne. Nostalgia miała słodki, niczym niezabarwiony posmak. Dzieciaki celowo wpadały na różne rzeczy, wydawały chłopięce odgłosy i dużo się śmiały. Potem jednak – choć nikt nie miał takiego zamiaru ani nie dostrzegł zmiany – rozkwitła cisza. Nikt nie przestał mówić, ale przestano rozmawiać. Nikt nie powstrzymał śmiechu, ale śmiech już nie rozbrzmiewał. Długo się to ciągnęło – każde z nich inaczej odbierało upływ czasu – cała piątka jak duchy, odkrywcy, noworodki. Nikt nie wiedział, czy któreś z nich asekuje się wyciągniętymi rękami. Nikt nie wiedział, czy ktoś się czołga, macha nogą, by zlokalizować przeszkody, albo przebiega palcem po ścianie,

którą ciągle ma po prawej stronie. Stopa Julii dotknęła nogi składanego krzeselka. Sam odnalazł włącznik światła, złapał go kciukiem i palcem wskazującym i szukał przestrzeni między „wyłączonym” a „włączonym”. Max poczuł dreszczyk podniecenia, gdy jego ręce badały płytę kuchenną. Julia otworzyła oczy; powitały je otwarte oczy Jacoba.

– Wymyśliłem – powiedział Benjy, już na tyle duży, by wiedzieć, że świat nie znika, gdy się na niego nie patrzy.

– Co takiego wymyśliłeś? – spytała Julia przez cały pokój, nie zdradziwszy go spojrzeniem na niego.

– Dom Płaczu.

Jacob nie potrzebował niczego, gdy po raz ostatni wybrał się do Ikei. Tak przywykł do tego, że Ikea zaspokaja jego potrzeby – ręczniki do rąk do łazienki na górze, czyściec wełnisty w doniczce, wolnostojące akrylowe ramki – iż doszedł do przekonania, że Ikea zna jego potrzeby lepiej niż on sam, na podobnej zasadzie, wedle której planował badanie lekarskie, ponieważ doktor lepiej od niego wiedział, czy Jacob jest chory.

Wziął jasnoczerwony taboret ze stopniem, wyciskacz do czosnku, trzy szczotki do WC, suszarkę na pranie, suszarkę do naczyń, sześć pojemników z filcu, które idealnie nadawałyby się do jakiegoś chwilowo niewiadomego celu, poziomice (mimo że ani razu w ciągu czterdziestu dwóch lat poziomica nie była mu potrzebna), wycieraczkę, dwie tacki na listy, rękawice do garnków, kilka szklanych słoików z hermetycznym zamknięciem do przechowywania (i ładnego zaprezentowania) takich rzeczy, jak fasola, soczewica, groch, prażona kukurydza, komosa i ryż, więcej wieszaków, ledowe łańcuchy świetlne, aby połączyć rogi pokoju Benjy’ego, kosze na śmieci z pedałem do każdej z łazienek, gówniany parasol, który nie przetrwa dwóch burz, ale jedną tak. Jacob był w dziale tekstyliów, gdzie zatopił palce w sztucznej owczej skórze, gdy usłyszał swoje imię.

– Jacob?

Odwrócił się, by ujrzeć piękną kobietę: ciepłe brązowe oczy koloru przetartej skóry, złoty medalion, który przyciągał jego spojrzenie ku rowkowi między gładkimi piersiami bez żyłek, bransolety w połowie rąk, jakby dawniej była tęższa. Co kryło się w tym medalionie? Znał ją, a raczej znał ją dawniej.

– Maggie – powiedziała. – Silliman.

– Cześć, Maggie.

Uśmiechnęła się uśmiechem, który sprowadziłby do portu tysiąc statków.

– Dylan i Sam chodzili razem do przedszkola. Do grupy Leah i Melissy.

– Tak. Oczywiście.

– Minęła dekada – stwierdziła uprzejmie.

– Nie, nie, pamiętam.

– Wydawało mi się, że cię widziałam. Tam wcześniej, na sypialniach. Ale w zamieszaniu cię zgubiłam. I nie byłam pewna. Ale gdy zobaczyłam cię tutaj, wiedziałam.

– Mhm.

– To taka ulga, że wróciłeś do domu.

– Och, nie mieszkam tutaj – powiedział. Jego odruchową skłonność do flirtu pobudziła myśl, że może to ona była tą, u której męża w środku roku szkolnego wykryto tętniaka. – Kupuję tylko kilka rzeczy do mojego prawdziwego domu.



Nie roześmiała się. Była wyraźnie poruszona. Czy to jej Julia przynosiła te wszystkie obiady?

– Była lista z nazwiskami wszystkich, którzy wyruszyli.

– Wyruszyli?

– Do Izraela. Wywiesili ją przed bóżnicą.

– Nie wiedziałem o tym – powiedział.

– Nigdy się nie modliłam. Nigdy. Ale zaczęłam przychodzić. Dużo ludzi chodziło. Zwykle rano bóżnica była pełna. W każdym razie codziennie na nią patrzyłam.

„Nadal mogę powiedzieć jej prawdę, ale tylko w tej chwili. Potem kłopotliwe nieporozumienie zamieni się w kłamstwo gorsze niż to, co się za nim skrywa”, pomyślał.

– Nie miałem pojęcia – odparł.

Zresztą pod ręką są drobniejsze kłamstewka (że zawrócono mnie na lotnisku), a nawet półprawdy (że moja obecność podczas kryzysu domowego była bardziej potrzebna niż podczas kryzysu międzynarodowego).

– Tak właściwie to były dwie listy: jedna z nazwiskami tych, którzy polecieli walczyć, i druga z nazwiskami poległych. Wszyscy z drugiej listy byli też na pierwszej, co oczywiste.

– Cóż, naprawdę miło znów cię widzieć – powiedział Jacob, nie cierpiąc prawdy, nie znosząc kłamstwa i nie znając nic pomiędzy.

– Nigdy ich nie zdjęli. Może mają być czymś w rodzaju upamiętnienia? A może, choć wojna się skończyła, to w jakimś sensie trwa?

– Trudno powiedzieć.

– Co robiłeś? – spytała.

– Co masz na myśli?

– W Izraelu. Byłeś w logistyce? W piechocie? Nie znam terminologii.

– Byłem w batalionie czołgów.

Oczy jej się rozszerzyły.

– Przebywanie w czołgu musiało być przerażające.

– Nie tak przerażające jak bycie poza czołgiem.

Nie roześmiała się. Podniosła palce do ust i powiedziała:

– Ale nie kierowałeś, prawda?

– Nie. To wymaga porządnego szkolenia i doświadczenia. Przeładowywałem amunicję.

– Brzmi, jakby było wyczerpujące.

– I chyba naprawdę było.

– A widziałeś bitwę? Tak to się ujmuje? „Widzieć bitwę”?

– Też nie wiem, jak ujmować różne rzeczy. Byłem tylko ciałem. Ale tak, widziałem bitwę.

Zakładam, że wszyscy widzieli.

Zdania szły naprzód, ale jego umysł został przy „Byłem tylko ciałem”.

– Czuleś w którymś momencie, że jesteś w poważnym niebezpieczeństwie?

– Nie wydaje mi się, żebym za wiele czuł. Może zabrzmiało to jak klisza, ale nie było czasu na strach.

Nie spuszczać wzroku z Jacoba, złapała medalion kciukiem i palcem wskazującym. Dłoń wiedziała dokładnie, gdzie będzie wisior.

– Przepraszam – powiedziała. – Za dużo pytam.

– Nie, to nie to – odparł, wykorzystując jej przeprosiny jako drogę ucieczki. – Po prostu

muszę stąd wyjść, żeby zdążyć po Sama.

– Wszystko u niego dobrze?

– Świetnie sobie radzi. Dzięki, że pytasz. A...?

– Dylan.

– Jasne.

– Dylan przechodzi trudny okres.

– O nie. Przykro mi to słyszeć.

– Może... – zaczęła, ale szybko odtrąciła tę myśl.

– Co?

– Miałam właśnie powiedzieć, że może, jeśli nie byłaby to zbyt wielka prośba, mógłbyś do nas kiedyś zajrzeć.

– Samowi na pewno spodobałby się ten pomysł.

– Nie – odparła. Żyła na jej szyi nagle stała się widoczna albo nagle ją dostrzegł. – Ty. Chodziło mi o ciebie.

Jacob nic już nie rozumiał. Czy mogła być tak bezwstydną, jak się wydawała? A może brała go za rodzica, który był psychologiem dziecięcym, tak jak on pomylił ją z żoną ofiary tętniaka? Pociągała go, pragnął jej, ale nie mogło to zabrnąć choćby o krok dalej.

– Pewnie – powiedział. – Mógłbym wpaść.

– Może gdybyś podzielił się z nim trochę swoimi doświadczeniami, sprawy przestałyby być dla niego takie abstrakcyjne. Takie przerażające. Myślę, że to, że teraz jest mu tak ciężko, bierze się częściowo z braku szczegółów.

– Brzmi sensownie.

Choć nie brzmiało.

– Nie zajęłoby ci to dużo czasu. Nie proszę, żebyś się nim zajmował ani nic.

– Nie zabrzmiało to w ten sposób.

– Jesteś dobrym człowiekiem – powiedziała.

– Nie jestem – odparł.

I wtedy wreszcie się roześmiała.

– Cóż, przypuszczam, że tylko ty wiesz na pewno. Ale wydajesz się dobry.

Pewnego razu Benjy zawołał Jacoba z powrotem do pokoju, już po tym, jak ojciec ułożył go do snu, i spytał:

– Czy istnieją rzeczy bez nazwy?

– Jasne – odparł Jacob. – Mnóstwo.

– Na przykład co?

– Na przykład ta deska nad łóżkiem.

– Nazywa się wezłowie.

– Jest wezłowiem. Ale nie ma *własnej* nazwy.

– Prawda.

– Dobranoc, kochany.

– Nadajmy im nazwy.

– Wiesz, takie było pierwsze zadanie pierwszego człowieka.

– Co?

– Adama. Tego od Ewy. Bóg kazał mu nazwać zwierzęta.

– My nazwaliśmy Argusa.

- Zgadza się.
- Ale pierwszy człowiek był małpą, prawda? W takim razie sam siebie nazwał?
- Możliwe.
- Chcę nazwać wszystko.
- Byłoby z tym sporo roboty.
- To jak?
- W porządku. Ale od jutra.
- Okej.

Jacob stanął w progu i czekał, jak zawsze, a Benjy, jak zawsze, zawołał go z powrotem.

- Tak?
- Czy istnieją nazwy bez rzeczy?

Nazwy jak nazwiska na nagrobkach w getcie samobójców. Nazwy jak nazwiska na ścianie pamięci, z których Jacob układał słowa. Nazwy jak nazwiska w jego programie, którym nigdy nie miał się z nikim podzielić. Jacob napisał tysiące stron o swoim życiu, ale aż do tej chwili, gdy na jej szyi widać było puls, a po nim widać było wreszcie decyzję, nie podawał w wątpliwość tego, czy warte jest choćby słowa.

– Dobrze – powiedziała, uśmiechnęła się, skinęła głową i zrobiła pół kroku w tył. – Pozdrów ode mnie Julię, proszę.

– Pozdrowię – odparł Jacob.

Zostawił na miejscu wózek wypełniony po brzegi rzeczami i ruszył według strzałek przez salon, domowe biuro, kuchnię, jadalnię i sypialnię na parking. Pojechał prosto do synagogi. Rzeczywiście, lista nadal tam wisiała. Ale pośród tych, którzy pojechali, nie było jego nazwiska. Sprawdził drugi raz. I trzeci.

W takim razie co się przed chwilą wydarzyło?

Źle zapamiętała?

A może zobaczyła zdjęcie z Islip w gazecie i przypomniała je sobie, choć myślała, że przypomniało jej się jego nazwisko?

Może rozstrzygnęła swoje wątpliwości na korzyść Jacoba?

Może wiedziała o wszystkim i niszczyła życie, które chronił?

Ręką, która przecięła trzy pępowiny, dotykał nazwisk poległych.

„Tylko ty wiesz na pewno” – powiedziała.

Weterynarza, u którego nigdy wcześniej nie byli (udanie się do kogoś nieznanego wydawało się nieodzowne, zarówno ze względu na Argusa, jak i Jacoba), można było znaleźć o wiele bliżej niż w Gaithersburgu w stanie Maryland. Jacob czuł jednak potrzebę stworzenia pewnego dystansu od domu.

Po drodze Jacob zabrał Argusa do McDonalda. Zaniósł jedzenie na trawiasty pagórek za parkingiem i próbował nakarmić psa McNuggetsami, ale Argus tylko się odwrócił. Jacob nie przestał głaskać go pod brodą, tak jak pies lubił.

„Życie jest cenne – pomyślał. – To najważniejsza myśl ze wszystkich, i najoczywistsza, i najtrudniej pamiętać, żeby jej nie zapomnieć”. Pomyślał: „Jakże inaczej wyglądałoby moje życie, gdybym mógł pomyśleć coś takiego, zanim zostałem do tego zmuszony”.

Jechali z oknami opuszczonymi do połowy, podcast Dana Carlina *Historia na ostro. Droga do katastrofy II* dudnił na cały regulator. Carlin, w kontekście wywodu podkreślającego

znaczenie pierwszej wojny światowej, mówił o koncepcji zwanej Wielkim Filtrem – o chwili gdy cywilizacja staje się zdolna do tego, żeby zniszczyć siebie samą. Wielu jako Wielki Filtr ludzkości wskazuje rok 1945 i użycie broni jądrowej. Carlin dowodził, że był nim rok 1914 i mechanizacja działań wojennych na całym świecie. Potem w ramach dygresji (miał zresztą do nich niebywały talent) zбочzył w stronę paradoksu Fermiego. W 1950 roku w Los Alamos garstka najwybitniejszych fizyków świata robiła sobie w czasie przerwy na lunch żarty z niedawnej serii przypadków dostrzeżenia UFO. Rozłożyli papierową serwetkę i spróbowali obliczyć prawdopodobieństwo istnienia inteligentnych form życia poza Ziemią. Załóżmy, że istnieje 1024 gwiazd w dającym się zaobserwować wszechświecie – dziesięć tysięcy na każde ziarno piasku na Ziemi. Wedle najostrożniejszych szacunków istnieje około stu miliardów miliardów planet przypominających Ziemię – sto na każde ziarno piasku na Ziemi. Gdyby po miliardach lat istnienia na jakiejś części tych planet rozwinęło się życie, a następnie na jakiejś części z tej części rozwinęły się jego inteligentne formy, we wszechświecie powinno istnieć dziesięć milionów miliardów cywilizacji pozaziemskich – sto tysięcy w samej naszej galaktyce. Z pewnością nie jesteśmy sami.

Ale wtedy Enrico Fermi, najślawniejszy i najwybitniejszy fizyk przy stoliku, odezwał się po raz pierwszy: „To gdzie oni są?”. Skoro powinni tutaj być, ale ich nie ma, to dlaczego ich nie ma? Z pewnością jesteśmy sami.

Istnieje wiele odpowiedzi na ten paradoks: że we wszechświecie jest mnóstwo inteligentnych form życia, tylko nie sposób się o tym przekonać, bo dzieli nas zbyt duży dystans, żeby mogły do nas dotrzeć jakiegokolwiek informacje, że ludzie nieodpowiednio słuchają, że inne formy są zbyt obce, by je rozpoznać lub by one rozpoznały nas, że wszyscy nasłuchują, a nikt nie nadaje jak należy. Każda z nich uderzyła Jacoba poetycznością nie do zniesienia: „Dzieli nas zbyt duży dystans, żeby mogły do nas dotrzeć informacje, nieodpowiednio słuchamy, nikt nie nadaje jak należy”. Następnie Carlin powrócił do pojęcia Wielkiego Filtru. W pewnym momencie każda cywilizacja będzie zdolna do samozagłady (celowej bądź przypadkowej) i stanie przed próbą z gatunku zda/nie zda – czy można mieć możliwość popełnienia samobójstwa i go nie popełnić.

Kiedy Isaac dotarł do swojego Wielkiego Filtru?

Kiedy osiągnął go Izrael?

Kiedy małżeństwo Jacoba i Julii?

A kiedy Jacob?

Zaparkował samochód i podszedł z Argusem do drzwi lecznicy. Smycz nie była już konieczna. Argus nigdzie się nie wybierał. Mimo to Jacob żałował, że jej nie ma, bo nie czułby wtedy, że pies nieświadomie idzie ku własnemu końcowi. Strasznie byłoby go tam prowadzić, ale nie aż tak strasznie.

Miejsce nazywało się Lecznica Nadziei. Jacob jakimś sposobem o tym zapomniał albo wcześniej nie zwrócił na to uwagi. Przypomniało mu to cytaty z Kafki: „Och, jest nadzieja, nieskończenie wiele nadziei, tylko że nie dla nas”. Tylko że nie dla ciebie, Argusie.

Podeszli do rejestracji.

– Na kontrolę? – spytała sekretarka.

– Tak – odpowiedział Jacob.

Po prostu nie mógł. Nie był gotów. Będzie miał jeszcze jedną okazję: z weterynarzem.

Przerzucał jakieś czasopismo, nie skupiając na nim wzroku. Przypomniał sobie, jak

pierwszy raz jeden z chłopców zwrócił mu uwagę, że patrzy w telefon zamiast na nich.

– Zuch chłopak – powiedział do Argusa, drapiąc go pod brodą. Czy kiedykolwiek przedtem nazwał go chłopakiem?

Przyszedł technik i zaprowadził ich do gabinetu na tyłach. Weterynarz nie przychodził przez całą wieczność, Jacob zaproponował więc Argusowi psie przysmaki ze szklanego słoja na blacie. Ale Argus tylko się odwrócił.

– Dobry piesek – powiedział Jacob, próbując brzmieć równie uspokajająco jak Max. – Taki dobry.

„Świat jest, jaki jest”, pomyślał. Ta myśl zawsze zdawała się gdzieś wciskać, zwykle w opozycji do frazy „w świecie idealnym”. W świecie idealnym w każdy weekend przygotowywalibyśmy kanapki w schroniskach dla bezdomnych, na starość uczylibyśmy się grać na instrumentach, przestalibyśmy myśleć o wieku średnim jako starości, używalibyśmy innych zasobów umysłowych niż Google i innych zasobów materialnych niż Amazon, na stałe zrezygnowalibyśmy z makaronu z serem, poświęcalibyśmy starzejącym się krewnym przynajmniej jedną czwartą czasu i uwagi, na które zasługują, i nigdy nie zostawialibyśmy dzieci przed telewizorem. Ale świat jest, jaki jest: treningi piłkarskie, leczenie logopedyczne, zakupy spożywcze, prace domowe, utrzymywanie względnego porządku w domu, pieniądze, humory, zmęczenie, zresztą jesteśmy jedynie ludźmi, a ludzie nie tylko potrzebują rzeczy w rodzaju chwili z kawą i gazetą, spotkań z przyjaciółmi, oddechu, ale i na nie zasługują, więc choć to dobry plan, nie można go urzeczywistnić. Powinno się, ale nie można.

I raz po raz, i tak w kółko: „Świat jest, jaki jest”.

W końcu przyszedł weterynarz. Był to stary, może osiemdziesięcioletni mężczyzna. Stary i staroświecki: z poszetką w kieszeni kitla i słuchawkami na szyi. Jego uścisk dłoni przykuwał uwagę: trzeba było przedostać się przez tyle miękkości, zanim natrafiło się na kość.

– Co pana dziś tu sprowadza?

– To nie wyjaśnili?

– Kto?

– Dzwoniłem.

– Dlaczego sam mi pan nie powie?

Czy to był fortel? Jak wtedy, gdy każą młodej kobiecie słuchać bicia serca płodu, zanim przeprowadzą aborcję?

Nie był gotów.

– No więc mój pies od długiego czasu cierpi.

– Ach, dobrze – powiedział weterynarz, wyłączając z pstryknięciem długopis, którym miał właśnie zacząć wypełniać formularz. – A jak pies się wabi?

– Argus.

– „To pies męża, co umarł daleko stąd”<sup>50</sup> – zagrzmiał weterynarz.

– Imponujące.

– W innym życiu byłem profesorem filologii klasycznej.

– Z pamięcią fotograficzną?

– Tak naprawdę nic takiego nie istnieje. Ale uwielbiałem Homera. – Powoli przyklęknął na jednym kolanie. – Cześć, Argus. – Ujął pysk psa w obie dłonie i spojrzał mu w oczy. – To

nie jest moje ulubione określenie – powiedział, nie odrywając wzroku od Argusa. – „Usypiać”. Wolę „pozwolić odejść”.

– Też je wolę – odparł Jacob, wdzięczny jak nigdy.

– Cierpisz, Argusie?

– Dużo skowyczy, czasem całą noc. I ma trudności ze wstawaniem i kładzeniem się.

– Nie brzmi dobrze.

– Trwa to już trochę, ale w ostatnim półroczu się pogorszyło. Ledwie je. I nie kontroluje czynności fizjologicznych.

– To nie są dobre wiadomości.

Wiadomości. Po raz pierwszy od czasu trzęsienia ziemi słyszał, by coś innego określono tym terminem.

– Nasz weterynarz, u nas w Waszyngtonie, dawał mu kilka miesięcy, ale minęło prawie pół roku.

– Wojownik z ciebie, nie? – zwrócił się weterynarz do Argusa.

Jacobowi się to nie spodobało. Nie spodobało mu się, że myśli o Argusie walczącym o życie, które zaraz zostanie mu odebrane. I choć wiedział, że tym, z czym jego pies się zмага, były wiek i choroba, oto znaleźli się tam: Argus i Jacob, i weterynarz, który miał spełnić życzenie drugiego kosztem pierwszego. To nie było takie proste. Jacob zdawał sobie sprawę, że nie. Wiedział też jednak, że w pewnym sensie właśnie takie proste było. Nie da się przekazać psu, że człowiekowi jest przykro, że świat jest, jaki jest, ale to jedyny świat, w którym możemy żyć. A może nie da się tego nie przekazać?

Lekarz znów przez kilka chwil spoglądał Argusowi w oczy, tym razem w milczeniu.

– Co pan sądzi? – spytał Jacob.

– Co sądzę?

– O sytuacji?

– Sądzę, że zna pan tego psa lepiej niż ktokolwiek, a już na pewno lepiej niż jakiś stary konował, który spędził z nim najwyżej pięć minut.

– Racja – przytaknął Jacob.

– Z mojego doświadczenia, a mam go sporo, wynika, że ludzie wiedzą, kiedy przychodzi pora.

– Nie wyobrażam sobie, żebym miał to wiedzieć. Ale sądzę, że to mówi raczej coś o mnie niż o stanie Argusa.

– Możliwe.

– Czuję, że już pora. Ale tego nie *wiem*.

– Dobrze – powiedział weterynarz, podnosząc się. – W porządku.

Wyjął strzykawkę ze szklanego słoja na blacie, który stał pod słojem z przysmakami, i niewielką ampułkę z kasetki.

– Procedura jest bardzo prosta i mogę pana zapewnić, że Argus ani nie będzie się niczego spodziewał, ani nie odczuje żadnego bólu, poza ukłuciem igły, choć całkiem dobrze umiem to ukrywać. Odejdzie w ciągu sekundy czy dwóch. Powinienem pana tylko ostrzec, że chwila śmierci może być nieprzyjemna. Zwykle to po prostu jak z zasypianiem i większość właścicieli twierdzi, że ich zwierzaki wydają się odczuwać ulgę. Ale każdy pies jest inny. Nie należy do rzadkości, że psy opróżniają jelita albo że uciekają im oczy. Czasem zaczynają drgać mięśnie. Ale to najzupełniej normalne i nie świadczy o tym, że Argus cokolwiek czuje.

Dla niego to będzie jak pójście spać.

– Dobrze – powiedział Jacob, ale pomyślał: „Nie chcę, żeby to się stało. Nie jestem na to gotów. To nie może się stać”.

Dwa razy w życiu czuł coś takiego: trzymając Sama, gdy zszywano mu rękę, i na chwilę przed tym, zanim on i Julia powiedzieli dzieciom, że się rozstają. Było to uczucie niechęci do życia w świecie, nawet jeśli to jedyne miejsce, w którym można żyć.

– Najlepiej będzie, jeśli nakłonimy Argusa, żeby położył się na podłodze. Może uda się panu zachęcić go, żeby położył głowę na pańskich kolanach. Poprawi mu to samopoczucie.

W trakcie mówienia napełnił strzykawkę, trzymając ją poza polem widzenia psa. Argus od razu położył się na podłodze, jakby wiedział, czego się od niego oczekuje, a może nawet dlatego. Wszystko to działo się tak szybko, że Jacob nie mógł opanować przesyconego paniką uczucia, że nie jest gotów. Pomasował Argusa po brzuchu tak, by wywołać senność, jak nauczył się na pierwszej i ostatniej lekcji w psiej szkole, ale Argus nie chciał spać.

– Argus jest stary – stwierdził Jacob. Powiedział to bez wyraźnego powodu, tylko po to, żeby zwolnić bieg rzeczy.

– Staruszek – powiedział weterynarz. – Pewnie dlatego tak dobrze się dogadujemy. Niech się pan postara, żeby ciągle na pana patrzył.

– Chwileczkę – odparł Jacob, głaszcząc Argusa po całym boku; jego palce przemykały po żebrach i między nimi. – Nie wiedziałem, że to się stanie tak szybko.

– Chciałby pan jeszcze kilka minut na osobności?

– Co stanie się z ciałem?

– O ile nie ma pan innych planów, poddamy je kremacji.

– Jakie plany można by mieć?

– Pochówek.

– Nie.

– W takim razie zrobimy to, o czym wspomniałem.

– Bezzwłocznie?

– To znaczy?

– Czy bezzwłocznie poddamy go kremacji?

– Dwa razy w tygodniu. Dwadzieścia minut stąd jest zakład.

Argus zawył cicho, a Jacob powiedział:

– Dobry piesek, dobry.

Potem zaś spytał weterynarza:

– W którym momencie tego cyklu jesteśmy?

– Nie jestem pewien, co ma pan na myśli.

– Wiem, że to nie powinno mieć znaczenia, ale nie podoba mi się myśl, że ciało Argusa będzie leżeć całe cztery dni.

Czy ludzie czuwają na *szmira* za psy? Nikt nie powinien zostawać sam.

– Dziś jest czwartek – powiedział weterynarz. – A zatem to będzie dziś po południu.

– W porządku – odrzekł Jacob. – To dla mnie ulga.

– Potrzebuje pan jeszcze kilku minut? To żaden problem.

– Nie, w porządku.

– Zobacz pan, że wywieram nacisk na żyłę Argusa, żeby zyskać pewność, że igła wchodzi jak należy. Może pan go trzymać. W ciągu kilku sekund Argus weźmie głębszy

oddech, a potem będzie wyglądał, jakby spał.

Jacob był poruszony tym, że weterynarz wielokrotnie użył imienia Argusa, jego wyraźną niechęcią, by mówić o psie „on”. Wydawało się to okrutne – nieustanne przypominanie o konkretnej osobowości Argusa albo o tożsamości Jacoba jako tego, który Argusa nazwał.

– Choć całkiem nieprzytomny, Argus może jeszcze kilka razy zaczerpnąć tchu. Odkryłem, że z jakiegoś powodu im starszy pies, tym dłużej trwa oddychanie po utracie przytomności.

– Ciekawe – powiedział Jacob i w chwili gdy „e” uwolniło się od podniebienia twardego, dyskomfort związany z używaniem przez weterynarza imienia Argusa płynnie przeszedł w gniew na samego siebie – gniew, który często skrywał się w głębi, często był urojony, ale zawsze tam tkwił.

„Ciekawe”! W takim momencie powiedzieć taką głupotę. Co za błaża, deprecjonująca i odrażająca uwaga. „Ciekawe”! Przez cały dzień odczuwał strach, smutek i poczucie winy z powodu tego, że nie jest w stanie dać Argusowi więcej czasu, i dumę, że dał mu go tyle, ale teraz – gdy zbliżała się ta chwila – czuł tylko gniew.

– Jest pan gotów go puścić? – spytał weterynarz.

– Przepraszam. Jeszcze nie.

– Oczywiście.

– Dobry piesek – powiedział Jacob, ciągnąc za fałd skóry pomiędzy łopatkami psa, tak jak Argus lubił.

Musiał posłać weterynarzowi sugestywne spojrzenie, ponieważ ten spytał jeszcze raz:

– Jest pan gotów?

– Nie zamierza mu pan dać żadnego środka uspokajającego albo... nie wiem, przeciwbólowego, żeby nie czuł zastrzyku?

– Niektórzy weterynarze to robią. Ja nie. Równie często efekt jest taki, że pies robi się bardziej nerwowy.

– Ach.

– Zdarzają się tacy, którzy lubią побыć kilka minut w samotności.

Jacob wskazał strzykawkę w ręce weterynarza i spytał:

– Dlaczego ten płyn jest taki jasny?

– Żeby go w żadnym razie nie pomylić z czym innym.

– Brzmi sensownie.

Musiał odpuścić – gniew i wszystko inne – ale potrzebował pomocy, żeby to zrobić, choć musiał to zrobić sam.

– Mógłbym zostać z ciałem? Do kremacji?

– Na pewno moglibyśmy to załatwić.

– Argus – powiedział Jacob, nazywając go po raz drugi: raz na początku i raz na końcu.

Argus podniósł wzrok, by napotkać spojrzenie Jacoba. W jego oczach nie było akceptacji. Ani przebaczenia. Nie było w nich też świadomości, że wszystko, co się wydarzyło, jest wszystkim, co miało się wydarzyć. Że tak miało być i tak powinno być. Ich związek określało nie to, co mogli ze sobą dzielić, lecz to, czego nie mogli. Między każdymi dwiema istotami istnieje wyjątkowy, nieprzekraczalny dystans, sanktuarium, do którego nie da się wejść. Czasem przybiera kształt samotności. Czasem przybiera kształt miłości.

– W porządku – Jacob zwrócił się do weterynarza, nadal patrząc Argusowi w oczy.

– Niech pan nie zapomina, jak to się kończy – powiedział weterynarz, przygotowując



igłę. – Argus umiera spełniony. Jego pan wrócił w końcu do domu.

– Ale tyle się nacierpiał.

– Osiągnął spokój.

Jacob nie powiedział Argusowi: „Już w porządku”.

Powiedział mu:

– Spójrz na mnie.

Powiedział sobie: „Życie jest cenne, a świat jest, jaki jest”.

Powiedział weterynarzowi:

– Jestem gotów.

- 
- <sup>1</sup> Odwołanie do filmu *Wożąc panią Daisy*, dotyczącego przełamywania rasistowskich uprzedzeń (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).
- <sup>2</sup> Tak, to możliwe (hiszp.). Motto United Farm Workers.
- <sup>3</sup> Show, w którym Phil McGraw służy poradami z zakresu psychologii sądowej i klinicznej.
- <sup>4</sup> American Civil Liberties Union – Amerykański Związek Ochrony Praw Obywatelskich.
- <sup>5</sup> Nauczycielka Anne Sullivan pomagała zrozumieć Helen Keller, pierwszej głuchoniemej osobie, która została licencjatem nauk humanistycznych, to, co wokół niej się mówi.
- <sup>6</sup> Parafraza piosenki *I did it my way* Franka Sinatry.
- <sup>7</sup> Chwalmy Pana, który jest błogosławiony (hebr.). Błogosławieństwo przed lekturą Tory.
- <sup>8</sup> Błogosławiony jest Pan, który jest błogosławiony teraz i na wieki wieków (hebr.).
- <sup>9</sup> I dałeś nam Torę (hebr.).
- <sup>10</sup> Zmodyfikowane cytaty ze Starego Testamentu (Rdz, 22) za Biblią Tysiąclecia.
- <sup>11</sup> Foer korzysta z tłumaczenia Roberta Altera, który za E.A. Speiserem zauważa, że biblijne określenie bliższe jest tasakowi niż zwykłemu nożowi.
- <sup>12</sup> W tradycji żydowskiej panna młoda w geście symbolizującym wejście do rodziny pana młodego okrąża go siedmiokrotnie.
- <sup>13</sup> Mosze Dajan – izraelski dowódca wojskowy noszący czarną opaskę w miejsce oka, które stracił podczas walk w 1941 roku.
- <sup>14</sup> Dźwięki szofaru: tekija (ciągły), szewarim (trzy krótkie) i terua (dziewięć krótkich) symbolizują nowy rok, Rosz Haszana, jako dzień sądu nad ludźmi i odnowienia więzi między ludźmi a Bogiem.
- <sup>15</sup> Izraelskie Centrum Badań nad Bronią Jądrową znajduje się na pustyni Negew trzynaście kilometrów od miasta Dimona.
- <sup>16</sup> Sang de Juif (fr.) – żydowska krew.
- <sup>17</sup> Dziadek (jidysz).
- <sup>18</sup> Kontrakt ślubny w tradycji żydowskiej.
- <sup>19</sup> Obrzezanie (jid.)
- <sup>20</sup> Rodzina (jid.)
- <sup>21</sup> Powrót do ojczyzny przodków.
- <sup>22</sup> Biada mi (jidysz).
- <sup>23</sup> Administracja muzułmańskiej straży świątynnej.
- <sup>24</sup> Ściana Płaczu (hebr.).
- <sup>25</sup> Straż (hebr.), czyli czuwanie nad zwłokami.
- <sup>26</sup> Siedmiodniowa żałoba obchodzona przez najbliższą rodzinę zmarłego. Żałobnicy siedzą na niskich krzesłach lub bezpośrednio na ziemi, nie wkładają butów, nie golą się, nie obcinają włosów, nie używają kosmetyków, nie pracują, rezygnują z rzeczy, które sprawiają przyjemność lub dają zadowolenie.
- <sup>27</sup> Litery alfabetu hebrajskiego o wartości siedem i osiem.
- <sup>28</sup> Szaleństwach (jid.).
- <sup>29</sup> Lawrence Gene „Larry” David - amerykański aktor, pisarz i komik żydowskiego pochodzenia. Producent sitcomów *Kroniki Seinfelda* i *Pohamuj entuzjazm*.
- <sup>30</sup> Wyznanie w języku aramejskim, poprzedzające modły wieczorne w przededniu święta Jom Kipur. Zawiera stwierdzenie, że wszystkie ślubowania i przysięgi uczynione pod przymusem, zbyt pochopnie lub nieświadomie niniejszym zostają unieważnione.
- <sup>31</sup> Kawalki macy spożywane pod koniec sederu w święto Pesach.
- <sup>32</sup> Wstyd (jid.).
- <sup>33</sup> Tak uczynimy (hebr.).
- <sup>34</sup> *Liść, bezdrzewny* to tytuł wiersza Paula Celana (w polskim przekładzie Ryszarda Krynickiego).
- <sup>35</sup> Franz Wright, *Saying* (wiersz z uhonorowanego Pulitzerem zbioru *Walking to Martha's Vineyard*).

[36](#) Rocznicą śmierci (jid).

[37](#) Jerozolima (ar.).

[38](#) Chajbar, Chajbar, o Żydzi, armia Mahometa powróci! (ar.) Tradycyjny okrzyk nawiązujący do bitwy pod oazą Chajbar,

w której Mahomet zwyciężył żydowskie wojska.

[39](#) Niekoszerne (jid.). Stąd polskie słowo „trefny”.

[40](#) Żydowska głowa (jid.).

[41](#) Henry Louis Gehrig (1903–1941) – amerykański baseballista. W latach dwudziestych i trzydziestych ustanowił wiele

rekordów w Major League. Jego kariera została przerwana przez chorobę neurologiczną, stwardnienie zanikowe boczne. Do dziś, zwłaszcza w USA, nazywa się ją chorobą Lou Gehriga.

[42](#) Nieoficjalny (*Jeruszalaim szel zahaw*, Jerozolima ze złota) i oficjalny (*Hatikwa*, nadzieja) hymn Izraela.

[43](#) Mówi pan po hebrajsku? (hebr.).

[44](#) Nie mówi po hebrajsku (hebr.).

[45](#) Słuchaj Izraelu, Pan... (hebr.). *Szma Israel* to nazwa, a zarazem incipit jednej z najważniejszych żydowskich modlitw. Jest

pierwszą modlitwą, jakiej ojciec uczy dziecko, a także ostatnią wypowiedaną przez umierającego na łożu śmierci.

[46](#) Franz Wright, *Year One* (ze zbioru *Walking to Martha's Vineyard*).

[47](#) Franz Wright, *Progress*.

[48](#) Radujmy się (hebr.).

[49](#) „Senatorze, żaden z pana Jack Kennedy” – słynna riposta Lloyda Bentsena w debacie wiceprezydenckiej z Danem

Quayle'em w 1988 roku, kiedy ten drugi porównał się do prezydenta Johna F. Kennedy'ego.

[50](#) Homer, *Odyseja*, przeł. Jan Parandowski.

Przekład: Krzysztof Cieślik  
Redakcja: Maryna Wirchanowska  
Korekta: Zofia Sawicka, Grzegorz Krzymianowski

Projekt okładki: © Jonathan Gray

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12  
tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08  
[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)  
[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-4454-8

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)  
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

The logo for Virtualo, featuring the word "virtualo" in a bold, lowercase, sans-serif font. The letter "v" is blue, and the remaining letters "irtualo" are black.